


SERIA
PODZIELENI
TOM 2

NEAL SHUSTERMAN

ROZDARCI

PAPIER  WYKSIEZYC

ROZDARCI



NEAL SHUSTERMAN

ROZDARCI

**SERIA
PODZIELENI
TOM 2**

Przełożyła
Agnieszka Hałas

PAPIER  WYKSIĘŻYC

Słupsk 2016

Tytuł oryginału
UnWholly

Redaktor prowadzący
Artur Wróblewski

Skład i łamanie
Anna Szarko
e-mail: anna.szarko@gmail.com

Projekt okładki
Krzysztof Krawiec

UNWHOLLY by Neal Shusterman

Polish Language Translation copyright © 2016 by Papierowy Księżyc

Original English language edition copyright © 2012 by Neal Shusterman

Published by arrangement with Simon & Schuster Books For Young Readers, An imprint of
Simon & Schuster Children's Publishing Division

Published by arrangement with Simon & Schuster Books For Young Readers, An imprint of
Simon & Schuster Children's Publishing Division

All rights reserved. No part of this book may be reproduced or transmitted in any form or
by any means, electronic or mechanical, including photocopying, recording or by any
information storage and retrieval system, without permission in writing from the Publisher.

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Hałas 2016

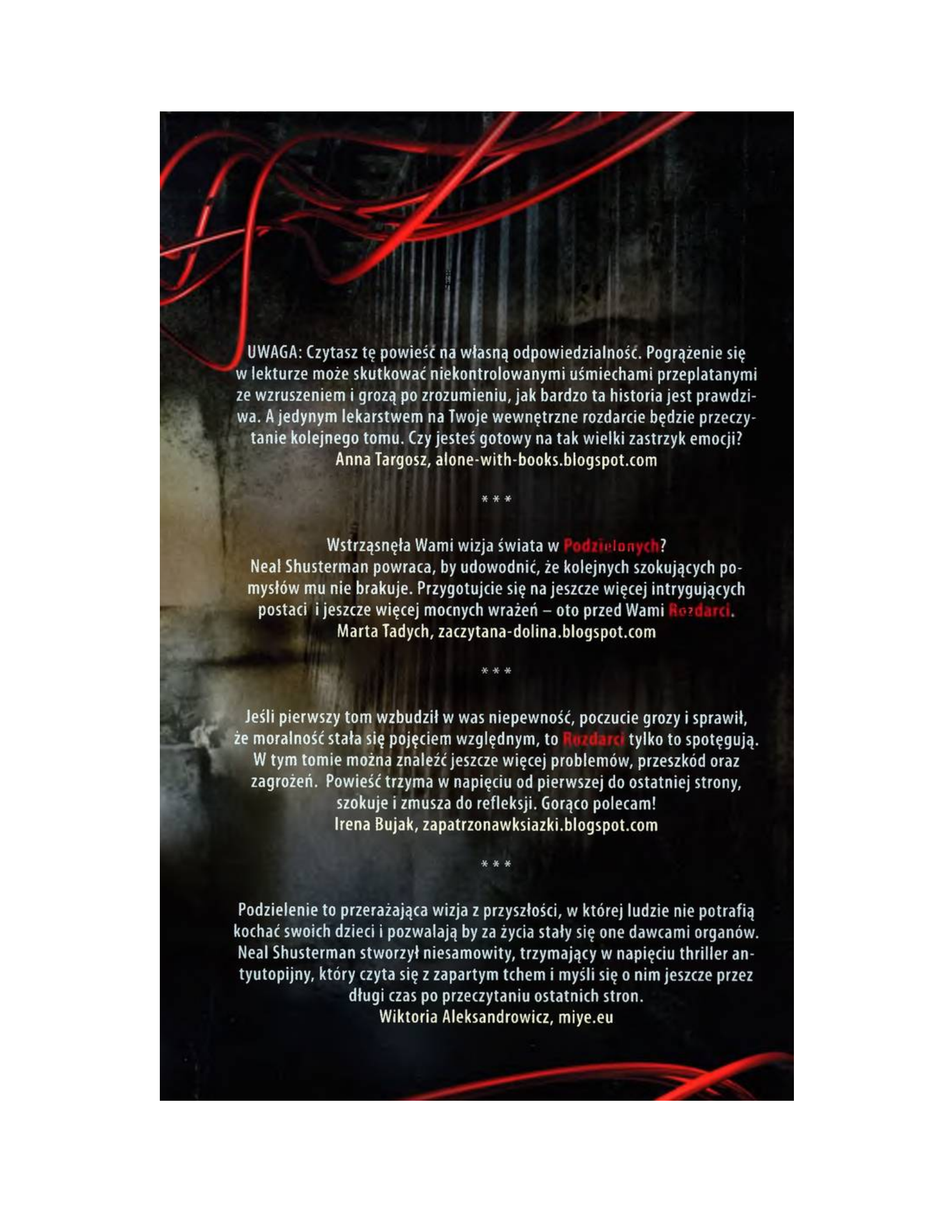
Wydanie I
Słupsk 2016

ISBN 978-83-65568-09-0

Wydawca:

PAPIER  WYKSIĘŻYC

Wydawnictwo Papierowy Księżyc
skr. poczt. 220, 76-215 Słupsk 12
tel. 59 727-34-20, fax. 59 727-34-21
e-mail: wydawnictwo@papierowyksiezyc.pl
www.papierowyksiezyc.pl



UWAGA: Czytasz tę powieść na własną odpowiedzialność. Pograżenie się w lekturze może skutkować niekontrolowanymi uśmiechami przeplatanyymi ze wzruszeniem i grozą po zrozumieniu, jak bardzo ta historia jest prawdziwa. A jedynym lekarstwem na Twoje wewnętrzne rozdarcie będzie przeczytanie kolejnego tomu. Czy jesteś gotowy na tak wielki zastrzyk emocji?

Anna Targosz, alone-with-books.blogspot.com

* * *

Wstrząsnęła Wami wizja świata w **Podzielonych**? Neal Shusterman powraca, by udowodnić, że kolejnych szokujących pomysłów mu nie brakuje. Przygotujcie się na jeszcze więcej intrygujących postaci i jeszcze więcej mocnych wrażeń – oto przed Wami **Rozdarci**.

Marta Tadych, zaczytana-dolina.blogspot.com

* * *

Jeśli pierwszy tom wzbudził w was niepewność, poczucie grozy i sprawił, że moralność stała się pojęciem względnym, to **Rozdarci** tylko to spotęgują.

W tym tomie można znaleźć jeszcze więcej problemów, przeszkód oraz zagrożeń. Powieść trzyma w napięciu od pierwszej do ostatniej strony, szokuje i zmusza do refleksji. Gorąco polecam!

Irena Bujak, zapatrzonawksiazki.blogspot.com

* * *

Podzielenie to przerażająca wizja z przyszłości, w której ludzie nie potrafią kochać swoich dzieci i pozwalają by za życia stały się one dawcami organów. Neal Shusterman stworzył niesamowity, trzymający w napięciu thriller antyutopijny, który czyta się z zapartym tchem i myśli się o nim jeszcze przez długi czas po przeczytaniu ostatnich stron.

Wiktoria Aleksandrowicz, miye.eu

Ponieważ książki „Podzieleni” i „Rozdarci” przedstawiają świat wywrócony do góry nogami, czy istnieje lepszy sposób, żeby uaktualnić Waszą wiedzę, niż podawanie odpowiedzi przed pytaniem? Przeczytajcie odpowiedzi i przekonajcie się, ile pytań będziecie w stanie prawidłowo podać! jeśli odgadniecie ich wystarczająco wiele, może zyskacie możliwość podarcia dokumentu zlecającego wasze podzielenie! (Uwaga: Pominięcie tego quizu może sprawić, że będziecie się czuli nieco podzieleni w trakcie lektury...)

A ODPOWIEDŹ BRZMI...

To proces, w wyniku którego jednostka ludzka zostaje rozdzielona na części. Zgodnie z prawem 99,4% ludzkiego ciała musi zostać wykorzystane i zachowane przy życiu w postaci przeszczepów.

Czym jest „podzielenie”?

Druga wojna domowa w Stanach Zjednoczonych – znana również jako Wojna Moralna – dobiegła końca, kiedy armie obrońców życia oraz zwolenników wolnego wyboru zawarły porozumienie, w wyniku którego życie ludzkie stało się nienaruszalne od momentu poczęcia aż do wieku lat trzynastu, ale zgodnie z prawem możliwe jest podjęcie decyzji o „aborcji z mocą wsteczną” w przypadku sprawiających problemy nastolatków.

Czym jest „Porozumienie Podziału”?

Kiedy matka chce się pozbyć noworodka, zgodnie z prawem może go zostawić na cudzym progu. Wówczas prawnymi opiekunami dziecka stają się ludzie mieszkający w domu, do którego zostało podrzucone. To jest potoczna nazwa tego czynu.

Czym jest „podrzucenie przez bociana”?

Ponieważ praktycznie całe ciało osoby podzielonej wciąż żyje po przeszczepieniu biorcom, osoby takiej nie uznaje się za zmarłą, ale za żyjącą w szczególnym stanie, jak nazywa się ten stan?

Czym jest „stan podzielenia”?

Są to licencjonowane zakłady, w których Podzielonych przygotowuje się do przejścia w stan podzielenia, jakkolwiek każdy z tych ośrodków ma swój

własny unikatowy charakter, wszystkie zostały tak zaprojektowane, żeby dostarczać skazanej na podzielenie młodzieży pozytywnych wrażeń.

Czym są „ośrodki donacyjne”?

Ten ośrodek donacyjny w północnej Arizonie, położony w miejscowości zawdzięczającej swoją nazwę szczęśliwym drwalom, którzy ją założyli, został niedawno zamknięty w następstwie ataku terrorystycznego.

Czym się charakteryzuje ośrodek donacyjny „Happy Jack”?

To slangowe określenie kliniki mieszczącej się w ośrodku donacyjnym, w której przeprowadzane są podzielenia.

Czym jest „krajalnica”?

Ci młodzi terroryści wprowadzają sobie do układu krążenia niewykrywalną substancję, która sprawia, że ich krew staje się wybuchowa. Ich nazwa bierze się stąd, że wywołują detonację poprzez energiczne oklaski.

Kim są „klakierzy”?

Tak określa się potocznie funkcjonariuszy organów ścigania, którzy pracują dla Narodowego Urzędu do Spraw Małoletnich i odpowiadają za wszelkie działania w odniesieniu do Podzielonych.

Kim są „gliniarze od małałatów”, znani też jako „hycle”?

Stosuje się uśpianie za pomocą środka chemicznego zawartego w specjalnych pociskach lub strzałkach. Funkcjonariusze organów ścigania preferują tę metodę, gdyż strzelanie amunicją ostrą do Podzielonych jest nielegalne i powoduje uszkodzenia narządów wewnętrznych i obniża wartość schwytanego.

W jaki sposób chwyta się zbiegłych Podzielonych?

To slangowe określenie żołnierza lub muskularnego nastolatka przygotowującego się do służby w wojsku.

Kim jest „armiak”?

Pierwotnie był to termin wojskowy oznaczający „Zakaz Opuszczania Miejsca Zakwaterowania”, ale obecnie określa się tak zbiegłych Podzielonych.

Co to takiego „ZOMZ”?

Ta organizacja walczy z praktyką podzielenia, ratując Podzielonych ZOMZ-ów. Nie działa jednak tak sprawnie, jak ludzie sądzą.

Czym jest „Ruch Przeciwników Podzielenia”?

Słowa te pochodzą od starego wyrażenia oznaczającego „dziesięć procent” i odnoszą się do dziecka, które od urodzenia przeznaczone jest na podzielenie, zazwyczaj ze względów religijnych.

Do czego odnoszą się pojęcia „dziesięcina”, „dziesięciorodny”?

Ten dziesięciorodny został klakierem, który nie zaklaskał, i w efekcie stał się twarzą przeciwników podzielenia.

Kim jest „I. ev Calder”?

Jest to nazwisko nadawane dzieciom wychowywanym w domach dziecka.

Jaką szczególną cechę ma nazwisko „Ward”?

Ta wychowanka domu dziecka przeżyła atak terrorystyczny i rewoltę, do których doszło w ośrodku donacyjnym Happy Jack, i jest obecnie sparaliżowana od pasa w dół, ponieważ nie zgodziła się na zastąpienie jej uszkodzonego kręgosłupa zdrowym kręgosłupem Podzielonego.

Kim jest „Risa Ward”?

*Życzę Wam zapierającej dech w piersiach lektury, spędzającej sen z powiek
i pobudzającej do refleksji!*

– Neal Shusterman

CZĘŚĆ PIERWSZA

WYKROCZENIA

Jedyny sposób, żeby poradzić sobie ze światem pozbawionym wolności, to stać się tak absolutnie wolnym, żeby samo twoje istnienie było aktem buntu.

– ALBERT CAMUS



1. STARKEY

Walczy z koszmarem, kiedy przychodzą po niego. Olbrzymia powódź zatapia świat, a wśród kipieli on sam jest masakrowany przez niedźwiedzia. Przyprawia go to raczej o irytację niż o strach. Tak jakby powódź nie wystarczyła, jego mroczna podświadomość musiała jeszcze wysłać wściekłego grizzly, żeby go rozszarpał.

Potem zostaje wywleczony za nogi z paszczy śmierci i biblijnego potopu.

– Wstawaj! No już! Idziemy!

Otwiera oczy i widzi, że sypialnia, w której powinien panować mrok, jest jasno oświetlona. Dwóch gliniarzy od małałatów szarpie go, łapie za obie ręce, uniemożliwiając walkę, zanim jeszcze oprzytomniał na tyle, żeby choćby kiwnąć palcem.

– Nie! Przestańcie! O co chodzi?

Kajdanki. Prawy nadgarstek, potem lewy.

– Wstawaj!

Szarpnięciem stawiają go na nogi, tak jakby stawiał opór – na pewno próbowałby, gdyby nie był tak rozespany.

– Zostawcie mnie! Co się dzieje?

Ale w ciągu sekundy udaje mu się oprzytomnić na tyle, żeby wszystko pojąć. To jest porwanie. Ale nie można go nazwać porwaniem, skoro dokumenty transferowe zostały podpisane w trzech egzemplarzach.

– Potwierdź werbalnie, że nazywasz się Mason Michael Starkey.

Funkcjonariuszy jest dwóch. Jeden niski i muskularny, drugi wysoki i muskularny. Pewnie armiaczy z wojska, którzy po przejściu do cywila zostali łapaczami małoletnich. Trzeba być bez serca, żeby zostać gliniarzem od małałatów, ale ci, którzy zostają hyclami, prawdopodobnie nie mają i dusz. Fakt, że zgarniają go, bo ma zostać podzielony, szokuje i przeraża Starkeya, ale chłopak postanawia tego nie okazywać, bo wie, że hycli kręci cudzy strach.

Niski, który najwyraźniej robi za rzecznika tego duetu, nachyla się do samej twarzy Starkeya i mówi raz jeszcze:

– Potwierdź werbalnie, że nazywasz się Mason Michael Starkey.

– A z jakiej niby racji?

– Młody – odzywa się drugi hycel – możemy załatwić tę sprawę po dobroci albo po złości, ale załatwimy to tak czy owak. – Ten gość mówi cicho i ma usta, z którymi ewidentnie się nie urodził. Prawdę mówiąc, wyglądają tak, jakby pochodziły od dziewczyny. – Procedura nie jest taka trudna, więc współpracuj z łaski swojej.

Mówi to takim tonem, jakby Starkey powinien był przewidzieć, że po niego przyjdą, ale czy którykolwiek Podzielony się tego spodziewa? Wszyscy w głębi serca są przekonani, że ich to nie spotka – że bez względu na to, jak napięte stały się wzajemne relacje, ich rodzice będą za mądrzy, żeby się nabrać na reklamy w necie, spoty w telewizji i billboardy głoszące takie hasła jak „Podzielenie: wybierz rozsądne wyjście”. Ale kogo próbuje nabrać? Nawet gdyby nie brać pod uwagę szumu medialnego, Starkey był potencjalnym kandydatem do podzielenia, odkąd zjawił się na progu. Może powinien czuć się zdziwiony, że jego rodzice zwlekali tak długo.

Teraz rzecznik duetu przysuwa się bliżej, jeszcze bardziej naruszając jego przestrzeń osobistą.

– Po raz ostatni powtarzam, potwierdź werbalnie, że nazywasz się...

– Taa, Mason Michael Starkey. A teraz odsuń się, gościu, capi ci z paszczy.

Ponieważ tożsamość Podzielonego została werbalnie potwierdzona, Kobięca Buźka wyjmuje formularz w trzech egzemplarzach: jedna kopia biała, druga żółta, trzecia różowa.

– Czyli tak to załatwiacie? – pyta Starkey. Głos zaczyna mu lekko drżeć. – Aresztujecie mnie? Za jakie przestępstwo? Za to, że mam szesnaście lat? A może za to, że w ogóle żyję?

– Cicho-bo-cię-uśpimy – odpowiada Rzecznik, jakby to było jedno słowo.

Jakaś część Starkeya chciałaby zostać uśpiona – po prostu zapaść w sen i przy odrobinie szczęścia nigdy się nie obudzić. Dzięki temu nie musiałby stawiać czoła gigantycznemu upokorzeniu, jakim jest wyrwanie z dotychczasowego życia w środku nocy. Ale nie, chce zobaczyć twarze swoich rodziców. W zasadzie to chce, żeby *oni* zobaczyli *jego* twarz, a gdyby został uśpiony, upiekłoby im się. Nie musieliby mu patrzeć w oczy.

Kobieca Bużka staje przed nim, trzymając zlecenie podzielenia, i zaczyna odczytywać niesławny paragraf dziewiąty, „klauzulę negacji”.

– Masonie Michaelu Starkey, podpisując to zlecenie, twoi rodzice i/lub opiekunowie prawni unieważnili twój status potomka ze skutkiem wstecznym od szóstego dnia po poczęciu, co oznacza, że stanowisz naruszenie kodu egzystencjalnego 390. W świetle powyższego zostajesz niniejszym skierowany do Stanowego Urzędu do Spraw Małoletnich w Kalifornii celem natychmiastowej utylizacji, znanej również jako „podzielenie”.

– Bla bla bla.

– Wszelkie prawa przyznane ci wcześniej jako obywatelowi przez władze powiatu, stanu lub rząd federalny zostają niniejszym oficjalnie i trwale cofnięte. – Hycel składa zlecenie podzielenia i wsuwa je do kieszeni.

– Gratulacje, panie Starkey – mówi Rzecznik Duetu. – Już pan nie istnieje.

– To czemu ze mną gadacie?

– Niedługo przestaniemy. – Zaczynają go ciągnąć w stronę drzwi.

– Mogę przynajmniej założyć buty?

Pozwalają mu to zrobić, ale zachowują czujność.

– Tylko żadnych sztuczek.

– Ładnie. Mamusia cię nauczyła tej formułki? – Starkey guzdrze się przy wiązaniu sznurówek, ile tylko może; potem tamci wywlekają go z pokoju i sprowadzają na dół. Gliniarze od małaotów noszą ciężkie bucior, które onieśmielają nawet drewno schodów. We trzech tupią jak stado bydła.

Jego rodzice czekają w przedpokoju. Jest trzecia nad ranem, ale nadal mają na sobie dzienne ubrania. W ogóle nie kładli się spać, czekając na tę chwilę. Starkey widzi udrękę malującą się na ich twarzach – lub może jest to ulga, ciężko poznać. Zamraża własne emocje, ukrywając je za fałszywym uśmiechem.

– Cześć, mamo! Cześć, tato! – rzuca wesoło. – Zgadnijcie, co mi się przed chwilą przydarzyło? W życiu byście nie uwierzyli!

Jego ojciec głęboko wciąga oddech, szykując się do Wielkiej Mowy Pożegnalnej, którą każdy rodzic przygotowuje dla zbłąkanego potomka. Nawet jeśli ostatecznie nigdy jej nie wygłaszają, mimo wszystko obmyślają ją sobie, powtarzając w myślach jej słowa podczas przerwy obiadowej, stania w korku albo słuchania, jak ich szef idiota bredzi o wynikach sprzedaży i strategiach dystrybucji, i innych bzdetach, które ludzie pracujący w biurach omawiają podczas spotkań.

Jak wyglądały statystyki? Starkey widział je raz w serwisie informacyjnym w telewizji. Co roku jeden na dziesięciu rodziców przelotnie myśli o podzieleniu. Spośród tych osób jedna na dziesięć poważnie rozważa takie rozwiązanie, a z nich jedna na dwadzieścia faktycznie realizuje swój zamiar – przy czym prawdopodobieństwo podzielenia wzrasta dwukrotnie z każdym kolejnym dzieckiem w rodzinie. Po przeliczeniu tych uroczych cyferek okazuje się, że każde dziecko w wieku od trzynastu do siedemnastu lat ma szansę jak jeden do dwóch tysięcy, że zostanie poddane podzieleniu w ciągu nadchodzącego roku. Prawdopodobieństwo wygranej na loterii jest znacznie mniejsze. A w tym zestawieniu i tak nie uwzględniono dzieci z domów dziecka.

Trzymając się na dystans, jego ojciec zaczyna mówić:

– Mason, nie rozumiesz, że nie pozostawiłeś nam wyboru?

Hycle trzymają go mocno u podnóża schodów, ale jeszcze nie kierują się w stronę wyjścia. Wiedzą, że trzeba pozwolić, aby odbył się rodzicielski rytuał przejścia – Starkey musi dostać werbalny krzyżyk na drogę.

– Bójki, narkotyki, kradzież samochodu, a teraz wyrzucenie z kolejnej szkoły. Co byłoby dalej, Mason?

– Rany, tato, nie mam pojęcia. Jest tyle niewłaściwych decyzji, które mógłbym podjąć.

– Już nie. Jesteś dla nas na tyle ważny, że postanowiliśmy położyć kres twoim niewłaściwym decyzjom, zanim doprowadziły do tragedii.

Te słowa sprawiają, że Starkey wybucha głośnym śmiechem.

A potem ze szczytu schodów dobiega głos.

– Nie! Nie możecie tego zrobić!

Jego siostra Jenna – biologiczna córka jego rodziców – stoi tam, ubrana w piżamę w misie, która wydaje się zbyt dziecinna dla trzynastolatki.

– Wracaj do łóżka, Jenno – mówi ich matka.

– Zleciliście jego podzielenie tylko dlatego, że bocian go przyniósł! To niesprawiedliwe! I w dodatku przed samą Gwiazdką! A gdyby mnie przyniósł bocian? Czy mnie też byście kazali podzielić?

– Nie będziemy dyskutować na ten temat! – krzyczy ojciec, podczas gdy matka zaczyna płakać. – Wracaj do łóżka!

Ale Jenna nie spełnia polecenia. Splata ręce na piersi i z miną buntowniczką siada na najwyższym stopniu schodów, żeby obserwować całe zajście. Brawo, mała.

Starkey wie, że łzy jego matki są szczere, ale nie umie poznać, czy matka płacze ze względu na niego, czy ze względu na resztę rodziny.

– Wszyscy nam powtarzali, że te rzeczy, które robiłeś, były krzykiem o pomoc – mówi. – Więc dlaczego nie chciałeś pozwolić, żebyśmy ci pomogli?

Starkey najchętniej zacząłby wrzeszczeć. Jak ma im to wytłumaczyć, skoro nie potrafią zrozumieć? Nie wiedzą, jak to jest przeżyć szesnaście lat ze świadomością, że byłeś niechcianym dzieckiem; tajemnicze niemowlę niejasnego pochodzenia rasowego podrzucone na progu sjenowej pary o cerze tak bladej, że mogliby być wampirami. Albo wciąż pamiętać tamten dzień krótko po narodzinach twojej siostry, kiedy miałeś trzy lata, a twoja mama, naćpana po uszy lekami przeciwbólowymi po cesarskim cięciu, zaprowadziła cię do najbliższej remizy strażackiej i błagała, żeby strażacy zabrali cię do domu dziecka. Wydaje im się, że fajnie jest wiedzieć w każde Boże Narodzenie, że twój prezent nie został wybrany z miłości, tylko z obowiązku? I mieć urodziny tylko na niby, bo nikt nie wie, kiedy naprawdę się urodziłeś, w związku z czym obchodzisz je w rocznicę dnia, gdy zostawiono cię na wycieraczce z napisem „Witamy”, którą jakaś świeżo upieczona mama potraktowała zbyt dosłownie?

I co z dokuczaniem oraz przezywaniem w szkole?

W czwartej klasie rodzice Masona zostali wezwani do gabinetu dyrektora. Mason zrzucił innego chłopca z drabinek na placu zabaw. Skończyło się to wstrząsem mózgu i złamaną ręką.

– Dlaczego, Mason? – spytali jego rodzice w obecności dyrektora. – Dlaczego to zrobiłeś?

Powiedział im, że inne dzieci wołają na niego „Bocię” zamiast Starkey, i że ten chłopiec pierwszy zaczął go tak przezywać. Naiwnie sądził, że

rodzice staną w jego obronie, ale oni zareagowali tak, jakby to w ogóle nie miało znaczenia.

– Mogłeś zabić tego chłopca! – skrzyczał go ojciec. – I to czemu? Z powodu słów? Słowa nikomu nie robią krzywdy. – Co jest jednym z największych zbrodniczych kłamstw, jakie dorośli tego świata wmawiają swoim dzieciom. Bo słowa bołą bardziej niż jakakolwiek fizyczna rana. Starkey z wdzięcznością przyjąłby wstrząs mózgu i złamaną rękę, gdyby to miało znaczyć, że nikt już nigdy nie czepi się jego pochodzenia.

W wyniku tej całej afery został posłany do innej szkoły oraz skierowano go na przymusową terapię.

– Zastanów się, co zrobiłeś – powiedział mu dyrektor.

I Starkey spełnił polecenie, jak na posłusznego chłopca przystało. Przemyślał sprawę bardzo gruntownie i doszedł do wniosku, że należało poszukać wyższych drabinek.

No więc jak można to wszystko wyjaśnić? Jak wyjaśnić szesnaście lat niesprawiedliwości w ciągu czasu, którego potrzebują dwaj hycle, żeby cię zaprowadzić do drzwi? Odpowiedź jest prosta: nawet nie próbujesz.

– Przykro mi, Mason – kończy jego ojciec, też ze łzami w oczach. – Ale tak będzie lepiej dla wszystkich. W tym dla ciebie.

Starkey wie, że nigdy nie zdoła sprawić, żeby jego rodzice zrozumieli, ale skoro już nie pozostało mu nic innego, przynajmniej będzie miał ostatnie słowo.

– Hej, mamó, tak w ogóle... Kiedy tata zostaje po godzinach w biurze, tak naprawdę wcale nie siedzi w biurze. Odwiedza twoją przyjaciółkę Nancy.

Ale zanim jeszcze zaczyna go cieszyć szok, który odmalował się na twarzach rodziców, Starkey nagle uświadamia sobie, że przecież mógł wykorzystać ten sekret jako kartę przetargową. Gdyby tylko powiedział ojcu, że wie, niewykłuczone, że nie musiałby się już nigdy obawiać podzielenia! Jak mógł być tak głupi, żeby nie pomyśleć o tym rozwiązaniu, kiedy jeszcze wchodziło w grę!

Tak więc ostatecznie Starkey nie może się nawet cieszyć swoim małym, gorzkim zwycięstwem, kiedy hycle wypychają go na zewnątrz, w chłód grudniowej nocy.

Twoje nastoletnie dziecko sprawia problemy? Zdradza objawy niedopasowania społecznego? Jest apatyczne lub łatwo wpada w złość? Ma skłonność do impulsywnych czy wręcz niebezpiecznych zachowań? Czy masz wrażenie, że Twój dorastający syn lub córka źle się czuje we własnej skórze? To może być coś więcej niż zwykły bunt nastolatka. Niewykluczone, że Twoje dziecko cierpi na *Biosystemowe Zaburzenie Unifikacji*, w skrócie *BZU*.

Teraz istnieje rozwiązanie!

Firma Usługi Donacyjne „Przystań” prowadzi pięciogwiazdkowe obozy dla trudnej młodzieży w całym kraju. Nasza dyplomowana kadra łagodnie i z wprawą wprowadzi nawet najbardziej gniewnego, niezrównoważonego i dysfunkcyjnego nastolatka w spokojny stan podzielenia.

Zadzwoń teraz, aby uzyskać darmową poradę specjalisty!

Usługi Donacyjne „Przystań”: gdy kochasz kogoś na tyle, żeby pozwolić mu odejść.

Kiedy auto policyjne opuszcza podjazd przed domem, Starkey tkwi na tylnym siedzeniu, uwięziony za barierą z kuloodpornego szkła. Rzecznik Duetu kieruje samochodem, podczas gdy Kobięca Buźka przegląda gruby plik dokumentacji. Starkey nie pojmuje, jakim sposobem uzbierano już tyle danych na temat jego życia.

– Tutaj piszą, że podczas oceny potencjału intelektualnego we wczesnym dzieciństwie znalazłeś się w górnych dziesięciu procentach.

Rzecznik Duetu z niesmakiem kręci głową.

– I wszystko to idzie na marne.

– W sumie nie – odpowiada Kobięca Buźka. – Mnóstwo ludzi skorzysta z dobrodziejstw pańskiego mózgu, panie Starkey.

Ta sugestia przyprawia go o niemiły dreszcz, ale chłopak stara się niczego po sobie nie pokazać.

– Zawaliście wyglądają te twoje przeszczepione wargi, chłopie – rzuca. – Co, żona ci powiedziała, że wolałaby być całowana przez kobietę?

Rzecznik Duetu uśmiecha się pod nosem, a Kobięca Buźka nic nie odpowiada.

– No, ale starczy tego kłapania dziobem – ciągnie Starkey. – Jesteście głodni, chłopaki? Bo ja bym nie pogardził nocną przekąską. Może by tak skoczyć do In-N-Out? Co wy na to?

Z przedniego siedzenia nie pada żadna odpowiedź. Nie żeby Starkey się jej spodziewał, ale zawsze przyjemnie się podrażnić ze stróżami prawa i sprawdzić, jak długo potrwa, zanim się wkurzą. Bo jeśli tracą panowanie nad sobą, on automatycznie będzie górą. Zaraz, co opowiadają o ZOMZ-ie z Akron? Co takiego zawsze mówił? Aha. „Fajne skarpetki”. Proste, eleganckie i skutecznie zbijające z tropu przedstawicieli tak zwanej władzy.

ZOMZ z Akron – to był dopiero Podzielony! Owszem, zginął podczas buntu w ośrodku donacyjnym Happy Jack, ale pamięć o nim wciąż żyje. Starkey już marzy o zyskaniu takiej samej sławy jak Connor Lassiter. Prawdę mówiąc, Starkey wyobraża sobie teraz, że duch Connora Lassitera siedzi obok niego, przyklaskując jego myślom i każdemu podejmowanemu działaniu – nie tylko je aprobując, ale kierując dłońmi Starkeya, gdy ten ostrożnie opuszcza skute rękę w pobliże lewego buta. Dostatecznie blisko, żeby wyciągnąć ukryty tam nóż. Nóż, który Starkey trzyma właśnie na takie okazje jak ta.

– Wiesz co, faktycznie zjadłbym teraz burgera z In-N-Out – mówi Kobieca Bużka do kolegi.

– Doskonale – odpowiada Starkey. – Kawałek dalej po lewej mają otwarte przez całą dobę. Zamówcie mi podwójnego z podwójnymi frytkami, jedno i drugie *animal style*[1], bo hej, w końcu jestem zwierzakiem, nie?

Mimo wszystko jest zdumiony, kiedy auto naprawdę wjeżdża na parking przed całodobowym fast foodem. Starkey czuje się jak mistrz sugestii podprogowej, chociaż w sumie jego sugestia wcale nie była podprogowa. Mimo wszystko to on ma kontrolę nad hyclami... a w każdym razie tak sądzi do momentu, gdy zamawiają jedzenie dla siebie i nic dla niego.

– Hej! Co jest? – Wali ramieniem w szybę, która oddziela ich świat od jego świata.

– Nakarmię cię w ośrodku donacyjnym – odpowiada Kobieca Bużka.

Dopiero teraz do Starkeya dociera, że kuloodporna szyba oddziela go nie tylko od gliniarzy, ale i od całego świata zewnętrznego. Już nigdy nie posmakuje swoich ulubionych potraw. Nigdy nie odwiedzi ulubionych miejsc. W każdym razie nie jako Mason Starkey. Nagle ma ochotę wyrzygać

wszystko, co kiedykolwiek zjadł, ze skutkiem wstecznym od szóstego dnia po poczęciu.

Kasjerka na nocnej zmianie przy okienku dla samochodów to dziewczyna, którą Starkey zna ze swojej ostatniej szkoły. Kiedy ją widzi, w jego mózgu wybucha chaos emocji. Mógłby się po prostu skulić na tylnym siedzeniu z nadzieją, że nie zostanie zauważony, ale wtedy czułby się żałośnie. Nie, nie będzie żałosny. Skoro już ma zginąć, wcześniej zadba o to, żeby go zapamiętano jak należy.

– Hej, Amanda, pójdziesz ze mną na studniówkę? – wykrzykuje wystarczająco głośno, żeby dało się go usłyszeć zza grubej szklanej bariery.

Amanda mrużąc oczy spogląda w jego stronę, a kiedy dociera do niej, kto krzyknął, marszczy nos, jakby poczuła, że na grillu przypieka się coś nieświeżego.

– Nie w tym życiu, Starkey.

– Czemu?

– Po pierwsze chodzisz do drugiej klasy, po drugie jesteś frajerem, który siedzi na tylnym siedzeniu policyjnego auta. A poza tym w szkole specjalnej chyba też odbywają się studniówki?

Czy mogłaby być jeszcze bardziej tępa?

– Hm, jak widzisz, zakończyłem już edukację.

– Zamknij dziób – mówi Rzecznik Duetu – bo zaraz tak cię podzielę, że skończysz w hamburgerach.

Amanda wreszcie załapuje, co jest grane, i nagle sprawia wrażenie lekko zawstydzonej.

– Oj! O rany, Starkey. Tak mi przykro...

Litość to coś, czego Mason Starkey szczerze nie znosi.

– Za co ci przykro? Ty i twoje kumpelki zawsze miałyście mnie gdzieś, a teraz ci przykro? Daruj sobie.

– Przepraszam, to znaczy... Przepraszam, że mi przykro... to znaczy... – Amanda z głośnym westchnieniem daje za wygraną. Wręcza Kobiecej Buźce zamówione jedzenie. – Dołożyć keczup?

– Nie, nie trzeba.

– Hej, Amanda! – krzyczy Starkey, gdy odjeżdżają. – Jeśli naprawdę chcesz coś dla mnie zrobić, opowiedz wszystkim, że walczyłem do końca! Powiedz im, że jestem taki sam jak ZOMZ z Akron!

– Tak zrobię, Starkey – odpowiada dziewczyna. – Obiecuję.

Ale on wie, że Amanda do rana zapomni o wszystkim.

Dwadzieścia minut później auto skręca w boczną uliczkę na tyłach więzienia powiatowego. Nikt tam nie wchodzi frontowymi drzwiami, a już zwłaszcza Podzieleni. Powiatowy zakład karny ma oddzielne skrzydło dla małoletnich, a na tyłach tego skrzydła znajduje się specjalne pudło w pudle, gdzie przetrzymuje się Podzielonych oczekujących na transport. Starkey spędził wystarczająco dużo czasu w zwykłym areszcie dla małoletnich, żeby wiedzieć, że jak już znajdziesz się w celi tymczasowej dla Podzielonych, to koniec. Grób, kaplica. Jest lepiej strzeżona niż te, gdzie trzyma się przestępców skazanych na karę śmierci.

Ale jeszcze tam nie trafił. Nadal siedzi tu w aucie, czekając, aż wprowadzą go do środka. To tutaj kadłub tego statku szaleńców jest najcieńszy, a jeśli Starkey ma pokrzyżować im plany, musi to nastąpić pomiędzy samochodem a tylnymi drzwiami więzienia powiatowego. Podczas gdy hycle szykują się do „spacerku”, on rozważa swoje szanse na wyrwanie się z ich rąk – bo nie tylko jego rodzice latami wyobrażali sobie tę noc, on także, i wymyślił tuzin brawurowych planów ucieczki. Sęk w tym, że nawet jego marzenia są fatalistyczne; w każdej z tych podszytych strachem wizji Starkey przegrywa, zostaje trafiony pociskiem usypiającym i budzi się na stole operacyjnym. Jasne, podobno podzielenie nie następuje tak od razu, ale on w to nie wierzy. Nikt nie wie tak naprawdę, jak wyglądają procedury w ośrodkach donacyjnych, a ci, którzy się tego dowiadują z pierwszej ręki, nie mają później okazji przekazać innym swojej wiedzy.

Hycle wywlekają go z samochodu i biorą pomiędzy siebie. Każdy trzyma go mocno za jedno ramię. Wyraźnie mają to przećwiczone. Kobięca Bużka trzyma w drugiej ręce gruby folder z dokumentacją Starkeya.

– Ej – odzywa się chłopak – czy w tych papierach piszą coś o moim hobby?

– Pewnie tak – odpowiada Kobięca Bużka, którego ta kwestia niespecjalnie obchodzi.

– Może powinieneś być czytać uważniej, bo wtedy mielibyśmy o czym ze sobą gadać. – Starkey szczerzy zęby w uśmiechu. – Wiecie, jestem niezłym iluzjonistą.

– Serio? – pyta Rzecznik Duetu, krzywiąc się sarkastycznie. – Szkoda, że nie potrafisz zniknąć.

– A kto mówi, że nie?

Potem, ze zręcznością, której nie powstydziliby się Houdini, Starkey podnosi prawą rękę, pokazując, że nie ma już na niej kajdanek, które dyndają na lewym nadgarstku. Zanim hycle mają czas zareagować, chłopak wysuwa z rękawa scyzoryk, którego użył do ich rozpięcia, zaciska go w dłoni i chlast – rozcina twarz Kobiecej Bużki.

Mężczyzna wrzeszczy, a z dziesięciocentymetrowej rany leje się krew. Rzecznik Duetu, może po raz pierwszy w swej smętnej karierze funkcjonariusza publicznego, z którego społeczeństwo ma niewiele pożytku, zaniemówił. Sięga po broń, ale Starkey już ucieka słabo oświetloną uliczką, gnając zygzakiem, żeby trudniej było go trafić.

– Hej! – krzyczy Rzecznik Duetu. – Tylko pogarszasz swoją sytuację!

Ale co mogą mu zrobić? Udzielić reprimendy przed podzieleniem? Rzecznik Duetu może sobie gadać ile chce, ale nie ma w zanadru żadnych argumentów.

Uliczka zakręca w lewo, potem w prawo, jak w labiryncie, a Starkey cały czas gna wzdłuż imponująco wysokiego ceglanego muru więzienia.

W końcu mija kolejny róg budynku i widzi przed sobą ulicę. Pędzi naprzód, ale gdy tylko wypada z za zakrętu, łapie go Rzecznik Duetu. Jakimś cudem dotarł tutaj wcześniej niż Starkey. Chłopak jest zaskoczony, ale w sumie nie powinien się dziwić, bo czyż wszyscy Podzieleni nie próbują uciekać? Czemu tamci nie mieliby zbudować krętej uliczki specjalnie po to, żeby człowiek stracił w niej czas, a gliniarze mogli zyskać przewagę, którą zasadniczo mieli od początku?

– Koniec zabawy, Starkey! – Hycel wykręca chłopakowi nadgarstek, wrywa mu scyzoryk i z furią podnosi pistolet do usypiania więźniów. – Na ziemię, bo strzelę ci w oko!

Ale Starkey nie wykonuje polecenia. Nie upokorzy się przed tym umundurowanym bandytą.

– Zrób to! – odpowiada. – Strzel mi w oko i tłumacz potem ośrodkowi donacyjnemu, czemu dostarczyliście uszkodzony materiał.

Rzecznik Duetu obraca go i popycha na ceglaną ścianę tak gwałtownie, że Starkey boleśnie uderza w nią twarzą.

– Zmarnowałeś już dość mojego czasu, Starkey. A może powinienem mówić do ciebie: Bociek? – I wybucha śmiechem, jakby zachwycił go własny geniusz. Tak jakby tego przezwiska nie używał przed nim miliard innych

kretynów. – Bociek! – parska. – Ta ksywka lepiej do ciebie pasuje, nie? Jak ci się to podoba, Bociek?

Kiedy krew się w kimś gotuje, robi się gorętsza niż woda. Starkey może to potwierdzić, bo w nagłym przypiływie furii, nabuzowany adrenaliną wali Rzecznika Duetu łokciem w brzuch i obraca się na pięcie, łapiąc za pistolet.

– O nie, nawet nie próbuj!

Hycel jest od niego silniejszy – ale kiedy walczysz jak zwierzak, siła przestaje mieć znaczenie.

Pistolet znalazł się pomiędzy nimi. Lufa mierzy w policzek Starkeya, potem w jego pierś, potem w ucho Rzecznika, potem w jego podbródek. Obaj usiłują złapać za spust i – barn!

Kiedy broń wypala, odrzut sprawia, że Starkey zatacza się do tyłu, uderzając plecami w mur. Krew! Wszędzie krew! Jej żelazisty posmak w ustach, gryzący zapach spalonego prochu i...

To nie był żaden nabój usypiający! To była prawdziwa kula!

I Starkey sądzi, że ułamki sekund dzielą go od śmierci, ale nagle uświadamia sobie, że krew nie należy do niego. Twarz Rzecznika Duetu zmieniła się w czerwoną miazgę. Mężczyzna upada, martwy, nim jeszcze dotknął chodnika, i...

Boże, to była prawdziwa kula. Czemu hycel miał ostrą amunicję? Przecież to nielegalne!

Za zakrętem już słyhać kroki, a martwy gliniarz nadal jest martwy, i Starkey wie, że cała okolica słyszała wystrzał, i wszystko zależy od tego, co on teraz robi.

Od tej chwili on i ZOMZ z Akron są partnerami. Patron wszystkich zbiegłych Podzielonych obserwuje go z góry, czekając, aż Starkey wykona swój ruch. Chłopak myśli: *Co zrobiłby Connor?*

Właśnie wtedy zza rogu wyłania się kolejny gliniarz – gliniarz, którego Starkey nigdy wcześniej nie widział i nie zamierza już nigdy oglądać. Chłopak unosi pistolet Rzecznika i strzela, zmieniając coś, co było tylko wypadkiem, w morderstwo.

Gdy ucieka – naprawdę ucieka – myśli tylko o krwawym smaku zwycięstwa i o tym, jak uszczęśliwiony byłby duch Connora Lassitera.

REKLAMA

Czy twoje dziecko ma problemy z nauką? Uczy się od rana do nocy, ale z mizernym skutkiem? Korepetycje, a nawet zmiana szkoły nie przyniosły efektu. Jak długo twoje dziecko będzie jeszcze musiało się męczyć?

Odpowiedź brzmi: już nie musi! Ponieważ znamy rozwiązanie! Naturalne wzmocnienie zdolności kognitywnych dzięki NeuroWeave™.

Metoda NeuroWeave™ nie polega na podawaniu leków stymulujących pamięć ani na wszczepianiu niebezpiecznych chipów. To żywa tkanka ludzkiej kory mózgowej zawierająca wprogramowaną wiedzę z danej dziedziny. Algebra, trygonometria, biologia, fizyka – a już wkrótce w ofercie pojawi się więcej przedmiotów!

Oferujemy promocje i płatność w dogodnych ratach, więc nie czekaj na kolejne słabe świadectwo. Weź sprawy we własne ręce! Jeszcze dzisiaj zadzwoń do Instytutu NeuroWeave, aby otrzymać darmową wycenę. Gwarantujemy 100% zadowolenia lub zwrot pieniędzy.

Instytut NeuroWeave: nasz implant pod kapeluszem uczyni ucznia geniuszem!

Być ZOMZ-em to jedno, ale stać się zabójcą gliniarzy to drugie. Polowanie na Starkeya to coś więcej niż zwykły pościg za zbiegłym Podzielonym. Szukają go dosłownie wszędzie. Starkey w pierwszej kolejności zmienia wygląd – farbując swoje zwichrzone brązowe włosy na rudo, ścina je na kujonńskiego języka i pozbywa się małej, starannie przystrzyżonej bródki, którą hodował od czasów gimnazjum. Teraz ludzie mogą na jego widok pomyśleć, że skądś go znają, ale nie przypomną sobie skąd, bo nie wygląda już jak przestępca z listu gończego, tylko jak dzieciak z opakowania płatków śniadaniowych. Rude włosy nie całkiem pasują do jego oliwkowej cery, ale z drugiej strony mieszane pochodzenie rasowe dobrze mu służyło przez całe życie. Zawsze był kameleonem mogącym uchodzić za przedstawiciela dowolnej grupy etnicznej. Rude włosy po prostu dezorientują jeszcze skuteczniej.

Opuszcza miasto i nigdy nie przebywa w jednym miejscu dłużej niż przez dzień czy dwa. Plotka głosi, że na północno-zachodnim wybrzeżu Stanów ludzie są przyjaźniej nastawieni do zbiegłych Podzielonych niż

w Południowej Kalifornii, więc Starkey postanawia skierować się właśnie tam.

Jest dobrze przygotowany do życia jako uciekinier, bo zawsze cechowała go ostrożność granicząca z paranoją. Nie ufaj nikomu, nawet własnemu cieniowi, i dbaj przede wszystkim o własne interesy. Jego przyjaciele cenili jasno określone podejście Starkeya do życia, bo zawsze wiedzieli, na czym stoją. Był gotów walczyć dla swoich kumpli do ostatniego tchu... jeśli tylko sam mógł na tym skorzystać.

– Masz duszę korporacji – usłyszał kiedyś od jednej z nauczycielek. W zamierzeniu miała to być obelga, ale potraktował ją jak komplement. Korporacje dysponują potężnymi możliwościami i dokonują na tym świecie wielkich rzeczy, kiedy im na tym zależy. Nauczycielka była matematyczką ze skrzywieniem pro-eko i została zwolniona rok później, bo po co komu lekcje matematyki w szkole, kiedy możesz sobie po prostu sprawić Neuro-Weave? Z tego wniosek, że kto walczy o ochronę lodowców, prędzej czy później sam zostaje na lodzie.

Teraz jednak Starkey sam przeszedł na stronę ekologów, bo właśnie tego typu ludzie działają w Ruchu Przeciwników Podzielenia, otaczając ochroną zbiegłych Podzielonych. Wie, że gdy już znajdzie się w rękach RPP, będzie bezpieczny, ale najpierw musi ich odszukać. A to nie jest łatwe.

– ZOMZ-uję już od prawie czterech miesięcy i nie widziałem ani śladu ruchu oporu – mówi brzydki dzieciak z gębą jak pysk buldoga, którego Starkey spotkał w Wigilię Bożego Narodzenia na tyłach KFC, przy śmietnikach. Obaj czekają tu, aż pracownicy przyjdą wyrzucić resztki smażonych kurczaków. W normalnym życiu Starkey nie miałby ochoty marnować czasu na rozmowy z takim typkiem, ale teraz, kiedy jego normalne życie zmieniło się w czas wykradany kostusze, kieruje się innymi priorytetami niż dawniej.

– Udało mi się przeżyć tak długo, bo nie nabieram się na żadne pułapki – ciągnie Psia Gęba.

Starkey wie wszystko o pułapkach. Jeśli kryjówka wydaje się podejrzenie dobra, prawdopodobnie należy wiać. Opuszczony dom z wygodnym materacem; ciężarówka z otwartym kontenerem, który przypadkowo jest pełen puszkowanego żarcia. To pułapki zastawiane przez hycli na zbiegłych Podzielonych. Są nawet gliniarze, którzy udają członków Ruchu Przeciwników Podzielenia.

– Teraz hycle oferują ludziom nagrody za wsypanie ZOMZ-a – mówi Psia Gęba, gdy napychają się aż po gardło kawałkami smażonego kurczaka. – I są jeszcze łowcy nagród. *Piraci części*, tak się o nich mówi. Ci się nie bawią w żadne nagrody, tylko sprzedają złapanych ZOMZ-ów na czarnym rynku. A jeśli sądzisz, że w normalnych ośrodkach donacyjnych jest paskudnie, nie chcesz nic wiedzieć o tych nielegalnych. – Przetyka tak olbrzymi kęs kurczaka, że Starkey widzi, jak wzdłuż szyi przesuwają się gęste mięśnie, jakby wąż połknął mysz. – Kiedyś nie było czegoś takiego jak piraci części – ciągnie – ale odkąd siedemnastolatków nie można już poddawać podzieleniu, organów do przeszczepu jest za mało, a za ZOMZ-a można dostać na czarnym rynku mnóstwo kasy.

Starkey kręci głową. Zakaz poddawania siedemnastolatków podzieleniu miał ochronić jedną piątą dzieciaków skazanych na ten los, ale zamiast tego zmusił wielu rodziców do wcześniejszego podjęcia decyzji. Starkey zastanawia się teraz, czy jego rodzice zmieniliby zdanie, gdyby mieli jeszcze jeden rok do namysłu.

– Piraci części są najgorsi – mówi mu Psia Gęba. – Ich pułapki nie są tak humanitarne jak te, które zastawiają hycle. Słyszałem o jednym traperze, który stracił robotę, kiedy zakazano handlu futrami. No więc wziął swoje sidła na największą zwierzynę i tak je przerobił, żeby nadawały się do łapania Podzielonych. Chłopie, jak takie kleszcze zatrzaskną się na twojej nodze, możesz ją co najwyżej pocałować na do widzenia. – Łamie kostkę kurczaka na pół, żeby podkreślić wagę swoich słów, a Starkey wzdryga się mimo woli. – Słyszałem też inne rzeczy – ciągnie Psia Gęba, oblizując brudne palce z tłuszczu. – Na przykład o takim jednym chłopaku z mojej dawnej dzielnicy. Jego starzy byli totalnymi zerami. Ćpunami, którzy pewnie sami zostaliby podzieleni, gdyby za ich młodości było można coś takiego zrobić. W każdym razie w jego trzynaste urodziny podpisali zlecenie podzielenia i powiedzieli mu o tym.

– Ale po co?

– Żeby uciekł – tłumaczy Psia Gęba – ale widzisz, oni znali wszystkie jego kryjówki, i powiedzieli jednemu piratowi części, gdzie może go znaleźć. Złapał tego małolata, a potem podzielił się kasą z jego starymi.

– O ja cię!

Psia Gęba wzrusza ramionami i odrzuca ogryzioną kość.

– Tego dzieciaka tak czy owak podrzucił bocian, więc nie była to żadna wielka strata, co nie?

Starkey przestaje żuć, ale tylko na moment. Potem uśmiecha się szeroko, zachowując swoje myśli dla siebie.

– Racja. Żadna strata.

Tej nocy dzieciak z gębą buldoga prowadzi Starkeya do kanału burzowego, gdzie ostatnio się ukrywał, a kiedy zasypia, Starkey zaczyna działać. Zakrada się do pobliskiej dzielnicy i stawia wiaderko z RFC przed frontowymi drzwiami czyjegoś domu, po czym wciska guzik dzwonka i ucieka.

W wiaderku nie ma ani kawałka smażonego kurczaka. Jest za to narysowana odręcznie mapka wraz z liścikiem następującej treści:

Potrzebujecie kasy? Ściągnijcie w to miejsce gliniarzy od małolatów, a wypłacą Wam elegancką nagrodę. Wesółych Świąt!

O wschodzie słońca Starkey obserwuje z dachu pobliskiego budynku, jak hycle wchodzą do kanału burzowego i wyciągają stamtąd Psią Gębę jak woskowinę z ucha.

– Gratulacje, frajerze – mówi pod nosem. – Podłożyłeś się bocianowi.

REKLAMA

„Kiedy moi rodzice podpisali zlecenie podzielenia, okropnie się przestraszyłam. Nie wiedziałam, co się ze mną stanie. Zachodziłam w głowę, dlaczego ja? Dlaczego postanowili mnie ukarać? Ale kiedy trafiłam do ośrodka donacyjnego BigSky, wszystko się zmieniło. Poznałam tam inne dzieci takie jak ja i wreszcie zaakceptowano mnie taką, jaka jestem. Odkryłam, że wszystkie części mojego ciała są wartościowe i cenne. Dzięki pracownikom ośrodka donacyjnego BigSky już nie boję się tego, co mnie czeka.

Stan podzielenia? Cóż to będzie za wspaniała przygoda!”

Każdy Podzielony ZOMZ będzie kradł. To argument, za pomocą którego władze chętnie przekonują opinię publiczną, że Podzieleni są zepsuci do szpiku kości – że to urodzeni przestępcy i jedyny sposób, żeby ich zreformować, to fizycznie oddzielić ich od własnej natury.

Jednak w przypadku Podzielonych kradzież nie wynika z wrodzonych predyspozycji. To po prostu kwestia konieczności. Dzieciaki, które w życiu nie ukradłyby złamanego grosza, odkrywają, że ich ręce są bardziej lepkie od melasy i pełne różnych nielegalnie zdobytych dóbr, od żywności poczynając, a na ubraniach i lekach kończąc. To jedyny sposób, żeby zdobyć różne rzeczy, których potrzebują, żeby przeżyć. A ci, którzy już wcześniej mieli skłonności przestępcze, po prostu nabierają większej wprawy.

Starkeyowi nieobce jest łamanie prawa, chociaż do niedawna większość jego przestępstw miała charakter chuligańskich wybryków. Okradał sklepy, jeśli sprzedawca patrzył na niego podejrzliwie. Wypisywał złote myśli zaczerpnięte ze swojej osobistej filozofii, zazwyczaj okraszone wulgaryzmami, na budynkach symbolizujących rzeczy, które go wkurzały. Raz nawet ukradł samochód sąsiadowi, który kazał swoim dzieciom wracać z podwórka do domu, ilekroć Starkey wychodził na dwór. Starkey wybrał się na przejażdżkę jego autem razem z paroma kumplami. Zabawa była przednia. Po drodze otarł się o rząd zaparkowanych samochodów, tracąc kołpaki z dwóch kół i urywając zderzak. Jazda dobiegła końca, gdy auto walnęło w krawężnik i zawarło bliską znajomość z bardzo nietowarzystką skrzynką na listy. Uszkodzenia były akurat na tyle poważne, żeby samochodu nie opłacało się już naprawiać, dokładnie tak, jak Starkey chciał.

Nikommu nie udało się udowodnić, czyja to sprawka, ale wszyscy i tak znali prawdę. Musiał przyznać, że nie był to najpiękniejszy z jego wyczynów, ale uważał, że trzeba dać nauczkę gościowi, który sądził, że Starkey nie jest godzien oddychać tym samym powietrzem co jego dzieci. Po prostu trzeba było faceta ukarać za takie zachowanie.

Jednak wszystkie te sprawy nie wydawały się już istotne teraz, gdy Starkey stał się mordercą. Ale nie – nic dobrego nie wyniknie z tego, że będzie tak o sobie myślał. Wołał uważać się za wojownika: szeregowego żołnierza w walce przeciwko podzieleniu. Żołnierze dostają medale za zabijanie wrogów, nieprawdaż? Tak więc, chociaż wspomnienie tamtej nocy w uliczce nadal go dręczy w momentach niepewności, przez większość czasu

Starkey nie ma żadnych wyrzutów sumienia. Nie odczuwa ich również wtedy, kiedy zaczyna kraść ludziom portfele.

Starkey, który lubił wyobrazać sobie, że pewnego dnia będzie zarabiał dużo pieniędzy jako słynny iluzjonista w Las Vegas, miał w zwyczaju zdumiewać przyjaciół i przerażać dorosłych, sprawiając, że zegarki znikają im z nadgarstków i odnajdywały się w kieszeniach innych osób. Była to prosta sztuczka, ale doprowadzenie jej do perfekcji zajęło mnóstwo czasu. Sprawienie, żeby znikają portfele i torebki, wymagało tych samych warunków. Odwrócenia uwagi, wyćwiczonych palców oraz wystarczającej pewności siebie, żeby doprowadzić sprawę do końca.

Tej nocy upatrzoną ofiarą Starkeya jest mężczyzna, który zataczając się wychodzi z baru i wsuwa wypchany portfel do szerokiej kieszeni płaszcza. Idąc do samochodu, pijak po omacku szuka kluczy. Starkey przechodzi obok, potrącając go akurat wystarczająco mocno, żeby klucze wysunęły się mężczyźnie z dłoni i upadły na chodnik.

– Oj, przepraszam – mówi chłopak, podnosząc klucze i wręczając je ofierze. Ta nie czuje palców drugiej dłoni Starkeya w swojej kieszeni, które w tym samym momencie wyciągają portfel. Starkey odchodzi pogwizdując. Wie, że mężczyzna będzie w połowie drogi do domu, zanim się zorientuje, że nie ma już portfela, a nawet wówczas pomyśli, że po prostu zostawił go w barze.

Starkey skręca za róg. Upewnia się, że jest poza zasięgiem wzroku ofiary, po czym otwiera portfel, i w tejże sekundzie przeszywa go tak silny impuls elektryczny, że nogi załamują się pod nim, chłopak upada na ziemię i leży tam, drgając.

Portfel z ukrytym paralizatorem. Starkey słyszał o nich, ale do tej pory nie widział żadnego w akcji.

W ciągu kilku sekund pojawia się przy nim pijak, który już nie sprawia wrażenia pijanego, a wraz z nim troje innych ludzi, których chłopak nie widzi wyraźnie w mroku. Podnoszą go i wrzucają na tylne siedzenie oczekującego vana.

Gdy drzwi zostają zasunięte, a van rusza z miejsca i przyśpiesza, półprzytomny po porażeniu elektrycznym Starkey jak przez mgłę widzi nad sobą twarz pijanego/trzeźwego mężczyzny, który spogląda w dół na niego.

– Jesteś Podzielonym, uciekinierem z domu czy zwykłym doliniarzem? – pyta.

Usta Starkeya są tak zdrętwiałe, jakby zmieniły się w kauczuk.

– Doliniarzem.

– Świetnie – odpowiada nie-pijak – to nam zostawia dwie możliwości. Podzielony czy uciekinier z domu?

– Uciekinier – mamrocze Starkey.

– Doskonale – mówi mężczyzna. – Teraz, gdy już ustaliliśmy z całą pewnością, że jesteś Podzielonym, wiemy, co z tobą zrobić.

Starkey wydaje jęk, a jakaś kobieta przebywająca poza jego ograniczonym polem widzenia zaczyna się śmiać.

– Nie bądź taki zaskoczony. Wszyscy Podzieleni mają coś takiego w oczach, czego nie widuje się u doliniarzy ani uciekinierów. Znaliśmy prawdę, zanim jeszcze cokolwiek powiedziałeś.

Starkey próbuje się poruszyć, ale ręce i nogi nie chcą go słuchać.

– Żadnych takich – mówi gdzieś za jego plecami dziewczyna, która pozostaje poza zasięgiem jego wzroku. – Nie ruszaj się, bo porażę cię jeszcze mocniej niż zrobił to portfel.

Starkey już wie, że wpadł w pułapkę pirata części. Uważał się za mądrzejszego, i w milczeniu przeklina swoje parszywe szczęście... do chwili, gdy mężczyzna, który wcześniej udawał pijanego, mówi:

– Spodoba ci się nasz azyl. Trochę tam śmierdzi, ale jedzenie jest smaczne.

– C-co?

Otoczający go ludzie wybuchają śmiechem. W vanie znajdują się chyba cztery osoby, może pięć. Starkey wciąż jeszcze nie widzi wystarczająco ostro, żeby móc wszystkich policzyć.

– Uwielbiam ten wyraz ich twarzy – mówi kobieta. Teraz wchodzi w jego pole widzenia i posyła mu szeroki uśmiech. – Wiesz, jak łapie się zbiegłe lwy? Strzela się do nich nabojami ze środkiem usypiającym, żeby dało się je zawieźć z powrotem w bezpieczne miejsce, zanim narobią sobie kłopotu – mówi. – No więc dzisiaj ty jesteś lwem.

REKLAMA SPOŁECZNA

„Cześć, dzieciaki, tu pies tropiciel Walter! Mam oczy szeroko otwarte i wężę! Nie każdy może być rasowym psem myśliwskim jak ja, ale teraz możecie dołączyć do mojego klubu młodych tropicieli! Otrzymacie własny

zestaw młodego tropiciela oraz comiesięczny newsletter z propozycjami zabaw i radami, jak wpaść na trop kryminalistów na własnym osiedlu, od podejrzanych włóczęgów po niebezpieczne „azyle” Podzielonych! Jeśli zachowacie czujność, przestępcy i ZOMZ-owie nie będą mieli z wami szans! Tak więc dołączcie do mnie jeszcze dziś, i pamiętajcie, młodzi tropiciele – miejcie oczy szeroko otwarte i wężście!”

Materiał sponsorowany przez organizację Straż Obywatelska®

Azyl mieści się w przepompowni ścieków. Zautomatyzowanej. Pracownicy kanalizacji nigdy się tam nie pojawiają, chyba że coś się zepsuje.

– Z czasem przyzwyczaisz się do smrodu – słyszy Starkey zaraz po przyjeździe. Początkowo nie dowierza, ale okazuje się, że to prawda. Najwyraźniej ludzki węch załapuje, kiedy jest na straconej pozycji, i po prostu daje za wygraną – a jedzenie, tak jak zapowiedzieli ludzie z vana, do pewnego stopnia rekompensuje podle warunki.

Całe to miejsce dostarcza idealnej pożywki dla nastoletniego buntu w wykonaniu dzieciaków, na których rodzice postawili krzyżyk, a to najgorsza odmiana nastoletniego buntu, jaka istnieje. Dzień w dzień dochodzi do bójek i idiotycznego licytowania się, kto lepszy.

W zetknięciu z wyrzutkami i rozchwianymi emocjonalnie jednostkami Starkey zawsze w naturalny sposób wchodził w rolę przywódcy. Azyl nie okazuje się wyjątkiem od reguły. Chłopak błyskawicznie zyskuje tu wysoką pozycję. Pogłoski o jego ucieczce szerzą się jak pożar, wzbogacane o coraz bardziej fantastyczne szczegóły, co od samego początku pomaga ugruntować jego status.

– To prawda, że zastrześliś dwóch hycli?

– Tak.

– To prawda, że zwiąłeś z zamkniętej celi, strzelając z pistoletu maszynowego?

– Jasne, czemu nie?

A najlepsze jest to, że dzieciaki podrzucone przez bociana – które nawet wśród Podzielonych są traktowane jak obywatele drugiej kategorii – dzięki niemu stały się teraz elitą!

Starkey mówi, że bocianie podrzutki dostają jeść w pierwszej kolejności? Dostają jeść w pierwszej kolejności. Starkey mówi, że przysługują im najlepsze posłania, najdalej od śmierdzących wylotów wentylacji? Dostają najlepsze posłania. Jego słowo jest prawem. Nawet ludzie prowadzący to miejsce mają świadomość, że Starkey stanowi ich największy atut, i wiedzą, że muszą o niego dbać, bo jeśli Starkey stanie się ich wrogiem, to reszta Podzielonych też.

Zaczyna się przyzwyczajać do życia w przepompowni, sądząc, że zostanie tu do czasu, gdy skończy siedemnaście lat – ale pewnej nocy wszyscy podopieczni zostają zgarnięci i wywiezieni przez RPP, rozdzieleni jak talia kart pomiędzy inne azyły.

– Tak to działa – słyszą wszyscy. Starkey z czasem zaczyna rozumieć, że dzieje się tak z dwóch powodów. Po pierwsze w ten sposób całe towarzystwo jest transportowane coraz bliżej miejsca docelowego, bez względu na to, gdzie się ono znajduje. Po drugie rozdziela się ich po to, żeby nie powstawały żadne trwałe sojusze. Trochę tak, jakby poddawano podzieleniu tłum, a nie pojedyncze osoby, żeby zachować nad wszystkimi kontrolę.

Jednak ten sprytny plan w przypadku Starkeya przynosi efekt odwrotny do zamierzonego, bo w każdym kolejnym azyłu chłopakowi udaje się wywalczyć sobie szacunek, co buduje jego legendę wśród coraz większej i większej liczby dzieciaków. W każdym z nowych miejsc natrafia na Podzielonych, którzy uważają się za samców alfa i próbują wyegzekwować posłuch, ale tak naprawdę są zaledwie betami, czekającymi tylko, aż zjawi się prawdziwy samiec alfa i wymusi na nich posłuszeństwo.

Starkey wykorzystuje każdą dostępną okazję, żeby rzucać wyzwanie, pokonywać i piąć się wyżej w hierarchii. Potem następuje kolejna podróż o północy, kolejne przetasowanie i przyjazd do kolejnego azyłu. Za każdym razem Starkey uczy się jakiejś nowej umiejętności społecznej, czegoś, co mu się przyda, czegoś, co sprawi, że będzie potrafił jeszcze skuteczniej skrzykiwać tę zastraszoną, gniewną młodzież i pobudzać ich do działania. Nie sposób sobie wyobrazić lepszego programu szkoleniowego dla przyszłego przywódcy niż azyły prowadzone przez Ruch Przeciwników Podzielenia.

A potem pojawiają się trumny.

Zostają dostarczone do ostatniego azyłu: transport polakierowanych drewnianych skrzyń z luksusową satynową wyściółką. Większość

dzieciaków reaguje przerażeniem na ich widok. Starkey jest tylko z lekka rozbawiony.

– Właźcie do środka! – rozkazują uzbrojeni członkowie RPP, którzy bardziej przypominają żołnierzy służb specjalnych. – Żadnych pytań, po prostu kłaść się i leżeć. Po dwie osoby na skrzynię! Szybko!

Część dzieciaków się waha, ale co sprytniejsze osoby szybko znajdują sobie partnerów, tak jakby trzeba było nagle dobrać się w pary do tańca. Nikt nie chce dzielić ciasnej przestrzeni w trumnie z kimś zbyt wysokim, zbyt grubym, zbyt niedomytym albo zbyt napalonym. Jednak zaczynają wchodzić do skrzyń dopiero wtedy, kiedy Starkey przyzwalająco kiwa głową.

– Gdyby chcieli nas pogrzebać – mówi głośno – zrobiliby to już dawno. – I okazuje się, że jego słowa przekonują wszystkich skuteczniej niż goście z bronią.

Starkey postanawia dzielić swoją niedużą trumnę z chudziutką dziewczyną, która nie posiada się z zachwyty, że wybrał właśnie ją. Nie żeby jakoś szczególnie ją lubił, ale jest tak drobna, że prawie w ogóle nie zajmuje miejsca. Kiedy już udaje im się ułożyć w ciasnym wnętrzu w pozycji „na łyżeczki”, dostają butlę z tlenem, a potem wieko zostaje zatrzęsnięte. Leżą razem w ciemności.

– Zawsze cię lubiłam, Mason – mówi dziewczyna, której personaliów Starkey nie może sobie przypomnieć. Jest zaskoczony, że ona pamięta jego pierwsze imię, bo już od dawna go nie używał. – Ze wszystkich chłopaków w azyłach jesteś jedynym, który sprawia, że czuję się bezpiecznie.

Starkey nie odpowiada. Całuje ją tylko w tył głowy żeby podtrzymać swój wizerunek w jej oczach jako najbezpieczniejszego portu wśród burzy. To niesamowita sprawa wiedzieć, że dzięki tobie inni czują się bezpiecznie.

– Moglibyśmy... no wiesz – mówi kokieteryjnie dziewczyna.

Chłopak przypomina jej, co zastrzegli stanowczo członkowie RPP: „żadnych nadprogramowych aktywności, bo zużyjecie cały tlen i umrzecie.” Starkey nie wie, czy mówili prawdę, ale to zdecydowanie dobry powód, żeby zachować wstrzemięźliwość. Poza tym nawet gdyby ktoś okazał się wystarczająco głupi, żeby zaryzykować, w trumnie nie ma dość miejsca, żeby ruszyć palcem, a co dopiero czym innym. Tak więc wszelkie przypuszczenia muszą pozostać w sferze teorii. Starkey zaczyna się zastanawiać, czy to przypadkiem nie złośliwy żart dorosłych: upchnąć buzujące hormonami

nastolatki razem w zamkniętych skrzyniach, ale tak ciasnych, że w środku nie da się robić nic poza oddychaniem.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby się udusić, będąc z tobą – mówi dziewczyna, co jest niewątpliwym komplementem, ale sprawia, że Starkey do reszty traci zainteresowanie nią.

– Lepiej poczekać na bardziej sprzyjające okoliczności – odpowiada, wiedząc, że takie okoliczności nigdy nie zaistnieją, w każdym razie nie w przypadku tej dziewczyny; ale nadzieja dostarcza potężnej motywacji.

W końcu udaje im się wejść w swego rodzaju symbiotyczny rytm oddechów. Starkey wciąga powietrze wtedy, kiedy dziewczyna je wydycha, bo mają za mało miejsca na równoczesny swobodny wdech.

Po jakimś czasie trumną zaczyna trząść. Starkey, który już wcześniej otoczył dziewczynę ramieniem, teraz przytula ją trochę mocniej, świadom, że wyciszając jej strach jakimś sposobem wycisza też własny. Wkrótce czują dziwne przyspieszenie, tak jakby znaleźli się w pędzącym samochodzie, ale potem trumna przechyla się pod kątem.

– Samolot? – pyta dziewczyna.

– Chyba tak.

– Co teraz?

Starkey nie odpowiada, bo nie wie. Zaczyna mu się kręcić w głowie. Przypomina sobie o butli z tlenem i lekko odkręca kurek, tak że zawartość zaczyna się ulatniać z sykiem. Trumna nie jest stuprocentowo hermetyczna, ale wieko ma na tyle szczelne, że bez tlenu udusiliby się w niej mimo podwyższonego ciśnienia, jakie panuje we wnętrzu samolotu. Po kilku minutach wyczerpanie spowodowane stresem sprawia, że dziewczyna zasypia, ale Starkey nie. W końcu, jakąś godzinę później, nagły wstrząs lądowania sprawia, że jego towarzyszka się budzi.

– Jak myślisz, gdzie jesteśmy? – pyta.

Starkey jest już mocno poirytowany ciasnotą, ale stara się tego nie okazywać.

– Niedługo się dowiemy.

Po dobrych dwudziestu minutach wyczekiwania wreszcie słyhać odgłos otwierania rygli i wieko trumny się podnosi. Zostają wskrzeszeni z martwych.

Pochyla się nad nimi uśmiechnięty chłopak z aparatem na zębach.

– Cześć, jestem Hayden i będę dzisiaj waszym osobistym zbawicielem – oznajmia wesoło. – Proszę, co my tu mamy? Żadnych wymiocin ani innych nieapetycznych płynów ustrojowych. Szczęściarze!

Starkey, do stóp którego prawie przestała dopływać krew, dołącza do procesji kulejących nastolatków, którzy wychodzą z ładowni odrzutowca w jaskrawe światło dnia. To, co widzi przed sobą, kiedy jego oczy przyzwyczajają się do jasności, bardziej przypomina fatamorganę niż cokolwiek rzeczywistego.

To pustynia wypełniona tysiącami samolotów.

Starkey słyszał już o takich miejscach; cementarzyskach, gdzie wysyła się wycofane z użytku samoloty, żeby dokonały swojego żywota pod gołym niebem. Wokół kręcą się nastolatki w ciuchach z demobilu, z bronią. Wyglądają podobnie jak dorośli z ostatniego azyłu, tyle że są młodszy. Każą przyjezdnym zgromadzić się u podnóża rampy. Tworzy się tam luźne zbiorowisko młodzieży.

Podjeżdża dżip. Najwyraźniej przybył ktoś ważny, ktoś, kto im powie, dlaczego tu są.

Dżip się zatrzymuje i ze środka wysiada niepozorny nastolatek w błękitnym stroju moro. Jest w wieku Starkeya, może trochę starszy, a prawą połowę jego twarzy pokrywają liczne blizny.

Potrzeba chwili na to, żeby zebrani przyjrzeni mu się dokładniej, po czym w tłumie rozlegają się podeksycytowane szepty. Przybysz podnosi dłoń, żeby je uciszyć, a wtedy Starkey widzi na jego ręce tatuaż w kształcie rekina.

– Nie wierzę! – mówi gruby chłopak stojący obok Starkeya. – Wiesz, kto to jest? To ZOMZ z Akron! To Connor Lassiter.

Starkey prychnął pogardliwie w odpowiedzi.

– Nie gadaj bzdur, ZOMZ z Akron nie żyje.

– Nieprawda! Stoi tam!

Sama ta myśl sprawia, że w ciele Starkeya wzbiera fala adrenaliny, dzięki czemu krążenie w jego odrętwiałych kończynach wreszcie wraca do normy. Ale nie – patrząc na nastolatka, który usiłuje opanować chaos i uciszyć zebranych, uświadamia sobie, że to nie może być Connor Lassiter. Ten chłopaczek nie kojarzy się z nim z żadnej strony. Jego włosy są potargane, a nie zawadiacko zaczesane do tyłu tak, jak Starkey zawsze sobie wyobrażał. Ten chłopaczek sprawia wrażenie zbyt otwartego i uczciwego – może nie wygląda do końca niewinnie, ale nie widać po nim tego podszytego

cynizmem gniewu, który powinien cechować ZOMZ-a z Akron. Jedyny szczegół jego wyglądu, który choćby w drobnej części odpowiada temu, jak Starkey wyobrażał sobie Connora Lassitera, to lekki ironiczny uśmiech, który – jak się zdaje – nigdy nie opuszcza jego twarzy. Nie, stojący tutaj chłopaczek, który próbuje zaskarbić sobie ich szacunek, nie jest nikim szczególnym. Jest po prostu nikim.

– Pozwólcie, że jako pierwszy powitam was na Cmentarzysku – oznajmia. To musi być mowa powitalna, którą wygłasza do każdej kolejnej grupy nowo przybyłych. – Oficjalnie nazywam się Elvis Robert Mullard... ale przyjaciele mówią na mnie Connor.

Wiwaty Podzielonych.

– Mówiłem! – rzuca grubas.

– To niczego nie dowodzi – odpowiada Starkey. Z zaciśniętymi zębami i wściekłą miną słucha dalszego ciągu przemówienia.

– Znaleźliście się tu wszyscy, ponieważ zostaliście skazani na podzielenie, ale zdołaliście uciec, i dzięki wysiłkom mnóstwa ludzi z Ruchu Przeciwników Podzielenia trafiliście tutaj. To będzie odtąd wasz dom aż do czasu, gdy skończycie siedemnaście lat i nie będzie już można was podzielić. To jest ta dobra wiadomość...

Im dłużej chłopaczek przemawia, tym bardziej Starkey traci nadzieję, w miarę jak dociera do niego prawda. Tak, to jest ZOMZ z Akron – i wcale nie wygląda jak chodząca legenda. Szczerze mówiąc, sprawia wrażenie zupełnie przeciętnego typka.

– Zła wiadomość jest taka, że Urząd do Spraw Małoletnich wie o nas. Wiedzą, gdzie jesteśmy i co robimy, ale do tej pory zostawiali nas w spokoju.

Starkey jest zaszokowany niesprawiedliwością tego świata. Jak to możliwe? Jakim cudem wielki bohater zbiegłych Podzielonych to po prostu jeszcze jeden zwykły gostek?

– ...niektórzy z was chcą tylko dotrzeć żywi do siedemnastych urodzin, i wcale się wam nie dziwię – mówi Connor. – Wiem jednak, że wielu z obecnych tutaj zaryzykowałoby wszystko, żeby na zawsze położyć kres praktyce podzielenia.

– Tak! – krzyczy Starkey wystarczająco głośno, żeby oczy wszystkich zwróciły się ku niemu zamiast w stronę Connora, i zaczyna wymachiwać zaciśniętą pięścią. – Happy Jack! Happy Jack! Happy Jack! – Tłum zaczyna skandować razem z nim. – Wysadzimy wszystkie ośrodki donacyjne,

co do jednego! – woła Starkey. Rozochocił zebranych, ale jedno spojrzenie Connora działa na nich jak kubeł zimnej wody. Skandujący milkną.

– W każdym tłumie musi się trafić jeden taki – mówi Hayden, kręcąc głową.

– Przykro mi was rozczarować, ale *nie* będziemy wysadzać krajalnic – oznajmia Connor, patrząc prosto na Starkeya. – Społeczeństwo już postrzega nas jako kryminalistów, a policjanci z Urzędu do Spraw Małoletnich wykorzystują powszechny strach, żeby wmawiać opinii publicznej, że podzielenie to dobre rozwiązanie. Nie możemy się do tego przyczyniać. Nie jesteśmy klakierami. Nie będziemy dokonywać aktów przemocy na oślep. Będziemy myśleć, zanim podejmiemy jakiegokolwiek działania...

Starkey nie reaguje pozytywnie na reprimendę. Kim jest ten gość, żeby go uciszać? Connor kontynuuje przemówienie, ale Starkey już go nie słucha, bo tamten nie ma mu nic do powiedzenia. Jednak pozostali słuchają, a to sprawia, że Starkey płonie w środku.

Teraz, gdy stoi czekając, aż tak zwany ZOMZ z Akron wreszcie się zamknie, w umyśle Starkeya zaczyna kiełkować nasionko. Starkey zabił dwóch gliniarzy od małałatów. Już otacza go nimb chwały, a przy tym w odróżnieniu od Connora nie musiał udawać, że zginął, aby stać się legendą. Starkey aż musi się uśmiechnąć. Na tym cmentarzysku samolotów tłoczą się setki Podzielonych, ale ostatecznie to miejsce nie różni się aż tak bardzo od azyli – i podobnie jak w azylach, także i tu znajduje się po prostu jeszcze jeden samiec beta, czekający, aż taka alfa jak Starkey pokaże mu, gdzie jego miejsce.

[1] Hamburger *animal style* – z musztardą, pikiem, grillowaną cebulą i sosem. Frytki *animal style* – ze stopionym żółtym serem, grillowaną cebulą i sosem. Sos serwowany w sieci In-N-Out zawiera m.in. majonez, keczup, musztardę i ocet (przyp. tłum.).



2. MIRACOLINA

Odkąd dziewczyna sięga pamięcią, wiedziała, że jej ciało zostało poświęcone Bogu.

Od zawsze miała świadomość, że w dniu trzynastych urodzin zostanie złożona w ofierze jako dziesięcina i doświadczy tajemniczego, wspaniałego zjawiska, jakim jest posiadanie podzielonego ciała oraz zwielokrotnionej duszy. Nie na takiej zasadzie, na jakiej kopiuje się pliki, bo przelanie duszy do komputera zdarza się tylko w filmach i nigdy nie kończy się dobrze. Nie, to będzie *prawdziwe* zwielokrotnienie duszy w żyjących ciałach. Jej duch stanie się częścią dziesiątek ludzi, którzy otrzymają fragmenty jej podzielonego organizmu. Niektórzy ludzie nazywają to śmiercią, ale ona wierzy, że to będzie coś innego – coś mistycznego, i wierzy w to każdym kawałeczkiem siebie.

– Zawsze sądziłem, że nie można wiedzieć, czym jest podzielenie, dopóki osobiście się tego nie doświadczy – powiedział jej kiedyś zaprzyjaźniony ksiądz. Zdziwiło ją, że kapłan, który zawsze z takim przekonaniem wypowiadał się na temat kościelnych dogmatów, okazywał niepewność, ilekroć wspominał o składaniu dziesięciny.

– Watykan jeszcze nie zajął stanowiska w kwestii podzielenia – podkreślił – a zatem, dopóki papież nie zaakceptuje tej praktyki lub jej nie potępi, mogą pozostawać w odniesieniu do niej tak niepewny, jak mi się żywnie podoba.

Zawsze ją irytowało, kiedy nazywał dziesięcinę podzieleniem, jakby chodziło o jedno i to samo. A przecież tak nie jest. W jej odczuciu przeklęci i niechciani zostają poddani podzieleniu, zaś błogosławionych i ukochanych składa się w ofierze jako dziesięcinę. Proces może i ten sam, ale intencje inne, a to właśnie intencje mają w dzisiejszym świecie kluczowe znaczenie.

Ma na imię Miracolina – od włoskiego słowa, które znaczy „cud”. Ochrzczono ją tak, bo została poczęta, żeby uratować życie swojego brata. Gdy Matteo miał dziesięć lat, zdiagnozowano u niego białaczkę. Na czas leczenia ich rodzina przeprowadziła się z Rzymu do Chicago, ale choć w Stanach nie brakowało banków szpiku, nie udało się znaleźć odpowiedniego dawcy. Życie Matteo mógł uratować jedynie ktoś o zbliżonym genotypie – zatem rodzice postarali się o takiego kogoś. Dziewięć miesięcy później urodziła się Miracolina, lekarze pobrali szpik z jej kości biodrowej i jej brat został uratowany. Proste jak dwa razy dwa. Teraz Matteo ma dwadzieścia cztery lata i jest na studiach magisterskich, a wszystko dzięki Miracolinie.

Zanim jeszcze zrozumiała, co to znaczy być dziesięciną, wiedziała, że stanowi dziesięć procent większej całości.

– Mieliliśmy dziesięć zarodków powstałych w wyniku zapłodnienia *in vitro* – powiedziała jej kiedyś mama. – Tylko jeden mógł zostać dawcą szpiku dla Matteo, i to byłaś ty. Nie jesteś żadnym przypadkiem, *mi carina*, wybraliśmy ciebie.

Prawo dokładnie precyzowało, co ma się stać z pozostałymi dziewięcioma zarodkami. Jej rodzice musieli zapłacić dziewięciu kobietom, żeby je donosiły i urodziły. Następnie matki zastępcze mogły wybrać, czy chcą te dzieci wychować, czy wolą je podrzucić do dobrego domu. – Ale bez względu na koszt było warto – powiedzieli jej rodzice. – Teraz mamy i Matteo, i ciebie.

Teraz, gdy zbliża się dzień jej dziesięciny, Miracolina znajduje pociechę w świadomości, że gdzieś tam na świecie żyje dziewięcioro jej bliźniaczego rodzeństwa – i kto wie? Może jakaś część jej podzielonej osoby zostanie wykorzystana, aby pomóc któremuś z tych nieznanym bliźniąt.

Gdy zaś chodzi o jej dziesięcinę, ta ofiara nie ma żadnego związku z udziałami procentowymi.

– Zawarliśmy pakt z Bogiem – wyjaśnili jej rodzice, kiedy była mała. – Obiecaliśmy Mu, że jeśli się urodzisz, a Matteo zostanie ocalony, okazemy wdzięczność, oddając cię z powrotem Bogu jako dziesięcinę. – I chociaż miała wtedy zaledwie kilka lat, Miracolina pojęła, że tak ważnego paktu nie można po prostu złamać.

Jednak w ostatnim czasie jej rodzice zaczęli okazywać coraz więcej emocji w związku z dziesięciną, którą przysięgli złożyć. – Wybacz nam – błagali przy różnych okazjach, często ze łzami w oczach. – Prosimy, wybacz nam, żeśmy to zrobili. – A ona za każdym razem powtarzała, że im wybacz, chociaż zdumiewała ją ta prośba. Miracolina zawsze uważała, że to błogosławieństwo być dziesięciną – nie mieć żadnych wątpliwości co do swojego losu i przeznaczenia. Dlaczego jej rodzice czuli się winni przez to, że nadali jej życiu sens?

Może ich poczucie winy wynika z faktu, że nie urządzili dla niej wielkiego przyjęcia, ale ostatecznie to była jej decyzja.

– Po pierwsze – powiedziała im – dziesięcinę powinno się świętować z powagą, a nie hucznie. A po drugie kto by przyszedł?

Nie mogli zaprzeczyć, że to logiczne. Większość dziesięciornych pochodzi z bogatych dzielnic i wyznaje takie religie, które oczekują dziesięciny, ale ona i jej rodzice mieszkają w dzielnicy robotniczej, gdzie na tę praktykę nie patrzy się przychylnym okiem. Jeśli wychowałeś się w jednej z tych zamożnych rodzin i otaczają cię ludzie o podobnych poglądach, masz mnóstwo przyjaciół, którzy chętnie cię wesprą podczas przyjęcia dziesięcinowego – wystarczająco wielu, żeby zrównoważyć obecność tych gości, którym jest nieswojo. Ale gdyby Miracolina urządziła przyjęcie, wszyscy obecni czuliby się tam niezręcznie. Nie tak chciała spędzić swoją ostatnią noc z rodziną.

Tak więc nie ma przyjęcia. Zamiast tego Miracolina przez cały wieczór siedzi z rodzicami przed kominkiem, oglądając ulubione sceny ze swoich ulubionych filmów. Mama nawet szykuje na kolację jej ulubioną potrawę, rigatoni amatriciana.

– Danie z charakterem – mówi – zupełnie jak ty.

Tej nocy Miracolina śpi spokojnie, bez przykrych snów, a w każdym razie nie pamięta ich po przebudzeniu. Rano wstaje wcześnie, zakłada swój skromny biały strój i mówi rodzicom, że pójdzie do szkoły.

– Van przyjedzie po mnie dopiero o czwartej po południu, więc po co marnować cały dzień?

Chociaż rodzice woleliby, żeby została z nimi w domu, jej życzenia mają dzisiaj pierwszeństwo.

W szkole Miracolina jest obecna na zajęciach głównie ciałem, bo już czuje rozmarzony dystans do tego wszystkiego. Pod koniec każdej lekcji nauczyciele z niezręcznymi minami wręczają jej ocenione klasówki i inne prace z całego roku oraz podają ocenę końcową.

– No cóż, to by było na tyle – mówi każdy z nich w takich czy innych słowach. Większość nie może się doczekać, kiedy Miracolina wreszcie wyjdzie z sali. Jednak jej pan od biologii okazuje się najsympatyczniejszy i poświęca jej trochę więcej czasu.

– Mój bratanek został oddany jako dziesięcina kilka lat temu – mówi. – Wspaniały chłopak. Bardzo za nim tęsknię. – Milknie na chwilę, jakby odpłynął myślami gdzieś daleko. – Powiedziano mi, że jego serce przeszczepiono strażakowi, który uratował dwanaście osób z płonącego budynku. Nie wiem, czy to prawda, ale chciałbym, żeby tak było.

Miracolina też by tego chciała.

Przez cały dzień reszta jej klasy wyraźnie czuje się równie nieswojo jak nauczyciele. Dziewczyna żałuje teraz, że powiedziała im o dziesięcinie. Powinna była po prostu odejść i zostawić ich, żeby się zastanawiali, co się stało, kiedy Miracolina nazajutrz nie przyjdzie do szkoły.

Niektórzy z jej kolegów i koleżanek uznają za stosowne się pożegnać. Część nawet postanawia ją niezgrabnie uściskać, ale pozostali wypowiadają swoje formułki z bezpiecznej odległości, jakby dziesięcina była czymś zaraźliwym.

I są jeszcze pozostali. Ci okrutni.

– Do zobaczenia *tu i tam* – mówi za jej plecami jeden z chłopaków podczas przerwy obiadowej, a otaczające go dzieciaki chichoczą. Miracolina odwraca się, a chłopak próbuje się ukryć za grupką swoich przyjaciół, sądząc, że będzie bezpieczny w tej chmurze gimnazjalnego potu – ale ona rozpoznała jego głos i wie doskonale, kto to jest. Odsuwa na bok jego kumpli, żeby popatrzeć mu zimno prosto w twarz.

– Och, nie zobaczysz mnie, Zachu Rasmussen... ale jeśli jakakolwiek część mnie zobaczy ciebie, z całą pewnością dam ci znać.

Zach lekko zielenieje na twarzy.

– Znikaj – mówi. – Idź złożyć dziesięcinę. – Jednak pod jego idiotyczną udawaną hardością nadal można dostrzec niepewność i strach.

Dobrze – myśli Miracolina. Mam nadzieję, że przeze mnie przyśni mu się kilka koszmarów.

Jej szkoła jest olbrzymia, więc chociaż składanie dziesięcin nie stanowi w jej dzielnicy powszechnego zwyczaju, jeszcze czworo innych dzieci nosi białe stroje tak jak ona. Do niedawna było ich sześcioro, ale dwójkę najstarszych już zabrano. Ci pozostali dziesięcirodni to jej jedyni prawdziwi przyjaciele. Tylko z nimi chce się pożegnać po raz ostatni, bo naprawdę czuje taką potrzebę. Co ciekawe, wszyscy są różnego pochodzenia i wyznania. Każde należy do jakiejś sekty w obrębie wyznawanej religii – sekty, która bardzo poważnie traktuje osobiste poświęcenie. Zabawne, myśli sobie Miracolina – te same religie walczyły ze sobą przez tysiące lat z powodu różnic, które je dzielą, a w kwestii dziesięciny zajmują teraz zgodne stanowisko.

– Bóg chce, abyśmy wszyscy składali siebie w ofierze, byli miłośnikami i poświęcali się dla bliźnich – mówi Nestor, dziesięcirodny przyjaciel Miracoliny najbardziej zbliżony do niej wiekiem. On sam zostanie oddany za zaledwie miesiąc. – Skoro postęp technologii umożliwił składanie tej ofiary w nowy sposób, co w tym złego?

Tyle że niektórzy utrzymują, że to *jest* coś złego. Ostatnimi czasy twierdzi tak coraz więcej ludzi. Jest wśród nich nawet jeden eks-dziesięcirodny – ten, który został klakierem, a teraz stawiają go za przykład. No ale czy on może być zdrow na umyśle? W końcu został klakierem, na litość. Zdaniem Miracoliny, jeśli ktoś woli się wysadzić w powietrze niż zostać oddany jako dziesięcina, no cóż, to jak kraść pieniądze z tacy, no nie? Tak się po prostu nie robi.

Kiedy lekcje dobiegają końca, dziewczyna wraca piechotą do domu, jak każdego innego dnia. Gdy skręca w ulicę, gdzie mieszka, widzi na podjeździe auto swojego brata. W pierwszej chwili jest zaskoczona – Matteo studiuje na uczelni odległej o pięć godzin jazdy – ale cieszy się, że przyjechał, żeby się z nią pożegnać.

Jest trzecia po południu – van ma przybyć za godzinę – a jej rodzice już płaczą. Miracolina wolałaby, żeby tak nie było – żeby umieli zachować się

tak stoicko jak ona, czy nawet jak Matteo, który wykorzystuje ten czas na przywoływanie z powrotem samych dobrych wspomnień.

– Pamiętasz, jak pojechaliśmy do Rzymu i chciałaś się bawić w chowanego w muzeum w Watykanie?

Miracolina uśmiecha się na samo wspomnienie. Próbowwała się schować w wannie Nerona – gigantycznej misie z czerwono-brązowego marmuru, w której zmieściłby się słoń.

– Strażników mało szlag nie trafił! Myślałam, że zabiorą mnie do papieża, a on da mi w skórę, więc uciekłam.

Matteo zaczyna się śmiać.

– Zniknęłaś na dobrą godzinę. Mama i tata rwali sobie włosy z głowy.

Jednak „zniknęłaś” to nie jest właściwe słowo. W muzeum nie znikasz, tylko na jakiś czas wchłaniają cię ściany. Miracolina pamięta, jak wędrowała przez tłumy wypełniające Muzea Watykańskie, aż odkryła, że stoi pośrodku Kaplicy Sykstyńskiej, patrząc w górę na wspaniałe freski Michała Anioła pokrywające ściany i sufit. I tam, w centralnym punkcie sklepienia, widniało mistyczne połączenie między niebem a ziemią. Dłoń Adama znajdowała się tak blisko dłoni Boga, obaj wyciągali do siebie ręce, ale nieubłagana siła grawitacji uniemożliwiła Adamowi dotknięcie niebios.

Miracolina stała tam, patrząc w górę, zapomniawszy, że miała się ukrywać, bo któż mógłby się ukryć w miejscu, które ujawnia wszelkie tajemnice? I właśnie tam odnaleźli ją bliscy; wśród setek turystów, kiedy stała z zadartą głową, gapiąc się na największe dzieło sztuki, jakie kiedykolwiek stworzyła ręka artysty – najwspanialszą w historii ludzkości próbę stworzenia czegoś doskonałego.

Miracolina miała wtedy zaledwie sześć lat, ale mimo to obrazy z Kaplicy Sykstyńskiej przemówiły do niej, choć nie miała pojęcia, co przedstawiają. Wiedziała jedynie, że ona sama jest jak to piękne miejsce, a gdyby ktoś mógł wkroczyć do jej wnętrza, ujrzalby cudowne freski wymalowane na ścianach jej duszy.

Van przyjeżdża dziesięć minut przed czasem i czeka przed domem. Na jego karoserii widnieje jaskrawe logo z napisem: „Ośrodek donacyjny Leśna Polana! Stworzony dla nastolatków!”

Dziewczyna idzie do swojego pokoju, żeby przynieść spakowaną walizkę. Walizka jest niewielka, zawiera tylko kilka kompletów dziesięcinowego białego stroju oraz trochę niezbędnych drobiazgów. Teraz rodzice

Miracoliny już tylko płaczą i płaczą, znów błagając ją o wybaczenie. Jednak tym razem wprawia ją to w złość.

– Jeśli dziesięcina sprawia, że macie poczucie winy, to nie mój problem – mówi im – bo ja już dawno pogodziłam się z tym, że zostanę oddana. Proszę, okażcie mi trochę szacunku i też się z tym pogódźcie.

Te słowa nie pomagają. Po prostu sprawiają, że po twarzach jej rodziców zaczyna płynąć jeszcze więcej łez.

– Pogodziłaś się z tym – mówi ojciec – tylko dlatego, że wychowaliśmy cię tak, a nie inaczej. To nasza wina. To wszystko nasza wina.

Miracolina spogląda na nich i wzrusza ramionami.

– Więc zmieńcie zdanie – proponuje. – Złamcie swój pakt z Bogiem i nie oddawajcie mnie.

Patrzą na nią tak, jakby ofiarowała im cudowny dar, wybawienie od mąk piekielnych. Nawet w oczach Matteo pojawia się nadzieja.

– Dobrze, tak właśnie zrobimy! – mówi matka Miracoliny. – Dokumenty nie są jeszcze podpisane. Nadal możemy zmienić zdanie!

– Świetnie – odpowiada Miracolina. – Jesteście pewni, że tego chcecie?

– Tak – odpowiada ojciec tonem pełnym ulgi. – Tak, jesteśmy pewni.

– Na sto procent?

– Tak.

– To dobrze. W takim razie możecie przestać czuć się winni. – Miracolina podnosi walizkę. – Ale bez względu na to, czego chcecie, ja i tak idę. To mój wybór.

Potem obejmuje matkę, ojca i brata, a następnie wychodzi nie oglądając się za siebie. Nie żegnając się, bo pożegnania implikują, że coś się kończy, a Miracolina Roselli pragnie jednej rzeczy bardziej niż czegokolwiek innego w tym życiu: pragnie wierzyć, że jej dziesięcina nie jest końcem, tylko początkiem.

REKLAMA

„Kiedy zachowanie Billy’ego stało się dla nas nie do zniesienia i zaczęliśmy się lękać o własne bezpieczeństwo, wybraliśmy jedyne humanitarne rozwiązanie. Wystaliśmy go do ośrodka donacyjnego, aby mógł odnaleźć spełnienie w stanie podzielenia. Jednak teraz, po tym, jak

wprowadzono ograniczenie wiekowe umożliwiające poddawanie siedemnastolatków podzieleniu, nie mielibyśmy już możliwości podjąć takiej decyzji. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu siedemnastoletnia dziewczyna z naszej dzielnicy upiła się i spowodowała wypadek samochodowy, zabijając dwójkę niewinnych ludzi. Czy to zdarzenie miałoby miejsce, gdyby jej rodzice zdecydowali się ją wysłać do ośrodka donacyjnego? Wy mi odpowiedzcie.

POPRAWKA 46 – GŁOSUJ NA TAK! Niech rząd zlikwiduje prawo Cap-17 i cofnie zakaz oddawania siedemnastolatków na podzielenie!”

Materiał sponsorowany przez Ruch Obywatelski na rzecz Lepszego Jutra™

Podróż do ośrodka donacyjnego Leśna Polana potrwa trzy godziny. Van jest wyposażony w mięciutkie skórzane siedzenia i rozbrzmiewa w nim muzyka popularna z drogich głośników. Kierowca to mężczyzna o szpakowatej brodzie, z szerokim uśmiechem i brzuchem akurat na tyle dużym, żeby mu nadać dobroduszny wygląd. Święty Mikołaj na etapie szkolenia.

– Cieszysz się na myśl o wielkim dniu? – pyta Szofer Mikołaj, kiedy odjeżdżają sprzed domu Miracoliny, pozostawiając za sobą jej rodzinę. – Wyprawili ci piękne przyjęcie dziesięcinowe?

– Tak i nie – odpowiada dziewczyna. – Cieszę się, ale nie było przyjęcia.

– Ojoj, to kiepsko. A czemu?

– Bo dziesięciny nie powinno się traktować jak okazji do bycia w centrum uwagi.

– Rozumiem – to cała odpowiedź, na jaką stać Szofera Mikołaja. Wypowiedź Miracoliny okazała się idealnym zabójcą konwersacji, i bardzo dobrze. Ostatnie, na co dziewczyna ma ochotę, to opowiadać całe swoje życie temu jegomościowi, choćby był nie wiadomo jak sympatyczny.

– W lodówce są napoje – informuje ją. – Częstuj się. – A potem zostawia ją w spokoju.

Po dwudziestu minutach jazdy, zamiast skręcić na autostradę międzystanową, wjeżdżają na ogrodzone osiedle.

– Dzisiaj zabieram jeszcze jedną osobę – mówi jej Szofer Mikołaj. – We wtorki zawsze jest mało zgłoszeń, więc będziecie podróżować tylko

we dwójkę. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Ani trochę.

Zatrzymują się przed domem co najmniej trzykrotnie większym niż jej własny, gdzie przed drzwiami czeka ubrany na biało dziesięciorodny w otoczeniu rodziny. Miracolina nie patrzy, jak padają ostatnie słowa pożegnania. Wygląda przez okno po przeciwnej stronie vana, żeby nie naruszać cudzej prywatności. W końcu Szofer Mikołaj otwiera drzwi i do pojazdu wsiada chłopiec o prostych, perfekcyjnie ostrzyżonych ciemnych włosach, jasnoniebieskich oczach i cerze bladej jak porcelana – tak jakby przez całe życie chroniono go przed słońcem, żeby jego skóra była gładka jak pupa niemowlaka w dniu, gdy zostanie ofiarowany jako dziesięcina.

– Cześć – mówi nieśmiało. Jego biały strój jest z lśniącej satyny, ozdobiony cienkim złotym brokatem. Rodzice tego chłopca nie pożalowali pieniędzy. Dziesięcinowy ubiór Miracoliny uszyto z prostego surowego jedwabiu, niebielonego, żeby jego biel nie oślepiła i nie rzucała się z daleka w oczy. W porównaniu z nim strój tego chłopca przypomina neonowy szyld.

Fotele w vanie nie są ustawione w rzędach, tylko wzdłuż ścian, żeby wszyscy pasażerowie siedzieli twarzami do siebie. Ma to sprzyjać nawiązywaniu kontaktu. Chłopiec siada naprzeciwko Miracoliny, zastanawia się przez moment, po czym wyciąga rękę, żeby się z nią przywitać.

– Jestem Timothy – mówi. Miracolina wymienia z nim uścisk dłoni. Jego palce są chłodne i wilgotne od potu, jak przed występami w szkole.

– Nazywam się Miracolina.

– O rany, ale długie imię! – Potem Timothy śmieje się z zakłopotaniem. Pewnie jest zły na siebie, że to powiedział. – Czy ludzie mówią na ciebie Mira albo Lina, albo jeszcze jakoś inaczej, żeby je skrócić?

– Jestem Miracolina. I nikt tego nie skraca.

– W porządku, cóż, miło cię poznać, Miracolino.

Kierowca uruchamia silnik i Timothy macha na pożegnanie swojej licznej rodzinie, ale chociaż oni też do niego machają, jest oczywiste, że w ogóle go nie widzą przez przyciemnione szyby. Van opuszcza podjazd i wyjeżdża krętymi uliczkami z osiedla. Jeszcze przed minięciem bramy Timothy zaczyna mieć niepewną minę, jakby go zemdliło, ale Miracolina wie, że nawet jeśli brzuch mu się buntuje, jest to tylko objaw czegoś innego. Ten chłopiec nie pogodził się jeszcze z byciem dziesięciną. Lub nawet jeśli sądził, że tak jest, stracił to poczucie w chwili, gdy drzwi vana zatrzasnęły się za

nim, odcinając pępowinę łączącą go z dotychczasowym życiem. Chociaż Miracolinę zirytowały jego wystawne szaty i luksusowe osiedle, dziewczyna zaczyna mu po cichu współczuć. Jego strach wisi wokół nich dwojga niczym pajęczyna utkana przez czarne wdowy. Nikt nie powinien jechać na złożenie dziesięciny ogarnięty przerażeniem.

– Podróż potrwa jakieś trzy godziny, prawda? – pyta Timothy drżącym głosem.

– Tak – odpowiada wesoło Szofer Mikołaj. – Van ma system multimedialny, do którego wgrane są setki filmów, żeby wam się nie nudziło po drodze. Włączcie sobie któryś!

– W porządku, jasne – odpowiada Timothy. – Ale może później.

Przez kilka minut sprawia wrażenie zatopionego w myślach. Potem znów odwraca się do Miracoliny.

– Podobno dziesięciorodni są bardzo dobrze traktowani w ośrodkach donacyjnych. Myślisz, że to prawda? Podobno jest tam superfajnie, całe mnóstwo dzieciaków takich jak my. – Odchrząkuje. – Podobno pozwolą nam nawet wybrać dzień, kiedy... kiedy... no wiesz...

Miracolina uśmiecha się do niego ciepło. Zwykle tacy dziesięciorodni jak ten chłopiec są zawożeni do ośrodka donacyjnego limuzyną, ale ona dobrze wie, czemu Timothy jedzie vanem. Nie musi go nawet o to pytać. Nie chciał tam jechać sam jeden. No cóż, skoro przeznaczenie zetknęło ich ze sobą tego doniosłego dnia, Miracolina zachowa się jak przyjaciółka, której on potrzebuje.

– Jestem pewna, że pobyt w ośrodku donacyjnym okaże się takim doświadczeniem, o jakim marzysz – mówi – a kiedy wybierzesz swoją datę, wybierzesz ją dlatego, że będziesz się czuł gotowy. To dlatego pozwalają nam wybierać. Żeby to była nasza decyzja, a nie kogoś innego.

Timothy spogląda na nią tymi przenikliwymi, idealnie pięknymi oczami.

– Ty się w ogóle nie boisz, prawda?

Miracolina uznaje za stosowne odpowiedzieć na jego pytanie innym pytaniem.

– Leciałeś kiedyś samolotem?

– Co? – Timothy sprawia wrażenie zbitego z tropu. – Tak, kilka razy.

– Bałeś się za pierwszym razem?

– Tak, chyba tak.

– Ale poleciałeś mimo to. Czemu?

Timothy wzrusza ramionami.

– Chciałem dotrzeć tam, dokąd się wybieraliśmy, i byli ze mną rodzice, i powiedzieli, że wszystko będzie dobrze.

– No cóż – odpowiada Miracolina – masz odpowiedź.

Timothy spogląda na nią, mrugając z niewinnością, która jej samej nie cechowała chyba nigdy.

– Chcesz powiedzieć, że ty się nie boisz?

Dziewczyna wzdycha.

– Tak, boję się – przyznaje. – Bardzo się boję. Ale kiedy uwierzysz, że wszystko będzie dobrze, możesz się cieszyć strachem. Możesz go wykorzystać, żeby sobie pomóc, zamiast pozwalać, żeby ci robił krzywdę.

– Aha, rozumiem – odpowiada Timothy. – To jak straszny film, tak? Można się na nim dobrze bawić, bo wiesz, że nie jest prawdziwy, bez względu na to, jak bardzo się go boisz. – Myśli nad tym jeszcze przez chwilę.

– Ale przecież podzielenie jest prawdziwe. To nie tak, że wyjdziemy potem z kina i wrócimy spacerkiem do domu. To nie tak, że wysiądę z samolotu i pojedę zwiedzać Disneyland.

– Wiesz co – mówi Miracolina, żeby uprzedzić fakty, zanim Timothy wpełźnie z powrotem w osnutą pajęczynami otchłań depresji. – Obejrzyjmy sobie jeden z tych strasznych filmów, żeby odreagować cały strach, zanim dojedziemy do ośrodka donacyjnego.

Timothy posłusznie kiwa głową.

– W porządku, jasne.

Jednak kiedy dziewczyna zaczyna przewijać listę filmów, które zostały wgrane do znajdującego się w vanie systemu rozrywki, okazuje się, że żaden nie jest straszny. Są tam same filmy familijne i komedie.

– Nie szkodzi – mówi Timothy. – Prawdę mówiąc i tak nie lubię strasznych filmów.

Kilka minut później są już na autostradzie międzystanowej, gdzie van może jechać naprawdę szybko. Żeby się oderwać od mrocznych rozważań, Timothy pozwala, żeby wciągnęły go gry zręcznościowe na konsoli, zaś Miracolina wkłada do uszu słuchawki, bo woli słuchać swojej własnej eklektycznej składanki utworów niż banalnego popu z głośników vana. Na swoim iChipie ma dwa tysiące sto dwadzieścia dziewięć piosenek i powzięła już postanowienie, że spróbuje odsłuchać jak największą ich liczbę, zanim nadejdzie dzień, kiedy wprowadzą ją w stan podzielenia.

Jakieś dwie godziny i trzydzieści piosenek później van opuszcza autostradę międzystanową i skręca w boczną drogę, która wiję się malowniczo przez gęste lasy.

– Jeszcze tylko pół godziny jazdy – oznajmia Szofer Mikołaj. – Mamy dobry czas!

A potem, gdy mijają zakręt, nagle gwałtownie wciska pedał hamulca i van zatrzymuje się z piskiem opon.

Miracolina zdejmuje słuchawki.

– Co się dzieje? Co się stało?

– Zostańcie tu – poleca Szofer Mikołaj, teraz bez śladu uśmiechu, po czym wyskakuje z pojazdu.

Timothy już siedzi przy oknie z nosem przyklejonym do szyby, wyglądając na zewnątrz.

– Tam się chyba stało coś złego – mówi.

– Chyba tak – przytakuje Miracolina.

W rowie tuż obok drogi leży inny van ośrodka donacyjnego Leśna Polana, który najwyraźniej dachował i spoczywa teraz kołami ku niebu, nie sposób poznać, od jak dawna.

– Widocznie złapał gumę albo coś i wypadł z zakrętu – mówi Timothy. Ale żadna z opon nie wygląda na przedziurawioną.

– Powinniśmy zadzwonić po pomoc – mówi Miracolina. Jednak do ośrodka donacyjnego nie wolno zabierać komórek, więc ani ona, ani Timothy nie mają przy sobie telefonu.

Właśnie wtedy na zewnątrz wszczyna się ruch. Z lasu wypada pół tuzina ubranych na czarno postaci w kominiarkach. Nadbiegają ze wszystkich stron. Szofer zostaje trafiony w szyję pociskiem usypiającym i zwała się na ziemię niczym wielka szmaciana lalka.

– Trzeba zablokować drzwi! – krzyczy Miracolina, po czym nie zwlekając odpycha Timothy'ego, żeby dostać się do niezamkniętych drzwi po stronie szofera. Jednak nie jest wystarczająco szybka. Kiedy sięga do mechanizmu zamykania, drzwi nagle zostają odsunięte i zamaskowany człowiek prędko wciska guzik, który odblokowuje klamki. Napastnicy w jednej chwili otwierają wszystkie drzwi pojazdu. Jest oczywiste, że przeprowadzają taką akcję nie pierwszy raz i nabrali już wprawy. Timothy wrzeszczy, gdy kilka par rąk łapie go i wywleka na zewnątrz. Próbuje się wyrwać, ale bez skutku. Jeśli jego strach jest pajęczyną, dopadły go pająki.

Dwie inne postacie wyciągają ręce po Miracolinę, a ona rzuca się na podłogę, wymachując nogami, żeby nie mogli podejść.

– Nie dotykajcie mnie! Nie dotykajcie mnie!

Strach, który dotąd tak świetnie udawało jej się trzymać pod kontrolą, eksploduje teraz z całą mocą, bo to nagłe przerwanie podróży stanowi znacznie większą niewiadomą niż ośrodek donacyjny. Miracolina w ślepej panice zaciekle kopie, gryzie i drapie, ale nic to nie daje, bo w końcu słyszy znajome PFFFT wystrzału z broni usypiającej. Czuje ostry ból, gdy pocisk wbija się w jej ramię, i czerń zalewa świat, gdy dziewczyna spada w tę beczasową otchłań, dokąd odpływają wszystkie uśpione dusze.

REKLAMA

„Nie znacie mnie, ale na pewno znacie kogoś, kto jest w podobnej sytuacji jak ja. Zdiagnozowano u mnie raka wątroby w tym samym tygodniu, w którym dostałem list potwierdzający, że dostałem się na studia na Harvardzie. Z początku moi rodzice i ja nie sądziliśmy, że to będzie problem, ale potem lekarz poinformował nas, że jest niedobór narządów do przeszczepu i że brakuje wątrób. Powiedziano mi, że zostanę wciągnięty na listę oczekujących. Teraz, trzy miesiące później, wciąż jeszcze czekam na przeszczep, a studia? Cóż, obawiam się, że moja edukacja będzie musiała poczekać.

A teraz ci sami ludzie, którzy obniżyli granicę dopuszczalnego wieku dla podzielenia, chcą wprowadzić sześciomiesięczny okres oczekiwania po tym, jak rodzice podpiszą zlecenie podzielenia, na wypadek gdyby zmienili zdanie. Sześć miesięcy? Za sześć miesięcy mnie już tu nie będzie.”

WAHANIE ZABIJA! GŁOSUJ NA „NIE” DLA POPRAWKI PROP-53!

Materiał sponsorowany przez organizację Rodzice dla Pozytywnej Przyszłości™

Przebudzenie po postrzale z broni usypiającej nie jest miłym doświadczeniem. Zaraz po ocknięciu pojawia się rozsadzający głowę ból, ohydny posmak w ustach i nieprzyjemne wrażenie, że coś ci ukradziono.

Miracolina budzi się słysząc obok siebie czyjś płacz i błagania o litość. Rozpoznaje głos Timothy'ego. Ten chłopiec zdecydowanie nie ma predyspozycji do znoszenia tak traumatycznych przeżyć jak porwanie. Jednak Miracolina nie może go zobaczyć, bo oczy zasłonięto jej grubą szmatą.

– Nie bój się, Timothy – woła. – Bez względu na to, co tu się dzieje, wszystko będzie dobrze. – Kiedy chłopiec słyszy jej głos, przestaje błagać oraz szlochać i już tylko pojękuje cicho.

Miracolina przesuwają się lekko, żeby sprawdzić, w jakiej pozycji się znajduje. Odkrywa, że siedzi wyprostowana, a szyja boli ją po tym, jak głowa zwisała jej bezwładnie na bok podczas snu. Ręce dziewczyny są skrępowane za plecami, a nogi przywiązano jej do krzesła, na którym siedzi. Więzów nie zaciśnięto aż do bólu, ale wystarczająco mocno, żeby uniemożliwić uwolnienie się.

– Okej – mówi chłopięcy głos gdzieś przed nimi. – Możecie im odsłonić oczy.

Szmatą zostaje ściągnięta z głowy Miracoliny. Chociaż w pomieszczeniu nie jest specjalnie jasno, światło mimo wszystko boleśnie razi w oczy. Dziewczyna mruży je, pozwalając, żeby stopniowo przyzwyczyły się i odzyskały ostrość widzenia.

Ona i Timothy znajdują się we wspaniałej sali balowej z wysokim sklepieniem. Kryształowe kandelabry, obrazy na ścianach – wygląda to jak miejsce, w którym francuska arystokracja mogłaby urządzać przyjęcia, zanim trafili pod gilotynę. Tylko że ta sala się rozpada. W suficie zieją dziury, przez które swobodnie wlatują i wylatują gołębie. Farba łuszczy się z obrazów pod wpływem wilgoci, a w powietrzu wisi zapach stęchlizny i pleśni. Fakt, że na zewnątrz jest jasno, oznacza, że Miracolina pozostawała nieprzytomna przez całą noc. Nie sposób poznać, jak daleko zostali zabrani.

– Naprawdę mi przykro, że musieliśmy to załatwić w ten sposób – mówi chłopiec siedzący przed nimi. Nie jest ubrany jak arystokrata. Nawet zapleśniały arystokrata. Ma na sobie zwykłe džinsy i jasnoniebieską koszulkę. Jego włosy są jasnobrązowe, prawie blond, i zbyt długie – tak jakby nie strzyżono ich od niepamiętnych czasów. Wygląda na rówieśnika Miracoliny, ale zmęczone oczy sprawiają, że wydaje się starszy, tak jakby widział w swoim życiu znacznie więcej, niż ktokolwiek powinien oglądać

w tym wieku. Sprawia też wrażenie jakby nieco kruchego w jakiś trudny do zdefiniowania sposób.

– Nie mogliśmy ryzykować, że coś wam się stanie, albo że zorientujecie się, dokąd was zabieramy. Nie było innej możliwości, żeby was bezpiecznie uratować.

– Uratować nas? – odzywa się po raz pierwszy Miracolina. – Tak to nazywacie?

– No cóż, może w tej chwili nie masz takiego poczucia, ale owszem, to właśnie zrobiliśmy.

I nagle Miracolina już wie, kto to taki. Wzbiera w niej fala furii pomieszanej z mdłościami. Ze wszystkich niesprawiedliwych rzeczy, jakie mogły się jej przytrafić, dlaczego musiało ją spotkać właśnie *to*? Dlaczego to *on* musiał ją porwać? Czuje taki gniew, taką nienawiść, że na pewno nie jest to dobre dla jej duszy – zwłaszcza tuż przed złożeniem dziesięciny – ale choć próbuje się opanować, nic nie jest w stanie stłumić tej goryczy.

Potem Timothy gwałtownie wciąga oddech, a jego załzawione oczy otwierają się szeroko.

– To ty! – mówi z entuzjazmem, jaki chłopcy w jego wieku zazwyczaj okazują podczas spotkań z gwiazdami sportu. – Jesteś tym dziesięciornym, który został klakierem! Jesteś Levi Calder!

Chłopiec siedzący naprzeciwko nich potakuje ruchem głowy i uśmiecha się.

– Tak, ale przyjaciele mówią na mnie Lev.



3. CAM

*N*adgarstki. Kostki. Szyja. Przypięty pasami. Swędzi. Wszystko swędzi. Nie można się poruszyć.

Napiera na więzy rękoma i stopami. Porusza nimi na boki, w górę i w dół. Drapie w ten sposób swędzącą skórę, ale sprawia to tylko, że świąd przechodzi w pieczenie.

– Zbudziłeś się – mówi głos, który wydaje się równocześnie znajomy i obcy. – To dobrze. Bardzo dobrze.

Leżący odwraca głowę. Nikogo tam nie ma. Wokół tylko białe ściany.

Szuranie czegoś o podłogę. Bliżej. Bliżej. Osoba, która przemówiła, pojawia się w jego polu widzenia jako zamazany kształt, przysuwając krzesło tak, żeby mógł ją zobaczyć. Siedzi. Z nogą założoną na nogę. Uśmiecha się, ale się nie uśmiecha. To nie jest prawdziwy uśmiech.

– Zastanawiałam się, kiedy się ockniesz.

Ma na sobie ciemne spodnie i bluzkę. Wzór na bluzce jest zbyt rozmazany, żeby dało się poznać, co to takiego. I kolor. Ten kolor. Leżący nie potrafi rozpoznać koloru.

– W środku tęczy – szuka właściwego słowa. – Żółty. Niebieski. Nie. – Stęka. Od mówienia boli go gardło, a głos brzmi ochryple. – Trawa. Drzewa. Rzygi diabła.

– Zielony – odpowiada kobieta. – To tego słowa szukasz, prawda? Moja bluzka jest zielona.

Czy ona potrafi czytać w myślach? Może nie. Może po prostu sprawnie kojarzy fakty. Jej głos jest łagodny, brzmi dystyngowanie. Mówi z lekkim akcentem. Niewykluczone, że brytyjskim. To sprawia, że pacjent odruchowo ma ochotę jej zaufać.

– Poznajesz mnie? – pyta kobieta.

– Nie. Tak – odpowiada leżący, czując, że jego myśli są ściśnięte więzami znacznie ciaśniejszymi niż te, które unieruchamiają jego ciało.

– Rozumiem – stwierdza kobieta. – Wszystko to stanowi dla ciebie zupełnie nowe doświadczenie. Na pewno jesteś wystraszony.

Aż do tego momentu przez myśl mu nie przeszło, że mógłby się bać. Jednak teraz, gdy siedząca ze skrzyżowanymi nogami kobieta w zielonej bluzce mówi mu, że na pewno jest wystraszony, to znaczy, że musi tak być. W nagłym przypływie strachu leżący szarpie się w więzach. Palące swędzenie staje się jeszcze bardziej dotkliwie, co wyzwała przypływ poszarpanych, fragmentarycznych wspomnień, które musi wykrzyczeć na głos.

– Gorący palnik. Klamra od paska; nie, mam, nie! Spadłem z roweru. Złamana ręka. Nóż! On mnie dźgnął nożem!

– Ból – odpowiada spokojnie kobieta siedząca z nogą założoną na nogę. – Słowo, którego szukasz, to „ból”.

Działa ono jak magiczne zaklęcie, bo sprawia, że leżący się uspokaja.

– Ból – powtarza, słysząc, jak ten dźwięk wydostaje się spomiędzy obcych strun głosowych i formują go równie obce wargi. Pacjent przestaje się szamotać. Ból przycicha do palenia, a palenie ponownie zmienia się w swędzenie.

Jednak myśli, które napłynęły wraz z bólem, nadal mu towarzyszą. Oparzona dłoń; rozgniewana matka; złamana ręka; i walka na noże, której nigdy nie stoczył, a jednak stoczył. Jakimś sposobem wszystkie te rzeczy przydarzyły się właśnie jemu.

Ponownie spogląda na kobietę, która studiuje go chłodnym wzrokiem. Teraz, gdy jego oczy już widzą wszystko wyraźniej, jest w stanie rozróżnić wzory na jej bluzce.

– Arak... arabistka... bestia.

– Próbuj dalej – mówi kobieta. – Na pewno pamiętasz.

Jego mózg aż drży z wysiłku. Leżący wyteża siły. Myślenie przypomina wyścig. Długi, wyczerpujący wyścig na zawodach olimpijskich. Jak nazywa

się ten bieg? Słowo zaczyna się na literę „m”.

– Arabeska! – rzuca triumfalnie. – Maraton!

– Tak, wyobrażam sobie, że to musi być dla ciebie równie wyczerpujące jak maraton – odpowiada kobieta – ale warto było podjąć ten wysiłek. – Dotyka kołnierza swojej bluzki. – Masz rację, ten wzór nazywa się arabeska! – Uśmiecha się, tym razem naprawdę, i muska czubkiem palca jego czoło. Leżący czuje krawędź jej paznokcia. – Mówiłam, że pamiętasz.

Teraz, kiedy jego myśli zaczynają się wyciszać, pacjent uświadamia sobie, że owszem, pamięta tę kobietę, ale nie ma pojęcia skąd.

– Kto? – pyta. – Kto? Gdzie? Kiedy?

– Jak, co i dlaczego – odpowiada jego rozmówczyni z ironicznym uśmiechem. – Widzę, że już sobie przypominałeś, jakimi słowami można rozpocząć zdanie pytające.

– Kto? – naciska pacjent. Nie podoba mu się, że ona żartuje sobie z niego. Kobieta wzdycha.

– Kim jestem? Można powiedzieć, że twoją kotwicą, twoim łącznikiem ze światem; a także w pewnym sensie twoim osobistym tłumaczem, bo potrafię cię zrozumieć, a inni niekoniecznie. Jestem ekspertem od metalingwistyki.

– Meta... meta...

– Chodzi o naturę języka, którym się posługujesz. Metaforyczne skojarzenia. Ale widzę, że jesteś zdezorientowany. Nie musisz sobie tym zaprzętać głowy. Nazywam się Roberta. Jednak nie było możliwości, żebyś to pamiętał, bo chociaż widziałeś mnie wcześniej tyle razy, nigdy ci nie powiedziałam, jak mam na imię.

– Tyle razy?

Roberta potakuje skinieniem głowy.

– Możesz powiedzieć, że dzisiaj widzisz mnie po raz pierwszy w życiu, ale zarazem widziałeś mnie już wiele, wiele razy. Co o tym sądzisz?

Myślenie znów przypomina maraton, gdy leżący przeszukuje wszystkie zakamarki swojego umysłu, usiłując odnaleźć słowo, które chce wypowiedzieć.

– Gollum w jaskiniach. Odpowiedz, inaczej nie będziesz mógł przejść przez most. Co robi traktor u fryzjera?

– Próbuje – mówi Roberta. – Wiem, że dasz radę.

– Zagadka! – rzuca leżący. – Tak, maraton ale warto! To słowo to zagadka!

– Bardzo dobrze. – Roberta delikatnie dotyka jego ręki. Pacjent uważnie mierzy kobietę wzrokiem. Jest od niego starsza. Leżący wie o tym, chociaż nie ma pojęcia, ile sam liczy sobie lat. Jest ładna w macierzyński sposób. Ma blond włosy, na których widać początki brązowych odrostów, i dyskretny makijaż. Jej oczy sprawiają wrażenie młodszych niż reszta twarzy. Ale ta bluzka...

– Meduza – mówi pacjent. – Wiedźma. Czarownica. Krzywe spróchniałe zęby.

Kobieta lekko sztywnieje.

– Uważasz, że jestem brzydka?

– Brzyyyydka! – odpowiada leżący, napawając się brzmieniem tego słowa.

– Nie, nie ty! Brzydka zielona arabeska brzydka.

Roberta śmieje się z ulgą i zerka w dół, na swoją bluzkę.

– No cóż, o gustach się nie dyskutuje, nieprawdaż?

Dyskutować! Debata telewizyjna! Mój ojciec był politykiem! Nie – policjantem. Nie – robotnikiem w fabryce. Nie – prawnikiem, murarzem, farmaceutą, dentystą, był bezrobotny, zmarł. Wszystkie jego myśli są prawdziwe i zarazem fałszywe. Jego własny umysł stanowi zagadkę nie do rozwiązania. Leżący boi się, dokładnie tak, jak powiedziała Roberta. Nowy przypływ strachu każe mu podjąć kolejną próbę szarpania się z więzami. Jednak nie są to tylko pasy; niektóre z nich to bandaże.

– Kto? – pyta ponownie.

– Już ci powiedziałam – odpowiada Roberta. – Nie pamiętasz?

– Nie! *Kto?* – pyta pacjent. – *Kto?*

Roberta unosi brwi, kiedy dociera do niej sens pytania.

– Ach. Kim *ty* jesteś?

Leżący niespokojnie wyczekuje odpowiedzi.

– No cóż, to jest pytanie za sto punktów, nieprawdaż? *Kim* ty jesteś? –

Kobieta postukuje opuszkami palców o swój podbródek, zastanawiając się nad tym. – Komisja nie mogła się zdecydować, jakie imię ci nadać. Oczywiście każdy z jej członków ma na ten temat własne zdanie. Banda pompatycznych bufonów. Tak więc podczas gdy oni się kłócą, może ty wybierzesz imię dla siebie?

– Wybrać? – Ale dlaczego właściwie musi sobie wybrać imię? Czy nie powinien już nosić jakiegoś? Przywołuje z pamięci całą listę imion:

Matthew, Johnny Eric, José, Chris, Alex, Spencer – i chociaż niektóre wydają się bardziej znajome od innych, z żadnym nie wiąże się to poczucie tożsamości, które powinno iść w parze z prawdziwym imieniem. Leżący kręci głową, usiłując wepchnąć coś – *jakąkolwiek* informację na swój temat – na właściwe miejsce, ale jedyne, co osiąga, to że głowa zaczyna go boleć.

– Aspiryna – mówi. – Tylenol-aspiryna, potem liczyć owce.

– Tak, wyobrażam sobie, że wciąż jeszcze musisz być zmęczony. Dostaniesz dodatkową dawkę środków przeciwbólowych, a potem zostawię cię, żebyś odpoczął. Porozmawiamy jutro.

Roberta gładzi jego dłoń, po czym energicznym krokiem wychodzi z pokoju, gasząc światło i pozostawiając pacjenta sam na sam z jego strzępkami myśli, które nie chcą nawet uścisnąć sobie nawzajem rąk w ciemności.

Następnego dnia – w każdym razie on sądzi, że to następny dzień – nie jest już tak zmęczony i głowa mniej go boli, ale nadal czuje się tak samo zdezorientowany. Podejrzewa teraz, że biały pokój, który wziął za szpitalną salę, wcale nie znajduje się w szpitalu. Różne drobne szczegóły wystroju sugerują, że to wnętrze prywatnej rezydencji, które zostało zaadaptowane dla potrzeb pojedynczego rekonwalescenta. Zza okna dobiegają dźwięki, które słychać nawet wtedy, kiedy jest zamknięte. Ciągły, rytmiczny ryk i syk. Dopiero po całym dniu słuchania tych odgłosów pacjent uświadamia sobie, co to takiego. Fale rozbijające się o brzeg.. Gdziekolwiek przebywa, jest to nad brzegiem morza, i bardzo chciałby móc zobaczyć widok. Prosi o to, a Roberta przychyliła się do jego prośby. Dzisiaj będzie mógł wstać z łóżka.

Razem z Robertą do pokoju wchodzi dwóch silnych ochroniarzy w mundurach. Rozpinają pasy i pomagają mu wstać z łóżka, przytrzymując go pod pachami.

– Nie bój się – mówi Roberta. – Wiem, że sobie poradzisz.

Pierwsza chwila stania na własnych nogach przyprawia go o zawrót głowy. Pacjent spogląda w dół na swoje białe stopy. Widzi tylko palce wystające spod jasnoniebieskiego szpitalnego wdzianka, które ma na sobie. Ma wrażenie, że te palce u nóg znajdują się tysiące metrów od niego. Zaczyna iść – jeden chwiejny krok za drugim.

– Dobrze – mówi Roberta, idąc obok niego. – Jak się czujesz?

– Jakbym skakał na spadochronie – odpowiada.

– Hmm – stwierdza Roberta z namysłem. – Chcesz powiedzieć, że czujesz strach czy euforię?

– Tak – odpowiada pacjent. W myślach rozważa oba słowa, zapamiętując je; wyciąga je z masywnego pudła pełnego wymieszanych przymiotników i przyporządkowuje do odpowiedniej przegródki. W pudle jest jeszcze mnóstwo nieposortowanych słów, ale jedno po drugim powoli zaczynają się układać w spójną formację.

– Tam w środku wszystko jest – powtarza mu Roberta. – To tylko kwestia odnalezienia tego co trzeba.

Dwaj ochroniarze nadal podtrzymują go pod pachami, gdy chwiejnie posuwa się naprzód. Jedno kolano załamuje się pod ciężarem – wtedy chwytają go mocniej.

– Niech pan uważa.

Pracownicy ochrony zawsze zwracają się do niego per „pan”. To musi oznaczać, że budzi ich szacunek, chociaż nie potrafi sobie wyobrazić, czemu tak jest. Zazdrości im, że potrafią tak po prostu „być”, bez konieczności pracowania nad tym.

Roberta prowadzi ich korytarzem, który – podobnie jak odległość dzieląca pacjenta od jego własnych stóp – wydaje się ciągnąć w nieskończoność, ale tak naprawdę liczy sobie jakieś dwanaście metrów długości. W górze, w rogu sufitu umocowane jest urządzenie z mechanicznym okiem, które go śledzi. Taka sama maszyna znajduje się też w jego pokoju. Obserwuje go w ciszy. *Elektryczne oko. Pojedyncza soczewka.* Pacjent zna nazwę tego urządzenia. Ma ją na czubku języka.

– Uśmiechnij się, jesteś w ukrytej...! – mówi. – Dodaje kilogramów. Akcja! Robi je firma Kodak.

– Słowo, którego szukasz, zaczyna się na literę „k”, i więcej nie podpowiadam – mówi Roberta.

– Ka... ka... Kamea. Kamelia. Kanada. Kamerton.

Roberta sznuruje usta.

– Stać cię na więcej.

Pacjent wzdycha i daje za wygraną, zanim frustracja stanie się nie do wytrzymania. W tej chwili ciężko mu sobie poradzić z chodzeniem, a co dopiero z chodzeniem i myśleniem równocześnie.

Teraz przechodzą przez drzwi do miejsca, które znajduje się równocześnie w budynku i poza nim.

– Balkon! – mówi pacjent.

– Tak – potwierdza Roberta. – To było łatwe.

Z balkonu widać niekończącą się płaszczyznę morza, które migocze w ciepłym słońcu, a przed nimi stoją dwa krzesła i mały stolik. Na jego blacie znajdują się: talerz ciastek i biały napój w dzbanku z rżniętego szkła. Pacjent odnosi wrażenie, że powinien znać nazwę tego napoju.

– Coś dobrego – mówi mu Roberta. – Nagroda za to, że doszedłeś aż tutaj.

Siadają naprzeciwko siebie, tak że jedzenie znajduje się pomiędzy nimi. Ochroniarze czekają w gotowości, na wypadek gdyby pacjent ich potrzebował – albo spróbował się rzucić z balkonu na poszarpane skały poniżej. Tam w dole rozstawieni są żołnierze uzbrojeni w ciemną, ciężką broń palną. Ich zadaniem jest chronić go, tak twierdzi Roberta. Pacjent wyobraża sobie, że gdyby skoczył w dół, pomiędzy nich, ci strażnicy na skałach również zwracaliby się do niego per „pan”.

Roberta rozlewa białą ciecz z dzbanka do szklanek, które też są z rżniętego szkła i chwytają światło, odbijając je i rozszczepiając na chaotyczne jasne błyski, które tańczą po ścianach i barierce balkonu.

Pacjent odgryza kęs ciastka. Jest kruche, z wtopionymi kawałeczkami czekolady. Nagle intensywność tego smaku budzi więcej wspomnień, które dotąd pozostawały w hibernacji. Myśli o swojej mamie. Potem o innej mamie. Lunch w szkole. Świeżo upieczone ciastko z kawałeczkami czekolady marki Toll House, tak gorące, że parzy go w wargę. *Najbardziej lubię, kiedy są mięciutkie, jeszcze ciepłe. Najbardziej lubię, kiedy są twarde, prawie przypalone, jestem uczulony na czekoladę. Uwielbiam czekoladę.*

Wie, że wszystkie te rzeczy są prawdą. Jak to możliwe? Skoro jest uczulony na czekoladę, jakim cudem ma tyle rozkosznych wspomnień z nią związanych?

– Zagadki maratonowej ciąg dalszy – mówi.

Roberta się uśmiecha.

– To było prawie pełne zdanie. Masz, napij się.

Podaje mu szklankę pełną zimnego białego płynu, a pacjent ją bierze.

– I jak, przemyślałeś, jakie imię chciałbyś nosić? – pyta Roberta akurat w momencie, gdy on upija łyk – i nagle, gdy słodkawa ciecz spłukuje z jego

podniebienia okruch miękkiego ciastka, do głowy przyfruwa mu więcej myśli. Połączenie smaków działa jak sito, które z tej fali skojarzeń wyławia diamenty.

Elektryczna maszyna z okiem. Przypomniawszy sobie, jak ona się nazywa! A ta biała ciecz pochodzi od krowy, czyż nie? Krowi sok. Zaczyna się na literę „m”. Elektryczne oko.

– Kam! – Elektryczne oko. – Muu!

Roberta patrzy na niego dziwnie.

– Kam... Muu... – mówi ponownie pacjent.

W jej oczach pojawia się błysk i kobieta pyta:

– *Camus?*

– Kam. Muu.

– Camus! Co za wspaniałe imię. Przeszedłeś sam siebie.

– Kamera! – mówi w końcu pacjent. – Mleko! – Ale Roberta już go nie słucha. Sprawił, że jej myśli pobiegły ścieżką znacznie bardziej egzotycznych skojarzeń.

– Camus, filozof egzystencjalista! *Życie aż do łez*. Brawo, przyjacielu! Brawo!

Pacjent nie ma zielonego pojęcia, o czym ona mówi, ale skoro jest zadowolona, on również czuje się szczęśliwy z tego powodu. Przyjemnie mieć świadomość, że zrobił na niej wrażenie.

– Będziesz się nazywał Camus Composite Prime – mówi Roberta z uśmiechem tak szerokim jak migoczące morze. – Komisja po prostu *padnie!*

REKLAMA

Masz już dosyć wszystkich modnych diet? Męczenia się na siłowni bez żadnego efektu? My proponujemy ci lepsze rozwiązanie! Wszyscy wiedzą, że zdrowe serce jest kluczem do wspaniałego samopoczucia, a dysponując nowym, idealnie zdrowym i sprawnym sercem, naprawdę nabierzesz ochoty na sport! Już wkrótce zobaczysz, jak zbędne kilogramy znikają, i poczujesz się jak nowo narodzony! Ale nie musisz nam wierzyć na słowo! Porozmawiaj ze swoim lekarzem na temat nanochirurgii!

Materiał sponsorowany przez Międzynarodowe Towarzystwo Nanochirurgów. Wyniki zabiegu nie są objęte gwarancją.

Odtąd wszystkie jego dni zaczynają się od fizjoterapii i na niej się kończą. Bolesne rozciąganie, potem ćwiczenia gimnastyczne i podnoszenie ciężarów, wszystko jakby specjalnie dobrane tak, żeby mu sprawiać jak najwięcej bólu.

Środki stymulujące gojenie mają ograniczoną skuteczność – tłumaczy mu fizjoterapeuta, kulturysta o niskim głosie i niepasującym do aparycji imieniu Kenny. – Resztę musisz dać z siebie sam.

Pacjent żywi głębokie przekonanie, że obserwowanie jego cierpień sprawia rehabilitantowi przyjemność.

Dzięki Robercie wszyscy, którzy nie mówią po prostu „proszę pana”, zwracają się teraz do niego per „Camus”, ale ilekroć myśli o tym imieniu, oczami wyobraźni widzi wyłącznie dużego czarno-białego walenia.

– To był *Shamu*[2] – mówi mu Roberta w czasie lunchu. – Ty nazywałeś się *Camus*. To imię rymuje się z tamtym, ale ma na końcu „s”, którego nie wymawiamy.

– Cam – odpowiada pacjent, bo nie chce się nazywać jak waleń. – Niech będzie Cam.

Roberta unosi brew, zastanawiając się nad tym.

– Możemy tak zrobić. Jak najbardziej możemy tak zrobić. Poinformuję wszystkich. To jak się dzisiaj miewają twoje myśli, Cam? Stały się już trochę bardziej spójne?

Cam wzrusza ramionami.

– Mam w głowie mgłę.

Roberta wzdycha.

– Może i tak, ale ja widzę twoje postępy, nawet jeśli ty sam ich nie dostrzegasz. Twoje myśli z każdym dniem stają się trochę bardziej uporządkowane. Potrafisz już wiązać w swojej świadomości dłuższe łańcuchy znaczeń, no i rozumiesz prawie wszystko, co do ciebie mówię, nieprawdaż?

Cam kiwa głową.

– Zrozumienie to pierwszy krok do klarownej komunikacji, Cam. – Roberta waha się przez moment, po czym dodaje: – *Entendez vous a l'heur?*

– *Oui, perfectment* – odpowiada Cam. Nie uzmysławia sobie, że te słowa są w jakiś sposób inne, dopóki nie wydostaną się z jego ust. Uświadamia sobie, że w jego głowie właśnie otwarły się drzwi skrywające kolejną tajemnicę.

– No cóż – mówi Roberta z łobuzerskim uśmieszkiem – na razie może pozostanmy przy jednym języku, co?

Do jego planu dnia dodawane są coraz to nowe aktywności. Popołudniowe drzemki zostają skrócone, żeby zrobić miejsce na godzinne sesje przed płaskim, poziomym ekranem komputerowym wielkości stołu wypełnionym cyfrowymi wizerunkami obiektów i ludzi. Czerwony pojazd, budynek, czarno-biały portret – tuziny obrazków.

– Przyciągnij do siebie obrazy, które rozpoznajesz – mówi Roberta w pierwszym dniu tego rytuału – i wypowiedz pierwsze słowo, jakie ci przychodzi na myśl na widok każdego z nich.

Cam czuje się przytłoczony.

– Sprawdzian?

– Nie – uspokaja go Roberta – to nie jest żaden test, tylko ćwiczenie umysłowe po to, żeby ustalić, co pamiętasz, a czego jeszcze musisz się nauczyć.

– W porządku – odpowiada Cam. – Sprawdzian. – Bo jej odpowiedź to właśnie żywcem przytoczona definicja testu, nieprawdaż?

Ogląda obrazki i spełnia polecenie, przyciągając bliżej te, które rozpoznaje. Portret: „Lincoln”. Budynek: „wieża Eiffla”. Czerwony pojazd: „wóz strażnicki. Nie. Wóz strażacki.” I tak dalej. Ilekroć odciąga jakiś obrazek na bok, na jego miejscu pojawia się następny. Niektóre Cam identyfikuje bez problemu, z innymi nie wiążą się żadne wspomnienia, a jeszcze inne są irytująco znajome, ale nie potrafi znaleźć żadnego kojarzącego się z nimi słowa. Kiedy sesja wreszcie dobiega końca, czuje się jeszcze bardziej wyczerpany niż po fizjoterapii.

– Trumna – mówi. – Leżenie w trumnie.

Roberta się uśmiecha.

– Skonany. Czujesz się skonany.

– Skonany – powtarza Cam, zapisując to słowo w myślach.

– Wcale mnie to nie dziwi. Nic z tego, co tu robimy, nie jest łatwe, ale jak dotąd dobrze ci idzie, nieprawdaż? I zasłużyłeś na pochwałę!

Cam kiwa głową, czując, że bardziej niż pochwały potrzebuje drzemki.

– Złota gwiazda dla mnie.

* * *

Z dnia na dzień wymagają od niego coraz więcej, zarówno pod względem fizycznym, jak i psychicznym, i nikt jeszcze nie raczył udzielić mu żadnych wyjaśnień.

– Twoje sukcesy są nagrodą same w sobie – mówi mu Roberta, ale jak Cam może się cieszyć sukcesami, jeśli nie ma żadnego kontekstu, za pomocą którego mógłby ocenić ich wagę?

– Zlew kuchenny! – mówi do Roberty któregoś dnia podczas obiadu. Jedzą go tylko we dwoje. Zawsze jedzą tylko we dwoje. – Zlew kuchenny! Teraz!

Roberta nie musi nawet o nic pytać, żeby domyślić się, o co mu chodzi.

– Z czasem dowiesz się na swój temat wszystkiego, czego tylko można się dowiedzieć. Jednak ta chwila jeszcze nie nadeszła.

– Owszem, nadeszła!

– Cam, nie będziemy o tym dłużej dyskutować.

Cam czuje, jak wzbiera w nim gniew i nie wie, co z tym uczuciem zrobić, i nie jest w stanie wypowiedzieć wystarczająco wielu słów, żeby się go pozbyć.

Zamiast tego gniew pobudza do działania jego ręce, i zanim jeszcze Cam zorientował się, co robi, już ciska talerzem przez cały pokój, potem rzuca następny, potem następny. Roberta musi się gwałtownie schylić, i teraz już cały świat jest pełen fruwających naczyń, sztućców i szkła. Sekundę później na Cama rzucają się ochroniarze, wloką go z powrotem do sypialni, kładą siłą na łóżku i unieruchamiają w pasach – nie robili tego przez ponad tydzień.

Cam rzuca się i wścieka przez – jak się wydaje – całą wieczność, ale w końcu, zmęczony, uspokaja się. Do pokoju wchodzi Roberta. Krwawi. To tylko małe skaleczenie nad lewym okiem, ale rozmiary ranki nie mają znaczenia. On to zrobił. To jego dzieło.

Nagle wszystkie jego emocje zostają zagłuszone przez poczucie winy, które – jak odkrywa Cam – jest jeszcze potężniejsze od gniewu.

– Stłukłem skarbonkę mojej siostry, tę w kształcie świnki – mówi przez łyżę. – Rozbiłem auto mojego ojca. Niedobry. Niedobry.

– Wiem, że ci przykro – mówi Roberta. Sądząc z głosu, jest równie zmęczona jak on. – Mnie też jest przykro. – Delikatnie ujmuje jego dłoń. – Za ten wybuch pozostaniesz w pasach do rana – mówi mu. – Twoje działania pociągają za sobą konsekwencje.

Cam kiwa głową, rozumiejąc, że tak musi być. Chce otrzeć łyżę, ale nie może, bo ręce ma przywiązane do łóżka, więc Roberta osusza mu twarz.

– No cóż – mówi – przynajmniej teraz już wiemy, że jesteś tak silny, jak przypuszczaliśmy. Tamci nie kłamali, kiedy powiedzieli nam, że dawniej byłeś miotaczem w baseballu.

Umysł Cama natychmiast zaczyna przeszukiwać wspomnienia o tym sporcie. Czy kiedyś grał w baseball? Jego pamięć może i jest chaotyczna i rozkawałkowana, ale łatwo stwierdzić, jakich wspomnień nie ma tam w ogóle.

– Nigdy nie miotacz – mówi. – Nigdy.

– Oczywiście że nie – odpowiada ze spokojem Roberta. – Nie wiem, co też mi przyszło do głowy.

Kawałek po kawałku i dzień za dniem, w miarę jak coraz więcej rzeczy układa się w jego umyśle w spójną całość, Cam zaczyna sobie zdawać sprawę ze swojej przerażającej unikatowości. Teraz jest noc. Tym razem po fizjoterapii wyjątkowo czuje się w większym stopniu rozradowany niż wyczerpany, ale terapeuta Kenny powiedział mu coś takiego...

– Jesteś silny, ale poszczególne grupy twoich mięśni nie bardzo umieją ze sobą współpracować.

Cam wie, że to tylko żart, ale w tych słowach jest ziarno prawdy, które więźnie mu w gardle tak, jak często przytrafia się to kęsom jedzenia. Jego gardło nie zawsze chce posłusznie przełknąć to, co język popycha do tyłu.

– Twoje ciało kiedyś w końcu nauczy się wchodzić ze sobą w sojusze – dorzucił Kenny, tak jakby Cam był fabryką pełną strajkujących robotników, albo gorzej, grupą niewolników zmuszonych do pracy wbrew swej woli.

Tej nocy Cam spogląda na blizny, które okalają jego nadgarstki. Widoczne po zdjęciu bandażu, przypominają cieniutkie bransoletki. Patrzy niżej,

na grubą, nierówną jak sznur linię biegnącą wzdłuż jego klatki piersiowej, która rozwidła się na dwie odnogi ponad perfekcyjnie wyrzeźbionymi mięśniami brzucha. Wyrzeźbionymi. Jakby był posąg wyciosany w marmurze – artystyczną wizją doskonałości. Cam uświadamia sobie teraz, że ta rezydencja nad brzegiem morza to w rzeczywistości galeria, a on jest wystawionym w niej dziełem. Może powinien się poczuć wyjątkowy, ale czuje się wyłącznie samotny.

Sięga do swojej twarzy – której zakazano mu dotykać – i wyczuwa na niej nierówne blizny, znacznie liczniejsze niż na reszcie ciała.

Właśnie wtedy do sypialni wchodzi Roberta. Wie, że Cam zaczął oglądać swoje ciało, ponieważ obserwowała go za pośrednictwem kamery umieszczonej w kącie pomieszczenia. Towarzyszą jej dwaj ochroniarze, bo już widać, że emocje Cama zaczynają wzbierać, grożąc kolejną burzą.

– Co się stało, Cam? – pyta Roberta. – Powiedz mi. Znajdź właściwe słowa.

Opuszki jego palców muskają skórę, ale Cam boi się naprawdę *dotknąć* swojej twarzy, bo obawia się, że w przypiływie gniewu mógłby ją rozszarpać.

Znajdź słowa...

– Alicja! – mówi. – Carol! Alicja! – To nie te słowa co trzeba, Cam wie o tym, ale są najbliższe temu, co chciałby powiedzieć. Jedyne, co potrafi, to krążyć, krążyć, krążyć wokół sedna, zagubiony na orbicie wokół własnego umysłu.

– Alicja! – Wskazuje łazienkę. – Carol!

Ochroniarz uśmiecha się porozumiewawczo, mimo że tak naprawdę nic nie rozumie.

– Może przypominają mu się byłe dziewczyny.

– Cicho! – rzuca szorstko Roberta. – Mów dalej, Cam.

Cam zamyka oczy, zmuszając myśli, żeby przybrały konkretny kształt, ale jedyny obraz, jaki wyłania się w jego głowie, to idiotyczny wizerunek...

– *Mors!* – Jego myśli są bezużyteczne. Bezsensowne. Gardzi sobą.

Ale potem Roberta mówi:

– ...i Stolarz?

Cam natychmiast przenosi wzrok na nią.

– Tak! Tak! – Jakimś cudem, choć te dwa pojęcia sprawiają wrażenie wybranych losowo, okazuje się, że razem tworzą jak najbardziej sensowne

połączenie.

– „Mors i Stolarz” – mówi Roberta. – Absurdalny poemat, który ma w sobie jeszcze mniej sensu niż ty!

Cam czeka, aż ona połączy dla niego przynajmniej część kropek.

– Jego autorem jest Lewis Carroll. Który napisał też...

– ...Alicję!

– Tak, napisał „Alicję w Krainie Czarów” oraz „Po drugiej stronie...”

– *Zwierciadło!* – Cam wskazuje łazienkę. – „Po drugiej stronie zwierciadła”! – Jednak wie, że obecnie ludzie nazywają ten przedmiot inaczej. To współczesne słowo brzmi...

– Lustro! – wykrzykuje. – Moja twarz! W lustrze! Moja twarz!

W całej rezydencji nie ma ani jednego lustra, w każdym razie w tych pokojach, do których wolno mu wchodzić. Ani jednej powierzchni odbijającej światło. To nie może być przypadek.

– Lustro! – krzyczy triumfalnie Cam. – Chcę się przejrzeć w lustrze. Chcę to zrobić teraz! Pokaż mi! – To jego najbardziej zrozumiała wypowiedź jak dotąd, i najwyższy poziom komunikacji, na jaki udało mu się wzbić. Roberta na pewno go za to nagrodzi!

– Pokaż mi teraz! *Ahora! Maintenant! Ima!*

– Wystarczy! – mówi Roberta z wykalkulowaną dozą stanowczości w głosie. – Nie dzisiaj. Nie jesteś na to gotowy!

– Nie! – Cam dotyka palcami twarzy. Tym razem naciska wystarczająco mocno, żeby zabolalo. – To Dauger w żelaznej masce, nie Narcyz nad wodą! Ujrzenie prawdy zmniejszy ciężar, zamiast przelać czarę!

Ochroniarze spoglądają na Robertę, gotowi ruszyć do akcji, unieruchomić go, ponownie przywiązać go pasami do łóżka, żeby nie mógł sobie zrobić krzywdy. Jednak Roberta nie wydaje rozkazu. Waha się. Zastanawia. W końcu mówi:

– Chodź ze mną. – Potem odwraca się na pięcie i wychodzi z pokoju, zostawiając Cama i ochroniarzy, którzy nie mają innego wyboru, jak tylko podążyć za nią.

Opuszczają skrzydło rezydencji, które zostało tak zaprojektowane, żeby być dla Cama bezpiecznym miejscem rekonwalescencji, i wkraczają w obszar urządzony w znacznie mniej szpitalnym stylu. Pokoje o przyjaźnie

wyglądających drewnianych podłogach zamiast zimnego linoleum. Oprawione obrazy w miejsce nagich białych ścian.

Roberta poleca ochroniarzom poczekać przy drzwiach, po czym wprowadza Cama do salonu. Siedzą tam ludzie: Kenny, jeszcze kilkoro członków zespołu odpowiedzialnego za rehabilitację, a także inni, których Cam nie zna; profesjonaliści, którzy pracują za kulisami jego życia. Na jego widok wstają ze skórzanych foteli i sof, wystraszeni jego obecnością.

– Nic się nie stało – mówi do nich Roberta. – Zostawcie nas na chwilę samych. – Tamci porzucają to, co akurat robili, i w pośpiechu opuszczają pomieszczenie. Cam zapytałby Robertę, kim są, ale już zna odpowiedź. Są jak ochroniarze czuwający przed jego drzwiami, jak strażnicy na skałach, jak mężczyzna, która sprząta po nim bałagan i kobieta, która wciera krem w jego blizny. Wszyscy ci ludzie przebywają tu po to, żeby mu służyć.

Roberta prowadzi go do zawieszzonego na ścianie lustro, dostatecznie dużego, żeby pokazać całą sylwetkę. Teraz Cam może się obejrzeć od stóp do głów. Zrzuca szpitalne wdzianko i stoi w bokserkach, patrząc na siebie. Jego ciało ma piękne kształty – idealne proporcje, wyraźnie zarysowane mięśnie bez grama zbędnego tłuszczu. Przez moment Cam myśli, że może naprawdę jest Narcyzem pochłoniętym próżnością – ale gdy podchodzi bliżej, w lepszym świetle widzi blizny. Już wcześniej wiedział o ich istnieniu, ale ujrzenie wszystkich naraz przytłacza go. Wyglądają paskudnie i pokrywają go całego, ale nigdzie nie są tak wyraźnie widoczne jak na twarzy.

Ta twarz jest koszmarem.

Pasma skóry w różnych odcieniach, niczym koc zszyty z prostokątów żywej tkanki, opinają znajdujące się pod spodem kości, mięśnie i chrząstki. Nawet jego głowa – ogolona na łyso, kiedy się przebudził, a teraz porastająca szczeciną włosów, delikatnych jak puch na brzoskwini – wygląda tak samo: kontrastujące kolory i faktury przywodzą na myśl szachownicę pól z różnymi uprawami. Oczy Cama boją od tego widoku i napływają do nich łzy, zamazując wszystko.

– Dlaczego?... – tylko tyle jest w stanie wykrztusić. Odwraca się od swojego wstrętnego odbicia, próbując się schować za własnym ramieniem, ale Roberta delikatnie dotyka tego ramienia.

– Nie odwracaj wzroku – mówi. – Miej dość siły, żeby zobaczyć to, co ja widzę.

Cam zmusza się, żeby spojrzeć jeszcze raz, ale wszystko, co widzi, to blizny.

– Potwór! – rzuca. To słowo pochodzi z tyłu fragmentów jego pamięci, że Cam odnajduje je bez najmniejszego problemu. – Frankenstein!

– Nie – odpowiada ostro Roberta. – Nigdy tak nie myśl! Tamten potwór został stworzony z martwych ciał, ale ty powstałeś z żywych! Tamta istota stanowiła pogwałcenie wszystkich praw przyrody, ale ty, Camie, jesteś nowym cudem świata!

Spogląda teraz w lustro razem z nim. Wskazuje i wymienia jego liczne cudowne części ciała.

– Twoje nogi należały do biegacza z reprezentacji uniwersyteckiej – mówi mu – a twoje serce do chłopca, który mógłby znaleźć się w kadrze olimpijskiej jako pływak, gdyby nie został poddany podzieleniu. Twoje ramiona i ręce należały kiedyś do najlepszego gracza w baseball, jakiego kiedykolwiek widziały ośrodki donacyjne, a twoje dłonie? Grały na gitarze z rzadko spotykanym, wspaniałym talentem! – Potem Roberta uśmiecha się, napotykać w lustrze jego wzrok. – Natomiast twoje oczy pochodzą od chłopca, który potrafił jednym spojrzeniem rozkochać w sobie każdą dziewczynę.

W sposobie, w jaki o nim mówi, słyhać specyficzną dumę. Jest to duma, której Cam jak dotąd nie potrafi poczuć.

Roberta kładzie palec na jego skroni.

– Ale najlepsze kryje się tutaj! – Potem zaczyna dotykać rozmaitych miejsc w wielokolorowej szczecinie jego włosów, wskazując różne punkty na czaszce, jakby były to miasta zaznaczone na globusie.

– Twój lewy płat czołowy zawiera zdolności analityczne i matematyczne siedmiorga nastolatków, których wyniki testów wskazywały, że to geniusze w zakresie matematyki i nauk ścisłych. W twoim prawym płacie czołowym znalazły się części kory mózgowej odpowiadające za predyspozycje twórcze prawie tuzina poetów, artystów i muzyków. Twój płat potyliczny zawiera wiązki neuronów niezliczonych Podzielonych obdarzonych fotograficzną pamięcią, zaś twój ośrodek mowy to międzynarodowy węzeł dziewięciu języków, które tylko czekają na przebudzenie.

Roberta delikatnie ujmuje jego podbródek i odwraca jego twarz tak, żeby Cam popatrzył na nią. Jej oczy, które w lustrze wydawały się tak odległe,

znajdują się teraz zaledwie centymetry od jego własnych. Hipnotyzują go, obezwładniają.

– *Anata wa randamu de wa nai, Cam* – mówi. – *Anata wa interijento ni sekkei sa rete imasu.*

I Cam rozumie jej słowa. *Nie jesteś dziełem przypadku, Cam. Zostałeś inteligentnie zaprojektowany.* Nie ma pojęcia, w jakim języku zostało to powiedziane, ale i tak wie, co znaczą te zdania.

– Wszystkie części twojego ciała zostały starannie wybrane. Pochodzą od najlepszych i najinteligentniejszych – mówi mu Roberta – a ja byłam obecna przy każdym podzieleniu, żebyś mógł mnie widzieć, słyszeć i żebyś mnie rozpoznał, kiedy te części zostaną połączone w całość. – Rozmyśla o tym przez chwilę, po czym smutno kręci głową. – Te nieszczęsne dzieci były zbyt dysfunkcyjne, żeby wiedzieć, jak korzystać z darów, które otrzymały. Jednak choć poddano je podzieleniu, mogą wreszcie uzyskać spełnienie dzięki tobie!

Teraz, gdy Roberta wspomniała o podzieleniu, zalewają go fragmenty wspomnień.

Tak, widział ją!

Stała obok stołu operacyjnego, bez maski chirurgicznej na twarzy, bo – jak uświadamia sobie Cam – chodziło o to, żeby została ujrzana i zapamiętana. Ale sal operacyjnych było więcej niż tylko jedna, nieprawdaż?

Identyczne wspomnienie

z tuzina różnych miejsc w jego umyśle.

Ale to nie jest jego umysł, nieprawdaż?

To ich umysły.

Ich wszystkich.

Krzyczących.

*Proszę, proszę, przestańcie mi to robić,
aż nie ma już głosu, który mógłby dłużej błagać,
nie ma umysłu, który mógłby wrzeszczeć.*

W tej szczególnej chwili

kiedy „Jestem” przemienia się w „Nie ma...”

Cam bierze głęboki, rozdygotany oddech. Te ostatnie wspomnienia stanowią teraz część jego osoby, połączone w całość, niczym pozszywana skóra jego twarzy. Są nie do zniesienia, lecz on jakoś je znosi. Dopiero teraz

uzmysławia sobie, jaki musi być silny, skoro ma w pamięci sto podzielen i jeszcze się nie rozsypał.

Roberta każe mu się rozejrzeć, popatrzeć na bogaty wystrój nadmorskiej rezydencji.

– Jak widać po otoczeniu, w którym się znajdujesz, wspierają nas potężni sponsorzy, dzięki którym będziesz mógł dalej się rozwijać i prosperować.

– Sponsorzy? Kto?

– To bez znaczenia. Są przyjaciółmi. Nie tylko twoimi przyjaciółmi, ale przyjaciółmi świata, w którym wszyscy chcielibyśmy żyć.

I chociaż wszystkie kawałki zaczynają się układać w całość, całe życie Cama zaczyna nabierać sensu, jedna rzecz nadal go dręczy.

– Moja twarz... jest okropna...

– Nie martw się – odpowiada Roberta. – Blizny się wygładzą; środki stymulujące gojenie już zaczęły działać. Twoje szramy niedługo zupełnie znikną, zostaną tylko ledwo widoczne linie w miejscach, gdzie stykają się przeszczepy. Zaufaj mi; widziałam symulację tego, jak będziesz wyglądał, Cam, i robi ona niesamowite wrażenie!

Cam przesuwa palcami wzdłuż blizn przecinających jego twarz. Nie są losowo rozmieszczone, jak początkowo sądził. Biegną symetrycznie, a rozmaite odcienie skóry układają się w rozmyślnie zaprojektowany wzór.

– Postanowiliśmy ofiarować ci elementy pochodzące od wszystkich grup etnicznych. Od najbledszego sjeno-Europejczyka aż po najgłębszą umbrę czystej krwi Afrykanina, i wszystko, co rozciąga się pomiędzy nimi. Azjata, Polinezyjczyk, Buszmen, Australoid, Indianin, Semita – cudowna mozaika ludzkości! Reprezentujesz wszystkich ludzi, Cam, a twoja twarz stanowi tego namacalny dowód. Obiecuję ci, że kiedy te blizny się zagoją, będziesz ucieleśniał nową definicję urody. Będziesz jaśniał niczym gwiazda, największa nadzieja gatunku ludzkiego. Pokażesz im nową drogę ku nadziei, Cam! Pokażesz ją samym swoim istnieniem!

Ta myśl sprawia, że serce zaczyna mu szybciej bić, łomocząc głośno w piersi. Cam wyobraża sobie zawody, które pomogło mu wygrać – i chociaż nie pamięta, jak zdobywał medale w pływaniu, jego serce wie to, czego umysł pozostaje nieświadom. Pragnie znów znaleźć się w basenie, tak jak jego nogi tęsknią za bieżnią.

Jednak teraz te nogi załamują się pod nim i nagle Cam leży jak długi na podłodze, głowiąc się, jak tam trafił.

– Za dużo wrażeń jak na jeden dzień – mówi Roberta.

Ochroniarze, którzy obserwowali wszystko, stojąc koło drzwi, podbiegają i pomagają mu wstać.

– Nic panu nie jest? Mamy wezwać pomoc, proszę pani?

– Nie trzeba. Sama się nim zajmę.

Z ich pomocą Cam kładzie się na pluszowej sofie. Dygocze – nie tylko dlatego, że w pomieszczeniu jest chłodno, ale z powodu olśnienia, którego doznał, poznając swoją osobistą prawdę. Roberta bierze pled i przykrywa go. Poleca, żeby podkreślono ogrzewanie, po czym siada obok Cama niczym matka czuwająca przy gorączkującym dziecku.

– Z myślą o tobie poczyniono wspaniałe plany, Cam. Ale nie ma potrzeby, żebyś sobie teraz zaprzętał tym głowę. W tej chwili wszystko, co musisz zrobić, to rozwijać swój zdumiewający potencjał; ujarzmić te partie swojego umysłu, które nadal błędzą; nauczyć każdą część swojego ciała harmonijnie współdziałać z pozostałymi. Jesteś dyrygentem żyjącej orkiestry, a muzyka, która powstanie dzięki tobie, będzie więcej niż spektakularna!

– A jeśli nie? – pyta Cam.

Roberta nachyla się, żeby pocałować go delikatnie w czoło.

– Nie ma takiej opcji.

REKLAMA

Kiedy straciłem pracę, zaczęło przybywać niezapłaconych rachunków i długów, i nie wiedziałem, co robić. Nie sądziłem, że istnieje jakikolwiek sposób, żeby zapewnić byt mojej rodzinie. Rozwahałem nawet wyjechanie do nielegalnego ośrodka donacyjnego, żeby mnie tam podzielono i sprzedano moje organy na czarnym rynku, aby opłacić wydatki mojej rodziny, ale czarny rynek mnie przerażał. A teraz nareszcie pojawił się projekt ustawy legalizującej dobrowolne podzielenie dorosłych – coś, co mogłoby zapewnić mojej rodzinie wystarczająco dużo pieniędzy, żeby pozwolić im godnie żyć. Wyobraźcie to sobie! Mógłbym przejść w stan podzielenia ze spokojem, wiedząc, że moja rodzina ma zabezpieczoną przyszłość – a jeśli dobrowolne donacje zostaną zalegalizowane, czarny rynek straci rację bytu. Głosuj na „tak” dla poprawki konstytucyjnej Prop-58! Pomóż takim rodzinom jak moja i połącz kres działalności piratów.

Sny Cama zawsze zawierają element samoświadomości. Zawsze wie, że śni, i do tej pory jego sny stanowiły źródło potężnej frustracji. Nie kierują się logiką typową dla śnienia – nie widać w nich w ogóle żadnej logiki – są rozczłonkowane, nieciągłe i chaotyczne. Losowe urywki powiązane niewidzialną pajęczyną jego podświadomości. Gdyby jego umysł był telewizorem, śnienie przypominałoby przeskakiwanie po kanałach tak szybko, że nie sposób zarejestrować pojedynczych myśli. Doprowadzało go to do szału! Teraz jednak, gdy już poznał sekret swojego istnienia, Cam odkrywa, że jest w stanie płynąć razem z falą.

Dzisiaj śni, że znajduje się wewnątrz willi. Nie tej nad oceanem. Willi wysoko w chmurach. Gdy przechodzi z pokoju do pokoju, zmienia się nie tylko wystrój pomieszczeń, ale też świat – czy raczej życie Cama w tym świecie. W kuchni widzi braci i siostry, których rozpoznaje – siedzą przy stole, czekając na obiad. W salonie ojciec zadaje mu pytanie w języku, który nie trafił do jego mózgu, więc Cam nie potrafi odpowiedzieć.

I są jeszcze korytarze – długie korytarze z pokojami po obu stronach – a w tych pokojach znajdują się ludzie, których Cam zna tylko przelotnie. To pokoje, do których nigdy nie dane mu będzie wejść, a ci ludzie na zawsze pozostaną tylko obrazami uwięzionymi w zamkniętych pomieszczeniach. Nie istnieje żadne inne wspomnienie o nich, w każdym razie nie w obrębie tej kory mózgowej, którą mu ofiarowano.

W każdym pokoju i korytarzu, przez które Cam przechodzi, wzbiera w nim fala gorzkiego poczucia straty, ale równoważy ją radosne podniecenie na myśl o wszystkich pomieszczeniach, które dopiero odwiedzi.

Pod koniec snu znajduje ostatnie drzwi, za którymi jest balkon bez poręczy. Cam staje na krawędzi i spogląda na kłębiące się w dole chmury, które rozstępują się i ponownie łączą, gnane podmuchami wiatru, który najwyraźniej posiada własną wolę. W jego wnętrzu setka głosów – głosy tych, którzy są jego częścią – przemawia do niego, ale wszystkie zlewają się w jeden nieartykułowany grzmot. Jednak Cam wie, co próbują mu

powiedzieć. *Skacz, Cam, skacz!* – mówią. *Skacz, bo wiemy, że potrafisz fruwać!*

Rankiem, wciąż jeszcze podekscytowany snem, który mu się przyśnił, Cam wkłada więcej wysiłku w ćwiczenia rehabilitacyjne niż kiedykolwiek wcześniej. Gojące się rany już nie doskwierają mu przy każdym ruchu, więc w zamian może poczuć, jak palą go zmęczone mięśnie.

– Jesteś dzisiaj w szczytowej formie – mówi mu Kenny w trakcie zabiegu polegającego na tym, że stawy Cama są na przemian ogrzewane i okładane lodem. Kenny, jak dowiedział się Cam, do niedawna był świetnie opłacanym trenerem w NFI, ale ci potężni przyjaciele, o których wspomniała wcześniej Roberta, wynajęli go, żeby pracował z pojedynczym klientem w zamian za królewskie wynagrodzenie.

– Pieniądze to solidny argument – przyznał Kenny. – Poza tym nie co dzień człowiekowi trafia się okazja, żeby współtworzyć historię.

Czy tym właśnie jestem? – myśli Cam. *Przyszłą historią?* Próbuje sobie wyobrazić nauczycieli piszących na tablicach „Camus Composite-Prime”, ale ten obraz jakoś do niego nie przemawia. Zgrzyta mu to imię. Brzmi zbyt klinicznie, bardziej jak temat eksperymentu niż jak jego wynik. Przydałoby się je skrócić. Camus ComPri. W jego umyśle nagle pojawiają się samochody wyścigowe pędzące wokół toru. Wyścig Grand Prix. Otóż to! *Camus Com Prix*. S i X, których się nie wymawia – imię skrywające tyleż sekretów, co on sam!

Cam krzywi się, gdy Kenny obkłada lodem jego ramię. Jednak dzisiaj nawet ten ból na swój sposób sprawia mu radość.

– Kaszka maraton, już nie trumna! – mówi, po czym odchrząkuje i pozwala tej myśli okrzepnąć, poszukując właściwych słów. – Ten maraton ćwiczeń zrobił się łatwy jak kaszka z mleczkiem; w ogóle nie czuję się skonany.

Kenny wybucha śmiechem.

– A nie mówiłem, że z czasem będzie łatwiej?

Po południu Cam siedzi na balkonie razem z Robertą. Dostają lunch na srebrnych tacach. Potrawy z każdym dniem stają się bardziej zróżnicowane, ale zawsze są serwowane w małych porcjach. Koktajl z krewetek. Sałatka z buraków. Curry z kurczaka z kuskusem. Wszystkie te

dania stanowią pyszne wyzwanie dla jego kubków smakowych, a równocześnie wzbudzają mikrowspomnienia, tak że jego wyostrome zmysły smaku i węchu stymulują powstawanie nowych połączeń nerwowych.

– To wszystko jest częścią twojego zdrowienia – mówi mu Roberta w trakcie posiłku. – Częścią twojego rozwoju.

Po lunchu siadają, żeby odbyć codzienny rytuał przy poziomym ekranie, przeglądając obrazy, które mają pobudzać jego pamięć wzrokową. Teraz są bardziej skomplikowane. Nic tak prostego jak wieża Eiffla czy wóz strażacki. Są tam mało znane dzieła sztuki, które Cam musi zidentyfikować – jeśli nie tytuł samego obrazu czy rzeźby, to przynajmniej artystę. Sceny ze sztuk teatralnych.

– Kim jest ta postać?

– To lady Makbet.

– Co ona robi?

– Nie wiem.

– W takim razie wymyśl coś. Użyj wyobraźni.

Są też fotografie ludzi z rozmaitych sfer, i Roberta każe Camowi wyobrażać sobie, kim oni są. Co mogą myśleć. Roberta nie pozwala mu nic powiedzieć, dopóki nie poświęcił chwili na poszukanie właściwych słów.

– Mężczyzna w pociągu. Zastanawia się, co dzisiaj będzie na obiad. Pewnie znowu kurczak. Znudziły mu się te kurczaki.

A potem wśród fotografii rozsianych na cyfrowym blacie Cam spostrzega jedną, która przykuwa jego uwagę. Zdjęcie przedstawia dziewczynę. Roberta wędruje za jego wzrokiem, widzi je i natychmiast próbuje je usunąć z ekranu, ale Cam łapie ją za rękę.

– Nie, pozwól mi zobaczyć.

Roberta z ociąganiem zabiera dłoń, odsłaniając zdjęcie. Cam przyciąga je bliżej, obraca i powiększa. Widzi, że dziewczynę sfotografowano bez jej wiedzy. Zdjęcie jest dziwnie wykadrowane. Może zrobiono je z ukrycia. W głowie Cama błyska wspomnienie. Ta sama dziewczyna. W autokarze.

– Tej fotografii nie powinno tu być – mówi Roberta. – Czy możemy przejść do kolejnych?

– Jeszcze nie.

Cam nie potrafi poznać, gdzie wykonano to zdjęcie. Na pewno na dworze. Sucha ziemia, pył. Dziewczyna gra na fortepianie pod czymś ciemnym

i metalicznym, co ją ocienia. Dziewczyna jest piękna.

– Przycięte skrzydła. Roztrzaskane niebo. – Cam zamyka oczy, pamiętając polecenie Roberty, żeby znalazł właściwe słowa, zanim zacznie mówić. – Ona jest jak... anioł, który zrobił sobie krzywdę, spadając na ziemię. Gra, żeby muzyka pomogła jej ozdrowieć, ale nic nie jest w stanie uleczyć jej ran.

– Bardzo ładnie – odpowiada Roberta nieszczerym tonem. – A teraz przejdźmy dalej.

Wyciąga rękę i ponownie próbuje usunąć zdjęcie z ekranu, ale Cam przesuwa je do swojego rogu, gdzie Roberta nie może go osiągnąć.

– Nie. Zostaje tutaj.

Fakt, że Robercie wyraźnie się to nie podoba, sprawia tylko, że Cam czuje jeszcze większą ciekawość. – Kim ona jest?

– Nikim ważnym. – Ale sądząc po reakcji Roberty, jest dokładnie na odwrót.

– Spotkam się z nią.

Roberta prycha gorzko. – To bardzo mało prawdopodobne.

– Zobaczymy.

Kontynuują ćwiczenia umysłowe, ale Cam przez cały czas myśli o tej dziewczynie. Pewnego dnia odkryje jej tożsamość i spotka się z nią. Nauczy się wszystkiego, co potrzebuje wiedzieć, a dokładniej – powiąże ze sobą i uporządkuje wszystkie rzeczy, które już znajdują się w jego rozczłonkowanym umyśle. A gdy to nastąpi, będzie mógł przemówić do tej dziewczyny bez krztyny nieśmiałości – i wtedy, własnymi słowami, w dowolnym języku, jakiego będzie potrzebował, zapyta ją, dlaczego jest taka smutna, i jakie nieszczęśliwe zrzędzenie losu sprawiło, że jeździ na wózku.

[2] Shamu – orka (samica) schwymana w 1965 r., występowała w pokazach w parku rozrywki SeaWorld San Diego, padła w niewoli w 1971 r. Imię „Shamu” nosiły później także inne orki występujące w parkach rozrywki SeaWorld (przyp. tłum.).

CZEŚĆ DRUGA

CALI

Artykuł z gazety USA Today, 26 września 2008

NOWA USTAWA W NEBRASCE PRZYNOŚI NIEPRZEWIDZIANE SKUTKI

Wendy Koch

W środę między godziną 17 a 21 trzech ojców weszło do dwóch szpitali w Omaha i porzuciło tam swoje dzieci. Jeden zostawił dziewięcioro rodzeństwa w wieku od 1 do 17 lat.

Jeśli nie będzie można im udowodnić, że znęcali się nad dziećmi, mężczyznom nie grożą żadne konsekwencje karne. To efekt wprowadzonej w Nebrasce nowej ustawy, jedynej takiej w kraju. Prawo to pozwala rodzicom zostawić dziecko w szpitalu państwowym bez podawania powodów.

Inni rodzice też już zdążyli skorzystać z możliwości porzucenia swoich dzieci. W zeszłym tygodniu w szpitalu zostawiono 13-letnią dziewczynkę. Tydzień wcześniej – dwóch chłopców w wieku 11 i 15 lat. Ogółem ojcowie, matki i opiekunowie z sześciu rodzin – niektórzy samotnie wychowujący swoje dzieci – porzucili czternaścioro nieletnich, w tym siedmioro nastolatków, odkąd ustawa weszła w życie w lipcu.

– Nasze intencje były zupełnie inne – mówi senator stanu Nebraska Arnie Stuthman. Twierdzi, że pomógł przygotować projekt tej ustawy z myślą o ochronie porzucanych noworodków, ale żeby umożliwić jego przegłosowanie, zapis sformułowano tak, żeby obejmował wszystkie dzieci. – Otworzyliśmy puszkę Pandory – dodaje.

*Pełny tekst artykułu dostępny na stronie:
http://www.usatoday.com/news/health/2008-09-25-Left-kids_N.html*



4. RODZICE

Otwierają drzwi we dwójkę. Ojciec i matka, których czoła marszczą się w konsternacji, kiedy dociera do nich, kto przybył. Antycypowali tę chwilę, ale nie spodziewali się jej.

W progu stoi funkcjonariusz policji, a za nim jeszcze trzech po cywilnemu. Ten w mundurze jest młody. Wszyscy czterej wyglądają młodo. Ostatnimi czasy rekrutuje się ich coraz wcześniej.

– Jesteśmy tu, żeby zrealizować zlecenie podzielenia numer 53-990-24. Podmiot nazywa się Noah Falkowski. – Rodzice wymieniają między sobą przerażone spojrzenia.

– Przyjechaliście o dzień za wcześnie – mówi matka.

– Nasz harmonogram uległ zmianie – odpowiada mundurowy. – Zgodnie z ustawą mamy prawo przesunąć datę odbioru. Czy możemy prosić o dostęp do podmiotu?

Ojciec daje krok do przodu, żeby sprawdzić nazwisko na mundurze policjanta.

– Proszę posłuchać, panie Mullard – mówi głośnym szeptem – nie jesteśmy przygotowani, żeby teraz oddać syna. Tak jak powiedziała żona, spodziewaliśmy się was dopiero za dwadzieścia cztery godziny. Będziecie musieli wrócić jutro.

Jednak E. Robert Mullard nie czeka na pozwolenie. Wchodzi prosto do domu, a jego drużyna za nim.

– Boże świąty! – woła ojciec. – Miejcie trochę przyzwoitości.

Mullard prychnął wzgardliwie.

– Przyzwoitość? Co wy wiecie o przyzwoitości? – Potem spogląda w głąb korytarza prowadzącego do sypialni. – Noah Falkowski! – woła głośno. – Jeśli tam jesteś, wyjdź.

Piętnastoletni chłopiec wychyla głowę ze swojej sypialni, rzuca jedno spojrzenie na gości i czym prędzej zatrzaskuje drzwi. Mullard daje znak najbardziej muskularnemu ze swoich towarzyszy.

– Jest twój.

– Robi się.

– Walter, nie pozwól mu na to! – prosi kobieta. Walter, zmobilizowany do działania, odwraca się gwałtownie do Mullarda.

– Chcę rozmawiać z pańskim przełożonym.

I wtedy Mullard wyciąga broń.

– Nie macie możliwości stawiać żądań.

To ewidentnie tylko pistolet na naboje usypiające, ale biorąc pod uwagę tamtą paskudną historię z funkcjonariuszem, którego zastrzelono z jego własnej broni, Walter i jego żona nie zamierzają ryzykować.

– Siadajcie – mówi Mullard, wskazując głową wejście do jadalni. Rodzice wahają się. – Powiedziałem, siadajcie! – A potem dwóch członków jego zespołu zmuszają ich, żeby usiedli w jadalni na dwóch krzesłach. Ojciec, rozsądny młody profesjonalista, zakłada, że ma do czynienia z drugim rozsądnym młodym profesjonalistą.

– Czy to wszystko jest naprawdę konieczne, panie Mullard? – pyta spokojniejszym, bardziej ugodowym tonem.

– Nie nazywam się Mullard i nie jestem gliniarzem od małych lat.

Nagle do mężczyzny dociera, że to przecież było oczywiste od samego początku. Wiedział, że ten dzieciak jest za młody, żeby pełnić tak odpowiedzialną funkcję. Blizny na twarzy nadawały mu wygląd... no... *weterana*, ale mimo wszystko nie osiągnął odpowiedniego wieku. Jakim cudem Walter dał się tak łatwo wprowadzić w błąd? I czy twarz tego młodzieńca nie wygląda znajomo? Czy nie widzieli go już wcześniej, może w telewizji? Mężczyzna nie jest w stanie wykrztusić słowa, tak zaszokował go ten nagły, zdecydowanie nieprofesjonalny zwrot wydarzeń.



5. CONNOR

Najprzyjemniejszą rzeczą podczas tych misji są miny rodziców w chwili, kiedy ci uzmysławiają sobie, że zmieniły się reguły gry. To, jak ich spojrzenia biegną w stronę wymierzonej w nich lufy pistoletu, gdy zaczynają rozumieć, że zlecenie podzielenia właśnie stało się bezużytecznym kawałkiem papieru.

– Chcemy tego, czego wy już nie chcecie – oznajmia Connor. – Chcemy waszego syna. – Potem Trace, muskularny członek drużyny, którego chłopak wysłał za Noahem, wyłania się z sypialni, przytrzymując szamoczącego się nastolatka.

– Kiepskie zamki do drzwi teraz produkują, nie to co kiedyś – oznajmia Trace.

– Puść mnie! – krzyczy Noah. – Puść mnie!

Connor podchodzi do niego, podczas gdy Hayden, który również jest w drużynie ratunkowej, wyciąga pistolet załadowany nabojami usypiającymi, żeby mieć pewność, że ojciec ani matka nie wpadną na żaden głupi pomysł.

– Noah, twoi rodzice zamierzali cię oddać na podzielenie – mówi chłopcu Connor. – Gliny z wydziału do spraw małoletnich mają się tu zjawić jutro, ale na twoje szczęście my zjawiliśmy się pierwsi.

Na twarzy dzieciaka odmalowuje się przerażenie. Noah kręci głową, nie chcąc uwierzyć w to, co słyszy.

– Kłamie pan! – Potem spogląda w stronę rodziców, już nie taki pewien swego. – On kłamie, prawda?

Connor nie pozwala rodzicom odpowiedzieć.

– Powiedzcie prawdę. Jesteście mu to winni.

– Nie ma pan prawa tego robić! – krzyczy matka.

– Powiedzcie prawdę! – nalega Connor.

W końcu ojciec wzdycha i odpowiada:

– Tak, powiedział prawdę. Przykro mi, Noah.

Teraz Noah rzuca rodzicom spojrzenie pełne wściekłości, po czym odwraca się do Connora. Connor widzi, jak za jego furią wzbierają łzy.

– Zrobicie im krzywdę? – pyta Noah.

– A chcesz tego?

– Tak. Tak, chcę.

Connor kręci głową.

– Przykro mi, nie działamy w ten sposób. Pewnego dnia będziesz mi wdzięczny, żeśmy tego nie zrobili.

Noah spuszcza wzrok.

– Nie, nie będę.

Trace, który już nie musi tak mocno trzymać chłopca, eskortuje go z powrotem do sypialni, żeby Noah mógł pośpiesznie zapakować trochę rzeczy do plecaka. Nic więcej mu nie zostanie na pamiątkę po piętnastu latach życia.

Podczas gdy pozostali członkowie Connora sprawdzają dom, upewniając się, że nie ma tu nikogo więcej, kto mógłby zadzwonić na policję lub w inny sposób zaszkodzić misji, Connor wręcza ojcu notatnik i długopis.

– Po co to? – pyta mężczyzna.

– Teraz spisze pan dla mnie listę powodów, które sprawiły, że zdecydowaliście się zlecić podzielenie własnego syna.

– A jaki to ma sens?

– Wiemy, że mieliście powody, żeby to zrobić – odpowiada Connor. – Na pewno są głupie; na pewno są samolubne i mocno nieadekwatne do sytuacji, ale mimo wszystko stanowią jakieś uzasadnienie. Przynajmniej powiedzą nam, co za ziółko jest z waszego syna, dzięki czemu może będziemy w stanie lepiej się nim zająć niż wy.

– Ciągłe powtarza pan „my” – odzywa się matka. – Kim wy jesteście?

– Jesteśmy ludźmi, którzy ratują cholerne życie waszego syna. To wszystko, co musicie wiedzieć.

Ojciec żalonym wzrokiem spogląda na mały notatnik.

– Pisz pan – mówi do niego Connor. Ani on, ani matka nie podnoszą wzroku, gdy Trace wyprowadza Noaha z domu do oczekującego samochodu.

– Nienawidzę was! – krzyczy do nich, odwracając się. – Do tej pory nigdy nie mówiłem tego na serio, ale teraz już tak!

Connor widzi, że słowa syna głęboko ranią tych rodziców, ale nie tak głęboko, jak skalpele krajalnicy.

– Jeśli dożyje swoich siedemnastych urodzin, pewnego dnia być może spróbuje wam wybaczyć i wyciągnie do was rękę. Jeśli tak zrobi, nie odrzucajcie tej szansy.

Nie odpowiadają na to ani słowem. Ojciec po prostu wbija wzrok w notatnik. Pisz i pisze. Skończywszy, wręcza notatnik Connorowi. Okazuje się, że zamiast spisać manifest, wynotował w punktach argumenty mające go usprawiedliwić. Krótko i konkretnie. Connor odczytuje je na głos, tak jakby każdy z punktów stanowił oskarżenie rzucone na tych rodziców.

– „Brak szacunku i nieposłuszeństwo”.

Te powody zawsze są wymieniane na pierwszym miejscu. Gdyby każdy rodzic zlecał podzielenie swojego dziecka ze względu na brak szacunku, ludzkość wymarłaby na przestrzeni jednego pokolenia.

– „Destruktywne zachowania w stosunku do siebie oraz cudzej własności”.

Connor wie coś niecoś o zachowaniach autodestrukcyjnych z własnego doświadczenia, zdarzało mu się też dokonywać aktów wandalizmu w chwilach frustracji. Jednak większość dzieciaków wyrasta z tego, czyż nie? Nigdy nie przestaje go zadziwiać, jak bardzo wszystko – nawet podzielenie – skupia się na jak najszybszym rozwiązaniu problemu. Connor patrzy na trzeci punkt z listy i nie może powstrzymać śmiechu.

– „Zaniedbywanie higieny osobistej”?

Kobieta posyła mężowi gniewne spojrzenie, zła, że to napisał.

– Ooo, to mi się podoba! – ciągnie Connor. – „Niezadowolające perspektywy na przyszłość”. To brzmi prawie jak cytat z raportu giełdowego!

Podczas każdej misji ratunkowej Connor czyta na głos powody i za każdym razem zastanawia się, czy to ta sama lista, którą spisaliby jego

rodzice. Tym razem ostatni punkt sprawia, że głos na moment więźnie mu w gardle.

– „Nasza własna porażka jako rodziców”.

A potem złości się sam na siebie. Ci rodzice nie zasłużyli na jego współczucie. Jeśli to oni ponieśli porażkę, czemu ich syn ma za to płacić?

– Jutro, kiedy przyjadą po niego hycle, powiecie im, że uciekł i nie wiecie, dokąd się udał. Nie powiecie im o nas ani o tym, co się tu dziś wydarzyło, bo jeśli to zrobicie, dowiemy się. Monitorujemy wszystkie częstotliwości policyjne.

– A jeśli was nie posłuchamy? – pyta ojciec, wykazując takie samo nieposłuszeństwo, za które chciał skazać swojego syna na śmierć.

– Na wypadek gdybyście rozważali doniesienie na nas władzom, już naszykowaliśmy dla was obojga na sieci elegancki koktajl tożsamościowy.

To sprawia, że miny obojga rodziców robią się jeszcze bardziej niewyraźne niż do tej pory.

– Jaki znowu koktajl?

Hayden odpowiada, dumny, bo to był jego pomysł.

– Wysyłamy przez sieć pojedynczy kod i bingo, wasze nazwiska zostają powiązane z tuzinem znanych władzom grup klakierskich. Wasz ślad cyfrowy będzie tak mocno wplątany w terroryzm, że spędzicie następnych kilka lat przekonując Departament Bezpieczeństwa Krajowego, żeby przestał wam siedzieć na karku.

Oboje rodzice kiwają głowami, z powagą przyjmując tę informację.

– W porządku – mówi mężczyzna. – Macie nasze słowo.

Nastraszenie koktajlem tożsamościowym zawsze skutkuje bez pudła – a zresztą bez względu na to, czy skazane dzieciaki odejdą z Connorem, czy zostaną podzielone, rodzice dostają to, czego chcieli. Ich niesubordynowana latorośl jest odtąd cudzym problemem. Doniesienie władzom na Connora i jego drużynę sprawiłoby tylko, że Noah z powrotem stałby się ich kłopotem.

– Musi pan zrozumieć, byliśmy zdesperowani... – mówi matka tonem niedopuszczającym żadnej dyskusji. – Wszyscy nam mówili, że podzielenie będzie najlepszym rozwiązaniem. Wszyscy.

Connor drze listę powodów na kawałki i rzuca je na podłogę, po czym spogląda kobiecie prosto w oczy.

– Innymi słowy chce pani powiedzieć, że zdecydowaliście się podzielić syna ze względu na naciski otoczenia?

W końcu oboje rodzice załamują się, przytłoczeni stosownym ładunkiem wstydu. Ojciec, początkowo tak buntowniczo nastawiony, nagle wybucha płaczem. To matka do końca pozostaje wystarczająco pozbierana i twarda, żeby rzucić Connorowi ostatnie usprawiedliwienie.

– Staraliśmy się być dobrymi rodzicami... ale przychodzi taki moment, kiedy nie ma już sensu próbować dalej.

– Nieprawda – odpowiada Connor. Potem odwraca się i wychodzi, skazując ich na najgorszą możliwą karę: konieczność dalszego życia ze sobą.

Connor i jego drużyna odjeżdżają minivanem, tak dobranym, żeby nie przykuwał uwagi wyglądem, o fałszywych tablicach rejestracyjnych. Noah Falkowski, co zrozumiałe, z ponurą miną po raz ostatni patrzy na ulice swojego osiedla, umykające wstecz za oknami. Chyba nie zdaje sobie sprawy, kim są ludzie, którzy go stąd zabierają. Sprawia wrażenie, jakby go to nie obchodziło. Connor cieszy się, że Noah go nie rozpoznaje. Chociaż „ZOMZ z Akron” stał się legendarną postacią w niektórych kręgach, jego twarz znacznie rzadziej przewijała się w serwisach informacyjnych niż twarz Leva. Poza tym teraz, gdy wszyscy myślą, że zginął, łatwiej mu działać incognito.

– Odpręż się – mówi Noahowi Connor. – Jesteś wśród przyjaciół.

– Nie mam żadnych przyjaciół – odpowiada Noah. I póki co Connor pozwala mu uważać się nad własnym losem.

O tak późnej godzinie Cmentarzysko w pełni pasuje do swojej nazwy. Ogony samolotów ciemnieją na tle nieba, monumentalne i milczące niczym groby Dzieciaki trzymające wartę stoją na posterunkach z bronią załadowaną nabojami usypiającymi, ale poza tym nic nie wskazuje, że to miejsce jest domem dla ponad siedmiuset Podzielonych ZOMZ-ów.

– Czemuśmy właściwie tu przyjechali? – pyta Noah, gdy drużyna ratunkowa hamuje przy głównej alei, najbardziej ruchliwej „ulicy” cmentarzyska. Stoją przy niej największe samoloty przerobione na kwatery mieszkalne. Każdy ma swoją nazwę – dzieło Podzielonych, którzy dawno opuścili to miejsce. Jedno z dormitoriów żeńskich zostało ochrzczone „Mama Lulu”; „KomBom” to bombowiec z czasów II wojny światowej przekształcony w główną pracownię komputerową i centrum łączności; no i oczywiście jest jeszcze MiCz, czyli „Międzynarodowy Czyściciel”, gdzie

umieszcza się nowo przybyłych takich jak Noah do czasu, gdy otrzymają zajęcie i wdróżą się do życia na Cmentarzysku.

– Cmentarzysko to miejsce, gdzie będziesz mieszkał do czasu, aż skończysz siedemnaście lat – mówi mu Connor.

– Taa, jasne – odpowiada dzieciak. Typowe. Connor po prostu go ignoruje.

– Hayden, zorganizuj mu śpiwór i zaprowadź go do MiCza. Rano zobaczymy, do jakiej pracy się nadaje.

– To kim teraz jestem, śmierdzącym ZOMZ-em, tak? – pyta Noah.

– Nazywają nas ZOMZ-ami – odpowiada Hayden – ale my mówimy o sobie: Cali. A co się tyczy smrodu, no cóż, chyba wszyscy jesteśmy skłonni przyznać, że powinieneś przy pierwszej okazji odwiedzić nasz barak z prysznicami.

Dzieciak wydaje odgłos niczym poirytowany byczek, a Connor szczyrzy zęby w uśmiechu. To Hayden wymyślił określenie „Cali”, bo „podzielenie” i „ZOMZ” były negatywnymi etykietkami, które przyczepił im świat. – Powinieneś wybielać życiorysy polityków – powiedział Connor Haydenowi, na co ten odpowiedział żartobliwie:

– Mdl mi od zapachu wybielacza; rzygałbym od takiej roboty.

Hayden, Connor i Risa to troje ostatnich żyjących jeszcze Całych, którzy przebywali w ukryciu u Soni wieki temu. Tamto doświadczenie sprawiło, że tak się zaprzyjaźnili, jakby znali się od zawsze.

Noah niechętnie odchodzi z Haydenem do Międzynarodowego Czyścica, a Connor może wreszcie przez chwilę porozkoszować się spokojem i ciszą. Spogląda w kierunku DosMaca, odrzutowca, gdzie śpi Risa. Światła są tam pogaszone, tak jak w pozostałych samolotach służących za kwatery, ale podejrzewa, że dziewczyna wyjrzała na zewnątrz, gdy tylko usłyszała, że przyjeżdżają. Chciała się upewnić, że Connor wrócił cały i zdrowy.

– Nie jestem pewna, czy te wasze misje są szlachetne czy głupie – powiedziała mu kiedyś.

– A czemu nie mogą być jednocześnie głupie i szlachetne? – odpowiedział wtedy Connor. Prawda jest taka, że ratowanie pojedynczych nastolatków z jakiegoś powodu daje mu znacznie więcej satysfakcji niż zarządzanie na co dzień całym obozem. Te wypadki pozwalają mu nie oszaleć.

Kiedy został mianowany zarządcą Cmentarzyska, początkowo zakładano, że będzie to tymczasowe rozwiązanie. Ruch Przeciwników Podzielenia miał

znaleźć kogoś mogącego zająć miejsce Admirała – kogoś dysponującego takim wizerunkiem, żeby dało się go przedstawić opinii publicznej jako nadzorcę dużej operacji odzyskiwania surowców z niesprawnych samolotów. A potem zdali sobie sprawę, że nie jest to konieczne. Mieli swoich ludzi w biurze Cmentarzyska – mieszczącym się w baraku koło bramy wjazdowej – i ci pracownicy zajmowali się gospodarczo-finansową częścią całego przedsięwzięcia. Tak długo, dopóki Connor dbał o to, żeby młodzież pracowała, miała co jeść i była cicho, RPP nie widział powodu, żeby wynajmować kogoś innego na jego miejsce.

– Spoglądasz na swoje królestwo?

Connor odwraca się i widzi, że nadchodzi Trace.

– Nie jest moje, ja tu tylko pracuję – odpowiada Connor. – Nowy już się zadomowił?

– Taa. Straszny maruda z niego. Narzeka, że koc jest za szorstki.

– Przejdzie mu. Wszystkim prędzej czy później przechodzi.

Trace Neuhauser to armiak z lotnictwa wojskowego, który porzucił dotychczasowe życie i dołączył do ruchu oporu, kiedy jego siostra została podzielona. Zdezerterował ze swojej jednostki przed sześcioma miesiącami, ale nadal pozostaje armiakiem w pełnym znaczeniu tego słowa. Napompowane sterydami mięśnie plus wykształcenie ograniczone do kwestii związanych z wojskiem i walką.

Connor nigdy nie lubił armiaków. Może dlatego, że znają cel swojego istnienia na tym świecie i na ogół sprawnie go realizują. Patrzenie na nich zawsze sprawiało, że Connor czuł się bezużyteczny. Fakt, że armiak stał się dla niego tak bliskim przyjacielem, dowodzi, że ludzie się zmieniają. Trace ma dwadzieścia trzy lata, ale przyjmowanie rozkazów od osiemnastolatka nie stanowi dla niego problemu.

– w łańcuchu dowodzenia nie ma ograniczeń wiekowych – powiedział kiedyś Connorowi. – Mógłbyś mieć sześć lat, a gdybyś był moim zwierzchnikiem, tak czy owak wykonywałbym twoje rozkazy.

Niewykluczone, że właśnie za to Connor go lubi; bo skoro taki facet respektuje fakt, że Connor tu dowodzi, być może wcale nie jest takim kiepskim przywódcą.

Kolejny dzień rozpoczyna się tak, jak każdy inny dzień na Cmentarzysku. Od rzeczy, które trzeba zrobić. Admirał nazywał to „bieżnią strażaka” –

niekończący się trucht, żeby zdeptywać zarzewia problemów. – Przywództwo polega głównie na pilnowaniu, żeby w kiblach działały spłuczki – powiedział kiedyś Connorowi. – Chyba że trwa wojna i jesteś na froncie. Wtedy pilnujesz, żeby jak najwięcej ludzi przeżyło. Ani jedno, ani drugie nie należy do przyjemności.

W głównej alei Cmentarzyska nastolatki już zgromadziły się pod odrzutowcem rekreacyjnym, oglądając telewizję lub grając w gry wideo. Jeszcze większa liczba mieszkańców rozpoczęła swój dzień pracy – rozmontowują lub naprawiają części samolotów zgodnie z poleceniami otrzymanymi od pracowników biura. Czasem Connorowi łatwiej jest myśleć, że wszystko to dzieje się mimo jego obecności, a nie dzięki niej.

Gdy tylko zostaje dostrzeżony, rozpoczyna się ostrzał.

– Hej, Connor – mówi jeden z nastolatków, podbiegając do niego – nie chcę marudzić, ale słuchaj, czy możemy dostać jakieś lepsze jedzenie? Znaczący się, rozumiem, że nie możemy wybrzydzać i tak dalej, ale jeśli będę musiał jeszcze raz zjeść gulasz o smaku wołowiny, w którym w ogóle nie ma wołowiny, to chyba się porzygam.

– Taa, nie ty jeden – odpowiada mu Connor.

– Panie Akron – mówi dziewczyna wyglądająca na jakieś czternaście lat. Connor nie może się przyzwyczać do faktu, że mieszkańcy Cmentarzyska, zwłaszcza młodsze dzieciaki, nie tylko notorycznie zwracają się do niego z absurdalną grzecznością, ale też myślą, że Akron to część jego nazwiska – nie wiem, czy pan wie, ale wentylatory w Mamie Lulu przestały działać i w nocy jest tam strasznie gorąco.

– Przyślę kogoś, żeby to naprawił – mówi jej Connor. Potem podchodzi trzeci nastolatek, narzekając, że wszędzie jest za dużo śmieci i czy nie można by z tym czegoś zrobić.

– Przysięgam, że przez większość czasu czuję się jak woźny – mówi Connor do Tracę'a. – Potrzebuję jeszcze tuzina rąk, żeby wszystko tu szło przynajmniej jako tako.

– Już dysponujesz tuzinem rąk – przypomina mu Trace. – Musisz się tylko przełamać w kwestii korzystania z nich.

– Jasne, wiem – odpowiada Connor, bo słyszał to już wcześniej. Nie powinien się wkurzać na Tracę'a za to, że ten zwraca mu uwagę. W końcu Connor właśnie dlatego trzyma go przy sobie – żeby eks-żołnierz mógł mu doradzać, jak kierować obozem. Connor zaakceptował już tę dziwną

rzeczywistość, w której został kimś na kształt przywódcy, ale – tak jak mówił Admirał – jest to dość niewdzięczna fucha.

Po tym, jak Admirał pozostawił Connora na stanowisku dowodzenia, ten utworzył coś na kształt struktury władzy: wewnętrzny krąg, zewnętrzny krąg i wszystkich pozostałych. Członkowie jego wewnętrznego kręgu mają za zadanie dbać o takie rzeczy, jak dostawy żywności oraz utylizacja ścieków, ponieważ Connor ma na głowie znacznie ważniejsze sprawy. Takie jak pilnowanie, żeby wszyscy mieszkańcy Cmentarzyska pozostali w jednym kawałku.

– Zwołam dzisiaj zebranie – mówi Trace’owi. – I postaram się rozdzielić zadania między ludzi.

– Może – odpowiada Trace – powinieneś uważać na to, komu je powierzysz.

Connor nigdy nie przypuszczał, że będzie w stanie sobie poradzić z taką odpowiedzialnością, ale teraz, gdy już to wie, żałuje, że nie może się cofnąć do czasów, kiedy odpowiadał wyłącznie za siebie. Jest jeszcze tyle rzeczy, które powinien zrobić. Dzięki Levowi i chybionemu zamachowi klakierów Connor uniknął podzielenia, ale nadal nie czuje się do końca cały.



6. RISA

Spośród wszystkich mieszkańców Cmentarzyska tylko jedna osoba jest niepełnosprawna. Ponieważ niepełnosprawnych chroni prawo, nie grozi im podzielenie, tak więc nigdy nie pojawiają się na Cmentarzysku razem z innymi nieletnimi zbiegami. Ten przykład pokazuje dobitnie, że publiczne sumienie przypomina ser szwajcarski. Ci, których obdarzono łaską, mają szczęście. Gorzej z tymi, którzy znaleźli się w dziurach.

Risa jest niepełnosprawna z własnej woli. Dokładniej – odmówiła poddania się operacji, która wyleczyłaby jej złamany kręgosłup, ponieważ oznaczałoby to, że otrzymałaby kręgosłup podzielonego nastolatka. Dawniej poważne urazy neurologiczne miały nieodwracalne skutki, a jeśli spotkał cię taki los, spędzałeś resztę swoich dni jako inwalida. Risa zastanawia się, czy ciężiej jest żyć właśnie tak, czy też żyć ze świadomością, że można cię wyleczyć, ale świadomie się na to nie zgadzasz.

Mieszka teraz w starym odrzutowcu pasażerskim McDonnell Douglas MD-80, który został wyposażony w drewnianą rozkładaną rampę prowadzącą do głównego wjazdu. Samolot trafnie ochrzczono „Dostępny Mac”, w skrócie „DosMac”. Aktualnie oprócz Risy mieszka w nim dziesięcioro nastolatków mających zwichnięte kostki czy inne tymczasowe problemy z poruszaniem się. We wnętrzu odrzutowca rozwieszono zasłonki, żeby stworzyć wszystkim namiastkę prywatności. Risa dostała dawną kabinę pierwszej klasy, pomiędzy wjazdem a kokpitem. Dzięki temu ma do dyspozycji większą przestrzeń życiową, ale nie może znieść faktu, że

wyróżnia ją to spośród pozostałych. Cały ten przekłety odrzutowiec odróżnia ją od reszty – i chociaż strzaskany kręgosłup przysparza jej chwały jako rana wojenna, nie zmienia to faktu, że Risa jest stale skazana na specjalne traktowanie.

Oprócz DosMaka jeszcze tylko jeden samolot został wyposażony w rampę – odrzutowiec medyczny, gdzie Risa pracuje. Oznacza to, że dziewczyna ma dostęp do bardzo ograniczonej liczby zamkniętych przestrzeni, tak więc spędza czas na wolnym powietrzu, jeśli tylko jest w stanie wytrzymać w upale.

Dzień w dzień o piątej rano Risa czeka na Connora pod bombowcem typu stealth, któremu nadali nazwę „Smoczek”. Dzień w dzień Connor się spóźnia.

Rozpościerające się szeroko czarne skrzydła bombowca tworzą gigantyczny trójkąt cienia, a jego poszycie, przystosowane do rozpraszania fal radarowych, dosłownie wysysa skwar z powietrza. To jedno z najbardziej odlotowych miejsc na Cmentarzysku – pod różnymi względami.

– Już myślałam, że nie przyjdiesz – mówi Risa, gdy Connor wreszcie wchodzi w cień pod brzuchem Smoczka.

– Nadzorowałem rozmontowywanie silnika.

– Jaasne – odpowiada Risa, szczerząc zęby w uśmiechu. – Wszyscy tak twierdzą.

Connor przynosi z sobą napięcie na te codzienne spotkania. Utrzymuje, że tylko przebywając w towarzystwie Risy może poczuć się normalnie, ale nigdy się tak naprawdę nie odpręży. Prawdę mówiąc, odkąd spotkała go po raz pierwszy, nigdy nie widziała go wyluzowanego. Świadomość, że legendy o nich obojgu krążą gdzieś tam w szerokim świecie żyjąc własnym życiem, nie pomaga. Opowieści o Connorze i Risie zdążyły już wrosnąć głęboko we współczesny folklor, bo niewiele rzeczy fascynuje ludzi tak bardzo jak miłość między przestępcami. Risa i Connor są niczym Bonnie i Clyde nowej ery: ich wizerunki widnieją na T-shirtach i na naklejkach nalepianych na zderzaki.

Ciężko jej pojąć, że można zyskać taką sławę tylko dlatego, że przeżyło się eksplozję w ośrodku donacyjnym Happy Jack. Tylko dlatego, że Connor miał szczęście być pierwszym Podzielonym, jaki kiedykolwiek wyszedł w jednym kawałku z „krajalnicy”. Oczywiście reszta świata sądzi, że Connor zginął tam, a Risa przepadła bez wieści – albo też jest martwa, albo ukrywa

się gdzieś za granicą, gdzie ZOMZ-owie mogą liczyć na azyl, o ile gdziekolwiek na świecie istnieje takie miejsce. Dziewczyna zastanawia się, co stałoby się z jej legendą, gdyby ludzie dowiedzieli się, że Risa przebywa tutaj, na pustyni w Arizonie, opalona i brudna.

Podmuch wiatru ciska jej w oczy jeszcze więcej pyłu. Dziewczyna intensywnie mruga, żeby pozbyć się ziarenek piasku, kiedy Connor staje przed nią.

– Jesteś gotowa? – pyta.

– Zawsze.

Potem Connor klęka przed wózkiem inwalidzkim i zaczyna masować jej nogi, próbując pobudzić krążenie w tych częściach ciała Risy, które utraciły czucie. Ten fizyczny kontakt między nimi stanowi część ich codziennego rytuału spotkań. Jest chłodny jak zabieg medyczny, ale równocześnie zaskakująco intymny. Jednak dzisiaj Connor wydaje się dziwnie rozkojarzony. Nieobecny myślami.

– Coś cię dręczy jeszcze bardziej niż zwykle – mówi Risa. Nie jest to pytanie, tylko stwierdzenie faktu. – No dalej, przyznaj się, o co chodzi.

Connor wzdycha, podnosi na nią wzrok i zadaje pytanie za sto punktów.

– Czemu tu jesteśmy, Riso?

Risa zastanawia się nad tym przez moment.

– Czy chcesz zapytać, „czemu tutaj jesteśmy” w sensie filozoficznym, jako gatunek, czy też „czemu tutaj jesteśmy” robiąc to, co robimy na oczach wszystkich, którzy uznają za stosowne na nas patrzeć?

– Niech patrzą – odpowiada Connor. – Mam to gdzieś. – I jest oczywiste, że mówi prawdę, bo dla mieszkańców Cmentarzyska prywatność to pierwsza rzecz, z jaką musieli się pożegnać. Nawet mały prywatny odrzutowiec, w którym Connor urządził sobie kwaterę, nie ma zasłonek w oknach. Nie, Risa wie, że zachowanie chłopaka nie ma nic wspólnego z ich codziennym rytuałem, ani też z doniosłą kwestią sensu istnienia. Chodzi o przetrwanie.

– Chodzi mi o to, dlaczego wszyscy nadal przebywamy na Cmentarzysku? Dlaczego gliniarze jeszcze nas wszystkich nie usąpili i nie zgarnęli?

– Sam to powiedziałaś. Nie uważają nas za zagrożenie.

– Ale powinni – odpowiada Connor. – Nie są głupi... a to oznacza, że mają jakiś inny powód, żeby nas póki co nie ruszać.

Risa wyciąga rękę, żeby rozmasować jego napięte ramię.

– Za dużo myślisz.

Connor uśmiecha się, słysząc to.

– Kiedy mnie poznałaś, miałaś pretensje, że myślę Za mało.

– No cóż, widocznie twój mózg nadrabia zaległości.

– Po wszystkim, przez co przeszliśmy... po tym, co widzieliśmy... czy możesz mnie winić?

– Bardziej cię lubię, kiedy jesteś człowiekiem czynu.

– Czyny powinno się gruntownie zaplanować. Ty mnie tego nauczyłaś.

Risa wzdycha.

– Tak, zdaje się, że faktycznie to zrobiłam. I stworzyłam potwora.

Uświadamia sobie, że zarówno ona sama, jak i on ulegli głębokiej przemianie pod wpływem tego, co wydarzyło się w ośrodku donacyjnym Happy Jack. Risa lubi myśleć, że ich dusze zostały zahartowane jak stal pod wpływem ognia, ale czasem ma wrażenie, że te okrutne płomienie tylko zrobiły im krzywdę. Jednak mimo wszystko cieszy się, że przeżyła i może oglądać daleko idące konsekwencje tamtych wydarzeń. Takie jak ustawa „Cap-17”.

Jeszcze przed eksplozją w Happy Jack w Kongresie przedstawiono projekt ustawy mającej obniżyć górną granicę wieku dla podzielenia o okrągły rok, do siedemnastych urodzin zamiast osiemnastych jak do tej pory. Nie spodziewano się, że „projekt Cap-17” przejdzie – prawdę mówiąc większość ludzi w ogóle o nim nie słyszała, i dopóki w serwisach informacyjnych nie zaczęto mówić o Happy Jack – i dopóki twarz biednego Leva Caldera nie pojawiła się na okładkach wszystkich większych gazet. Niewinny chłopiec, cały w bieli. Błyszczące oczy i ładna buzia uśmiechająca się ze szkolnego zdjęcia. Jak to idealne dziecko mogło zostać klakierem? To pytanie sprawiło, że rodzice w całym kraju przystanęli i zaczęli się zastanawiać... bo jeśli coś takiego mogło się przytrafić Levowi, kto zagwarantuje, że ich własne dziecko też nie postanowi pewnego dnia zmienić swojej krwi w środek wybuchowy i zdetonować się w przyływie wściekłości? A fakt, że Lev postanowił się *nie* zdetonować, zaniepokoił ludzi jeszcze bardziej, bo nie mogli go tak po prostu zaszufładować jako zdemoralizowanego. Musieli przyjąć do wiadomości, że Lev posiadał duszę – posiadał sumienie – co oznaczało, że być może społeczeństwo przyczyniło się do tego, że został klakierem. A potem nagle – tak jakby miało to załagodzić powszechne poczucie winy –

przegłosowano ustawę Cap-17. Nikogo nie można było już podzielić po siedemnastych urodzinach.

– Znowu rozmyślasz o Levie, prawda? – pyta Connor.

– Skąd wiesz?

– Bo ilekroć to robisz, czas się zatrzymuje, a twoje oczy wędrują ku ciemnej stronie księżyca.

Risa opuszcza dłonie, żeby dotknąć jego ręk, które przerwały masaż, a Connor ponownie skupia się na pobudzaniu jej ospałego krążenia.

– Wiesz, ustawę Cap-17 przegłosowano ze względu na niego – mówi dziewczyna. – Zastanawiam się, jak Lev się czuje w związku z tym.

– Założę się, że śnią mu się koszmary.

– Albo – podsuwa Risa – może dostrzega pozytywne strony tego faktu.

– A ty? – pyta Connor.

Risa wzdycha.

– Czasami.

Prawo Cap-17 miało stanowić zmianę na lepsze, ale z czasem stało się jasne, że tak nie jest. Oczywiście następny ranek przyniósł euforię, gdy telewizja pokazała tysiące siedemnastolatków wypuszczanych z ośrodków donacyjnych. Był to triumf ludzkiego współczucia i wielki sukces przeciwników podzielenia, ale to samo poczucie zwycięstwa pozwoliło wszystkim ponownie zignorować całokształt problemu. Podzielenie pozostało legalne, ale teraz ludzie mogli znowu odwracać wzrok w przekonaniu, że mają czyste sumienie.

A potem rozpoczęła się burza w mediach: powódź reklam tak zaprojektowanych, żeby przypominać opinii publicznej, o ile „lepiej” się żyje, odkąd zawarto Porozumienie Podziału. „Nie ma lepszego rozwiązania niż podzielenie” – brzmiał jeden ze sloganów, albo „Nastolatek z problemami? Jeśli go kochasz, pozwól mu odejść”, oraz, oczywiście, ulubione hasło Risy: „Otwórz się na nowe doświadczenia: podzielenie będzie niezapomnianym przeżyciem”.

Risa prędko uświadomiła sobie smutną prawdę na temat ludzkości: ludzie wierzą w to, co się im powie. Może nie za pierwszym razem, ale za setnym najbardziej szalona idea zostaje przyjęta jako coś oczywistego.

A ta myśl każe dziewczynie ponownie zastanowić się nad pytaniem Connora. Biorąc pod uwagę niedobór Podzielonych w skali kraju po tym, jak weszła w życie ustawa Cap-17, oraz społeczeństwo przyzwyczajone

do tego, że w każdym momencie mają do dyspozycji tyle organów, ile potrzebują – dlaczego gliniarze nie przypuścili jeszcze szturm na Cmentarzysko? Dlaczego wszyscy zbiegli Podzieleni wciąż jeszcze tu są?

– Jesteśmy tutaj – mówi Risa – bo jesteśmy. I powinniśmy po prostu być za to wdzięczni losowi dopóty, dopóki ten stan rzeczy się utrzymuje. – Potem dziewczyna delikatnie dotyka jego ramienia, dając mu do zrozumienia, że pora kończyć masaż. – Powinam już wracać do samolotu medycznego. Na pewno czeka tam na mnie od groma otarć, podbitych oczu i gorączek, którymi trzeba się zająć. Dzięki, Connor. – Bez względu na to, ile razy chłopak wyświadcza jej tę przysługę, zawsze jest zawstydzona, że tego potrzebuje.

Connor opuszcza z powrotem luźne nogawki jej spodni w kolorze khaki i stawia jej stopy na podpórkach wózka inwalidzkiego.

– Nigdy nie dziękuj facetowi za to, że cię obmacał.

– Nie tam, gdzie mógłbyś – odpowiada kokieteryjnie Risa.

Connor posyła jej krzywy uśmiezek w miejsce wszelkich słów, jakimi mógłby odpowiedzieć.

– Myślę, że chwile, które spędzamy razem, podobałyby mi się jeszcze bardziej – ciągnie dziewczyna – gdybyś był tu obecny duchem, a nie tylko ciałem.

Connor podnosi rękę, żeby pogłodzić twarz Risy, ale powstrzymuje się w ostatniej chwili i zmienia dłonie, żeby dotknąć dziewczyny lewą zamiast prawej. Tą, z którą się urodził.

– Przepraszam, to tylko...

– ...twój mózg nadrabia zaległości. Wiem. Ale naprawdę bym chciała, żeby wreszcie nadszedł dzień, kiedy będziemy mogli być razem, bez tych wszystkich czarnych myśli. Wtedy będziemy wiedzieli, że wygraliśmy.

Potem rusza w stronę samolotu medycznego, samodzielnie manewrując wózkiem na nierównej powierzchni. Jak zwykle. Nigdy, przenigdy nie pozwoli, żeby ktoś ją popychał.



7. CONNOR

Nazajutrz po południu zjawia się przedstawiciel Ruchu Przeciwników Podzielenia – trzy dni po pierwotnie ustalonej dacie zaplanowanego spotkania z Connorem. Wygląda niechlujnie, jest brzuchaty i mokry od potu.

– A jeszcze nawet nie nadeszło lato – mówi Connor, mając nadzieję, że tamci pojną skalę problemu. Za parę miesięcy w Arizonie zacznie się najgorętsza pora roku. Lepiej, żeby RPP się ogarnęło i zaczęło działać, bo inaczej będą mieli do czynienia z mnóstwem wkurzonych ZOMZ-ów. To znaczy z tymi, którzy przetrwają upały.

Rozmowa odbywa się w niegdysiejszym samolocie prezydenckim, który dawniej służył jako kwatery Admirala, ale teraz jest używany już tylko jako sala konferencyjna. Mężczyzna przedstawia się jako Joe Rincon, „Ale mów mi Joe. W RPP wszyscy jesteśmy na ty.” Siada przy stole konferencyjnym, wyciąga notatnik i długopis. Już zaczyna zerkać na zegarek, tak jakby wolał się teraz znajdować gdzie indziej.

Connor ma do przekazania długą listę skarg ze wszystkich zakątków Cmentarzyska. Dlaczego dostawy żywności przychodzą tak rzadko? Gdzie jest sprzęt medyczny, o który prosili? A części do wentylatorów i generatorów? Dlaczego samoloty z uratowanymi Podzielonymi przylatują bez zapowiedzi – i w zasadzie czemu przylatują prawie puste? Przywożą po pięć czy dziesięć osób, podczas gdy dawniej potrafiło ich być pięćdziesiąt i więcej na jeden kurs. Ponieważ ciągle brakuje żywności, niewielka liczba

nowo przybywających nie martwi Connora aż tak bardzo, ale ta sprawa go niepokoi. Jeśli ruch oporu znajduje coraz mniej ZOMZ-ów, to znaczy, że pierwsi odnajdują ich hycle – albo gorzej, tak zwani „piraci części”.

– Co się z wami dzieje, ludzie? Dlaczego RPP ignoruje wszystkie nasze prośby?

– Naprawdę nie ma się czym martwić – odpowiada Rincon, co stanowi dla Connora czerwona flagę, bo ani słowem nie wspomniał, że się martwi. – Nadal trwa reorganizacja.

– Nadal? Nikt nam nie powiedział, że w ogóle zaczęła się jakaś reorganizacja. I co to w praktyce oznacza?

Rincon ociera rękawem koszuli pot z czoła.

– Naprawdę nie ma się czym martwić.

W ciągu ostatniego roku do Connora stopniowo dotarło, jak działa Ruch Przeciwników Podzielenia. Szczerze mówiąc czułby się szczęśliwszy bez tej wiedzy. Kiedy jeszcze był zwykłym ZOMZ-em, nie miał innego wyboru, jak tylko wierzyć, że RPP to sprawna machina ratunkowa o dobrze naoliwionych trybach – ale nijak nie odpowiadało to prawdzie. Sprawnie funkcjonowało jedynie Cmentarzysko – zadbał o to Admirał, a Connor, jego spadkobierca, pilnuje, żeby tak pozostało.

Powinno do niego dotrzeć, że w RPP pozory wyglądają bardziej różowo niż rzeczywistość, już w chwili, kiedy zaakceptowali sugestię Admirała, żeby to Connor został nowym szefem Cmentarzyska, zamiast przysłać bardziej doświadczonego dorosłego. Skoro byli gotowi bez mrugnięcia okiem pozwolić, żeby osiemnastolatek zarządzał ich sanktuarium dla ZOMZ-ów, coś tu nie grało.

Był taki szalony czas, kiedy kolejne transporty uratowanych przylatywały co kilka dni. Na Cmentarzysku przebywały wtedy ponad dwa tysiące nastolatków, a RPP regularnie przysyłał dostawy wszystkiego, czego potrzebowali. Potem, gdy uchwalono ustawę Cap-17, Connorowi kazano natychmiast wypuścić wszystkich podopiecznych, którzy mają skończone siedemnaście lat. Stanowili oni duży odsetek populacji Cmentarzyska, ale Connor na własną rękę zdecydował, że załatwi to stopniowo, wypuszczając ich partiami, żeby nie zalać miasta Tucson falą ponad dziewięciuset bezdomnych nastolatków. Fakt, że chciano, aby po prostu pozbył się tych wszystkich dzieciaków za jednym zamachem, powinien stanowić kolejny sygnał ostrzegawczy, że w centrali RPP dzieje się coś złego.

Ostatnia partia siedemnastolatków opuściła Cmentarzysko dwa miesiące po tym, jak Connorowi polecono ich zwolnić, ale RPP obcięło dostawy natychmiast po wydaniu rozkazu, tak jakby te dzieciaki nagle przestały być ich problemem. Ponieważ część młodszych nastolatków też opuściła obozowisko, żeby wyjechać do pracy w ramach programów zorganizowanych jeszcze przez Admirala, a inni zdezerterowali, kiedy brakowało żywności, liczba mieszkańców Cmentarzyska zmniejszyła się do około siedmiuset osób.

– Widzę, że urządziliście sobie piękny ogród. Hodujecie też kury, prawda?

– pyta Rincon. – Do tej pory na pewno staliście się już samowystarczalni.

– Daleko nam do tego. „Zielona aleja” zaspokaja zaledwie mniej więcej jedną trzecią naszego zapotrzebowania na żywność, a ponieważ RPP spóźniało się z dostawami, byliśmy zmuszeni napadać na ciężarówki dostawcze w Tucson.

– Oj – mówi Rincon. Tylko „oj” i nic więcej, a potem zaczyna obgryzać końcówkę swojego długopisu.

Connor, którego cierpliwość była wystawiona na ciężkie próby od pierwszego dnia, ma już serdecznie dość gadania, które donikąd nie prowadzi.

– Zamierzasz mi wreszcie powiedzieć coś użytecznego, czy też przyjechałeś tu tylko po to, żebym marnował przez ciebie czas?

Rincon wzdycha.

– Wszystko sprowadza się do jednego, Connor. Sądzymy, że bezpieczeństwo Cmentarzyska jest zagrożone.

Connor nie wierzy własnym uszom. Co ten dureń wygaduje?

– Oczywiście, że bezpieczeństwo Cmentarzyska jest zagrożone! To ja was o tym poinformowałem! Urząd do Spraw Małoletnich wie o nas i od dnia, kiedy przejąłem odpowiedzialność za to miejsce, powtarzam, że powinniśmy się przenieść gdzie indziej!

– Tak, pracujemy nad tym, ale póki co nie możemy inwestować cennych zasobów w obóz, na który policja może lada dzień zrobić nalot.

– Więc zamierzacie po prostu pozwolić, żebyśmy tu wyzdychali?

– Tego nie powiedziałem. Wygląda na to, że macie tutaj wszystko pod kontrolą. Przy odrobinie szczęścia gliniarze nie zdecydują się na szturm...

– Przy odrobinie szczęścia? – Connor zrywa się i wściekły odchodzi od stołu. – Ruch oporu powinien działać, a nie liczyć na szczęście. Ale czy

wy podejmujecie jakieś działania? Nie! Wysłałam wam plany infiltracji ośrodków donacyjnych oraz pomysły, jak można uwalniać młodzież nie stosując przemocy, tak, żeby nie wkurzać ludzi i nie doprowadzić do odwetu, ale wszystko, co słyszę ze strony RPP, to „pracujemy nad tym, Connor” albo „rozważymy to, Connor”. A teraz ty mi mówisz, że mam liczyć, że przy odrobinie szczęścia przeżyjemy? To jaki, do cholery, jest w ogóle pożytek z RPP?

Rincon traktuje to jak dobrą wymówkę, żeby zakończyć spotkanie, co wyraźnie miał wielką ochotę zrobić od momentu, gdy się zjawił.

– Hej, ja jestem tylko wysłannikiem! Nie wyladowuj się na mnie!

Ale są rzeczy, których Connor po prostu nie jest w stanie znieść, i nagle odkrywa, że pięść Rolanda już leci w kierunku twarzy pana „Mów-Mi-Joe” Rincona. Cios trafia go w oko, a Rincon zatacza się do tyłu i opiera o wręgę. Spogląda na Connora nie z pogardą, tylko ze strachem, tak jakby spodziewał się, że ten nie poprzestanie na jednym uderzeniu. To by było na tyle, gdy chodzi o unikanie przemocy. Connor się cofa.

– To była wiadomość ode mnie – mówi. – Proszę, przekaz ją ludziom, którzy cię przysłali.

Wśród samolotów stojących na Cmentarzysku znajduje się pozbawiony skrzydeł rejsowy boeing 747, który został opróżniony z całego wyposażenia, a następnie przerobiony na siłownię. Ochrzczono go GimBo, chociaż niektórzy mówią na niego „pokład bojowy”, bo ciągle wybuchają tam burdy.

To tam Connor chodzi, żeby odreagować wszystko, co go frustruje.

Okłada pięściami wielki worek bokserski niczym zarodnik, który zawziął się, żeby wygrać przez nokaut w pierwszej rundzie. Wyobraża sobie przy tym twarze wszystkich dzieciaków, które wkurzyły go tego dnia. Wszystkich, którzy wykręcają się od zrobienia tego, co powinni robić. Pozwala też, żeby wezbrał w nim gniew na takich ludzi jak Rincon, na hycli, którym musiał stawiać czoła, na uśmiechniętych pracowników ośrodka donacyjnego, usiłujących stworzyć wrażenie, że podzielenie to szlachetna i prorodzinna inicjatywa. Na końcu przywołuje z pamięci twarze rodziców, którzy uruchomili ciąg wydarzeń, w efekcie którego Connor wylądował tutaj. Ilekroć o nich myśli, chętnie waliłby w worek jeszcze mocniej niż jest w stanie, a równocześnie nie potrafi znieść poczucia winy za to, że tak ich nienawidzi.

Ciosy, które wymierza lewą ręką, są śmiesznie słabe w porównaniu z tymi, do których zdolna jest prawa. Connor spogląda na wytatuowanego rekina, który gapi się na niego z przedramienia. Ten rekin tygrysi jest jeszcze brzydszy od prawdziwego. Chłopak musi przyznać w myślach sam przed sobą, że już się przyzwyczaił do tego widoku, ale nigdy go nie polubi. I jeszcze kolor włosków porastających tę rękę, gęstszych i ciemniejszych niż te na drugiej. *On tu jest* – mówi sobie Connor. *Roland tu jest podczas każdego ciosu, który wymierzam jego ręką.* A najbardziej dobija go fakt, że walenie w worek sprawia mu przyjemność – tak jakby ta przeszczepiona ręka czuła się wtedy szczęśliwa.

Podchodzi do urządzenia do wyciskania sztangi w leżeniu na ławce, a kilku nastolatków, którzy ćwiczyli tam na zmianę, natychmiast robi mu miejsce – to jedna z drobnych korzyści z bycia szefem interesu. Connor sprawdza ciężary, dodaje po dwa i pół kilograma z każdej strony po czym kładzie się na wznak i zaczyna wyciskać. Robi to codziennie i każdego dnia nienawidzi tego ćwiczenia najbardziej ze wszystkich... bo właśnie podczas wyciskania w leżeniu najbardziej rzuca się w oczy różnica między jego lewą i prawą ręką. Ręka, z którą się urodził, z trudem podnosi sztangę. I Connor nagle uzmysławia sobie, że nawet teraz wciąż jeszcze walczy z Rolandem.

– Chcesz, żeby cię ubezpieczyć? – pyta ktoś za nim. Connor przekręca głowę i widzi, że stoi nad nim dzieciak, na którego wszyscy wołają po prostu Starkey.

– Tak, jasne – odpowiada. – Dzięki. – Zaczyna wykonywać kolejną serię. Ręka, z którą się urodził, zaczyna już boleć, ale chłopak nie chce się poddawać... Jednak po siedmiu powtórzeniach jego mięśnie dają za wygraną i Starkey musi mu pomóc z powrotem zaczepić sztangę w bezpiecznej pozycji.

Starkey wskazuje wytatuowanego rekina.

– To twoja pamiątka po Happy Jack?

Connor siada, czując, jak palą go mięśnie, i spogląda na tatuaż.

– Dostałem go razem z ręką.

– Prawdę mówiąc – odpowiada Starkey – miałem na myśli właśnie rękę. Tak kombinuję, że skoro gość, który jest przeciwnikiem podzielenia, ma rękę Podzielonego, to prawdopodobnie nie z własnego wyboru. Chętnie bym usłyszał, jak do tego doszło.

Connor parska śmiechem, bo nikt jeszcze nie odważył się otwarcie zadać mu tego pytania. Prawdę mówiąc, możliwość pogadania o tym przynosi mu ulgę.

– Był taki jeden gość, prawdziwy twardziel. Raz próbował mnie zabić, ale mu się nie udało. W każdym razie to był ostatni dzieciak, którego podzielono w Happy Jack. Ja miałem być następny, ale właśnie wtedy klakierzy wysadzili kralnicę. Straciłem rękę, a kiedy odzyskałem przytomność, już miałem tę tutaj. Wierz mi, nie z wyboru.

Starkey słucha tego wszystkiego i kiwa głową, nie komentując ani słowem.

– To twoja odznaka honorowa, chłopie – mówi na koniec. – Noś ją z podniesioną głową.

Connor stara się dowiedzieć czegoś o każdym nastolatku, który trafia na Cmentarzysko – poznać ich chociaż trochę, żeby nie czuli się po prostu jak anonimowi mieszkańcy obozu oczekujący na wyłapanie i podzielenie. Co zatem wie na temat Starkeya? Ten chłopak z całą pewnością posiada silną osobowość, a jego uśmiech sprawia nieco enigmatyczne wrażenie. Ma kręcone rude włosy – farbowane, bo z ciemnymi odrostami, które urosły o ponad dwa centymetry, odkąd zjawił się w obozie miesiąc wcześniej. Jest raczej niski, solidnie zbudowany, nie chudy. Krępy, tak się mówi na ten typ sylwetki – jak zapaśnik – a niezachwiana pewność siebie sprawia, że wydaje się wyższy. Krążą też pogłoski, że w czasie ucieczki zabił jednego czy dwóch gliniarzy, ale to tylko plotki i nic więcej.

Connor dobrze pamięta dzień, w którym Starkey przybył na Cmentarzysko. W każdej grupie nowych trafia się co najmniej jeden dzieciak, który uważa, że wysadzanie w powietrze ośrodków donacyjnych to świetny pomysł. Prawdę mówiąc, przypuszczalnie połowa z nich tak sądzi, ale tuż po przybyciu większość jest zbyt onieśmielona, żeby głośno o tym krzyczeć. Ci, którzy to robią, później zwykle okazują się albo utrapieniem dla Connora, albo odwrotnie, przodownikami pracy. Jednak Starkey od momentu przybycia wyraźnie stara się nie rzucać w oczy. Dostał robotę w kuchni przy wydawaniu posiłków, a wieczorami chodzi po obozie, popisując się drobnymi sztuczkami iluzjonistycznymi przed każdym, kto ma ochotę popatrzeć. Przypomina to Connorowi jego pierwszą noc po tym, jak stał się ZOMZ-em. Kierowca ciężarówki, który zaoferował mu schronienie, pokazał mu swoją przeszczepioną dłoń i przedramię. Ręka należała

do Podzielonego, a wraz z nią biorca dostał umiejętność wykonywania sztuczek karcianych.

– Będziesz musiał mi pokazać parę tych twoich sztuczek, Starkey – mówi Connor, a Starkey sprawia wrażenie lekko zaskoczonego.

– Wszystkich w obozie kojarzysz z imienia?

– Tylko tych, którzy z jakiegoś powodu zapadli mi w pamięć. Wiesz co, zamienimy się – mówi Connor. – Będę cię ubezpieczał.

Zamieniają się miejscami i Starkey zaczyna wyciskać sztangę, ale daje za wygraną po dwóch powtórzeniach.

– Chyba spasuję.

Siada na ławeczce i przez dłuższą chwilę mierzy Connora spojrzeniem. Większość ludzi nie jest w stanie patrzeć Connorowi w oczy. Czują się onieśmieleni – albo przez blizny, albo przez nimb legendy, który go otacza. Jednak Starkey nie odwraca wzroku.

– To prawda, że ryzykowałeś schwytnie, żeby uratować niemowlę podrzucone przez bociana?

– Taa – odpowiada Connor. – To nie była najmądrzejsza decyzja w moim życiu.

– Czemu to zrobiłeś?

Connor wzrusza ramionami.

– Wtedy wydawało mi się, że to dobry pomysł. – Próbuje zbyć pytanie śmiechem, ale Starkey się nie śmieje.

– Jako niemowlę zostałem podrzucony przez bociana – mówi mu.

– Przykro mi to słyszeć.

– Spoko, wszystko dobrze się skończyło. Chcę tylko, żebyś wiedział, że szanuję cię za to, co zrobiłeś.

– Dzięki. – Ktoś na zewnątrz zaczyna wołać Connora tonem z gatunku „mój-problem-zagraża-całej-planecie”, który Connor słyszy regularnie – Służba wzywa. Trzymaj się, Starkey. – Opuszcza siłownię, czując się trochę lepiej niż wtedy, kiedy tam wchodził.

Nie widzi jednak tego, co następuje po jego wyjściu. Starkey kładzie się na ławeczce i zaczyna wyciskać sztangę, bez najmniejszego trudu wykonując dwadzieścia powtórzeń z tym samym obciążeniem co wcześniej.

Po zachodzie słońca Connor zwołuje zebranie swojego wewnętrznego kręgu – siedmioosobowej grupy, którą Hayden ochrzcił mianem „Całe Ciało

Decyzyjne” i tak już zostało. Spotykają się w prywatnym odrzutowcu Connora na północnym krańcu głównej alei zamiast w starym samolocie Air Force One, który wciąż jeszcze śmierdzi po jego spotkaniu z „Mów-Mi-Joe”, wysłannikiem ruchu oporu.

To nie Connor wpadł na pomysł, żeby mieszkać w prywatnym odrzutowcu, i nie on wykombinował sobie, że będzie nosił błękitne moro. Jedno i drugie zasugerował Trace. Miało to pomóc ugruntować obraz Connora jako nieulekłego przywódcy.

– A jaka armia nosi błękitne moro, na litość? – spytał ze śmiechem Connor, kiedy były lotnik po raz pierwszy wysunął tę sugestię.

– Taki kamuflaż stosuje się podczas ataków z powietrza z wykorzystaniem plecaków odrzutowych – wyjaśnił mu Trace. – Nigdy nie próbowano tego w praktyce, ale w teorii działa.

Idea była taka, żeby wyróżnić Connora spośród pozostałych. Admirał miał swój mundur obwieszony medalami – Connor potrzebował czegoś pasującego do jego stylu przywództwa, choć nie bardzo potrafił określić, jaki właściwie jest to styl. Chociaż niespecjalnie mu się podobało, że obóz funkcjonuje na wojskowych zasadach, to Admirał urządził tutaj wszystko niczym małą dyktaturę. Ten system działał, więc Connor nie próbował go naprawiać.

Padła sugestia, żeby urządził sobie kwaterę w starym Air Force One, ale to było w stylu Admirała, nie Connora. Zamiast tego postanowił zamieszkać w małym, zgrabnym odrzutowcu, który niegdyś należał do jakiejś korporacji, a teraz stał na obrzeżach Cmentarzyska. Connor kazał go zaholować na północny kraniec głównej alei.

Od czasu do czasu zdarza mu się podsłuchać, jak dzieciaki narzekają: – Patrzcie na niego, żyje sobie jak król, podczas gdy nam przysługują tylko śpiwory.

– Taka jest natura bestii – przypomina mu za każdym razem Trace. – Nie sposób zasłużyć sobie na szacunek, nie wzbudzając odrobiny niezadowolenia.

Connor wie, że to prawda, ale nie musi mu się to podobać.

Członkowie Całego Ciała Decyzyjnego przychodzą na zebranie mniej więcej punktualnie. Gdy już są w środku, zaczynają się kręcić na luksusowych skórzanych fotelach tylko dlatego, że mogą. Przebywanie

w korporacyjnym odrzutowcu sprawia im znacznie większą frajdę niż Connorowi.

Obecnych jest sześcioro z siedmiorga. Risa, piastująca na Cmentarzysku funkcję szefowej izby chorych, odmawia wstępu do Connorowego odrzutowca tak długo, dopóki nie może tam samodzielnie wjechać wózkiem, a budowanie rampy tylko po to, żeby umożliwić jej wjazd, wydaje się ekstrawagancją.

Trace, który jak zwykle zjawia się pierwszy, jest szefem ochrony oraz osobistym doradcą Connora.

Hayden odpowiada za KomBom, to znaczy za łączność komputerową i radiową, monitorowanie świata zewnętrznego, w tym częstotliwości policyjnych, oraz za całą wymianę informacji z ruchem oporu. Prowadzi też stację radiową dla Całych, której sygnał ma zasięg niecałych ośmiuset metrów. Nazwał ją „Radio Wolny Hayden”.

Jest jeszcze potężnie zbudowana, ponura dziewczyna, na którą wszyscy wołają „Barn” i która odpowiada za wyżywienie obozu. Naprawdę ma na imię Bambi, ale każdy, kto ją tak nazwie, trafia do izby chorych, pod opiekę Risy.

I Drake, chłopak ze wsi, który został mianowany szefem „Działu Samowystarczalności”. Ta szumna nazwa oznacza po prostu gościa, który zarządza farmą, znaną również jako „zielona aleja”. Farma to od początku do końca pomysł Connora. Produkowane tam jedzenie nie raz i nie dwa razy pozwalało mieszkańcom obozu zaspokoić najgorszy głód, kiedy dostawy żywności od RPP były niewystarczające albo zupełnie przestawały przychodzić.

W następnej kolejności zjawia się John, żujący gumę nastolatek z niespokojną nogą, który odpowiada za serwisowanie urządzeń oraz usuwanie odpadów. Na końcu przychodzi Ashley, która wedle własnych słów „skupia się przede wszystkim na człowieku” i zajmuje się „problemami osobistymi”, a ponieważ chyba każdy dzieciak przeznaczony na podzielenie doświadcza „problemów osobistych, przypuszczalnie to ona ma najwięcej pracy z nich wszystkich.

– To o co chodzi? – pyta Barn. – Bo mam robotę.

– Przede wszystkim – mówi im Connor – dzisiaj rozmawiałem z gościem z RPP. Możemy się spodziewać, że dostaniemy od nich więcej tego, co ostatnio.

– Bingo. Już od jakiegoś czasu wiemy, że jesteśmy mniej lub bardziej zdani na siebie, a teraz dostaliśmy oficjalne potwierdzenie. Musicie jakoś dojść z tym do ładu.

– Jeśli biuro nie pozyska wystarczającej ilości gotówki, żeby kupić to, czego nam potrzeba, będziemy musieli tych rzeczy kreatywnie poszukać. – Kreatywne poszukiwania to eufemizm, którym Connor określa kradzieże. Zdarzało się, że musiał wysłać mieszkańców obozu aż do Phoenix, żeby kreatywnie poszukali rzeczy, których RPP nie chce dostarczać. Takich jak trudne do zdobycia leki albo palniki do spawania.

– Właśnie dostałem wiadomość, że w przyszły wtorek dostarczą nam tutaj kolejny odrzutowiec – mówi im Hayden. – Jestem pewien, że kiedy go wybebeszemy, znajdziemy mnóstwo przydatnych rzeczy. Sprężarkowe układy chłodnicze, różne hydrauliczne wihajstry i tym podobne hardkorowe mechaniczne cuda.

A czy do ładowni znowu napchają nam pełno Całych? – pyta ktoś.

– Żaden samolot nie przylatuje tutaj bez zakonspirowanej wkładki mięsnej – odpowiada Hayden. – Ale nie ma sposobu, żeby się dowiedzieć, ile dzieciaków przywiezie.

Mam nadzieję, że tym razem nie przylecą tutaj w trumnach – mówi Ashley. – Macie pojęcie, ilu ludziom śniły się później koszmary?

– Och, daj spokój, trumny wyszły z mody już miesiąc temu – odpowiada Hayden. – Teraz na topie są beczki na piwo.

– Ważniejszą kwestią – mówi Connor – jest opracowanie planu ucieczki. Nie możemy liczyć na to, że RPP nas uratuje, jeśli Urząd do Spraw Małoletnich uzna, że rynek potrzebuje nowych narzędzi.

– Czemu nie możemy po prostu zwinąć biznesu już teraz? – pyta Ashley. – I poszukać sobie nowego miejsca?

– Nie da się z dnia na dzień przenieść siedmiuset dzieciaków, a gdybyśmy podjęli taką próbę, równie dobrze moglibyśmy od razu wysłać sygnał alarmowy do każdego gliniarza od małolatów w Arizonie. Drużyna Haydena nieźle sobie radzi ze śledzeniem stopnia zagrożenia, więc możemy przynajmniej liczyć na to, że dowiemy się trochę wcześniej o planowanym ataku, ale jeśli nie przygotujemy sobie zawnazasu strategii na tę okoliczność, tak czy inaczej będziemy mieli przegwizdane.

Barn posyła gniewne spojrzenie Trace'owi, który nigdy nie mówi wiele podczas takich spotkań.

– A co on sądzi o tym wszystkim?
– Sądzę, że powinniście zrobić to, co Connor wam każe – odpowiada Trace.

Barn prycha.

– Toś się wypowiedział jak prawdziwy armiak.
– Z Sił Powietrznych – odpowiada Trace. – Pamiętaj o tym.
– Rzecz w tym – wchodzi mu w słowo Connor, przerywając wymianę zdań z Barn, zanim Ashley zacznie wygłaszać swoje komunały o panowaniu nad gniewem – że wszyscy musimy intensywnie myśleć nad tym, jak się stąd błyskawicznie ewakuować w razie potrzeby.

Reszta spotkania upływa na roztrząsaniu różnych pomniejszych kwestii organizacyjnych. Connor zastanawia się, jak Admirał był w stanie znosić dyskusje o dostawach podpasek, kiedy zagrożenie wyłapaniem i odstawieniem do ośrodków donacyjnych wisiało nad nimi wszystkimi w każdej minucie każdego dnia. „Cała sztuka tkwi w tym, żeby delegować odpowiedzialność” – powiedział kiedyś Trace, i to właśnie jest powód, dla którego Connor zwołał spotkanie.

– Wszyscy jesteście wolni – mówi w końcu do zebranych – oprócz Bam i Johna, z nimi mam jeszcze coś do obgadania.

Towarzystwo opuszcza pomieszczenie, a Connor prosi Johna, żeby zaczekał na zewnątrz, podczas gdy on porozmawia z Bam w cztery oczy. Wie, co musi zrobić, tyle że nie ma na to ochoty. Są ludzie, którzy czerpią frajdę z przekazywania innym złych wieści, ale Connor nigdy do nich nie należał. Wie, jakie to uczucie, kiedy stawiają cię pod ścianą i mówią, że jesteś do niczego, że nadajesz się tylko do podzielenia.

Bam stoi z założonymi rękami, pozornie wyluzowana, ale widać, że się poci.

– No, o co chodzi?

Powiedz mi, co to była za historia z nieświeżymi klopsami.

Bam wzrusza ramionami, tak jakby nic się nie stało.

– Po co robić z tego wielkie halo? Padł generator zasilający jedną z lodówek. Jest już zreperowany.

– Jak długo był zepsuty?

– Nie wiem.

Czyli nie mieliście pojęcia, jak długo ta lodówka nie chłodziła, a mimo to podaliście ludziom jedzenie, które było w środku?

– A skąd miałam wiedzieć, że się pochorują? Oni je zjedli, więc to ich problem.

Connor wyobraża sobie worek bokserski i zaciska prawą dłoń w pięść. Potem spogląda na rekina i zmusza się, żeby rozluźnić palce.

– Więcej niż czterdzieści osób struło się na ponad dwie doby, a i tak mamy szczęście, że nie było gorzej.

– Dobra, jasne, nie pozwolę, żeby to się powtórzyło. – Bam mówi to tak niegrzecznym tonem, że Connor bez trudu może sobie wyobrazić, jak przez lata odpowiadała w ten sam sposób nauczycielom, rodzicom, gliniarzom, wszystkim autorytetom, z jakimi miała do czynienia w życiu. Connor nienawidzi faktu, że stał się dla niej kolejnym autorytetem do lekceważenia.

– Nie będziesz miała okazji, Bam, przykro mi.

– Zamierzasz się mnie pozbyć z powodu jednego głupiego błędu?

– Nikt się ciebie nie pozbywa – mówi Connor. – Ale nie będziesz już odpowiadała za wyżywienie obozu.

Bam posyła mu długie, palące, nienawistne spojrzenie, po czym stwierdza:

– W porządku. Do diabła z tobą. Nie potrzebuję tej durnej roboty.

– Dziękuję ci, Bam – odpowiada Connor, nie mając pojęcia, co go naszło, żeby jej podziękować. – jak będziesz wychodzić, powiedz Johnowi, żeby tu przyszedł.

Bam kopniakiem otwiera włącznik i opuszcza odrzutowiec, ponura jak chmura gradowa. Odwraca się do Johna, który nerwowo czeka na zewnątrz, skulony, bo uchylił się odruchowo, kiedy kłapa włącznika łomotnęła o ścianę.

– No dalej, wchodź – warczy do niego Bam. – On cię wywala z roboty.

Tego samego wieczoru Connor odnajduje Starkeya, który pokazuje magiczne sztuczki grupce Całych pod kadłubem odrzutowca rekreacyjnego.

– Jak on to robi? – pytają dzieciaki, podczas gdy Starkey sprawia, że bransoletki znikają ludziom z nadgarstków i odnajdują się w cudzych kieszeniach. Gdy pokaz dobiega końca, Connor podchodzi do młodego iluzjonisty.

– Nieźle ci idzie. Ale jako facet, który odpowiada za cały obóz, powinienem poprosić, żebyś mi wyjaśnił, jak to robisz.

Starkey tylko się uśmiecha.

– Magik nigdy nie wyjawia swoich sekretów, nawet facetowi, który odpowiada za cały obóz.

– Słuchaj no – mówi Connor, przechodząc do meritum – mam z tobą do pogadania. Uznałem, że Całe Ciało Decyzyjne wymaga zmiany składu osobowego.

– Mam nadzieję, że to będzie zmiana na lepsze – odpowiada Starkey, łapiąc się za brzuch. Connor śmieje się z cicha, bo wie, że iluzjonista już przeczuwa, o co chodzi. Ale to nie problem.

– Miałbyś ochotę odpowiadać od dzisiaj za kuchnię?

– Uwielbiam dobre żarcie – odpowiada Starkey. – I nie mówię tego ot tak.

– Myślisz, że dasz radę kierować drużyną trzydziestu osób i zorganizować trzy razy dziennie posiłek dla całej reszty obozu?

Starkey skinieniem dłoni wyczarowuje z powietrza jajko i wręcza je Connorowi. Ten widział już tę sztuczkę kilka minut wcześniej, ale teraz stanowi ona zgrabne podsumowanie ich rozmowy.

– Świetnie – mówi Connor. – A teraz wyczaruj jeszcze siedemset na śniadanie. – I odchodzi chichocząc z cicha, wiedząc, że Starkey z całą pewnością potrafi realizować cele i potrafi je realizować jak należy.

Przynajmniej raz Connor ma pewność, że podjął właściwą decyzję.



8. RISA

Wczesnym wieczorem, kiedy pustynia zaczyna stygnąć, Risa zawsze gra na czarnym fortepianie salonowym ustawionym pod lewym skrzydłem samolotu Air Force One Czasem są to melodie, które zna na pamięć innym razem utwory z nut, które takim czy innym sposobem zawędrowały na Cmentarzysko.

Sam fortepian to czarny model „baby grand wyprodukowany przez firmę Hyundai. Risa roześmiała się kiedy zobaczyła go po raz pierwszy. Nie sądziła, że Hyundai produkuje również fortepiany – choć właściwie czemu miałoby ją to dziwić? Międzynarodowe koncerny mogą wytwarzać wszystko, co zechcą, jeśli tylko ludzie będą gotowi to kupować. Wyczytała kiedyś, że firma Mercedes Benz zainwestowała ciężkie pieniądze w sztuczne serca, zanim Porozumienie Podziału sprawiło, że ta technologia z dnia na dzień wyszła z użycia. „Pulsar Omega” – brzmiało hasło z reklamy. „Weź sobie luksus do serca.” Zainwestowali fortunę w ten produkt, tylko po to, żeby stracie wszystko co do grosza, gdy upowszechniło się podzielenie, a sztuczne serca spotkał ten sam los, co pagery i płyty CD.

Dzisiaj Risa gra pełną emocji, lecz subtelnie brzmiącą sonatę Chopina. Melodia rozlewa się wokół niej niczym pełzająca mgła, rozbrzmiewając echem wewnątrz opróżnionych kadłubów samolotowych, w których mieszkają Cali. Dziewczyna wie, że muzyka dodaje im otuchy. Nawet te dzieciaki, które twierdzą, że gardzą muzyką poważną, potrafiły przychodzić i pytać ją, czemu nie grała, jeżeli zdarzyło się jej pominąć noc. Tak więc Risa

gra dla nich, ale nie do końca, bo tak naprawdę gra dla siebie. Czasem na piasku przed nią siedzi publiczność. Kiedy indziej, tak jak dzisiaj, jest sama. Czasem zdarza się, że przychodzi Connor. Siada wtedy obok niej, ale pozostaje zatopiony w myślach, tak jakby bał się wkroczyć w jej muzyczną przestrzeń. Wieczory, kiedy pojawia się Connor, są jej ulubionymi, ale chłopak nie przychodzi wystarczająco często.

– Ma za dużo spraw na głowie – powiedział jej kiedyś Hayden, usprawiedliwiając Connora, który powinien się usprawiedliwić przed nią sam. – Prawdziwy z niego trybun ludowy. – A potem dorzucił ze złośliwym uśmiechem: – Pracuje za dwóch, w sumie słusznie.

Hayden nie przepuszcza żadnej okazji, żeby posłać werbalną szpilę pod adresem niechcianej kończyny Connora. Irytuje to Risa, bo są rzeczy, z których nie powinno się żartować. Czasem zdarzało się jej przyłapywać Connora na wpatrywaniu się w przeszczepioną rękę z tak nieprzeniknioną miną, że aż zaczynała się bać. Tak jakby lada chwila miał wyciągnąć siekiere i na oczach wszystkich odrąbać sobie przedramię. Chociaż przeszczepiono mu również oko, jest ono idealnie dopasowane kolorem do drugiego i pochodziło z nieznanego źródła. To cudze oko nie ma nad Connorem żadnej władzy... ale ręka Rolanda to co innego – jej silny chwyt niesie z sobą potężny ładunek emocjonalnego bagażu.

– Co, zastanawiasz się, czy to rybsko cię nie ugryzie? – spytała kiedyś Risa, widząc, że chłopak wpatruje się w wytatuowanego rekina. Zaskoczony Connor lekko się zaczerwienił, tak jakby przyłapała go na czymś, czego nie powinien robić. Potem wzruszył ramionami, udając, że nic się nie stało.

– Nieee, zastanawiałem się tylko, kiedy i po co Roland sprawił sobie ten głupi tatuaż, jeśli kiedykolwiek spotkam osobę, która dostała kawałek jego mózgu zawierający to wspomnienie, może spytam. – Potem odszedł, kończąc rozmowę.

Gdyby nie codzienny masaż nóg, Risa pomyślałaby, że Connor kompletnie o niej zapomniał. Ale nawet te masaże nie wyglądają już tak jak wcześniej. Teraz sprawiają wrażenie pośpiesznych, prawie symbolicznych. Tak jakby Connor poświęcał jej ten czas tylko dlatego, że poprzysiągł sobie, że będzie to robił, a nie dlatego, że naprawdę chce z nią być.

Myśli o Connorze sprawiają, że Risa myli akord – ten sam cholerny akord, przy którym się pomyliła podczas recitalu, który miał przesądzić o jej przyszłości i po którym wylądowała w autokarze wiozącym ją do ośrodka

donacyjnego. Warknąwszy ze złością, dziewczyna zdejmując palce z klawiszy i bierze głęboki oddech. Jej muzyka niesie się daleko, co oznacza, że jej frustracja zostaje nagłośniona tak skutecznie, jakby nadawało ją Radio Wolny Hayden.

Najbardziej denerwuje ją fakt, że tak bardzo jej zależy. Risa zawsze umiała się zatroszczyć o siebie, zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym. W domu dziecka albo człowiek szybko wykształcał sobie kilka warstw osobistej zbroi, albo inni zjadali go żywcem. Kiedy to się zmieniło? Czy wtedy, kiedy zmuszona była grać w kapeli na dachu, podczas gdy do budynku pod nią wchodziły dzieciaki prowadzone na podzielenie? Czy wtedy, gdy podjęła decyzję, że będzie żyła ze strzaskanym kręgosłupem zamiast pozwolić, aby przeszczepiono jej zdrowy kręgosłup Podzielonego? A może jeszcze wcześniej, kiedy dotarło do niej, że wbrew zdrowemu rozsądkowi zakochała się w Connorze Lassiterze?

Risa kończy grać sonatę, ponieważ bez względu na to, jak się czuje, nigdy nie porzuca utworu w połowie. A potem, doprowadziwszy swój koncert do końca, z trudem zaczyna manewrować wózkem na suchym, nierównym podłożu, żeby podjechać w pobliże czyjś prywatnego odrzutowca.



9. CONNOR

Connor drzemie w fotelu, który jest zbyt wygodny, żeby dało się w nim siedzieć i nie przysnąć, ale nie na tyle wygodny, żeby zapaść w głęboki sen. Budzi się gwałtownie, słysząc, że coś walnęło od zewnątrz w ścianę jego kwatery. Gdy rozlega się drugi głuchy odgłos, chłopak uświadamia sobie, że dźwięk dobiegł z lewej strony. A kiedy słysząc trzecie łupnięcie, do Connora w końcu dociera, że ktoś rzuca czymś ciężkim w jego samolot.

Wygląda przez okno, ale w ciemności widzi tylko swoje własne odbicie. Słysząc kolejne głuche „łup”. Connor osłania dłońmi oczy, przyciskając twarz do szyby. Pierwszą rzeczą, jaką dostrzega, są błękitne odbłaski księżycowego światła na metalowych obręczach. Wózek inwalidzki. Potem widzi Risę, która rzuca kolejny kamień, tym razem trafiając tuż obok okna.

– Co u diabła?

Connor otwiera włącz, mając nadzieję, że następny kamień nie walnie prosto w niego.

– Co się dzieje? Co się stało?

– Nic – odpowiada dziewczyna. – Chciałam po prostu zwrócić na siebie twoją uwagę.

Connor chichocze z cicha. Nie zdołał jeszcze ustalić, w jakim Risa jest nastroju.

– Istnieją lepsze metody.

– Ostatnio nie.

Risa podjeżdża kilka centymetrów do przodu, a potem cofa się, zgniatając grudę ziemi, która nie pozwalała wózkowi stać prosto.

- Nie zaprosisz mnie do środka?
- Jesteś zaproszona. Jesteś nieustająco zaproszona.
- Skoro tak, może powinieneś był zbudować rampę.

I chociaż Connor wie, że później będzie żałował tych słów, mimo wszystko odpowiada:

- Może powinnaś pozwolić, żeby ktoś cię tutaj wniósł.

Risa podjeżdża trochę bliżej, ale nie dość blisko, żeby zniknął dystans między nimi, tylko akurat na taką odległość, żeby w powietrzu zawisło bolesne zakłopotanie.

- Nie jestem idiotką. Widzę, co się dzieje.

Risa może sobie chcieć, żeby ta rozmowa odbyła się właśnie teraz, ale Connor nie ma na to najmniejszej ochoty. Po tym, jak wywalił z roboty Barn i Johna, chce po prostu zakończyć ten dzień, zasnąć i spać bez snów aż do chwili, gdy rano będzie musiał się zmierzyć z nową porcją piekła.

- Dzieje się tylko to, że próbuję nas wszystkich utrzymać przy życiu – odpowiada trochę zbyt poirytowanym tonem – i nie wydaje mi się, żeby to był problem.

Jasne, tak bardzo absorbuje cię utrzymywanie nas wszystkich przy życiu. Nawet kiedy nie jesteś zajęty, jesteś zajęty... a kiedy już przychodzisz, żeby ze mną porozmawiać, to gadasz tylko o RPP i o tym, jak ci ciężko, i że cały ciężar świata spoczywa na twoich ramionach.

- Och, na litość boską, Riso, przecież nie jesteś jedną z tych dziewczyn, które potrzebują nieustannej uwagi faceta, bo tylko wtedy czują się spełnione.

A potem księżyc ponownie wyłania się zza chmur i Connor spostrzega łzy, które błyszczą na jej twarzy.

- Co innego potrzebować uwagi – mówi Risa – a co innego być ignorowaną z rozmysłem.

Chłopak otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale mózg odmawia mu posłuszeństwa. Mógłby wspomnieć o tym, że codziennie masuje jej nogi, żeby pobudzić w nich krążenie, ale Risa już słusznie zauważyła, że nawet wtedy Connor przebywa myślami w innym świecie.

- Chodzi o wózek, prawda?
- Nie! – odpowiada chłopak. – To nie ma z tym nic wspólnego.

- Czyli przyznajesz, że jest jakiś powód.
- Tego nie powiedziałem.
- A co powiedziałaś?

Connor schodzi z odrzutowca na ziemię, pokonując trzy stopnie, które oddzielają jego świat od świata Risy. Klęka przed dziewczyną, próbując zajrzeć w jej oczy, ale te są teraz skryte w mroku.

- Riso, zależy mi na tobie tak samo jak zawsze. Wiesz, że tak jest.
- Zależy ci na mnie?

- Kocham cię, okej? Kocham cię. - Wypowiedzenie tych słów nie przychodzi Connorowi łatwo. Nie przeszłyby mu przez gardło, gdyby nie były prawdziwe, dlatego właśnie wie, że nie kłamie. Naprawdę kocha ją całym sercem. To nie jest problem. I wózek też nie stanowi problemu, ani też jego obowiązki związane z byciem zarządcą Cementarzyska.

- Nie zachowujesz się jak zakochany chłopak.

- Może dlatego, że już nie jestem chłopcem - odpowiada Connor. - I to od dawna.

Risa myśli nad tym przez chwilę, po czym mówi cicho:

- Więc pokaż mi, że czujesz tak, jak czuje mężczyzna, i spraw, żebym ci uwierzyła.

To wyzwanie zawisa ciężarem w powietrzu. Connor przez sekundę wyobraża sobie, że bierze dziewczynę na ręce i wnosi do swojej kwatery sypialnej, niesie ją aż do pokoiku z tyłu i łagodnie kładzie na łóżku, jak przystało na mężczyznę, którym zgodnie z własną deklaracją jest.

Ale Risa nie pozwala, żeby ktokolwiek nosił ją na rękach. Pod żadnym pozorem. Nigdy. I Connor myśli sobie, że może ta cała sytuacja nie wynikała tylko i wyłącznie z jego winy. Może Risa również ponosi odpowiedzialność za tę niewidzialną przepaść między nimi.

Nie wiedząc, jak inaczej mógłby udowodnić swoje uczucia, wyciąga tę rękę, z którą się urodził, odgarnia z twarzy Risy opadające włosy, a potem nachyla się i namiętnie ją całuje. Wkłada całą siłę uczuć, które ich wiążą, i całą nagromadzoną po obu stronach frustrację, w ten jeden superbohaterski pocałunek. To powinno wystarczyć, żeby powiedzieć wszystko, czego on sam nie potrafi wykrztusić... ale kiedy się odsuwa, czuje na policzku dziewczyny wilgoć łez, po czym Risa mówi:

- Gdybyś chciał, żebyśmy byli razem, zbudowałbyś rampę.

Wróciwszy do środka, Connor leży w ciemności na swoim posłaniu, pokrytym pręgami zimnej księżycowej poświaty. Jest zły. Nie na Risę, bo powiedziała prawdę. Zbudowanie rampy dla wózka inwalidzkiego to żaden i problem. Poradziłby sobie z tym w pół dnia.

Ale co by z tego wynikło?

Co by się stało, gdyby Risa naprawdę mogła z nim być pod każdym możliwym względem – i jeśli wytatuowany rekin na jego ręce naprawdę posiada własną wolę? Roland zaatakował ją – chciał ją zgwałcić – a kiedy to się działo, Risa na pewno patrzyła na ten cholerny tatuaż. Zapewniała wprawdzie, że jej to nie martwi, ale martwi Connora do tego stopnia, że myślenie o tym spędza mu sen z powiek. Bo co by było, gdyby stracił kontrolę nad tą ręką – gdyby stracił kontrolę właśnie wtedy, kiedy będą z Risą sami, podczas tych chwil namiętności, których oboje pragną? Co by się stało, gdyby ta ręka chwyciła ją za mocno, szarpała zbyt brutalnie – co by było, gdyby ta ręka uderzyła Risę, zaczęła ją bić i nie chciała przestać? I jakim cudem Connor miałby kiedykolwiek naprawdę z nią być, jeśli potrafi myśleć tylko o wszystkich rzeczach, które ta ręka zrobiła, oraz o rzeczach, które może zrobić w przyszłości?

Lepiej nie pozwolić, żeby do tego doszło.

Lepiej zadbać o to, żeby Risa nigdy nie znalazła się wystarczająco blisko.

Więc nie budujesz rampy. Nigdy nie odwiedzasz Risy w odrzutowcu, gdzie pracuje, a kiedy już nawiązujesz z nią fizyczny kontakt, to tylko na otwartej przestrzeni, gdzie jest to bezpieczne. A kiedy ona odjeżdża od ciebie zapłakana, pozwalasz jej się oddalić i myśleć to, co myśli, cokolwiek to jest, bo to lepsze niż przyznanie przed nią, że jesteś zbyt słaby, żeby czuć się bezpiecznie z własną ręką. A potem, gdy jesteś sam w ciemności swojej prywatnej kwatery, z wściekłością walisz pięścią w ścianę do momentu, gdy twoja pięść zaczyna krwawić, ale nie obchodzi cię to, bo chociaż czujesz ból, wiesz, że to wcale nie jest *twoja* pięść.



10. STARKEY

Starkey poświęca całe dnie na takie czary które wychodzą mu najlepiej – Sa wie, że najbardziej spektakularne magiczne sztuczki wymagają wprawy, cierpliwości i bardzo skrupulatnego odwracania uwagi. Niewykrywalne zmyłki. Od ponad miesiąca nie zdradza swoich ambicji. Gdyby to zrobił, Connor nabrałby podejrzeń. Zamiast tego Starkey poświęcił mnóstwo czasu na badanie relacji między Całymi, studiując sojusze, przyjaźnie oraz strukturę władzy – i w końcu, tak jak starannie to sobie zaplanował, w odpowiednim czasie i miejscu zaskarbił sobie sympatię Connora, któremu nawet przez myśl nie przeszło, że była to część długofalowego zamysłu Starkeya.

Teraz znalazł się na najwyższym szczeblu Cmentarzyska, a chociaż formalnie odpowiada tylko za szykowanie posiłków, dzięki swojej pozycji jest w stałym kontakcie ze wszystkimi siedmioma setkami mieszkańców obozu. Ma większą władzę, łatwiejszy dostęp do różnych miejsc, i zaczyna robić rzeczy, które wcześniej mogłyby się wydawać podejrzane, ale teraz w naturalny sposób wchodzą w zakres jego kompetencji jako członka Całego Ciała Decyzyjnego.

Pewnego popołudnia Starkey jak gdyby nigdy nic zachodzi do KomBomu – pracowni komputerowej i centrum łączności. To królestwo Haydena. Znajdujący się tam wojskowy sprzęt radiowy został zaprojektowany do wyłapywania i dekodowania komunikatów nadawanych przez wroga. Nadal służy do tego samego celu, tylko teraz wrogiem jest Narodowy Urząd

do Spraw Małoletnich. Przy sprzęcie dzień i noc dyżuruje pół tuzina Całych, których Hayden wybrał osobiście, bo świetnie znają się na komputerach.

– Wcale nie jestem takim geniuszem informatycznym, za jakiego wszyscy mnie uważają – mówi Hayden do Starkeya. – Po prostu mam duży talent do zbierania pochwał za cudzą pracę. Sądzę, że odziedziczyłem to po ojcu; wyjątkowo dobrze mu wychodziło deptanie po cudzych palcach, kiedy piął się po korporacyjnej drabinie kariery. – Hayden przez chwilę przygląda się Starkeyowi, a ten tylko uśmiecha się w odpowiedzi.

– Coś nie tak?

– Nie – odpowiada Hayden. – Zastanawiałem się tylko, czy przymierzasz się do zamachu na moje stanowisko. Nie żeby mnie to martwiło. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby przez jakiś czas popracować w kuchni, ale chętnie bym poznał twoje zamiary.

– Chciałbym się po prostu dowiedzieć, jak to wszystko tutaj działa.

– Och – odpowiada Hayden – jesteś jednym z tych. – Starkey nie wie, jakich „tych”, ale nie obchodzi go to. Chce tylko, żeby Hayden wyjawiał mu informacje, które go interesują.

– Mam tutaj ekipę zróżnicowaną pod względem etnicznym – oznajmia z dumą Hayden, oprowadzając go po pomieszczeniu. – Tam jest z pochodzenia Japończykiem, Hailey to umbra, Jeevan jest Indianinem, a Esme półkrwi Latynoską.

Myszę, że musi być w połowie człowiekiem, a w połowie jakąś cholerną kosmitką, bo jej inteligencja wykracza poza ludzką miarę. – Esme uśmiecha się z dumą, po czym wraca do dekodowania zaszyfrowanych wiadomości. – Mamy tu też Nasima, który jest muzułmaninem i pracuje obok Lizbeth, żydówki, i wiesz co? Zakochali się w sobie.

– Goń się – odpowiada Nasim, a Lizbeth wymierza mu cios pięścią, akurat na tyle mocny, żeby było wiadomo, że to prawda.

Hayden wskazuje rozmaite konsole monitoringu.

– Na tej tutaj leci program do monitorowania łączności. Potrafi wyciągać słowa kluczowe z wszelkich komunikatów, od e-maili po rozmowy telefoniczne. Ostrzeże nas, gdyby hycle szykowali jakąś dużą akcję. To coś w rodzaju systemu wczesnego ostrzegania. Pierwotnie opracowano go, żeby zapobiegać atakom terrorystycznym. Fajnie, że teraz możemy wykorzystywać go do pokojowych celów, nie?

– A co zrobimy, jeśli ten program powie, że robi się niebezpiecznie?

– Nie mam zielonego pojęcia – odpowiada Hayden. – To działka Connora.

Jest też konsola, na której Hayden opracowuje playlisty i przygotowuje wywiady dla swojej stacji radiowej „Radio Wolny Hayden”.

Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że sygnał z tego sprzętu dolatuje nie dalej, niż jesteś w stanie krzyknąć – mówi mu Starkey ze złośliwym uśmiechem.

– Oczywiście – odpowiada Hayden. – Gdyby dolatywał dalej, gliny mogłyby go wyłapać.

– No to po co ci radio, którego nikt nie słucha?

– Po pierwsze – mówi Hayden – twoje założenie, że nikt mnie nie słucha, jest niezgodne z prawdą. Szacuję, że w dowolnym momencie doby zawsze mam co najmniej pięciu lub sześciu słuchaczy.

– Tak – potwierdza Tad. – Ma na myśli nas.

– A po drugie – ciągnie Hayden, nie zaprzeczwszy – ta stacja radiowa przygotowuje mnie do kariery dziennikarskiej, którą zamierzam rozpocząć, kiedy skończę siedemnaście lat i opuszczę to miejsce.

– Nie planujesz tu zostać i pomagać Connorowi, co?

– Moja lojalność ma o połowę krótszy termin ważności niż niepasteryzowane mleko – odpowiada Hayden. – Własną piersią zasłoniłbym Connora przed kulą z karabinu i on o tym wie. Ale tylko do dnia moich siedemnastych urodzin.

Brzmi to całkiem szczerze i wiarygodnie aż do chwili, gdy Esmé mówi:

– Myślałam, że już skończyłeś siedemnaście lat.

Hayden przestępuje z nogi na nogę w zakłopotaniu.

– Zeszłoroczne urodziny się nie liczą.

Obok Jeevana leży wydrukowana lista. Imiona, nazwiska, adresy i daty. Starkey podnosi ją.

– A to co?

– Nasz przyjaciel Jeeves przygotowuje dla nas listę wszystkich dzieciaków skazanych na podzielenie stąd aż do Phoenix.

– To te dzieciaki, po których wysyłacie misje ratunkowe?

– Nie po każdego – odpowiada Hayden. – Wybieramy tylko niektórych. Nie jesteśmy w stanie uratować wszystkich, ale robimy co możemy. – Wskazuje pozycje zaznaczone kolorem. To ci, którzy mają zostać uratowani. Przeglądając listę, Starkey czuje, jak narasta w nim gniew. Na liście znajdują

się informacje o każdym nastolatku, w tym data urodzenia, ale przy niektórych nazwiskach zamiast niej figuruje data podrzucenia przez bociana. I żaden z bocianich podrzutków nie został zaznaczony.

– Czyli ty i Connor nie lubicie ratować dzieciaków, które podrzucił bocian? – pyta Starkey, nawet nie próbując zamaskować chłodu, z jakim to mówi.

Hayden sprawia wrażenie autentycznie zaskoczonego i bierze listę, żeby się jej przyjrzeć.

– Hmm, jakoś nigdy nie zwróciłem na to uwagi. Prawdę mówiąc ta kwestia nie ma dla nas znaczenia. Szukamy jednaków mieszkających w słabo oświetlonych dzielnicach na przedmieściach. To oznacza mniej potencjalnych świadków i mniejsze szanse, że ktoś na nas doniesie. Widzisz, bracia i siostry nie potrafią trzymać języka za zębami niezależnie od tego, czym im zagrozimy. Przypuszczam, że matki, które podrzucają niemowlęta, zwykle wybierają ludzi, którzy już mają przynajmniej jedno własne dziecko. Ciężko znaleźć bocianiego podrzutka, który byłby jedynakiem.

– W takim razie – mówi Starkey – może powinniśmy zmienić kryteria.

Hayden wzrusza ramionami, jakby chodziło o coś nieistotnego, jakby ta sprawa nie miała znaczenia, i jego reakcja tylko potęguje złość Starkeya.

– Pogadaj o tym z Connorem – odpowiada, a następnie powraca do omawiania kolejnych urządzeń znajdujących się w centrum łączności, ale Starkey już go nie słucha.

Pod wpływem odkrycia, którego dokonał w KomBomie, Starkey wpada na pomysł, jak zmienić reguły gry. Po kolei odnajduje wszystkie bocianie podrzutki na Cmentarzysku. Nie jest to łatwe zadanie, bo większość z nich ukrywa fakt, że przyniósł ich bocian, traktując to jak wstydliwą tajemnicę. Jednakże Starkey nie kryje tego, że sam został znaleziony na progu domu, i wkrótce bocianie podrzutki zaczynają do niego przychodzić z własnej inicjatywy, widząc w nim swojego bohatera i obrońcę.

Okazuje się, że ćwierć populacji Cmentarzyska to dzieciaki podrzucone przez bociana. Starkey zachowuje tę informację dla siebie.

Dziewczyna imieniem Barn, która z początku go nienawidziła za to, że zajął jej miejsce w Całym Ciele Decyzyjnym, szybko przełamuje się i zaczyna go lubić, bo ona też jest bocianim podrzutkiem.

– Jeśli chcesz się zemścić na Connorze, cierpliwości – mówi jej Starkey. – Niedługo nadarzy się okazja. – I Barn niechętnie daje się przekonać, że to prawda.

Pewnego dnia Starkey podchodzi do Connora, kiedy ten akurat nadzoruje wymontowywanie silnika.

– Zgłosił się ktoś, kto chce go kupić, czy zostanie wystawiony na aukcji? – pyta Starkey przyjaznym tonem.

– Ci z biura dali znać, że go chcą. Nic więcej nie wiem.

– Na tym silniku pisze „Rolls Royce”. Myślałem, że oni produkują tylko samochody.

– Nie.

Starkey dalej gada o nieistotnych rzeczach, do momentu, gdy jest pewien, że Connora wkurza konieczność dzielenia uwagi między silnik a rozmówcę. I właśnie wtedy Starkey wyciąga z rękawa to, z czym tak naprawdę przyszedł.

– Słuchaj, tak sobie myślałem... Wiesz, że przyniósł mnie bocian, no nie? No i wiesz, to nic wielkiego, ale pomyślałem, że fajnie by było zarezerwować trochę czasu przy odrzutowcu rekreacyjnym tylko dla bocianich podrzutków. Tylko po to, żeby im pokazać, że już nikt nie będzie ich dyskryminował.

– Taa, w porządku, jasne – odpowiada Connor, gapiąc się na silnik, szczęśliwy, że może zakończyć tę rozmowę. W ogóle do niego nie dociera, na co właśnie wydał pozwolenie.

Starkey nadaje grupie, którą powołał do życia, nazwę „Bociani Klub” i wybiera dla nich godzinę spotkań – co wieczór od siódmej do ósmej. Podczas gdy oczy wszystkich skierowane są w innym kierunku, na Cmentarzysku rodzi się nowa kasta. Bociani Klub to jedyna mniejszość posiadająca specjalne prawa w postaci zarezerwowanego czasu przy odrzutowcu rekreacyjnym. To posmak uprzywilejowania, jakiego te dzieciaki nigdy dotąd nie miały okazji zaznać – i Starkey chce, żeby rozkoszowały się tym uczuciem. Chce, żeby przyzwyczyły się do tego. Chce, żeby oczekiwały takiego traktowania – i wiedziały, że Starkey może im to zapewnić.

Ponieważ Starkey odpowiada teraz za wyżywienie obozu, członkowie Bocianiego Klubu zaczynają zajmować miejsce innych osób wydających posiłki i z mrugnięciem oka serwują większe porcje innym bocianim

podrzutkom. Jedyni członkowie Całego Ciała Decyzyjnego, którzy dostrzegają zawiązywanie się tych małych, potajemnych sojuszy, to Ashley, której zadaniem jest wykrywanie potencjalnych źródeł konfliktów między mieszkańcami obozu, oraz ten okropny chłopak nazwiskiem Sherman, który zajął miejsce Johna i odpowiada teraz za urządzenia sanitarne oraz usuwanie odpadów. Okazało się, że Ralphy'ego można łatwo przekupić, żeby przymknął na wszystko oko, a gdy chodzi o Ashley, można powiedzieć, że Starkey kontroluje sytuację.

– Co będzie, jeśli specjalne traktowanie bocianich podrzutków sprawi, że reszta populacji poczuje się urażona? – pyta go Ashley pewnego wieczoru, gdy Starkey nadzoruje wydawanie kolacji.

– No cóż – odpowiada jej z lekko uwodzicielskim uśmiechem – reszta populacji może mnie pocałować w tyłek.

Ta reakcja sprawia, że Ashley leciutko się rumieni.

– Po prostu postaraj się nie rzucać ludziom w oczy z tym, co robisz, dobra?

Nadal emanując urokiem osobistym, Starkey odpowiada:

– Dyskrecja to moja specjalność – a następnie nakłada jej porządną, obfitą porcję jedzenia, przez cały czas zastanawiając się, w jaki sposób mógłby ją wykorzystać w swoich planach.

– Ciężko cię rozgryźć – mówi Ashley. – Naprawdę chciałabym móc ci czytać w myślach.

A Starkey odpowiada na to:

– I nawzajem.

Każdego wieczoru podczas „bocianie j godziny” przy odrzutowcu rekreacyjnym Starkey zasiewa maleńkie ziarenka niezadowolenia wśród grających w bilarda i ping-ponga. Nic tak bezczelnego jak nawoływanie do rewolucji, jedynie niewinne sugestie mające sprzyjać określonemu tokowi myślenia.

– Sądę, że Connor nieźle sobie radzi jak na kogoś, kto nie jest szczególnie sprytny – mówi im od niechcienia. Albo: – Naprawdę lubię Connora. Jako przywódca sprawdza się tak sobie, ale prawda, że to świetny gość?

Starkey nigdy nie wykazuje otwartego nieposłuszeństwa; nie służyłoby to jego celom, wprost przeciwnie. Nie chodzi mu o to, żeby obalić Connora,

tylko żeby pozbawić go powszechnego poparcia. Nawet nie zasugeruje, że to on powinien zająć miejsce Connora. To pozostałe bocianie podrzutki prędzej czy później wysuną tę sugestię bez żadnych zabiegów z jego strony. Starkey wie, że tak będzie, bo ma świadomość, że każdy podrzuty przez bociana dzieciak w głębi serca marzy o świecie, gdzie nie będzie traktowany jak obywatel drugiej kategorii. To sprawia, że Starkey jest kimś więcej niż tylko przewodniczącym klubu. Te marzenia czynią go nadzieją wszystkich bocianich podrzutek.

CZĘŚĆ TRZECIA

PODRÓŻ

Informacje zebrane w Internecie w październiku 2011 r.

Ceny nerek i innych organów na nielegalnych rynkach całego świata zostały oszacowane na podstawie dostępnych źródeł i podane w dolarach Stanów Zjednoczonych. Cena reprezentuje albo kwotę wypłaconą osobie sprzedającej dany narząd, albo kwotę, którą zapłacił nabywca narządu.

| | |
|---|---------------------------------|
| Średnia kwota zapłacona przez nabywcę nerki: | \$ 150 000 |
| Średnia kwota wypłacona sprzedającemu nerkę: | \$ 5000 |
| Pośrednik sprzedaży nerki w Jemenie: | \$ 60 000 |
| Pośrednik sprzedaży nerki na Filipinach: | \$ 1 000 do \$ 1 500 |
| Nabywca nerki w Izraelu: | \$ 125 000 do \$ 135 000 |
| Nabywca nerki w Mołdawii: | \$ 100 000 do \$ 250 000 |
| Nabywca nerki w Singapurze: | \$ 300 000 |
| Nabywca nerki w Stanach Zjednoczonych: | \$ 30 000 |
| Nabywcy nerek w Chinach: | \$ 87 000 |
| Nabywcy nerek w Arabii Saudyjskiej: | \$ 16 000 |
| Sprzedawca nerki w Bangladeszu: | \$ 2 500 |
| Sprzedawca nerki w Chinach: | \$ 15 000 |
| Sprzedawca nerki w Egipcie: | \$ 2 000 |
| Sprzedawca nerki w Kenii: | \$ 650 |
| Sprzedawca nerki w Mołdawii: | \$ 2 5000 do \$ 3 000 |
| Sprzedawca nerki w Peru: | \$ 5 000 |
| Sprzedawca nerki na Ukrainie: | \$ 200 000 |
| Sprzedawca nerki w Wietnamie: | \$ 2 410 |
| Sprzedawca nerki w Jemenie: | \$ 5 000 |
| Sprzedawca nerki na Filipinach: | \$ 2 000 do \$ 10 000 |
| Nabywca wątroby w Chinach: | \$ 21 900 |

Sprzedawca wątroby w Chinach:

\$ 3 660

Źródło: www.havocscope.com



11. PALACZ

Chłopiec jest przekonany, że wkrótce umrze. Spadając do wykopanego dołu zwichnął kostkę, może wręcz ją złamał. Teraz jest opuchnięta i sina, a od urazu minęło kilka długich dni. Paskudnie boli, ale nie jest to największy z jego problemów.

Dół ma prawie trzy metry głębokości i nawet ze zdrową kostką chłopiec nie dałby rady samodzielnie się z niego wydostać. Przez pięć dni głośno wzywał pomocy, aż w końcu stracił głos i może już tylko sucho chrypieć.

A wszystko przez te głupie szlugi.

Minęły tygodnie, odkąd ostatnio miał okazję zapalić. Jego dostawca ponownie trafił do aresztu, a chociaż niektóre dzieciaki w szkole chwaliły się, że jarają, nikt nie chciał go poczęstować papierosem ani choćby przekazać namiaru na dilera. Właśnie dlatego chłopiec przyszedł do tej dzielnicy, gdzie wznosiły się głównie nieużywane magazyny – puste, gnijące od wilgoci budynki. Wiele z nich było przeznaczonych do rozbiórki, ale nikt nie chciał marnować na to pieniędzy ani siły roboczej.

Chłopiec wiedział, że jeśli chce skołować sobie jeszcze trochę szlugów, w tej części miasta ma na to największe szanse. Nawet gdyby udało mu się wysepić tylko jednego czy dwa od jakiegoś śmierdzącego nałogowego jaracza byłoby warto. Tego dnia po raz trzeci wracał ze szkoły okrężną drogą przez dzielnicę magazynów – i nic. Nikogo. Wyglądało na to, że już nawet nałogowi jaracze przestali uważać tę okolicę za godną zainteresowania.

Łatwo sobie wyobrazić jego zdumienie, kiedy zobaczył otwarte drzwi, a przed nimi – niedopałki rozsypane na ziemi, tak jakby nie było lepszego miejsca, gdzie mogłyby się znaleźć.

Ostrożnie wszedł do niszczonego budynku. Obszerne wnętrze cuchnęło stęchlizną, a płaty farby, która odpadła ze ścian, zaścielały podłogę niczym zeschnięte liście.

A potem to zobaczył – daleko z tyłu magazynu leżał materac. Brudny, wystrzępiony – przypuszczalnie posłanie jakiegoś bezdomnego. Sam materac nie był niczym niezwykłym... ale leżąca na nim fabrycznie zafoliowana paczka papierosów już tak.

Chłopiec nie mógł uwierzyć we własne szczęście! Rozejrzał się, żeby sprawdzić, czy nikt nie patrzy, po czym podbiegł do materaca, postawił na nim nogę i sięgnął po paczkę z papierosami.

Zanim jeszcze jej dotknął, podłoga zapadła się pod nim i chłopiec runął do dołu. Chociaż materac częściowo osłabił jego upadek, prawa kostka uderzyła o twardą ziemię. Prawie zemdlał z bólu, a kiedy oprzytomniał, uzmysłowił sobie, co się stało.

Wściekł się. W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś kawał – że lada chwila w górze pojawią się jego kumple ze szkoły, pokazując go palcami i zwijając się ze śmiechu, nazywając go idiotą. Jednak szybko zrozumiał, że to nie żarty. Znalazł się w pułapce.

Ale jeśli to była pułapka, czemu nikt tu nie przyszedł przez pięć długich dni?

W dniu, kiedy chłopiec wpadł do dołu, znalazł tam baniak z wodą i pudełko krakersów, a także ceramiczny nocnik. Ktokolwiek zastawił pułapkę, nie chciał, żeby ofiara umarła z głodu, ale niezbyt dobrze wyliczył racje. Jedzenie i woda skończyły się po trzech dniach i teraz nie zostało już nic z wyjątkiem przeklętej paczki papierosów, których nie da się wypalić, bo brakuje zapalek. W desperacji chłopiec próbował wyjść z bibułki suchy tytoń w nadziei, że ma on jakąś wartość odżywczą, ale od razu zwrócił to, co połknął.

U schyłku piątej doby jest już pewien, że nikt po niego nie przyjdzie. Znajdą go dopiero wtedy, kiedy będzie już za późno.

A potem tuż przed zapadnięciem zmroku słyszy chrupot kroków. Czyjeś buty rozgniatają płaty farby zaścielające podłogę magazynu.

– Hej! – próbuje krzyknąć. – Tutaj! – Jego głos jest zaledwie sykiem, ale to wystarczy. W górze pojawia się twarz nieznanego.

– Boże, co ty tam robisz? Nic ci nie jest?

– Pomocy...

– Zaczekaj – odpowiada mężczyzna. Odchodzi, a po chwili wraca niosąc aluminiową drabinkę, którą opuszcza w głąb dołu. Chociaż chłopiec nie ma dość sił, żeby ustać na nogach, jakaś ukryta rezerwa adrenaliny umożliwia mu wspięcie się po szczeblach i pomaga znieść ból wywołany opieraniem ciężaru ciała na uszkodzonej kostce. Pół minuty później jest już na górze i rzuca się, żeby uściskać nieznanego, który go uratował.

Mężczyzna pomaga mu usiąść.

– Masz, napij się – mówi podając mu butelkę z wodą. Chłopiec tak łapczywie rzuca się na zawartość, jakby była to jedyna woda na całym świecie. – Jak długo tam siedziałeś?

– Pięć dni. – Chłopiec krztusi się przetykaną wodą, omal nie zaczyna wymiotować, ale udaje mu się utrzymać płyn w żołądku.

Mężczyzna klęka przed nim, kręcąc głową.

– Podzieleni ZOMZ-owie bez przerwy pakują się w kłopoty. Powinieneś być ostrożniejszy.

– Nie jestem Podzielonym – zaprzecza chłopiec.

Mężczyzna uśmiecha się i potakuje porozumiewawczo.

– Taa, jasne, wszyscy to mówią. Nie martw się, zachowam twój sekret w tajemnicy.

A potem chłopiec zniechęca czuje ukłucie w rękę.

– Au! – Widzi na swoim przedramieniu kroplę krwi, w której nieznanemu zanurza czubek małego urządzenia elektronicznego. – Co pan robi?

Mężczyzna ignoruje go, sprawdzając odczyt na aparacie. Ciotka chłopca choruje na cukrzycę i sprawdza w taki sposób poziom cukru we krwi, ale chłopiec podejrzewa, że to urządzenie służy do czegoś innego, chociaż nie jest pewien, do czego konkretnie.

– Hmm – mówi mężczyzna, unosząc brew – wygląda na to, że mówisz prawdę. Twojego DNA nie ma w bazie, gdzie znajdują się dane Podzielonych ZOMZ-ów.

– Aha, rozumiem; jest pan gliniarzem od małolatów! – Chłopiec czuje ulgę, bo gliniarz nie stanowi zagrożenia. Gliniarz zabierze go z powrotem do rodziców, którzy na pewno strasznie się martwią.

No cóż... w swoim czasie *byłem* gliniarzem od małości – odpowiada mężczyzna – ale już się tym nie zajmuję. – Potem wyciąga rękę, żeby chłopiec mógł uścisnąć mu dłoń. – Nazywam się Nelson. A ty jesteś...?

– Bennett, Bennett Garvin. – Dopiero teraz, po tym, jak napił się wody i posiedział chwilę bez ruchu, chłopiec jest w stanie się skupić na tyle, żeby dobrze się przyjrzeć Nelsonowi. Mężczyzna jest nieogolony, ma brudne paznokcie i wygląda na to, że nie dba o siebie. Jednak najbardziej zaskakującym szczegółem w jego wyglądzie są oczy. Ich dziwne, przeszywające, lekko błędne spojrzenie nie pasuje do reszty jego osoby. Prawdę mówiąc te oczy nie pasują nawet do siebie nawzajem. Każde ma inny odcień niebieskiego. Budzi to niepokój.

– Czy mógłby pan zadzwonić do moich rodziców? – pyta Bennett. – Powiedzieć im, że znalazł mnie pan?

Nieznaczny uśmiezek ani na chwilę nie znika z twarzy Nelsona.

– Och, nie sądzę, żebyś mógł na to liczyć w najbliższym czasie.

Bennett nic nie mówi, usiłując połapać się w sytuacji – ale ponieważ od dawna nic nie jadł, a woda, którą wypił, jeszcze się nie wchłonęła, wszystko wydaje mu się lekko mętne.

– Nie mogę cię wypuścić po tym, jak mnie zobaczyłeś. – Potem Nelson szorstko łapie chłopca, maca jego rękę i naciska na żebra. Wsuwa też brudne palce do ust Bennetta, żeby obejrzeć mu zęby jak koniowi. – Nie licząc tego nieszczęsnego stawu skokowego, egzemplarz z ciebie pierwsza klasa, a czarnorynkowych handlarzy organami nie interesuje, czy oficjalnie jesteś Podzielonym, czy nie, zapłacą tak czy owak.

– Nie! – Bennett próbuje się wyrwać, ale brakuje mu sił. – Proszę, niech mi pan nie robi krzywdy!

Nelson parska śmiechem.

– Krzywdy? Przez myśl by mi to nie przeszło. W im lepszym jesteś stanie, tym więcej będziesz wart.

– Moi rodzice mają pieniądze. Zapłacą panu.

– Nie bawię się w okupy – odpowiada mężczyzna – ale coś ci powiem: podobają mi się twoje oczy, są bardzo wyraziste. A ponieważ podobają mi się twoje oczy, dam ci szansę. – Nelson wskazuje wejście do magazynu. – Jeśli zdołasz dobiec do frontowych drzwi, zanim cię uspię, pozwolę ci uciec.

Do diabła, dam ci nawet fory. Całe dziesięć sekund. – Gwałtownie stawia Bennetta na nogi. – Do startu, gotowi, hop!

Bennettowi nie trzeba powtarzać dwa razy. Rzuca się do biegu w stronę drugiego końca magazynu. Kręci mu się w głowie i ma wrażenie, że stopy nie chcą go słuchać. Ale jakimś cudem zmusza je do ruchu.

– Jeden!

W kostce pulsuje mu ból, ale chłopiec go ignoruje. Bołą go płuca, ale nie obchodzi go to. Wie, że to kwestia życia i śmierci. Ból jest zaledwie czymś przejściowym.

– Dwa!

Płaty farby trzeszczą pod jego butami jak skorupki jajek.

– Trzy!

Woda chlupocze mu w żołądku, sprawiając, że ten boli jeszcze bardziej, ale chłopiec nie pozwala sobie zwolnić.

– Cztery!

Drzwi magazynu są szeroko otwarte. Widoczny za nimi półmrok zmierzchu wydaje się tak cudowny jak jaskrawe światło słońca w samo południe.

– Pięć!

Zostało już tylko kilka metrów – prawie dobiegł!

– Sześć-siedem-osiem-dziewięć-dziesięć!

Zanim jeszcze chłopiec pojął, że go oszukano, strzałka ze środkiem usypiającym trafia go w kark, uwalniając pełną dawkę prosto w pień jego mózgu. Nogi załamują się pod nim, a te drzwi, które – jak się zdawało – były już tak blisko, równie dobrze mogłyby się znajdować milion kilometrów stąd. Jego gałki oczne wywracają się, wzrok traci ostrość i chłopiec czuje stęchłą, toksyczną won, kiedy bok jego głowy uderza o ziemię. Walczy, by zachować przytomność, podczas gdy nad nim pojawia się wysoki cień Nelsona – mroczny duch w zamazującym się polu widzenia... I na sekundę przed odpłynięciem w nieświadomość chłopiec słyszy, jak Nelson mówi:

– Naprawdę podobają mi się twoje oczy. Podobają mi się znacznie bardziej niż te, które teraz mam.



12. NELSON

J.T. Nelson wie, że nigdy nie dorobi się majątku, sprzedając pechowe dzieciaki czarnorynkowym handlarzom organami. Nawet w czasach, gdy łapał swoje ofiary legalnie, ciężko było na tym zarobić jakieś konkretne pieniądze – jednak wtedy nie miało to znaczenia. Dopóki był policjantem z wydziału ds. małoletnich, zupełnie zadowalała go stała pensja z ubezpieczeniem zdrowotnym i perspektywą emerytury. Uważał swoją pracę – utrzymywanie porządku i wyłapywanie zbiegłych ZOMZ-ów, aby można było im wymierzyć sprawiedliwość – za więcej niż satysfakcjonującą. Jednak wszystko uległo zmianie w dniu, kiedy ZOMZ z Akron postrzelił go z jego własnej broni. Prawie rok później Nelson nadal nie potrafi wyrzucić z pamięci obrazu Connora Lassitera: tej jego aroganckiej, zadowolonej z siebie miny, kiedy wystrzelił pocisk usypiający, trafiając Nelsona w nogę.

Dla Nelsona to był strzał, którego echo obiegło cały świat.

Od tego momentu jego życie stało się piekłem. Wyśmiewane go nie tylko w komisariacie, ale jak kraj długi i szeroki. Był wykpiwany jako ten niewydarzony gliniarz, który pozwolił niesławnemu Podzielonemu zbiec. Tak oto Connor Lassiter przeszedł do legendy, a Nelson stracił pracę oraz szacunek do siebie. Do diabła, nawet żona go zostawiła.

Mimo to nie nurzał się długo w poczuciu klęski. Był pełen gniewu, ale wiedział, jak można przekuć gniew w coś pozytywnego. Skoro w wydziale ds. małoletnich już go nie chciano, uznał, że równie dobrze może otworzyć własną działalność gospodarczą. Czarnorynkowi handlarze organami nie

śmieją się z tego, że pozwolił Connorowi Lassiterowi uciec, i nie zadają żadnych pytań.

Na początku łapał tylko ZOMZ-ów. Głupie z nich dzieciaki, więc łatwo wpadają w liczne zastawiane przez niego pułapki. Potem schwycił pierwszego uciekiniera z domu: dzieciaka, którego DNA nie było w bazie zawierającej dane Podzielonych ZOMZ-ów. Nelson początkowo sądził, że czarnorynkowi handlarze odmówią przyjęcia takiej zdobyczy, ale nie obchodziło ich to. Jeśli tylko ofiara była zdrowa, płacili ustaloną cenę. Brali nawet takie dzieciaki jak ten, którego udało się zgarnąć dzisiaj – takie, które po prostu miały pecha. Nelson nie ma żadnych oporów przed ich łapaniem. Nie dręczą go wyrzuty sumienia.

Tym, co go dręczy, są ich oczy.

Oto, z czym Nelson ma największy problem. To, jak te dzieciaki na niego patrzą. Te ich pełne strachu, błagalne miny, zawsze pełne nadziei aż do ostatniej sekundy. Zawsze liczą, że on zmieni zdanie. Te oczy wracają do niego w snach. Są zwierciadłem duszy, czyż nie? Ale w tamtych dniach, kiedy Nelson dopiero zaczynał karierę pirata części, przeglądając się w lustrze nie widział w swoich oczach tego, co w oczach wyłapywanych dzieci. W jego „zwierciadłach” nie przeglądała się dusza, i im dłużej spoglądał w swoje puste źrenice, tym większą czuł zazdrość. Chciał zyskać trochę tej niewinności, tej desperackiej nadziei. Tak więc pewnego dnia poszedł do swojego czarnorynkowego odbiorcy towaru i zażądał oczu ostatniej zdobyczy jako części zapłaty. Zdołał wynegocjować tylko jedno oko ale to było lepsze niż nic. Po tamtej pierwszej operacji, ilekroć patrzył na siebie w lustrze, widział w tym oku ślad ludzkich uczuć i czuł krótkotrwały przypływ euforycznej nadziei. To oko przypominało mu idealistycznego młodego człowieka, którym był wiele lat wcześniej. Jednak powstał mały problem: teraz Nelson miał jedno oko brązowe, a drugie niebieskie. Nie można było tego tak zostawić.

Tak więc wynegocjował sobie kolejne oko, ale to oko nie całkiem pasowało do drugiego, więc wynegocjował następne, a potem jeszcze jedno, i z każdą kolejną operacją czuł, jak odzyskuje odrobinę niewinności. Wie, że któregoś dnia – już niedługo – znajdzie oczy, które uczynią go doskonałym, a wtedy wreszcie będzie mógł odpocząć... bo widząc świat oczami innych, Nelson po kawałku odzyskuje siebie.

Czarnorynkowy handlarz nosi drogi europejski garnitur i jeździ porsche. Wygląda bardziej jak zwykły biznesmen niż jak podejrzany typ skupujący żywe mięso. Nie ukrywa tego, że na swoim biznesie zbija grube pieniądze. Przeciwnie – epatuje posiadaniem majątkiem z nonszalancją godną arystokraty. Nelson zazdrości mu stylu.

Przestępca występuje pod pseudonimem „Divan”, jakby był projektantem mody, i nie mówi o sobie „czarnorynkowy handlarz”, tylko „niezależny dostawca”. Jego ośrodek donacyjny leży gdzieś poza granicami kraju, może na wyspie – lokalizacja tego miejsca jest utrzymywana w tajemnicy. Nawet Nelson nie wie, gdzie to jest, i podejrzewa, że nie przestrzega się tam żadnego z licznych przepisów regulujących funkcjonowanie ośrodków donacyjnych w Stanach Zjednoczonych.

Divan wyznaczył Nelsonowi spotkanie w miejscowości Sarnia. To nieduże kanadyjskie miasto leży zaraz za mostem, na którym znajduje się przejście graniczne, a po drugiej stronie jest Port Huron w stanie Michigan. Divan nie może postawić nogi na terytorium Stanów. Wydano względem niego liczne nakazy aresztowania. Jednak Kanadyjczycy wykazują się znacznie większą tolerancją. Nader to miłe z ich strony.

Divan odbiera chłopca z urazem nogi na tyłach salonu samochodowego, który stanowi przykrywkę dla jego nielegalnej działalności. Oglądając zdobycz, handlarz marszczy brwi na widok opuchniętej kostki i karcąco grozi Nelsonowi palcem – to część standardowej strategii zbijania ceny. Chłopiec, już przytomny, ale nadal ogłupiały od dużej dawki środka usypiającego, mamrocze nieskładnie, a chociaż Nelson to ignoruje, Divan delikatnie głaszcze ofiarę po policzku.

– Nic się nie martw – mówi do chłopca. – Nie jesteśmy barbarzyńcami. – To jeden z frazesów, którymi często się posługuje. Wypowiedź tak naprawdę nie przekazuje żadnych informacji, ale mimo to uspokaja schwytanego. Jest wykalkulowana, tak jak wszystko, co robi Divan.

Chłopiec zostaje zabrany, uzgadniają cenę i zgodnie ze swoim zwyczajem Divan płaci Nelsonowi gotówką, wyjmując banknoty z klipsa, w którym tkwi ich całe mnóstwo. Potem jowialnie klepie pirata części po plecach. W czasach, gdy jeszcze był funkcjonariuszem wydziału ds. małoletnich, przełożeni okazywali Nelsonowi znacznie mniej szacunku.

– Zawsze można liczyć, że przywieziesz to, czego potrzebuję. Nie wszyscy moi współpracownicy są równie efektywni. Odkąd Urząd do Spraw

Małoletnich oferuje nagrody za schwytanych Podzielonych, stwierdzam, że coraz mniejsza ich liczba trafia w moje ręce.

– Cholerne prawo Cap-17 – odpowiada Nelson.

– Tak. Miejmy nadzieję, że to nie oznacza, że społeczeństwo zaczyna powracać do swoich starych, mniej cywilizowanych obyczajów.

– Zero szans – odpowiada Nelson. – Ludzie na to nie pozwolą.

Był dzieckiem, kiedy zawarto Porozumienie Podziału i wojna dobiegła końca – ale to nie wojna najbardziej utkwiła mu w pamięci z tamtych czasów, tylko strach przed zdziczeńcami. Po tym, jak załamał się system szkolnictwa publicznego, Stany Zjednoczone załapała fala bezrobotnych, nieuczących się nigdzie nastolatków nie mających nic pożytecznego do roboty. Prawdę mówiąc to właśnie strach przed nimi przyczynił się do wybuchu wojny w większym stopniu niż cokolwiek innego. Jedna ze stron twierdziła, że zdziczeńcy to efekt upadku wartości rodzinnych, druga zaś, że są wytworem sztywnych przekonań, które od dawna już nie przystają do potrzeb świata. Obie strony miały rację. Obie były też w błędzie – ale to nie miało znaczenia w momencie, gdy ludzie bali się wychodzić nocą na ulice, gdzie grasowały ich własne dzieci.

– Wprowadzenie Podzielenia nie tylko zakończyło wojnę – tłumaczy Nelson Divanowi. – W ten sposób wyrывa się chwasty. Żeby nie zagłuszyły nas wszystkich. Ludzie boją się ZOMZ-ów. To pozwoli nam obu utrzymać się w tym biznesie.

– Mam szczerą nadzieję, że się nie mylisz. – Divan otwiera usta, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze, ale zmienia zdanie.

– Czy jest coś, czego mi nie mówisz?

– Nic, czym powinieneś się trapić. Same plotki. Porozmawiamy o tym podczas twojej następnej wizyty. I jeśli mógłbyś, proszę, miej na uwadze, że brakuje mi dziewcząt. Zwłaszcza rudowłosych. A także umbroskórych obojga płci.

– Będę to miał na uwadze – odpowiada Nelson, już obmyślając, w jaki sposób spełni życzenie Divana.

Gdy przejeżdża z powrotem przez most na terytorium Stanów Zjednoczonych, jest w doskonałym humorze. Nawet jeśli Divan ma swoje obawy, są one bezpodstawne. Chociaż w ostatnim czasie Nelson wie o życiu outsidera, mimo wszystko czuje, że trzyma rękę na pulsie wydarzeń. Skoro większość cywilizowanego świata praktykuje podzielenie, jak

ktokolwiek mógłby zaprzeczać, że to rozsądna alternatywa dla mających problemy, bezużytecznych i niechcianych? Tak jak mówi reklama, „Podzielenie to nie tylko wielkie osiągnięcie medycyny – to słuszna idea.”

Właśnie słuszność tej idei sprawiła, że Nelson dawno temu został gliniarzem od małości. Świadomość, że usuwając męty z ulic czyni świat czystszy i lepszym miejscem, zmotywowała go do ukończenia akademii policyjnej. Z czasem jednak jego ideały zastąpiła jęcząca się nienawiść wobec skazanych na podzielenie. Wszyscy Podzieleni byli tacy sami: odbierali cenne zasoby bardziej zasługującym na nie i kurczowo trzymali się swej żalosnej indywidualnej egzystencji zamiast spokojnie zaakceptować los, który ich czekał. Z uporem godnym lepszej sprawy pragnęli nadal żyć, chociaż nikt poza nimi samymi nie uważał, żeby byli tego warci. Jako funkcjonariusz policji musiał przestrzegać przepisów, ale odkąd stał się piratem części, mógł działać znacznie efektywniej. Tak więc, choć winił Connora Lassitera za swoje zrujnowane życie, być może dzieciak wyświadczył Nelsonowi przysługę. Jednak mimo wszystko świadomość, że „ZOMZ z Akron” zginał podłą śmiercią w ośrodku donacyjnym Happy Jack, jest ogromnie satysfakcjonująca. Pozwala Nelsonowi żyć nadzieją, że może we wszechświecie naprawdę istnieje sprawiedliwość.



13. CONNOR

Na Cmentarzysku ląduje wycofany z użytku 787, wiozący w ładowni zaledwie czternaścioro Całych zapakowanych w puste beczki po piwie. Connor zastanawia się, czy komuś w ruchu oporu zaczyna się nudzić, czy też beczki naprawdę były najlepszym patentem na przewiezienie tego towarzystwa w możliwie dyskretny sposób. Dzieciaki wychodzą z ładowni zgarbione i skrzywione po niewygodnej podróży, a Connor wygłasza swoje standardowe przemówienie powitalne, zmartwiony w duchu, że każdy przybywający samolot przywozi mniej młodzieży.

Później – po tym, jak nowo przybyli zostali odstawieni do odrzutowca MiCz, gdzie oceni się ich przydatność do pracy i przygotowuje się ich do życia na Cmentarzysku – Connor wraca wraz z Trace'em do 787. To stary boeing, dreamliner – pierwszy, jaki się tu pojawił. Niegdyś obwołano go zbawieniem przemysłu lotniczego i nie da się ukryć, że spełnił swoją rolę, ale miejsce każdego odrzutowca zawsze może zająć coś nowszego, szybszego i gwarantującego mniejsze zużycie paliwa.

– Nadal robi wrażenie – mówi Trace, kiedy wchodzi do kabiny pasażerskiej. Słońce Arizony sprawiło, że w środku już panuje tropikalna temperatura. – Klasyczna piękność.

– Myślisz, że dałbyś radę wystartować tym samolotem, gdybyś musiał? – pyta Connor, gdy oglądają resztę dreamlinera.

Trace uśmiecha się szeroko.

– Latałem na cessnach, odkąd skończyłem szesnaście lat, a wojskowymi samolotami przez rok, zanim dołączyłem do RPP, więc tak, potrafiłbym pilotować samolot pasażerski. Kuźwa, pewnie potrafiłbym nim robić pętle.

– To dobrze. Niewykluczone, że będziesz musiał robić pętle, jeśli będą nas ścigać.

Trace zastanawia się przez moment, po czym znów szczerzy zęby w uśmiechu.

– Ucieczka odrzutowcem?

– Jeśli go wybebeszymy, zdołamy zmieścić wszystkich w środku. Nie będzie wygodnie, ale damy sobie radę.

– Sprawdzę dane techniczne, zobaczę, czy on da radę polecieć z takim ciężarem.

Usuniemy całe wyposażenie z kabiny pasażerskiej i powiemy tym z biura, żeby je wystawili na sprzedaż – ciągnie Connor. – Umieścimy części silnika i pulpit sterowniczy z kokpitu na liście rzeczy, które mają zostać sprzedane, ale tak naprawdę nie wymontujemy niczego, co sprawia, że ten samolot lata.

Trace załapuje bez żadnych dodatkowych wyjaśnień.

– W ten sposób jeśli ktokolwiek śledzi, co robimy, uzna, że ten odrzutowiec został w całości przeznaczony na złom i rozebrany. Tylko my będziemy wiedzieli, że wciąż jest sprawny.

– Zgadza się. Potem odholujemy go i postawimy przy głównej alei, tak jakbyśmy chcieli w nim urządzić kolejną kwaterę sypialną.

– Genialne.

– Nie – odpowiada Connor – to po prostu desperacja.

A teraz wyjdźmy stąd, zanim się usmażymy.

Trace odwozi Connora z pasa startowego z powrotem na główną aleję. Jest nie tylko szefem ochrony Cmentarzyska, ale też osobistym ochroniarzem i szoferem Connora. Nie był to pomysł tego ostatniego, podobnie jak prywatny odrzutowiec i błękitne moro, ale wszystkie te rzeczy pomagały stworzyć iluzoryczny piedestał przywódcy. Jednak Connor od początku nienawidził samej idei wyróżniania się spośród innych.

– Musisz się do tego przyzwyczaić – powiedziała mu wtedy Risa. – Nie jesteś już pierwszym lepszym Podzielonym; w oczach tych dzieciaków uosabiasz ruch oporu. Musisz wyglądać jak ktoś, kto tu rządzi.

Connor zastanawia się, czy Risa nadal tak myśli – teraz, kiedy „rządzenie” pochłania mu zbyt dużo czasu, żeby mógł z nią być wtedy, kiedy dziewczyna go potrzebuje. Zastanawia się, czy nie zacząć symulować jakiejś choroby tylko po to, żeby mógł odwiedzić Risę w izbie chorych. Czy tak powinien zachowywać się przywódca?

– Dreamliner to dobry pomysł – mówi Trace, sprawiając, że Connor powraca do teraźniejszości. – Ale wiem, że martwią cię też inne rzeczy.

– Zawsze – odpowiada Connor.

– Wiem, że niepokoją cię gliniarze od małych lat. Głowisz się, czemu wciąż zostawiają nas w spokoju. – Trace czeka jeszcze chwilę, po czym dodaje: – Chyba znam odpowiedź, ale nie spodoba ci się to, co powiem.

– A kiedy podobało mi się cokolwiek, co o nich usłyszałem?

– To będzie nie tyle o nich, co o *tobie*.

– Nie rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz. – Samochód podskakuje na wybojach; Connor odruchowo łapie się do drzwi. Trace nie przeprosza za to, jak kieruje. – Widzisz, Connor, mimo że przebywające tu dzieciaki zostały oficjalnie pozbawione osobowości prawnej, nie stały się przez to bezwartościowe. Są równie cenne jak diamenty. Czy wiesz, czemu diamenty są tak drogie?

– Nie wiem. Bo są rzadkie?

– Nie, *nie* są rzadkie. Tak naprawdę jest ich tyle, że mogłyby być równie tanie jak imitacje. Ale istnieje coś, co nazywa się „Diamentowe Konsorcjum”. Właściciele wszystkich kopalń diamentów na świecie dogadują się między sobą i wiesz, co robią? Ukrywają swoje diamenty w ogromnym skarbcu w podziemiach wielkiego banku gdzieś w Szwecji czy w Szwajcarii, wszystko jedno. Tysiące i tysiące. A przez to, że diamenty zostają ukryte, powstaje złudzenie, że są rzadkie, co sprawia, że ceny rosną do kosmicznych wysokości.

Dżip znów wjeżdża w dziurę i podskakuje. Tym razem Connor nie przytrzymuje się niczego. Wędrując śladem myśli Trace a zaczyna się niepokoić, dokąd prowadzi ta rozmowa.

– No więc – ciągnie Trace – po tym, jak weszła w życie ustawa zakazująca dzielenia siedemnastolatków, na rynku zaczęło brakować narządów, no nie? Koszt każdego przeszczepu wzrósł dwukrotnie, może nawet trzykrotnie. Ale ludzie płacą, bo wszyscy są przyzwyczajeni, że dostaną narządy, których

potrzebują, wtedy, kiedy ich potrzebują. Łatwiej im zrezygnować z jedzenia niż z nowych organów.

– A co to ma wspólnego ze mną?

– Ty mi powiedz.

Connor ponownie rozważa w myślach wszystko, co powiedział Trace, i doświadcza nagłego olśnienia.

– My jesteśmy skarbcem! Dopóki zabieramy ZOMZ-ów z ulic, ceny przeszczepów pozostają wysokie. To chciałeś powiedzieć?

– Lepiej, żeby ci wszyscy ZOMZ-owie przebywali tutaj, bezpieczni, niż żeby zostali wyłapani przez piratów części i sprzedani na czarnym rynku. To by tylko obniżyło ceny narządów.

Connor wraca pamięcią do dnia, kiedy został schwytany i odwieziony do ośrodka donacyjnego Happy Jack. Przeżył szok, kiedy przesłuchujący go policjant przyznał, że władze wiedzą o Cmentarzysku, ale przymykają oko na jego istnienie, bo wyłapanie przetrzymywanych tu dzieciaków nie jest warte wysiłku.

Jednak to, co opisał Trace, to coś całkiem innego.

Ten układ czyni Connora współnikiem w zbrodni. Świadomość, że jego działania tak naprawdę wpisują się idealnie w plany jakiegoś konsorcjum wspierającego podzielenie sprawia, że chłopak czuje się brudny – gorzej niż brudny.

A potem kolejne, jeszcze boleśniejsze olśnienie trafia go niczym prawy sierpowy. Ostatni cios pięścią, po którym lądujesz na deskach.

– Od jak dawna – pyta Connor – pracujesz dla glin?

Trace po prostu jedzie dalej dżipem, patrząc przed siebie. Nie odpowiada przez co najmniej dziesięć sekund. W końcu mówi:

– Nie zadawaj pytań, jeśli nie chcesz znać odpowiedzi.



14. DOLORES

Podczas gdy samoloty z czasów II wojny światowej cieszą się statusem dyżurnych eksponatów muzealnych, stałopłaty z okresu wojny koreańskiej zazwyczaj rdzewieją w zapomnieniu. Ponieważ to wtedy po raz pierwszy wprowadzono do użytku helikoptery, powszechna uwaga skupia się właśnie na nich.

Dwie alejki od głównej alei tkwi smętnie wyglądający bombowiec z czasów konfliktu w Korei. To Admirał go tam umieścił, a chociaż za rządów Connora zmieniały się samoloty zajmujące sąsiednie miejsca, Dolores – bo tak ochrzczono zabytkową maszynę – stoi przez cały czas tam, gdzie stała, i nigdy nie jest otwierana. Jej właz został wyposażony w nowy zamek, a jedyny klucz do niego znajduje się w posiadaniu Connora, który nosi go na szyi tak, jak dzieci pracujących matek noszą klucze od mieszkania.

Dolores to zbrojownia. Jest wypełniona różnego rodzaju bronią, do której trudna młodzież nie powinna pod żadnym pozorem mieć dostępu. Chyba że jest to trudna młodzież w mundurach. Wizja, że Cmentarzysko pewnego dnia będzie musiało się bronić niczym warszawskie getto, prześladowała Admirala, a teraz prześladowuje Connora. Nie ma dnia, kiedy chłopak by o niej nie myślał – nie ma dnia, kiedy by nie dotykał tego klucza noszonego na szyi niczym krzyżyk. Jednak dzisiaj odwiedza Dolores z innego powodu – żeby bronić Cmentarzyska nie przed atakiem z zewnątrz, ale przed infiltracją.

Dzisiaj wchodzi do zbrojowni, żeby wziąć stamtąd pistolet kaliber 22 i amunicję do niego.



15. CONNOR

Trace sypia w starym, zardzewiałym DC-3. Pilnuje najbardziej nieokielzanych dzieciaków, tych, które sprawiają najwięcej kłopotów. To nieoficjalny poprawczak, a Trace jest nieoficjalnym strażnikiem. Ponieważ ubikacja w starym dolnopłacie nie działa, jego mieszkańcy muszą korzystać z przenośnej toalety ustawionej u podnóża metalowych schodków. Zamek w jej drzwiach jest zepsuty. Connor zepsuł go kilka godzin temu.

Kiedy cały obóz już śpi, Connor przyczaja się w cieniu sąsiedniego samolotu wraz z dwoma najbardziej zaprawionymi w bójkach Całymi, jakich zdołał wyszukać. Obserwują.

– Powiedz jeszcze raz, czemu chcemy zgarnąć Trace'a?

– Cśśś! – odpowiada Connor, po czym szepcze: – Bo ja wam kazałem.

Connor jako jedyny posiada broń palną, naładowany pistolet. Dwóch przypakowanych chłopaków będzie go tylko obstawiać, bo wie, że w pojedynkę nie miałby z Trace'em szans. Plan jest taki, że dopadną armiaka, skują go kajdankami i będą trzymać w zamknięciu jako jeńca... ale Connor powziął postanowienie, że jeśli będzie musiał strzelić, zrobi to.

Nigdy nie wyciągaj broni, jeśli nie jesteś gotów jej użyć – powiedział mu kiedyś Admirał. Jeśli Connor ma utrzymywać ład w obozie, musi grać zgodnie z regułami wpojonymi mu przez Admirała.

Mniej więcej co dwadzieścia minut ktoś wychodzi na zewnątrz, żeby skorzystać z toalety. Trace'a nie ma wśród tych osób.

– Mamy tu czekać całą noc? – marudzi nastoletni twardziel trzymający kajdanki.

– Tak, jeśli będziemy musieli. – Connor zaczyna się zastanawiać, czy wojskowe szkolenie, które przeszedł Trace, obejmowało też wyćwiczenie nadludzkiej kontroli nad pęcherzem. W końcu, kilka minut po północy, Trace schodzi po schodkach.

Czekają, aż drzwi przenośnej toalety się zamkną. Potem wszyscy trzej podkradają się cicho, Connor na przedzie. Ujmuje pistolet prawą ręką – ręką Rolanda – czując chłód kolby i twardość spustu. Odbezpiecza broń, bierze głęboki oddech, po czym z rozmachem otwiera drzwi.

Trace stoi tam, patrząc wprost na niego, niestropiony w najmniejszym stopniu. Jednym płynnym ruchem podcina Connorowi nogi, wyrywa mu pistolet, okręca chłopaka i przewraca go, wciskając mu policzek w ziemię i boleśnie wykręcając rękę Rolanda za plecami. Connor ma wrażenie, że zszyte tkanki lada chwila się rozerwą.

Ból uniemożliwia mu najmniejszy ruch. Trace powala pozostałych dwóch chłopaków, nie dając im szansy na ucieczkę. Łądują nieprzytomni w pył. Potem odwraca się z powrotem do Connora.

– Po pierwsze – mówi – urządzenie zasadzki na gościa, który właśnie sady klocka, jest poniżej twojej godności. Po drugie nigdy nie bierz głębokiego oddechu zanim kogoś zaatakujesz, bo zdradzasz w ten sposób swoje zamiary.

Connor, nadal obolały, odwraca się gwałtownie, a wtedy czuje przyciśnięty do czoła wylot lufy. Trace z surową miną jeszcze przez chwilę trzyma pistolet przy jego głowie, po czym zabiera go.

– Nie miej sobie za złe, że tak wyszło – ciągnie. – Nie jestem zwykłym armiakiem z lotnictwa, byłem w służbach specjalnych. Mogłem cię zabić na dziewięć różnych sposobów, zanim jeszcze uderzyłeś o ziemię. – Wyjmuje magazynek, ale w tej samej chwili Connor łapie go za nadgarstek, szarpie, a gdy Trace traci równowagę, wyrywa mu pistolet i ponownie celuje w armiaka, dźwigając się na nogi.

– W komorze nadal jest nabój – przypomina mu.

Trace cofa się, podnosząc ręce.

– Dobre zagranie. Chyba wyszedłem z wprawy. – Przez moment stoją jak wmurowani, po czym Trace mówi: – Jeśli zamierzasz mnie zabić, zrób

to teraz, bo wiesz, że inaczej znowu zyskam przewagę. – Jednak determinacja Connora gdzieś się ulotniła i obaj to wiedzą.

Zabiłeś tamtych dwóch? – pyta Connor, patrząc na chłopaków, którzy jeszcze niedawno zgrywali twardzieli, a teraz leżą nieprzytomni na ziemi.

– Tylko znokautowałem. To żadna chwała zabijać bezbronnych.

Connor opuszcza pistolet. Trace nie rzuca się na niego.

– Chcę, żebyś stąd zniknął – mówi mu Connor.

Wyrzucenie mnie będzie bardzo głupim posunięciem.

Gdy Connor to słyszy, tylko ogarnia go gniew.

– Z mojego punktu widzenia jesteś wrogiem. Pracujesz *dla nich*.

– Pracuję też dla ciebie.

– Nie ma możliwości, żebyś pogodził jedno z drugim!

– I tu się mylisz – odpowiada Trace. – Granie na dwa fronty to strategia znana od wieków.

– Nie jestem twoją marionetką!

– Nie – odpowiada Trace – jesteś moim dowódcą. Zachowuj się jak dowódca.

Kolejny dzieciak zbiega po schodkach, żeby skorzystać z toalety. Sposzrzega Trace'a i Connora, a także dwóch nieprzytomnych chłopaków na ziemi. – Co się dzieje? – pyta patrząc na nich.

– Kiedy to będzie twoja sprawa, powiem ci – odpowiada Connor.

Potem dzieciak dostrzega pistolet w jego dłoni. – Okej, jasne, nie ma problemu – rzuca i wbiega z powrotem po schodkach.

Connor uzmysławia sobie, że w momencie, gdy jego uwaga była skierowana gdzie indziej, Trace miał mnóstwo czasu, żeby ponownie przejąć kontrolę nad sytuacją, ale nie zrobił tego. W efekcie znaleźli się o kolejny krok bliżej porozumienia. Connor daje Trace owi znak lufą pistoletu.

– Chodź. – Ale w tym momencie broń jest już tylko rekwizytem i obaj to wiedzą. Oddalają się od głównej alei, wchodząc coraz głębiej pomiędzy dwa rzędy przestarzałych myśliwców. Nie ma tu żadnych Całych, którzy mogliby podsłuchać ich rozmowę.

– Skoro pracujesz dla nich – mówi Connor – czemu powiedziałeś mi te wszystkie rzeczy, które od ciebie usłyszałem?

– Bo jestem ich oczami i uszami, ale mój mózg należy do mnie... I bez względu na to, czy zechcesz mi uwierzyć, czy nie, podoba mi się to, co tutaj

robisz.

– Co im powiedziałeś o tym miejscu?

Trace wzrusza ramionami.

– Głównie rzeczy, które i tak już wiedzą. Że wszystko jest tutaj pod kontrolą. Że co kilka tygodni przyjeżdża nowy transport ZOMZ-ów. Zapewniam ich, że to miejsce nie stanowi zagrożenia i że nikt nie planuje wysadzać w powietrze następnych ośrodków donacyjnych. – Potem zatrzymuje się i odwraca do Connora. – Ale jeszcze ważniejsze są rzeczy, których im nie mówię.

– To znaczy?

– Nie mówię im o twoich misjach ratunkowych. Nie mówię im o twoim planie ucieczki... i nie mówię im, że wciąż żyjesz.

– Co?

– Zgodnie z ich wiedzą Cmentarzyskiem zarządza niejaki Elvis Robert Mullard, który wcześniej był strażnikiem w Happy Jack. Gdyby ktokolwiek wiedział, że to ty tutaj szefujesz, gliniarze od małałatów momentalnie urządziliby nam nalot. ZOMZ z Akron stanowi dla nich zbyt wielkie zagrożenie, żeby mogli go zignorować. No więc opisuję to miejsce tak, żeby sprawiało wrażenie przedszkola, a ciebie opisuję jako przedszkolankę. W efekcie oni są zadowoleni, a wszystkie te dzieciaki pozostają przy życiu.

Connor rozgląda się naokoło. Są teraz daleko od głównej alei. Gdyby Trace chciał, mógłby teraz złamać Connorowi kark, pogrzebać go i nikt by się nie dowiedział. Czy to znaczy, że Connor autentycznie ufa Trace'owi, chociaż jest oczywiste, że ten zdradził? Connor nie potrafi już niczego być pewien, nawet swojej własnej motywacji.

– Nic z tego, co mówisz, nie zmienia faktu, że pracujesz dla glin.

– Znowu jesteś w błędzie. Nie pracuję dla hycli, pracuję dla ludzi, którzy mają ich w kieszeni.

– Nikt nie mógł podkupić całego Urzędu do Spraw Małoletnich.

– No dobra, może nie mają ich w kieszeni, ale kontrolują ich. Chcesz pogadać o marionetkach? Każdy glina od małałatów jest na sznureczku, o którego istnieniu nawet nie wie. Oczywiście nie wiem, kto pociąga za te sznureczki. Wszystko co wiem, to że odebrano mi obiecującą przyszłość pilota wojskowego po to, żeby wysłać mnie tutaj.

Connor mimo woli szczerzy zęby w uśmiechu.

– Przykro mi, że popsułem ci ścieżkę kariery.

– Rzecz w tym, że nie składam raportów nikomu z Sił Powietrznych, składam raporty cywilom w garniturach, a to mnie wkurza. Dlatego przeprowadziłem na własną rękę małe śledztwo i odkryłem, że pracuję dla firmy o nazwie „Proaktywne Siły Obywatelskie”.

– Nigdy o nich nie słyszałem.

Trace raptem zniża głos do szeptu.

– Nie dziwi mnie to. Działają bardzo dyskretnie, co zapewnia im przykrywkę, dzięki której wojsko może w razie czego umyć od wszystkiego ręce. Pomyśl tylko: jeśli oficerowie sami nie wiedzą, dla kogo tak naprawdę pracują, to jeśli coś się posypie, armia zawsze może się wyprzeć własnego udziału w sprawie, postawić mnie przed sądem i cześć.

Teraz Connor rozumie już wszystko trochę lepiej, a w każdym razie zaczyna rozumieć, czemu Trace zdecydował się grać na dwa fronty. Odwracają się i zaczynają iść z powrotem w kierunku głównej alei.

– Straciłem złudzenia, Connor. Z mojej perspektywy jak dotąd ty grasz bardziej fair i jesteś bardziej godny zaufania niż ludzie, dla których pracuję, bez względu na to, kim są. Reputacja ma na tym świecie duże znaczenie, a jeśli przyjrzeć się tym całym „Proaktywnym Siłom Obywatelskim”, „szemrany biznes” to mało powiedziane. Tak więc będę nadal pracował dla nich, ale pokładał zaufanie w tobie.

– Skąd mam wiedzieć, że teraz mnie nie okłamujesz?

– Tego się nie dowiesz. Ale zdołałeś przeżyć aż do tej pory dzięki instynktowi. Co w tej chwili podpowiada ci twój instynkt?

Connor zastanawia się nad tym przez moment i uświadamia sobie, że odpowiedź jest prosta.

– Mój instynkt podpowiada mi, że mam przegwizdane bez względu na to, co się stanie. Ale to normalne w moim przypadku.

Trace akceptuje jego odpowiedź.

– Mamy więcej rzeczy do omówienia, ale myślę, że na dzisiaj już wystarczy. Chyba powinieneś skombinować sobie trochę lodu na to ramię, wykręciłem je dosyć mocno.

– Nie zauważyłem – kłamie Connor.

Trace wyciąga dłoń, a Connor zastanawia się, co wyniknie z jej uściśnięcia. Może właśnie zakładają własne tajne bractwo, żeby walczyć z Proaktywnymi Siłami Obywatelskimi, cokolwiek to jest... a może dał się

oszukać jak ostatni dureń. W końcu Connor ściska dłoń Trace'a, marząc, żeby chociaż raz było oczywiste, która decyzja będzie tą właściwą.

– Aż do dzisiaj byłeś tylko pionkiem robiącym to, czego *oni* od ciebie chcieli – mówi mu Trace. – W głębi serca wiedziałeś o tym; czułeś to. Mam nadzieję, że prawda cię wyzwoliła.



16. RISA

Każdego ranka, zanim rozpocznie się jej dyżur, Risa przesiaduje w cieniu skrzydeł odrzutowca rekreacyjnego, gawędząc z dzieciakami, z którymi zdążyła się zaprzyjaźnić.

Ma tutaj więcej znajomych niż w domu dziecka, ale równocześnie czuje się bardziej jak starsza siostra niż jak kumpelka. Podziwiają ją, jakby była jakimś aniołem miłosierdzia – nie tylko dlatego, że stanowi główny autorytet w sprawach medycznych, ale dlatego, że jest legendarną Risą Ward, współniczką ZOMZ-a z Akron. Dziewczyna podejrzewa, że w głębi serca przypisują jej zdolność leczenia również takich ran, których nie widać na zewnątrz.

Dawniej spędzała czas przy odrzutowcu rekreacyjnym wieczorami, po swoim dyżurze, ale Bociani Klub położył temu kres. Risa rozważała zażądanie takiej samej ilości czasu na spotkania dzieciaków z domów dziecka, ale wie, że ostatnią rzeczą, jaką powinna popierać, jest tworzenie frakcji na Cmentarzysku. Dzięki Starkeyowi mają tego wystarczająco dużo i bez jej pomocy.

Widzi, jak w oddali Connor wychodzi ze swojego odrzutowca. Idzie główną aleją ze spuszczoną głową i rękami w kieszeniach, pochłonięty tymi mrocznymi myślami, które go aktualnie dręczą. Natychmiast otacza go wianuszek dzieciaków, które z takich czy innych względów chcą, żeby na chwilę poświęcił im uwagę. Risa zastanawia się, czy Connorowi

kiedykolwiek udaje się wygospodarować choćby sekundę czasu dla siebie. Dla niej nie ma już ani odrobiny.

Chłopak podnosi wzrok i napotyka jej spojrzenie. Risa odwraca twarz, czując wyrzuty sumienia, tak jakby go szpiegowała, i natychmiast karcii się mentalnie za takie myśli. Kiedy ponownie unosi oczy, Connor zmierza w jej stronę. Za jej plecami dzieciaki zaczęły się zbierać przed ekranem telewizora. Ich uwagę nagle przykuł serwis informacyjny. Risa zastanawia się, czy Connor idzie tu, żeby sprawdzić, co wywołało poruszenie, czy też po to, żeby zobaczyć się z nią. Kiedy okazuje się, że przyszedł w tym drugim celu, dziewczyna czuje przypływ radości, chociaż stara się tego nie okazywać.

– Masz przed sobą pracowity dzień? – pyta go z lekkim uśmiechem, który Connor odwzajemnia.

– Nieee, będę się byczył przed telewizorem i żarł chipsy. Muszę się wreszcie ogarnąć i zacząć żyć jak człowiek.

Stoi tam z rękami w kieszeniach, rozglądając się, chociaż Risa wie, że jego uwaga jest skupiona na niej. W końcu Connor mówi:

– RPP obiecuje, że przysłał te artykuły zaopatrzenia medycznego, o które prosiłaś, w ciągu najbliższych kilku dni.

– Powinam im wierzyć?

– Raczej nie.

Risa wie, że to nie jest powód, który kazał Connorowi do niej przyjść, ale nie potrafi już delikatnie wyciągać z niego informacji. Wie natomiast, że musi coś zrobić, zanim niewygodny dystans między nimi utrwali się i już tak zostanie.

– To co jest problemem tygodnia? – pyta.

Connor drapie się w kark i odwraca głowę, żeby nie patrzeć jej w oczy.

– Częściowo to co zawsze, a częściowo nie-chcesz-wiedzieć-co.

– Ale – mówi Risa – to jest coś wystarczająco poważnego, żebyś mógł mi powiedzieć, że nie możesz mi powiedzieć.

– Zgadza się.

Risa wzdycha. Zaczyna się robić gorąco i nie uśmiecha jej się perspektywa jechania wózkem do izby chorych w tym upale. Niecierpliwą ją enigmatyczne wypowiedzi Connora. Już ma warknąć do niego, żeby wrócił, kiedy będzie miał coś do powiedzenia, ale jej uwagę przyciąga pomruk, który podnosi się wśród nastolatków skupionych wokół telewizora. Tłumek

urósł, odkąd Risa poprzednio patrzyła w tamtą stronę. I ona, i Connor zbliżają się, żeby sprawdzić, czemu zebrani mają tak poważne miny.

Na ekranie trwa właśnie wywiad z kobietą o dość surowym wyglądzie, mówiącą jeszcze surowszym tonem. Ponieważ Risa nie widziała początku, nie jest w stanie rozszyfrować, czego dotyczy rozmowa.

– Jesteście w stanie w to uwierzyć? – pyta ktoś. – Nazywają to coś „nową formą życia”.

– Co nazywają nową formą życia? – pyta Connor.

Wśród oglądających program jest Hayden, który odwraca się do Risy i Connora z taką miną, jakby było mu niedobrze.

– Wreszcie wyhodowali idealną bestię. To pierwsza kompozytowa istota ludzka.

Nie ma zdjęć, ale kobieta opisuje proces – mówi, że do stworzenia tego czegoś wykorzystano kawałki pochodzące od prawie stu różnych Podzielonych. Risa czuje, jak Wzdłuż kręgosłupa przebiega jej dreszcz, docierając do punktu, poniżej którego utraciła czucie. Connor najwyraźniej reaguje tak samo, bo łapie ją za ramię, a ona wyciąga rękę, żeby ująć jego dłoń – wszystko jedno którą.

– Po co mieliby robić coś takiego? – pyta.

– Bo mogą – odpowiada z goryczą Connor.

Risa czuje, że dookoła zapanował posępny nastrój, tak jakby wszyscy obserwowali, jak na ich oczach rozgrywa się jakieś potworne wydarzenie o globalnym zasięgu.

– Musimy opracować ten plan ucieczki – mówi Connor. Risa wie, że chłopak mówi bardziej do siebie niż do niej. – Nie będziemy mogli przeprowadzić próby generalnej, bo satelity szpiegowskie by to wypatrzyły, ale wszyscy muszą wiedzieć, co mają robić.

Risa czuje tę samą falę zbiorowego intuicyjnego przeczucia. Wyniesienie się w diabły z Cmentarzyska nagle brzmi jak bardzo dobry pomysł. Nawet jeśli nie ma bezpiecznego miejsca, w które mogliby się udać.

– Kompozytowy człowiek... – mamrocze ktoś ponuro. – Ciekawe, jak takie coś wygląda.

– A co, nigdy nie widziałeś tej zabawki, Pana Bulwy?

Tu i ówdzie słychać nerwowe śmiechy, ale żart nie poprawia nastroju zebranych.

– Bez względu na to, jak to coś wygląda – mówi Risa – mam nadzieję, że nigdy go nie zobaczymy.



17. CAM

Palcem wskazującym wodzi po swojej twarzy; w dół po nosie w stronę policzka. W lewo, potem w prawo. Od środka symetrycznie rozbiegającej się gwiazdy różnych odcieni skóry na czole, a potem dalej, do poziomych blizn pod linią włosów. Ponownie zanurza palec w kremie przyspieszającym gojenie przeszczepów i rozprowadza go wzdłuż szram na karku, ramionach, piersi i wszystkich innych częściach ciała, których jest w stanie dosięgnąć. Czuje mrowienie, gdy zawarte w leczniczej mazi zmodyfikowane genetycznie mikroorganizmy zaczynają działać.

– Możesz mi wierzyć lub nie, ale to чудо zawiera autentyczne bakterie jogurtowe – powiedział mu dermatolog. – Tyle że przekształcone w taki sposób, żeby likwidowały zbliznowacenia. – Jeden słoiczek tego kremu kosztuje pięć tysięcy dolarów, ale jak poinformowała go Roberta, w przypadku Cama pieniądze nie mają znaczenia.

Zapewniono go, że kiedy leczenie dobiegnie końca, nie będzie miał żadnych blizn, jedynie cienkie jak włos linie w miejscach, gdzie łączą się poszczególne fragmenty jego osoby.

Jego rytuał wsmarowywania kremu zajmuje pół godziny dwa razy dziennie i Cam z biegiem czasu polubił tę czynność, pozwalającą osiągnąć uspokojenie na miarę zen. Chciałby tylko mieć do dyspozycji jeszcze coś, co pomogłoby wygoić się bliznom w jego mózgu, bo nadal czuje ich obecność. Teraz postrzega swój umysł jak archipelag wysp, między którymi

usiłuje wybudować mosty – i chociaż udało mu się skonstruować prawdziwe cuda inżynierii, podejrzewa, że do niektórych wysp nigdy nie zdoła dotrzeć.

Ktoś puka do jego drzwi.

– Jesteś gotowy? – To Roberta.

– Klucz do szczęścia, odrobina – odpowiada Cam.

Chwila milczenia, a potem:

– Bardzo śmieszne. „Trochę cierpliwości”.

Cam parska śmiechem. Nie musi już zastępować jednych wyrażeń innymi – zbudował w swoim umyśle wystarczająco dużo mostów, żeby jego mowa stała się w miarę normalna – ale lubi delikatnie dokuczać Robertcie i kombinować, jak tu zabić jej ćwieka.

Zakłada elegancką koszulę i krawat. Przygaszone barwy tego ostatniego w połączeniu z odważnym fraktalowym wzorem zostały specjalnie dobrane, żeby stwarzać wrażenie zamierzonej kompozycji estetycznej – podprogowa sugestia, że artystyczna całość jest zawsze czymś więcej niż suma jej części składowych. Cam niezgrabnie wiąże krawat. Chociaż jego mózg wie, jak należy to zrobić, jego palce wirtuoza ewidentnie nigdy nie wiązały węzła Windsor. Musi się skupić i przezwyciężyć ten frustrujący deficyt pamięci mięśniowej.

Roberta puka ponownie, tym razem nieco głośniej.

– Już czas.

Cam poświęca chwilkę, żeby z podziwem przyjrzeć się swojemu odbiciu w lustrze. Jego włosy mają teraz mniej więcej dwa i pół centymetra długości. Są niczym płaszcz w wielu kolorach: smugi ciągnące się od gwiazdy różnych odcieni skóry na jego czole. Blond pośrodku, przechodzący po obu stronach w odcień bursztynu. Od skroni odchodzą pasy rudoci i brązu, ustępując nad uszami miejsca smolistej czerni, a na wysokości bokobrodów rosną ciasno skręcone ciemne kędziory.

– Wszyscy sławni fryzjerzy będą się ustawiali do ciebie w kolejce – powiedziała mu kiedyś Roberta.

Wreszcie Cam otwiera drzwi, zanim pukanie Roberty stanie się naprawdę nerwowe. Jej sukienka jest trochę bardziej elegancka niż biurowe spodnie i bluzka, które kobieta zazwyczaj nosi, ale mimo wszystko pełna prostoty. Strój Roberty został tak dobrany, żeby uwaga wszystkich pozostawała skupiona na Camie. Jego opiekunka w pierwszej chwili wydaje się

zniecierpliwiona, ale potem, kiedy już ma okazję uważnie mu się przyjrzeć, jej irytacja znika bez śladu.

– Wyglądasz fantastycznie, Cam. – Roberta wygląda mu koszulę i poprawia krawat. – Wyglądasz jak jaśniejąca gwiazda, którą jesteś!

– Cóż, miejmy nadzieję, że nie dam początku cięższemu pierwiastkom.

Roberta spogląda na niego pytająco.

– Supernowa – wyjaśnia Cam. – Skoro jestem jaśniejącą gwiazdą, miejmy nadzieję, że nie eksploduję. – Tym razem nawet nie próbował mówić do niej zagadkami. – Przepraszam. Ja po prostu tak dziwnie myślę.

Roberta delikatnie ujmuje go za ramię.

– Chodź. Czekają na ciebie.

– Ilu ich jest?

– Nie chcieliśmy, żebyś na swojej pierwszej konferencji prasowej poczuł się zupełnie przytłoczony, więc ograniczyliśmy liczbę dziennikarzy do trzydziestu.

Serce bije mu głośno, tak że Cam musi kilka razy głęboko zaczerpnąć powietrza, żeby zwolniło. Nie wie, czemu jest aż tak zdenerwowany. Przygotowano go na ten dzień – ma już za sobą trzy próbne konferencje prasowe podczas których padały pytania w różnych językach. Za każdym razem radził sobie zupełnie dobrze, a dzisiejsza konferencja będzie tylko po angielsku, więc jedno zmartwienie odpada.

Jednakże ta konferencja będzie prawdziwa, nie na niby. Tym razem Cam zostanie oficjalnie przedstawiony światu, który nie jest gotowy, by go powitać. Twarze, które widział podczas tamtych próbnych konferencji prasowych, należały do przyjaźnie nastawionych ludzi, którzy tylko udawali, że tak nie jest. Dzisiaj stanie w oko z prawdziwymi nieznanymi. Niektórzy będą po prostu zaciekawieni, inni zdumieni, ale niektórzy mogą zareagować przerażeniem. Roberta uprzedziła go, żeby liczył się z tym. Jednak Cama martwią przede wszystkim te rzeczy, których nawet Roberta nie potrafi przewidzieć.

Idą korytarzem w stronę spiralnych schodów prowadzących do głównego salonu. W pierwszych tygodniach pobytu tutaj Camowi nie wolno było z nich korzystać, dopóki jego koordynacja ruchowa nie uległa poprawie. Teraz jednak, gdyby zechciał, mógłby zbiec z nich tanecznym krokiem. Roberta każe mu zaczekać na górze, aż zapowie jego wejście. Schodzi na dół jako pierwsza, i Cam słyszy, jak pomruk rozmawiających między sobą

reporterów cichnie. Światła przygasają, a Roberta rozpoczyna swoją prezentację.

– Od niepamiętnych czasów ludzkość marzyła o tworzeniu nowego życia – mówi. Nagłośnienie dodaje wagi każdemu jej słowu. Błyski światła docierają aż do szczytu schodów. Cam nie widzi slajdów z jej prezentacji, ale zna je. Widział już to wszystko.

– Jednakże wielka tajemnica życia długo pozostawała nieuchwytna – ciągnie Roberta – a wszystkie marzenia o dorównaniu Stwórcy kończyły się klęską. Nie bez powodu. Nie jesteśmy w stanie stworzyć czegoś, czego nie rozumiemy, a więc dopóki nie rozumiemy, czym jest życie, jak mielibyśmy doprowadzić do jego powstania? Nie; zadaniem nauki jest wziąć to, co już mamy, i budować na tym fundamencie. Nie tworzyć życia z niczego, lecz je udoskonalać. Tak więc zadaliśmy sobie pytanie, jak możemy zrekombinować owoce naszej ewolucji intelektualnej i fizycznej w najdoskonalszą wersję istoty ludzkiej, łączącą w sobie nasze najlepsze cechy? Okazało się, że gdy już wpadliśmy na właściwe pytanie, odpowiedź jest prosta. – Robi pauzę, pozwalając, żeby napięcie wzrosło. – Panie i panowie, oto Camus Comprix, unikat na skalę światową: pierwsza w pełni kompozytowa istota ludzka!

Słyszając oklaski, Cam zaczyna schodzić po spiralnych schodach. Trzyma się prosto, dumnie, ale zarazem stara się sprawiać wrażenie zrelaksowanego. Oczekującą na dole publiczność nadal skrywa cień, bo wszystkie światła są skierowane na niego. Czuje gorąco bijące od reflektorów, i choć znajduje się w znajomym miejscu, ma wrażenie, że salon przekształcono w teatr. W połowie drogi na dół musi się na chwilę zatrzymać. Bierze głęboki oddech, po czym rusza ponownie, dzięki czemu patrzący pomyślą, że pauza była zamierzona – może ćwiczył zatrzymywanie się po to, żeby reporterzy mogli mu natrzaskać zdjęć, chociaż na tę konferencję prasową nie wolno wносить sprzętu fotograficznego. Zachowywana jest staranna kontrola nad tym, w jaki sposób Cam zostanie zaprezentowany opinii publicznej.

Oklaski cichną, zastąpione osłupieniem, kiedy zebrani wreszcie mogą mu się dobrze przyjrzeć. Słychać gwałtownie wciągane oddechy i podekscytowane szepty, gdy Cam podchodzi do mikrofonu. Roberta odchodzi na bok, robiąc mu miejsce. Teraz na sali panuje już martwa cisza, a wszyscy obecni wpatrują się w niego, usiłując uwierzyć w to co widzą: młodego człowieka, który wedle słów Roberty „łączy w sobie nasze najlepsze

cechy”. A w każdym razie – najlepsze cechy różnych podzielonych nastolatków.

W napiętej ciszy Cam nachyla się do mikrofonu i mówi:

– No cóż, muszę powiedzieć, że stanowią państwo bardzo dobrze skomponowaną całość.

Chichoty na sali. Zaskakuje go nagłośniony tembr własnego głosu – rozbrzmiewający echem baryton, który sprawia wrażenie, że mówca jest bardziej pewny siebie niż Cam faktycznie się czuje. Nad grupą reporterów zapalają się światła i teraz, gdy już lody zostały przełamane, pierwsi dziennikarze podnoszą ręce, żeby zadać pytania.

– Miło cię poznać, Camus – mówi mężczyzna w garniturze pamiętającym lepsze dni. – Słyszałem, że składasz się z części pochodzących od niemal stu różnych osób; czy to prawda?

– Od dziewięćdziesięciu dziewięciu – odpowiada Cam z szerokim uśmiechem. – Ale jest miejsce na jeszcze jedną.

Grupa reporterów ponownie reaguje śmiechem, tym razem mniej nerwowo. Cam udziela głosu kobiecie z fryzurą afro.

Ewidentnie jesteś... hm... *unikatowym* tworem. – Czuje jej dezaprobatę, napływającą niczym fala gorąca. – Ja-kie to uczucie wiedzieć, że zostałeś skonstruowany, a nie urodzony?

– Zostałem urodzony, tyle że nie cały za jednym razem – odpowiada jej Cam. – I nie zostałem skonstruowany, tylko zrekonstruowany. To pewna różnica.

– Tak – odzywa się ktoś inny. – Świadomość, że jesteś pierwszym przedstawicielem swojego rodzaju, musi być dla ciebie ciężarem...

Tego typu pytania padały już podczas próbnych konferencji i Cam zna na pamięć odpowiedzi, których powinien udzielić.

– Każdy człowiek czuje się w pewien sposób wyjątkowy, nieprawdaż? To sprawia, że nie różnię się od innych.

– Panie Comprix, jestem ekspertem od dialektów, ale nie potrafię zidentyfikować tego, którym pan się posługuje. Za każdym razem mówi pan z innym akcentem.

Cam dotąd jakoś nie zwrócił uwagi na tę kwestię. Wystarczająco trudne jest dla niego ujmowanie myśli w słowa, bez zastanawiania się nad tym, jak te słowa wymawia.

– No cóż, przypuszczam, że to zależy od tego, które partie mojego mózgu pracują.

– To znaczy, że pańska elokwencja została zaprogramowana?

Kolejne pytanie, którego się spodziewał i ma przygotowaną odpowiedź.

– Gdybym był komputerem, wtedy moglibyśmy mówić o zaprogramowaniu, ale nie jestem. Jestem w stu procentach istotą organiczną. Człowiekiem. Ale wracając do pańskiego pytania, niektóre moje umiejętności datują się sprzed momentu, gdy powstałem, inne wykształciły się później, i jestem pewien, że będę się dalej rozwijał jako istota ludzka.

– Ale ty nie jesteś istotą ludzką! – krzyczy ktoś z tylnej części sali. – Nawet jeśli zrobiono cię z kawałków ludzi, nie jesteś człowiekiem, tak jak portfel ze świńskiej skóry nie jest świnią.

Coś w tej wypowiedzi – w tym zarzucie – rani go w nieosłonięte miejsce. Cam nie jest przygotowany na emocje, które w nim wybuchają.

– Byk widzi czerwień! – mówi głośno. Ta fraza wyrywa się z jego ust, zanim udaje mu się przepuścić wypowiedź przez ośrodek mowy. Cam chrząka, po czym odnajduje właściwsze słowa. – Próbuje mnie pan sprowokować. Być może za peleryną ukrywa pan ostrze, ale nie ochroni ono pana przed rogami.

– Czy to jest groźba?

– Nie wiem. Czy pańska wypowiedź była obelgą?

Pomruk tłumu. Sprawił, że ta konferencja nagle stała się znacznie bardziej interesująca. Roberta posyła mu ostrzegawcze spojrzenie, ale Cam raptem czuje, jak wzbiera w nim gniew tuzinów podzielonych nastolatków. Musi dać temu wyraz.

– Czy jeszcze ktoś z obecnych uważa, że jestem czymś mniej niż człowiek?

I gdy spogląda na trzydzieścioro reporterów, ci zaczynają podnosić ręce. Nie tylko kobieta z fryzurą afro i prowokator stojący gdzieś z tyłu, ale inni też. Mniej więcej tuzin osób. Naprawdę tak myślą, czy też są tylko toreadorami machającymi peleryną?

– Monet! – woła. – Seurat! Gdy stoi się blisko ich prac, widać tylko plamy farby na płótnie, ale z pewnej odległości dostrzegamy arcydzieło. – Osoba odpowiedzialna za wyświetlanie prezentacji pokazuje na ekranie znaleziony na poczekaniu obraz Moneta, ale zamiast podkreślić wagę słów Cama, sprawia to tylko, że cała wymiana zdań sprawia wrażenie zaaranżowanej

z góry. – Wy wszyscy jesteście ograniczeni i nie potraficie spojrzeć z dystansu!

– Zdaje się, że masz w sobie mnóstwo pychy – mówi ktoś.

– Kto to powiedział? – Cam omiata wzrokiem grupę reporterów. Nikt nie chce się przyznać. – Mam w sobie zalety wielu ludzi, a to jest coś wspaniałego.

Roberta podchodzi, próbując przejąć od niego mikrofon, ale Cam odpycha ją.

– Nie! – mówi. – Chcą znać prawdę? Mówię im prawdę.

I nagle pytania zaczynają się sypać jak grad wystrzałów.

– Czy kazano ci powiedzieć to wszystko?

– Czy stworzono cię w konkretnym celu?

– Czy znasz ich imiona?

– Czy śnisz ich sny?

– Czy czujesz ich podzielenia?

– Skoro zostałeś zrobiony z części ciał wyrzutków, co każe ci myśleć, że jesteś od nich w jakikolwiek sposób lepszy?

Pytania padają tak szybko i są tak natarczywe, że Cam czuje, jak jego roztrzęsiony umysł zaczyna się rozpadać na fragmenty. Nie wie, na które ma odpowiadać – o ile jest w stanie odpowiedzieć na którekolwiek z nich.

– Jakie prawa powinna mieć scalona istota?

– Czy jesteś zdolny do reprodukcji?

– Czy on *powinien* się rozmnażać?

– Czy on w ogóle żyje?

Nie jest w stanie się zmusić do oddychania wolniej. Nie potrafi uchwycić własnych myśli. Sala zamazuje mu się przed oczami. Głosy brzmią niezrozumiale i Cam widzi już tylko fragmenty rzeczywistości, a nie cały obraz. Twarze. Mikrofon. Robertę, która łapie go, usiłując go zmusić, żeby się skupił, żeby popatrzył na nią, ale jego głowa może przestać się trząść.

– Czerwone światło! Pedał hamulca! Ślepy zaułek! Odłóżcie ołówki! – Cam bierze głęboki, rozdygotany oddech. – Stop? – To prośba skierowana do Roberty. Ona może to zatrzymać. Ona jest w stanie zrobić wszystko.

– Jego umysł chyba trochę się rozłazi w szwach – mówi ktoś i wszyscy wybuchają śmiechem.

Cam raz jeszcze łapie mikrofon, przyciskając do niego usta. Pisk sprzężenia. Zniekształcony głos.

– Jestem czymś więcej niż części, z których mnie zrobiono!

– Jestem czymś więcej!

– Jestem...

– Ja...

– Ja...

I wtedy pojedynczy głos z sali spokojnie pyta:

– A jeśli nie jesteś?

– ...

– To już wszystko, kończymy na dzisiaj – mówi Roberta do zgiełkliwego tłumu. – Dziękuję państwu za przybycie.

Płacze. Nie może przestać. Nie wie, gdzie jest, dokąd zabrała go Roberta. Dryfuje w pustce. Na świecie nie ma nikogo prócz ich dwojga.

– Ćśśś – szepcze Roberta, kołysząc go delikatnie. – Już dobrze. Wszystko będzie dobrze.

Jednak jej zapewnienia nie są w stanie go uspokoić. Cam chciałby, żeby opuściło go wspomnienie tamtych wrogo nastawionych twarzy. Czy Roberta może je wyciąć z jego umysłu? Zastąpić ten obraz jakimś losowo wybranymi myślami losowo wybranego Podzielonego? Czy mogą to dla niego zrobić? Czy zlitują się nad nim?

– To było zaledwie pierwsze zetknięcie ze światem, który dopiero musi się z tobą oswoić – mówi Roberta. – Następnym razem pójdzie lepiej.

Następnym razem? Jak on ma w ogóle przeżyć następny raz?

– Ostatni wagon! – mówi. – Zamknąć książkę. Napisy końcowe.

– Nie – odpowiada Roberta, przytulając go jeszcze mocniej. – To nie koniec, to dopiero początek, i wiem, że stawisz czoła temu wyzwaniu. Potrzebujesz po prostu grubszej skóry.

– Więc przeschczepcie mi taką!

Roberta śmieje się cicho, tak jakby to był żart, i jej śmiech sprawia, że Cam też zaczyna się śmiać, przez co ona śmieje się jeszcze głośniej, i nagle Cam odkrywa, że choć dopiero co płakał, teraz wije się w ataku głupawki, a równocześnie jest na siebie wściekły za to. Nie wie nawet, co go tak rozśmieszyło, ale nie potrafi przestać się śmiać, tak jak chwilę wcześniej nie

potrafił przestać płakać. W końcu udaje mu się opanować. Jest wyczerpany. Jedyne, czego pragnie, to zasnąć. Tak będzie jeszcze przez długi czas.

REKLAMA SPOŁECZNA

„Czy kiedykolwiek zastanawialiście się nad tym, ile korzyści przynosi podzielenie naszemu społeczeństwu? Nie tylko biorcom przeszczepów, ale też tysiącom pracowników opieki medycznej i pokrewnych branż. Dzieciom, mężom i żonom ludzi, którym transplantacja organów uratowała życie. A żołnierze, którzy zostali ranni na polu walki i następnie wyleczeni, przywróceniu do sprawności dzięki cennym narządom czy kończynom, które otrzymali? Pomyślcie o tym. Wszyscy znamy kogoś, czyje życie zmieniło się na lepsze dzięki podzieleniu. Teraz jednak tak zwany „Ruch Przeciwników Podzielenia” stwarza zagrożenie dla naszego zdrowia, naszego bezpieczeństwa, naszych miejsc pracy i naszej gospodarki, podważając prawo federalne, które weszło w życie w następstwie długiej i bolesnej wojny.

Napiszcie do swojego przedstawiciela w Kongresie. Powiedzcie ustawodawcom, jakie jest wasze zdanie. Żądajcie, żeby przeciwstawili się RPP Nie pozwólmy, by nasz naród i nasz kraj zboczyły z właściwej ścieżki.

Podzielenie. To nie tylko wielkie osiągnięcie medycyny, to słuszna idea.”

Materiał sponsorowany przez Konsorcjum Zaniepokojonych Podatników

Cam doznał całkowitej umysłowej i fizycznej regresji. Specjaliści wysuwają różne teorie i toczą debaty na temat przyczyn tego nagłego pogorszenia. Może różne części jego scalonego ciała odrzucają siebie nawzajem. Może jego nowe połączenia nerwowe uległy przeładowaniu sprzecznymi informacjami i zaczęły szwankować. Jedno jest pewne: z dnia na dzień przestał mówić, przestał wypełniać polecenia – przestał nawet jeść i teraz jest odżywiany dożylnie.

Poddano go kompleksowej diagnostyce, ale Cam wie, że badania niczego nie wykażą, ponieważ tamci nie są w stanie zajrzeć do jego umysłu. Nie potrafią zmierzyć jego woli życia – lub jej braku.

Roberta przechadza się tam i z powrotem po jego sypialni. Początkowo okazywała głęboką troskę, ale na przestrzeni ostatnich kilku tygodni ta troska przekształciła się we frustrację i złość.

– Myślisz, że nie wiem, co ty wyprawiasz?

W odpowiedzi Cam szarpnięciem odłącza przewód kroplówki od wenflonu tkwiącego w jego rękę.

Roberta szybko podchodzi i podłącza kroplówkę z powrotem.

– Zachowujesz się jak uparte, kapryśne dziecko!

– Sokrates! – odpowiada Cam. – Cykuta! Opróżnić puchar.

– Nie! – krzyczy kobieta. – Nie pozwolę, żebyś odebrał sobie życie! Nie masz prawa!

Siada na krześle przy jego łóżku, żeby się uspokoić.

– Jeżeli nie chcesz żyć dla siebie – mówi błagalnie zrób to dla mnie. *Rozkwitnij* dla mnie. Stałeś się sensem mojego życia, chyba zdajesz sobie z tego sprawę? Jeśli umrzesz, zabierzesz ze sobą także i mnie.

Cam nie chce patrzeć jej w oczy.

– niesprawiedliwe.

Roberta wzdycha, podczas gdy Cam obserwuje nieustające kap, kap, kap mieszanki do żywienia pozajelitowego, która utrzymuje go przy życiu. Jest głodny. Odczuwa głód już od długiego czasu, ale to nie wystarczy, żeby go zmotywować do jedzenia. Jaki sens ma utrzymywanie własnego ciała przy życiu, jeśli inni kwestionują to, czy w ogóle żyjesz?

– Wiem, że ta konferencja prasowa była błędem – przyznaje Roberta. – Miała miejsce za wcześnie, nie byłeś gotowy. Jednak od tamtej pory pozostaję w kontakcie z mediami i udało mi się dosyć skutecznie ograniczyć szkody. Kiedy następnym razem staniesz oko w oko z publicznością, będzie inaczej.

Cam dopiero teraz odwzajemnia jej spojrzenie.

– Nie będzie następnego razu.

Roberta uśmiecha się nieznacznie.

– No proszę! Więc jednak jesteś w stanie wyartykułować spójną myśl.

Cam wierci się i ponownie odwraca wzrok.

– Oczywiście, że jestem w stanie. Po prostu postanowiłem, że nie będę tego robił.

Roberta głaszcze jego dłoń. Oczy jej zwilgotniały.

– Jesteś dobrym chłopcem, Cam. Wrażliwym chłopcem. Dopilnuję, żebyśmy o tym nie zapominali. Zadbam też, żebyś dostawał wszystko, czego zechcesz. Wszystko czego potrzebujesz. Nikt nie będzie cię zmuszał do robienia niczego wbrew twojej woli.

– Nie chcę występować przed żadną publicznością.

– Zacziesz chcieć, kiedy ta publiczność będzie twoja – zapewnia go Roberta. – Kiedy będą się przepychali jeden przez drugiego, żeby tylko na ciebie popatrzeć. Nie jak na jakiegoś odmienca, ale jak na gwiazdę. Celebrytę. Musisz pokazać światu, na co cię stać, bo wiem, że cię stać. – Waha się przez moment, szykując się do wyjawienia mu czegoś. Może czegoś, co lęka się mu powiedzieć w obawie, że nie jest gotowy. – Bardzo długo rozmyślałam nad tą kwestią i sądzę, że potrzebujesz, aby ktoś ci towarzyszył, kiedy wyjdiesz światu naprzeciw. Ktoś, kto w pełni cię zaakceptował i może wzbudzić ciekawość opinii publicznej w bardziej pozytywny sposób. Złagodzić ich krytyczne nastawienie.

Cam podnosi na nią wzrok, ale Roberta odrzuca jego propozycję, zanim jeszcze on zdąży ją wyartykułować.

– Nie, to nie mogę być ja. Jestem postrzegana jako twoja wychowawczyni. Nie nadam się. To, czego potrzebujemy, to ładna mała planetka krążąca wokół twojej gwiazdy...

Ten pomysł intryguje Cama. Skłania go do uzmysłowienia sobie, że dręczący go głód nie jest spowodowany tylko brakiem pożywienia. Cam pragnie bliskości. Odkąd go stworzono, nie widział się z żadnym rówieśnikiem. Arbitralnie zdecydował, że ma szesnaście lat. Nie zna nikogo, kto mógłby temu zaprzeczyć. Gdyby miał towarzysza – kogoś, kto został urodzony, a nie stworzony w laboratorium – zbliżyłoby go to o kolejny krok do stania się prawdziwym człowiekiem. Tym razem kalkulacje Roberty popchnęły ją do właściwej decyzji. To daje Camowi przypływ motywacji. Ponownie sięga do przewodu swojej kroplówki.

– Cam, nie rób tego – mówi błagalnie Roberta. – Proszę, nie.

– Nie martw się. – Odłącza kroplówkę, po czym wstaje z łóżka po raz pierwszy od tygodni. Jego stawy bolą niemal tak samo dotkliwie jak szwy łączące części jego ciała. Podchodzi do okna i wygląda na zewnątrz. Dotąd nawet nie zdawał sobie sprawy, jaka jest pora dnia. Zmierzch. Zachodzące słońce kryje się za chmurą tuż nad horyzontem. Morze lśni, a niebo przypomina płótno, które malarz pokrył jaskrawymi kolorami farb. Czyżby

Roberta miała rację? Czy to możliwe, żeby Cam miał takie samo prawo do życia w tym świecie jak ktokolwiek inny? Może nawet większe.

– Prawo do decydowania o sobie – żąda. – Od tej pory sam podejmuję decyzje.

– Oczywiście, jasne – odpowiada Roberta. – A ja będę w pobliżu, żeby udzielać ci rad.

– Udzielać rad, nie wydawać rozkazy. Nie kontrolować. Ja będę decydował o tym, co robię i kiedy to robię. I sam wybiorę sobie towarzysza.

Roberta kiwa głową.

– W porządku.

– To dobrze. Jestem głodny – mówi Cam. – Niech mi przyniosą stek. – Po zastanowieniu zmienia zdanie. – Nie...

Niech mi przyniosą homara.

– Nie ma sprawy, Cam. – I Roberta pośpiesznie wychodzi, żeby spełnić jego życzenie.



18. RISA

Risa zostaje obudzona w środku nocy przez tupot stóp – ktoś wbiega po rampie odrzutowca DosMac. Dziewczyna ma nadzieję, że ten niespodziewany gość nie przyszedł do niej, ale takie wizyty zawsze oznaczają jedno. Nikt nie zjawia się tutaj w środku nocy, chyba że stało się coś wymagającego szybkiej pomocy medycznej.

Kiana odsuwa zasłonkę i wpada do środka.

– Riso, przed chwilą przynieśli nam dwóch rannych. Jest źle, naprawdę źle.

Kiana to szesnastoletnia dziewczyna, która obsługuje nocne dyżury w izbie chorych, uwielbia dramatyzować i rozdmuchuje każdy drobiazg ponad miarę. Ponieważ została odrzucona przez rodzinę lekarzy, jest przeczulona na punkcie udowadniania, jak dobrze sobie radzi jako sanitariuszka. Dlatego kiedy przesadza w ocenie niebezpieczeństwa, zwykle robi to dlatego, że chce wyjść na bohaterkę, która samodzielnie poradziła sobie w kryzysowej sytuacji. Fakt, że tym razem Kiana przybiegła po Risę zamiast próbować zgarnąć całą chwałę, oznacza, że musiało się stać coś naprawdę poważnego.

– Dwóch chłopaków majstrowało przy turbinie silnika – ciągnie Kiana – i cały silnik odpadł od kadłuba i zleciał...

Risa dźwiga się z łóżka na wózek inwalidzki.

– Co im przyszło do głowy, żeby majstrować przy turbinie silnika w środku nocy?

– Chyba założyli się z kimś.

– Wierzyć się nie chce. – Połowa obrażeń, z którymi Risa ma do czynienia, to albo efekt zachowań autodestrukcyjnych, albo zwykłej głupoty. Dziewczyna często się zastanawia, czy to wynika z natury Całych, czy też wszystkie nastolatki świata zachowują się tak samo.

Kiedy Risa dociera do izby chorych, są tam już wszyscy sanitariusze, zarówno ci, którzy mają teraz dyżur, jak i pozostali. Paru z nich to starsze nastolatki, które zostały na Cmentarzysku po skończeniu siedemnastu lat, ale reszta to po prostu dzieciaki z podstawowym przeszkoleniem, pozwalającym leczyć drobne obrażenia i nic więcej. Widok krwi już od dawna nie wzbudza w Risie strachu. Przerażają ją wyłącznie jej własne ograniczenia – a gdy tylko wjeżdża na salę, z miejsca wie, że ta sytuacja wykracza daleko poza jej kompetencje.

W kącie pomieszczenia jeden nastolatek, z ewidentnie zwichniętym barkiem, krzywi się i narzeka, że go boli ale prawie nikt nie zwraca na niego uwagi, bo na stole leży drugi ranny, który jest w znacznie gorszym stanie. Na jego tułowi ziele wielka rana, z której wystaje co najmniej jedno złamane żebro. Chłopiec dygocze i jęczy. Kilku sanitariuszy rozpaczliwie stara się powstrzymać krwawienie, uciskając kluczowe tętnice, a jeden drżącymi rękami próbuje naciągnąć czegoś do strzykawki.

– Lidokaina czy epinefryna? – pyta Risa.

– Lidokaina? – odpowiada chłopak, tak jakby zadawał pytanie.

Ja mu podam. Mamy fabrycznie napełnione automatyczne wstrzykiwacze z epinefryną.

Dzieciak patrzy na nią tak, jakby go przyłapała na korytarzu szkolnym w trakcie lekcji.

– Adrenalina! – mówi Risa. – To inna nazwa adrenaliny.

– Dobra! Wiem, gdzie one są!

Risa próbuje się skupić, nie pozwalając, żeby przytłoczyła ją szersza perspektywa. Robi rannemu chłopcu pierwszy zastrzyk, który złagodzi ból.

– Czy ktoś dzwonił po lekarza? – pyta.

– Ze trzy razy – odpowiada Kiana.

Mają numer do lekarza, który przyjeżdża na Cmentarzysko, ilekroć pojawia się problem, z którym nie mogą sobie poradzić we własnym zakresie. Udziela pomocy medycznej za darmo i nie zadaje żadnych pytań, bo sympatyzuje z ruchem oporu, ale odbiera ich telefony tylko wtedy, kiedy

chce. Jednak nawet jeśli udałoby im się z nim skontaktować, Risa wie, co by powiedział.

– Musimy go zawieźć do szpitala.

Kiedy to mówi, na twarzach wszystkich obecnych odmalowuje się ulga, bo teraz życie tego chłopca nie będzie już zależało od nich. Chociaż na Cmentarzysku dochodzi do wielu drobnych wypadków, jak dotąd tylko dwa razy musieli kogoś wysłać do szpitala. W obu przypadkach ta osoba nie przeżyła. Risa poprzysięgła sobie, że ten scenariusz się więcej nie powtórzy.

– Strasznie boli – skarży się ranny, z trudem łapiąc powietrze i krzywiąc się.

– Ćśśś – ucisza go Risa. Widzi, że gałki oczne chłopca zaczynają się wywracać. – Patrz na mnie. – Wstrzykuje mu epinefrynę, która powinna zmniejszyć krwawienie i – oby – zapobiec wystąpieniu wstrząsu. – Powiedz mi, jak masz na imię.

– Dylan – odpowiada chłopiec. – Dylan Ward.

– Serio? Ja też wychowałam się w bidulu. Stanowy Dom Dziecka w Ohio numer 23.

– Dom Magnolia na Florydzie. Domy dziecka na Florydzie nie mają numerów. Noszą nazwy kwiatów.

– No proszę.

Dylan Ward ma trzynaście, może czternaście lat. Szpeci go paskudna zajęcza warga. Jej widok wzbudza w Risie złość, bo ten chłopiec wychował się w domu dziecka, tak jak ona – a podczas gdy rodzice nie zlecą podzielenia tylko dlatego, że potomek ma jakiś defekt wyglądu, domy dziecka nie widzą żadnego problemu w tym, żeby pozbywać się dzieciaków, na które opiekunowie nie mają ochoty patrzeć. Uratowanie mu teraz życia staje się dla Risy kwestią honoru.

– Ściągnijcie tu ambulans – mówi do Kiany.

– Złapał gumę – odpowiada młodsza dziewczyna.

Risa warczy, sfrustrowana.

– Zmieńcie koło!

– Nie odchodź – mówi Dylan, najwyraźniej przekonany, że jeśli ktoś może go uratować, to właśnie ona.

– Nie odejdę – uspokaja go Risa.

RPP ciągle obiecuje, że sprowadzą lekarza, który zamieszka na stałe na Cmentarzysku, jednak jeszcze tego nie zrobili. Risa wie, że ruch oporu

ma inne priorytety, ale to słaba wymówka, kiedy nastolatek wykrwawia się na śmierć.

– Czy ja umrę? – pyta Dylan.

– Oczywiście, że nie – odpowiada Risa. Prawdę mówiąc nie ma pojęcia, czy chłopiec przeżyje, czy umrze, ale taka odpowiedź nie dodałaby mu otuchy, a nikt, kto zadaje to pytanie, nie chce usłyszeć prawdy.

Risa przejeżdża po śmieciach walających się na podłodze i zjeżdża po tylnej rampie samolotu na dół, gdzie zebrała się grupa wystraszonych, oczekujących w napięciu nastolatków.

Jeden chłopak wychodzi do przodu. To Starkey. Odkąd Connor uczynił go odpowiedzialnym za wyżywienie obozu, typek myśli, że może wtykać nos wszędzie, gdzie mu się podoba.

– Słyszałem, że zdarzył się wypadek. Czy mogę jakoś pomóc?

– Nie bardzo, chyba że potrafisz teleportować ludzi i możesz nas przetransportować do szpitala.

Przykro mi – odpowiada Starkey – moje magiczne sztuczki to tylko sztuczki.

Właśnie wtedy podbiega do nich Connor.

Słyszałem o wypadku. Udało się wam opanować sytuację?

Risa kręci głową.

– Jednym dzieciakiem damy radę się zająć, ale drugi... – Znowu czuje dreszcz na samo wspomnienie. – Musimy go zabrać do szpitala.

Connor zaciska usta w wąską kreskę, a nogi zaczynają mu się trząść tak jak wtedy, kiedy jeszcze ukrywał się w azyłach. Opanowuje się szybko, uderza pięścią w drugą, otwartą dłoń i kiwa głową.

– Okej – mówi – okej, zrobimy to, co trzeba zrobić. – Dopiero teraz spostrzega, że Starkey również stoi w pobliżu. – Czy Starkey wam pomaga?

– Nie – odpowiada Risa, a potem, tylko po to, żeby pozbyć się niechcianego obserwatora, dodaje: – Mógłby pomóc zmienić koło w ambulansie.

Starkey przez moment sprawia wrażenie obrażonego, a potem się uśmiecha.

– W porządku, nie ma problemu. – I oddała się truchtem. „Ambulans” to pozbawiony tylnych siedzeń minivan, prowizorycznie wyposażony w podstawowy sprzęt medyczny. Dylan zostaje pośpiesznie zniesiony po schodach i załadowany do środka. Kiana zajmuje miejsce z tyłu, żeby

sprawować opiekę nad rannym, a inny z sanitariuszy będzie kierował. Chłopiec woła Risé, ale ta nie może wsiąść do auta razem z nim. Po raz kolejny przeklina w myślach swój wózek inwalidzki.

Starkey wciąż jeszcze stoi w pobliżu. Odwraca się do Connora.

– Nie jedziesz z nimi? – pyta.

– Admirał nigdy nie opuszczał Cmentarzyska, dopóki nie został stąd wyniesiony – odpowiada Connor. – Biorę z niego wzór.

Starkey wzrusza ramionami.

– Wygląda to tak, jakbyś tchórzył.

Connor posyła mu wściekłe spojrzenie.

– Hej, tak tylko mówię – dorzuca Starkey.

– Nie obchodzi mnie, jak to wygląda – odpowiada z naciskiem Connor. – Robię to, co muszę, żeby to miejsce funkcjonowało.

– Sorry, nie chciałem być niegrzeczny. Pewnie muszę się jeszcze sporo nauczyć o odpowiedzialności za obóz.

Pożegnawszy Risé uprzejmym skinieniem głowy, Starkey odchodzi, ale to, co powiedział, zostaje w umyśle dziewczyny niczym guma przyklejona do podeszwy buta w czasach, kiedy stopy Risy jeszcze dotykały ziemi. Oczywiście to Connor ma rację. Gdyby pojechał do szpitala, stanowiłoby to lekkomyślny pokaz brawury, typowy dla aroganckiego, a nie odpowiedzialnego przywódcy. Ale Risy, w przeciwieństwie do niego, nie trzyma tutaj nic poza wózkiem inwalidzkim. A czy kiedykolwiek pozwoliła, żeby od zrobienia czegoś powstrzymał ją wózek?

Tym razem ja z nimi pojadę – mówi do Connora Chłopak gwałtownie podnosi rękę.

– Riso, nikt tego od ciebie nie oczekuje. Nikt nie pomyśli, że tchórzysz, jeśli tego nie zrobisz. – Spogląda w kierunku ambulansu. – A zawiezenie cię tam...

– Byłoby zbyt kłopotliwe? – kończy Risa.

Chciałem powiedzieć, że to za duże utrudnienie w momencie, gdy dla tego dzieciaka liczy się każda sekunda.

Jednak Risa podjęła już decyzję.

– Po tym, co wydarzyło się poprzednio – mówi mu – muszę pojechać.

– I tak niczego nie zmienisz – stwierdza Connor.

– Wiem – odpowiada dziewczyna, chociaż nie jest przekonana, czy Connor faktycznie ma rację. Chłopak cofa się kawałek, gdy dwóch

sanitariuszy wnosi Risę razem z wózkiem do ambulansu.

– Nawet jeśli mnie złapią, nie będą mogli mnie podzielić – przypomina mu dziewczyna. – Mam skończone siedemnaście lat. A poza tym niepełnosprawnych nie można skierować na podzielenie.

– Co będzie, jeśli cię rozpoznają?

– Daj spokój – odpowiada Risa. – Ludzie znają nasze imiona i nazwiska, ale znacznie mniej osób kojarzy nasze twarze. Nic mi się nie stanie. – Potem posyła mu lekki, ale szczery uśmiech, który Connor z ociąganiem odwzajemnia. Ten uśmiech nie jest w stanie załatać dystansu między nimi, ale przynajmniej wskazuje miejsce, gdzie dałoby się zbudować most. Risa zasuwa tylne drzwi minivana, nie wypowiadając słów pożegnania, bo Connor i ona mają swój potajemny przesąd, żeby nigdy się ze sobą nie żegnać. Już wkrótce pożałuje, że tego nie zrobiła.

Zanim opuszczą Cmentarzysko, muszą przecierpieć prawie dwa kilometry jazdy na przełaj. Nie ma tu żadnej utwardzonej drogi, tylko pustynny teren rozjeżdżony kołami odrzutowców. Dylan jęczy za każdym razem, gdy „ambulans” podskakuje na wybojach. Kiedy podjeżdżają do bramy, wartownicy – poinformowani o nadzwyczajnej sytuacji – otwierają ją prędko.

Później, gdy już jadą drogami o twardej nawierzchni, vanem znacznie mniej trzęsie, więc jęki Dylana przycichają. Risa uspokaja go i monitoruje jego parametry życiowe.

Za pierwszym razem, kiedy musieli zawieźć jednego z mieszkańców obozu do szpitala, pojechała z nim Kiana razem z innym sanitariuszem – chłopakiem, który zwykł panikować za każdym razem, kiedy plaster opatrunkowy nie chciał się przykleić. Był obok Kiany jedyną osobą z doświadczeniem medycznym, która zgodziła się opuścić Cmentarzysko, żeby wyruszyć z potencjalnie samobójczą misją. Wtedy, za pierwszym razem, nowo przybyły nastolatek założył się z kimś, że wlezie na ogon odrzutowca transportowego. Spadł, przyplacając swoją głupotę pęknięciem czaszki. Risa pojechałaby z nim, ale pozostali przekonali ją, że to nie ma sensu i będzie zbyt niepraktyczne. Kiana wraz z nerwowym sanitariuszem zawieźli chłopca do szpitala, dysponując całą zmyśloną historią o tym, co rzekomo się stało, oraz dokumentami potwierdzającymi jego fałszywą tożsamość. Chłopiec zmarł w szpitalu. Za drugim razem pacjentką była

dziewczyna z pękniętym wyrostkiem robaczkowym. Ona również została czym prędzej odwieziona do szpitala, Risa znów została na Cmentarzysku, i również ta dziewczyna zmarła.

Risa nie ma pojęcia, czy jej obecność w szpitalu coś zmieni, ale wie jedno – nie może po raz kolejny czekać beczynn timer, aż otrzyma wiadomość o śmierci następnego Całego.

Kiana pomaga Risie wysiąść przez tylne drzwi, po czym sama zanoszą Dylana do poczekalni szpitalnego oddziału ratunkowego, a Risa wjeżdża tam za nią. Teraz będzie musiała uruchomić swoje zdolności aktorskie. Myśli o przyjaciółach z zespołu muzycznego, którzy grali na dachu krajalnicy w momencie eksplozji – o tych, którzy zginęli, i to wspomnienie sprawia, że w jej oczach wzbierają tak potrzebne teraz łzy. Następnie przywołuje z pamięci postać, która już raz ją uratowała – niemądrą dziewczynę, która mówiąc rzuca same pytania.

– Przepraszam, czy ktoś może nam pomóc? Mój brat reperował dach? I zleciał stamtąd, i okropnie się poranił? I nie wiedziałyśmy, co zrobić? No więc przywiozłyśmy go tutaj, ale strasznie krwawi i bardzo się boimy o niego? Czy mogą nam państwo pomóc?

Ma nadzieję, że łzy oraz blondynkowaty głosik będą w stanie sparaliżować intuicję dowolnej osoby równie skutecznie, jak Smoczek niegdyś wymykał się radarom. Krążą pogłoski, że hycle zaczęli już ustalać w terenie tożsamość zatrzymanych za pomocą zestawów do identyfikacji DNA. Risa może tylko mieć nadzieję, że ta technologia jeszcze nie dotarła do szpitali.

Pracownicy oddziału ratunkowego rzucają wszystko i biegną, żeby zająć się rannym. Sekundę później Dylan już leży na noszach i zostaje przewieziony przez drzwi, na których widnieje napis „Tylko dla personelu”.

– Czy on przeżyje? – pyta Risa w panice, która nie do końca jest udawana. – Bo nasi rodzice wyjechali z miasta?

I nie wiedziałyśmy, co zrobić?

– Zaopiekujemy się nim, kochanie – odpowiada jedna z pielęgniarek uspokajającym tonem. – Nie martw się. – Omiata spojrzeniem Kianę, której ubranie jest poplamione krwią Dylana, a następnie wychodzi do drugiej sali.

Drzwi się zamykają, a Risa podjeżdża do recepcji z aktówką pełną starannie przygotowanych fałszywych dokumentów, tak ułożonych, żeby

wydawały się wymieszane bez ładu i składu, i tak dobranych, żeby Risa sprawiała wrażenie bezradnej i ogłupiałej.

– Zajmiemy się tym później – mówi recepcjonista, dając za wygraną, i prosi kolejną stojącą w kolejce osobę, żeby podeszła.

Mija godzina czekania bez żadnych wieści. Kiana przez cały czas chodzi tam i z powrotem, mimo że Risa powtarza jej, żeby przestała. Cóż, może podenerwowanie dobrze wpisuje się w ich przykrywkę. W końcu do poczekalni wychodzi ta sama pielęgniarka, z którą wcześniej zamieniły kilka słów. Oczywiście kobiety są wilgotne od łez i Risa czuje, jak w jej brzuchu otwiera się przepaść, tak jakby Dylan, którego poznała dopiero dzisiaj, naprawdę był jej bratem.

– Kochanie, obawiam się, że nie mam dobrych wieści. Musicie się przygotować.

Risa zaciska dłonie na kołach wózka, czując, jak w głębi jej duszy zaczyna wzbierać fala emocji. Kiana chowa głowę w dłoniach.

– Przykro mi – mówi pielęgniarka – ale wasz brat został zbyt ciężko ranny. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy...

Risa tylko gapi się na nią z niedowierzaniem, w kompletnym szoku. Pielęgniarka kładzie dłoń na dłoni dziewczyny, głaszcze ją delikatnie.

– Trudno mi sobie wyobrazić, co w tej chwili musicie czuć, ale będziemy musieli zawiadomić waszych rodziców. Próbowaliśmy do nich dzwonić na numery, które nam podałyście, ale nikt nie odbiera. Czy znacie jakiś inny sposób, żeby się z nimi skontaktować?

Risa, z twarzą schowaną za opadającymi włosami, kręci głową.

– No cóż – mówi pielęgniarka – w takim razie będziemy musieli próbować dalej. A póki co, jeżeli możecie zadzwonić do kogokolwiek innego...

– Czy może nas pani zostawić na chwilę? – pyta cicho Risa.

– Oczywiście, skarbie. – Pielęgniarka lekko ściska dłoń dziewczyny, chcąc jej dodać otuchy, po czym wychodzi z powrotem przez drzwi prowadzące na oddział ratunkowy, gdzie ciało Dylana czeka na odebranie przez rodziców, którzy nie istnieją. Risa ociera łzy, próbując czerpać pociechę ze świadomości, że zrobiła wszystko, co tylko mogła.

A potem Kiana mówi:

– Poprzednio było dokładnie tak samo. I wcześniej też.

To sprawia, że Risa podnosi wzrok, i nagle coś sobie uzmysławia. Zaczyna się zastanawiać, *jak bardzo* podobne były tamte przypadki.

– Kiana... ty wiesz, że za każdym razem powinniśmy jeździć do innego szpitala?

Po minie Kiany poznaje, że młodsza dziewczyna nigdy nie słyszała o tym punkcie procedur.

– Czy w sytuacji zagrożenia życia nie powinien to być najbliższy szpital?

Risa czuje nagły przypływ grozy, ale równoważy ją równie silna fala nadziei.

– Czy kiedy poprzednio tu byliście, widziałaś tą samą pielęgniarkę?

– Chyba tak. Co najmniej raz. To źle, prawda?...

– Tak i nie. Zaraz wracam.

Risa popycha swój wózek w stronę drzwi opatrzonych napisem „Tylko dla personelu” i przejeżdża przez nie. Po drugiej stronie znajduje się korytarz, gdzie światła są jeszcze bardziej jaskrawe, a atmosfera jeszcze mniej przyjazna niż w poczekalni.

Chociaż przez szpitalny oddział ratunkowy przewijają się setki ludzi, rzadko zdarzają się sytuacje, gdy do rodziców nastolatka z tajemniczych względów nie można się dodzwonić, a jego lub jej „rodzeństwo” znika zaraz po tym, jak dowiadują się o śmierci brata bądź siostry. Pielęgniarka musiała rozpoznać Kianę – Risa nie ma co do tego wątpliwości. A to oznacza, że nie tylko one tutaj kłamią.

– Przepraszam – woła ktoś z głębi korytarza – tu nie wolno wchodzić!

Jednak Risa nic sobie z tego nie robi, tylko wjeżdża do dużej sali, na drzwiach której widnieje napis „Sala opieki pooperacyjnej”. Jest podzielona zasłonami na oddzielne boksy, w których stoją szpitalne łóżka. Risa zaczyna odsuwać zasłony, jedną po drugiej. Puste łóżko. Staruszka. Kolejne puste łóżko, a potem – nareszcie – Dylan Ward. Leży pod kroplówką, a jego rana została opatrzona. Jest nieprzytomny, ale na monitorze widać regularną akcję serca. Z całą pewnością nie umarł.

W tym samym momencie do Risy podchodzi do tyłu pielęgniarka i odwraca jej wózek. W oczach kobiety nie widać już łez.

– Masz natychmiast opuścić salę, inaczej wezwę ochronę.

Risa przekręca hamulec, który blokuje koła wózka unieruchamiając go.

– Powiedziała mi pani, że on umarł!

– A ty mi powiedziałaś, że to twój brat.

– Zabieramy go i odjeżdżamy stąd – mówi Risa na tyle stanowczym tonem, że mogłaby zostać potraktowana poważnie, gdyby dysponowała jakimkolwiek argumentem, przed którym szpital musiałby się ugiąć. Niestety nie ma niczego takiego.

– Jego stan nie pozwala na transport, a nawet gdyby pozwalał, nigdy nie przekazałabym Podzielonego ZOMZ-a w ręce kogoś innego niż Urząd do Spraw Małoletnich.

– To właśnie zrobiła pani z poprzednimi pacjentami? Przekazała ich pani hyclom?

– To moja sprawa – odpowiada pielęgniarka najzimniejszym tonem, na jaki ją stać.

Niech mi pani przynajmniej wyświadczy tę grzeczność i powie, czy tamtych dwoje jeszcze żyje.

Pielęgniarka spogląda na nią nienawistnie, po czym mówi:

– Żyją. Ale pewnie już dawno zostali podzieleni.

Risa żałuje, że nie może wstać z wózka i rzucić tą kobietą o ścianę. Jadowite spojrzenia ich obu krzyżują się w powietrzu niczym wiązki lasera.

– Myślisz, że nie wiem, co się dzieje tam na cmentarzysku samolotów? – ciągnie pielęgniarka. – Wiem, bo mój brat jest gliniarzem od małych lat. Dziwne, że władze jeszcze was wszystkich nie zgarnęły i nie posłały tam, gdzie wasze miejsce! – Wyciąga rękę wskazując kierunek, tak jakby wiedziała dokładnie, gdzie leży najbliższy ośrodek donacyjny. – Pacjenci w całym kraju umierają, bo brakuje dla nich organów, ale ty i twoi samolubni przyjaciele z ruchu oporu wolicie skazywać porządnych ludzi na śmierć.

Skąd my to znamy – myśli Risa. Przepaść między dwiema kompletnie różnymi wersjami dobra i zła. Ta kobieta postrzega Risę jako zdeprawowaną przestępczynię i nic nigdy tego nie zmienia.

– Naprawdę robi to pani dla dobra społeczeństwa? – pyta ostro Risa. – Czy raczej po to, żeby zgarnąć kasę z nagród?

Pielęgniarka nagle spuszcza wzrok, i Risa już zna prawdę. Podstawy, na których ta kobieta opierała swoją moralną wyższość, gwałtownie się załamały.

– Wracaj do tej waszej bandy brudasów – mówi pielęgniarka. – Zrób to, a ja będę udawać, że nigdy was tu nie było.

Jednak Risa nie może opuścić sali. Nie może zostawić Dylana, skazując go na podzielenie.

I w tym momencie na oddział ratunkowy wchodzi hycel.

– Tutaj! – woła pielęgniarka, po czym znów spogląda na Risę. – Jeśli natychmiast się stąd wyniesiesz, pozwolę tobie i twojej przyjaciółce z poczekalni odejść wolno. Może nie musisz się obawiać podzielenia, ale z całą pewnością można cię zamknąć w areszcie.

Jednak Risa nigdzie się nie wybiera.

Pielęgniarka wita się z gliniarzem, który – sądząc z wyglądu – najwyraźniej jest jej starszym bratem. Mężczyzna posyła długie zaciekawione spojrzenie w stronę Risy, po czym spogląda na leżącego chłopca.

– To on? – pyta.

– Ustabilizowaliśmy go, ale stracił mnóstwo krwi. Przez jakiś czas nie będzie się kwalifikował do transportu.

– Trzymajcie go w śpiączce farmakologicznej – od powiada gliniarz. – Najlepiej, żeby obudził się dopiero w ośrodku donacyjnym.

Risa zaciska dłonie na wózku, wiedząc, co zamierza zrobić, przez co najmniej dziesięć sekund, zanim faktycznie to zrobi. Dziesięć sekund milczącej paniki, ale żadnych wątpliwości co do podjętej właśnie decyzji.

– Zabierzcie mnie – mówi. – Zabierzcie mnie zamiast niego.

Wie, że Connor by tego nie zaaprobował. Wie, że będzie wściekły, ale nie może teraz zaprzętać sobie głowy myślami o nim, które mogłyby osłabić jej determinację. Tu chodzi o to, żeby ocalić Dylana Warda.

Gliniarz uważnie się jej przygląda. Ewidentnie wie doskonale, kim ona jest i co oznacza jej oferta.

– Z tego co wiem masz skończone siedemnaście lat, panno Ward, a ponieważ jeździsz na wózku inwalidzkim, i tak nie moglibyśmy cię podzielić. Więc jaką masz dla nas wartość?

Dziewczyna uśmiecha się, bo wreszcie zyskała przewagę.

Żartuje pan? Jestem powszechnie znaną członkinią Ruchu Przeciwników Podzielenia i wiem dokładnie, co stało się tamtego dnia w Happy Jack.

Gliniarz przez chwilę rozważa jej słowa.

Nie jestem idiotą – mówi. – Nigdy nie zgodzisz się z nami współpracować. Będziesz wolała umrzeć niż współpracować.

– Może i tak – przyznaje Risa – ale czemu miałoby to pana martwić? Bez względu na to, czy odmówię współpracy, pan i tak zbierze pochwały jako ten, który mnie dostarczył władzom, czyż nie?

Dziewczyna praktycznie słyszy, jak w jego umyśle obracają się kółeczka.

– Co mnie powstrzyma przed ujęciem ciebie oraz tego dzieciaka na łóżku?

– Jeśli pan spróbuje – odpowiada spokojnie Risa – straci pan trofeum. Mam wszczepioną kapsułkę z cyjankiem. – Wyciąga rękę, pokazując mu wnętrze dłoni. – Tuż pod skórą. Pęknie, gdy tylko klasnę w rękę. – Udaje, że zamierza energicznie zaklaskać, ale nieruchomieje tuż zanim jej dłonie się zetkną. – Widzi pan – dorzuca z szerokim uśmiechem – są różne rodzaje klakierów.

Oczywiście pod jej skórą nie ma żadnej kapsułki, ale policjant nie musi o tym wiedzieć. Nawet jeśli podejrzewa, że ona blefuje, nie ma wystarczającej pewności, żeby zaryzykować.

– Jeśli umrę tu i teraz – ciągnie Risa – nie zasłynię pan jako gliniarz, który mnie dostarczył władzom, tylko jako gliniarz, który pozwolił mi umrzeć po tym, jak mnie zatrzymał. – Potem znów się uśmiecha. – To prawie równie malownicza porażka jak zaliczenie postrzału w nogę z własnej broni usypiającej, czyż nie?

Mężczyzna marszczy brwi na myśl o tym, że mogłoby istnieć jakiegokolwiek podobieństwo między nim a tamtym pechowym hyclem.

Pielęgniarsce nie podoba się cała ta wymiana zdań. Kobieta splata ręce na piersi.

– A co z moją nagrodą? – pyta.

Wtedy brat odwraca się do niej, jak na starszego brata przystało, i mówi:

– Zamknij się, Kara, okej? Po prostu się zamknij.

I tak oto umowa zostaje zawarta.

W dokumentacji medycznej Dylana pozostaną jego fałszywe dane osobowe, a gdy tylko będzie się kwalifikował do podróży, zostanie wypisany bez żadnych pytań i oddany pod opiekę Kiany.

Jednakże życie Risy obierze odtąd inny kierunek.



19. CAM

Niełatwo znaleźć taką partnerkę, jakiej potrzebuje Camus Comprix, posiadającą cały zestaw odpowiednich cech. Przez proces rekrutacji przechodzi ponad dwieście dziewcząt. Wszystkie mogą się pochwalić doskonałymi referencjami. Są wśród nich aktorki i modelki, intelektualistki i celebrytki wywodzące się z najwyższych sfer. Roberta nie szczędziła wysiłków, próbując wyszukać idealną planetę dla swojej gwiazdy.

Dwadzieścia wyłonionych kandydatek trafia na ostateczną rozmowę kwalifikacyjną – z samym Camem. Rozmowy odbywają się w przytulnej atmosferze, przy kominku we wspaniałym salonie willi. Wszystkie kandydatki są elegancko ubrane, ładne i inteligentne. Większość streszcza swoje życiorysy, tak jakby ubiegały się o posadę w biurze. Niektóre gapią się na niego bez skrępowania, inne w ogóle nie są w stanie patrzeć mu w oczy. Jedna dziewczyna przymila się do niego nachalnie, jeszcze bardziej ognista niż kominek.

– Bardzo bym chciała zostać twoją pierwszą kobietą – mówi mu. – Możesz to robić, prawda? To znaczy... jesteś *kompletny*, prawda?

– Więcej niż kompletny – odpowiada Cam. – Mam aż trzy.

Dziewczyna gapi się na niego oniemiała, a on postanawia nie wyjaśniać, że żartował.

Odkrywa, że niektóre z kandydatek mu się podobają, podczas gdy na inne reaguje chłodem, ale podczas żadnego ze spotkań nie odczuwa tej iskry wzajemnego porozumienia, na którą liczył. Kiedy przychodzi czas

na ostatnią rozmowę – z młodą bostońską panią naukowiec ubraną tak modnie, jakby mieszkała w Nowym Jorku, Cam chce już tylko doprowadzić ten dzień do końca. Dziewczyna jest jedną z tych, które sprawiają wrażenie mocno zaintrygowanych jego twarzą. Nie ogranicza się jednak do spoglądania na niego – studiuje go niczym okaz pod mikroskopem.

– To co widzisz, kiedy na mnie patrzysz? – pyta Cam.

– Nie liczy się wygląd zewnętrzny, ale to, co znajduje się w środku – odpowiada kandydatka.

– A jak sądzisz, co ja mam w środku?

Dziewczyna waha się, po czym pyta:

– Czy to miało być podchwytliwe pytanie?

Roberta prawie wychodzi z siebie, kiedy Cam odmawia zaakceptowania którejkolwiek z kandydatek. Tego wieczoru ich wspólnej kolacji towarzyszy głośny brzęk sztućców i energiczne krojenie mięsa. Niemal nie spoglądają na siebie nawzajem ponad stołem. W końcu Roberta mówi.

– Nie szukamy dla ciebie bratniej duszy, Cam, tylko kogoś, kto wypełni swoją rolę. Towarzyszki, która pomoże ci stopniowo się przystosować do życia publicznego.

– Może nie chcę się godzić na taki kompromis.

– Praktyczność nie musi być równoznaczna z kompromisem.

Cam uderza pięścią w stół.

– Moja decyzja! Nie będziesz mnie zmuszać.

– Oczywiście, że nie będę... ale...

– Koniec dyskusji. – I przez resztę posiłku towarzyszy im już tylko brzęk sztućców. W głębi serca Cam wie, że jego opiekunka ma rację, a to tylko doprowadza go do furii. Wszystko, czego potrzebują, żeby plan Roberty zadziałał, to atrakcyjna, sympatyczna dziewczyna trzymająca go za rękę – dziewczyna, która przekona opinię publiczną, że Cam jest pod każdym względem godzien miłości, jednak on właśnie odkrył, że zupełnie nie nadaje się na aktora. Być może mógłby udawać, ale już czuje zgrozę na myśl o chwilach, gdy zostanie sam i będzie musiał stawić czoła pustce.

Pustce.

Ludzie uważają, że to właśnie znajduje się w jego wnętrzu. Otchłań bez dna. A skoro Cam nie potrafi znaleźć dla siebie towarzyszki wśród tych wszystkich dziewcząt, które mu przyprowadzono, czy to znaczy, że tamci mają rację i rzeczywiście nie posiada duszy?

– Niekompletny – mówi. – Jeśli jestem cały, dlaczego czuję się tak, jakbym nie był? – I Roberta jak zwykle ma w pogotowiu jakiś pokrząpiony banal, który ma go podnieść na duchu, ale z biegiem czasu te jej oklepane mądrości sprawiają, że Cam czuje się coraz bardziej zubożony i rozczarowany.

– Poczucie spełnienia uzyskuje się dzięki doświadczeniom, które są od początku do końca nasze, Cam – mówi mu Roberta. – Żyj własnym życiem, a wkrótce odkryjesz, że życie tych, którzy istnieli przed tobą, przestanie mieć znaczenie. Ci, z których powstałeś, są nieistotni w porównaniu z tym, czym jesteś.

Ale jak Cam ma żyć własnym życiem, skoro nie jest przekonany, czy w ogóle je ma? Werbalne ataki podczas konferencji prasowej wciąż jeszcze spędzają mu sen z powiek. Jeśli każda istota ludzka posiada duszę, gdzie jest jego dusza? A jeśli dusza człowieka jest niepodzielna, jakim sposobem jego dusza mogłaby być sumą części dusz wszystkich tych nastolatków, z których ciał powstało ciało Cama? Nie jest jednym z nich, nie jest nimi wszystkimi, więc kim jest?

jego pytania niecierpliwą Robertę.

– Przykro mi – mówi jego opiekunka – ale nie udzielam odpowiedzi na takie pytania, na które nie da się odpowiedzieć.

– To znaczy, że nie wierzysz w dusze? – pyta Cam.

– Tego nie powiedziałam, ale nie próbuję odpowiadać na pytania, kiedy nie dysponuję żadnymi namacalnymi danymi. Jeśli ludzie mają dusze, to ty też. Dowodem jest sam fakt, że żyjesz.

– Ale co jeśli we mnie nie ma żadnego „ja”? Co jeśli jestem tylko ciałem, które zachowuje się jak żywy człowiek, ale w środku nie ma nic?

Roberta zastanawia się nad tym, a w każdym razie udaje, że się zastanawia.

– No cóż, gdyby tak było, wątpię, czy zadawałbyś te pytania. – Rozmyśla jeszcze przez chwilę. – Jeśli potrzebujesz konstruktu – dodaje – pomyśl o tym w następujący sposób: bez względu na to, czy świadomość zostaje nam implantowana przez siłę nadprzyrodzoną, czy też wygenerowana przez nasz własny mózg, końcowy efekt jest taki sam. *ISTNIEJEMY*.

– Do czasu, gdy przestajemy istnieć – dodaje Cam.

Roberta kiwa głową.

– Tak, do czasu, gdy przestajemy istnieć. – I zostawia go samego, nie odpowiadawszy na żadne z jego pytań.

* * *

Jego fizjoterapia wyewoluowała w wyczerpujące ćwiczenia siłowe z maszynami i ciężarkami oraz sesje kardio. Kenny jest jedyną osobą, którą Cam uważa za kogoś na kształt przyjaciela, chyba żeby wliczyć Robertę oraz ochroniarzy, którzy zwracają się do niego per „pan”. Z rehabilitantem rozmawia otwarcie na tematy, które Roberta przypuszczalnie wolałaby monitorować.

– Czyli z wielkiego poszukiwania dziewczyny nic nie wyszło, co? – pyta Kenny, podczas gdy Cam wyciska z siebie siódme poty na bieżni.

Nie zdołaliśmy jeszcze wyszukać odpowiedniej towarzyszki dla naszego tworu – odpowiada Cam, naśladowując akcent Roberty.

Kenny śmieje się z cicha.

– Masz prawo wybrzydzać – mówi Camowi. – Nie powinieneś się godzić na układ, z którego nie będziesz zadowolony.

Cam kończy trening i maszyna zaczyna zwalniać tempo.

– Nawet jeśli nie ma możliwości, żebym dostał to, czego chcę?

– To znaczy, że powinieneś jeszcze bardziej stanowczo na to naciskać – radzi mu Kenny. – Bo może wtedy uda im się lepiej utrafić.

Niewykluczone, że to odpowiednie podejście, chociaż Cam podejrzewa, że idąc za radą fizjoterapeuty naraża się tylko na rozczarowanie.

Tej nocy udaje się samotnie do salonu, gdzie znajduje się stół, którego blat jest wielkim ekranem, i zaczyna przeglądać fotografie. Większość z nich to losowo wybrane obrazy – te, których Roberta nadal używa do sprawdzania jego wiedzy, chociaż rzadziej niż kiedyś. Nie udaje mu się odnaleźć wśród nich tego, czego szuka. Natrafia na plik zawierający zdjęcia wszystkich dwustu dziewcząt, które zgłosiły się na rekrutację. Dwieście uśmiechniętych ładnych twarzących oraz towarzyszące im życiorysy. Po jakimś czasie wszystkie zaczynają wyglądać tak samo.

– Tam jej nie znajdziesz.

Cam odwraca się i widzi Robertę, która stoi na spiralnych schodach, obserwując go. Kobieta schodzi na sam dół.

– Skasowałaś jej zdjęcie? – pyta Cam.

– Powinnam była – odpowiada Roberta – ale nie.

Dotyka ekranu, loguje się, po czym zaczyna otwierać pliki, do których Cam nie miał dostępu. Po zaledwie kilku sekundach wyciąga nie jedno, ale trzy zdjęcia, po czym wzdycha.

– Czy to jej szukałeś?

Cam spogląda na fotografię.

– Tak.

Dwa pozostałe zdjęcia, podobnie jak to, które Cam widział wcześniej, sprawiają wrażenie zrobionych bez wiedzy dziewczyny. Zastanawia się, dlaczego Roberta zgodziła się teraz pokazać mu fotografie przedstawiające nieznaną na wózku inwalidzkim, chociaż wcześniej tak bardzo nie chciała, żeby je oglądał.

– Autobus – mówi Cam. – Ona jechała autobusem.

– Jej autobus nigdy nie dojechał do celu. Został zepchnięty z drogi i uderzył w drzewo.

Cam kręci głową.

– Nie dostałem tego wspomnienia. – Potem spogląda na Robertę. – Opowiedz mi o niej.



20. NELSON

Niegdyś hycel, który przekwalifikował się na p rata części, tym razem przeszedł samego siebie! Dostarczył nie jednego, a dwóch ZOMZów!

Nelson uważa, że jego sukces wynika z genialność stosowanych taktyk. Dziewczynę wyhaczył w pobliżu restauracji samoobsługowej, udając przedstawiciela ruchu oporu. Łatwowierność zawsze była jego najlepszym sojusznikiem. Włosy schwytanej nie są wprawdzie jednoznacznie rude, tak jak chciał Divan, ale w odpowiednim świetle można uznać, że to rudawy blond. Gdy chodzi o chłopca, Nelson upolował go, wykorzystawszy dziewczynę jako przynętę. Przywiązał ją do rury odpływowej w pobliżu opuszczonej fabryki w dzielnicy zamieszkaney przez umbroskórych i słynącej z tego, że notorycznie ukrywają się tam ZOMZ-owie. Poczekał, aż krzyki uwięzionej zwabią kogoś, i patrzył, jak chłopak ją uwalnia. Potem ze swojego punktu obserwacyjnego w budynku po drugiej stronie ulicy Nelson postrzelił ich oboje pociskami usypiającymi, gdy próbowali uciec.

Jego analizator DNA zidentyfikował ich oboje jako notowanych w systemie ZOMZ-ów, co jego sumienie zawsze odbiera lepiej niż łapanie dzieciaków, które mają jeszcze do czego wracać.

Gdy Nelson jedzie autem z powrotem do salonu samochodowego Divana, jest pełen antycypacji. Nigdy nie należał do nadambitnych i przodujących pod względem wyników, więc wyrobienie podwójnej normy o połowę mniejszym nakładem pracy niż zwykle to doprawdy rzadkie osiągnięcie!

Kiedy dojeżdża na miejsce, Divan jest zaskoczony, ale uradowany, że ponownie go widzi po tak krótkim czasie od ostatniej wizyty połączonej z dostarczeniem towaru.

– Co za łup! – stwierdza i dla odmiany nawet się nie targuje, tylko wypłaca Nelsonowi należność w takiej wysokości, jakiej ten zażądał. Może dlatego, że Nelson tym razem nie poprosił o trofea. W oczach dziewczyny widać blaknące pozostałości wstrzykniętego purpurowego pigmentu, co wygląda najzwyczajniej w świecie brzydko, a oczom chłopca Nelson w ogóle się nie przyjrzał. Nieczęsto zdarza mu się pragnąć czegoś, czego nie widział.

Okazując rzadko spotykaną wdzięczność, Divan zaprasza go na obiad w dobrej restauracji. Nelson od dość dawna nie bywał w lokalach tej klasy.

– Interesy chyba nieźle ci idą – komentuje.

– Interesy to interesy – odpowiada Divan – ale perspektywy wyglądają obiecująco.

Nelson widzi, że coś zaprzęta myśli jego zleceniodawcy. Patrzy i obserwuje, podczas gdy Divan zanurza łyżeczkę w kawie i powoli, metodycznie miesza.

– Podczas naszego ostatniego spotkania – mówi Divan – wspomniałem ci o pogłoskach, nieprawdaż?

– Tak, ale nie wyjawileś, o co konkretnie chodzi – odpowiada Nelson, pijąc swoją kawę znacznie szybciej niż rozmówca. – Czy to pogłoski, które mnie ucieszą?

– W pierwszej chwili na pewno nie. Słyszałem tę plotkę już więcej niż raz. Nie chciałem cię o niej informować do momentu, gdy usłyszę ją z więcej niż jednego źródła. – Divan wciąż miesza kawę. Nie pije jej, tylko wpatruje się w wirujący płyn. – Podobno ZOMZ z Akron wciąż żyje.

Nelson czuje, jak włoski na karku stają mu dęba, trąc o kołnierzyk.

– To niemożliwe.

– Tak, tak. Pewnie masz rację. – Potem Divan odkłada łyżeczkę. – Ale czy ktokolwiek faktycznie widział lub zidentyfikował jego ciało?

– Nie było mnie w Happy Jack. Przypuszczam, że panował tam jeden wielki chaos.

– Otóż to – mówi powoli Divan. – Jeden wielki chaos. – Potem podnosi swoją filiżankę i powoli upija długi łyk. – A to oznacza, że mogły się wydarzyć rozmaite rzeczy. – Następnie odstawia filiżankę i nachyla się. –

Sądzę, że te pogłoski mogą być prawdziwe. Czy masz pojęcie, za jaką cenę można byłoby sprzedać części ciała ZOMZ-a z Akron? Ludzie są gotowi zapłacić niewiarygodne kwoty za kawałek tego gościa. – Potem Divan się uśmiecha. – Zapłacę ci dziesięć, może nawet dwadzieścia razy więcej, niż zapłaciłem za dzisiejsze zdobycze.

Nelson próbuje niczego po sobie nie pokazać, ale wie, że milczenie stanowi dostatecznie wymowną oznakę jego chciwości. Jednakże w tej konkretnej chwili nie chodzi mu jedynie o pieniądze. Gdyby przywiózł i sprzedał Connora Lassitera, nie tylko zarobiłby mnóstwo gotówki, ale też wyrównałby bardzo niekorzystne dla siebie rachunki.

Divan, zdawałoby się, czyta mu w myślach.

– Mówię ci to wcześniej niż któremukolwiek innemu z moich dostawców. Sprawiłoby mi ogromną przyjemność, gdybyś to ty go złapał, biorąc pod uwagę, że wasze drogi już się skrzyżowały w przeszłości.

– Dziękuję – mówi Nelson, autentycznie wdzięczny, że dowiedział się pierwszy, zyskując cenny czas.

– Plotka głosi, że w różnych miejscach ukrywają się duże grupy ZOMZ-ów. Dobrze byłoby odszukać te miejsca, bo jest spora szansa, że Lassiter pracuje teraz dla Ruchu Przeciwników Podzielenia.

– Jeżeli żyje, złapię go i przywiozę do ciebie – stwierdza Nelson. – Ale mam jedną prośbę.

Divan unosi brew.

Nelson spogląda na niego zimno, dając wyraźnie do zrozumienia, że ta kwestia nie będzie podlegać negocjacji, po czym mówi:

– Ja dostanę jego oczy.

CZĘŚĆ CZWARTA

LEVIATANIE

BELGIJSCY CHIRURDZY POBIERAJĄ NARZĄDY PO EUTANAZJI

Michael Cook, 14 maja 2010, dziennik internetowy BioEdge

Jak często dochodzi do takich sytuacji w Belgii i w Holandii? Wesley Smith, bloger zajmujący się bioetyką, zwrócił naszą uwagę na doniesienie z konferencji, którego autorami są belgijscy specjaliści od chirurgii transplantacyjnej, dotyczące pobierania narządów po eutanazji. Lekarze ze Szpitala Uniwersyteckiego w Antwerpii opisali podczas Światowego Kongresu Transplantacyjnego w 2006 r. (w bloku tematycznym poświęconym „ekonomii przeszczepów”), jak na jej własne życzenie zabili 46-letnią kobietę cierpiącą na schorzenie neurologiczne i pobrali od niej wątrobę, dwie nerki oraz wysepki Langerhansa.

W doniesieniu z 2008 r. lekarze podali, że w latach 2005-2007 dokonano eutanazji na trzech pacjentach...

W momencie pisania tego artykułu lekarze wyrażali duży entuzjazm w odniesieniu do potencjalnych możliwości donacji narządów w krajach, gdzie eutanazja jest legalna...

Najdziwniejsze jest to, jak niewiele miejsca poświęcono tej sprawie w mediach, mimo że belgijscy lekarze opublikowali informacje o swoim osiągnięciu w wiodącym światowym piśmie poświęconym chirurgii transplantacyjnej. Patrz: Transplantation, 15 maja 2006; Transplantation, 27 lipca 2008.

Pełny tekst artykułu dostępny pod adresem:

http://www.bioedge.org/index.php/bioethics/bioethics_article/8991/



21. LEV

Bardzo rzadko się zdarza, żeby klakier nie zaklaskał, bo kiedy ktoś dochodzi do etapu, na którym jest gotów uczynić ze swojej krwi substancję wybuchową mogącą wysadzić w powietrze cały budynek, to oznacza, że zaszedł już bardzo daleko drogą, z której się nie wraca.

Jednakże w Levim Jedediahu Calderze pozostała jeszcze iskierka światła. Wystarczająca do tego, żeby zainicjować radykalną zmianę przekonań.

Klakier, który nie zaklaskał.

Uczyliło go to sławnym. Jego twarz stała się znana zarówno w kraju, jak i za granicą. „DLACZEGO, LEV, DLACZEGO?” – zapytywały retorycznie pierwsze strony gazet prezentujących historię jego życia niczym rozkładówkę, żeby mógł ją łakomie pochłaniać cały świat, tak łasy na sensacje oraz osobiste tragedie.

– Zawsze był idealnym synem – cytowano powtarzane w wywiadach słowa jego rodziców. – Nigdy tego nie zrozumiemy. – Patrząc na ich zalane łzami twarze, można byłoby pomyśleć, że Lev wysadził się w powietrze i naprawdę nie żyje. No cóż, w pewnym sensie może faktycznie zginął, bo ten Levi Calder, którym był w dniu, gdy odesłano go z domu jako dziesięć, już nie istniał.

Prawie rok po tym, jak aresztowano go w ośrodku donacyjnym Happy Jack, Lev siedzi w świetlicy ośrodka poprawczego w deszczowy niedzielny poranek. Nie jest mieszkańcem poprawczaka, tylko gościem, który przybył tu z misją miłosierdzia.

Naprzeciwko niego siedzi nastolatek w pomarańczowym dresie, z ramionami splecionymi na piersi. Pomiędzy nimi leżą smętne ruiny układanki porzuconej przez ostatnią osobę, jaka siedziała przy tym stole – jeden z wielu niedokończonych projektów, które prześladowają to miejsce. Jest luty i na ścianach wiszą dość tandetne dekoracje walentynkowe. W założeniu miały stwarzać świąteczny nastrój, ale sprawiają wrażenie sadystycznego pomysłu, bo w ośrodku poprawczym, w którym przebywają wyłącznie chłopcy, tylko garstka szczęśliwców przeżyje w tym roku romans.

– Podobno masz mi powiedzieć coś sensownego? – pyta chłopak w pomarańczowym dresie, demonstrując swoje tatuaże i emanując buntowniczym nastawieniem oraz zapaszkiem potu. – Ile ty masz lat, dwanaście?

– Czternaście.

Chłopak w dresie uśmiecha się złośliwie.

– No cóż, tym lepiej dla ciebie. A teraz spadaj stąd. Nie potrzebuję porady duchowej od małego Jezuska. – Wyciąga rękę i mierzwi włosy Leva, które przez ostatni rok urosły tak, że sięgają mu do ramion, i faktycznie prezentują się jezusowato.

Na Levie nie robi to wrażenia. Trudna młodzież notorycznie tak na niego reaguje.

Mamy jeszcze pół godziny. Może powinniśmy pogadać o tym, dlaczego tu jesteś.

– Jestem tu, bo mnie złapali – odpowiada punk. Potem nagle mruży oczy i uważniej przygląda się Levowi. – Wyglądasz jakoś znajomo. Czy ja cię skądś kojarzę?

Lev ignoruje to pytanie.

– Zgaduję, że masz jakieś szesnaście lat. Zostałeś opisany jako „jednostka o wysokim ryzyku podzielenia”, wiesz o tym, prawda? To znaczy, że grozi ci, że zostaniesz podzielony.

– Co, myślisz, że moja matka by mnie podzieliła? Nie odważyłaby się. Kto by wtedy, kurna, płacił za nią rachunki? – Potem chłopak podwija rękaw, pokazując, że tatuaże widoczne na jego nadgarstkach ciągną się aż do ramienia. Kości i brutalne sceny wymalowane na żywym ciele. – Zresztą kto by chciał dostać takie ręce?

– Zdziwiłbyś się – odpowiada Lev. – Niektórzy ludzie są gotowi dopłacić ekstra za tak fajne dziary jak twoje.

Punk sprawia wrażenie mocno zbitego z tropu tą informacją, po czym znowu przypatruje się bacznie Levowi.

– Ty, jesteś pewien, że cię nie znam? Mieszkasz tu w Cleveland?

Lev wzdycha.

– Nie znasz mnie, kojarzysz tylko informacje o mnie.

Jeszcze chwila zastanawiania się i raptem punk wytrzeszcza oczy, bo wreszcie rozpoznał, z kim ma do czynienia.

– O w mordę! Jesteś tym dziesięcirodnym! Znaczą, tym klakierem! Tym, który się nie wysadził! Gadali o tobie w wiadomościach!

– Zgadza się. Ale nie jesteśmy tu po to, żeby rozmawiać o mnie.

Raptem punk sprawia wrażenie zupełnie innej osoby.

– Jasne, jasne, wiem. Sorry, że wcześniej zachowywałem się jak debil. Słuchaj no, czemu nie siedzisz w więzieniu?

Ugoda z prokuratorem. Nie wolno mi o tym mówić – wyjaśnia mu Lev. – Tak w skrócie, rozmowa z tobą jest częścią mojej kary.

– O ja chrzanię! – odpowiada chłopak, szczerząc zęby w uśmiechu. – A dali ci też luksusowy apartament?

– Serio, nie wolno mi o tym gadać... ale mogę posłuchać wszystkiego, co ty zechcesz mi opowiedzieć.

Dobra, w porządku. Znaczą, jeśli naprawdę chcesz tego słuchać.

A potem chłopak w dresie zaczyna się spowiadać z całej historii swojego życia, której prawdopodobnie nigdy wcześniej nikomu nie wyjawiał. To jeden jedyny plus sławy Leva – pozwala mu ona zaskarbić sobie szacunek wśród takiej młodzieży, która generalnie nie szanuje nikogo.

Nastolatki z ośrodków poprawczych zawsze chcą się o nim wszystkiego dowiedzieć, ale zasady ugody były jasne. Ponieważ budził tyle współczucia w jednych ludziach i tyle gniewu w innych, „w najlepszym interesie społeczeństwa” było jak najszybsze uciszenie szumu medialnego wokół sprawy Leva, żeby nie stał się narodowym rzecznikiem przeciwników podzielenia. Ostatecznie został skazany na areszt domowy – co łączyło się z wszczepieniem w ramię chipa umożliwiającego namierzanie – i pięćset dwadzieścia godzin prac społecznych co roku aż do osiemnastych urodzin. Prace społeczne oznaczały w praktyce zbieranie śmieci w okolicznych parkach oraz pouczanie zbłąkanej młodzieży o zagrożeniach związanych z narkotykami i przemocą. W zamian za stosunkowo łagodny wyrok Lev zobowiązał się przekazać organom ścigania wszelkie informacje, jakie

posiadał na temat klakierów i innej działalności terrorystycznej. To było łatwe – nie wiedział absolutnie nic oprócz tego, czym zajmowała się jego własna komórka klakierska, a wszyscy jej pozostali członkowie byli martwi. Dostał też całkowity zakaz wypowiadania się w mediach. Nigdy nie będzie mu wolno mówić publicznie o podzieleniu, dziesięcinach ani o tym, co wydarzyło się w Happy Jack. W praktyce skazano go na niewidzialność.

– Powinniśmy mówić na ciebie „mała syrenka” – zażartował kiedyś jego brat Marcus. – W magiczny sposób pozwalają ci chodzić w zamian za twój głos.

Tak więc teraz w każdą niedzielę pastor Dan zabiera Leva z domu należącego do Marcusa i jadą podzielić się swoją odmianą duchowości z dziećmi osadzonymi w poprawczakach.

Lev z początku czuł się straszliwie niezręcznie w swojej nowej roli, ale w ciągu kilku miesięcy stał się bardzo dobry w sięganiu do serc nieznajomych, odkrywaniu, co ich napędza, a potem rozbijaniu potencjalnie niebezpiecznych mechanizmów, zanim napędzanie przeistoczy się w bieg ku zagładzie.

– Wiele przedziwnych dróg prowadzi do Ojca – powiedział mu kiedyś pastor Dan, zręcznie modyfikując znaną maksymę, jeśli Lev ma jakichś idoli, są nimi właśnie pastor Dan oraz jego własny brat Marcus. Marcus dlatego, że nie tylko stanął w jego obronie przed rodzicami, ale posunął się do tego, że przyjął Leva pod swój dach, choć ceną było całkowite zerwanie kontaktów z bliskimi. Obaj stali się wyrzutkami wyklętymi przez rodzinę, tak kurczowo przywiązana do dogmatów wyznawanej wiary, że łatwiej było jej udawać, że Marcus i Lev nie żyją, niż dojść do ładu z wyborami, których dokonali.

– Ich strata – często powtarza Marcus w rozmowach z Levem, ale mówiąc to zawsze odwraca wzrok, żeby ukryć smutek, który wtedy czuje.

Z kolei pastor Dan jest idolem Leva dlatego, że miał dość odwagi, aby odrzucić swoje przekonania, nie odrzucając wiary.

– Nadal wierzę w Boga – powiedział mu pastor Dan – tyle że nie jest to Bóg, który akceptuje składanie dziesięciny z ludzi. – Słyszając to, Lev zapytał ze łzami w oczach, czy on również mógłby wierzyć w takiego Boga. Nigdy wcześniej nie przyszło mu do głowy, że ma w tej kwestii wybór.

Dan, którego nikt oprócz Leva nie tytułuje już „pastorem”, wpisał „osoba duchowna” w kwestionariuszu, który musieli wypełnić, zanim zaczęli odwiedzać nastolatki w poprawczakach, ale nie podał wyznania.

– Jaką religię wyznajemy? – pytał go co tydzień Lev, gdy wchodzili do ośrodka poprawczego. To pytanie stało się ich dyżurnym żartem. Pastor Dan za każdym razem udziela innej odpowiedzi.

– Jesteśmy zielonosmętkowcami, bo smuci nas to, co się dzieje wokoło.

– Jesteśmy sfrustafarianami, bo mamy szczerze dosyć hipokryzji.

Jesteśmy katalitykami, bo zamierzamy zapoczątkować zmianę.

Jednak ulubiona odpowiedź Leva brzmiała:

– Jesteśmy lewiatanami, bo u sedna naszych przekonań tkwi to, co cię spotkało, Lev.

Świadomość, że stał się zaczątkiem nowego ruchu duchowego, straszliwie go peszy, ale zarazem daje mu odrobinę otuchy, nawet jeśli ten ruch póki co liczy sobie dwóch wyznawców.

Czy lewiatan nie jest przypadkiem ogromnym, paskudnym potworem? – spytał wtedy Lev.

– Owszem – odparł pastor Dan – tak więc miejmy nadzieję, że nigdy się w niego nie zamienisz.

Lev nigdy nie zamieni się w nic ogromnego. Nie całkiem wygląda na czternaście lat nie tylko dlatego, że ma dziecięcą urodę. Po tym, jak został aresztowany, tygodniami wlewano w niego transfuzję za transfuzją, żeby oczyścić mu krew, ale zatrucie organizmu substancjami wybuchowymi pozostawiło trwałe szkody. Długie tygodnie przeleżał owinięty watą i gazą jak mumia, ale z rękoma unieruchomionymi prostopadle do ciała, żeby mu uniemożliwić zdetonowanie się.

– Zostałeś ukrzyżowatowany – skomentował ten fakt pastor Dan. Levowi nie wydało się to szczególnie śmieszne.

Lekarz, który się nim zajmował, próbował ukryć swoją pogardę za fasadą zimnego profesjonalizmu.

– Nawet po tym, jak już oczyścimy twój organizm z chemikaliów – powiedział – nadal będziesz musiał się borykać ze skutkami ich działania. – Potem zaśmiał się gorzko. – Przeżyjesz, ale nigdy nie zostaniesz podzielony. Twoje narządy wewnętrzne zostały na tyle poważnie uszkodzone, że nie przydadzą się już nikomu oprócz ciebie.

Uszkodzenia tkanek spowodowały zahamowanie jego wzrostu i rozwoju fizycznego. Lev został na zawsze uwięziony w ciele trzynastolatka. Cena za bycie klakierem, który nie zaklaskał. Tylko jego włosy nadal rosły – i podjął świadomą decyzję, że nie będzie ich ścinał. Już nigdy nie stanie się

z powrotem tym schludnym, grzecznym, łatwo poddającym się manipulacji chłopcem co kiedyś.

Na szczęście najczarniejsze prognozy się nie spełniły. Levowi zapowiedziano, że może się spodziewać permanentnego drżenia rąk i problemów z mówieniem. Nic podobnego nie nastąpiło. Zapowiedziano mu, że czeka go zanik mięśni i coraz większe osłabienie. Nic podobnego nie nastąpiło. Co więcej, regularne ćwiczenia fizyczne – chociaż nie nabiera dzięki nim masy tak jak niektórzy – utrzymują siłę jego mięśni mniej więcej w normie. To prawda, że nigdy nie stanie się tym chłopcem, którym mógłby być – ale z drugiej strony i tak nigdy by się nim nie stał. Zostałby podzielony. W ogólnym obrachunku jego obecny los jest znacznie lepszą opcją.

I nie przeszkadza mu, że spędza każdą niedzielę na rozmowach z nastolatkami, których kiedyś, w poprzednim życiu by się bał.

– Stary – szepcze wytatuowany punk, pochylając się nad stołem i zrzucając niechcący kilka kawałków układanki na podłogę. – Powiedz mi tylko, jak było w ośrodku donacyjnym?

Lev podnosi wzrok i spostrzega kamerę monitoringu skierowaną na stół. Podobne kamery nagrywają wszystkie stoły, wszystkie rozmowy. Pod tym względem to miejsce nie różni się aż tak bardzo od ośrodka donacyjnego.

– Tak jak mówiłem, nie wolno mi o tym gadać – odpowiada Lev. – Ale wierz mi, lepiej zrobisz, nie łamiąc już prawa aż do siedemnastych urodzin, bo nie chcesz się przekonać na własnej skórze, jak tam jest.

– Dobra, czaję – odpowiada punk. – Nie łamać prawa aż do siedemnastych urodzin, to będzie od dziś moje motto. – Potem odchyła się do tyłu na krześle, spoglądając na Leva z podziwem, na który ten we własnej opinii nie zasługuje.

Po odbyciu obowiązkowej liczby rozmów na ten dzień Lev opuszcza placówkę razem ze swoim byłym pastorem.

– I jak, udało ci się coś zwojować? – pyta Dan.

– Ciężko powiedzieć. Może.

– Może jest lepsze niż nic. Miły młody katalityk wykonał dzisiaj kawałek dobrej roboty.

* * *

W centrum Cleveland znajduje się ścieżka do joggingu poprowadzona obok mariny nad jeziorem Erie. Okrąża Centrum Nauki Wielkich Jezior i biegnie wzdłuż tylnej ściany Galerii Sław Rock'n'Rolla, gdzie unieśmiertelniona została pamięć o postaciach, które zasłynęły buntem w znacznie bardziej efektownym stylu niż Lev. Każdego niedzielnego popołudnia Lev przebiega obok, zastana wiążąc się, jakie to uczucie być zarazem sławnym i pogrążonym w niesławie, ale bardziej uwielbianym niż znienawidzonym, w większym stopniu obiektem podziwu, niż współczucia. Wzdryga się na samą myśl o tym, w jakim muzeum mogłaby się znaleźć jego własna podobizna i ma nadzieję, że nigdy nie będzie miał okazji się tym przekonać.

Jak na luty jest stosunkowo ciepło. Więcej niż pięć stopni Celsjusza powyżej zera. Tego ranka zamiast śniegu padał deszcz. Teraz, po południu, ulewa ustąpiła miejsce nieprzyjemnej mżawce. Zdyszany Marcus biegnie obok Leva a jego oddech zawisa w powietrzu kłębamii pary.

– Musisz biec tak szybko? – woła Marcus. – To me wyścig. A poza tym pada deszcz.

– Co to ma do rzeczy?

– Możesz się pośliznąć i przewrocie. Tu i owdzie leży jeszcze śnieg.

– Nie jestem autem.

Lev z chlupotem przebiega przez kałużę śniegowej brei obryzgując Marcusa, i szczyrzy zęby w uśmiechu, kiedy brat obrzuca go przekleństwami. Lata żywienia się w fast-foodach i ciągłego siedzenia nad książkami podczas studiów prawniczych sprawiły, że Marcus może nie zasługuje jeszcze na miano kluchowatego, ale ma zdecydowanie kiepską kondycję.

– Przysięgam, że jeśli ciągle będziesz mnie zawstydział przestanę z tobą biegać. Zadzwońię do federalnych i z powrotem ich tu ściągnę. Oni będą potrafili dotrzymać ci kroku.

Jak na ironię, to Marcus wpadł na pomysł, żeby Lev zaczął regularnie się gimnastykować, kiedy młodszy brat przeszedł pod jego opiekę. W tamtych pierwszych dniach rekonwalescencji, kiedy w jego krwi wciąż jeszcze krążyły toksyczne substancje, nawet wchodzenie i schodzenie po schodach w domu Marcusa stanowiło dla Leva duże wyzwanie – ale Marcus trafnie wyczuł, że rehabilitując ciało brata, pomoże uzdrowić jego duszę. Przez wiele tygodni to on namawiał Leva, żeby przebiegł jeszcze jedną przecznice.

I owszem, kiedy Lev rozpoczął swoją przygodę z joggingiem, eskortowali go agenci rządowi. Początkowo towarzyszyli mu wszędzie podczas niedzielnych wyjść, może po to, żeby pokazać, że areszt domowy to nie przelewki. W końcu jednak machnęli ręką i odtąd ograniczali się do śledzenia chipa. Pozwolono też Levowi wychodzić z domu bez eskorty pod warunkiem, że zawsze będzie mu towarzyszyć Dan albo Marcus.

– Jeśli zaraz dostanę zawału, to przez ciebie! – woła Marcus, który ma coraz większe problemy z nadążeniem.

Lev nigdy nie przepadał za bieganiem na dłuższe dystanse. Kiedyś był fanem baseballu; uwielbiał grać w drużynie. Teraz jednak odkrył, że odpowiada mu również indywidualne uprawianie sportu.

Podczas gdy deszcz przybiera na sile, Lev przystaje, chociaż przebiegli dopiero połowę dystansu, i pozwala, żeby Marcus go dogonił. Kupują wodę marki Aquafina od ulicznego sprzedawcy stojącego przed Galerią Sław Rock'n'Rolla, który nie przejmuje się pogodą. Przypuszczalnie nawet gdyby rozpoczął się koniec świata, ten człowiek nadal twardo oferowałby na sprzedaż butelkowaną wodę i red bulla.

Pijąc, Marcus łapie oddech, po czym oznajmia jakby nigdy nic:

– Wczoraj przyszedł do ciebie list od kuzyna Carla.

Lev ukrywa swoją reakcję, nie dając najmniejszego sygnału, że to jest coś ważnego.

– Skoro przyszedł wczoraj, dlaczego mówisz mi o tym dzisiaj?

– Wiesz, jak potrafisz się zachowywać.

– Nie – odpowiada Lev dość chłodno. – Powiedz mi, jak potrafię się zachowywać.

Jednak Marcus nie musi tego robić, bo Lev doskonale wie, o co bratu chodzi.

Pierwszy list od kuzyna Carla początkowo stanowił kompletną zagadkę, do momentu gdy Lev uświadomił sobie, że to zaszyfrowana wiadomość od Connora. Ponieważ istniała możliwość, że taka czy inna agencja rządowa monitoruje korespondencję Leva, to był jedyny sposób, żeby Connor mógł się z nim skontaktować, mając nadzieję, że Lev okaże się wystarczająco sprytny, żeby zrozumieć treść listu. Kolejne przychodziły co kilka miesięcy, za każdym razem wysyłane z innej miejscowości, żeby nie można było na ich podstawie odgadnąć lokalizacji Cmentarzyska.

– To co napisał? – pyta Lev.

– List jest zaadresowany do ciebie. Możesz mi wierzyć albo nie, ale nie czytam twojej korespondencji.

Kiedy docierają z powrotem do domu, Marcus wręcza Levowi list, ale przez chwilę trzyma go poza zasięgiem brata.

– Obiecaj mi, że po przeczytaniu nie popadniesz znowu w taką czarną dziurę chandry, że przez tydzień nic nie będziesz robił, tylko siedział i grał na konsoli.

– A kiedy się niby tak zachowuję?

Marcus tylko posyła mu swoje posępne spojrzenie mówiące „jaja sobie ze mnie robisz?” I trudno się dziwić. Przebywanie w areszcie domowym oznacza, że Lev ma bardzo niewiele do roboty. Ale to prawda, że wiadomości od Connora zawsze skłaniają go do rozmyślań, a rozmyślenia sprawiają, że nastrój Leva błyskawicznie leci w dół, w głąb leja, zabierając go w miejsca, dokąd lepiej byłoby się nie zapuszczać.

– To część twojego życia, którą powinieneś zostawić za sobą – przypomina mu Marcus.

– Masz rację, ale nie masz racji – odpowiada Lev. Nie próbuje się tłumaczyć, bo nie jest do końca pewien, co chce w ten sposób powiedzieć. Wie tylko, że to prawda. Otwiera kopertę. List został napisany tym samym charakterem pisma co zawsze, ale Lev podejrzewa, że nie jest to pismo Connora, żeby analiza grafologiczna przypadkiem nie umożliwiła wytropienia go. Paranoja, która towarzyszy im na każdym kroku, nie zna granic.

Drogi kuzynku Levi,

przesyłam Ci spóźnione życzenia urodzinowe. Wiem, że czternaste urodziny znaczą dla Ciebie więcej niż dla większości ludzi, zważywszy na to, co przeszedłeś. Mamy mnóstwo roboty na ranczo. Wciąż istnieje ryzyko, że wielkie firmy handlujące wołowiną spróbują przejąć nasz interes, ale jeszcze do tego nie doszło. Opracowaliśmy biznesplan, który może nas uratować, gdyby ziścił się najgorszy scenariusz.

Odkąd przejąłem ranczo, pracuję bardzo ciężko, a sąsiedzi prawie w ogóle nie chcą mi pomagać. Żałuję, że nie mogę po prostu rzucić wszystkiego i wyjechać, ale kto inny przejąłby wtedy odpowiedzialność za ten cały kram?

Wiemy, w jakiej jesteś teraz sytuacji i czemu nie możesz nas odwiedzić. Tak czy owak wolelibyśmy, żebyś tu nie przyjeżdżał. Zagrożenie chorobą szalonych

krów stało się naprawdę duże. Najlepiej trzymać się z daleka i mieć nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Uważaj na siebie i przekaż swojemu bratu serdeczne pozdrowienia od nas. Zawdzięczamy mu niemal tyle samo co Tobie.

*Z pozdrowieniami,
Twój kuzyn Carl*

Lev czyta list cztery razy, usiłując odszyfrować wszystkie ukryte znaczenia. Ciągłe wiszące nad Cmentarzyskiem niebezpieczeństwo, że gliniarze postanowią przypuścić na nie szturm. Trudności z prowadzeniem obozu i niedostateczna pomoc ze strony ruchu oporu. Codziennosc Leva tak bardzo różni się teraz od tamtego ukrytego świata zdesperowanych dusz, że czytanie o tamtej rzeczywistości przypomina słuchanie, jak tafla lodu pęka pod jego stopami. Sprawia, że Lev ma ochotę gnać dokądkolwiek. Uciekać do Connora lub uciekać od niego. Nie wie, w jakim kierunku powinien pójść. Wie tylko, że ma już dość truchtania w miejscu. Żałuje, że nie może odpisać, ale wie, jak lekkomyślne by to było. Otrzymać niewinnie wyglądającą kopertę z pieczętką z Arizony to jedno, ale wysłanie listu na Cmentarzysko byłoby jak postawienie drogowskazu wskazującego miejsce pobytu Connora. Ku frustracji Leva komunikacja z „kuzynem Carlem” musi pozostać jednostronna.

– Co tam słyhać na ranczo? – pyta Marcus.

– Kłopoty.

– Robimy tyle, ile możemy, nie?

Lev kiwa głową. Marcus czynnie wspiera ruch oporu. Jako wolontariusz uczestniczy w akcjach ściągania ZOMZ-ów z ulicy i transportowania ich do azyli, przekazuje też ruchowi oporu całkiem konkretną część pieniędzy, które zarabia pracując jako asystent prawny.

Lev wręcza Marcusowi list, żeby ten mógł go przeczytać. Jego starszy brat sprawia wrażenie równie zaniepokojonego treścią wiadomości jak on sam.

– Będziemy musieli poczekać i zobaczyć, co z tego wszystkiego wyniknie.

Lev krąży nerwowo po salonie. W oknie nie ma krat. Mimo to nagle ogarnęła go taka klaustrofobia, że równie dobrze mogliby go zamknąć w izolatce.

– Powiniennem wystąpić publicznie i potępić podzielenie – mówi, dając sobie spokój z zaszyfrowanymi komunikatami. I tak nikt już nie

pod słuchuje. Odkąd jego życie się ustabilizowało i Lev prowadzi samotniczą, ale poza tym w miarę normalną egzystencję, przestał się przejmować tym, czy go inwigilują. W dzisiejszych czasach gliniarze od małolatów mają ważniejsze rzeczy na głowie niż obserwowanie dzieciaka, który nic nie robi, tylko przesiaduje w domu swojego brata, próbując stać się niewidzialny.

– Jeśli wystąpię publicznie, ludzie wysłuchają tego, co mam do powiedzenia. Współczuli mi, nieprawdaż? Wysłuchają mnie!

Marcus ze złością rzuca list na stół.

– Jak na dzieciaka, który przeszedł przez to wszystko co ty, nadal jesteś cholernie naiwny! Ludzie nie współczują tobie, współczują dziecku, które zostało klakierem. Patrzą na ciebie tak, jakbyś ty to dziecko zabił.

– Mam już dość tego, że tu siedzę i nic nie robię! – Rozgniewany Lev wchodzi do kuchni, próbując się odciąć od prawdy dźwięczącej w słowach Marcusa, ale Marcus podąża za nim.

– To nie tak, że nic nie robisz. Chodzisz na te weekendowe pogadanki razem z Danem.

Sama wzmianka o tym wzbudza gniew Leva.

– To jest część mojej kary! Myślisz, że podoba mi się, że zostałem partnerem gliniarzy od małolatów? Pomagam dopilnować, żeby nastolatki zachowywały się jak trzeba? – Jedno wie na pewno: Connor nigdy nie dałby się przymusić do wykonywania brudnej roboty Urzędu do Spraw Małoletnich.

– Zdziałałeś więcej niż ktokolwiek inny, żeby zmienić świat, Lev. Teraz pora, żebyś się zajął własnym życiem, na które rok temu nie miałeś nadziei. Jeśli chcesz, żeby to, co osiągnąłeś, miało jakieś znaczenie, żyj swoim życiem i pozwól innym przejąć pałeczkę.

Lev znów przechodzi obok niego, gotując się z wściekłości.

– Dokąd idziesz? – pyta Marcus.

Lev podnosi słuchawki i gamepad.

– W głąb mojej głowy. Tam też chciałbyś za mną pójść?

Chwilę później już zatraca się w świecie „Ognia i Magii” – gry, która zabiera go daleko od jego życia i wspomnień – ale mimo to ma świadomość, że Marcus w istocie wszedł do jego głowy. Podobnie jak Connor i Risa, i Mai, i Blaine, i Cleaver, i Cy-Fi. Ledwo starczy dla nich wszystkich miejsca. Lev nigdy ich nie straci, nigdy nie pozostawi ich za sobą, i nie jest nawet pewien, czy by tego chciał.

* * *

Wszystko zmienia się w dniu, gdy przychodzi do nich harcerka.

Jest mroźny poniedziałkowy rano nazajutrz po kolejnej niedzieli spędzonej na rozmawianiu z nastolatkami, którym może grozić podzielenie, oraz joggingu mimo zimna. Dan, którego samochód ma problemy z zapłonem został na noc zamiast ryzykować, że auto odmówi mu posłuszeństwa na trasie w niedzielną noc. Przygotowuje śniadanie, podczas gdy Marcus szykuje się do wyjścia do pracy.

– Wiesz, że jestem przeciwnikiem podzielenia, ale jak dla mnie RPP trochę zbyt agresywnie atakuje ustalony porządek – mówi Dan do Leva, nakładając jajecznicę na talerze. – Jestem za stary na walkę z systemem. Jedyne, co mogę, to narzekać na niego.

Lev wie, że Dan robi trochę więcej. Jawnie krytykuje podzielenie w obecności wszystkich, którzy chcą go słuchać – to więcej, niż może Lev, a nawet gdyby mógł, wedle słów Marcusa i tak na nic by się to nie zdało.

– Oczywiście skontaktował się ze mną ruch oporu – ciągnie Dan – ale mam chwilowo dosyć wszelkich organizacji, bez względu na to, jak szczytny jest ich cel. Wolę działać jako wolny agent i siać ferment na własną rękę.

– No to... – pyta Lev – jak pastor sądzi, co powinienem zrobić?

Były duchowny w zamyśleniu przypatruje się jajecznej masie oblepiającej kuchenną łyżkę, którą trzyma w ręku.

– Myślę, że powinieneś posprzątać swój pokój. Widziałem go i odniosłem wrażenie, że niedawno przeprowadzano tam podzielenie wszystkich twoich rzeczy.

– Mówię serio.

– Ja też. – Dan odkłada łyżkę i siada obok chłopaka. – Masz czternaście lat, Lev. Większość czternastolatków nie próbuje aktywnie naprawiać świata. Daj sobie trochę luzu i spróbuj się zająć rzeczami, którymi w normalnych okolicznościach zajmują się twoi rówieśnicy. Wierz mi, w porównaniu z ratowaniem świata sprzątanie pokoju będzie przypominało wakacje.

Lev bez apetytu grzebie widelcem w jajecznicy.

– Zanim wydarzyło się to wszystko, zawsze miałem w pokoju idealny porządek.

– To też niekoniecznie jest dobre.

Marcus przychodzi i siada przy kuchennym stole akurat w momencie, gdy słyhać dzwonek do drzwi. Wzdycha i spogląda na Leva, który właśnie skończył jeść.

– Możesz otworzyć?

Lev przypuszcza, że to Darcy, jego nauczycielka. Władze stanu zorganizowały dla niego indywidualne nauczanie, bo nawet eks-terroryści muszą znać wzory skróconego mnożenia. Jednak Darcy zazwyczaj nie przychodzi o tak wczesnej porze.

Lev otwiera drzwi i odkrywa, że w progu stoi harcerka trzymająca karton wypełniony kolorowymi pudełkami łakoci.

– Cześć, nie chciałbyś kupić trochę harcerskich ciasteczek?

– Nie jesteś trochę za duża, żeby bawić się w harcerstwo? – pyta Lev ze złośliwym uśmiechem.

– No cóż – odpowiada dziewczyna – na to nigdy nie jest się za starym, a poza tym mam tylko czternaście lat, ale tak, zwykle to ci młodszy handlują ciastkami, więc w pewnym sensie masz rację. Jeśli musisz wiedzieć, pomagam mojej młodszej siostrze. To co, mogę wejść? Zimno mi.

Dziewczyna jest na swój sposób ładna i na swój sposób dowcipna, a Lev ma słabość do ładnych, dowcipnych dziewczyn, jak również do ciastek z karmelem i kokosem.

– Jasne, wchodź. Zobaczymy, co masz dobrego.

Harcerka wchodzi do środka niemalże tanecznym krokiem i stawia karton na stole w jadalni, po czym wyciąga z niego po jednym pudełku każdego rodzaju ciastek.

– Hej, Marcus – woła Lev – chcesz trochę harcerskich ciasteczek?

– Jasne! – odkrzykuje z kuchni jego brat. – Weź dla mnie te z masłem orzechowym.

– Ja też poproszę – dołącza się Dan.

Lev odwraca się do dziewczyny.

– Dobra, czyli dwa razy masło orzechowe plus pudełko tych z karmelem i kokosem.

– Mniam mniam! – odpowiada dziewczyna. – Ja też najbardziej lubię te z karmelem i kokosem. – Wręcza mu pudełka. – To będzie osiemnaście dolarów... Jesteś pewien, że nie chcecie czekoladowo-miętowych? To nasz bestseller!

– Nie, dzięki. – Lev wyciąga portfel, prawie pewien, że nie wystarczy mu gotówki, ale chce sprawdzić, zanim poprosi Marcusa o wsparcie. Gdy przegląda zawartość portfela, dziewczyna ma czas, żeby mu się przyjrzeć.

– Ja cię skądś znam, prawda? – pyta.

Lev tłumy głębokie westchnienie. Znowu to samo.

– Tak, jesteś tym gościem... tym klakierem! Ale numer, sprzedaję ciastka dzieciakowi, który był klakierem!

Nie zaklaskałem – odpowiada jej krótko Lev. Na szczęście właśnie znalazł w portfelu banknot dwudziesto-dolarowy i wręcza go harcerce. – Proszę. Dzięki za ciastka. Zatrzymaj resztę.

Jednak dziewczyna nie bierze pieniędzy. Zamiast tego opiera ręce na biodrach, nadal taksując go wzrokiem.

– Klakier, który nie klaszcze. To trochę mija się z celem, nie sądzisz?

– Powinnaś już iść. – Lev macha banknotem w jej kierunku, ale dziewczyna nadal nie chce go wziąć.

– Zatrzymaj pieniądze. Daję ci te ciastka w prezencie.

– Nie. Po prostu weź kasę i idź sobie.

Harcerka patrzy mu teraz prosto w oczy.

– Klakier, który nie klaszcze. Sądzę, że to musiało naprawdę wkurzyć wysoko postawionych ludzi. Ludzi, którzy poświęcają czas i pieniądze na to, żeby zagwarantować, że każda misja klakerska zostanie przeprowadzona jak należy.

Lev nagle czuje się tak, jakby w jego brzuchu otwarła się przepaść sięgająca aż do Chin.

– Ci organizatorzy kładą bardzo duży nacisk na proaktywność, a klakier, który nie doprowadza swojej misji do końca, psuje nam wszystkim opinię.

Potem uśmiecha się i szeroko rozkłada ręce.

– Marcus! Dan! – krzyczy Lev. – Na ziemię!

– Oto mój drugi prezent – mówi dziewczyna. – Pozwól, że go dla ciebie rozpakuję. – I po tych słowach klaszcze.

Lev wskakuje za sofę akurat w momencie, gdy jej dłonie uderzają o siebie. Wystarczy jedno klaśnięcie. Siła eksplozji rzuca Levem o ścianę, a sofa przewraca się, unieruchamiając go. Słysząc brzęk tłuczonego szkła, trzask rozpadających się desek, a uszy Leva przeszywa tak straszny ból, że chłopak nie wie, czy nie pękła mu czaszka. Po krótkiej chwili zapada cisza, pozostaje

tylko przeraźliwe dzwonięcie w uszach i przemożne wrażenie, że świat właśnie się skończył.

Dym sprawia, że płuca zaczynają go palić, a oczy Za. chodzą łzami. Lev spycha z siebie sofę. Rozejrzawszy się po pokoju widzi swoje łóżko, które jeszcze kilka sekund temu stało piętro wyżej, a teraz spoczywa w salonie niczym wrak statku wyrzucony na plażę. Nie ma już górnego piętra. Nie ma też dachu, tylko pochmurne niebo, podczas gdy wszędzie wokół Leva płomienie łakomie pożerają to, co zostało z budynku.

Dan – który właśnie wychodził do salonu w chwili, gdy dziewczyna zaklaskała – został rzucony przez wybuch do tyłu, na ścianę. W miejscu, gdzie w nią uderzył, widnieje ogromna plama krwi mająca z grubsza kształt ludzkiej sylwetki, a jego ciało leży nieruchomo na podłodze. Pastor Dan – człowiek, który kazał Levowi uciekać w dniu składania dziesięciny – pierwsza osoba, jaka odwiedziła go w areszcie policyjnym – człowiek, który stał się dla niego ojcem w większym stopniu niż jego własny ojciec – nie żyje.

– Nie!!

Lev zaczyna pełznąć przez gruzy w stronę zwłok pastora, ale potem spostrzega swojego brata w kuchni. W samym środku pomieszczenia wylądowała spadająca belka, roztrzaskując szklany blat stołu i wbijając się w brzuch Marcusa. Wszędzie jest pełno czerwieni – ale Marcus wciąż jeszcze żyje. Jest przytomny i wzdryga się, próbując coś powiedzieć i krztusząc się krwią.

Lev nie wie, co robić, ale ma świadomość, że jeśli nie oprzytomnieje na tyle, żeby zacząć działać, jego brat również umrze.

– Nie bój się, Marcus, wszystko będzie dobrze – mówi, chociaż to kłamstwo.

Zbiera wszystkie siły. Marcus wrzeszczy z bólu, gdy Lev z trudem podnosi belkę. Podtrzymując ją ramieniem, odsuwa brata w bok, po czym pozwala belce opaść. Ta ląduje na podłodze z głośnym hukiem, do reszty niszcząc to, co zostało ze stołu. Lev sięga do kieszeni Marcusa, wyciąga zachlapaną krwią telefon i modląc się, żeby ten nadal działał, dzwoni na 911.

Pokryty sadzą Lev, któremu wciąż jeszcze dzwoni w uszach, odmawia jazdy osobną karetką. Upiera się, że będzie towarzyszył Marcusowi, i urządza o to taką awanturę, że w końcu mu pozwalają.

W lewym uchu czuje trzepot przy każdym głośniejszym dźwięku, tak jakby ćma dostała się do środka. Widzi wszystko jak przez mgłę i ma wrażenie, że czas płynie inaczej. Jest tak, jakby Lev i Marcus trafili do innego wymiaru, gdzie skutki mieszają się w chaotyczny sposób z przyczynami. Lev nie potrafi dociec, czy jest tutaj, bo dziewczyna wysadziła się w powietrze, czy też dziewczyna wysadziła się w powietrze dlatego, że on tu jest.

Podczas gdy karetka gna do szpitala, ratownicy medyczni pracują nad Marcusem, wstrzykując mu Bóg wie jakie środki.

– L... L... Lev – szepcze Marcus, usiłując nie pozwolić, żeby powieki mu opadły.

Lev chwyta jego rękę, lepką i brązową od zasychającej krwi.

– Jestem tu.

– Nie pozwól mu odpłynąć – mówi jeden z ratowników. – Nie chcemy, żeby wszedł w stan wstrząsu.

– P... posłuchaj – mówi Marcus, z trudem artykułując słowa. – Posłuchaj mnie.

– Słucham.

– Będą chcieli... dać mi części. Części od Podzielonych.

Lev krzywi się i spina, szykując się na to, co usłyszy. Wie, co Marcus powie. Marcus będzie wołał umrzeć niż dostać organy Podzielonych.

– Będą... będą chcieli mi dać nerki... wątrobę... wszystko jedno... narządy od Podzielonych...

– Wiem, Marcus, wiem.

I wtedy Marcus szerzej otwiera oczy, wbija spojrzenie w Leva i mocniej zaciska palce na jego dłoni.

– *Pozwól im!* – mówi.

– Co?

– Pozwól im to zrobić, Lev... Nie chcę umrzeć. Proszę, Lev – błaga Marcus. – Pozwól im dać mi części od Podzielonych...

Lev ściska dłoń swojego brata.

– Dobrze, Marcus. Dobrze. – Potem zaczyna płakać, wdzięczny bratu, że ten nie wydał na siebie wyroku śmierci, a zarazem wściekły na siebie, że tak to odbiera.

Lev zostaje dokładnie przebadany, po czym dowiaduje się, że ma pęknięty bębenek w uchu, liczne skaleczenia i otarcia oraz być może wstrząs mózgu. Jego niegroźne obrażenia zostają opatrzone, lekarz przepisuje mu antybiotyki i zatrzymuje go na obserwacji. Lev nie słyszy ani słowa o Marcusie, który został błyskawicznie zabrany na salę operacyjną, kiedy tylko dotarli do szpitala. Oprócz pielęgniarki, która co godzinę mierzy jego puls i ciśnienie krwi, nikt nie odwiedza Leva z wyjątkiem policjantów, którzy zadają mu pytania, pytania i jeszcze więcej pytań.

– Czy znałeś dziewczynę, która dokonała tego ataku?

– Nie.

– Czy zetknąłeś się z nią, kiedy szkolono cię na klakiera?

– Nie.

– Czy należała do twojej komórki klakierskiej?

– Mówiłem wam już, że jej nie znałem!

I oczywiście padają też najgłupsze pytania ze wszystkich:

– Czy umiesz wskazać jakiś powód zamachu na ciebie?

– Czy to nie oczywiste? Powiedziała mi, że to zemsta za to, że nie zaklaskałem. Że ludzie na górze nie są szczęśliwi.

– A kim są ludzie na górze?

– Nie wiem. Jedyni klakierzy, jakich kiedykolwiek znałem, byli nastolatkami, a teraz nie żyją, bo wszyscy wysadzili się w powietrze, okej? Nigdy nie spotkałem nikogo z góry!

Usatysfakcjonowani, choć niezadowoleni, policjanci w końcu wychodzą. Potem pojawiają się agenci FBI, którzy zadają mu te same pytania co policja – i nadal nikt nie chce mu nic powiedzieć o Marcusie.

W końcu późnym popołudniem w czasie jednej z rutynowych wizyt pielęgniarka, która się nim opiekuje, postanawia się nad nim ulitować.

– Dostałam zakaz mówienia ci czegokolwiek o twoim bracie, ale i tak zamierzam to zrobić. – Potem siada na krześle tuż obok jego łóżka i zniża głos. – Miał bardzo poważne obrażenia wewnętrzne. Na szczęście nasz bank narządów jest jednym z najlepiej wyposażonych w całym stanie. Twój brat otrzymał nową trzustkę, wątrobę, śledzionę oraz długi odcinek jelita cienkiego. Miał też przebite płuco, i zamiast czekać, aż rana sama się zagoi, twoi rodzice zdecydowali, że je również należy zastąpić nowym.

– Moi rodzice? Są tutaj?

– Tak – odpowiada pielęgniarka. – Siedzą w poczekalni. Chcesz, żebym ich zawołała?

– Czy wiedzą, że tu jestem? – pyta Lev.

– Tak.

– Czy powiedzieli, że chcą się ze mną zobaczyć?

Chwila wahania ze strony pielęgniarki.

– Przykro mi, kochanie, ale nie.

Lev odwraca wzrok, ale nie ma w czym utkwić spojrzenia. Telewizor na jego sali został odłączony od anteny, bo w wiadomościach ciągle przewijają się doniesienia o eksplozji.

– W takim razie nie chcę ich widzieć.

Pielęgniarka głaszcze jego dłoń i posyła mu przepaszający uśmiech.

– Przykro mi, że na świecie jest tyle zła, kochanie. Przykro mi, że to wszystko musiało cię spotkać.

Lev zastanawia się, czy kobieta zna jego życiorys, i dochodzi do wniosku, że chyba tak.

– Powinienem był się domyślić, że przyjdą po mnie prędzej czy później. Klakierzy, znaczy się.

Pielęgniarka wzdycha.

– Kiedy raz podpadniesz złym ludziom, zrobią wszystko, żeby rozwalić ci życie na kawałki. – Potem uświadamia sobie, co właśnie powiedziała. – Przepraszam. To był bardzo niefortunny dobór słów, prawda? Powinnam po prostu się zamknąć i więcej nie odzywać.

Lev zmusza się do uśmiechu.

Nie szkodzi. Po raz drugi w życiu omal nie wyleciałem w powietrze; po czymś takim człowiek nie przejmuje się drobiazgami.

Pielęgniarka uśmiecha się w odpowiedzi.

– To co teraz ze mną będzie? – pyta Lev.

No cóż, z tego co mi wiadomo, twoim opiekunem prawnym jest obecnie brat. Czy masz kogoś jeszcze, kto mógłby ci zaoferować pomoc? Jakies miejsce, dokąd mógłbyś pójść?

Chłopiec kręci przecząco głową. Pastor Dan był oprócz Marcusa jedyną osobą, na którą Lev mógł liczyć. Teraz nie potrafi znieść nawet myśli o Danie. Wywołują zbyt wielki ból.

– Przebywałem w areszcie domowym. Nie mogę się nigdzie wybrać bez pozwolenia wydanego przez Urząd do Spraw Młodości, nawet gdybym

miął dokąd.

Pielęgniarka wstaje.

– Te sprawy to zupełnie nie moja działka, skarbie. Słuchaj, póki co po prostu się odpręż. Wiem, że chcą cię przetrzymać na obserwacji przez noc. Wszystkim będzie można się zająć rano.

– Czy może mi pani powiedzieć, na której sali leży mój brat?

– Przebywa jeszcze na sali opieki pooperacyjnej – odpowiada kobieta – ale kiedy tylko przeniosą go na normalną salę, obiecuję, że dowiesz się jako pierwszy. – Wychodzi, a na jej miejsce wchodzi detektyw, żeby ponownie zadawać różnymi słowami to samo pytanie.

Zgodnie z obietnicą pielęgniarka poinformowała go, że Marcus znalazł się na sali numer 408, tak więc po zapadnięciu ciemności, kiedy przesłuchania dobiegły końca, a korytarze opustoszały, Lev ukradkiem wstaje z łóżka, ignorując tępy ból, który czuje praktycznie w całym ciele. Zaraz za drzwiami widzi, że policjant, który miał go pilnować, stoi na drugim końcu korytarza i flirtuje z jedną z młodszych pielęgniarek. Lev cicho wykrada się ze swojej sali, żeby odwiedzić Marcusa.

Kiedy otwiera drzwi oznaczone numerem 408, pierwsze, co widzi, to jego matka siedząca na krześle i wpatrująca się w Marcusa, który śpi na szpitalnym łóżku. Ojciec też tam jest, a w jego włosach widać trochę więcej siwizny niż rok wcześniej. Lev czuje, że lada chwila się rozplacze, ale siłą woli powstrzymuje łzy przełykając swoje uczucia i zamykając je szczelnie w głębi serca.

Matka spostrzega go pierwsza. Wyciąga rękę, żeby zwrócić uwagę ojca. Przez chwilę patrzą na siebie nawzajem, porozumiewając się za pomocą tej pseudotelepatii, która ponoć cechuje pary małżeńskie. Potem matka wstaje, podchodzi do Leva i, w ogóle na niego nie patrząc obdarza go niezgrabnym uściskiem, po czym wychodzi z sali.

Ojciec też na niego nie patrzy. W każdym razie z początku. Wlepia wzrok w Marcusa, patrząc, jak jego pierś podnosi się i opada w powolnym, miarowym rytmie.

– Jak on się czuje? – pyta Lev.

– Jest w śpiączce farmakologicznej. Powiedzieli nam, że przetrzymają go w niej przez trzy doby, żeby nanoboty mogły przyspieszyć gojenie.

Lev słyszał, że ból podczas nanoterapii pooperacyjnej jest nie do zniesienia. Lepiej, żeby Marcus spał i go nie czuł. Lev jest pewien, że rodzice zakupili dla jego brata wyłącznie narządy pochodzące od dziesięciorodnych. Najdroższe na rynku. Wie o tym, ale nie zapyta.

W końcu ojciec spogląda na niego.

– Czy teraz jesteś usatysfakcjonowany? Jesteś szczęśliwy, widząc, do czego doprowadziłeś?

Lev setki razy wyobrażał sobie tę rozmowę. W każdej z tych mentalnych konfrontacji to on sam rzucał oskarżenia, a nie ojciec. Jak on śmie? Jak *śmie*? Lev najchętniej odgryzłby się gniewnie, ale postanawia nie dać się sprowokować. Nic nie mówi.

– Czy masz pojęcie, co nasza rodzina musiała przejść przez ciebie? – pyta jego ojciec. – Tyle wstydu! Tyle drwin!

Lev nie potrafi już dłużej milczeć.

– Więc może nie powinniście się otaczać ludźmi, którzy równie łatwo wydają wyroki jak wy.

Jego ojciec ponownie spogląda na Marcusa.

– Twój brat wróci z nami do domu – oznajmia. Nawet jeśli Marcusowi na takie dictum wywróciłyby się przeszczepione wnętrzności, zostały kupione za pieniądze ojca, więc raczej nie będzie miał wyboru.

– A co ze mną? – pyta Lev.

Jego ojciec znów nie chce go zaszczycić spojrzeniem.

– Mój syn został złożony w ofierze jako dziesięcina rok temu – mówi. – Tego syna zapamiętam jako własnego. Gdy chodzi o ciebie, rób co ci się żywnie podoba. To nie mój problem. – I nie dodaje już nic więcej.

– Kiedy Marcus się zbudzi, powiedzcie mu, że mu wybaczam – mówi Lev.

– Co mu wybaczasz?

– On będzie wiedział.

I Lev wychodzi z sali, nie mówiąc „do widzenia”.

W głębi korytarza ponownie spostrzega swoją matkę, a także innych członków rodziny, którzy siedzą w poczekalni na czwartym piętrze. Brat, dwie siostry i ich mężowie. Wszyscy zjawili się tu, żeby odwiedzić Marcusa. Nikt nie przybył ze względu na Leva. Chłopiec przystaje niezdecydowany, zastanawiając się, czy powinien tam wchodzić. Czy jego krewni zachowają

się tak, jak jego ojciec – pełni goryczy, sztywni i zimni – czy też jak matka, to znacząco obejmą go niezręcznie, ale nie będą potrafili spojrzeć mu w oczy?

A potem – w tej chwili niezdecydowania – widzi, jak jedna z jego sióstr nachyla się i podnosi z ziemi niemowlę. To nowy siostrzeniec. Lev nawet nie wiedział, że go ma.

I niemowlę jest ubrane od stóp do głów na białą.

Lev pędzi z powrotem do swojego pokoju, ale jeszcze przed dobiegnięciem tam czuje, jak jego emocje zaczynają przerywać tamę. Erupcja rozpoczyna się głęboko w jego ciele – szloch wzbiera z tak zaskakującą furją, że mięśnie brzucha sztywnieją chłopakowi w nagłym skurczu. Ostatnie dwa czy trzy metry musi przebyć zgięty wpół, ledwo łapiąc powietrze, podczas gdy z oczu cieką mu łzy.

Gdzieś głęboko w najbardziej irracjonalnym zakątku umysłu – może w miejscu, dokąd odchodzą dziecięce marzenia – Lev potajemnie hołubił nadzieję, że kiedyś zostanie przyjęty z powrotem. Że może pewnego dnia rodzice z radością powitają go w swoim domu. Marcus kazał mu o tym zapomnieć – powiedział, że taki dzień nigdy nie nadejdzie – ale nic nie mogło zniweczyć upartej nadziei, którą Lev w sobie nosił. Aż do dzisiaj.

Kładzie się na szpitalnym łóżku i wciska twarz w poduszkę, podczas gdy jego szlochanie narasta i przechodzi w głośne jęki. Tłumiona przez cały rok rozpacz wylewa się z jego duszy niczym wodospad Niagara, i Lev nie troszczy się o to, czy utonie w morderczej bieli jego spienionych wód.

Lev budzi się, choć nie pamięta, kiedy zasnął. Wie, że musiał spać, bo do pokoju wlewa się światło poranka.

– Dzień dobry, Lev.

Chłopiec nieco zbyt szybko odwraca głowę w kierunku, z którego dobiegł głos, i pokój zaczyna wirować wokół niego. Skutki eksplozji. Nadal dzwoni mu w uszach, ale przynajmniej trochę lepiej już słyszy na lewo.

W nogach jego łóżka siedzi na krześle kobieta. Jest trochę zbyt elegancko ubrana jak na osobę z personelu medycznego.

– Jest pani z FBI? Ze służb bezpieczeństwa wewnętrznego? Czy przyszła tu pani po to, żeby mi zadać więcej pytań? Ja już nie mam więcej odpowiedzi.

Kobieta śmieje się z cicha.

– Nie pracuję dla żadnej agencji rządowej. Reprezentuję Fundację Cavanaughów. Słyszał pan może o niej?

Lev kręci przecząco głową.

– A powinienem?

Nieznajoma wręcza mu kolorową broszurę. Lev ogląda ją i czuje dreszcz.

– Wygląda jak broszura ośrodka donacyjnego.

– Bynajmniej – odpowiada kobieta, wyraźnie urażona. W opinii Leva ta reakcja dobrze o niej świadczy. – Tak w skrócie: Fundacja Cavanaughów to mnóstwo pieniędzy przeznaczonych przez rodzinę, która była niegdyś bardzo bogata, na pomaganie zbłąkanej młodzieży. I sądzimy, że trudno o bardziej zbłąkanego młodego człowieka niż pan.

Posyła mu krzywy uśmiezek, najwyraźniej sądząc, że to śmieszne. Guzik prawda.

– W każdym razie – kontynuuje – z tego co nam wiadomo, nie będzie pan miał dokąd się udać po wyjściu ze szpitala, i zamiast pozostawić pana na łasce opieki społecznej, która z całą pewnością nie będzie w stanie pana ochronić przed kolejnymi atakami klakierów, jesteśmy gotowi zaproponować panu zamieszkanie w naszym ośrodku... oczywiście za wiedzą i przyzwoleniem Urzędu do Spraw Małoletnich... w zamian za pańskie usługi.

Lev podkurcza nogi pod kołdrę, odsuwając się od niej. Nie ufa elegancko ubranym ludziom, którzy składają oferty z ukrytymi haczykami.

– Jakie usługi?

Kobieta uśmiecha się do niego ciepło.

– Chodzi nam tylko o pańską obecność, panie Calder. Pańską obecność i pańską ujmującą osobowość.

I chociaż Lev nie pamięta, kiedy jego osobowość ostatnio kogoś ujęła, odpowiada:

– Jasne, czemu nie. – Bo zdaje sobie sprawę, że nie pozostało mu absolutnie nic do stracenia. A potem coś przychodzi mu na myśl. Coś, co gryzło go już od jakiegoś czasu, ale dopiero dzisiaj poczuł, że naprawdę musi z tym zrobić porządek.

– Mam tylko jedną prośbę – mówi Lev.

– Tak?

– Chciałbym legalnie zmienić nazwisko. Czy możecie to załatwić?

Kobieta unosi brwi.

– Oczywiście, jeśli panu na tym zależy. Czy mogę zapytać, jak chciałby pan się nazywać?

– Wszystko jedno – odpowiada Lev. – Byle nie Calder.



22. FUNDACJA

Na pewnej ulicy w północnej części Detroit znajduje się dom, który stanowi obecnie oficjalne miejsce zamieszkania niejakiego Leviego Jedediaha Caldera. Jest niewielki, ale ma dostateczny metraż, i został udostępniony dzięki hojności Fundacji Cavanaughów, której celem jest pomaganie zbłąkanej młodzieży. Na miejscu mieszka na stałe opiekun, który ma dbać o potrzeby Leva, zaangażowano też nauczyciela, żeby udzielał mu prywatnie lekcji. Fundacja postarała się nawet, żeby przed budynkiem przez całą dobę czuwał ochroniarz, mający odprawiać niechcianych gości oraz podejrzanie wyglądających akwizytorów. Nie ma mowy, aby jakiś klakier dotarł w pobliże frontowych drzwi.

Byłyby to doskonałe warunki życia dla Leva, tyle że Lev w rzeczywistości tam nie mieszka. Oczywiście umieszczony pod jego skórą chip twierdzi że tak, jak najbardziej, ale zabezpieczenia tego urządzenia dało się łatwo złamać. Teraz chip może wysyłać sygnał z dowolnego miejsca, gdzie Lev miałby się rzekomo znajdować.

Nikt nie wie, że w rzeczywistości przewieziono go do rezydencji rodziny Cavanaughów, położonej ponad sześćdziesiąt kilometrów dalej.

Rezydencja Cavanaughów to potężna budowla, prawdziwy behemot wznoszący się na siedemdziesięciu pięciu akrach ustronnego terenu w Łące Orion w stanie Michigan. Zaprojektowano ją tak, żeby przypominała Wersal, i wybudowano dzięki fortunie zbitej na handlu samochodami,

zanim jeszcze amerykański przemysł samochodowy dokonał własnej wersji zamachu klakerskiego i zaklaskał się na śmierć.

Większość ludzi nie wie, że rezydencja nadal stoi tam, gdzie stała. W pewnym sensie mają rację, bo z budynku niewiele zostało. Przez tyle lat niszczał wystawiony na działanie deszczu, śniegu i mrozu, że wygląda tak, jakby jedna porządna burza mogła przypieczerować jego los.

Podczas Wojny Moralnej rezydencja Cavanaughów służyła jako siedziba sztabu Sił Wyboru na środkowym zachodzie Stanów do czasu, gdy została zdobyta i przekształcona w siedzibę sztabu Brygady Życia. Najwyraźniej zarówno życiowcy, jak i wyborowcy uważali posiadanie własnego, osobistego Wersalu za wielką atrakcję.

Miejsce to było stałym celem ataków aż do dnia, gdy Porozumienie Podziału położyło kres wszystkim bitwom, wprowadzając najgorszy możliwy kompromis, ale jedyny, który obie strony były skłonne zaakceptować: świętość życia od momentu poczęcia aż do trzynastych urodzin, z opcją, żeby zlecać podzielenie nastolatków, których istnienie zostało uznane za pomyłkę.

Przez wiele lat po wojnie rezydencja Cavanaughów stała pusta i popadała w ruinę – jej odrestaurowanie kosztowałoby zbyt drogo, ale była zbyt ogromna, żeby ją wyburzyć. W końcu Charles Cavanaugh junior, chcąc załagodzić swoje poczucie winy związane z posiadaniem starej fortuny w nowych czasach, postanowił ofiarować budynek na cele dobroczynne. Przekształcił go w fundusz powierniczy, którzy wszedł w skład innego funduszu powierniczego, będącego częścią jeszcze innego funduszu powierniczego, należącego do Ruchu Przeciwników Podzielenia.



23. LEV

Charles Cavanaugh czeka, żeby osobiście powitać Leva przed głównym wejściem popadającej w ruinę rezydencji. Jest ubrany jak ktoś, kto ma zbyt dużo pieniędzy, żeby przejmować się swoim strojem. Nawet jeśli z fortuny Cavanaughów pozostało tylko wspomnienie, Lev odnosi wrażenie, że jej resztki wciąż jeszcze wystarczą, żeby przynajmniej pokolenie Charlesa mogło żyć w elitarnych warunkach. Jedyne szczegól wyglądu tego mężczyzny zdradzający powiązania z ruchem oporu to zaczątki łysiny. W dzisiejszych czasach bogaci nie łysieją. Jeśli zaczynają – po prostu w porę zastępują przerzedzające się włosy cudzymi.

– Lev, to zaszczyt cię poznać! – Cavanaugh oburącz ujmując dłoń Leva i ściska ją mocno, tak intensywnie patrząc mu w oczy, że Lev zaczyna się czuć nieswojo.

– Dziękuję. I nawzajem. – Nie jest pewien, co jeszcze mógłby powiedzieć.

– Z wielką przykrością przyjąłem wiadomość o śmierci twojego przyjaciela oraz obrażeniach, jakie odniósł twój brat. Nie mogę się oprzeć myśli, że gdybyśmy zwrócili się do ciebie wcześniej, nigdy by do tego nie doszło.

Lev podnosi wzrok, żeby przyjrzeć się rezydencji. Prawie wszystkie jej okna są rozbite. Przez dziury pomiędzy sterczącymi z ram odłamkami szkła przefruwają ptaki.

– Nie daj się zmylić pozorom – mówi Cavanaugh. – Ten budynek wciąż jeszcze ma w sobie trochę życia, a jego wygląd to prawdę mówiąc zaleta.

Kamuflaż zabezpieczający nas przed wszystkimi, którzy próbowaliby przyglądać się temu miejscu zbyt uważnie.

Lev nie może sobie wyobrazić nikogo, kto chciałby się przyglądać zbyt uważnie. Budowla stoi na siedemdziesięciu pięciu akrach ogrodzonego terenu, pośrodku zarośniętego chwastami ugoru, który kiedyś był trawnikiem, a ze wszystkich stron otacza ją gęsty las. W ogóle nie da się jej wypatrzyć inaczej niż z powietrza.

Cavanaugh otwiera przegniłe drzwi i wprowadza Leva do dawnego głównego holu. Teraz hol nie ma dachu. Dwa ciągi schodów prowadzą na pierwsze piętro, ale większość drewnianych stopni dawno się rozpadła, a z pęknięć w posadzce wyrastają chwasty, które wypychają marmurowe płytki ku górze, tworząc rozsiane wybrzuszenia.

– Tędy. – Cavanaugh prowadzi go w głąb zrujnowanego budynku pogrążonym w półmroku korytarzem, który jest w równie fatalnym stanie. Odór stęchlizny sprawia, że powietrze wydaje się gęste jak galareta. Lev zaczyna dochodzić do wniosku, że Cavanaugh to wariat, i już ma rzucić się do ucieczki, kiedy mężczyzna przekręca klucz w masywnych drzwiach, do których doszli, i otwiera je ukazując olbrzymią jadalnię.

– Wyremontowaliśmy północne skrzydło. Póki co wystarcza ono do naszych potrzeb. Oczywiście musieliśmy pozabijać deskami wszystkie okna. Światła palące się nocą w opuszczonych ruinach za bardzo przyciągałyby uwagę.

Stan jadalni przed remontem musiał być bez porównania gorszy niż obecnie. Ze ścian nadal łuszczy się farba a na suficie widnieją zacieki, ale całość sprawia znacznie przyjaźniejsze wrażenie niż reszta olbrzymiej budowli. Wiszą tu dwa wielkie świeczniki nie od pary, które prawdopodobnie zostały uratowane z innych pomieszczeń rezydencji. Trzy długie stoły i ciągnące się wzdłuż nich ławy każą przypuszczać, że jada tu posiłki naprawdę spora liczba osób.

W najdalszym końcu sali znajduje się olbrzymi kominek, a nad nim wisi obraz, rozmiarów większych niż naturalne, przedstawiający stojącego chłopca. Lev w pierwszej chwili bierze go za portret jednego z Cavanaughów w wieku dziecięcym, dopóki nie przyjrzy się uważniej.

– Zaraz! Czy to... ja?

Cavanaugh uśmiecha się.

– Dobrze oddane podobieństwo, czyż nie?

Gdy Lev podchodzi do portretu, widzi, jak dobrze w istocie zostało oddane. Jest to wierna podobizna jego samego sprzed roku. Na obrazie ma na sobie żółtą koszulę, która lśni niczym złoto. Prawdę mówiąc malarz tak operował farbami, żeby stworzyć wrażenie, że skóra Leva emanuje niebiańską jasnością. Twarz namalowanego chłopca wyraża mądrość i spokój – taki spokój, jakiego Lev jeszcze nie odnalazł w życiu – a w dolnej części portretu leżą białe szaty dziesięciorodnego, metaforycznie zdeptane pod jego stopami.

W pierwszym odruchu zaczyna się śmiać.

– O co tu chodzi?

– Chodzi o sprawę, o którą walczyłeś, Lev. Pragnę cię z radością poinformować, że kontynuujemy dzieło, które ty zacząłeś.

Na półce nad kominkiem, tuż pod dolną krawędzią portretu, leżą różne drobiazgi – od kwiatów, poprzez ręcznie pisane liściki, po biżuterię i inne małe przedmioty.

– Kiedy powiesiliśmy ten portret, spontanicznie zaczęły się pod nim pojawiać wota – wyjaśnia Cavanaugh. – Nie spodziewaliśmy się tego, ale może należało przewidzieć, że tak będzie.

Lev wciąż jeszcze usiłuje przyjąć do wiadomości to, czego się dowiedział. Znów parska śmiechem, bo to jedyna reakcja, na jaką go stać.

– Żartuje pan, prawda?

Potem z prawej, od strony drzwi prowadzących do sąsiedniego korytarza, dobiega kobiecy głos.

– Panie Cavanaugh, pensjonariusze zaczynają się niecierpliwić. Mogę ich już wpuścić?

Lev widzi dzieciaki, które wychylają się zza tęgiej kobiety, żeby zajrzeć do jadalni.

– Proszę, dajcie nam jeszcze chwilkę – mówi jej Cavanaugh, po czym uśmiecha się do Leva. – Jak pewnie możesz sobie wyobrazić, bardzo się cieszą, że będą mogli cię poznać.

– Kto?

– Dziesięciorodni, rzecz jasna. Urządziliśmy konkurs i wybraliśmy siedem osób, które będą miały zaszczyt osobiście cię powitać.

Cavanaugh mówi tak, jakby było oczywiste, że Lev powinien już wiedzieć o tych wszystkich rzeczach. Tymczasem nowych informacji jest za dużo, żeby chłopak mógł je przyswoić tak z marszu.

– Dziesięciorodni?

– Ścisłej mówiąc, eks-dziesięciorodni. Uratowani, zanim dojechali do ośrodków donacyjnych.

Potem Lev doznaje nagłego olśnienia, już rozumie jak, to możliwe. ‘

– Piraci części! Ci, którzy polują na dziesięciorodnych.

– Och, oczywiście, że istnieją piraci części – odpowiada Cavanaugh – ale z tego co mi wiadomo, żaden nie porywa dziesięciorodnych. Niemniej, te pogłoski to dobra przykrywka. Dzięki temu Urząd do Spraw Małoletnich stale goni za wiatrem.

Możliwość, że dziesięciorodni nie są porywani po to zęby ich sprzedać na czarnym rynku, tylko żeby ich uratować, nigdy dotąd nie przyszła Levowi do głowy.

– Jesteś gotów na spotkanie z naszą małą ekipą ambasadorów?

– Jasne, czemu nie.

Cavanaugh daje kobiecie znak, żeby wpuściła młodzież, i dzieciaki wchodzą na salę w karnym szeregu, co jednak nie maskuje faktu, że niemal podskakują z ekscytacji. Wszyscy mają na sobie ubrania w jaskrawych kolorach i jest to zamierzone. Ani odrobiny bieli. Lev po prostu stoi bez ruchu, oszołomiony, gdy kolejno witają się z nim. Niektórzy tylko skłaniają głowy, zbyt onieśmieleni jego obecnością, zęby coś powiedzieć. Jeden tak mocno potrząsa dłońią Leva, że ten czuje to aż w stawie barkowym. Inny chłopiec jest tak podenerwowany, że potyka się i niemal przewraca u stóp Leva, po czym oblewa się buraczkowym rumieńcem i prędko odchodzi.

– Zmieniłeś fryzurę – mówi jedna z dziewcząt, po czym panikuje, tak jakby powiedziała coś okropnie obraźliwego. – Ale jest ładna! Podoba mi się! Fajnie ci w długich włosach!

– Wiem o tobie wszystko – oznajmia inny nastolatek. – Serio, spytaj mnie o cokolwiek.

I chociaż Lev czuje się trochę nieswojo po tym wyznaniu, pyta:

– Dobra, to jakie lody najbardziej lubię?

– Wiśniowo-czekoladowe! – odpowiada tamten bez najlżejszego zawahania. Odpowiedź jest oczywiście poprawna. Lev nie wie do końca, co o tym myśleć.

– Czyli... wszyscy byliście dziesięciorodnymi?

– Tak – odpowiada dziewczyna ubrana w jaskrawą zieleń – do czasu, gdy nas uratowano. Teraz już wiemy, że składanie dziesięciny to zbrodnia.

– Tak – wtrąca inna. – Nauczyliśmy się postrzegać to tak jak ty!

Lev nagle odkrywa, że czuje się lekko oszołomiony i odurzony ich zachwytem. Po raz pierwszy odkąd przestał być dziesięcirodny, znów może się poczuć jak gwiazda. Po rewolcie w Happy Jack wszyscy traktowali go albo jak ofiarę, której należy współczuć, albo jak potwora, którego trzeba ukarać. Jednak te dzieciaki czczą go jak bohatera. Lev nie może zaprzeczyć, że po wszystkim, co przeszedł, jest to przyjemne uczucie. Naprawdę przyjemne.

Dziewczyna we wściekle fioletowym stroju nie jest w stanie się opanować i rzuca mu się na szyję.

– Kocham cię, Levie Calder! – wykrzykuje.

Inny nastolatek odciąga ją do tyłu.

– Sorry, jest trochę zbyt wylewna.

– Nie szkodzi – odpowiada Lev – ale ja już nie mam na nazwisko Calder, tylko Garrity.

– Na pamiątkę pastora Daniela Garrity! – rzuca natychmiast wszystkowiedzący nastolatek. – Tego, który zginął w ataku klakierskim przed dwoma tygodniami. – Jest tak dumny, że wykuł na blachę te wszystkie informacje, że nie zdaje sobie sprawy, ile bólu nadal sprawia Levowi każda wzmianka o śmierci Dana. – Przy okazji, jak tam twój pęknięty bębenek w uchu?

– Coraz lepiej.

Cavanaugh, który dotąd trzymał się z tyłu, teraz podchodzi, żeby skrzyknąć całą młodzież i odprawić ich z sali Wystarczy już – mówi im. – Ale wszyscy będziecie mieli okazję porozmawiać z Levern podczas prywatnej audiencji.

– Audiencji? – pyta Lev, zaśmiewając się na samą myśl. – Kim ja jestem, papieżem? – Ale nikt więcej się nie śmieje; i raptem dociera do niego, że to, co jeszcze niedawno stanowiło prywatny żart pastora Dana, stało się rzeczywistością. Wszystkie te dzieci są lewiatanami.

Sześćdziesiąt cztery osoby. Tyłu byłych dziesięcirodnych znalazło dach nad głową i opiekę w rezydencji Cavanaughów. Ta wiedza dała Levowi nadzieję, jakiej nie czuł od czasu wejścia w życie ustawy Cap-17, która okazała się równocześnie krokiem w przód i w tył.

Prędzej czy później ofiarujemy im nowe tożsamości i umieścimy ich w zaufanych rodzinach zastępczych, które zachowają ich prawdziwe pochodzenie w tajemnicy – mówi Levowi Cavanaugh. – Nazywamy to: Program Relokacji „Ocalenie”.

Cavanaugh oprowadza go po całym odnowionym północnym skrzydle. Na ścianach wiszą oprawione zdjęcia i wycinki z gazet dotyczące Leva. Transparent rozwieszony w jednym z korytarzy głosi: „BĄDŹ ODWAŻNY JAK LEV!”. Oszołomienie chłopca zaczyna się przemieniać w nerwowe łaskotanie w brzuchu. Jakim cudem miałby dorównać wykreowanemu tutaj obrazowi siebie? Czy powinien w ogóle próbować?

– Nie sądzi pan, że to... lekka przesada? – pyta Cavanaugha.

– Z czasem uzmysłowiliśmy sobie, że kiedy odebraliśmy tym dzieciom status dziesięciny, pozbawiliśmy je tego, co stanowiło dla nich sens życia: jedynej niezmiennej prawdy, w którą wszyscy wierzyli. Musieliśmy przynajmniej tymczasowo wypełnić powstałą pustkę. Ty byłeś najbardziej oczywistym kandydatem.

Na ścianach widnieją namalowane przy pomocy szablonu cytaty i maksymy przypisywane Levowi. Zdania takie jak „Celebrowanie niepodzielonego życia to najwspanialszy cel” czy „Twoja przyszłość należy w całości do ciebie”. Lev zgadza się z tymi poglądami, ale nigdy nie padły one w takiej formie z jego ust.

– To musi być dziwne uczucie stać się obiektem tak wielkiego podziwu – mówi do niego Cavanaugh. – Mam nadzieję, że aprobujesz sposób, w jaki wykorzystaliśmy twój wizerunek, żeby pomóc tym dzieciom.

Lev uświadamia sobie, że tak naprawdę nie ma możliwości wyrazić aprobaty, dezaprobaty czy choćby stwierdzić, jak rozsądne było to posunięcie. Jak ocenić jasność światła, kiedy to ty jesteś jego źródłem? Reflektor nigdy nie zobaczy cieni, które rzuca. Jedyne, co Lev może teraz zrobić, to dostosować się do sytuacji i wejść w rolę swoistego przewodnika duchowego. Istnieją gorsze rzeczy. Doświadczywszy kilku z nich, chłopak nie ma żadnych wątpliwości, że to będzie przyjemniejsze doświadczenie.

Począwszy od drugiego dnia swego pobytu w rezydencji Lev udziela prywatnych audiencji eks-dziesięciornym. Tych spotkań jest zawsze tylko kilka dziennie, żeby go nie przemęczyć. Lev słucha historii życia tych nastolatków i próbuje udzielać rad, mniej więcej w podobnym stylu, jak w przypadku młodzieży „o wysokim ryzyku podzielenia” przebywającej

w zakładach poprawczych, które niegdyś odwiedzał co niedziela razem z pastorem Danem. Jednak w przypadku eks-dziesięciornych te rozmowy wygląda. ją zupełnie inaczej. Bez względu na to, co Lev mówi, traktują jego słowa jak natchnione proroctwo. Mógłby powiedzieć, że niebo jest różowe, a oni doszukaliby się w tym jakichś mistycznych symbolicznych znaczeń.

– Wszystko, czego pragną, to akceptacja – mówi mu Cavanaugh – a akceptacja przez ciebie to najwspanialszy dar, jakiego mogliby oczekiwać.

Pod koniec pierwszego tygodnia Lev przyzwyczajają się do rytmu funkcjonowania placówki. Posiłki rozpoczynają się dopiero wtedy, gdy on pojawi się w jadalni. Zwykle proszony jest o odmówienie przed jedzeniem krótkiej modlitwy, nie zawierającej elementów charakterystycznych dla żadnego konkretnego wyznania. Poranki spędza udzielając „audiencji”, a po południu ma czas dla siebie. Cavanaugh i inni członkowie personelu placówki zachęcają go, żeby spisał swoje wspomnienia, co wydaje się absurdalną propozycją w stosunku do czternastoletniego chłopca, ale tamci nalegają na to najzupełniej serio. Nawet jego sypialnia prezentuje się absurdalnie – królewska komnata, o wiele zbyt obszerna jak na jego potrzeby, i będąca jednym z nielicznych pomieszczeń, których okna nie zostały zabite deskami. Jego pokój jest większy niż rozsądek by przewidywał, jego wykreowany wizerunek dalece wykracza poza rzeczywistość, a wszystko to sprawia tylko, że Lev czuje się coraz mniejszy.

I co gorsza podczas wszystkich posiłków musi patrzeć na swój portret. Na tego Leva, o którym wszyscy tutaj sądzą, że prawdziwy Lev jest właśnie taki. Oczywiście potrafi wcielić się w tę rolę, ale oczy portretu, które zdają się śledzić go wzrokiem przez całą długość sali, wyrażają oskarżenie. *Nie jesteś mną* – mówią te oczy. *Nigdy nie byłeś, nigdy nie będziesz*. Jednak na półce pod obrazem nadal pojawiają się kwiaty, liściki i wota, i Lev z czasem uświadamia sobie, że to nie jest zwykły portret... To ołtarz.

W drugim tygodniu zostaje wezwany, żeby powitać nowo przybyłych – pierwszych od czasu, gdy on sam pojawił się w rezydencji. Dopiero co odbył się atak na van, którym byli przewożeni, i wszystko, co wiedzą, to że zostali porwani oraz postrzeleni z broni usypiającej. Nie wiedzą jeszcze, przez kogo.

– Życzylibyśmy sobie – mówi Levowi Cavanaugh – żebyś ty był pierwszą rzeczą, jaką ujrzą, kiedy odsłonimy im oczy.

– Czemu? Żeby im się wdrukowało jak kaczątom, że jestem ich mamą i mają za mną chodzić?

Cavanaugh wypuszcza oddech, lekko zniecierpliwiony.

– Bynajmniej. Z tego co im wiadomo, jesteś jedyną żyjącą osobą, która uniknęła złożenia w ofierze jako dziesięcina. Nie zdajesz sobie sprawy, jak piorunujący wpływ ma twoja obecność na inne dziecko, któremu przeznaczono ten sam los.

Lev zostaje poinstruowany, żeby udać się do sali balowej, która nadal jest w żałobnym stanie i prawdopodobnie nie nadaje się do remontu. Jest przekonany, że istnieje jakiś poparty badaniami psychologicznymi powód, dlaczego nowo przybyłych wita się właśnie tam, ale nie ma szczególnej ochoty o to pytać.

Kiedy dociera na miejsce, oboje nowi już tam są. Chłopiec i dziewczyna. Zostali przywiązani do krzeseł, a oczy zasłonięto im szmatami. Teraz staje się jasne, co Cavanaugh miał na myśli. Facet naprawdę przesadza z teatralnymi gestami.

Chłopiec szlocha, a dziewczyna próbuje go uspokoić.

– Nie bój się, Timothy – mówi. – Bez względu na to, Co tu się dzieje, wszystko będzie dobrze.

Lev siada naprzeciwko nich, czując się niezręcznie, przestraszony, bo widzi ich strach. Wie, że powinien emanować pewnością siebie i napełnić ich otuchą, ale stać przed dwojgiem przerażonych ofiar porwania to nie to samo, co stać przed zachwyconymi eks-dziesięciorodnymi.

Cavanaugha nie ma na sali, ale dwoje dorosłych pracowników placówki czeka w pogotowiu. Lev przetyka i stara się opanować dygot rąk, mocno chwytając podłokietniki fotela.

– Okej, możecie im odsłonić oczy.

Oczy chłopca są zaczerwienione od płaczu. Dziewczyna już się rozgląda, próbując się zorientować w sytuacji.

– Naprawdę mi przykro, że musieliśmy to załatwić w ten sposób – mówi Lev. – Nie mogliśmy ryzykować, że coś wam się stanie, albo że zorientujecie się, dokąd was zabieramy. Nie było innej możliwości, żeby was bezpiecznie uratować.

– Uratować nas? – pyta dziewczyna. – Tak to nazywacie?

Lev chętnie by zignorował oskarżycielski ton jej głosu, ale nie potrafi. Zmusza się, żeby twardo patrzeć jej w oczy tak, jak robi to Cavanaugh,

z nadzieją, że uda mu się stworzyć iluzję pewności siebie.

– No cóż, może w tej chwili nie masz takiego poczucia, ale owszem, to właśnie zrobiliśmy.

Dziewczyna piorunuje go wzrokiem, a jej mina wyraża całkowity bunt. Jednak chłopiec gwałtownie wciąga oddech, a jego mokre oczy otwierają się szeroko.

– To ty! Jesteś tym dziesięciorodnym, który został klakierem! Jesteś Levi Calder!

Levi posyła mu lekki, przeproszający uśmiech, nawet nie zadając sobie trudu, żeby poprawić nazwisko.

– Tak, ale przyjaciele mówią na mnie Lev.

– Jestem Timothy! – odpowiada z entuzjazmem chłopiec. – Timothy Taylor Vance! A ona ma na imię Mi... Mi... Nie pamiętam dokładnie, ale zaczyna się na M, prawda?

– Moje imię to moja prywatna sprawa i pozostanie moją prywatną sprawą – odpowiada dziewczyna.

Lev spogląda na karteczkę z informacjami, którą mu dano.

– Nazywasz się Miracolina Roselli. Miło cię poznać, Miracolino. Czy na co dzień wołają na ciebie Mira?

Gniewne spojrzenie dziewczyny jasno daje do zrozumienia, że nie.

– W porządku, zatem Miracolina.

– Kto dał wam prawo? – pyta dziewczyna. Niemal warcząc.

Lev znów wymusza na niej kontakt wzrokowy. Miracolina wie, kim on jest, ale nienawidzi go. Więcej, pogardza nim. Widywał już u ludzi ten wyraz twarzy, ale żeby tutaj?

– Może mnie nie dosłyszałaś – mówi Lev, czując, że zaczyna ogarniać go złość. – Właśnie cię uratowaliśmy.

– Zgodnie z czyją definicją „ratowania”?

Przez sekundę, tylko przez sekundę, Lev patrzy na siebie oczami tej dziewczyny i nie podoba mu się to, co widzi.

– Cieszę się, że oboje tu jesteście – mówi, próbując ukryć drżenie głosu. – Porozmawiamy jeszcze. – Potem daje znak dorosłym, żeby zabrali dwójkę nowych.

Lev siedzi samotnie w sali balowej jeszcze przez dobre dziesięć minut. W zachowaniu Miracoliny jest coś, co wydaje mu się niepokojąco znajome. Próbuje wrócić pamięcią do dnia, gdy Connor wyciągnął go z limuzyny

w dniu, gdy samego Leva miano złożyć jako dziesięcinę Czy Lev był równie wojowniczo nastawiony? Równie niechętny do współpracy? Tak dużą część wydarzeń tamtego dnia wyrzucił z pamięci. W którym momencie zaczęło do niego docierać, że Connor nie jest wrogiem?

Przekona ją. Musi. Wszystkich eks-dziesięcirodnych prędzej czy później udaje się reedukować. Zniwelować skutki prania mózgu. Odwrócić efekty zaprogramowania.

Ale co jeśli ta dziewczyna jest wyjątkiem? Co wtedy? Nagle cała ta operacja ratunkowa, która dotąd jawiła mu się jako wielkie i wspaniałe przedsięwzięcie, wydaje się bardzo mała. I bardzo osobista.



24. MIRACOLINA

Urodzona, żeby ocalić życie swojego brata, a potem zostać z powrotem oddana Bogu, Miracolina nie zamierza się zgodzić na to pogwałcenie jej wolności – to sprofanowanie jej świętego przeznaczenia i zastąpienie go godnym pogardy życiem uciekiniera. Nawet jej rodzice w decydującym momencie okazali słabość – byli gotowi złamać swój pakt z Bogiem i ocalić ją przed złożeniem w ofierze. Miracolina zastanawia się teraz, czy uszczęśliwiłoby ich to, że została porwana i zmuszona do życia w całości? Że odmówiono jej doświadczenia tajemnego misterium, jakim jest stan podzielenia?

Nie tylko musi znosić ten oburzający stan rzeczy, musi też tolerować fakt, że profanacji jej życiorysu dokonał ktoś, kogo Miracolina uważa niemalże za wcielenie Szatana. Nie jest dziewczyną skłoną do nienawiści i niesprawiedliwych osądów – ale kiedy stanęła twarzą w twarz z tym chłopcem, przekonała się, że ma w sobie znacznie mniej tolerancji niż sądziła.

Może to dlatego zostałam skierowana na tę ścieżkę – myśli. Żeby mnie nauczyć pokory i uzmysłowić mi, że potrafię być pełna nienawiści, tak jak wszyscy inni ludzie.

Tamtego pierwszego dnia próbują ją ugłaskać, przydzielając jej wygodną sypialnię, która jest w znacznie lepszym stanie niż większa część rezydencji.

– Możesz tu sobie odpocząć do czasu, gdy miną wszystkie objawy działania środka usypiającego – mówi pulchna, sympatyczna kobieta, która

przynosi też Miracolinie posiłek: peklowaną wołowinę z kapustą oraz wysoką szklanekę spienionego napoju udającego piwo korzenne.

– Wyobraź sobie, że świętujemy dziś dzień Świętego Patryka – mówi. – Smacznego, kochanie. Jest więcej, gdybyś chciała dokładkę. – To jawna próba pozyskania jej sympatii. Miracolina zjada, co jej dali, ale nie pozwala, żeby sprawiło jej to przyjemność.

W pokoju są do dyspozycji książki i filmy wideo, które mają jej dostarczać rozrywki, ale Miracolinie na ich widok chce się śmiać, bo tak jak w vanie z ośrodka donacyjnego można było oglądać tylko wesołe filmy familijne, również i tutaj tytuły, które dostała do wyboru, dobrano według określonego klucza. Wszystkie są o dzieciach, które były maltretowane, ale zdołały odmienić swój los, albo o dzieciach, które uczą się polegać na sobie w świecie, który ich nie rozumie. Cała gama autorów od Dickensa po Salingera – tak jakby Miracolina Roselli mogła mieć cokolwiek wspólnego z Holdenem Caulfieldem.

Są też szuflady pełne ubrań w jaskrawych kolorach. Wszystkie te ubrania pasują na nią, i Miracolina czuje dreszcz na samą myśl, że kiedy leżała nieprzytomna, sprawdzono jej wymiary oraz przygotowano dla niej te rzeczy. Jej dziesięcinowe białe szaty są poplamione, ale nie zamierza dać tym ludziom satysfakcji i przebrać się.

W końcu do pomieszczenia wchodzi łysy mężczyzna w średnim wieku, trzymający podkładkę do notatek z klipsem. Ma też identyfikator z imieniem: „Bob”.

– Byłem szanowanym psychiatrą do czasu, gdy zacząłem jawnie potępiać podzielenie – mówi jej Bob, kiedy już przedstawili się sobie nawzajem, jak nakazuje grzeczność. – Okazało się jednak, że społeczny ostracyzm niesie z sobą korzyści, bo pozwolił mi przybyć tutaj, gdzie naprawdę jestem potrzebny.

Miracolina nadal siedzi z rękoma splecionymi na piersi, nie udzielając mu żadnych informacji na swój temat. Wie, o co tutaj chodzi. Nazywają to „odprogramowaniem”, co stanowi po prostu uprzejme określenie likwidowania skutków prania mózgu poprzez więcej prania mózgu.

– *Był pan szanowany, czyli już pana nie szanują* – odpowiada Miracolina – *i ja też nie zamierzam pana darzyć szacunkiem.*

Po krótkiej ewaluacji psychologicznej, podczas której dziewczyna odmawia udzielania poważnych odpowiedzi na pytania, Bob wzdycha i zamyka długopis.

– Sądzę, że wkrótce się przekonasz – mówi – że nasza troska o ciebie nie jest udawana, i że naprawdę chcemy, abyś mogła rozkwitnąć.

– Nie jestem roślinką doniczkową – ripostuje Miracolina, po czym ciska szklanką odgazowanego napoju w drzwi, gdy te zamykają się za nim.

Szybko odkrywa, że nie została uwięziona w sypialni pod kluczem. Kolejna zmyłka? Wychodzi, żeby zwiedzić korytarze rezydencji. Nie może zaprzeczyć, że chociaż przepełnia ją gniew z powodu porwania, jest też ciekawa, co właściwie się tutaj dzieje. Ilu jeszcze dziesięciorodnych wydarto ich przeznaczeniu? Ilu jest porywaczy? Jakie ma szanse na ucieczkę?

Okazuje się, że w rezydencji przebywa całe mnóstwo dzieciaków. Przesiadują w dormitoriach oraz pokojach wspólnych. Usiłują reperować nienaprawialne uszkodzenia i przegniłe ściany rezydencji albo siedzą na lekcjach prowadzonych przez ludzi podobnych do Boba.

Błąkając się tu i tam, Miracolina trafia do świetlicy gdzie podłoga jest zapadnięta. Znajduje się tam stół bilardowy podparty drewnem, żeby stał równo. Jedna z dziewczyn spostrzega ją i podchodzi. Na jej identyfikatorze widnieje imię „Jackie”.

– Ty musisz być Miracolina – mówi Jackie, łapiąc jej dłoń, żeby się przywitać, bo Miracolina nie wyciąga pierwszej ręki. – Wiem, że ciężko się na początku przystosować, ale myślę, że zostaniemy przyjaciółkami. – Jackie wygląda na dziesięcirodną, podobnie jak cała reszta przebywających tu dzieci. Swoista aura czystości i wyniesienia ponad rzeczy doczesne. Nawet jeśli nikt tutaj nie ma na sobie ani odrobiny bieli, nie mogą ukryć, kim byli do tej pory.

– Kazali ci się mną zajmować? – pyta Miracolina.

Jackie przepraszająco wzrusza ramionami.

– No, tak jakby.

– W takim razie dzięki za szczerść, ale nie lubię cię i nie chcę być twoją przyjaciółką.

Jackie, która nie jest szanowanym niegdyś psychiatrą, tylko zwykłą trzynastoletnią dziewczynką, wyraźnie czuje się zraniona jej słowami, i Miracolina natychmiast żałuje tego, co powiedziała. Nie może stać się bezduszna i zblazowana. Musi się wznieść ponad to.

– Przepraszam. To nie ciebie nie lubię, tylko tego, co każą ci robić. Jeśli naprawdę chcesz zostać moją przyjaciółką, spróbuj po raz drugi, kiedy nie będę twoją pracą domową.

– W porządku, rozumiem – odpowiada Jackie. – Ale bez względu na to, czy się zaprzyjaźnimy, mam ci pomóc dostosować się do programu, czy ci się to podoba, czy nie.

Po tym, jak porozumienie zostało zawarte, Jackie wraca do swoich koleżanek, ale ma Miracolinę na oku, dopóki ta przebywa w pomieszczeniu.

Timothy, chłopiec, razem z którym Miracolina została porwana, też znajduje się w tej sali razem z innym byłym dziesięciorodnym, któremu najwyraźniej polecono się zająć nowym. Rozmawiają tak żywo, jakby momentalnie się zaprzyjaźnili. Timothy ewidentnie już „dostosował się do programu”, a ponieważ niespecjalnie mu się podobało, że ma zostać podzielony, wystarczyła zmiana ubrania, żeby go odprogramować.

– Jak możesz być tak... tak płytki? – pyta Miracolina, kiedy udaje jej się zagadać do Timothy’ego na osobności nieco później.

– Nazywaj to, jak ci się podoba – odpowiada chłopiec, szczerząc się w uśmiechu, jakby właśnie dostał w prezencie szczeniaka. – Ale jeśli to płytkie chcesz dalej żyć, to kurczę, jestem brodzikiem dla dzieci!

Odprogramowanie! Miracolina czuje mdłości na samą myśl. Gardzi Timothyem i zachodzi w głowę, jak ktokolwiek może przehandlować wiarę, którą wyznawał od urodzenia, za peklowaną wołowinę i kapustę.

Jackie odnajduje ją po południu tego samego dnia – już po tym, jak Miracolina stwierdziła empirycznie, że jej „wolność” kończy się przy zamkniętych na kłódkę drzwiach, które zmuszają wszystkich eks-dziesięciorodnych do przebywania w jednym skrzydle rezydencji.

– Reszta wciąż jeszcze nie nadaje się do zamieszkania – mówi jej Jackie. – Dlatego wolno nam przebywać tylko w Północnym Skrzydle.

Jackie wyjaśnia też, że dni eks-dziesięciorodnych upływają na zajęciach, które mają im pomóc przystosować się do nowego życia.

– A co się dzieje z tymi, którzy nie zaliczą programu? – pyta Miracolina ze złośliwym uśmieszkiem.

Jackie nie odpowiada, tylko patrzy na nią tak, jakby w ogóle nie wzięła pod uwagę takiej możliwości.

Po kilku dniach Miracolina ma już powyżej uszu tych obowiązkowych zajęć. Poranki zaczynają się od długiej, pełnej emocji terapii grupowej, w trakcie której co najmniej jedna osoba zawsze wybucha płaczem i jest za to wychwalana przez pozostałych. Miracolina zazwyczaj nic nie mówi, bo opiekunom nie podoba się, kiedy ktoś otwarcie broni składania dziesięciny.

– Masz prawo do własnej opinii – powtarzają, ilekroć dziewczyna protestuje przeciwko odprogramowaniu. – Liczymy jednak, że kiedyś zmienisz zdanie. – Co oznacza, że tak naprawdę Miracolina nie ma prawa do własnej opinii.

Odbywają się lekcje historii najnowszej – przedmiotu, który wykładany jest w bardzo niewielu szkołach. Materiał obejmuje Wojnę Moralną, Porozumienie Podziału oraz wszystkie związane z nimi wydarzenia aż do teraźniejszości. Omawia się różne sekty religijne, w których upowszechnił się zwyczaj składania dziesięciny z ludzi, tak że stały się społecznie usankcjonowanymi „kultami dziesięcinowymi”.

– To nie były oddolne ruchy obywatelskie – mówi nauczycielka. – Wszystko zaczęło się od tego, że zamożne rodziny przedsiębiorców i udziałowców w największych korporacjach chciały dawać przykład masom, bo jeśli nawet bogaci aprobują podzielenie, to znaczy, że wszyscy powinni je aprobować. Kulty dziesięcinowe były częścią wykalkulowanego planu mającego ugruntować poparcie dla podzielenia w psychice narodu.

Miracolina nie może się powstrzymać i podnosi rękę.

– Przepraszam – mówi – ale ja jestem katoliczką i nie należę do kultu dziesięcinowego. Więc jak wytłumaczy pani fakt, że jestem dziesięciorodną?

Sądziła, że nauczycielka odpowie „jesteś wyjątkiem, który potwierdza regułę” albo rzuci jakiś inny banał, ale nie. Kobieta odpowiada tylko:

– Hmm, to ciekawe. Założę się, że Lev bardzo chętnie by z tobą o tym porozmawiał.

Dla Miracoliny jest to najstraszniejsza groźba, jaką nauczycielka mogłaby rzucić, i kobieta na pewno o tym wie. Odtąd Miracolina będzie siedzieć cicho. Tym niemniej, wszyscy już wiedzą o nieposłuszeństwie, które dziewczyna okazuje ruchowi oporu, i zostaje wezwana na niechcianą audiencję z chłopcem, który się nie zdetonował.

Audiencja odbywa się w poniedziałek rano. Miracolina zostaje wywołana z terapii grupowej, na której ledwie jest w stanie wysiedzieć, i zaprowadzona

do takiego zakątka rezydencji, którego wcześniej nie widziała. Eskortuje ją nie jeden, ale dwóch przedstawicieli ruchu oporu. Chociaż dziewczyna nie ma pewności, podejrzewa, że co najmniej jeden z nich jest uzbrojony. Zabierają ją do wypełnionej roślinami szklarni – mnóstwo wypukłych szyb i słońca – ogrzewanej i przywróconej do dawnej świetności. On już tam jest, siedzi na jednym z krzeseł – chłopiec, wokół którego kręci się tutejszy dziwny kult bohatera. Miracolina siada naprzeciwko niego i czeka, aż odezwie się pierwszy. Zanim jeszcze jej rozmówca otworzy usta, dziewczyna wyczuwa u niego autentyczne zainteresowanie. Nic dziwnego, skoro Miracolina jest jedynym kwadratowym kołkiem w całej rezydencji, który nie pozwala się tak przykroić, żeby pasował do okrągłego otworu.

– Słuchaj, co w zasadzie z tobą jest? – pyta chłopiec po tym, jak spędził kilka chwil na przyglądaniu się jej. Miracolina czuje się urażona nieformalnym brzmieniem tego pytania – tak jakby cała jej postawa w odniesieniu do wszystkiego, co odbywa się w tym miejscu, wynikała z tego, że „coś z nią jest”. No cóż, dzisiaj dziewczyna da mu do zrozumienia, że jej nieposłuszeństwo to coś więcej niż nastoletni bunt.

– Autentycznie cię zaciekawiłam, klakierze, czy też jestem tylko owadem, którego nie potrafisz zdeptać swoim żelaznym butem?

Chłopiec śmieje się, słysząc to.

– Żelazny but, a to dobre. – Podnosi nogę, żeby pokazać dziewczynie podeszwę sportowego buta marki Nike. – Przyznaję, że mogłem ostatnio rozdeptać kilka pajaków, ale na tym koniec.

– Jeśli zamierzasz się za mnie ostro zabrać – mówi Miracolina – miejmy to już z głowy. Najlepiej będzie mnie pozbawić jedzenia albo wody. Pozbawienie wody pewnie okaże się skuteczniejsze. Zacznie mi się pić wcześniej niż jeść.

Jej rozmówca z niedowierzaniem kręci głową.

– Naprawdę sądzisz, że jestem taki? Czemu tak uważasz?

– Zostałam porwana siłą i przetrzymujecie mnie tu wbrew mojej woli – odpowiada dziewczyna, nachylając się w jego kierunku nad blatem stołu. Rozważa naplucie mu w twarz, ale postanawia zachować ten gest na później. Wykorzysta go w charakterze wykrzyknika w bardziej odpowiednim momencie. – Uwięzienie to nadal uwięzienie, bez względu na to, w jaką ilość bawełny je owiniecie. – Te słowa sprawiają, że chłopiec odchyła się do tyłu, a ona uświadamia sobie, że celnie trafiła go w miękkie. Przypomina sobie

jego zdjęcia, które widziała, kiedy media trąbiły o nim na okrągło – kiedy przetrzymywano go w celi, od stóp do głów owiniętego gazą i watą.

– Naprawdę cię nie rozumiem – mówi chłopiec i tym razem w jego głosie słychać nutę gniewu. – Uratowaliśmy ci życie. Mogłabyś okazać przynajmniej odrobinę wdzięczności.

– Okradliście mnie, podobnie jak wszystkich innych, których tu przetrzymujecie, z celu istnienia. To nie jest ratunek, to potępienie.

– Przykro mi, że tak to odbierasz.

Teraz to Miracolinę ogarnia złość.

– Tak, „przykro ci, że tak to odbieram”, wszystkim jest przykro, że tak to odbieram. Czy będziecie mnie tu trzymać i dręczyć aż do chwili, gdy przestanę tak to odbierać?

Chłopak wstaje gwałtownie, odsuwając krzesło, po czym zaczyna chodzić tam i z powrotem. Liście paproci ocierają się o jego ubranie. Miracolina wie, że wytrąciła go z równowagi. Sprawia wrażenie, jakby miał lada chwila wyjść gniewnie z pomieszczenia, ale zamiast tego bierze głęboki oddech i odwraca się z powrotem w jej stronę.

– Wiem, przez co przechodzisz – mówi. – Moja rodzina tak mi wyprała mózg, że autentycznie chciałem zostać podzielony. Co mówię, nie tylko rodzina: moi przyjaciele, członkowie wspólnoty kościelnej, wszyscy, których szanowałem i podziwiałem. Jediną osobą, która wypowiadała się z sensem, był mój brat Marcus, ale ja byłem zbyt ślepy, żeby usłyszeć to, co chciał mi przekazać, aż do dnia, kiedy zostałem porwany.

– Chciałeś powiedzieć: zobaczyć – wtrąca Miracolina, elegancko podkładając na jego drodze pułapkę, żeby się przewrócił.

– Co proszę?

– Zbyt ślepy, żeby zobaczyć, zbyt głuchy, żeby usłyszeć. Ogarnij się na tyle, żeby rozróżniać zmysły. Chyba że nie potrafisz, bo jesteś kompletnie bezzmysłny.

Chłopak się uśmiecha.

– Hehe, dobre.

– A poza tym nie potrzebuję słuchać historii twojego życia. Już ją znam. Wasze auto utknęło w karambolu na autostradzie i ZOMZ z Akron użył cię jako ludzkiej tarczy. Bardzo szlachetnie z jego strony. A potem cię przeinaczył. Tak jakbyś przesiąkł smrodem zepsutego sera.

– To nie on mnie przeinaczył. Przeinaczyło mnie to, że uniknąłem złożenia w ofierze jako dziesięcina i zobaczyłem, czym w rzeczywistości jest podzielenie.

– Bo lepiej być mordercą niż dziesięciordnym, czyż nie tak, klakierze?

Chłopak siada ponownie. Teraz jest spokojniejszy, i Miracolina czuje frustrację widząc, że najwyraźniej zaczął się uodparniać na jej zaczepki słowne.

– Kiedy żyjesz nie zadając sobie żadnych pytań, nie jesteś przygotowany na pytania wtedy, kiedy się pojawiają – mówi. – Robisz się wściekły i kompletnie brakuje ci umiejętności radzenia sobie z tą wściekłością. Tak więc owszem, zostałem klakierem, ale tylko dlatego, że byłem zbyt niewinny, żeby widzieć, jak bardzo winny się stanę.

Mówi to z dużym natężeniem emocji, a oczy mu zwilgotniały. Miracolina widzi, że jest szczery, że to nie żadna szopka. Może wręcz powiedział więcej niż zamierzał. Dziewczyna zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem nie oceniła go błędnie, a potem złości się na siebie za to, że w ogóle mogła coś takiego pomyśleć.

– Wydaje ci się, że jestem do ciebie podobna, ale to nieprawda – mówi. – Nie należę do wyznania, które składa dziesięcinę. Moi rodzice zdecydowali się na to pomimo wiary, którą wyznajemy, a nie z jej powodu.

– Ale mimo wszystko zostałeś wychowana w przekonaniu, że taki jest cel twojego istnienia, czyż nie?

– Zostałam powołana do życia po to, żeby uratować życie mojego brata, zostając dawcą szpiku dla niego. Ten cel został zrealizowany, zanim skończyłam sześć miesięcy.

– I świadomość, że przyszaś na świat tylko po to, żeby pomóc komuś innemu, nie wywołuje w tobie gniewu?

– Nie, bynajmniej – odpowiada Miracolina nieco zbyt szybko. Zaciska usta i odchyła się do tyłu na krześle, wiercąc się z lekka. Krzesło wydaje jej się trochę zbyt twarde. – W porządku, może faktycznie zdarza mi się odczuwać z tego powodu złość, ale rozumiem, czemu to zrobili. Na ich miejscu postąpiłabym tak samo.

– Zgoda – mówi chłopiec. – Ale czy po tym, jak już spełniłaś swoje zadanie, twoje życie nie powinno należeć do ciebie?

– Cuda są własnością Boga – odpowiada Miracolina.

– Nie – poprawia ją chłopiec. – Cuda są *darem* od Boga. Nazywanie ich Jego własnością to obraza dla Jego hojności.

Dziewczyna otwiera usta, żeby odpowiedzieć, ale odkrywa, że brakuje jej stosownej riposty, bo rozmówca ma rację. Niech go szlag, ma rację – a przecież powinien być jedną wielką pomyłką!

– Porozmawiamy ponownie, kiedy już dojdiesz do siebie – mówi chłopiec, po czym daje znak oczekującemu strażnikowi, żeby ją wyprowadził.

Nazajutrz do planu zajęć Miracoliny zostają dodane kolejne zajęcia, żeby przypadkiem nie miała za dużo czasu na rozmyślania. Nazywają się „Kreatywna Projekcja”.

Odbywają się w klasie, która dawniej musiała być salonikiem lub czymś w tym rodzaju. Na ścianach, z których łuszczy się farba, wiszą wyblakłe portrety, nadjedzone przez mole. Miracolina zastanawia się, czy namalowane osoby, których oblicza wydają się przyciężkawe i nudne, spoglądają na prowadzone tutaj lekcje z aprobatą, dezaprobatą czy z całkowitą obojętnością.

– Chcę, żebyście napisali opowiadanie – mówi nauczyciel, który nosi kretyńskie okulary o małych okrągłych szklach. Okulary! Staromodny przedmiot, którego nikt już nie potrzebuje, odkąd upowszechniły się operacje laserowe oraz przeszczepy gałek ocznych w przystępnych cenach. Staroświeckość tych okularów ma w sobie pewną arogancję. Tak jakby ludzie, którzy uważali za stosowne je nosić, pielęgnowali poczucie swoistej wyższości.

– Chcę, żebyście napisali opowiadanie o sobie. Swoją biografię. Historię swojego życia, ale nie tego, które przeżyliście do tej pory, tylko tego, które zamierzacie przeżyć. To ma być biografia, którą moglibyście napisać za czterdzieści, pięćdziesiąt lat. – Nauczyciel przechadza się po pomieszczeniu, gestykulując. Przypuszczalnie wyobraża sobie, że jest Platonem lub kimś równie wybitnym. – Wyobraźcie sobie siebie w przyszłości. Opowiedzcie mi, kim zostanieie. Wiem, że to będzie dla was trudne. Nigdy nie ważyliście się myśleć o przyszłości, ale teraz możecie to zrobić. Chcę, żeby było to dla was przyjemne. Jeśli macie ochotę, zaszalejcie. Bawcie się dobrze!

Potem siada i odchyła się do tyłu na krzesło, splatając dłonie za głową, nadzwyczaj zadowolony z siebie.

Miracolina niecierpliwie postukuje długopisem o kartkę, podczas gdy pozostałe dzieciaki piszą. Nauczyciel pragnie się dowiedzieć, jak wygląda jej wymarzona przyszłość? W porządku. Napiszmy prawdę, nawet jeśli nie jest ona tym, co ci ludzie chcieliby usłyszeć.

Od dnia, w którym powstało to wypracowanie, upłynęły lata – pisze – i moje ręce należą teraz do matki, która straciła dłonie w pożarze. Ma czworo dzieci. Tuli je, kąpie, czesze im włosy i zmienia pieluchy moimi dłońmi. Dbą o nie, bo wie, jakie są cenne. Co tydzień chodzi na manikiur, myśląc o mnie, mimo że nie wie, kim byłam.

Moje nogi należą do dziewczyny, która została ranna w katastrofie samolotu. Wcześniej zdobywała medale w biegach, ale okazało się, że moje nogi nie są wystarczająco silne, żeby mogła z nimi kontynuować karierę. Przez jakiś czas oplakiwała utratę swoich marzeń o starcie w igrzyskach olimpijskich, ale potem odkryła, że moje nogi potrafią tańczyć. Nauczyła się tańczyć tango i pewnego dnia podczas zawodów tanecznych w Monako poznała księcia, i swoim tańcem podbiła jego serce. Wzięli ślub, a teraz jako para królewska co roku wydają wspaniałe bal, którego kulminacyjnym momentem jest jej wspaniałe tango z ukochanym.

Z każdym słowem, jakie pisze, Miracolina czuje coraz dzikszą furję na myśl o wszystkich możliwościach, które jej skradziono.

Moje serce otrzymał naukowiec, który pracował nad tym, jak wykorzystać światło gwiazd, żeby rozwiązać problem światowego zapotrzebowania na energię. Był już bardzo blisko, ale doznał rozległego zawału serca, jednakże dzięki mnie przeżył i doprowadził do końca dzieło swojego życia, czyniąc świat lepszym miejscem dla nas wszystkich. Otrzymał za swoje osiągnięcia nagrodę Nobla.

Czy to takie dziwne – chcieć poświęcić się dla innych w całości, bez reszty? Skoro Miracolina nosi w sercu to pragnienie, czemu nie wolno jej go zrealizować?

A gdy chodzi o mój umysł – moje wspomnienia, które są pełne obrazów szczęśliwego dzieciństwa – wszystkie trafiły do ludzi skrzywdzonych przez życie, którzy nie posiadali takich wspomnień. Teraz jednak, nosząc w sobie tę część mnie, zostali uleczeni z licznych ran, które zadał im los.

Miracolina oddaje wypracowanie, a nauczyciel czyta je, podczas gdy pozostałe dzieciaki wciąż jeszcze piszą. Niewykluczone, że najbardziej ciekawiło go, co ona napisała. Dziewczyna obserwuje jego twarz w trakcie lektury. Maluje się na niej głębokie zamyślenie. Miracolina w zasadzie nie wie, czemu miałoby ją obchodzić jego zdanie, ale zawsze obchodziło ją zdanie nauczycieli. Nawet tych, których nie lubiła. Potem, doczytawszy jej pracę do końca, nauczyciel podchodzi do niej.

– Bardzo interesujące, Miracolino, ale pominęłaś jedną rzecz.

– Co takiego?

– Twoja dusza – odpowiada nauczyciel. – Kto dostanie twoją duszę?

– Moja dusza – odpowiada z przekonaniem Miracolina – powędruje do Boga.

Hmm... – Nauczyciel gładzi się po siwiejącej szczecinie nad górną wargą.

– Twoja dusza powędruje do Boga, mimo że wszystkie części twojego ciała będą nadal żyły?

Miracolina nie ugina się przed jego pytaniami.

– Mam prawo w to wierzyć, jeśli chcę.

– To prawda. Jednak widzę tu pewien problem. Jesteś katoliczką, prawda?

– Tak.

– I chcesz zostać podzielona z własnej woli.

– No i?

– Cóż... jeśli twoja dusza opuści ten świat, wówczas dobrowolne podzielenie nie będzie się niczym różniło od wspomaganego samobójstwa. A religia katolicka uznaje samobójstwo za grzech śmiertelny. To znaczy, że zgodnie z twoją własną wiarą poszłabyś do piekła.

Potem zostawia ją, gotującą się z wściekłości, z wypracowaniem ocenionym na 5 z minusem. Minus, jak zgaduje Miracolina, wynika z tego, że jej duszę czeka wiekuiste potępienie.



25. LEV

Miracolina nie ma pojęcia, jak bardzo jej upór dał chłopakowi do myślenia. Większość dzieciaków przebywających w rezydencji albo panicznie boi się Leva, albo darzy go bałwochwalczą czcią, albo jedno i drugie naraz. Jednak Miracolina nie jest ani onieśmielona, ani pełna rewerencji; po prostu go nienawidzi i tyle. Nie powinno go to martwić – zdążył się przyzwyczaić do ludzkiej nienawiści. Jak słusznie zauważył jego brat Marcus, choć społeczeństwo opłakiwało Leva jako biednego, zdeprawowanego małego chłopca, zarazem gardziło „potworem”, którym się stał. Cóż, rzeczywiście w swoim czasie był niewinny, a później zmienił się w potwora, ale tu w rezydencji Cavanaughów to wszystko nie ma znaczenia, ponieważ tutaj Lev został obwołany niemalże bogiem. Jest to niezręczne, ale na swój sposób oszołamiająco przyjemne. Jednak Miracolina zachowuje się niczym szpilka przebijająca bańkę mydlaną. Ilekroć Lev z nią rozmawia, ogląda siebie jej oczami, choćby tylko przez chwilę, i nie podoba mu się to, co widzi.

Ich kolejne spotkanie ma miejsce w następnym tygodniu, podczas wielkanocnej zabawy tanecznej. Dziesięciorodni słyną z nieudolności, gdy chodzi o interakcje damsko-męskie. Wiedząc, że randki i wszystko, co się z nimi wiąże, nie będą nigdy częścią ich okrojonej przyszłości, oni sami oraz ich rodziny nie przywiązują większej wagi do relacji chłopiec-dziewczyna. Prawdę mówiąc, celowo lekceważy się ten temat, bo rozmyślanie o nim

wygenerowałyby melancholijną tęsknotę, której dziesięciorodni nie powinni odczuwać.

– Wszystkie te dzieciaki są inteligentne jak diabli – stwierdza z naciskiem Cavanaugh podczas cotygodniowego zebrania zespołu odpowiedzialnego za ratowanie dziesięciorodnych – ale mają umiejętności społeczne na poziomie sześciolatek. – Ten opis idealnie pasował też do Leva w dniu, gdy miano go złożyć w ofierze jako dziesięcinę, i chłopiec wcale nie jest pewien, czy rozwinął się od tamtej pory. Wciąż jeszcze ani razu nie był na randce.

Personel rezydencji to jakieś dwadzieścia osób, a Lev jako jedyny z tego grona liczy sobie mniej niż trzydzieści lat. Twarze wszystkich tych ludzi od tak dawna wypełnia troska, że ma się wrażenie, jakby utrwaliła się w ich mimice. Chłopiec zastanawia się, czy ich płomienne zaangażowanie wynika z osobistych doświadczeń związanych z podzieleniem. Czy, podobnie jak Admirał, zlecieli podzielenie własnego dziecka i z czasem zaczęli żałować tej decyzji? Czy realizowali tu osobistą krucjatę, czy też ich oddanie sprawie wynikało z obrzydzenia, jakie odczuwali, patrząc na społeczny status quo?

– Urządzimy wielkanocną zabawę taneczną – oznajmia Cavanaugh siedzący u szczytu stołu, wokół którego zebrali się wszyscy obecni – i zachęcimy naszych eks-dziesięciorodnych, żeby zachowywali się jak normalne nastolatki. W granicach rozsądku rzecz jasna. – Potem wskazuje palcem Leva. – Lev, czy możemy liczyć, że jako nasz ambasador weźmiesz udział w tej imprezie?

Wszyscy czekają na jego odpowiedź. Leva trochę denerwuje, że przywiązują taką wagę do jego reakcji.

– A co będzie, jeśli powiem, że nie?

Cavanaugh spogląda na niego z niedowierzaniem.

– Ale czemu, do licha? Imprezy to coś, co wszyscy uwielbiają!

– Nie całkiem – odpowiada Lev. – Ostatnią imprezą, w jakiej uczestniczyły te dzieciaki, było ich własne przyjęcie dziesięcinowe. Naprawdę chcecie im o tym przypominać?

Pozostali uczestnicy zebrania zaczynają szeptać między sobą, rozważając słowa Leva, do momentu, gdy Cavanaugh bagatelizuje je.

– Przyjęcia dziesięcinowe to pożegnania – mówi. – Nasza impreza ma celebrować nowe początki. Liczę, że weźmiesz w niej udział.

Lev wzdycha.

– Jasne. – Nie da się zakwestionować żadnego pomysłu, jaki ma być zrealizowany w rezydencji Cavanaughów, gdy są to pomysły człowieka noszącego to samo nazwisko, co jej dawni właściciele.

Zdecydowano, że w zrujnowanej sali balowej nie da się urządzić gali dla nastolatków, więc zabawa zostaje zorganizowana w jadalni, z której wyniesiono stoły i krzesła, a pod portretem urządzono stanowisko dla didżeja. Ponieważ obecność jest obowiązkowa, stawili się wszyscy eks-dziesięciorodni mieszkający w rezydencji.

Zgodnie z przewidywaniami Leva chłopcy zbierają się pod jedną ścianą pomieszczenia, a dziewczyny pod drugą, tak jakby szykowali się do gry w dwa ognie. Żeby czymś się zająć, wszyscy popijają bezalkoholowy poncz i podjadają koreczki, zerkając ukradkiem na przeciwną drużynę, tak jakby przyłapanie na rzucaniu tych spojrzeń groziło dyskwalifikacją.

Jeden z dorosłych wciela się w rolę didżeja i stara się jak może, a kiedy zachęcanie nie odnosi skutku, domaga się, żeby wszyscy utworzyli krąg na parkiecie i zatańczyli do dziecięcej rymowanki „boogie woogie”. Jednak po dziesięciu sekundach raptem dociera do niego, jaki to głupi pomysł, żeby eks-dziesięciorodni wyciągali kolejno różne kończyny i potrząsali nimi. Didżej peszy się i próbuje przeskoczyć od razu do „do przodu całe ciało daj, ale dzieciaki są tak rozbawione całą sytuacją, że nadal śpiewają i tańczą, potrząsając rękami i nogami w odpowiedniej kolejności nawet po tym, jak melodia już ucichła. Jak na ironię okazuje się, że był to doskonały sposób na przełamanie lodów, a kiedy muzyka ponownie zaczyna grać, na parkiecie o dziwo pojawiają się tańczący.

Lev nie jest jednym z nich. W zupełności satysfakcjonuje go rola obserwatora, mimo że mógłby przebierać w partnerkach do tańca jak w ulęgałkach – aczkolwiek podejrzewa, że gdyby poprosił jedną z tych dziewczyn do tańca, ta mogłaby eksplodować ze szczęścia.

Potem jednak przez całą długość sali widzi Miracolinę, która opiera się plecami o ścianę z rękami splecionymi na piersi. Lev dochodzi do wniosku, że warto podjąć to wyzwanie, i kieruje się w jej stronę.

Kiedy dziewczyna go spostrzeża, natychmiast odwraca wzrok jakby w panice, mając nadzieję, że Lev podejdzie do kogoś innego. Potem bierze głęboki oddech, kiedy dociera do niej, że to ona jest obiektem jego uwagi.

– To co – mówi Lev pozornie od niechcienia – zatańczymy?

– Czy wierzysz w koniec świata? – odpowiada dziewczyna.

Lev wzrusza ramionami.

– Nie wiem. A czemu pytasz?

– Bo nie zatańczę z tobą wcześniej niż nazajutrz po tym, jak świat się skończy.

Lev się uśmiecha.

– To było zabawne. Nie sądziłem, że masz poczucie humoru.

– Coś ci powiem. Jeśli kiedyś zabraknie ci dziewczyn wielbiących ziemię, po której stąpasz, możesz zadać mi to pytanie po raz drugi. Odpowiedź nadal będzie brzmiała „nie”, ale wyświadczę ci przynajmniej tę uprzejmość, że udam, że się nad tym zastanawiam.

– Czytałem twoje wypracowanie – mówi jej Lev, i te słowa wywołują całkiem satysfakcjonującą reakcję: dziewczyna gwałtownie podrywa głowę.
– Snujesz fantazje o zatańczeniu z księciem. Nie zaprzeczaj.

– Moje *nogi* snują fantazje o zatańczeniu z księciem.

No cóż, żeby móc zatańczyć z twoimi nogami, przypuszczam, że będę musiał jakoś znieść resztę twojej osoby.

– Nie, nie będziesz musiał – odpowiada Miracolina – bo żadnej części mojej osoby już tu nie będzie. – Potem spogląda w stronę portretu Leva, który dziwnie teraz wygląda, podświetlony przez kolorowe stroboskopy. – Słuchaj, może zatańczysz ze swoim portretem – proponuje. – Jesteście nawzajem siebie warci. – Potem szybkim krokiem opuszcza salę. Dorośli stojący przy drzwiach próbują ją zatrzymać, ale ona i tak przechodzi obok nich, zmierzając z powrotem do swojego pokoju.

Po jej wyjściu Lev słyszy wokoło niezadowolone pomruki.

– Ależ ona jest beznadziejna – stwierdza ktoś.

Lev gwałtownie odwraca się w stronę tego dzieciaka. To Timothy, chłopiec, który przybył tu razem z Miracoliną.

– Mógłbym powiedzieć to samo o tobie! – warczy do niego Lev. – O was wszystkich!

Potem milknie, zanim posunie się za daleko.

– Nie, to nieprawda. Ale nie powinieneś jej osądzać.

– Tak, Lev – mówi posłusznie Timothy. – Nie będę, Lev. Przepraszam, Lev.

A potem z tłumu wychodzi nieśmiała dziewczyna, ewidentnie mniej nieśmiała od całej reszty nieśmiałych dziewcząt.

– Ja z tobą zatańczę, Lev.

Tak więc Lev wychodzi na parkiet i grzecznie tańczy z nią oraz wszystkimi pozostałymi dziewczynami, podczas gdy jego portret patrzy na nich z góry swoim irytującym wzrokiem, pełnym świątobliwej wyższości.

Nazajutrz portret pada ofiarą wandalą.

Ktoś wypisał na nim farbą w spreju wulgarne słowa. Śniadanie może się rozpocząć dopiero po tym, jak obraz został zdjęty i wyniesiony. Z magazynu zniknęła puszka farby, ale nie ma żadnych poszlak co do winowajcy. Niemniej, wszyscy snują własne teorie co do tożsamości wandalą, a większość tych teorii dotyczy tej samej osoby.

– Wiemy, że to ona! – usiłują przekonać Leva pozostali podopieczni. – Miracolina jest tu jedyną osobą, która ma coś przeciwko tobie!

– Skąd wicie, że jedyną? – pyta ich Lev. – Po prostu tylko ona jest wystarczająco odważna, żeby powiedzieć to na głos.

Ponieważ wiedzą, że on sobie tego nie życzy, pozostałe dzieciaki nie oskarżają Miracoliny otwarcie, a dorośli dyplomatycznie zachowują swoje opinie dla siebie.

– Być może potrzebujemy więcej kamer monitoringu – stwierdza Cavanaugh.

– To, czego potrzebujemy – odpowiada Lev – to więcej swobody, gdy chodzi o wyrażanie własnego zdania. Wtedy nie dochodziłoby do takich rzeczy.

Cavanaugh jest autentycznie urażony.

– Mówisz tak, jakbyśmy się znajdowali w ośrodku donacyjnym. Każdy może tu swobodnie wyrażać swoje opinie.

– No cóż, wygląda na to, że nie wszyscy tak uważają.



26. MIRACOLINA

Po całym dniu bycia ostracyzowaną przez wszystkie żywe istoty zamieszkujące rezydencję, Miracolina słyszy, że ktoś puka do jej drzwi. Nic nie mówi, bo bez względu na to, kto to jest, i tak wejdzie do środka; sypialnie nie mają zamków.

Drzwi otwierają się powoli i do pokoju wchodzi Lev. Serce Miracoliny zaczyna bić szybciej na jego widok. Dziewczyna mówi sobie, że to ze złości.

– Jeśli przyszedłeś tu po to, żeby mnie oskarżyć o zniszczenie twojego portretu, przyznaję się. Nie potrafię dłużej ukrywać prawdy. Zrobiłam to. A teraz za karę zabierz mi wszystkie moje inspiracyjne filmy. Proszę.

Ręce Leva nadal zwisają luźno wzdłuż jego boków.

– Przestań. Wiem, że tego nie zrobiłaś.

– Aha, czyli udało się wam złapać niegrzecznego dziesięciorodnego?

– Nie całkiem. Wiem tylko, że to nie byłaś ty.

Słyszając to, Miracolina czuje niejaką ulgę, choć czerpała swoistą perwersyjną przyjemność z bycia główną podejrzaną.

– No to czego chcesz?

– Chciałem cię przeprosić za to, w jaki sposób zostałaś tutaj przywieziona. Uśpiona, ze szmatą na oczach i tak dalej. Znaczący, że co oni tutaj robią jest ważne, ale nie zawsze popieram sposób, w jaki to robią.

Miracolina odnotowuje, że po raz pierwszy powiedział w jej obecności „oni” zamiast „my”.

– Spędziłam tu już całe tygodnie – stwierdza. – Czemu dopiero teraz mi to mówisz?

Lev podnosi rękę i odgarnia włosy z oczu.

– Nie wiem. Po prostu mnie to gryzło.

– Czyyyyyyli... teraz chodzisz i przepraszasz wszystkie dzieciaki, które tu mieszkają?

– Nie – przyznaje Lev. – Tylko ciebie.

– Dlaczego?

Chłopak zaczyna chodzić tam i z powrotem po niedużym pomieszczeniu. Podnosi głos.

– Bo jako jedyna wciąż jeszcze się złościysz! *Czemu tak się złościysz?*

– W tej chwili jedyną osobą w tym pokoju, która się złości, jesteś ty – odpowiada Miracolina z antagonizującym spokojem. – Poza tym mieszka tutaj mnóstwo rozzłoszczonych dzieciaków. Twój zniszczony portret jest najlepszym tego dowodem, nie?

– Zapomnij o tym! – krzyczy Lev. – Rozmawiamy o tobie!

– Jeśli nie przestaniesz wrzeszczeć, będę musiała cię poprosić, żebyś stąd wyszedł. Prawdę mówiąc, chyba tak czy owak poproszę, żebyś wyszedł. – Wskazuje drzwi. – Wyjdź!

– Nie.

Słyszając to, Miracolina podnosi szczotkę do włosów i rzuca w niego. Szczotka trafia Leva w ciemność, odbija się i ląduje w szparze między ścianą a telewizorem.

– Au! – Chłopak ze skrzywioną miną łapie się za głowę. – To bolało!

– Świetnie. Miało zabołeć.

Lev zaciska pięści i warczy, po czym odwraca się, jakby zamierzał wyjść, ale nie wychodzi. Zamiast tego odwraca się z powrotem do niej, rozluźnia dłonie i wyciąga je w jej stronę w błagalnym geście, tak jakby chciał zademonstrować stygmaty. No cóż, może faktycznie ma krew na rękach, ale z całą pewnością nie płynie ona z ran po gwoździach.

– To co, tak już zostanie? – pyta. – Będziesz dalej się kisić we własnym sosie, rzucać wredne odzywki i psuć humor wszystkim naokoło? Nie oczekujesz od życia czegoś więcej?

– Nie – odpowiada Miracolina – bo moje życie dobiegło końca w dniu moich trzynastych urodzin. Od tamtej chwili miałam stać się częścią życia

innych ludzi. Pogodziłam się z tym. Tego właśnie chciałam. Nadal tego chcę. Dlaczego tak trudno ci w to uwierzyć?

Lev wpatruje się w nią o kilka sekund za długo, i Miracolina próbuje go sobie wyobrazić jako dziesięciorodnego ubranego od stóp do głów w biel. Mogłaby polubić tego chłopca: czystego i nieskalanego. Jednak nastolatek, który teraz przed nią stoi, jest zupełnie inną osobą.

– Przykro mi – mówi dziewczyna, mimo że to nieprawda. – Chyba nie zaliczyłam kursu odprogramowania. – Odwraca się do niego plecami i czeka chwilę, wiedząc, że on nadal tam stoi, po czym odwraca się ponownie – tylko po to, żeby się przekonać, że Leva już nie ma. Wyszedł, tak cicho zamykając za sobą drzwi, że tego nie usłyszała.



27. LEV

Siedzi na kolejnym zebraniu personelu rezydencji. Nie wie, czemu chcą, żeby na nie przychodził; Cavanaugh nigdy nie słucha tego, co Lev ma do powiedzenia. Te zebrania naprawdę sprawiają, że chłopak czuje się jak maskotka, jak ulubione zwierzątko. Tym razem jednak jest pełen determinacji. Zamierza sprawić, żeby tamci go wysłuchali.

Jeszcze przed rozpoczęciem zebrania Lev zadaje pytanie wystarczająco głośno, żeby przykuć powszechną uwagę, tak że obecni odwracają wzrok od Cavanaugha, zanim ten zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Dlaczego mój portret znowu wisi w jadalni? – pyta. – Już raz został uszkodzony przez wandalę, po co wieszac go z powrotem? – Jego słowa sprawiają, że w pomieszczeniu momentalnie zapada cisza.

– Zarządziłem, żeby został odrestaurowany i przywrócony na miejsce – odpowiada Cavanaugh. – Jest dla byłych dziesięciordnych bezcennym źródłem otuchy i wzorem.

– Zgadza się! – woła jedna z nauczycielek. – Myślę, że kieruje ich uwagę w pozytywnym kierunku. – Następnie lizusowsko skłania głowę przed Cavanaughem. – Mnie w każdym razie podoba się ta idea i popieram to.

– No cóż, *mnie* się to nie podoba i ja tego nie popieram – mówi im Lev, po raz pierwszy wyrażając swoje uczucia na głos. – Nie powinniście ze mnie robić jakiegoś bożka. Nie powinienem być umieszczany na piedestale. Nie jestem i nigdy nie byłem tym kimś, na kogo próbujecie mnie wykreować.

W pomieszczeniu zapada cisza. Wszyscy czekają na reakcję Cavenaugh. Ten milczy przez długą chwilę, po czym mówi:

– Wszyscy mamy tutaj swoje zadania. Twoje jest najzupełniej proste i jasne: stanowić wzór dla pozostałych eks-dziesięciornych. Czy zauważyłeś, że pozostałe dzieci też zapuszczają włosy? Z początku sądziłem, że twoja fryzura może działać odstręczająco, a tymczasem nasi podopieczni zaczęli cię naśladować. Na tym etapie tego właśnie potrzebują.

– Nie nadaję się na wzorzec osobowy! – wykrzykuje Lev. Zrywa się na równe nogi, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. – Byłem klakierem. Terrorystą! Podejmowałem okropne decyzje!

Jednakże Cavenaugh zachowuje spokój.

– To twoje *dobre* decyzje nas interesują. A teraz usiądź i pozwól nam kontynuować zebranie.

Lev rozgląda się po zgromadzonych, ale nie dostrzega żadnego wsparcia. Odwrotnie, wygląda na to, że wszyscy obecni uznali ten wybuch za jedną z tych jego złych decyzji, o których lepiej zapomnieć. Wzbiera w nim ten sam gniew, który niegdyś uczynił go klakierem, ale Lev dusi w sobie to uczucie, siada i milczy jak głaz przez resztę zebrania.

Dopiero później, gdy już wszyscy się rozchodzą, Cavenaugh ujmuje jego dłoń. Nie po to, żeby ją uścisnąć, tylko żeby ją odwrócić i obejrzeć palce Leva – a ściślej zajrzeć pod paznokcie.

– Lepiej trochę dokładniej je wyczyścić, Lev – mówi Cavenaugh. – Zdaje się, że farbę w spreju można zmyć terpentyną.



28. RISA

Risie nie jest dane uczestniczyć w żadnej zabawie wielkanocnej. Dziewczyna nie potrafi nawet powiedzieć, kiedy wypada Wielkanoc – straciła rachubę dni. Prawdę mówiąc nie jest pewna, gdzie konkretnie się znajduje. Początkowo przetrzymują ją w siedzibie Urzędu do Spraw Małoletnich w Tucson, a potem zostaje przewieziona pozbawioną okien opancerzoną furgonetką do innego zakładu karnego, oddalonego o jakieś dwie godziny jazdy – przypuszcza, że w Phoenix. Tutaj zaczynają do niej przychodzić śledczy, żeby zadawać pytania.

- Ile nastolatków przebywa na Cmentarzysku?
- Trochę.
- Kto wam przysyła zaopatrzenie?
- George Washington. A może Abraham Lincoln? Nigdy nie pamiętam.
- Jak często przybywają nowi?
- Mniej więcej tak często, jak pan bije swoją żonę.

Jej odmowa współpracy doprowadza śledczych do szału, ale Risa nie zamierza im mówić niczego użytecznego. Wie zresztą, że zadają jej pytania, na które znają już odpowiedzi. Chodzi tylko o to, żeby sprawdzić, czy Risa powie prawdę, czy skłamię. Nie robi ani jednego, ani drugiego. Zamiast tego zamienia każde przesłuchanie w parodię.

- Gdybyś współpracowała, być może żyłoby ci się łatwiej – mówią jej.
- Nie chcę, żeby mi było łatwo – odpowiada. – Miałam ciężkie życie, wolę się trzymać tego, co dobrze znam.

Pozwalają jej głodować, ale nie umrzeć z głodu. Mówią jej, że aresztowali Elvisa Roberta Mullarda, a on zawarł z nimi ugodę w zamian za informacje – ale Risa wie że to kłamstwo, bo gdyby go mieli, wiedzieliby, że to nie żaden Mullard, tylko Connor.

Trwa to dwa tygodnie. Potem pewnego dnia do jej celi wchodzi gliniarz od małolatów. Celuje w Risę z pistoletu i bezceremonialnie strzela do niej nabojem usypiającym – nie w nogę, co bolałoby najmniej, tylko prosto w klatkę piersiową, gdzie dziewczyna czuje pieczenie aż do chwili, gdy traci przytomność.

Budzi się w innej celi. Może trochę nowszej i obszerniejszej, ale nadal jest to cela. Risa nie ma zielonego pojęcia, dokąd ją tym razem przetransportowano ani dlaczego. Ta nowa cela nie została zaprojektowana z myślą o kimś sparaliżowanym od pasa w dół, a odkąd dziewczyna pojawiła się tutaj, ci, którzy ją przetrzymują, nie zaoferowali żadnej pomocy. Nie żeby była skłonna zaakceptować taką ofertę – ale wygląda na to, że specjalnie chcą, żeby z trudem pokonywała próg łazienki oraz wciągała się na łóżko, które jest niestandardowo wysokie. Akurat wystarczająco, żeby położenie się na nim sprawiało Risie dużą trudność.

Przez tydzień otrzymuje tylko posiłki, które przynosi milczący strażnik w mundurze firmy ochroniarskiej. Risa wie, że już nie znajduje się w rękach Urzędu do Spraw Małoletnich, ale nie ma pojęcia, komu ją przekazano. Ludzie, którzy zarządzają tym nowym więzieniem, nie zadają jej żadnych pytań, a to niepokoi ją tak samo, jak Connora zawsze niepokoił fakt, że nigdy nie zarządzono szturm na Cmentarzysko. Czy są tak nieistotni w ogólnym obrachunku, że Urząd do Spraw Małoletnich nawet nie uważa za stosowne jej torturować, żeby uzyskać informacje, których potrzebuje? Czy ona i Connor byli w błędzie sądząc, że ich działalność robi jakąkolwiek różnicę?

Przez cały okres swojego uwięzienia Risa zmuszała się, żeby nie myśleć o Connorze, ponieważ to po prostu za bardzo bolało. Jaki musiał być przerażony, kiedy oddała się w ręce władz. Przerażony i zdumiony. No cóż, niech tak będzie; z czasem ochłonie. Zrobiła to w równym stopniu dla niego, co dla rannego chłopca, bo chociaż ta świadomość boli, Risa wie, że stała się dla Connora czymś odciągającym uwagę od obowiązków. Jeśli Connor naprawdę ma stać na czele wszystkich nastolatków z Cmentarzyska, tak jak wcześniej Admirał, to nie może masować Risie nóg i martwić się o jej

potrzeby emocjonalne. Może i naprawdę ją kocha, ale to oczywiste, że w tej chwili w jego życiu nie ma miejsca na to, żeby poświęcić jej coś więcej niż symboliczny pocałunek.

Risa nie ma pojęcia, co ją teraz czeka. Wie tylko, że musi się skupić na swojej przyszłości, a nie na Connorze; obojętnie, jak bardzo to boli.

Kilka dni później Risę wreszcie ktoś odwiedza: elegancko ubrana kobieta o władczym sposobie bycia.

– Dzień dobry, Riso. Miło wreszcie poznać dziewczynę, wokół której wszczęto taki rejwach.

Risa natychmiast dochodzi do wniosku, że nikt, kto używa słowa „rejwach”, nie może być jej przyjacielem.

Kobieta siada na jedynym krześle, jakie znajduje się w celi. Nie było dotąd używane, bo nie zostało zaprojektowane z myślą o osobie ze sparaliżowanymi nogami. Prawdę mówiąc, sprawia wrażenie zaprojektowanego tak, żeby NIE nadawało się do użytkowania przez Risę, podobnie jak większość wyposażenia jej celi.

– Ufam, że dobrze cię tu traktują?

– Jak dotąd w ogóle nie byłam „traktowana”. Byłam ignorowana.

– Nie byłaś ignorowana – odpowiada kobieta. – Po prostu daliśmy ci trochę czasu na przyzwyczajenie się do nowej sytuacji. Trochę czasu, żebyś mogła pobyć sama i pomyśleć.

– Jakoś wątpię, czy w którymkolwiek momencie byłam sama... – Risa spogląda przelotnie w stronę wiszącego na ścianie dużego lustra, za którym niekiedy widuje cienie. – To kim jestem, kimś w rodzaju więźnia politycznego? – pyta, przechodząc od razu do rzeczy. – Jeśli nie zamierzacie mnie torturować, czy planujecie mnie po prostu tu zostawić, żebym zgniła? A może sprzedacie mnie piratowi części? W każdym razie te części, które działają.

– Nie zamierzamy zrobić żadnej z tych rzeczy – odpowiada kobieta. – Jestem tu po to, żeby ci pomóc. A ty, moja droga, pomożesz nam.

– Wątpię. – Risa odjeżdża do tyłu, chociaż nie może odjechać zbyt daleko. Nieznajoma nie podnosi się z krzesła. Nawet nie drgnie, po prostu siedzi sobie wygodnie. Risa chciała przejąć kontrolę nad sytuacją, ale ta kobieta samym tonem głosu daje do zrozumienia, kto tu rządzi.

– Nazywam się Roberta. Reprezentuję organizację o nazwie Proaktywne Siły Obywatelskie. Do naszych celów należy między innymi czynienie dobra na tym świecie. Dążymy do tego, żeby wspierać zarówno postępy nauki, jak i wolność, jak również dostarczać duchowego oświecenia.

– A co to wszystko ma wspólnego ze mną?

Roberta uśmiecha się i z tym uśmiechem na ustach oczekuje chwilę, po czym mówi:

– Zamierzam doprowadzić do tego, że przedstawione ci zarzuty zostaną wycofane, Riso. Ale co ważniejsze, zamierzam cię wyciągnąć z tego wózka i ofiarować ci nowy kręgosłup.

Risa odwraca się do niej, czując więcej mieszanych uczuć, niż potrafi w tym momencie przepracować.

– Nie, nie zrobi tego pani! Mam prawo odmówić przyjęcia kręgosłupa Podzielonego.

– Owszem, masz prawo – odpowiada Roberta o wiele zbyt spokojnie. – Tym niemniej jestem przekonana, że zmienisz zdanie.

Risa spleta ręce na piersi, jeszcze bardziej przekonana od Roberty, że to nie nastąpi.

Ponownie zostaje skazana na całkowitą samotność, ale tamci najwyraźniej zaczęli się niecierpliwić, bo tym razem trwa to tylko dwa dni, a nie tydzień. Roberta wraca i ponownie siada na krześle zaprojektowanym z myślą o ludziach, którzy mogą chodzić. Tym razem ma ze sobą teczkę, chociaż Risa nie widzi, co znajduje się w środku.

– Czy przemyślałaś moją ofertę? – pyta Roberta.

– Nie musiałam. Już pani powiedziałam, jaka jest moja odpowiedź.

– Bardzo to szlachetne z twojej strony, że pozostajesz wierna swoim poglądom i odmawiasz przyjęcia kręgosłupa Podzielonego – mówi Roberta.

– Jednakże to przejaw niewłaściwego sposobu myślenia, które nie jest ani produktywne, ani proadaptacyjne. Prawdę mówiąc, jest ono zacofane i czyni z ciebie część problemu.

– Zamierzam zachować zarówno mój „niewłaściwy sposób myślenia”, jak i mój wózek inwalidzki.

– W porządku. Nie zamierzam ci odmawiać wolności wyboru. – Roberta przesuwa się na krześle; może zirytowana, a może po prostu pełna antycypacji. – Chciałabym, żebyś kogoś poznała. – Potem wstaje i otwiera

drzwi. Risa wie, że osoba, która tam stoi, czekała w drugim pokoju, obserwując ich rozmowę przez lustro weneckie.

– Możesz już wejść – mówi wesoło Roberta.

Do pomieszczenia ostrożnie wchodzi chłopak. Wygląda na jakieś szesnaście lat. Ma skórę w różnych odcieniach oraz wielobarwne smugi we włosach. Risa w pierwszej chwili myśli, że to jakaś ekstremalna modyfikacja ciała, ale szybko uzmysławia sobie, że to coś więcej. Coś jest z nim dogłębnie nie w porządku.

– Cześć – mówi chłopak, po czym uśmiecha się nieśmiało, ukazując idealne zęby. – Jestem Cam. Bardzo się cieszę, że wreszcie mogę cię poznać, Riso.

Risa cofa się tak gwałtownie, że jej wózek uderza w ścianę. Nagle uświadamia sobie, na co dokładnie patrzy – dlaczego ten chłopak wydaje się „nie taki”. Oglądała w telewizji serwis informacyjny, w którym mówiono o tym stworze. Zalewa ją zimno. Gdyby mogła, wypełzłaby stąd przez kratkę wentylacyjną, żeby uciec od tego, co widzi.

– Zabierzcie to coś ode mnie! Ohyda! Zabierzcie to!

Na jego twarzy odmalowuje się taka sama zgroza. Stwór cofa się i również uderza w ścianę.

– Nic się nie stało, Cam – mówi Roberta. – Wiesz, że ludzie potrzebują czasu, żeby się do ciebie przyzwyczaić.

Ona też się przyzwyczai. – Kobieta podsuwa mu krzesło ale Cam wyraźnie nie ma już ochoty przebywać w pomieszczeniu; chce stąd uciec, tak samo jak Risa.

Risa spogląda na Robertę, żeby nie musieć patrzeć na Cama.

– Powiedziałałam, niech pani zabierze to coś.

– Nie jestem czymś! – protestuje Cam.

Risa kręci głową.

– Owszem, jesteś. – Dziewczyna nadal nie chce na niego patrzeć. – Teraz proszę zabrać stąd to coś, inaczej przysięgam, że gołymi rękami wydrę z jego ciała wszystkie skradzione części.

Próbuje nie zerkać na niego, ale nie może się powstrzymać. Stwór zaczął płakać łzami wydobywającymi się z kanalików łzowych skradzionych komuś innemu, i ten widok przyprawia ją tylko o gniew.

– Proszę zabrać to coś precz! – wrzeszczy do Roberty. – I gdyby miała pani w sobie choć odrobinę przyzwoitości, zabilibyście to!

Roberta spogląda na nią surowo, po czym odwraca się do Cama.

– Możesz iść, Cam. Zaczekaj na mnie na zewnątrz.

Cam wychodzi szybko, niezręcznie, a Roberta zamyka drzwi. Jest teraz wściekła. Jeśli Risa może w tej całej sytuacji dostrzec coś pozytywnego, to fakt, że udało się jej wyprowadzić tę kobietę z równowagi.

– Jesteś okrutną dziewczyną – mówi Roberta.

– A pani jest potworem, skoro stworzyła pani coś takiego.

– Historia osądzi, kim jesteśmy i co zrobiliśmy. – Następnie kobieta kładzie na stole kartkę papieru. – To jest formularz zgody. Podpisz go, a przed końcem tego tygodnia będziesz miała nowy, sprawny kręgosłup.

Risa podnosi formularz, drze go na kawałki i rzuca strzępy papieru w powietrze. Roberta musiała się tego spodziewać, bo momentalnie wyciąga z folderu drugi formularz i ciska go na stół.

– Zostaniesz wyleczona i przeprosisz Cama za to, jak paskudnie go dziś potraktowałam.

– Nie w tym życiu, ani w żadnym innym.

Roberta uśmiecha się, tak jakby wiedziała coś, czego Risa nie wie.

– No cóż... w takim razie liczymy, że nagle zmienisz zdanie. – Potem wychodzi z pomieszczenia, pozostawiając na stole długopis i formularz.

Risa wpatruje się w dokument jeszcze długo po tym, jak Roberta opuściła celę. Wie, że go nie podpisze, ale intryguje ją fakt, że oczekują tego od niej. Dlaczego naprawienie jej połamane go ciała ma dla nich aż takie znaczenie? Istnieje tylko jedna odpowiedź: z jakiegoś powodu Risa jest znacznie ważniejsza, niż kiedykolwiek przypuszczała. Ważna dla obu stron.



29. CAM

Siedzi w pomieszczeniu obserwacyjnym. Ostatnio przebywa tam częściej niż miałby ochotę przyznać, szpiegując Risę – aczkolwiek kiedy jest to oficjalnie dozwolone i odbywa się przez lustro weneckie, nie nazywa się szpiegowaniem. Nazywa się obserwacją.

Po drugiej stronie szyby Risa wpatruje się w umowę, którą położyła przed nią Roberta. Twarz ma jak z kamienia, szczęki zaciśnięte. W końcu podnosi kartkę... po czym składa ją w papierowy samolocik i rzuca prosto w lustro. Cam podskakuje mimo woli. Wie, że dziewczyna nie może go zobaczyć, ale mimo to popatrzyła na szybę prawie w idealnym punkcie, żeby nawiązać kontakt wzrokowy. Cam przez moment ma wrażenie, że Risa jest w stanie nie tylko przejrzeć szkło na wylot, ale też przejrzeć jego samego, i aż musi odwrócić głowę.

Nienawidzi faktu, że ona go nienawidzi. Powinien był się tego spodziewać, ale mimo wszystko jej słowa głęboko go zraniły i sprawiły, że Cam ma ochotę ją zranić w rewanżu. Ale nie. To tylko reakcja rozmaitych Podzielonych w jego głowie; dzieciaków, które reagowały furią na najłżejszą prowokację. Nie podda się tym impulsom.

Ma w sobie wystarczająco wiele rozsądnych części, żeby zrównoważyć odruch wściekłości i kontrolować te fragmenty swej osoby, które chcą zburzyć spokój. Przypomina sobie, że – zgodnie ze słowami Roberty – on sam stanowi nowy paradygmat; nowy model tego, czym ludzkość może

i powinna się stać. Świat przyzwyczai się do niego, a z czasem zacznie go szanować i podziwiać. I Risa też.

Roberta wchodzi do pokoju, staje za nim i mówi cicho:

– Nie ma sensu, żebyś tu dłużej tkwił.

– Jerycho – odpowiada Cam. – Ona jest murem, ale ten mur runie. Wiem, że tak będzie.

Roberta uśmiecha się do niego.

– Nie mam wątpliwości, że nakłonisz ją do zmiany zdania. Prawdę mówiąc sędzę, że zmieni je szybciej niż przypuszczasz.

Cam próbuje odczytać, co się kryje za jej uśmiechem, ale Roberta nie zamierza mu zdradzać swoich sekretów.

– Kot, który zjadł kanarka. Nie lubię, kiedy coś przede mną ukrywasz.

– Niczego nie ukrywam – odpowiada Roberta. – Po prostu nieustająco wierzę w ludzi. A teraz chodź, już prawie czas na twoją sesję fotograficzną.

Cam wzdycha.

– Jeszcze jedna?

– Wolałbyś konferencję prasową?

– Dźganie ostrym patykiem w oko? Nie, dziękuję!

Cam musi przyznać, że ta nowa strategia kontaktów z mediami jest znacznie lepsza niż konferencje prasowe i wywiady. Z pomocą swoich przyjaciół działających w Proaktywnych Siłach Obywatelskich Roberta przygotowała najwyższej klasy kampanię reklamową. Billboardy, reklamy w gazetach, reklamy internetowe, wszystko co możliwe. Same zdjęcia, żadnych animacji, ale mimo wszystko robią wrażenie.

Pierwsza seria reklam ma pokazywać rozmaite części jego ciała w ekstremalnym zbliżeniu. Jedno oko; pasma jego wielobarwnych włosów; gwiazdę różnych odcieni skóry na jego czole. Każdemu zdjęciu będzie towarzyszyć zwięzłe, enigmatyczne hasło, na przykład „Nadszedł czas” albo „Wspaniałe jutro”, bez żadnych dodatkowych wskazówek pozwalających się domyślić, co jest reklamowane. A potem, kiedy już uda się odpowiednio pobudzić powszechną ciekawość, rozpocznie się faza druga, w której reklamy będą pokazywać jego twarz, ciało i w końcu całość jego osoby.

– Wykreujemy wokół ciebie aurę tajemniczości – powiedziała Camowi Roberta. – Wykorzystamy ich dziecięcą fascynację tym, co egzotyczne, aż nie będą mogli się doczekać, kiedy zobaczą więcej.

– Striptiz – podsumował Cam.

– Sądzę, że można to określić jako bardziej wyrafinowaną wersję tej samej koncepcji – przyznała Roberta. – Po zakończeniu kampanii reklamowej będziesz mógł się zaprezentować opinii publicznej już nie jako odmieniec, ale jako celebryta; a kiedy wreszcie zgodzisz się udzielać wywiadów, będziesz ich udzielał na naszych zasadach.

– Na moich zasadach – poprawił ją wtedy Cam.

– Tak, oczywiście. Na twoich zasadach.

Obserwując teraz Risę przez lustro weneckie, Cam zastanawia się, co mogłoby sprawić, żeby i ona zaczęła żyć według jego zasad. Roberta powiedziała mu, że będzie dostawał wszystko, czego zapragnie, ale co zrobić, jeśli najbardziej na świecie marzy o tym, żeby Risa zechciała z nim być z własnej nieprzymuszonej woli?

– Cam, proszę, chodź już, bo się spóźnimy.

Cam wstaje, ale przed wyjściem rzuca jeszcze jedno spojrzenie przez szybę na Risę, która właśnie z trudem dźwignęła się na łóżko. Teraz leży wyciągnięta na wznak, ponuro wpatrując się w sufit. Potem zamyka oczy.

Śpiąca królewna, uśpiona na wieczne czasy – myśli Cam. Ale ja cię uwolnię z gęstwiny tych zatrutych cierni, które otaczają twoje serce. A wtedy nie będziesz miała innego wyboru, jak tylko mnie pokochać.



30. NELSON

B były hycel, który przekwalifikował się na pirata części, nadkłada drogi, żeby sprawdzić jedną ze swoich najbardziej skutecznych pułapek. Niestety znajduje się ona w niefortunnej lokalizacji. Niefortunnej, bo jest to pc które zostaje zalane w czasie każdej większej burzy. Nie ma nic bardziej irytującego niż utopiony ZOMZ. Może ewentualnie tylko pozbywanie się trupa. Nelson wolałby dalej poszukiwać azyli z nadzieją, że w którymś znajdzie Connora Lassitera, ponieważ jednak we wszystkich stanach na środkowym zachodzie kraju zapowiadane są gwałtowne burze, sprawdzenie tej konkretnej pułapki wydaje się warte zachodu.

Jest to po prostu kawał rury drenażowej – betonowy walec liczący sobie jakieś półtora metra wysokości i sześć metrów długości, leżący na ugorze, gdzie od lat niczego nie uprawiano. Na polu piętrzy się pół tuzina takich rur, obrośniętych chwastami – zostały tu porzucone, kiedy zrezygnowano z jakiejś inwestycji finansowanej z publicznych pieniędzy. To przytulna kryjówka dla zbiegłych ZOMZ-ów – a co więcej, w samym środku jednego z tych segmentów znajduje się mały zapas puszkowanej żywności. Jednakże wewnętrzna powierzchnia tego samego walca została pokryta żywicą syntetyczną o supersilnych właściwościach klejących. Ubrania oraz ciało przylepiają się do niej tak skutecznie, że każdy, kto wpełźnie do rury, równie dobrze mógłby zostać przybity gwoździami do betonu. Fakt, że Podzielonych można łapać taką samą metodą jak karaluchy, dostarcza Nelsonowi mnóstwa radości.

I rzeczywiście w rurze tkwi uwięziony chłopak.

– Pomocy! – krzyczy, trochę jak bohater filmu „Mucha” uwięziony w pajęczej sieci. – Błagam, niech mi pan pomoże! – Dzieciak jest chudy jak nieszczęście, ma okropny trądzik i krzywe zęby, poślizgł od żucia tytoniu albo po prostu od kiepskich genów. Ogólnie rzecz biorąc stanowi niepełnowartościowy egzemplarz i na czarnym rynku nie uzyskałoby się za niego dużej sumy. Włosy ma oblepione klejem, aczkolwiek Nelson podejrzewa, że czyste nie wyglądałyby dużo lepiej.

– Boże drogi! Co się z tobą stało? – pyta pirat części, udając zatroskanego.

– Tu jest jakiś klej czy coś! Nie mogę wyjść!

– Dobra – odpowiada Nelson. – Chyba dam radę cię stamtąd uwolnić. Mam w wanie rozpuszczalnik do kleju. – Tak naprawdę przyniósł go ze sobą. Udaje, że odbiega i wraca, po czym nasącza ciecżą śmierdzącą szmatę, włazi do rury i zaczyna zwilżać rozpuszczalnikiem ubranie oraz skórę dzieciaka. Chłopak stopniowo odkleja się od pułapki.

– Dzięki, żeś mi pan pomógł – mówi. – Dzięki wielkie!

Nelson wyłazi z rury i czeka u jej wylotu, podczas gdy obślizgły, pokryty klejem dzieciak wysuwa się ze środka, równie wstrętny jak rodzące się niemowlę. A potem, gdy ZOMZ wychodzi na światło dzienne, jego tępa makówka wreszcie zaczyna kojarzyć fakty.

– Hej, zaraz... po co ktokolwiek woziłby ze sobą ten płyn do rozpuszczania kleju, chyba że...

Nelson nie daje mu szansy na dokończenie tej myśli. Łapie chłopca, wykręca mu ręce za plecami i unieruchamia nadgarstki plastikową opaską zaciskową. Potem popycha go na ziemię i nakłuwają jego skórę analizatorem DNA.

– William Yotts – obwieszcza, a dzieciak wydaje jęk. – ZOMZ od czterech dni. Niezbyt dobrze ci wychodzi ukrywanie się, co?

– Nie zamkniesz mnie pan! – wrzeszczy Yotts. – Nie zamkniesz mnie pan!

– Masz rację, nie zamknę – odpowiada Nelson. – Nie trafisz „do”, tylko „pod”. A konkretnie pod młotek na czarnorynkowej licytacji. Brzdęk!

Dzieciak blednie i jednocześnie czerwienieje, przez co jego twarz pokrywa się plamami. Nelson bez ostrzeżenia robi mu zastrzyk podskórny, ale nie po to, żeby go uśpić.

– Antybiotyki – mówi ofierze. – Usuną z twojego organizmu wszelkie choroby, jakimi mogłeś się zarazić siedząc w tej rurze. Przy okazji zlikwidują

też te, na które cierpiełeś już wcześniej. A przynajmniej większość z nich.

– Błagam, nie musisz pan tego robić. Pliz...

Nelson klęka i przygląda mu się uważnie.

– Słuchaj no – mówi. – Podobają mi się twoje oczy, więc dam ci szansę.

Oferuje to, co zawsze. Odliczanie. Czas na ucieczkę. Ci ZOMZ-owie nigdy nie zdają sobie sprawy, że wynik gry jest przesądzony z góry. Nigdy nie przychodzi im do głowy, że Nelson może liczyć tak szybko jak mu się spodoba. Nie wiedzą też, że strzela bardzo, bardzo celnie.

Ten chłopiec, podobnie jak wszyscy inni, myśli, że właśnie jemu uda się zbiec. RzUCA się do ucieczki; potyka się na ugorze i zrywa się z powrotem, podczas gdy Nelson odlicza. ZOMZ jest już prawie przy szosie, kiedy Nelson mówi „osiem” i podnosi pistolet. „Dziewięć.” Przed oczami ma wyraźny cel – logo firmy odzieżowej na plecach chłopca. „Dziesięć!”

Następnie Nelson opuszcza pistolet, nie oddawszy strzału. Zamiast tego patrzy, jak uciekający ZOMZ przebiega przez szosę, omal nie wpadając pod samochód, który omija go gwałtownym skrętem. Potem dzieciak znika w lesie.

Nelson gratuluje sobie opanowania. Bardzo łatwo byłoby ustrzelić tego ZOMZ-a, ale ma względem niego inne plany. Zastrzyk, który zrobił dzieciakowi, wcale nie zawierał antybiotyków, tylko mikroskopijny chip umożliwiający namierzenie. Taki jak te, za pomocą których monitoruje się populacje zagrożonych wyginięciem gatunków zwierząt. To już czwarty ZOMZ, którego Nelson oznakował i wypuścił na swobodę, odkąd rozpoczęła się jego nowa misja. Przy odrobinie szczęścia wszyscy zostaną odnalezieni przez ruch oporu i pozwolą mu odnaleźć drogę do tego sanktuarium ZOMZ-ów, gdzie ukrywa się Connor Lassiter. A póki co do sprawdzenia jest mnóstwo lokalnych tropów. Nelson się uśmiecha. Przyjemnie mieć jakiś cel. Coś, do czego można dążyć z radością.



31. MIRACOLINA

Miracolina całymi tygodniami znosi uwięzienie i odprogramowywanie przez Ruch Przeciwników Podzielenia, ale nie porzuca swoich przekonań. Nie przyswaja sobie rzeczy, których tamci próbują ją nauczyć. Och, nauczyła się funkcjonować w obrębie ich małego światka eksdziesięciorodnych, robiąc to, czego od niej oczekują, choćby tylko po to, żeby zostawiono ją w spokoju. Do rezydencji przybywają nowi dziesięciorodni, inni zostają oddani rodzinom zastępczym i dostają nowe tożsamości. W odniesieniu do Miracoliny nie ma takich planów. Nawet wtedy, kiedy pozornie współpracuje, nadal reprezentuje sobą zbyt duże ryzyko. Jednakże personel rezydencji nie ma pojęcia o jej prawdziwych zamiarach.

Miracolina uważa, że potrafi się zmierzyć z dowolnym wyzwaniem. Mimo że jest dziesięciorodną, nie wychowywała się w tak cieplarnianych warunkach jak większość dziesięciorodnych, a choć nie pochodzi ze slumsów, we własnym pojęciu zdążyła się otrzaskać ze światem i nie brakuje jej sprytu. Ucieczka z obleczonej w aksamitną rękawiczkę pięści ruchu oporu będzie wyzwaniem, ale nieprzekraczającym jej możliwości.

Wkrótce po tym, jak przybyła do rezydencji, Lev osobiście ostrzegł ją, że próby ucieczki są z góry skazane na niepowodzenie. „Wszędzie czuwają snajperzy z bronią usypiającą” – powiedział, dając do zrozumienia, że nie ma nadziei. Mimo to każda odrobina informacji jest dla Miracoliny cenna, a Lev

niechęący wychlapał się, że chociaż posesję otacza ogrodzenie, nie jest podłączone do prądu. Dobrze wiedzieć.

Dziewczyna eksploruje wszystkie zakątki olbrzymiej budowli, do których ma dostęp, zwracając szczególną uwagę na liczne nieużywane, na wół zrujnowane pokoje oraz korytarze, które są w tak złym stanie, że nie da się ich wyremontować. Większość okien zabito deskami, a wszystkich drzwi wyjściowych strzegą kłódki – ale im rzadziej dane miejsce bywa odwiedzane, w tym gorszym stanie będą wszelkie zabezpieczenia, zaś wytrzymałość skobla jest wprost proporcjonalna do jakości drewna, do którego został przymocowany. Na przykład znajdujące się w północnym skrzydle drzwi do ogrodu zostały poważnie uszkodzone przez termity. Kiedy Miracolina odkrywa ten fakt, odnotowuje go w myślach do późniejszego wykorzystania.

Posiłki spożywane przez eks-dziesięciornych są zwykle podawane na obłuczanej porcelanie, która musiała należeć do kolekcji Cavanaughów w lepszych czasach, ale w niedzielę na stół wjeżdżają najlepsze naczynia, w tym srebrne półmiski, akurat wystarczająco duże, żeby zmieścić się pod koszulą Miracoliny niczym napierśnik. Również i tę informację dziewczyna odnotowuje w pamięci na przyszłość.

Teraz potrzebuje już tylko jakiegoś wydarzenia, które odwróciłoby uwagę wszystkich. Nie tylko wewnątrz rezydencji, ale i na zewnątrz. Niestety Miracolina nie jest w stanie sama wygenerować czegoś takiego, więc czeka cierpliwie, przekonana, że prędzej czy później zaistnieją odpowiednie okoliczności. Na przykład takie, jak alarm tornadowy w niedzielny wieczór.

Wiatr wieje coraz silniej już w porze obiadu. W tłumie dzieciaków szerzy się wieść o nadchodzącej burzy. Jedni są wystraszeni, inni podekscytowani. Co ciekawe, Leva nie widać wśród obecnych. Może opuścił rezydencję, żeby przeczekać nawałnicę gdzie indziej, wywieziony przez swoich opiekunów w bezpieczniejsze miejsce. Po posiłku Miracolina zabiera swój talerz oraz kilka srebrnych półmisków, przypuszczalnie po to, żeby je odnieść do kuchni.

– Nie musisz tego robić, Miracolino – mówi jedna z jej nauczycielek.

– Nie szkodzi, odniosę je – odpowiada dziewczyna z uśmiechem, a nauczycielka uśmiecha się w odpowiedzi, zadowolona, że Miracolina wreszcie zaczyna się czuć tutaj jak w domu.

Burza nadciąga szybko, jak to wiosenne burze: najpierw ostrzegawcze uderzenie wichury, a potem taka ulewa, jakby niebo pękło w szwach. Deszcz zacieka przez dziury w dachu, spływając do pomieszczeń, które mają dopiero zostać wyremontowane. W sali balowej, gdzie Lev powitał Miracolinę po tym, jak ją tu przywieziono, na podłodze zebrała się prawie trzycentymetrowa warstwa wody. Garnki porozstawiane po sypialniach tam, gdzie kapie z sufitu, napełniają się i trzeba wylewać ich zawartość. Przypomina to wybieranie wody z tonącego statku. Serwis pogodowy w telewizji pokazuje mapę powiatów w stanie Michigan, która cała mruga jaskrawą czerwienią alarmów tornadowych.

– Nie martwcie się – mówi jeden z nauczycieli – mamy tutaj schron na wypadek, gdyby w naszej okolicy ogłoszono alarm – i jego słowa ziszczają się dokładnie o dwudziestą czterdzieści trzy.

Personel natychmiast zaczyna zwoływać podopiecznych. Ponieważ na zewnątrz wałą pioruny i wszyscy są wystraszeni, ciężko się doliczyć, kogo brakuje. Wśród tego zamętu Miracolina wymyka się po cichu, niosąc kilka półmisek, skręca w boczny korytarz i biegnie w stronę północnego skrzydła oraz uszkodzonych przez termyty drzwi.

Stojąc przed nimi, chowa większe półmiski pod koszulą z przodu i z tyłu. Są zimne i nieprzyjemne w dotyku, ale bezwzględnie potrzebne. Dwa mniejsze półmiski wsuwa pod siedzenie dresowych spodni, żeby chroniły jej pupę. Czeką, aż potężna błyskawica rozjaśni niebo niczym nierówno pulsujący stroboskop, a kiedy parę chwil później rozlega się grzmot, dziewczyna z całej siły wali ramieniem w drzwi. Skobel puszcza przy drugiej próbie, a przetaczający się w górę huk grzmotu skutecznie maskuje towarzyszący temu trzask.

Przez środek zapuszczonego ogrodu wciąż jeszcze biegnie ścieżka, a raczej to, co z niej zostało. Miracolina rzuca się tamtędy pędem. W okamgnieniu przemaka do nitki, a ulewa prawie ją oślepia. Potem dziewczyna wypada z ogrodu na zarośniętą chwastami polanę oddzielającą teren rezydencji od lasu, widoczna teraz jak na dłoni dla ewentualnych snajperów, i zastanawia się, czy noktowizory pozwalają zobaczyć cokolwiek przez kurtynę deszczu. Wie, że metal przewodzi elektryczność, i gdzieś z tyłu głowy czuje niepokój, że może ją trafić piorun – ale musi wierzyć, że to nie nastąpi. Musi wierzyć, że Bóg zesłał tę burzę dla niej, Miracoliny, żeby mogła uciec, a potem zrealizować to, do czego została stworzona. A gdyby

naprawdę trafił ją piorun, no cóż, to także byłby znak z góry, nieprawdaż?
Dlatego dziewczyna modli się w myślach:

– Panie, jeśli to, co robię, jest złe, powal mnie na ziemię. Jeśli nie, wyswobodź mnie.



32. LEV

Opatrzność zsyła błyskawicę. Piorun nie poraża Miracoliny, ale oświetla ją tak, by wszyscy mogli ją zobaczyć. A w każdym razie ci, którzy akurat patrzą w odpowiednią stronę.

Prawie wszyscy albo siedzą teraz w schronie, albo biegną do niego, przy czym nie jest powiedziane, że schron faktycznie wytrzymałby napór tornada, zważywszy na to, ile liczy sobie lat. Jednakże Lev, który zawsze kochał burze, ociąga się z opuszczeniem pokoju, w którym ma okno umożliwiające wyglądanie na zewnątrz. Przystaje i poświęca kilka sekund na to, żeby podziwiać nieposkromioną furię żywiołów. Podmuch wiatru sprawia, że szyby w starych oknach dygoczą tak, jakby miały zaraz wylecieć, po czym niebo rozjaśnia szczególnie długi rozbłysk. W jego świetle Lev spostrzega, jak ktoś biegnie przez trawnik i wpada do lasu. To zaledwie mgnienie, ale chłopiec od razu wie, kogo zobaczył, nawet jeśli nie widział jej twarzy.



33. MIRACOLINA

Nie słyszy wystrzału, ale czuje, jak pierwsza usypiająca strzałka trafia w srebrny półmisek chroniący jej plecy. Ostrze zaplątuje się w grubą tkaninę bluzy. Dziewczyna nie umie określić, gdzie znajduje się strzelec, wie tylko, że gdzieś za nią. Miała nadzieję, że strażnicy opuścili swoje posterunki, żeby schronić się przed burzą, ale co najmniej jeden – a może większa ich liczba – nadal czuwają, może zdając sobie sprawę, że taka burza to świetna okazja, żeby podjąć próbę ucieczki, jeśli ktoś nie został jeszcze skutecznie „odprogramowany”.

Obok Miracoliny ze świstem przelatuje kolejna strzałka, mijając ją o centymetry. Została wystrzelona z innego kierunku, a to znaczy, że więcej niż jeden strażnik nadal czuwa. Dziewczyna wie, że tamci celują w jej tułów, bo nie ryzykowaliby strzelania w głowę, więc obejmuje ciało ramionami, żeby stać się mniejszym celem. Kolejna strzałka trafia w jeden z mniejszych półmisków chroniących jej siedzenie. Mało brakowało, a w ogóle nie wsadziłaby ich w spodnie, żeby nie ograniczały jej ruchów podczas biegu. Teraz cieszy się, że to zrobiła. Tym razem strzałka nie wczepia się w ubranie, tylko odbija się i spada.

Po chwili dziewczyna dobiega do lasu, pod osłonę targanych wiatrem drzew. Zdziwiłaby się bardzo, gdyby w gęstwinie znajdowali się jacyś strażnicy. Jest więcej niż prawdopodobne, że strzały padły z samej rezydencji. Miracolina wątpi, czy nawet najbardziej zdeterminowany snajper trwałby na stanowisku w lesie, kiedy lada chwila może się pojawić tornado.

Nie ma pojęcia, w jakim kierunku biegnie, ale każdy kierunek jest dobry, byle dalej od rezydencji. Dziewczyna wie, że prędzej czy później dotrze do ogrodzenia. Może tylko mieć nadzieję, że nie okaże się zbyt wysokie, żeby dało się na nie wspiąć.

Ułamki sekund, kiedy błyskawice oświetlają teren, to jedyne momenty, kiedy udaje się jej cokolwiek zobaczyć. Ubranie ma już podarte, a twarz podrapaną przez szarpane wiatrem gałęzie. Potyka się i upada w błoto, ale podnosi się i biegnie dalej. Potem w rozbłysku światła widzi przed sobą ogrodzenie z siatki. Ma ono ciut mniej niż dwa i pół metra wysokości – Miracolina dałaby radę przez nie przeleźć, ale wzdłuż górnej krawędzi rozciągnięty jest drut kolczasty. Więcej otarć, więcej skaleczeń. Jednak dziewczyna jakoś to przeżyje. Jest przekonana, że wszelkie obrażenia zdążą się zagoić, zanim zostanie podzielona.

Zadyszana, prawie u kresu wytrzymałości, rzuca się w kierunku ogrodzenia. Jest już prawie przy siatce, gdy nagle zderza się z nią ktoś biegnący jeszcze szybciej niż ona, kto rzuca się na nią, tak że razem przewracają się na mokrą ziemię. Miracolina tylko przez mgnienie widzi twarz tego kogoś, ale to wystarczy, by mogła go rozpoznać. Samo złote dziecko we własnej osobie wybiegło, żeby ją pochwycić.

– Złaż ze mnie! – wykrzykuje, odpychając Leva, drapiąc go. Wyrzywa półmisek spod bluzy, bierze zamach. Trafia Leva w ciemię z głośnym brzękiem. Chłopiec upada, ale natychmiast się podnosi.

– Przysięgam, że rozwalę ci tym głowę na kawałki, jeśli będę musiała! – woła Miracolina. – Puść mnie! Nie obchodzi mnie, że tamci się do ciebie modlą, nie obchodzi mnie, że jesteś ich świętym patronem. Wynoszę się stąd, a ty mnie nie zatrzymasz!

Wtedy Lev cofa się, ciężko dysząc, i mówi:

– Weź mnie ze sobą.

Nie to spodziewała się usłyszeć.

– Co?

– Nie mogę dłużej brać w tym udziału. Nie potrafię być taki, jak oni chcą. Nie jestem niczym świętym patronem, a oni świetnie sobie radzą z ratowaniem dziesięciorodnych bez mojej pomocy. Tak więc ja też postanowiłem uciec.

Miracolina nie ma czasu się zastanawiać, czy to podstęp. Nie ma nawet czasu zastanowić się nad tym, co chłopiec powiedział, ale jeśli mówi prawdę,

to ona wie, jak przetestować jego determinację.

– Pomóż mi przejść przez ogrodzenie.

Lev robi to bez wahania. Podsadza ją, a Miracolina kaleczy się o drut kolczasty, zeskakując po drugiej stronie, ale przynajmniej jest już po drugiej stronie! Potem Lev, chłopiec, którego traktowała jak swojego strażnika więziennego, też przełazi przez płot i dołącza do niej.

– jakieś sto metrów stąd przez las biegnie szosa – mówi. – Możemy tam złapać stopa.

– Kto by jechał autem w taką noc jak ta?

– Zawsze trafi się ktoś, kto desperacko musi dokądś dojechać.

Kiedy docierają do drogi, wiatr nieco przycicha, ale kiedy pogoda grozi wystąpieniem tornada, to może być albo dobry, albo zły znak. Nie zaczął jeszcze padać grad, który oznaczałby, że z całą pewnością zbliża się coś gorszego.

Szosa jest dwukierunkowa i faktycznie jeżdżą nią auta. Niezbyt często – co minutę czy dwie mijają ich pojedynczy samochód – ale potrzebują tylko jednego, który się zatrzyma.

– Nie zorientują się, żeśmy zniknęli, do czasu gdy burza minie – mówi Lev. – Jeśli ktoś nas stąd zabierze, obiecaj mi, że nic nie powiesz o rezydencji i o tym, co tam robimy.

– Nie będę niczego obiecywać – odpowiada Miracolina.

– Proszę – błaga ją Lev. – Inne dzieciaki w rezydencji nie są takie jak ty. Nie chcą zostać złożone w ofierze jako dziesięcina. Nie skazuj ich na coś, co nigdy nie było ich wyborem.

Chociaż jest to wbrew jej instynktom, granica między dobrem a złem stała się już dla Miracoliny tak zamazana, że dziewczyna odpowiada:

– W porządku, nikomu nic nie powiem.

– Zmyślmy historię – ciągnie Lev. – Jechaliśmy na rowerach i złapała nas burza. Ja będę mówił, ty tylko kiwaj głową. Potem, jak już kierowca nas wysadzi, idź i oddaj się w ręce władz, jeśli naprawdę chcesz zostać podzielona jako dziesięcina. Nie będę cię zatrzymywał.

I chociaż dziewczyna nie dowierza, że naprawdę byłby gotów jej na to pozwolić, przytakuje.

– A ty? Dokąd się udasz?

– Nie mam pojęcia – odpowiada Lev, ale mówi to z takim błyskiem w oku, że Miracolina natychmiast się domyśla, że taki układ najbardziej mu

pasuje.

Na drodze widać zbliżające się światła samochodu, podczas gdy wiatr znów przybiera na sile. Machają rękami, a pojazd – van – zjeżdża na pobocze i przystaje. Szyba w oknie się opuszcza. Podbiegają.

– Boże, co wy robicie na dworze w taką pogodę? – pyta kierowca.

– Jechaliśmy na rowerach. Nie wiedzieliśmy, że zbliża się burza – mówi Lev.

– Gdzie wasze rowery?

– Zostawiliśmy je kawałek dalej – odzywa się Miracolina.

– Wrócimy po nie, jak burza się skończy – mówi Lev. – Teraz musimy się po prostu stąd wydostać. Może pan nam pomóc?

– Jasne, że mogę. – Mężczyzna zwalnia zamek w bocznych drzwiach, a Lev odciąga je w bok. Wtedy z przodu nad deską rozdzielczą zapala się światło, po raz pierwszy ukazując twarz kierowcy. I chociaż burza oznacza, że potrzebują dosłownie jakiegokolwiek bezpiecznego portu, Miracolina mimo woli czuje lekki niepokój, wsiadając do vana. W twarzy tego człowieka jest coś dziwnego. A może to przez jego oczy.



34. LEV

Lev nie zwraca większej uwagi na kierowcę. Cieszy się, że znalazł schronienie przed burzą i transport, który wywiezie go daleko od jego pozłacanej klatki. Okłamał Miracolinę. Nie zamierza pozwolić, żeby wydała się w ręce Urzędu do Spraw Małoletnich. Lev wie, że być może nie zdoła jej przed tym powstrzymać, ale to nie znaczy, że nie zamierza próbować.

Gwałtowny podmuch wiatru niemal spycha jadący van z drogi, tak że kierowca musi z całej siły walczyć o utrzymanie kierownicy.

– Niezła burza, co? – Mężczyzna zerka na nich w lusterku. Lev unika jego wzroku. Jest przygotowany na to, że w następnej chwili usłyszy: „Hej, czy ty czasem nie jesteś tym klakierem?”

– Wygodnie wam tam z tyłu? – rzuca kierowca. Jeszcze nie spytał, dokąd zmierzają. Lev przywołuje z pamięci znane mu nazwy okolicznych miejscowości, przygotowując się na chwilę, kiedy padnie to pytanie.

Na zewnątrz leje jak z cebra. Deszcz tak obficie spływa po przedniej szybie, że wycieraczki nie nadążają i kierowca musi zjechać na pobocze. Odwraca się do Leva i Miracoliny.

– Mówicie, że ogłoszono alarm tornadowy? Myślicie, że trafimy do krainy Oz? – Wydaje się zdecydowanie zbyt jowialny, biorąc pod uwagę okoliczności.

– Im szybciej wszyscy wrócimy do domu, tym lepiej – rzuca Miracolina.

– Tak, ale wy nie zmierzacie do domu – odpowiada mężczyzna tym samym wesołym tonem. – Wszyscy to wiemy, nieprawdaż?

Miracolina posyła Levowi zaniepokojone spojrzenie. Mężczyzna wbija wzrok w chłopca. Dopiero teraz Lev widzi, że każde z jego oczu wygląda zupełnie inaczej. Ten widok przyprawia go o dreszcz, który nie ma nic wspólnego z burzą.

– Wiem, że pan mnie nie pamięta, panie Calder, bo podczas naszego ostatniego spotkania był pan nieprzytomny. Jednakże ja pamiętam pana.

Lev sięga do drzwi vana, ale te są zamknięte i nie widzi, jak mógłby je otworzyć.

– Lev! – krzyczy Miracolina, a kiedy chłopiec odwraca głowę, widzi, że mężczyzna wyciągnął pistolet usypiający, który z bliska wydaje się wyjątkowo duży i paskudny. Grad zaczyna łomotać w dach vana i człowiek, który ich złapał, musi krzyczeć, żeby go usłyszeli.

– Kiedy postrzeliłem cię po raz pierwszy, to był wypadek! – woła. – Tym razem nie!

Potem strzela do nich obojga, zanim mają szansę wypowiedzieć choćby słowo. Lev widzi, jak oczy Miracoliny wywracają się i dziewczyna osuwa się nieprzytomna na siedzenie. Potem chłopiec sam zaczyna tonąć w koktajlu środków usypiających, spadając w dół, w dół, w dół, podczas gdy łomot gradu przemienia się w ryk, jakby pociąg towarowy gnał przez piekło.



35. NELSON

W świetle błyskawicy przez ułamek sekundy widzi tornado. Trąba powietrzna wyrywa drzewa rosnące wzdłuż drogi nie dalej niż sto metrów od niego. Rozdziera samą drogę – kawały asfaltowej nawierzchni wzlatają w niebo. Coś – bryła asfaltu albo konar – z impetem uderza w dach pojazdu, zostawiając wgłębienie jak po tupnięciu olbrzymiej nogi. Rozpada się szyba w bocznym oknie, i van powoli przesuwa się z pobocza na środek szosy.

Nelson w ogóle nie czuje strachu, tylko podziw. Van zaczyna się przechylać w lewo. Nelson czuje, jak cały pojazd dygocze, gdy walczą o niego wiatr i grawitacja. W końcu grawitacja wygrywa i auto pozostaje ciężkim obiektem stojącym na ziemi, zamiast zmienić się w dwutonowy lecący pocisk. Sekundę później tornado już gna zygzakiem dalej, żeby narobić kłopotów komuś innemu. Ryk cichnie i znów słychać tylko huk ulewy.

Nelson wie, że to jest drugi przełomowy moment w jego biografii. Pierwszym był pocisk usypiający, który ukradł jego życie. Teraz jednak to życie zostało uratowane. Więcej, zyskało nowy sens. Schwytywanie Leva Caldera to nie przypadek. Nelson nigdy nie wierzył w opatrzność Bożą, ale jest otwarty na ideę równowagi. Że jakimś sposobem w ostatecznym obrachunku życie okazuje się sprawiedliwe. Jeśli to prawda, sprawiedliwość już wkrótce odwiedzi Nelsona, żeby wydać Connora Lassitera w jego niecierpliwe ręce.

CZĘŚĆ PIĄTA

SPRAWY KONIECZNE

Artykuł pochodzi z brytyjskiego dziennika „The Independent”

**„Dresiarze, męty, szumowiny”:
jak media demonizują nastolatków
Richard Garner, redaktor ds. edukacji, 13 marca 2009**

Zgodnie z najnowszymi badaniami przedstawianie nastoletnich chłopców w mediach jako „bandytów” sprawia, że chłopcy obawiają się innych nastolatków.

Statystyki pokazują, że więcej niż połowa artykułów o nastoletnich chłopcach, jakie ukazały się zarówno w prasie ogólnokrajowej, jak i lokalnej w ciągu ostatniego roku (4374 z 8629), dotyczyły młodocianych przestępców. Najczęściej określano ich jako „bandytów” (591 razy) oraz „zbirów” (254 razy), „chorych” (119 razy) i „zdziczałych” (96 razy). Inne często przewijające się określenia to między innymi „dresiarze”, „męty”, „zatwardziali”, „zdemoralizowani”, „budzący grozę”, „szumowiny”, „potwory”, „zwyrodniali” i „niebezpieczni”.

Badania – sfinansowane przez organizację Kobiety w Dziennikarstwie – wykazały, że nastolatek ma największe szanse na pochlebne sportretowanie przez media, jeśli jest martwy.

„Natrafiliśmy na artykuły w prasie, które opisywały nastoletnich chłopców w samych superlatywach: ‘wzorowy uczeń’, ‘anioł’, ‘ministrant’ lub ‘wymarzony syn każdej matki’” – brzmiała konkluzja naukowców. „Niestety te określenia były zarezerwowane dla nastolatków, którzy zginęli gwałtowną i przedwczesną śmiercią.”

*Pełny tekst artykułu dostępny na stronie:
<http://www.independentco.uk/news/uk/home-news/hoodies-louts-scum-how-media-demonises-teenagers-1643964.html>*



36. CONNOR

Connor wyładowuje agresję na worku bokserskim co najmniej dwa razy dziennie. Musi. Gdyby tego nie robił, mógłby się pewnego dnia wyładować na czyjejs twarzy. Leniwego dzieciaka, któremu nie chce się czyścić latryn. Idiotki, która przeszmurowała na Cmentarzysko telefon komórkowy, żeby móc zadzwonić do przyjaciół i powiedzieć im, gdzie jest. Albo dzieciaka, który rzuca durne żarciki po każdym zamachu klakierskim. Connor tak mocno i tak szybko wali w worek, że ten o mało się nie rozleci.

Risy nie ma.

Minął już prawie miesiąc. Nie wiadomo, czy dziewczyna nie zginęła z rąk funkcjonariuszy Urzędu do Spraw Małoletnich albo działaczy Proaktywnych Sił Obywatelskich, czy kto tam ją dorwał w swoje łapy. Nieważne, że ma siedemnaście lat i jest niepełnosprawna, więc nie można jej podzielić. Wszechwiedzący rząd potrafi się wykazywać wybiórczą ślepotą, gdy chodzi o nadzorowanie działań swoich własnych agencji.

Connor nie jest już taki jak wcześniej.

Czuje, jak powracają jego stare nawyki i wzorce zachowań. Te same, przez które zapracował sobie na nakaz podzielenia. Wspomina dni, zanim stał się ZOMZ-em – kiedy był po prostu trudnym nastolatkiem. Teraz powrócił do tamtego stanu ducha, tyle że obecnie jest trudnym nastolatkiem, który odpowiada za setki innych trudnych nastolatków. Mimo woli myśli sobie, że nie tylko on sam stanowi tutaj problem. Ma wrażenie, że jego gniew zawsze skupia się w ręce Rolanda.

– Jeśli postanowiłbyś stąd odejść, nikt nie miałby ci tego za złe – mówi mu Starkey pewnego wieczora, kiedy grają w bilard. – Powinieneś ruszyć na poszukiwanie Risy. Są tu inni, którzy mogliby przejąć odpowiedzialność za obóz. Trace mógłby się tym zająć. Nawet Ashley czy Hayden. – Pomija siebie, co jest o wiele zbyt znaczące. – Może moglibyśmy urządzić głosowanie po twoim wyjeździe. Ogłosić demokratyczne wybory.

– A ty możesz już być pewien, że zdobędziesz przynajmniej jedną czwartą głosów, nieprawdaż? – pyta Connor, błyskawicznie demaskując ukryte zamiary Starkeya.

Ten nie spuszcza wzroku i nie zaprzecza.

– Mógłbym dowodzić tym obozem, gdybym musiał. – Potem zbyt szybko wbija ósmą bilę do łuzy i przegrywa. – Cholera, znowu wygrałeś.

Connor uważnie przygląda się Starkeyowi, który od początku sprawiał wrażenie prostolinijnego i uczciwego. Podobnie jak Trace. Dopiero teraz Connor zaczyna podejrzewać, że być może motywy Starkeya bardziej przypominają misterny plan.

– Dobrze ci wychodzi pilnowanie, żeby jedzenie trafiało na stół, sprawiłeś też, że bocianie podrzutki zyskały trochę szacunku do siebie – mówi Connor do Starkeya – ale nie myśl sobie, że to cię czyni darem Bożym dla Podzielonych.

– Nie – odpowiada Starkey. – Przypuszczam, że to zaszczytne miano jest zarezerwowane dla ciebie. – Potem odkłada swój kij i wychodzi.

Connor karci się w myślach za paranoję. Prawda jest taka, że może powinien się zastanowić, czy nie wyszkolić Starkeya tak, aby ten pewnego dnia mógł zająć jego miejsce – ale z drugiej strony kimże on jest, żeby kogokolwiek szkolić?

Do niedawna mógł się dzielić swoimi prywatnymi wątpliwościami z Risą. Dobrze jej wychodziło podnoszenie go na duchu, tak jakby opatrywała plastrami jego chwiejne poczucie własnej wartości na wystarczająco długo, żeby Connor mógł się ogarnąć i znów wykonywać swoje obowiązki. Mógłby spróbować się zwierzyć Haydenowi, ale Hayden obraca wszystko w żart. Connor wie, że to mechanizm obronny, ale mimo wszystko sprawia, że z Haydenem trudno się rozmawia o niektórych rzeczach. Teraz jego najbliższym powiernikiem stał się Trace. Connor jest na siebie wściekły za to, że Trace pozostaje jego najbardziej zaufanym sojusznikiem, chociaż

armiak już się przyznał do bycia podwójnym zdrajcą. Jednak jeśli Risa była plastrem opatrunkowym, Trace przypomina spirytus lany na otwartą ranę.

– Wszyscy straciliśmy bliskich na taki czy inny sposób, a Risa nie jest wyjątkiem, więc przestań labiedzić i rób, co do ciebie należy.

– Nie jestem armiakiem – odpowiada Connor. – Nie zostałem tak wyszkolony, żeby nie mieć żadnych uczuć.

– To nie tak, że nie mamy uczuć, po prostu wiemy, jak je ująć w karby i wykorzystać do osiągnięcia określonych celów.

Connor mógłby być do tego zdolny, gdyby miał jakiś cel, ale życie na Cmentarzysku wydaje mu się coraz bardziej pozbawione sensu. Jak bieżnia, która zrzuca dzieciaki, gdy skończą siedemnaście lat.

Ktoś – Connor podejrzewa, że Hayden – zawiadamia Admirala, że Connor źle znosi pojmanie Risy, i Admirał zjawia się na Cmentarzysku z niezapowiedzianą wizytą.

Przyjeżdża czarną limuzyną, tak nawoskowaną i wypolerowaną, że pył wzbijany przez koła w ogóle do niej nie lgnie. Connor ledwo rozpoznaje Admirala, gdy ten wysiada. Admirał jest chudy. Chudy to mało powiedziane – wyniszczony. Jego skóra, niegdyś opalona na brąz po latach spędzonych w słońcu na Cmentarzysku, stała się blada, i nie jest ubrany w swój obwieszony medalami mundur, tylko w luźne letnie spodnie i kraciastą koszulę, tak jakby wybrał się zagrać w golfa. Jednakże nadal trzyma się prosto i otacza go typowa dla dowódcy aura autorytetu.

Connor spodziewa się, że Admirał da mu popalić – udzieli mu jeszcze surowszej reprimendy niż ta, której on sam udzielił Starkeyowi – ale jak zawsze nie sposób przewidzieć strategii, jaką wybierze Admirał.

– Przybyło ci mięśni, odkąd ostatnio cię widziałem – mówi mu stary dowódca. – Mam nadzieję, że nie wstrzykujesz sobie tych cholernych wojskowych sterydów, którymi faszeruje się armiaków. Te świństwa zmniejszają jądra do rozmiarów orzeszka.

– Nie, proszę pana.

– To dobrze. Bo niewykluczone, że twoje geny mogą być warte przekazania dalej.

Zaprasza Connora, żeby wsiadł do luksusowej, klimatyzowanej limuzyny, i siedzą na pasie startowym z silnikiem na jałowym biegu, tak jakby auto mogło w każdej chwili dostać skrzydeł i wzlecieć w powietrze.

Przez chwilę gawędzą o drobiazgach. Admirał opowiada Connorowi o zjeździe ku pamięci Harlana: było to ogromne przyjęcie z udziałem wszystkich ludzi, którzy otrzymali części ciała jego syna.

– Aż do dnia mojej śmierci będę przysięgał, że Harlan tam był, żywy, w tym ogrodzie, i nikt mi nie udowodni, że nie.

Mówi Connorowi, że po tym, jak wszystkie „części” rozjechały się z powrotem do domów, jego dawny astmatyczny przyjaciel Emby nie miał gdzie się podziąć, więc Admirał pozwolił mu zostać i teraz wychowuje go jak własnego wnuka.

– Nie jest to najpiękniejsza pisanka w koszyku – stwierdza Admirał – ale bardzo szczerzy z niego chłopak.

Mówi też, że w związku z niewydolnością serca po zawale dawano mu sześć miesięcy życia.

– Oczywiście to było ponad rok temu. Większość lekarzy to imbecyle.

Connor podejrzewa, że Admirał będzie żył w niezłej formie jeszcze przez całe lata.

W końcu stary dowódca przechodzi do prawdziwej przyczyny swojej wizyty.

– Słyszałem, że nie najlepiej znosisz tę całą historię z Risą – mówi, po czym zawiesza głos i czeka, wiedząc, że Connor w końcu poczuje się w obowiązku przerwać milczenie.

– Czego pan ode mnie oczekuje? Mam po prostu żyć dalej tak, jakby to się nie stało? Jakby ona nigdy nie istniała?

Mimo oczywistej frustracji Connora, Admirał pozostaje nieporuszony.

– Dotąd nie wyglądałeś mi na jednego z tych młodzieńców, którzy marnują czas na uzalanie się nad sobą.

– Ja się nie uzalam! Jestem wściekły!

– Gniew jest naszym przyjacielem tylko pod warunkiem, że znamy jego kaliber i wiemy, gdzie go wycelować.

Słyszając to, Connor parska tak głośnym śmiechem, że aż kierowca ogląda się do tyłu.

– Niezłe! Ktoś powinien pana zacytować.

– Ktoś już to zrobił. Ta sentencja figuruje na stronie dziewięćdziesiątej trzeciej podręcznika „Podstawy wojskowości dla studentów akademii wojskowych, wydanie piąte”. – Admirał odwraca się, żeby spojrzeć przez przyciemnione szyby limuzyny na młodzież kręcącą się po Cmentarzystku. –

Tylko z wami, ZOMZ-ami, jest ten problem, że używacie swojego gniewu jak granatu, co nader często kończy się urwaniem ręki. – Potem patrzy na rękę Connora. – Bez urazy.

– Nic się nie stało.

Teraz jednak, kiedy Admirał już zwrócił uwagę na przeszczepioną kończynę, przygląda jej się uważnie.

– Czy ja skądś znam ten tatuaż? – A potem pstryka palcami. – Roland. Nie tak miał na imię? Prawdziwy wrzód na tyłku.

– Zgadza się.

Admirał jeszcze przez chwilę przygląda się rekinowi.

– Nie przypuszczam, żebyś dostał jego rękę na własne życzenie.

– W ogóle nie wyraziłem życzenia, żeby dostać rękę Podzielonego – odpowiada Connor. – Gdybym miał wybór, odmówiłbym, tak samo jak pan odmówił przyjęcia cudzego serca. Tak jak Risa odmówiła przyjęcia przeszczepu kręgosłupa. – Czuje, jak jego rękę pokrywa gęsia skórka, bo klimatyzacja dmucha niemalże arktycznym zimnem. – Ale teraz już ją mam, i nie odrąbię jej sobie.

– Jasne, że powinieneś ją zatrzymać! – mówi stanowczo Admirał. – Roland mógł sobie być kawałem łobuza, ale był też człowiekiem i zasługiwał na lepszy los. Jestem pewien, że ucieszyłby się na wieść, że jego ręka pasie gromadę ZOMZ-ów różgą żelazną.

Connor śmieje się mimo woli. Kto jak kto, ale Admirał zawsze doszuka się sensu w tym, co bezsensowne. Potem starszy mężczyzna zniża głos. Poważnieje.

– Słuchaj no – mówi. – Gdy chodzi o tę całą chryję z Risą... Dla dobra wszystkich musisz jakoś się z tym pogodzić.

Ale są rzeczy, z którymi Connor po prostu nie potrafi się pogodzić.

– Nie powinienem był jej pozwolić pojechać do tego szpitala.

– Gdyby nie pojechała, z tego co mi wiadomo niewinny chłopiec zostałby podzielony.

– No i? Niechby został podzielony!

Admirał najeża się w cichym gniewie.

– Zamierzam zapomnieć, że to powiedziałeś.

Connor wzdycha.

– Nie powinien był pan powierzać mi odpowiedzialności za obóz. Chciał pan, żeby dowodzenie objął ZOMZ z Akron, ale on nie istnieje. Nigdy nie

istniał. Jest tylko legendą.

– Podtrzymuję moją decyzję. Uważasz, że sobie nie radzisz, ale ja widzę, że jest wprost przeciwnie. Jasne, że kiedy jesteś pogrążony we własnym cierpieniu, łatwo sobie wmówić, że do niczego się nie nadajesz, ale wszyscy zostajemy poddani próbom w czasie naszego życia, Connorze. Miarą człowieka nie jest to, jak bardzo cierpi w trakcie tych prób, ale to, jak wypada w ostatecznym obrachunku.

Connor pozwala, żeby te słowa zapadły mu głęboko w pamięć, zastanawiając się, kiedy ta konkretna „próba dobiegnie końca i ile niewidocznych warstw może jeszcze w sobie kryć. Każe mu to zamyślić się nad rzeczami, które powiedział mu Trace.

– Panie admirale, czy słyszał pan o organizacji, która nazywa się „Proaktywne Siły Obywatelskie”?

Admirał zastanawia się przez chwilę.

– Brzmi jakby znajomo. Czy to nie oni finansują niektóre z tych przeklętych reklam wychwalających podzielenie? – Kręci głową z obrzydzeniem. – Przypomina mi to stare slogany o „pokoleniu terroru”.

Te słowa wbijają się w świadomość Connora niczym haczyk wędkarski.

– Pokolenie terroru?

– No wiesz, Powstanie Młodzieży? Zamieszki z udziałem zdziczeńców?

– Nic mi to nie mówi.

Admirał patrzy na niego jak na idiotę.

– Dobry Boże, czy w tych dzisiejszych beznadziejnych szkołach już kompletnie niczego was nie uczą? – Potem uspokaja się, ale tylko trochę. – Nie, przypuszczam, że nie. Historię piszą zwycięzcy, a kiedy nie ma zwycięzców, wszystko łąduje w korporacyjnych niszczarkach dokumentów. – Wygląda przez okno ze smutną rezygnacją człowieka, który wie, że jest za stary, żeby zmienić świat. – Musi pan się doksztalić, panie Lassiter – mówi. – Może nie uczą o tym w szkołach, ale nie mogą zupełnie wymazać tych informacji. To jest właśnie powód, który sprawił, że ludzie tak chętnie zaakceptowali Porozumienie Podziału. To przyczyna naszego pokręconego sposobu życia.

– Przepraszam, że taki ze mnie ignorant – rzuca Connor.

– Nie przepraszaj. Po prostu coś z tym zrób. A jeśli ciekawią cię te całe „Proaktywne Siły Obywatelskie”, dowiedz się też więcej na ich temat. Co konkretnie o nich słyszałeś?

Connor rozważa wyjawienie mu wszystkiego, czego dowiedział się od Trace'a, ale uzmysławia sobie, że te informacje nie podziałałyby dobrze na słabe serce starszego mężczyzny. Admirał przeszedł na emeryturę, a chociaż przyjechał tutaj, żeby poczęstować Connora energicznym i nader potrzebnym kopniakiem, Connor postąpiłby niesłusznie, wciągając go teraz w poważne sprawy.

– Nic – odpowiada. – Pogłoski.

– W takim razie zostaw to tym, którzy nie mają nic lepszego do roboty, jak tylko plotkować – mówi mu Admirał. – A teraz głowa do góry, wyłaź z mojej limuzyny i ratuj życie tym dzieciakom.

Po odjeździe Admirala Trace uprzejmie prosi, żeby Connor spotkał się z nim na osobności. Chociaż przyznał się wprost, że pracuje dla hycli oraz Proaktywnych Sił Obywatelskich, nadal traktuje Connora z całym szacunkiem należnym dowódcy. Connor nie wie, co o tym myśleć. Nie potrafi poznać, czy to ścierna, czy też Trace zachowuje się szczerze. Chociaż Connor nie potrafi znieść świadomości, że sam jest pionkiem w rękach hycli przez to, że opiekuje się ich skarbcem pełnym Podzielonych, nie może zaprzeczyć, że dzięki informacjom uzyskiwanym potajemnie od Trace'a ma poczucie, że to on mydli oczy Urzędowi do Spraw Małoletnich, a nie odwrotnie. Prawda nie wyzwoliła Connora, jak sugerował Trace, ale przynajmniej pozwoliła mu czuć, że w pewnym sensie ma przewagę nad swoimi prześladowcami.

On i Trace jadą w głąb jednej z alejek po wschodniej stronie cmentarzyska, mijając rzędy myśliwców, które są tak zakurzone, że szyby w ich oknach w ogóle nie wyglądają jak szkło. Oddalili się już wystarczająco od innych mieszkańców obozu, żeby ich spotkanie miało bardzo prywatny charakter.

– Musisz wiedzieć, że na horyzoncie zbierają się chmury – mówi Trace.

– Jakie znowu chmury?

– Z tego co udało mi się ustalić, w Urzędzie do Spraw Małoletnich zdania na nasz temat są nomen omen podzielone. Jest paru takich, którzy chcą zrobić porządek z tym miejscem, potrzebują tylko dobrego powodu.

– Jeśli chcą zrobić z nami porządek, to sam fakt, że tu jesteśmy, stanowi wystarczająco dobry powód.

– Powiedziałem, że JEST PARU TAKICH, którzy chcą zrobić z nami porządek. Ci goście w garniturach, dla których pracuję, nie wykazują takiej chęci, a dopóki wszystko tutaj funkcjonuje gładko, będą w stanie powściągać zapędy hycli. Jestem grzeczną małą wtyką i ciągle im powtarzam, że Elvis Robert Mullard rządzi tu twardą ręką.

Connor parska śmiechem.

– Jeszcze do nich nie dotarło, że Elvis nie żyje?

– Niczego nie podejrzewają... a ja nie dałem im żadnego powodu do wątpienia w moje słowa. – Trace na moment zawiesza głos. – Mówiłeś o mnie Admirałowi?

– Nie – odpowiada Connor. – Nie mówiłem nikomu.

– To dobrze. Dowódca powinien wiedzieć rzeczy, których nie wie nikt inny, i dozować podwładnym informacje w miarę potrzeb.

– Oszczędź mi lekcji rodem z akademii wojskowej – mówi mu Connor. – Czy to już wszystko, co chciałeś ze mną omówić?

– Jest tego więcej.

Dojeżdżają do końca alei i przed skręceniem w następną Trace zatrzymuje dżipa. Wyciąga z kieszeni karteczkę i wręcza ją Connorowi. Widnieje na niej nabazgrane ręcznie imię i nazwisko. *Janson Rheinschild*.

– Czy to ktoś, kogo powinienem kojarzyć? – pyta Connor.

– Nie. To ktoś, kogo nikt nie powinien kojarzyć.

Connorowi brakuje cierpliwości, żeby dociekać, o co tutaj chodzi.

– Nie marnuj mojego czasu, rzucając jakieś zagadki.

– Właśnie w tym rzecz – odpowiada Trace. – On jest zagadką. – Wrzuca pierwszy bieg i skręcają w następną aleję. – Pamiętasz tamten tydzień, kiedy pojechałem do Phoenix, żeby zorganizować części do instalacji elektrycznej w dreamlinerze?

– Nie pojechałem do Phoenix – odpowiada Connor. – Wybrałeś się na spotkanie ze swoimi przełożonymi z Proaktywnych Sił Obywatelskich. Myślałeś, że nie wiem?

Trace sprawia wrażenie lekko zaskoczonego, a potem zadowolonego.

– Nie powiedziałem ci, bo nie wiedziałem, czy mi ufasz.

– Nie ufam.

– Dobrze wiedzieć. W każdym razie tym razem było inaczej niż zwykle. Nie poprzestali na spotkaniu się ze mną, tylko zawieźli mnie samolotem

do swojej głównej siedziby w Chicago. Kazali mi złożyć szczegółowy raport w sali konferencyjnej wypełnionej aż do ostatniego miejsca. Oczywiście pominąłem parę kluczowych rzeczy, takich jak nasz plan ucieczki. Powiedziałem im, że dreamliner to odrzutowiec, który został przerobiony na kolejne dormitorium, i że wyposażenie kokpitu zostało rozmontowane i sprzedane.

– O, czyli nie tylko mnie okłamujesz?

– To nie są kłamstwa. To dezinformacja – odpowiada Trace. – Po spotkaniu poszedłem trochę tam powęszyć. W holu znajdowała się wielka marmurowa tablica upamiętniająca poprzednich prezesów tej organizacji.

Niektóre nazwiska pewnie byś rozpoznał: giganci biznesu, zarówno sprzed wojny, jak i po niej... ale jednego nazwiska brakowało. Zostało wydziabane z marmuru i było widać, że w ogóle nie próbowano załatać dziury. A na zewnątrz, w ogrodzie, wypatrzyłem rzeźbę przedstawiającą założycieli. Pięć postaci, ale na piedestale ewidentnie było miejsce dla sześciu. A w miejscu, gdzie znajdowała się kiedyś ta szósta statua, wciąż jeszcze widniały plamy rdzy.

– Janson jak-mu-tam?

– Rheinschild.

Connor próbuje to wszystko poskładać w całość, ale mu nie wychodzi.

– To się nie trzyma kupy. Gdyby chcieli go zniknąć, czemu nie załatali ubytku w marmurze? Dlaczego nie załatwili mniejszego piedestału?

– Ponieważ – odpowiada Trace – nie chodziło im tylko o to, żeby go zniknąć... chcieli mieć pewność, że członkowie organizacji nigdy nie zapomną, że został zniknięty.

Connor czuje dreszcz mimo panującego na pustyni upału.

– A co to wszystko ma wspólnego z nami?

– Zanim odwieźli mnie tutaj, paru przyjaźniej nastawionych garniturowców zabrało mnie do ich prywatnego klubu. Lokalu serwującego takie alkohole, jakich dziś nie dostaniesz nawet na czarnym rynku. Prawdziwą rosyjską wódkę. Tequilę wyprodukowaną w czasach przed wymarciem agawy. Jeden kieliszek musiał kosztować tysiące dolców, a oni chlali to wszystko jak wodę. Kiedy już byli zdrowo narąbani, zapytałem o tę brakującą rzeźbę. Jeden z nich wybełkotał „Janson Rheinschild”, a potem wyraźnie się wystraszył, że nie powinien był tego mówić. Potem zmienili

temat i już myślałem, że na tym się skończy... – Trace zatrzymuje dżip, żeby móc popatrzeć Connorowi prosto w oczy, i mówi dalej. – Ale potem, kiedy już miałem wychodzić, jeden z nich powiedział do mnie coś, czego od tamtej pory nie mogę zapomnieć. Klepnął mnie w ramię, nazwał „przyjacielem” i stwierdził, że podzielenie to coś więcej niż procedura medyczna, to fundament naszego sposobu życia. „Proaktywne Siły Obywatelskie postawiły sobie za cel ochronę tego sposobu życia”, tak powiedział, „i jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, zapomnisz, że kiedykolwiek usłyszałeś tamto nazwisko”.



37. RISA

REKLAMA SPOŁECZNA

„Byłam wychowanką domu dziecka i planowano mnie podzielić, więc uciekłam. To znaczy, że dzisiaj nie powinno mnie tu być. Możecie sądzić, że miałam szczęście... ale ponieważ pozostałam cała, czternastoletnia Morena Sandoval, wzorowa uczennica o obiecującej przyszłości, zmarła, ponieważ nie można było jej przeszczepić mojej wątroby. Jerrin Stein, ojciec trójki dzieci, nie przeżył ciężkiego zawału, bo moje serce nie było dostępne, kiedy rozpaczliwie go potrzebował. A strażak Davis Macy zmarł z powodu niedotlenienia, bo nie można było zastąpić jego poparzonych płuc moimi.

Żyję, gdyż uciekłam przed podzieleniem, a moje samolubstwo kosztowało życie tych osób oraz wielu innych. Nazywam się Risa Ward, byłam Podzieloną i ZOMZ-em, a teraz muszę żyć ze świadomością, ilu niewinnych ludzi zabiłam.

Materiał sponsorowany przez organizację Obywatele Przeciw Pladze ZOMZ-ów



38. HAYDEN

Hayden gapi się na ekran komputera, próbując uwierzyć, że „reklama społeczna” z udziałem Risy to jakiś chory żart. Wie jednak, że nie. Chciałby się wściec na Tada, tego wścibskiego małego netowego szperacza, który znalazł i pokazał mu przeklęty filmik, ale wie, że to nie wina tego dzieciaka.

– Co z tym zrobimy? – pyta Tad.

Hayden rozgląda się po KomBomie. Ośmioro nastolatków mających teraz dyżur w centrum łączności spogląda na niego tak, jakby mógł sprawić, że to nagranie po prostu zniknie.

– Niech to szlag, zdradziła nas! – woła Esme.

– Zamknijcie się! – krzyczy Hayden. – Po prostu się zamknijcie, dajcie mi pomyśleć. – Usiłuje wpaść na jakieś inne wytłumaczenie. Może filmik nie jest prawdziwy, może to cyfrowo wygenerowany obraz. Może to podstęp mający podkopać ich morale... Jednak prawda wali po oczach, bardziej oczywista niż wszelkie domysły. Risa publicznie głosi swoje poparcie dla idei podzielenia. Przeszła na stronę wrogów.

– Connor nie może się o tym dowiedzieć – mówi Hayden.

Tad z powątpiewaniem kręci głową.

– Ale przecież to już leciało w telewizji, a dziś rano trafiło na sieć. Poza tym nie chodzi tylko o ten jeden filmik; nagrano więcej takich odezw z jej udziałem, a także wywiad.

Hayden chodzi tam i z powrotem po ciasnym wnętrzu samolotu, próbując jakoś uporządkować rozgorączkowane myśli.

– Dobra – mówi, zmuszając się do zachowania spokoju. – Dobra... Wszystkie komputery z dostępem do sieci znajdują się albo tu w KomBomie, albo w bibliotece, no nie? A wszystkie telewizory w odrzutowcu rekreacyjnym czerpią sygnał stąd.

– Tak...

– Czy moglibyśmy wszystko przepuszczać przez program do rozpoznawania twarzy, zanim pójdzie do ludzi, i szyfrować sygnał, ilekroć Risa pojawi się na wizji? Czy mamy jakiś program, który jest w stanie robić coś takiego?

Przez kilka sekund nikt nic nie mówi. Potem odzywa się Jeevan.

– Mamy całe tony starego wojskowego oprogramowania do systemów bezpieczeństwa, muszą tam być aplikacje do rozpoznawania twarzy. Na bank uda mi się coś wykroić i posklejać.

– Zajmij się tym, Jeeves. – Potem Hayden odwraca się do Tada. – A ty póki co odetnij sygnał w odrzutowcu rekreacyjnym i bibliotece. Mają nie działać żadne kanały ani Internet. Powiemy ludziom, że satelita padł albo że kojot bzyknął antenę, wszystko jedno. Zrozumiano? – Wszyscy kiwają głowami. – A jeśli którekolwiek z was piśnie komuś słówko o tym, coście tu widzieli, osobiście dopilnuję, żeby ta osoba spędziła najbliższe kilka lat swojego życia na czyszczeniu latryn. Ta bomba Risowa zostaje w KomRomie, comprende?

Ponownie napotyka powszechną zgodę – jednak Tad nie zamierza jeszcze odpuścić.

– Hayden, nie wiem, czy zauważyłeś jedną rzecz w tym filmiku. Widziałeś, jak ona...

– Nie! – rzuca ostro Hayden, przerywając mu w pół słowa. – Nic nie widziałem. I ty też nie!



39. CONNOR

„Podzielenie to fundament naszego sposobu życia” – powiedział człowiek z Proaktywnych Sił Obywatelskich.

Te słowa gryzą Connora tak, jak wcześniej gryzły Trącej. Connor wie, że rzeczywistość nie zawsze wyglądała tak jak teraz – ale kiedy świat przez całe twoje życie pozostaje urządzony tak, a nie inaczej, ciężko sobie wyobrazić, że kiedyś mógł być inny. Lata temu, zanim jeszcze osiągnął wiek kwalifikujący do podzielenia, Connor zachorował na zapalenie oskrzeli, które potem nawracało – była nawet mowa o tym, żeby mu załatwić nowe płuca, ale w końcu wyzdrowiał. Przypomina sobie, jak chorował tak długo, że po jakimś czasie zapomniał, jakie to uczucie być zdrowym.

Czy może to dotyczyć całego społeczeństwa?

Czy chore społeczeństwo może się do tego stopnia przyzwyczaić do swojej choroby, że nie pamięta już, jak wyglądało zdrowie? Co jeśli to wspomnienie jest zbyt niebezpieczne z punktu widzenia ludzi, którym odpowiada obecny stan rzeczy?

Connorowi udaje się wygospodarować czas, żeby pójść do samolotu bibliotecznego i poszukać informacji, ale wszystkie komputery są offline, więc idzie prosto do Haydena.

– Chcesz mi powiedzieć, że wszędzie padła sieć? – pyta go.

Hayden waha się, nim odpowiada:

– A co? Czego potrzebujesz? – Sprawia niemalże wrażenie podejrzanego, co jest do niego niepodobne.

– Muszę coś sprawdzić – odpowiada Connor.

– Czy to może poczekać?

– To może, ale ja nie mogę.

Hayden wzdycha.

– Dobra, mogę ci dać dostęp do netu w KomBomie, ale tylko pod warunkiem, że ja ci wyszukam to, czego potrzebujesz.

– Co, boisz się, że popsuję sieć?

– Po prostu ułatw mi życie, okej? Mieliśmy masę problemów z komputerami i nie chcę, żeby sprzęt znów zaczął fiksować.

– W porządku, tylko załatwmy to, zanim mnie odwołają, bo czymś trzeba się zająć teraz-już-natychmiast.

Nastolatki dyżurujące w KomBomie zdradzają na widok Connora wyraźne oznaki zdenerwowania. Nie miał pojęcia, że budzi w ludziach taki lęk.

– Spokojnie – mówi. – Nikt z was sobie nie nagrabił. – A potem dodaje: – Póki co.

– Dziesięć minut przerwy – rzuca Hayden, a dzieciaki natychmiast zostawiają wszystko i zbiegają po schodkach, szczęśliwe, że przynajmniej na chwilę mogą się oderwać od roboty.

Connor siada z Haydenem przy jednym z komputerów i wyciąga karteczkę, którą dał mu Trace.

– Wpisz w wyszukiwarkę to imię i nazwisko.

Hayden wpisuje „Janson Rheinschild”, ale wyniki nie wyglądają zbyt obiecująco.

– Hmm... Jest Jordan Rheinschild, księgowy z Portland i Jared Rheinschild; zdaje się, że to czwartoklasista, który wygrał konkurs plastyczny w Oklahomie...

– Żadnego Jansona?

– Kilku J. Rheinschildów – odpowiada Hayden. Sprawdza ich po kolei. Jedna z tych osób to matka, która prowadzi niezbyt poczytny blog o swoich dzieciach. Inny J. Rheinschild jest hydraulikiem. Żadne z nich nie sprawia wrażenia kogoś, kogo można byłoby najpierw upamiętnić pomnikiem z brązu, a później go zburzyć.

– Kim on właściwie jest?

– Kiedy uda mi się to odkryć, powiem ci.

Hayden okręca się na obrotowym krześle, żeby odwrócić się twarzą do Connora.

– Tylko tego chciałeś poszukać?

A potem Connor coś sobie przypomina. Czy Admirał nie mówił też o wydarzeniach, które doprowadziły do „naszego pokręconego sposobu życia”? Kazał Connorowi poszerzyć swoją wiedzę historyczną – ale o czym konkretnie?

– Chcę, żebyś mi sprawdził hasło: „pokolenie terroru”.

Hayden wpisuje tę frazę w wyszukiwarkę.

– Co to takiego? Jakiś film?

Jednak kiedy pojawia się lista wyników, staje się oczywiste, że nie. Wyszukiwarka wyrzuciła całe mnóstwo trafień. Admirał miał rację – wszystkie te informacje są ogólnodostępne, tyle że pogrzebane wśród milionów innych stron internetowych. Connor i Hayden otwierają artykuł z jakiejś gazety.

Spójrz na datę – mówi Hayden. – Czy ten tekst nie ukazał się przypadkiem podczas Wojny Moralnej?

– Nie wiem – odpowiada Connor. – Znasz daty wybuchu i zakończenia wojny?

Hayden nie odpowiada. To dziwne – Connor zna kluczowe daty związane z innymi wojnami, ale jego wiedza na temat Wojny Moralnej jest zaskakująco skąpa. Nigdy się o niej nie uczył, nigdy nie oglądał programów dokumentalnych na jej temat. Oczywiście wie, że była i dlaczego do niej doszło, ale nic więcej.

W pierwszym artykule jest mowa o spontanicznym zjeździe młodzieży w Waszyngtonie, D.C. Hayden uruchamia zamieszczony przy tekście filmik.

– Rany! Kim są ci wszyscy ludzie?

– Dzieciaki – uzmysławia sobie Connor. – To wszystko dzieciaki.

Filmik pokazuje setki tysięcy nastolatków tłoczące się na terenie parku National Mall, pomiędzy Kapitołem a mauzoleum Abrahama Lincolna. Tłum jest tak zbity, że w ogóle nie widać trawy.

– Czy to ma związek z wojną? – pyta Hayden.

– Nie, to chyba coś innego...

Reporter określa demonstrację jako „marsz młodzieżowego terroru”, z góry opatrując to wydarzenie negatywną etykietką. „To jest zdecydowanie najliczniejsze nielegalne zgromadzenie, jakie kiedykolwiek widziano. Policja

do stała pozwolenie użycia nowych, kontrowersyjnych pocisków usypiających, żeby zapanować nad sytuacją...

Sam pomyślał, że pociski usypiające mogłyby budzić kontrowersje, przyprawia Connora o zawrót głowy. Przecież są powszechnie akceptowaną częścią życia, czyż nie?

Hayden przewija ekran w dół.

– W artykule pisze, że młodzież protestuje przeciwko zamykaniu szkół.

To też dezorientuje Connora. Jaki nastolatek protestowałby przeciwko zamknięciu swojej szkoły?

Zobacz tutaj – mówi Connor, wskazując link o treści „Lęk o przyszłość”.

Hayden klika i otwiera filmik zawierający wypowiedź jakiegoś specja od polityki, który komentuje niedawne wydarzenia. Mówi o trudnościach, z jakimi zmagają się gospodarka, i o załamaniu się systemu edukacji publicznej „Naród gniewnych nastolatków, którzy nie mają pracy ani możliwości kształcenia się, ale za to mają mnóstwo czasu? Tak, to mnie przeraża – i was też powinno.”

Więcej doniesień medialnych – ta sama zagniewana młodzież nawołująca do zmian, a kiedy zmiany nie nadchodzą, nieletni wychodzą na ulice, wzniesają zamieszki, palą samochody, wybijają szyby, ogarnięci zbiorową furią. Podczas Wojny Moralnej, zaledwie kilka tygodni przed swoją śmiercią z rąk zamachowca, prezydent Moss ogłasza dodatkowo stan wyjątkowy, wprowadzając godzinę policyjną dla wszystkich obywateli poniżej osiemnastego roku życia. „Karą za nieprzestrzeganie godziny policyjnej będzie umieszczenie w obozie karnym dla nieletnich.”

Są też doniesienia o nastoletnich chłopcach i dziewczętach, którzy albo opuścili swoje domy, albo zostali wyrzuceni przez rodzinę. Media określają ich mianem *zdziczeńcy*. Tak jakby byli bezdomnymi psami. A pod kolejnym linkiem kryje się rozchwiane nagranie z kamery pokazujące trójkę dzieciaków, które klaszczą w ręce. Następuje biały rozbłysk, a potem obraz znika. „Wszystko wskazuje na to” – mówi reporter – „że zdziczeńcy dokonujący tych samobójczych zamachów zmieniają skład chemiczny swojej krwi, tak że zaklaskanie powoduje detonację.”

– Jasny gwint! – mówi Hayden. – Pierwszy klakierzy!

To wszystko działo się w czasie Wojny Moralnej – stwierdza Connor. – Naród wykrwawiał się w walce o to, czy ważniejsze jest życie dziecka, czy

wolny wybór, a kompletnie ignorowano problemy tej młodzieży, która już była na świecie. Brak szkół, brak pracy, zero nadziei na przyszłość. Dostali totalnego fioła!

– Rozwalić wszystko i zacząć od nowa.

– Winisz ich za to?

Nagle Connor już rozumie, czemu nie uczą o tym wszystkim w szkołach. Odkąd szkolnictwo przeszło restrukturyzację i zostało oddane w ręce korporacji, nikt nie chce, żeby młodzież dowiedziała się, jak mało brakowało, żeby obalili rząd. Nikt nie chce, żeby młodzież dowiedziała się, ile tak naprawdę może działać.

Sprawdzając różne linki, Connor i Hayden w końcu natrafiają na obraz, który jest im znacznie lepiej znany, bo często pojawia się w mediach: wzajemne ściskanie rąk po podpisaniu Porozumienia Podziału. W tle stoi Admirał, dużo młodszy niż teraz. W doniesieniu prasowym jest mowa o zawarciu pokoju między Armią Obrońców Życia a Brygadą Wyboru, które dało wszystkim nadzieję na normalizację sytuacji w kraju. Nigdzie nie pada żadna wzmianka o młodzieżowym powstaniu – a mimo to w ciągu tygodni od podpisania Porozumienia założono Urząd do Spraw Małoletnich, obozy karne dla zdrajców zostały przekształcone w ośrodki donacyjne, a podzielenie stało się... sposobem życia.

I wtedy prawda uderza Connora tak brutalnie, że aż zaczyna mu się kręcić w głowie.

– Boże! Porozumienie Podziału nie zostało zawarte tylko po to, żeby zakończyć wojnę; za jednym zamachem rozprawiono się też z „pokoleniem terroru”!

Hayden odsuwa się od komputera, tak jakby ten miał lada chwila zaklaskać i wysadzić ich w powietrze.

– Admirał musiał o tym wiedzieć.

Connor kręci głową.

– Kiedy jego komitet zaproponował Porozumienie Podziału, Admirał nie wierzył, że ludzie autentycznie się na to zgodzą... ale zgodzili się... bo bardziej obawiali się swoich nastoletnich dzieci niż swoich sumień.

Connor wie, że Janson Rheinschild, kimkolwiek był, musiał odegrać kluczową rolę w tej całej historii, ale Proaktywne Siły Obywatelskie zdołały bardzo skutecznie wymazać go z powierzchni Ziemi.



40. STARKEY

Mason Starkey nigdy nie słyszał o Jansonie Rheinschildzie, pokoleniu terroru ani Wojnie Moralnej. A nawet gdyby wiedział o ich istnieniu, te informacje nic by go nie obchodziły. Jedyne młodzieżowe powstanie, które ma dla niego jakiegokolwiek znaczenie, wybuchnie dzięki Bocianiemu Klubowi.

Jego motywy stanowią skomplikowaną mieszankę samouwielbienia i altruizmu. Szczerze pragnie doprowadzić bocianie podrzutki do chwały, pod warunkiem że wszyscy będą wiedzieli, że zawdzięczają to jemu. Pracuje na należne uznanie i sławę magika, którego iluzje w końcu stały się rzeczywistością.

Starkey liczy na bezkruwawy zamach stanu, ale jest gotów na wszystko. Albo przetasowanie odbędzie się w sposób łaskawy, a Connor uzna, że mądrze będzie ustąpić zdolniejszemu przywódcy... albo zostanie zmiażdżony. Gdyby do tego doszło, Starkey nie będzie miał żadnych wyrzutów sumienia. Ostatecznie Connor, mimo ciągłych zapewnień o traktowaniu wszystkich jednakowo, nadal odmawia ratowania bocianich podrzutek przed podzieleniem.

– Ratujemy te dzieciaki, w przypadku których mamy największe szanse, że ich ocalenie ujdzie nam na sucho – wyjaśnił mu Connor. – To nie nasza wina, że bocianie podrzutki żyją w liczniejszych rodzinach i ich sytuacja jest bardziej skomplikowana. – Takie samo uzasadnienie podał wcześniej

Hayden, ale zdaniem Starkeya to nie jest żadne wytłumaczenie, tylko wymówka.

– Więc po prostu pozwalasz, żeby ich zabierano na podzielenie, i jesteś zadowolony?

– Nie! Ale mamy ograniczone możliwości działania!

– Powiedz raczej, że macie bardzo mało możliwości działania!

Wtedy Connor stracił cierpliwość, co ostatnio zdarza mu się coraz częściej.

– A co, gdybyś ty tu rządził, wysadzalibyśmy w powietrze ośrodki donacyjne? Tak nie wygramy tej bitwy! To sprawi tylko, że władze będą jeszcze ostrzej traktować każdego Podzielonego i każdego, kto złamie ZOMZ.

Starkey chciał kontynuować kłótnię. Najchętniej postawiłby Connora pod ścianą i przybił go do niej gwoździami za pozostawianie bocianich podrzutków ich losowi, ale zamiast tego wycofał się.

– Przepraszam – powiedział. – Wiesz, ile dla mnie znaczą bocianie podrzutki.

– Twoja pasja to dobra rzecz – odpowiedział Connor – pod warunkiem, że będziesz na nią patrzył z odpowiedniej perspektywy.

Starkey mógłby go trzasnąć w pysk za te słowa, ale zamiast tego jedynie uśmiechnął się, przytaknął i odszedł, czerpiąc otuchę ze świadomości, że już wkrótce to Connor znajdzie się w obliczu zupełnie nowej perspektywy.

* * *

Podczas gdy Connor z Haydenem poszerzają w KomBomie swoją wiedzę historyczną, Starkey odpoczywa pod odrzutowcem rekreacyjnym, demonstrując widzom proste sztuczki karciane i zachwycając ich pokazywanymi z bliska iluzjami, które mógłby wykonać nawet przez sen. Jest Bociania Godzina. Od siódmej do ósmej wieczorem. Najlepszy czas. Pod odrzutowcem rekreacyjnym wieje przyjemny wietrzyk. To cudowna pora dnia. Starkey wysłał jednego z bocianich podrzutków, żeby przyniósł mu coś do picia, bo sam nie ma ochoty wstawać z wygodnego krzesła. Nie po ciężkim dniu pichcenia żarcia – chociaż zasadniczo nie zajmuje się tym osobiście, nadzorowanie podwładnych potrafi nieźle dać w kość.

Drakę, wiejski chłopak, który odpowiada za „zieloną aleję”, przechodzi obok, posyłając im niechętnie spojrzenie. Starkey piorunuje go wzrokiem w odpowiedzi i podejmuje w duchu decyzję. Kiedy przejmie kontrolę nad obozem, nowe Całe Ciało Decyzyjne będzie się składać w całości z bocianich podrzutek. Drakę zostanie zdegradowany do zbierania fasoli albo sprzątania kurzych kup. Wiele rzeczy ulegnie zmianie, kiedy Starkey obejmie władzę, i niech Bóg pomoże każdemu, kto nie znajdzie się w jego łaskach.

– Może ruszysz tyłek i zagrasz ze mną w bilarda? – pyta Bam, wycelowując w niego swój kij niczym harpun. – Co, jestem tak dobra, że twoja męskość czuje się zagrożona?

– Uważaj, Bam – ostrzega ją Starkey. Nie zamierza z nią grać, bo wie, że dziewczyna na pewno go pokona. Pierwsza zasada współzawodnictwa: nigdy nie przyjmuj propozycji, jeśli wiesz, że przegrasz. Oczywiście Starkey zawsze przegrywa, kiedy gra z Connorem, ale to co innego. To jest zamierzone i Starkey pilnuje, żeby reszta bocianich podrzutek miała tego świadomość.

Kawałek dalej przy głównej alei Connor z Haydenem schodzą po schodkach KomBomu.

– Jak myślisz, co ci dwaj kombinują? – pyta Barn.

Starkey zachowuje swoją opinię dla siebie.

– Ja myślę, że to parka gejów – mówi inny podrzutek.

Starkey odwraca się do niego.

– Paulie, jesteś jedyną znaną mi osobą, która ciągle gapi się na tyłek Connora.

– Nieprawda! – Ale rumieniec Pauliego świadczy, że jest dokładnie na odwrót.

W końcu Starkey wstaje, żeby lepiej przyjrzeć się sytuacji. Connor i Hayden żegnają się. Hayden odchodzi w stronę latryny, a Connor wraca do swojego prywatnego małego odrzutowca.

– Z Tracem też spotykał się ostatnio na osobności – mówi Barn. – Ale z tobą nie dzielił się żadnymi sekretami, nie?

Starkey ukrywa swoją furię spowodowaną tym, że został wykluczony z tajnych planów Connora.

– Widocznie nie ma żadnych zastrzeżeń do wyżywienia obozu.

– Dobrze utuczona krowa – rzuca Barn z szerokim uśmiechem. – W sam raz do zarżnięcia.

– Zabraniam ci tak się wyrażać o naszym głównodowodzącym.

Barn odwraca się i spluwa na ziemię.

– Ależ z ciebie śmierdzący hipokryta. – Potem wraca do gry w bilard z dziećmi, które nie mają szans z nią wygrać.

Jednak Starkey nie czuje potrzeby, żeby obgadywać Connora. Narzekanie jest dobre dla ludzi, którzy nie dysponują planem działania – a dziś wieczorem Starkey ma w zanadrzu coś nowego. Prezent dla Connora. To dar od Jeevana, którego umiejętności komputerowe sprawiły, że został przydzielony do KomBomu, i tak się składa, że jest również lojalnym członkiem Bocianiego Klubu. Oczywiście nie wie o tym nikt oprócz Starkeya.

„Jeeves” jest jednym z dwójki strategicznie rozmieszczonych „tajnych agentów”, którzy postanowili służyć jemu, a nie Connorowi. I przyniósł fantastyczne trofeum. Starkey przechowuje je już od jakiegoś czasu, czekając na odpowiedni moment. Dochodzi do wniosku, że właśnie teraz – kiedy Connor najwyraźniej odzyskuje równowagę – nadeszła chwila, żeby rozpakować to чудо... i wyszarpnąć mu dywan spod nóg.



41. CONNOR

Connor siedzi samotnie w swoim odrzutowcu, gapiąc się w przestrzeń i próbując sobie poukładać w głowie wszystko, czego się dowiedział. *Nie jesteśmy w stanie zlikwidować podzielenia* – powiedział mu kiedyś Admirał. – *Możemy co najwyżej ratować tyle młodzieży, ile zdołamy.* – Ale po obejrzeniu tych wszystkich starych doniesień prasowych Connor zaczyna przeczuwać, że może Admirał się mylił. Może istnieje sposób, żeby zlikwidować podzielenie. Jeśli tylko Connor zdoła dociec, jak wyciągnąć odpowiednie wnioski z minionych wydarzeń...

Późnym wieczorem wciąż jeszcze rozmyśla o mrocznych cieniach przeszłości, kiedy do jego odrzutowca przychodzi Starkey. Connor otwiera włącznik.

– Co tam? Jakiś problem?

– Ty będziesz musiał mi powiedzieć, czy to problem – rzuca enigmatycznie Starkey. – Mogę wejść?

Connor wpuszcza go do środka.

Miałem morderczy dzień, więc lepiej, żeby to było coś ważnego.

– Masz tu telewizor, prawda?

Connor wskazuje odbiornik.

– Tak, ale bez anteny, a kolor jest do kitu.

– Nie potrzeba anteny, a kolor nie będzie miał znaczenia, kiedy zobaczysz, co przyniosłem. – Starkey wyciąga miniaturowy pendrive i podłącza go do odpowiedniego portu. – Powinieneś usiąść.

Connor parska śmiechem.

– Dzięki, postoję.

– Jesteś pewien?

Connor posyła mu zdziwione spojrzenie. Stoi i czeka, aż na ekranie pojawi się obraz.

Natychmiast rozpoznaje ten program. To cotygodniowy magazyn informacyjny, który Connor oglądał w przeszłości wiele razy. Znana mu dziennikarka omawia aktualny temat. W tle widnieje napis: „Anioł podzielenia”.

– *Nieco ponad rok temu w miejscowości Happy Jack – zaczyna kobieta – klakierzy zniszczyli placówkę, gdzie dokonywano podzielen. Społeczne i polityczne konsekwencje tego zamachu oglądamy po dziś dzień, a teraz jedna dziewczyna – niesławna uczestniczka tego wydarzenia – postanowiła przemówić. Jednakże to, co ma do przekazania, brzmi inaczej, niż myślicie. Możliwe, że już widzieliście ją w rozmaitych reklamach społecznych emitowanych na wszystkich kanałach. Z dnia na dzień ta przestępczyni poszukiwana przez Urząd do Spraw Małoletnich stała się twarzą kampanii na rzecz podzielenia. Tak, nie przeszłyszeliście się: NA RZECZ podzielenia. Nazywa się Risa Ward i prędko jej nie zapomnicie.*

Connor wciąga głęboki, rozedrgany oddech i uzmysławia sobie, że Starkey miał rację – musi usiąść. Nogi praktycznie załamują się pod nim, gdy opada na fotel.

Studio znika i na ekranie pojawia się Risa, z którą ta sama dziennikarka przeprowadza wywiad w luksusowo urządzonym pomieszczeniu. Coś w wyglądzie Risy uległo zmianie, ale Connor nie potrafi jeszcze określić, co konkretnie.

– *Riso – zaczyna dziennikarka – byłaś wychowanką domu dziecka skierowaną na podzielenie, stałaś się współpracowniczką słynnego ZOMZ-a z Akron, a później trafiłaś do ośrodka donacyjnego w Happy Jack, gdzie byłaś świadkiem jego śmierci. Jak to możliwe, że po tym wszystkim wyrażasz publicznie poparcie dla podzielenia?*

Risa waha się, a potem odpowiada:

– *To skomplikowane.*

Starkey splata ręce na piersi.

– Taa, założę się, że tak.

– Cicho! – rzuca Connor.

– *Czy możesz nam to wyjaśnić krok po kroku?* – pyta dziennikarka z zachęcającym uśmiechem, który Connor chętnie zmasałyby jej z twarzy ciosem Rolandowej pięści.

– *Powiedzmy, że teraz patrzę na to z innej perspektywy niż wcześniej.*

– *Zaczęłaś postrzegać podzielenie jako coś dobrego?*

– *Nie, podzielenie jest czymś strasznym* – odpowiada dziewczyna, i Connor czuje przyływ nadziei... do czasu, gdy Risa mówi: – *ale to najmniejsze zło. Podzielenie istnieje z określonych powodów, a bez niego świat wyglądałby zupełnie inaczej.*

– *Przepraszam, że zwracam na to uwagę, ale łatwo ci mówić takie rzeczy teraz, kiedy skończyłaś siedemnaście lat i już nie można cię podzielić.*

– *Bez komentarza* – odpowiada Risa, a Connor ma wrażenie, że ktoś wbił mu sztylet w brzuch i powoli wkręca go coraz głębiej.

– *Porozmawiajmy o stawianych ci zarzutach* – mówi dziennikarka, zaglądając do notatek. – *Kradzież własności państwowej, to znaczy ciebie samej; spisek w celu popełnienia aktów terroryzmu; spisek w celu popełnienia morderstwa. Niemniej, wszystkie zarzuty wobec ciebie zostały wycofane. Czy ma to coś wspólnego z twoją nagłą zmianą zdania?*

– *Nie będę zaprzeczać, że zaoferowano mi ugodę* – odpowiada Risa – *ale nie jestem tutaj dlatego, że wycofano te zarzuty.* – *Potem robi bardzo prostą rzecz; coś, na co nikt z zewnątrz nie zwróciłby najmniejszej uwagi, z wyjątkiem osób, które ją znały...*

Risa zakłada nogę na nogę.

Connor czuje się tak, jakby z wnętrza odrzutowca uciekło całe powietrze. Nie zdziwiłby się, gdyby z sufitu opadły maski tlenowe.

– *Jeśli sądzisz, że to paskudne, posłuchaj tego, co będzie dalej* – mówi Starkey, który sprawia wrażenie, jakby dobrze się bawił.

– *Riso, czy określiłabyś swoją zmianę zdania jako kwestię wygody czy kwestię sumienia?*

Risa poświęca chwilę, żeby gruntownie przemyśleć swoją odpowiedź, ale to nie czyni jej słów mniej miażdżącymi.

– *Ani jedno, ani drugie* – odpowiada. – *Po wszystkim, przez co przeszłam, stwierdzam, że nie mam wyboru. Wyrażam publicznie poparcie dla podzielenia, bo jest to konieczne.*

- Wyłącz to – mówi Connor.
- Jest jeszcze więcej. Naprawdę powinieneś usłyszeć końcówkę.
- Powiedziałem, wyłącz to!

Starkey wyciąga rękę i wyłącza telewizor, a Connor czuje, jak jego umysł zatrząskuje się niczym ognioodporne drzwi, którymi można się odgrodzić od wszystkiego, co jest zbyt niebezpiecznie gorące. Wie jednak, że już za późno – ogień zdążył się przedostać do środka. W tej chwili Connor żałuje, że nie został podzielony przed rokiem. Żałuje, że Lev przybiegł i go uratował. Gdyby nie on, Connor nie musiałby teraz czuć tego, co czuje.

- Czemu mi to pokazałeś?

Starkey wzrusza ramionami.

- Uznałem, że masz prawo wiedzieć. Hayden wie, ale ukrywał to przed tobą. Myślę, że to błąd i że wcale nie wyświadczył ci w ten sposób przysługi. Kiedy wiesz, kto jest twoim przyjacielem, a kto wrogiem, może cię to tylko wzmocnić, no nie?

- Taa, jasne – odpowiada z roztargnieniem Connor.

Starkey ściska jego ramię.

- Nic się nie stało, przeżyjesz to. Wszyscy tu jesteśmy gotowi cię wesprzeć.
- Potem wychodzi, wypełniwszy swoją misję oświecenia go.

Connor długo siedzi bez ruchu. Chociaż wie, że musi być wystarczająco silny, żeby udźwignąć ten ciężar, czuje się tak rozdarty wewnętrznie, że nie wie, jak ma przeżyć najbliższą noc, a co dopiero opiekować się setkami Podzielonych w nadchodzących dniach. Wszystkie ambitne plany, żeby ujawnić przeszłość i w ten sposób doprowadzić do likwidacji podzielenia, implodują w jedną rozpaczliwą myśl.

Risa. Risa. Risa.

Brak mu sił. Czy Starkey nie zdawał sobie sprawy, że doprowadzi go do załamania? Albo jest głupszy niż Connor sądził... albo jest dużo, dużo sprytniejszy.



42. STARKEY

Jeeves przynosi Starkeyowi kopię listy zleconych walnie podzielen. Tylko trzy nastolatki na tej liście zostały oznaczone jako „kwalifikujące się do uratowania” i nie ma wśród nich żadnego bocianiego podrzutka. Ale dziś jest dzień, kiedy wszystko się zmienia. Na liście, zignorowany i zapomniany, figuruje chłopak podrzucony przez bociana.

Jesus LaVega
287 North Brighton Lane

No cóż, Connor nie ma monopolu na ratowanie Podzielonych. Najwyższy czas, żeby Starkey wziął sprawy w swoje ręce.

– Hej, my ocalimy Jezusa, a nie on nas – mówi ktoś, kiedy Starkey objaśnia Bocianiemu Klubowi swój plan. Inny dzieciak wali tamtego po głowie.

– To się wymawia *Hesus*, kretynie.

Ale bez względu na to, jak Jesus wymawia swoje imię, już wkrótce ratunek spadnie mu jak z nieba.

* * *

O jedenastej wieczorem, w przeddzień przyjazdu hycli Starkey i dziewięciu członków Bocianiego Klubu szturmują dom przy 287 North

Brighton Lane. Są uzbrojeni, bo Starkey włamał się do arsenału. Mają do dyspozycji auta bo dzieciak odpowiedzialny za konserwację pojazdów jest lojalnym członkiem Bocianiego Klubu.

Nie pukają, nie dzwonią. Wyważają drzwi, zarówno frontowe, jak i tylne, wpadając do domu niczym drużyna SWAT robiąca nalot na kryjówkę handlarzy kokainą.

Wrzeszcząca kobieta zagania dwójkę małych dzieci do pokoju. Starkey nie widzi nikogo w odpowiednim wieku, żeby mógł być celem ich akcji ratunkowej. Wbiega do salonu akurat w porę, żeby zobaczyć, jak mężczyzna łapie pręt do zasłon – najlepszą broń, jaką zdołał znaleźć na poczekaniu. Starkey rozbraja go z łatwością i popycha pod ścianę, celując z pistoletu maszynowego w jego klatkę piersiową.

– Jesus LaVega. Powiedz mi, gdzie jest. Ale już!

Oczy ojca zerkają w panice tu i tam, potem nieruchomieją, wpatrując się w jakiś punkt za Starkeyem. Starkey odwraca się w samą porę, żeby zobaczyć lecący ku niemu kij bejsbolowy. Schyla się szybko, a cios mija jego głowę o dwa centymetry. Nastolatek dzierżący kij jest przypakowany niczym zapaśnik.

– Nie! Przestań! Jesteś Jesus LaVega, prawda? Przyjechaliśmy cię ratować!

Ale to nie powstrzymuje Jesusa od kolejnego ciosu kijem, który trafia Starkeya w bok. Eksplozja bólu. Starkey upada, jego broń ląduje za sofą, a Jesus staje nad nim, mocno trzymając kij. Starkey nie może złapać tchu. Żebra tak strasznie go bołą, że wdycha powietrze płytkimi, rozpaczliwymi haustami.

– Hycle! Tutaj! Jutro! – wydusza z siebie. – Twoi rodzice! Chcą cię podzielić!

– Już ci wierzę! – odpowiada Jesus i zamierza się kijem, gotów walnąć go ponownie. – Uciekaj, tato! Uciekaj stąd! – Mężczyzna usiłuje pośpiesznie opuścić pokój, ale zostaje zapędzony w kąt przez inne bocianie podrzutki. Czy ten dzieciak nie rozumie? Nie dociera do niego, że rodzice już podpisali zlecenie jego podzielenia? Jesus LaVega napina mięśnie, żeby zadać cios, ale w tym samym momencie jeden z towarzyszy Starkeya podbiega do niego od tyłu z masywną statuetką – nagrodą z zawodów w futbolu – i wali go w głowę marmurowym postumentem. Ciężka kamienna bryła trafia Jesusa w potylicę i chłopak momentalnie osuwa się jak podcięty. Złamana statuetka upada na podłogę.

- Coś ty zrobił! – wrzeszczy Starkey.
- Zabiłby cię! – odkrzykuje tamten podrzutek.

Starkey klęka nad Jesusem. Z głowy powalonego cieknie krew, wsiąkając w dywan. Jego oczy są półotwarte. Starkey szuka pulsu, ale nie znajduje, a kiedy odwraca głowę nastolatka, widzi, że ciężki postument statuetki zmiażdżył mu czaszkę. Jedno jest pewne: Jesus LaVega nie zostanie podzielony. Bo nie żyje.

Starkey spogląda na dzieciaka, który to zrobił. Tamten jest tak spanikowany, że w jego oczach pojawiają się łzy.

- Nie chciałem, Starkey! Naprawdę! Przysięgam! Zabiłby cię!
- To nie twoja wina – mówi mu Starkey, po czym odwraca się do ojca, który został zagoniony do kąta niczym Pająk.
- Wyście to zrobili! – wrzeszczy Starkey. – Trzymaliście go tu przez całe życie tylko po to, żeby kazać go podzielić. Obchodzi was w ogóle, że jest martwy?

Mężczyzna jest przerażony tą informacją.

- M... martwy? Nie!
- Nie udawaj, że cię to obchodzi! – Starkey nie jest w stanie dłużej się kontrolować. Nie zdoła się powstrzymać. Ten człowiek – ten potwór, który chciał podzielić podłożone mu dziecko – musi zapłacić za to, co zrobił!

Ignorując ból w boku, Starkey wymierza mężczyźnie kopniaka w tors. *To on powinien czuć ten ból, nie ja. Powinien go czuć od początku do końca!* Starkey kopie jeszcze raz, i jeszcze. Mężczyzna wrzeszczy, mężczyzna jęczy, ale Starkey nadal go flekuje, nie potrafi przestać – tak jakby napędzała go furia każdego niemowlęcia zostawionego na cudzym progu, każdego niechcianego dziecka, wszystkich nastolatków, które były traktowane jak coś gorszego niż człowiek tylko dlatego, że własne matki nie chciały ich zatrzymać.

W końcu jeden z pozostałych podrzuteków łapie Starkeya i odciąga go.

- Wystarczy, chłopie – mówi. – Już do niego dotarło.

Skatowany, pokrwawiony mężczyzna wciąż jeszcze ma dość siły, żeby wypełznąć przez drzwi. Reszta jego rodziny też uciekła do sąsiadów. Przymuszalnie zadzwonili na policję, i Starkey uświadamia sobie, że nie może teraz przestać, posunął się za daleko – musi to doprowadzić do końca. Owszem, dzieciak, którego przyjechali uratować, nie żyje, ale ta noc nie

może się na tym zakończyć. Musi stać się symbolem czegoś. Musi być coś warta. Nie tylko dla Starkeya, ale również dla pozostałych bocianich podrzutek.

– Niech to będzie ostrzeżenie! – krzyczy przez frontowe drzwi, podczas gdy mężczyzna ucieka kulejąc. Starkey spostrzega sąsiadów na gankach. Obcy usłyszą jego słowa. Bardzo dobrze! Pora, żeby ludzie zaczęli słuchać. – Niech to będzie ostrzeżenie – woła ponownie – dla wszystkich, którzy chcieliby podzielić bocianiego podrzutek! Wszyscy dostaniecie to, na coście zasłużyli! – Potem w przypiływie inspiracji przebiega przez dom i wpada do garażu.

– Starkey! – krzyczy za nim jeden z pozostałych. – Co ty do cholery wyprawiasz?

– Zobaczycie!

W garażu znajduje kanister z benzyną. Wypełniony tylko do połowy, ale to wystarczy. Starkey biegnie do domu i rozlewa wszędzie paliwo, a na półce nad kominkiem znajduje pudełko zapalek.

Chwilę później już pędzi przez trawnik w stronę swoich przyjaciół, którzy czekają w dżipach, podczas gdy w budynku za jego plecami narasta złowroga poświata. Kiedy pośpiesznie wsiada do jednego z wozów, w oknach pojawiają się płomienie, a kiedy dżipy ruszają z piskiem opon i wtapiają się w noc, szyby zaczynają pękać i ze środka, gdzie szaleje pożar, buchają kłęby dymu. Cały dom zmienił się w widoczną z daleka pochodnię obwieszczającą światu, że Mason Starkey tu był – i że to dopiero początek.



43. LAWINA

Podpisuję niniejszy dokument z własnej i nieprzymuszonej woli.

To była ostatnia linijka formularza zgody, na którym Risa Ward złożyła podpis, tak jak zapowiedziała Roberta. Podpisanie tego formularza oznaczało, że dziewczyna dostanie z powrotem kręgosłup i władzę w nogach, ale nie tylko. Zapoczątkowało też kaskadę wydarzeń, których Risa nie mogła przewidzieć, a które zostały mistrzowsko zaaranżowane przez Robertę, jej współpracowników oraz fundusze, którymi dysponowali.

Podpisuję... z własnej i nieprzymuszonej woli.

Risa nigdy nie jeździła na nartach – wychowankowie domów dziecka nie mieli dostępu do takich luksusów. Mimo to ostatnio śni jej się, że zjeżdża na nartach po ekstremalnie niebezpiecznym zboczu, uciekając przed pędzącą jej śladem lawiną. Nie może się zatrzymać, póki nie dotrze na sam dół lub nie runie w przepaść.

...z własnej i nieprzymuszonej woli.

Zanim w mediach pojawią się wywiady z nią, reklamy społeczne, zanim w ogóle się dowie, czego od niej zażądatają, uszkodzony kręgosłup Risy zostaje wymieniony na nowy i dziewczyna budzi się z trwającej pięć dni śpiączki farmakologicznej, żeby powitać swoje nowe wspaniałe życie.



44. RISA

Powiedz mi, czy to czujesz – mówi pielęgniarka, drażniąc duży palec Risy paseczkiem plastiku. Risa mimo woli łapie oddech. Tak, czuje – i nie jest to złudzenie. Czuje pościel dotykającą jej nóg. Znowu czuje swoje palce u stóp. Próbuje nimi poruszyć, ale nawet ten drobny wysiłek sprawia, że boli ją całe ciało.

– Nie próbuj się ruszać, kochanie – mówi pielęgniarka. – Pozwól, żeby środki przyspieszające gojenie zrobiły, co do nich należy. Wykorzystujemy przyspieszacze drugiej generacji. Za dwa tygodnie będziesz już mogła chodzić.

Te słowa sprawiają, że serce Risy zaczyna bić szybciej. Chciałaby, żeby połączenie między jej sercem a umysłem było bardziej bezpośrednie – żeby ta połowa jej osoby, która tego wszystkiego nie chce, mogła twardo kontrolować tę drugą, która chce. Bo chociaż jej umysł chciałby gardzić tym, co dla niej zrobiono, ta część Risy, która nie zna rozsądku, jest uradowana, że już wkrótce będzie mogła samodzielnie utrzymać równowagę i poruszać się na własnych nogach.

– Oczywiście będziesz potrzebowała długiej rehabilitacji, ale nie aż tak długiej, jak można byłoby sądzić. – Pielęgniarka sprawdza aparaciki przymocowane do jej nóg. To elektryczne stymulatory które pobudzają jej mięśnie, każąc im się kurczyć, co odbudowuje zatrofizowane włókna mięśniowe i przywraca im właściwe napięcie. Każdego dnia Risa czuje się tak, jakby przebiegła całe mile, chociaż na razie nie opuszcza łóżka.

Nie znajduje się już w celi. Nie jest to też prawdziwy szpital. Dziewczyna ma wrażenie, że to jakaś prywatna rezydencja. Za oknem swojego pokoju słyszy huk oceanu.

Zastanawia się, czy personel wie, kim ona jest i co ją spotkało. Postanawia z nikim o tym nie rozmawiać, bo to zbyt bolesne. Lepiej po prostu żyć z dnia na dzień i czekać, aż ponownie przyjdzie do niej Roberta, żeby powiedzieć Risie, co musi zrobić, aby wypełnić postanowienia tak zwanego kontraktu.

Jednakże to nie Roberta ją odwiedza, a Cam. Jest ostatnią osobą, jaką Risa ma ochotę oglądać – jeśli w ogóle można go określić mianem osoby. Jego włosy trochę urosły od czasu, gdy ostatnio go widziała, a blizny na twarzy stały się cieńsze. Teraz ledwo widać grubszą linię szwu w miejscach, gdzie stykają się płyty skóry różnego koloru.

– Chciałem zobaczyć, jak się czujesz – mówi.

– Niedobrze mi – odpowiada Risa – ale tylko od momentu, kiedy tu wszedłeś.

Cam podchodzi do okna i trochę bardziej rozchyła żaluzje, wpuszczając do środka pasy popołudniowego światła. Szczególnie głośna fala rozbija się o brzeg za oknem.

– Ocean to wspaniały mistrz harmonii – mówi scalony chłopak, cytując kogoś, o kim Risa przypuszczalnie nigdy nawet nie słyszała. – Kiedy będziesz już mogła chodzić – ciągnie Cam – powinnaś obejrzeć widok ze swojego okna. O tej porze dnia jest naprawdę ładny.

Dziewczyna nie odpowiada. Po prostu czeka, aż niechciany gość wyjdzie, ale on nie wychodzi.

– Chcę wiedzieć, czemu mnie nienawidzisz – mówi. – Nic ci nie zrobiłem. Nawet mnie nie znasz, ale mnie nienawidzisz. Czemu?

– Nie nienawidzę cię – wyjawia Risa. – Nie ma żadnego „ciebie”, którego można byłoby nienawidzić.

Cam podchodzi do jej łóżka.

– Jestem tutaj, czyż nie? – Kładzie jej dłoń na własnej, a dziewczyna cofa swoją.

– Nie obchodzi mnie, kim albo czym jesteś. Nikomu nie wolno mnie dotykać.

Cam zastanawia się przez chwilę, po czym mówi jak najbardziej serio:

– W takim razie czy chciałabyś dotknąć *mnie*? Możesz obmacać wszystkie szwy. Możesz zobaczyć, co mnie czyni mną.

Risa nawet nie zaszczyca go reakcją na tę propozycję.

– Myślisz, że dzieci, które podzielono, żeby stały się częścią ciebie, chciały tego?

– W przypadku dziesięcirodnych odpowiedź brzmi „tak” – odpowiada Cam – a niektóre były dziesięcirodnymi. Gdy zaś chodzi o pozostałych, nie mieli wyboru... podobnie jak ja nie miałem wyboru, kiedy powołano mnie do życia.

I wtedy, mimo furii, jaką czuje w stosunku do ludzi, którzy go stworzyli, Risa uzmysławia sobie, że Cam – podobnie jak wszystkie nastolatki, które zostały podzielone, żeby go stworzyć – też jest ofiarą.

– Czemu tu jesteś? – pyta go.

– Znam mnóstwo odpowiedzi na to pytanie – mówi dumnie Cam. – „Celem ludzkiej egzystencji jest rozpalenie światła w ciemności prostego istnienia.” Carl Jung.

Risa wzdycha sfrustrowana.

– Nie, dlaczego tu jesteś, w tym miejscu, i ze mną rozmawiasz? Jestem pewna, że Proaktywne Siły Obywatelskie mają ważniejsze zadania dla swojego prototypu niż rozmowy ze mną.

– Gdzie serce twoje – odpowiada Cam. – Ee... to znaczy... Jestem tu, bo to mój dom. Ale jestem tu również dlatego, że chcę tu być.

Uśmiecha się do niej, a Risa nienawidzi faktu, że jego uśmiech jest szczerzy. Dziewczyna musi sobie stale przypominać o tym, że to w ogóle nie jego uśmiech. Ten twór został obleczony w cudze tkanki, a gdyby zedrzyć z niego to wszystko, okazałoby się, że w środku nic nie ma. Trudno go uznać za coś więcej niż okrutne oszustwo.

– Co, całą korę mózgową dostałeś zaprogramowaną z góry? Masz głowę pełną implantów korykalnych od najlepszych i najbystrzejszych?

– Nie całą – odpowiada cicho Cam. – Dlaczego ciągle obciążasz mnie odpowiedzialnością za rzeczy, nad którymi nie miałem żadnej kontroli? Jestem tym, czym jestem.

– Słowa godne prawdziwego boga.

– Zasadniczo – prostuje chłopak nieco zaczepnie, wyraźnie w rewanżu za jej ton – Bóg powiedział „Jestem, *który* jestem”, jeśli trzymasz się

najpopularniejszego tłumaczenia.

– Nie mów, że masz wprogramowaną całą Biblię.

– W trzech językach – odpowiada Cam. – Znowu, to nie moja wina, po prostu tam jest.

Risa aż musi się roześmiać wobec takiej bezczelności jego twórców – czy przyszło im do głowy, że napełnienie go wiedzą biblijną podczas zabawy w Boga to absolutny szczyt pychy?

– Poza tym nie mam jej wyrytej na blachę od początku do końca, po prostu z grubsza kojarzę różne rzeczy.

Dziewczyna patrzy na niego, zastanawiając się, czy nagła zmiana stylu wypowiedzi z uniwersyteckiego na nieformalno-slangowy to żart, ale domyśla się, że nie. Zgaduje, że gdy impulsy przebiegają przez połączenia nerwowe między różnymi kawałkami jego mózgu, Cam zaczyna gadać raz tak, raz siak.

– Czy mogę zapytać, co sprawiło, że zmieniłaś zdanie? – pyta teraz chłopak. – Czemu zgodziłaś się na operację?

Risa odwraca wzrok.

– Jestem zmęczona – mówi, chociaż to nieprawda, i odwraca się do niego plecami. Nawet zwykłe przekręcenie się w łóżku na bok to czynność, która nie przysłaby jej łatwo przed operacją.

Kiedy staje się jasne, że Risa mu nie odpowie, Cam pyta:

– Czy mogę znowu przyjść się z tobą zobaczyć?

Dziewczyna nadal leży plecami do niego.

– Bez względu na to, co powiem, i tak przyjdiesz, więc po co zadajesz to pytanie?

– No cóż – odpowiada Cam przed opuszczeniem pokoju – byłoby miło dostać pozwolenie.

Risa przez długi czas leży w tej samej pozycji, próbując nie pozwolić sobie potraktować poważnie którejkolwiek z myśli krążących po jej głowie. W końcu zasypia. Tej nocy po raz pierwszy śni o lawinie.

W dniu, gdy Risa zaczyna chodzić – zaledwie tydzień, a nie dwa tygodnie po przebudzeniu – Roberta przebywa gdzieś poza rezydencją, zajmując się sprawami biznesowymi. Ten dzień sprawia, że skonfliktowane uczucia dziewczyny eskalują aż do wybuchu. Wolałyby, żeby to przeżycie pozostało

czymś osobistym zamiast musieć się nim dzielić, ale Cam jak zwykle zjawia się nieproszony.

– Kamień milowy! To doniosła chwila – oznajmia wesoło. – Powinien być przy tym przyjacielem.

Gdy Risa posyła mu lodowate spojrzenie, natychmiast się wycofuje.

– A ponieważ nie ma tu żadnych przyjaciół, ja będę musiał wystarczyć.

Pielęgniarka, który bardziej przypomina napakowanego sterydami armiaka, ujmuje Risę za ramię i pomaga jej zsunąć nogi z łóżka. Nieziemsko dziwnie jest czuć, że są wyciągnięte prosto nad podłogą. Dziewczyna chwiejnie zgina kolana do momentu, gdy czuje, że czubki jej palców dotykają drewnianego parkietu.

– Powinni położyć na podłodze dywanik – mówi Cam do schabowatego pielęgniarki. – Miałyby bardziej miętko.

– Na dywaniku można się pośliznąć – odpowiada pielęgniarka.

Podczas gdy obaj ją podtrzymują, jeden z jednej strony, drugi z drugiej, Risa dźwiga się na nogi. Pierwszy krok okazuje się najtrudniejszy. Przypomina wleczenie stopy przez błoto, ale już drugi krok przychodzi jej zaskakująco łatwo.

– Brawo, mała! – woła pielęgniarka, jakby chwalił niemowlę stawiające pierwsze kroczki. W pewnym sensie tak właśnie jest. Risa zupełnie nie potrafi utrzymać równowagi i ma wrażenie, że kolana lada chwila załamają się pod nią, ale tak się nie dzieje.

– Nie zatrzymuj się – mówi Cam. – Świetnie ci idzie! – Przy piątym kroku Risa już nie jest w stanie opanować dzikiej radości, którą dotąd tłumiała. Uśmiecha się szeroko. Zaczyna jej brakować tchu i dziewczyna chichocze upojona tym prostym, cudownym faktem, że znów chodzi.

– Udało się – mówi Cam. – Radzisz sobie! Znów jesteś cała, Riso! Masz prawo się tym cieszyć!

I chociaż dziewczyna nie uważa, żeby to była prawda, nie potrafi zabić w sobie uroku tej chwili.

– Okno! – mówi. – Chcę wyrzeć przez okno.

Gdy obracają się ostrożnie, żeby skrócić w stronę okna, schabowaty pielęgniarka na próbę puszcza dziewczynę i teraz Risę podtrzymuje już tylko Cam. Ręka dziewczyny obejmuje jego ramiona, a jego ręka – jej talię. Risa chciałaby się wściec, że znalazła się w tej pozycji, ale jej wściekłość zostaje zagłuszona przez natłok upajających bodźców docierających do mózgu

ze stóp, stawów skokowych, łydek i ud; tych części jej ciała, które zaledwie kilka dni wcześniej nie czuły zupełnie nic.



45. CAM

Cam znalazł się w siódmym niebie. Risa go obejmuje. Wspiera się na nim. Scalony chłopak próbuje sobie wmówić, że oto nadszedł moment, kiedy wszystkie bariery padną. Jest przekonany, że dziewczyna odwróci się do niego i pocałuje go, zanim jeszcze dojdą do okna.

Jej ręce mocno wczepiają się w jego szyję. Ten ucisk uraża znajdujący się tam szew, ale to miłe uczucie. Cam wyobraża sobie Risę naciskającą na wszystkie jego szwy, tak żeby zaboląły. Żaden ból nie mógłby mu sprawić równie wielkiej przyjemności.

Docierają do okna. Bez pocałunku, ale dziewczyna nie zwolniła też uścisku. Nie może tego zrobić, bo upadnie, ale Cam chce wierzyć, że obejmowałyby go tak czy owak.

Tego ranka morze jest wzburzone. Piana bryzga wysoko w powietrze, gdy czterometrowe grzywacze wałę o brzeg. W oddali widać wyspę.

– Nikt mi jeszcze nie powiedział, gdzie jesteśmy.

– Moloka i – odpowiada Cam. – Hawaje. Na tej wyspie mieściła się kiedyś kolonia trędowatych.

– I Roberta jest właścicielką tej posiadłości?

Cam wyczuwa nieskrywaną gorycz w tonie, jakim Risa wypowiada imię kobiety.

– Posiadłość należy do Proaktywnych Sił Obywatelskich. Prawdę mówiąc wydaje mi się, że należy do nich mniej więcej pół tej wyspy. Ten budynek był kiedyś wakacyjną rezydencją jakiegoś bogatego gościa, ale został przez nich

przerobiony na ośrodek medyczno-badawczy, a Roberta kieruje działem medycyny eksperymentalnej.

– Jesteś jej jedynym projektem?

Camowi aż do tej pory przez myśl nie przeszło, żeby się nad tym zastanawiać. Z tego co mu wiadomo, jest dla Roberty pępkiem świata.

– Nie lubisz jej, prawda?

– Kto, ja? Nie no, po prostu ją uwielbiam. Wredne, podstępne babsztyłe to mój ulubiony typ człowieka.

Cam czuje nagły odruch obronny oraz nieoczekiwaną falę gniewu.

– Czerwone światło! – rzuca. – Ona jest dla mnie namiastką matki.

– Z dwojga złego już lepiej byłoby być bocianim podrzutkiem.

– Łatwo ci mówić. Wychowałaś się w bidulu, więc nawet nie wiesz, czym jest matka.

Risa gwałtownie wciąga oddech, po czym bierze zamach i policzkuje go mocno. Impet uderzenia sprawia, że traci równowagę i przewraca się do tyłu – ale przesadnie umięśniony pielęgniarz czuwa i łapie ją w porę. Posyła Camowi oskarżycielskie spojrzenie, po czym z powrotem kieruje uwagę na Risę.

– Wystarczy na dzisiaj – mówi. – Kładź się z powrotem.

Pomaga jej wrócić do łóżka, podczas gdy Cam stoi bezsilnie przy oknie, nie wiedząc, na kogo powinien się wściec – na siebie, na nią czy na pielęgniarza za to, że mu ją odebrał.

– Zapięło cię równomiernie, Cam? – pyta dziewczyna kąśliwie. – Czy też każdy z tych dzieciaków, od których dostałeś kawałki twarzy, odbiera bodźce inaczej?

– Zbroja! – rzuca Cam, nie pozwalając, żeby jej zaczepka trafiła go w miękki. – Kaganiec! – Nie może sobie pozwolić na to, żeby znów ją zaatakować. Nie może! Bierze głęboki oddech, wizualizując sobie wzburzone morze, które wygładza się i przemienia w lustrzaną taflę jeziora.

– Wiem, że zasłużyłem sobie na ten policzek – stwierdza spokojnie – ale uważaj, co mówisz na temat Roberty. Ja nie wyrażam się nieżyczliwie o ludziach, których kochasz; wyświadczy mi tę samą uprzejmość.

Cam daje Risie trochę wolnej przestrzeni. Wie, że ta zmiana w życiu dziewczyny musi być dla niej w równym stopniu traumatyczna co wspaniała. Nadal nie całkiem rozumie, co sprawiło, że Risa zmieniła

zdanie i zgodziła się na operację, wie jednak, że Roberta potrafi skutecznie przekonywać. Lubi wyobrażać sobie, że decyzja dziewczyny miała coś wspólnego z nim – że głęboko pod jej pierwszym odruchem wstrętu kryła się ciekawość, a może nawet podziw dla mozaiki, która została stworzona z tylu różniących się części. Nie dla tego, jak go poskładano w całość, ale tego, jak wziął, co mu dano, i sprawił, żeby wszystko działało.

Codziennie spożywają jeden posiłek wspólnie.

– To absolutnie konieczne – powtarza mu Roberta – żebyście wy dwoje jadali przy jednym stole, jeśli macie się kiedykolwiek żyć ze sobą. W czasie posiłków psychika jest najbardziej podatna na tworzenie więzi.

Wolałby, żeby Roberta nie definiowała wszystkiego z tak klinicznym chłodem. Wzajemne osvajanie się ze swoim towarzystwem nie powinno wykorzystywać „podatności” Risy na „tworzenie więzi”.

Risa jeszcze nie wie, że została tu sprowadzona po to, żeby zostać jego towarzyszką.

– Nie przyspieszaj tego – uprzedziła Cama Roberta. Musi zostać przygotowana do swojej roli, a wcześniej zaplanowaliśmy dla niej inne zadania. Wykorzystamy jej status ludowej legendy, żeby stworzyć dla niej wyrazistą tożsamość medialną, zanim publicznie obwieścimy, że jesteście parą. To będzie wymagało czasu. A póki co bądź wspaniałym, uroczym sobą. Jest twoja, podbij jej serce.

– A jeśli mi się nie uda?

– Wierzę w ciebie, Cam.

Bez względu na to, co robi w ciągu dnia, jego myśli ciągle krążą wokół Risy. Dziewczyna staje się nicią przewleczoną przez wszystkie szwy w jego umyśle, ciasniej związującą razem wszystkie odrębne części. I ona też rozmyśla o nim. Cam wie o tym, bo zauważył, że Risa przygląda mu się ukradkiem. Pewnego popołudnia gra w koszykówkę z ochroniarzem, który zakończył swój dyżur. Cam ściągnął koszulę, odsłaniając nie tylko szwy, ale i swoją perfekcyjnie wyrzeźbioną muskulaturę. Sześciopak boksera, potężna klata pływaka – nienagannie uformowane grupy mięśni kontrolowane przez świetnie wyćwiczoną korę motoryczną. Doskonałe połączenie. Risa stoi przy oknie w salonie, obserwując go w trakcie gry. Cam wie o tym, ale nie daje niczego po sobie poznać – po prostu porusza się na boisku ze spektakularną zręcznością, pozwalając, żeby jego ciało mówiło samo za siebie. Dopiero po zakończeniu rozgrywki zerka w górę na dziewczynę, żeby dać jej

do zrozumienia, że wcale nie podglądała go niezauważona, tylko z rozmysłem pozwoliła jej patrzeć. Risa cofa się od okna znikając w cieniu, ale oboje mają świadomość że go obserwowała. Nie dlatego, że musiała, ale dlatego, że chciała, a Cam wie, że to kluczowa różnica.



46. RISA

Risa wspina się po spiralnych schodach. Risa schodzi po spiralnych schodach. Risa ćwiczy z fizjoterapeutą Kennym, który ciągle jej powtarza, że jej ciało szybko nabiera sił. Nie docierają do niej żadne wieści z zewnętrznego świata. Równie dobrze mógłby w ogóle nie istnieć. W tej klinice na wyspie – która tak naprawdę wcale nie jest kliniką – Risa stopniowo zaczyna się czuć jak w domu. Jest na siebie wściekła za to.

Chociaż z niechęcią myśli o codziennym wspólnym posiłku z Camem, z czasem odkrywa też, że wbrew sobie wyczekuje tych spotkań. Jeśli pogoda sprzyja, jedzą na werandzie, i zawsze jest to najsmaczniejszy posiłek w danym dniu. Cam, który nie miał nic przeciwko temu, żeby demonstrować jej z daleka swoje imponujące ciało, przy stole jest zakłopotany i równie jak ona speszony faktem, że wepchnięto ich w coś na kształt zaaranżowanego małżeństwa. Nie rozmawiają o dniu, kiedy go spoliczkowała. W ogóle mało rozmawiają. Risa jakoś go toleruje. Cam jakoś toleruje fakt, że ona go toleruje. W końcu przełamuje lód.

– Przepraszam za tamto – mówi, gdy jedzą steki na werandzie. – Zdenerwowałem się. Nie ma nic złego w byciu podopiecznym domu dziecka. Prawdę mówiąc niektóre części mnie wiedzą, jak to jest. Mam wspomnienia z domów dziecka. Różnych.

Risa spogląda w dół, na swój talerz.

– Proszę, nie mów o tym teraz, kiedy jem.

Jednak Cam nie milknie.

– Nie są najprzyjemniejszymi miejscami, prawda? Musisz tam walczyć o każdą odrobinę uwagi, inaczej żyjesz życiem które zaspokaja tylko twoje najbardziej podstawowe potrzeby, a to jest najgorsze życie, jakie można sobie wyobrazić.

Dziewczyna podnosi na niego wzrok. Udało mu się ująć w słowa to, co zawsze czuła, ilekroć myślała o swoim dorastaniu.

– Czy wiesz, w których domach się wychowywałeś? – pyta.

– Prawdę mówiąc nie – odpowiada Cam. – Są obrazy, odczucia, konkretne wspomnienia, ale mój ośrodek mowy w przeważającej części nie pochodzi od wychowanków domów dziecka.

– Nie dziwi mnie to – odpowiada Risa. – Zdolności językowe nie są mocną stroną dzieciaków z biduła. – Błyska zębami w uśmiechu.

– Czy znasz swoją historię? – pyta Cam. – Jak się tam znalazłaś? Kim byli twoi biologiczni rodzice?

Risa czuje gulę w gardle i próbuje ją przełknąć.

– Nikt nie zna tych informacji.

– Mogę je dla ciebie zdobyć – mówi jej Cam.

Te słowa przygotowują ją o grozę, ale i o antycypację. Jednak tym razem dziewczyna z przyjemnością stwierdza, że groza wygrywa.

Nigdy nie potrzebowałam tego wiedzieć, i teraz też nie potrzebuję.

Cam spuszcza wzrok, trochę zawiedziony. Może wręcz lekko załamany, i Risa mimo woli sięga przez stół, żeby ująć jego dłoń.

– Dzięki za propozycję. To było bardzo miłe z twojej strony, ale pogodziłam się już ze swoją przeszłością. – Dopiero kiedy puszcza jego dłoń, uświadamia sobie, że po raz pierwszy z własnej woli nawiązała z nim fizyczny kontakt. Cam również nie przeoczył tego faktu.

– Wiem, że kochałaś chłopca, na którego mówią „ZOMZ z Akron” – mówi.

Risa próbuje nie zareagować.

– Przykro mi, że zginął – ciągnie Cam. Risa patrzy na niego ze zgrozą do chwili, gdy scalony chłopak kontynuuje: – To musiał być straszny dzień wtedy w ośrodku donacyjnym Happy Jack. Być tam, kiedy to się stało.

Risa bierze głęboki, rozdygotany oddech. Czyli Cam nie wie, że Connor wciąż żyje. Czy to znaczy, że Proaktywne Siły Obywatelskie też nie wiedzą? Nie wolno jej o tym mówić, nie wolno jej zadawać pytań, bo wzbudziłaby zbyt dużą ciekawość.

– Tęsknisz za nim? – pyta Cam.

Teraz Risa może mu powiedzieć prawdę.

– Tak, tęsknię. Bardzo.

Mija długa chwila, nim Cam odzywa się ponownie. A wtedy mówi:

– Nigdy bym nie prosił o to, żeby zająć jego miejsce w twoim sercu, ale mam nadzieję, że mogę się tam znaleźć jako przyjaciel.

– Niczego nie obiecuję – mówi Risa, próbując brzmieć mniej bezbrinnie niż faktycznie się czuje.

– Czy nadal sądzisz, że jestem brzydki? – pyta Cam. – Nadal sądzisz, że jestem ohydny?

Risa chce mu powiedzieć prawdę, ale znalezienie właściwych słów zajmuje jej dłuższą chwilę. Cam bierze jej wahanie za próbę oszczędzenia jego uczuć. Spuszcza wzrok.

– Rozumiem.

– Nie – mówi Risa. – Wcale nie uważam, że jesteś ohydny. Po prostu nie wiadomo, jak cię oceniać. Jak wtedy, kiedy patrzysz na obraz Picassa i próbujesz określić, czy namalowana kobieta jest brzydka czy piękna. Nie wiesz, ale nie jesteś w stanie przestać patrzeć.

Cam się uśmiecha.

– Postrzegasz mnie jak dzieło sztuki. To miłe.

– Taa, no cóż, nigdy nie lubiłam Picassa.

To sprawia, że Cam parska śmiechem, i Risa mimo woli też.

Posiadłość, która kiedyś była plantacją, leży w pobliżu klifów. Znajduje się tam ogród pełen róż, starannie przystrzyżonych żywopłotów i egzotycznych, pachnących kwiatów.

Risa, która wychowała się w domu dziecka położonym w samym środku wybetonowanej miejskiej dżungli, nigdy nie była miłośniczką ogrodów, ale teraz, odkąd pozwolono jej wychodzić na zewnątrz, codziennie spędza tam czas, choćby tylko po to, żeby udawać, że nie jest więźniem. Sam fakt, że znowu może chodzić, wciąż jeszcze stanowi dla niej nowość, co sprawia, że każdy krok w ogrodzie wydaje się darem od losu.

Dziś jednak znajduje się tam Roberta, która naszykowała coś na kształt miniaturowego planu filmowego. Mała ekipa kamerzystów czeka w pogotowiu, a dokładnie pośrodku ogrodu stoi stary wózek inwalidzki

Risy. Jego widok wywołuje napływ zbyt wielu emocji, żeby Risa potrafiła je w tej chwili nazwać.

– Czy może mi pani wyjaśnić, o co tutaj chodzi? – pyta, niepewna, czy chce wiedzieć.

– Jesteś już na nogach od prawie tygodnia – odpowiada Roberta. – Nadszedł czas, żeby wyświadczyć pierwszą z usług, których się podjęłaś.

– Dziękuję, że ujęła to pani akurat w taki sposób, żebym się poczuła jak prostytutka.

Roberta przez moment sprawia wrażenie zbitej z tropu, ale szybko odzyskuje pewność siebie.

– Nie miałam niczego podobnego na myśli, ale ewidentnie masz skłonność do przekręcania słów wyrwanych z kontekstu. – Następnie wręcza dziewczynie kartkę papieru. – Oto twój tekst. Będziemy nagrywać reklamę społeczną z twoim udziałem.

Risa odruchowo zaczyna się śmiać.

– Chcecie mnie pokazać w telewizji?

– A także w mediach drukowanych i w necie. To pierwsza z wielu rzeczy, jakie dla ciebie zaplanowaliśmy.

– Doprawdy? A co jeszcze macie w planach?

Roberta uśmiecha się słysząc to pytanie.

– Dowiesz się, gdy nadejdzie czas, żebyś się dowiedziała. Risa czyta pojedynczy akapit i jego treść sprawia, że z miejsca robi jej się niedobrze.

– Jeśli nie będziesz w stanie nauczyć się tego tekstu na pamięć, mamy przygotowane kartki z wypowiedziami – mówi Roberta.

Risa musi przeczytać akapit dwukrotnie tylko po to, żeby uwierzyć, że faktycznie widzi to, co widzi.

– Nie! Nie powiem tego, nie zmusicie mnie, żebym to powiedziała! – Zgniała kartkę w kulkę i rzuca ją na ziemię.

Roberta spokojnie otwiera folder i wręcza jej drugą.

– Do tej pory powinnaś już wiedzieć, że zawsze mam pod ręką następną kopię.

Risa nie chce wziąć kartki.

– Jak pani śmie mnie zmuszać, żebym to powiedziała?

– Nie ma potrzeby robić cyrków. W tym tekście nie ma absolutnie niczego, co nie byłoby prawdą.

To bez znaczenia. Nie chodzi o same słowa, chodzi o to, co implikują!

Roberta wzrusza ramionami.

– Prawda to prawda. Implikacje są subiektywną sprawą. Ludzie usłyszą twoje słowa i sami wyciągną wnioski.

– Niech mi pani nie próbuje mącić w głowie, Roberto. Nie jestem ani tak głupia, ani tak naiwna, jak wam się wydaje.

Wyraz twarzy Roberty ulega nagłej zmianie; kobieta staje się chłodno bezpośrednia. Koniec z przybieraniem póz.

– Wymagamy tego od ciebie, więc zrobisz to. A może zapomniałaś o naszej umowie... – To ledwie zawołowana groźba, przesłonięta najciemniejszym jedwabiem. Potem ni stąd, ni zowąd słychać:

– O jakiej umowie?

Obie się odwracają i widzą, że do ogrodu przyszedł Cam. Roberta posyła Risie ostrzegawcze spojrzenie, a dziewczyna wbija wzrok w leżącą na ziemi zgniecioną kartkę, nic nie mówiąc.

– Chodzi o jej kręgosłup, rzecz jasna – mówi Roberta. – W zamian za bardzo drogą operację przeszczepienia kręgosłupa, wykorzystującą najnowsze osiągnięcia medycyny, Risa zgodziła się dołączyć do Proaktywnych Sił Obywatelskich. A każdy członek naszej rodziny ma swoją rolę do odegrania. – Ponownie wręcza Risie kartkę z tekstem. Dziewczyna wie, że nie ma innego wyboru, jak tylko ją wziąć. Spogląda na ekipę kamerzystów, którzy czekają niecierpliwie, aż będą mogli zrobić, co do nich należy, a potem z powrotem na Robertę.

– Chce pani, żebym stanęła obok wózka? – pyta Risa.

– Nie, powinnaś na nim usiąść – odpowiada Roberta – a potem wstać w połowie wypowiedzi. To będzie bardziej efektowne, nie sądzisz?

REKLAMA

Byłam sparaliżowana wskutek ataku klakerskiego na ośrodek donacyjny Happy Jack. Kiedyś nienawidziłam samej idei podzielenia, a potem z dnia na dzień sama stałam się osobą, która desperacko potrzebowała przeszczepu. Gdyby nie podzielenie, nie mogłabym dostać nowego kręgosłupa. Gdyby nie podzielenie, byłabym przykuta do tego wózka na resztę życia. Byłam podopieczną domu dziecka. Byłam Podzieloną, która złamała ZOMZ. Byłam sparaliżowana od pasa w dół – a teraz wszystko

to uległo zmianie. Nazywam się Risa Ward, i podzielenie zmieniło moje życie.

Materiał sponsorowany przez Narodowe Towarzystwo Całościowego Zdrowia

Risa zawsze uważała się za osobę, która jest w stanie przetrwać prawie wszystko. Radziła sobie w zdradzieckim środowisku Stanowego Domu Dziecka numer 23 w Ohio aż do dnia, w którym stała się „cięciem budżetowym i została skierowana na podzielenie. Później przetrwała życie po złamaniu ZOMZ, przetrwała pobyt w ośrodku donacyjnym, przeżyła nawet koszmarne wybuch, który o mały włos jej nie zabił. Jej głównym atutem zawsze był bystry umysł, drugim zaś zdolność adaptacji.

No dobrze, a teraz zaadaptuj się do tego, co dostałaś.

Życie celebrytki, wszelkie możliwe wygody, inteligentny i czarujący chłopak zauroczony tobą... a w pakiecie porzucenie wszystkiego, w co wierzysz, i kompletne sprzeniewierzenie się własnemu sumieniu.

Risa siedzi na drewnianym krześle ogrodowym na tyłach posiadłości i patrzy na tropikalny zachód słońca, rozmyślając o tym wszystkim. Próbuje spojrzeć na swoje życie z dystansu i na nowo tchnąć w nie odrobinę spokoju. Jej duszę szarpia przemożne uczucia, równie bezlitosne jak fale, które rozbijają się u stóp klifu, przypominając jej, że z czasem nawet najsilniejsze góry poddają się erozji i znikają w morskich falach. Risa nie wie, jak długo jeszcze zdoła się opierać. Nie wie nawet, czy powinna.

Tego ranka wzięła udział w wywiadzie dla mediów. Próbowła odpowiadać na pytania w taki sposób, żeby ani razu nie skłamać wprost. To prawda, że wyraża poparcie dla podzielenia dlatego, że „jest to konieczne”, tyle że nikt oprócz niej i Roberty nie wie, co stworzyło taką konieczność. Jednak bez względu na to, jak bardzo dziewczyna się stara, z jej ust padają takie słowa, że nie może później uwierzyć, co powiedziała. *Podzielenie to najmniejsze zło.* Czy jakaś część jej osoby autentycznie w to wierzy? Bezustanne manipulowanie sprawiło, że wewnętrzny kompas Risy kręci się rozpaczliwie. Dziewczyna boi się, że już nigdy nie będzie umiała określić, gdzie naprawdę leży północ.

Wyczerpana zapada w sen, po czym odnosi wrażenie, że minęło zaledwie kilka sekund, kiedy ktoś ją budzi delikatnym potrząśnięciem za ramię. Panuje głęboka noc – jedynym wspomnieniem zmierzchu jest słabo widoczna smuga ciemnego błękitu na horyzoncie.

– Jak niedźwiedź – mówi Cam. – Nie wiedziałem, że chrapiasz.

– Nie chrapię – odpowiada rozespanym głosem Risa. – I tego będę się trzymać.

Cam ma ze sobą koc. Dopiero kiedy ją otula, dziewczyna uświadamia sobie, jak bardzo zmarzła w czasie snu. Nawet tu, w tropikalnym klimacie, nocą potrafi się zrobić chłodno.

– Wolałbym, żebyś nie spędzała tyle czasu sama – mówi Cam. – Wiesz, że nie musisz.

– Kiedy się spędziło pół życia w domu dziecka, samotność wydaje się luksusem.

Cam klęka obok niej.

– W przyszłym tygodniu czeka nas pierwszy wspólny wywiad. Zawiozą nas samolotem na stały ląd. Czy Roberta już ci mówiła?

Risa wzdycha.

– Wiem o wszystkim.

– Mamy zostać przedstawieni jako para...

– Więc będę się uśmiechać i wypełniać swoje obowiązki przed kamerami. Nie martw się.

– Miałem nadzieję, że nie będziesz tego traktować jak obowiązku.

Zamiast patrzeć na niego, Risa spogląda w górę, na wygwieżdżone niebo. Gwiazd jest jeszcze więcej niż nad Cmentarzyskiem, ale tam rzadko miała czas lub chęć spoglądać w górę.

– Znam nazwy ich wszystkich – chwali się Cam. – To znaczy gwiazd.

– Nie opowiadaj głupot; istnieją miliardy gwiazd, nie możesz znać ich wszystkich.

– Hiperbola – odpowiada chłopak. – Faktycznie trochę przesadziłem, ale naprawdę znam wszystkie, które się liczą. – Potem zaczyna je wskazywać po kolei, a jego głos nabiera leciutkiego bostońskiego akcentu, gdy Cam uruchamia żyjącą mapę nieba zapisaną w jego głowie. – Tam jest alfa Centauri, znana też jako „stopa centaura”. To jedna z gwiazd leżących najbliżej nas. A widzisz tę jasno świecącą po prawej? To Syriusz, najjaśniejsza gwiazda na całym niebie...

Jego głos zaczyna ją hipnotyzować i przynosi odrobinę tego spokoju, za którym tak bardzo tęskniła. *Czy sama sobie utrudniam to wszystko?* – zastanawia się Risa. *Czy powinnam znaleźć jakiś sposób, żeby się zaadaptować?*

– Tamta niewyraźna to Spica, która tak naprawdę jest sto razy jaśniejsza niż Syriusz, ale znajduje się znacznie dalej...

Risa musi powtórzyć sobie w myślach, że jej decyzja, żeby podporządkować się żądaniom Proaktywnych Sił Obywatelskich, nie została podjęta z samolubstwa – więc czy ta świadomość nie powinna uspokoić jej sumienia? A jeśli nie – jeśli tylko i wyłącznie sumienie ściąga ją teraz w mroczne głębiny, to czy nie powinna umieć go odciąć, żeby przetrwać?

– Tam widać Andromedę, która tak naprawdę jest całą galaktyką...

Camowe popisywanie się wiedzą ma w sobie pewną arogancję, ale i niewinność, tak jakby był małym chłopcem, który chce pokazać, czego nauczył się tego dnia w szkole. Jednak tak naprawdę to nie on przyswoił sobie tę wiedzę, prawda? Akcent, z którym teraz mówi, świadczy dobitnie, że te wszystkie informacje pochodziły z cudzego mózgu, którego fragmenty upchnięto w głowie Cama.

Przestań, Riso! – nakazuje sobie. Może już czas pozwolić, żeby erozja zniszczyła górę, więc żeby zrobić na złość tej części siebie, która nadal chciałaby się opierać, dziewczyna wstaje z krzesła i kładzie się na trawie obok Cama, spoglądając w górę, na miriady gwiazd.

– Gwiazdę Polarną zawsze można łatwo znaleźć. Znajduje się bezpośrednio nad biegunem północnym, więc jeśli wiesz, gdzie jej szukać, zawsze możesz określić, gdzie dokładnie jest północ. – Słuchając go, Risa mimo woli wciąga oddech. Cam przekręca się, żeby na nią popatrzeć. – Nie zamierzasz mnie uciszyć?

Risa śmieje się słysząc to.

– Miałam nadzieję, że z powrotem mnie uspisz.

– O, aż tak cię nudzę?

– Tylko troszkę.

Potem Cam wyciąga dłoń i delikatnie głaszcze jej ramię. Risa cofa rękę i siada.

– Nie rób tego! Wiesz, że nie lubię, kiedy mnie ktoś dotyka.

– Nie lubisz, żeby cię dotykano... czy też nie lubisz, żebym ja cię dotykał?

Dziewczyna nie odpowiada.

– Co to za gwiazda? – pyta, wskazując palcem. – Ta czerwona?

– Betelgeza – odpowiada Cam. Potem, po chwili niezręcznego milczenia, pyta: – Jaki on był?

– Kto?

– Wiesz, kto.

Risa wzdycha.

– Nie chcesz tego drażnić, Cam.

– Może chcę.

Risa nie ma siły z tym walczyć, więc kładzie się z powrotem i wpatrując się w gwiazdy mówi:

– Impulsywny. Ponury. Niekiedy pełen wstrętu do samego siebie.

– Brzmi jak prawdziwy klejnot.

– Nie pozwoliłeś mi dokończyć. Jest również inteligentny, lojalny, pełen pasji, odpowiedzialny i jest świetnym przywódcą, ale ma zbyt dużo pokory, żeby to przyznać sam przed sobą.

– Jest?

– Był – poprawia się Risa, ukrywając prawdę. – Czasem wydaje mi się, że wciąż jeszcze żyje.

– Myślę, że chciałbym móc go poznać.

Risa kręci głową.

– Nie cierpiałby cię.

– Dlaczego?

– Bo był też zazdrosny.

Zapada cisza, ale tym razem nie jest ani trochę niezręczna.

– Cieszę się, że podzieliłaś się tym ze mną – mówi Cam. – Ja też mam coś, czym chciałbym się z tobą podzielić.

Risa nie ma pojęcia, co on zaraz powie, ale odkrywa, że czuje autentyczną ciekawość.

– Czy kiedy mieszkałaś w domu dziecka, znałaś chłopca imieniem Samson? – pyta Cam.

Risa sięga pamięcią wstecz.

– Tak. Jechaliśmy tym samym autokarem do ośrodka donacyjnego.

– No cóż, w sekrecie podkochiwał się w tobie.

Z początku Risa nie pojmuje, jakim cudem Cam o tym wie, a kiedy dociera do niej prawda, nagła fala adrenaliny budzi w niej odruch „uciekaj

albo walczyć”. Dziewczyna wstaje, gotowa pobiec z powrotem do rezydencji lub skoczyć z urwiska, lub zrobić cokolwiek innego, co będzie konieczne, żeby uciec przed tą rewelacją. Jednak Cam przyćmiewa ją niczym księżyc obok jednej ze swoich cennych gwiazd.

– Algebra! – mówi. – Był świetny z matematyki. Dostałem tę część jego mózgu, która zawiera znajomość algebry. To tylko mała część, ale kiedy natrafiłem przypadkowo na twoje zdjęcie, to chyba ona sprawiła, że zwróciłem na nie uwagę. A później, kiedy Roberta dowiedziała się, że zostałeś pojmana, użyła swoich wpływów, żeby cię tutaj ściągnąć. Dla mnie. Więc to moja wina, że tu jesteś.

Risa nie chce na niego patrzeć, ale nie potrafi odwrócić wzroku. Przypomina to gapienie się na wypadek drogowy.

– Jak mam się teraz czuć, Cam? Nie mogę udawać, że mnie to nie przeraża! Znalazłam się tutaj z powodu twojej zachcianki, ale to nawet nie była twoja zachcianka, tylko tego biednego dzieciaka!

– Nie, to nie tak – prostuje szybko Cam. – Samson był jak... jak przyjaciel, który trąca cię w ramię, żeby zwrócić twoją uwagę... ale to, co do ciebie czuję, w całości wypływa ze mnie. Nie tylko algebra, ale... no cóż... całe równanie.

Dziewczyna odwraca się do niego plecami, łapie koc i owija się nim.

– Chcę, żebyś sobie poszedł.

– Przepraszam – mówi Cam – ale nie chciałem, żebyśmy mieli przed sobą tajemnice.

– Proszę, idź już.

Cam trzyma się od niej na dystans, ale nie odchodzi.

– *Wolę być po części wielki niż całkowicie bezużyteczny.* Czy to nie była ostatnia rzecz, jaką ci powiedział? Czuję się odpowiedzialny za to, żeby spełnić jego życzenie.

Potem wreszcie wchodzi do budynku, pozostawiając ją samą z myślami zdecydowanie zbyt wielu osób.

* * *

Dziesięć minut później Risa wciąż jeszcze stoi na zewnątrz, otulona kocem. Nie chce wchodzić do rezydencji ale od krążących nieubłagane myśli zaczyna jej się robić niedobrze.

Nie mogę się temu poddać – muszę się temu poddać – nie mogę się temu poddać, wciąż i wciąż, tak że dziewczyna ma ochotę po prostu się wyłączyć.

Kiedy w końcu wchodzi do budynku, słyszy muzykę, co nie jest niczym niezwykłym, tyle że ta muzyka nie płynie z głośników. Ktoś gra na gitarze klasycznej. Utwór brzmi hiszpańsko, a chociaż wiele melodii brzmi hiszpańsko, gdy są brzdąkane na dwunastostrunowym instrumencie, ten kawałek zdecydowanie kojarzy jej się z flamenco.

Risa wędruje śladem melodii do głównego salonu, gdzie Cam pochyla się nad instrumentem, zatopiony w muzyce. Nawet nie wiedziała, że on potrafi grać, ale nie powinna być zaskoczona; wyposażono go w naprawdę imponujący zestaw umiejętności. Mimo wszystko granie tak dobrze na gitarze wymaga zestawu różnych zasobów: pamięci motorycznej w połączeniu z korykalną i słuchową, a także pnia mózgu, który jest w stanie skoordynować to wszystko.

Muzyka uspokaja ją, rozbija, i Risa zaczyna sobie uzmysławiać, że to nie są tylko części innych ludzi. Ktoś spaja te wszystkie części w jedno. Po raz pierwszy Risa zaczyna postrzegać Cama jako pojedynczego człowieka, który z trudem stara się zapanować nad wszystkimi ofiarowanymi mu darami. Nie prosił o te rzeczy i nie mógłby odmówić ich przyjęcia, nawet gdyby chciał. Chociaż jeszcze pięć minut wcześniej była przerażona, ta nowa rewelacja koi jej uczucia. Skłania ją do tego, żeby usiąść przy fortepianie stojącym po drugiej stronie pomieszczenia i rozpocząć prosty akompaniament.

Kiedy Cam ją słyszy, podchodzi z gitarą bliżej i siada obok. Nie padają żadne słowa; zamiast tego dziewczyna i on komunikują się za pośrednictwem rytmów i harmonii. Cam pozwala jej przejąć kontrolę nad improwizacją, pozwalając, żeby muzyka ewoluowała pod jej dłońmi, a później Risa płynnie przekazuje mu inicjatywę z powrotem. Mogliby tak grać godzinami i po jakimś czasie uświadamiają sobie, że faktycznie trwa to już całe godziny, ale żadne nie chce przestać pierwsze.

Może – myśli Risa – można jakoś sprawić, żeby to życie miało sens, a może nie – ale tu i teraz nie ma dla niej niczego cudowniejszego niż zatracenie się bez reszty w muzyce. Aż do tej chwili nie pamiętała, jakie to fantastyczne uczucie.



47. PUBLICZNOŚĆ

Kiedy kończą się reklamy w studio trwa owacja, tak jakby widzom siedzącym przed telewizorami coś umknęło.

– Dla niezorientowanych powtórzę – mówi jedno z dwojga prowadzących program – że naszymi gośćmi będą dziś Camus Comprix i Risa Ward.

Młodzieniec o skórze w różnych odcieniach, które wyglądają egzotycznie, a zarazem cieszą oko, jedną ręką macha do publiczności. Drugą trzyma dłoń siedzącej obok ładnej dziewczyny. Pasują do siebie wprost idealnie. Camus, jak wkrótce dowiaduje się publiczność, woli, żeby go nazywano Cam. Jest jeszcze bardziej interesujący na żywo niż na licznych filmikach reklamowych, które widzieli – filmikach, które przygotowały ich na coś tajemniczego i wspaniałego. Jednak ten chłopak w ogóle nie wydaje się tajemniczy – tylko wspaniały, a publiczność bynajmniej nie odczuwa szoku na jego widok, bo filmiki przemieniły szok w oszołamiającą ciekawość.

Widzowie w studio, podobnie jak widzowie w domach, są więcej niż dobrze przygotowani, bo wiedzą, że czeka ich coś szczególnego – to jest pierwsze liczące się publiczne wystąpienie Cama. A jakież program byłby dla niego lepszą okazją do oswojenia się z blaskiem reflektorów niż „Śniadanie z Jarvisem i Holly”: przyjazny, wolny od wszelkiej agresji poranny talk show? Wszyscy uwielbiają Jarvisa i Holly, którzy stanowią tak zabawny duet i tak zręcznie prowadzą rozmowy z gośćmi na tle scenografii udającej elegancki salon.

– Cam, ze sposobem, w jaki cię... „powołano do życia” wiąże się wiele kontrowersji. Jestem ciekawa, jak się z tym czujesz?

– To nie mój problem – odpowiada Cam. – Kiedyś było mi przykro, kiedy ludzie mówili o mnie okropne rzeczy, ale z czasem zdałem sobie sprawę, że liczy się zdanie tylko jednej osoby.

– Ciebie – podpowiada Holly.

– Nie, jej – i Cam spogląda na Risę. Publiczność wybucha śmiechem. Risa uśmiecha się skromnie. Potem Holly i Jarvis przez chwilę przekomarzają się sympatycznie, kto rządzi w różnych związkach. Następne pytanie zadaje Jarvis.

– Riso, ty również wiele przeszłaś. Wychowałaś się w domu dziecka, byłaś Podzieloną, która złamała ZOMZ, a później została zrehabilitowana. Nasi widzowie na pewno są bardzo ciekawi, w jaki sposób poznaliście się z Camem.

– Poznałam Cama po mojej operacji kręgosłupa – oznajmia Risa całemu światu. – Przeprowadzono ją w tej samej klinice, gdzie on został poskładany w całość. Codziennie przychodził, żeby ze mną rozmawiać. Z czasem dotarło do mnie, że... – waha się przez moment, być może czując, że głos łamie jej się z emocji – ...dotarło do mnie, że Cam jako całość jest czymś więcej niżli sumą swoich części.

Jej wypowiedź jest dokładnie tym, co ludzie uwielbiają słyszeć. Publiczność jednym głosem wydaje wzruszone westchnienie. Cam uśmiecha się do Risy i mocniej ściska jej dłoń.

– Wszyscy oglądaliśmy reklamy społeczne z twoim udziałem – mówi Holly. – Nadal czuję dreszcze, ilekroć widzę, jak wstajesz z tego wózka. – Potem odwraca się do publiczności. – Mam rację? – Publiczność potwierdza jej słowa owacją, a Holly zwraca się z powrotem do Risy. – Mimo to wydaje mi się oczywiste, że kiedy złamałaś ZOMZ, musiałaś być głęboko przeciwna podzieleniu.

– No cóż – mówi Risa – trudno nie być przeciw, kiedy to ciebie mają podzielić.

– To właściwie kiedy twoje uczucia uległy zmianie?

Widać, że Risa głęboko wciąga oddech, a Cam znowu ściska jej dłoń.

– Nie do końca uległy zmianie... Raczej odkryłam, że muszę popatrzeć na tę kwestię z szerszej perspektywy. Gdyby nie podzielenie, Cam by nie istniał, i nie znaleźlibyśmy się tu dzisiaj we dwoje. Na świecie zawsze będzie

istniało cierpienie, ale podzielenie pozwala nie cierpieć tym spośród nas... – znów się waha – tym spośród nas, których życie ma znaczenie.

– W takim razie – pyta Jarvis – co powiedziałaabyś Podzielonym, którzy złamali ZOMZ?

Kiedy Risa odpowiada, spogląda w dół zamiast na Jarvisa.

– Powiedziałabym: jeżeli zdecydowaliście się uciekać, to uciekajcie, bo macie pełne prawo starać się przetrwać. Ale bez względu na to, co was spotka, wiedźcie, że wasze życie ma sens.

– Może nawet więcej sensu, jeśli zostają podzieleni? – podpowiada Jarvis.

– Może.

Następnie gospodarze programu płynnie przechodzą do kolejnego tematu – przedstawiają słynnego projektanta mody, który przybył do ich studio, żeby zaprezentować nową kolekcję patchworkowej odzieży zainspirowanej wyglądem Camusa Comprix. Fasony dla mężczyzn i kobiet, chłopców i dziewcząt.

– Nazwaliśmy tę kolekcję „Scalony szyk” – mówi projektant, podczas gdy zza kulis wyłaniają się modelki i modele, witani radosnym aplauzem.



48. RISA

Po wystąpieniu w programie Jamsa i Holly Risa trzyma dłoń Cama do chwili, gdy znajdą się za kulisami, poza zasięgiem wzroku publiczności. Potem puszcza ją z obrzydzeniem. Nie czuje wstrętu do niego, tylko do siebie.

- Co się stało? – pyta Cam. – Przepraszam, jeśli coś zrobiłem nie tak.
- Zamknij się! Po prostu się zamknij!

Dziewczyna szuka łazienki, ale nie może jej znaleźć. To cholerne studio przypomina labirynt, a wszyscy od praktykantów po kamerzystów gapią się na nich jak na królewicza i królową. Ci ludzie muszą codziennie oglądać celebrytów z bliska, więc co sprawia, że Cam i Risa mimo wszystko są czymś wyjątkowym? Jednak dziewczyna domyśla się odpowiedzi: po jakimś czasie kolejny celebryta to tylko celebryta, a na świecie jest tylko jeden Camus Comprix. To nowe złote dziecko ludzkości, zaś Risa, no cóż, została „pozłocona” przez swój związek z nim.

W końcu znajduje WC i zamyka się w środku. Siada na sedesie i ukrywa twarz w dłoniach. Musieć bronić podzielenia – musieć mówić, że świat jest lepszym miejscem, bo niewinne nastolatki zostają podzielone – rozdziera ją to od środka. Jej szacunek do siebie, jej uczciwość legły w gruzach. Teraz żałuje nie tylko tego, że przeżyła eksplozję w Happy Jack; żałuje, że w ogóle się urodziła.

Daczego to robisz, Riso?

To głosy wszystkich nastolatków z Cmentarzyska. *Dlaczego?* To głos Connora, który brzmi oskarżycielsko – i słusznie. Risa chciałaby móc mu wyjaśnić swoje powody oraz cyrograf, który podpisała na żądanie Roberty. Szatańskiej kobiety, która stworzyła sobie idealnego chłopca.

Niewykluczone, że Cam faktycznie jest idealny. W każdym razie według definicji społeczeństwa. Risa nie może zaprzeczyć, że Cam z każdym dniem coraz lepiej korzysta ze swojego potencjału. Jest inteligentny, silny i potrafi być głęboko mądry, kiedy nie jest równie głęboko egocentryczny. Fakt, że Risa zaczyna w nim widzieć prawdziwego chłopca, a nie poskładanego z kawałków Pinokia, dręczy ją niemal równie mocno, jak rzeczy, które tego dnia mówiła przed kamerami.

Ktoś energicznie stuka w drzwi do WC.

– Riso! – woła Cam. – Wszystko w porządku? Proszę, wyjdź! Przestraszyłaś mnie!

– Zostaw mnie w spokoju! – odkrzykuje Risa.

Cam nic już nie mówi, ale kiedy dziewczyna pięć minut później wychodzi wreszcie z toalety, on nadal tam stoi i czeka. Prawdopodobnie czekałby na nią cały dzień i całą noc. Dziewczyna zastanawia się, czy niezłomna stanowczość to coś, co dostał razem ze swoimi częściami, czy też ta cecha wykształciła się w nim samoistnie.

Risa nagle wybucha płaczem i rzuca mu się w ramiona, nie wiedząc, czemu to robi. Ma ochotę go rozedrzeć na strzępy, ale zarazem desperacko chce, żeby ją pocieszył. Chciałaby zniszczyć wszystko, co on sobą reprezentuje, ale równocześnie chce się wypłakać na jego ramieniu, bo nie ma żadnego innego ramienia do dyspozycji. Przechodzący obok ludzie gapią się na nich, próbując zachować minimum dyskrecji. Robi im się cieplej na sercu, bo są przekonani, że widzą zakochaną parę w uścisku.

– To niesprawiedliwe – mówi Cam. – Nie powinni cię zmuszać do tych rzeczy, jeśli nie jesteś na nie gotowa. – I fakt, że on, będący w centrum tej całej uwagi, rozumie ją, okazuje jej empatię, w jakiś sposób jest po jej stronie, dezorientuje Risę jeszcze bardziej.

– Nie zawsze tak będzie – szepcze do niej Cam. Dziewczyna chciałaby mu wierzyć, ale w tej chwili jedyne, co podpowiada jej wyobraźnia, to że będzie gorzej.



49. CAM

Roberta nie powiedziała mu wszystkiego. Jej kontrola nad Risą to coś więcej niż kwestia silniejszego charakteru. Zwykła wdzięczność za nowy kręgosłup na pewno nie stanowi wytłumaczenia, bo Risa w ogóle nie wykazuje takowej. Jest oczywiste, że ten kręgosłup to ciężar, którego wolałaby nie dźwigać. Więc dlaczego wyraziła zgodę?

Ilekcóż przebywają razem, to pytanie wisi w powietrzu, ale kiedy Cam porusza ten temat, Risa odpowiada tylko „to było coś, co musiałam zrobić”, zaś gdy próbuje drążyć głębiej, dziewczyna traci cierpliwość i każe mu odpuścić. „Moje powody to moja sprawa.”

Cam chciałby wierzyć, że dziewczyna robi to, co robi – te wszystkie rzeczy, które ewidentnie są sprzeczne z jej naturą – ze względu na niego. Ale nawet jeśli jakieś części jego osoby naiwnie wierzą, że byłaby skłonna wystąpić dla niego w tych wszystkich wywiadach i reklamach, przewagę liczebną mają te części, które dobrze wiedzą, że to niemożliwe.

Dzień, gdy wzięli udział w programie „Śniadanie z Jarvisem i Holly”, uzmysłowił mu boleśnie, że udział Risy w tym wszystkim przyprawia ją o głębokie cierpienie.

Fakt, że pozwoliła, aby Cam ją pocieszał, niczego w tej kwestii nie zmienia. Jeśli już coś, sprawiło to, że Cam czuje jeszcze silniejszą potrzebę zgłębienia tej tajemnicy – ze względu na siebie, ale również na Risę. Bo jak cokolwiek między nimi może kiedykolwiek stać się prawdziwe bez pełnej szczerości?

Rozwiązania zagadki trzeba szukać w dniu, kiedy Risa podpisała tamten formularz zgody, ale zadawanie pytań Robercie mija się z celem. Potem Cam uświadamia sobie, że nie musi tego robić... bo przecież Roberta jest królową kamer.

– Muszę obejrzeć nagrania z monitoringu z siedemnastego kwietnia – mówi Cam po powrocie na Molokai'i do tego ochroniarza, z którym najbardziej się zaprzyjaźnił; tego, z którym grywa w koszykówkę.

– Nie ma mowy – pada natychmiastowa odpowiedź. – Nikt nie może ich zobaczyć bez pozwolenia od sam-wiesz-kogo. Załatw jej pozwolenie, a pokażę ci wszystko, co zechcesz.

– Nigdy się nie dowie.

– Wszystko jedno.

– Ale nie będzie ci wszystko jedno, jeśli jej powiem, że przyłapałem cię, jak kradłeś z rezydencji. – To sprawia, że ochroniarz zaczyna się jękać. – Pozwól mi dokończyć – ciągnie Cam. – Powiesz „ty sukinsynu, nie możesz mi tego zrobić”, a ja odpowiem „owszem, mogę, i jak sądzisz, komu ona uwierzy, mnie czy tobie?” – Następnie Cam wręcza ochroniarzowi pendrive. – Więc po prostu zgraj mi tu pliki, a ułatwisz wszystkim życie.

Ochroniarz spogląda na niego z niedowierzaniem.

– Kawał drania z ciebie, wiesz? Niedaleko pada jabłko od jabłoni.

I chociaż Cam dobrze wie, o kim mowa, odpowiada:

– Mam mnóstwo jabłoni, musiałbyś dokładniej określić, o którą ci chodzi.

Tego wieczoru pendrive odnajduje się w szufladzie jego biurka, wypełniony plikami wideo. Cam wątpi, czy będzie jeszcze miał z kim grać w koszykówkę, ale to niewielka strata. Późno w nocy, kiedy ma pewność, że nikt mu nie przeszkodzi, przegrywa pliki na swój osobisty sprzęt – i ogląda coś, czego nigdy nie miał zobaczyć...



50. RISA

Siedemnasty kwietnia. Prawie dwa miesiące temu. Przed wywiadami i reklamami społecznymi, przed operacją, w trakcie której wymieniono złamany kręgosłup dziewczyny.

Risa siedzi na wózku inwalidzkim w pustej celi, nie mając niczego, czym mogłaby się zająć, z wyjątkiem własnych myśli. Na podłodze przed lustrem weneckim leży formularz zgody złożony w papierowy samolocik.

Dziewczyna spędza czas na rozmyślaniu o swoich przyjaciółach. Głównie o Connorze. Zastanawia się, jak będzie sobie radził bez niej. Ma nadzieję, że lepiej. Gdyby tylko mogła mu przekazać informację, że jest żywa – że nie była torturowana przez hycli – i że już nie znajduje się w ich rękach, tylko w rękach jakiejś innej organizacji.

Roberta wchodzi do pomieszczenia, tak samo jak poprzedniego dnia, z nowym egzemplarzem formularza zgody. Siada przy stole i ponownie podsuwa Risie dokument oraz długopis.

Uśmiecha się do dziewczyny, ale w jej uśmiechu nie ma ani odrobiny ciepła. To uśmiech węża, który lada chwila owinie się wokół swojej ofiary.

– Jesteś gotowa podpisać formularz? – pyta.

– Jest pani gotowa, żeby popatrzeć, jak rzucam w powietrze następny papierowy samolocik? – replikuje Risa.

– Samoloty! – mówi wesoło Roberta. – O tak, porozmawiajmy o samolotach. Zwłaszcza o tych, które stoją na złomowisku i pozyskuje się

z nich surowce wtórne. W miejscu, które nazywacie Cmentarzyskiem. Porozmawiamy o twoich licznych przyjaciółach, którzy tam mieszkają.

Nareszcie – myśli Risa – ta baba zacznie mi zadawać pytania.

– Proszę pytać, o co tylko pani chce – mówi. – Ale na pani miejscu nie wierzyłabym niczemu, co powiem.

– Ależ nie ma potrzeby zadawać ci żadnych pytań, moja droga – odpowiada Roberta. – Wiemy o Cmentarzysku wszystko, co potrzebujemy wiedzieć. Widzisz, pozwalamy, żeby wasz mały rezerwat dla ZOMZ-ów istniał i funkcjonował, ponieważ służy naszym celom.

– Waszym celom? Chce mi pani powiedzieć, że kontrolujecie Urząd do Spraw Małoletnich?

– Powiedzmy, że mamy tam znaczące wpływy. Urząd do Spraw Małoletnich już od jakiegoś czasu chciałby zrobić porządek na Cmentarzysku, ale my ich powstrzymujemy. Jednakże wystarczy, że powiem słowo, a Cmentarzysko zostanie oczyszczone, zaś wszystkie te dzieci, o których ocalenie tak bohatercko walczyłaś, zostaną wywiezione do ośrodków donacyjnych i podzielone.

Risa czuje, jak wzdłuż jej kręgosłupa przebiega dreszcz, aż zanika tam, gdzie jej ciało nie ma już czucia.

– Blefuje pani.

– Doprawdy? Zdaje się, że znasz naszego informatora. Nazywa się Trace Neuhauser.

Ta informacja spada na Risę jak grom z jasnego nieba.

– Trace?...

– Dostarczył nam wszelkich informacji, jakich potrzebujemy, żeby atak na cmentarzysko samolotów przebiegł szybko i bezboleśnie. – Kobieta popycha formularz zgody o jakieś dwa centymetry bliżej Risy. – jednakże nie musi do tego dojść. Wszyscy ci ZOMZ-owie mogą uniknąć podzielenia. Proszę, Riso; przyjmij nowy kręgosłup i zrób wszystko, o co cię prosimy, jeśli mnie posłuchasz, gwarantuję ci osobiście, że żadnemu z siedmiuset dziewiętnaścioro twoich przyjaciół włos nie spadnie z głowy. Pomóż *mi*, Riso, a ocalisz *ich*.

Risa spogląda na kartkę, widząc ją w okropnym nowym świetle.

– Jakiego typu rzeczy? – pyta. – Jakiego typu rzeczy będę musiała dla was robić?

– Zaczniemy od Cama. Odsuniesz na bok swoje uczucia, bez względu na to, jakie są, i będziesz go życzliwie traktować. A co się tyczy innych rzeczy, o które możemy cię poprosić, dowiesz się, gdy nadejdzie pora, żebyś się dowiedziała.

Czeka na odpowiedź dziewczyny, ale ta nic nie mówi. Kurz po wybuchu tej bomby musi dopiero opaść.

Milczenie Risy najwyraźniej usatysfakcjonowało Robertę, więc kobieta wstaje, zostawiając Risie formularz i długopis.

– Jak słusznie zauważyłaś wcześniej, nie odbiorę ci możliwości wyboru. Masz pełne prawo odmówić... ale jeśli to zrobisz, mam nadzieję, że będziesz w stanie żyć ze świadomością konsekwencji twojej decyzji.

Z długopisem w ręku Risa czyta dokument po raz czwarty. Pojedyncza strona zapisana niezrozumiałym żargonem prawniczym. Dziewczyna nie musi odcyfrowywać drobnego druku – treść jest oczywista. Podpisując, Risa wyraża zgodę na zastąpienie jej uszkodzonego kręgosłupa zdrowym, pobranym od anonimowego Podzielonego.

Ile razy wyobrażała sobie, jakie to byłoby uczucie móc znowu chodzić? Ile razy przypominała sobie tamten moment w ośrodku donacyjnym Happy Jack, kiedy dach się zawalił i zmiotł jej plecy, i zastanawiała się, jak by to było móc cofnąć czas?

Dotąd jednak wychodziła z założenia, że ceną za nowy kręgosłup byłaby jej dusza. Jej sumienie nie potrafiło tego dopuścić, ani wtedy, ani kiedykolwiek. Do tej pory tak sądziła.

Jeśli spojrzy na sprawę z szerszej perspektywy i odmówi podpisania umowy, będzie to jej osobisty protest przeciwko światu, który błądzi... ale nikt nigdy się nie dowie, a protest Risy sprawi, że setki jej przyjaciół czeka podzielenie.

Roberta twierdzi, że Risa ma wybór, ale czy faktycznie go ma? Dziewczyna mocno ujmuje długopis, bierze głęboki oddech i podpisuje dokument.



51. CAM

Roberta jest zachwycona reakcjami na wystąpienie w programie Jarvisa i Holly. Odebrała już tuziny zaproszeń na kolejne wywiady.

– Możemy sobie pozwolić na to, żeby troszkę powybrzydzać – mówi Camowi rano nazajutrz po tym, jak obejrzał nagranie z kamery monitoringu. – Jakość jest ważniejsza niż ilość!

Cam nic nie mówi, a Roberta jest tak pochłonięta swoimi planami, że nie zauważa, że jej wychowanek nie jest sobą.

Odsuniesz na bok swoje uczucia, bez względu na to, jakie są, i będziesz życzliwie traktować Cama.

Odreagowuje swoją frustrację samotnie na boisku do koszykówki, a kiedy nie udaje mu się uspokoić, postanawia załatwić sprawę u źródła. Krąży po rozległej posiadłości w poszukiwaniu Risy. Znajduje ją w kuchni, gdzie dziewczyna szykuje sobie drugie śniadanie.

– Męczysz mnie bycie obsługiwaną przez cały czas – mówi jakby nigdy nic.
– Czasami marzę tylko o tym, żeby zrobić sobie sama kanapkę z masłem orzechowym i dżemem. – Przesuwa kanapkę w jego stronę. – Chcesz tę? Zrobię sobie drugą.

Kiedy Cam nie reaguje, Risa zagląda w jego oczy i widzi, że coś jest mocno nie tak.

– Co się stało? Pokłóciłeś się z mamusią?

– Wiem, czemu tutaj jesteś – mówi jej Cam. – Wiem wszystko o twojej ugodzie z Robertą, i o twoich przyjaciółkach na Cmentarzysku.

Dziewczyna waha się przez moment, po czym z powrotem bierze swoją kanapkę i zaczyna ją jeść.

– Ty masz z nią swój układ, ja mam swój – mówi z ustami pełnymi chleba i masła orzechowego. Próbuje odejść, ale Cam ją łapie. Risa szybko uwalnia się z jego uchwytu i popycha go pod ścianę. – Zaakceptowałam to! – krzyczy. – Więc ty też równie dobrze możesz!

– Czyli to wszystko było na niby? Bycie miłą dla odmienca było teatrykiem odgrywanym po to, żeby uratować twoich przyjaciół?

– Tak! – warczy w odpowiedzi Risa. – Na początku.

– A teraz?

– Naprawdę masz o sobie tak kiepskie zdanie? Naprawdę sądzisz, że jestem tak dobrą aktorką?

– W takim razie udowodnij to! – żąda Cam. – Udowodnij, że czujesz w stosunku do mnie cokolwiek innego niż pogardę!

– W tej chwili nie czuję niczego innego! – Potem wściekła Risa wychodzi z kuchni, wyrzucając po drodze kanapkę do kosza na śmieci.

Pięć minut później Cam kradnie nieuważnemu ochroniarzowi kartę magnetyczną i wykorzystuje ją, żeby przedostać się do garażu przez stalowe drzwi bezpieczeństwa. Potem kradnie motocykl i rusza pędem krętą drogą dojazdową do posiadłości.

Nie ma celu, płonie w nim tylko dziki głód przyśpieszenia. Cam jest pewien, że w jego głowie mieszka co najmniej jeden maniak prędkości, jeśli nie większa ich liczba. Wie, że kilku spośród Podzielonych, których części otrzymał, jeździło na motocyklach. Pokonuje każdy zakręt z nadmierną prędkością, aż w końcu dojeżdża do miejscowości Kualapuu, dając upust wszystkim swoim autodestrukcyjnym odruchom. Potem zbyt ostro wchodzi w zakręt, traci kontrolę nad maszyną i spada, turlając się po chodniku.

Jest ranny, ale żyje. Kierowcy zatrzymują się i wysiadają z samochodów, żeby mu pomóc, ale Cam nie chce ich pomocy. Dźwiga się na nogi i czuje ostry ból w kolanie. Plecy pieką go jak odarte ze skóry, a krew ze skaleczonego czoła ścieka do oczu.

– Hej, chłopie, nic ci nie jest? – krzyczy jakiś turysta. Potem urywa w pół słowa. – Hej! Hej, to ty! Jesteś tym scalonym dzieciakiem! Hej, patrzcie, to ten scalony dzieciak!

Cam pośpiesznie wrywa się gapiom i wsiada na motocykl, po czym odjeżdża z powrotem tam, skąd przyjechał. Kiedy dociera do rezydencji,

przed budynkiem stoją już policyjne auta. Roberta spostrzega go i biegnie w jego stronę.

– Cam! – jęczy. – Coś ty zrobił? Coś ty zrobił? Boże! Potrzebujesz pomocy medycznej! Zaraz sprowadzimy lekarza! – Potem odwraca się z wściekłością do ochroniarzy. – Jak mogliście na to pozwolić?

– To nie ich wina! – wrzeszczy Cam. – Nie jestem psem, który się zerwał ze smyczy, więc nie traktuj mnie tak!

– Pozwól mi obejrzeć twoje rany...

– Cofnij się! – krzyczy tak głośno, że Roberta autentycznie się cofa. Potem Cam odpycha wszystkich, idzie na górę do swojej sypialni i przekręca klucz w zamku, żeby odgrodzić się od świata.

Kilka minut później słyszy delikatne pukanie do drzwi. Wiedział, że tak będzie. Roberta próbuje podejść do swojego wybuchowego chłopca w jedwabnych rękawiczkach. Ale to nie Roberta.

– Otwórz, Cam. To ja, Risa.

Dziewczyna jest przedostatnią osobą, jaką chciałby teraz widzieć, ale jest zaskoczony, że w ogóle przyszła. Zwykła grzeczność wymaga, żeby otworzył drzwi.

Risa stoi w progu, trzymając apteczkę pierwszej pomocy.

– To naprawdę głupie wykrwawić się na śmierć tylko dlatego, że jesteś wkurzony.

– Nie „wykrwawiam się na śmierć”.

– Ale *krwawisz*. Czy mogę przynajmniej zająć się tym, co wygląda najgorzej? Możesz mi wierzyć lub nie, ale na Cmentarzysku byłam szefową izby chorych. Non stop miałam do czynienia z takimi rzeczami.

Cam otwiera drzwi szerzej i wpuszcza ją do środka. Siada na krześle przy biurku i pozwala, żeby dziewczyna przemyła ranę na jego policzku. Potem Risa każe mu ściągnąć podartą koszulę i zaczyna dezynfekować plecy. Skaleczenia pieką, ale Cam wytrzymuje to bez drgnienia, żeby nie dać jej satysfakcji.

– Masz szczęście – mówi mu dziewczyna. – Nieźle się poharatałeś, ale obejdziesz się bez zakładania szwów, i nie rozerwałeś sobie żadnego z przeszczepów.

– Roberta na pewno przyjmie tę informację z ulgą.

– Roberta może iść do diabła.

Cam wyjątkowo zgadza się z nią w pełni. Risa ogląda jego kolano i mówi, że będzie musiał się zgodzić na prześwietlenie, czy mu się to podoba, czy nie. Kiedy dziewczyna kończy oceniać jego obrażenia, Cam przygląda jej się uważnie. Jeśli nadal jest na niego zła za to, co powiedział wcześniej, nie widać tego po niej.

– Przepraszam – mówi. – To, co zrobiłem, było głupie.

– To było ludzkie – odpowiada Risa.

Cam wyciąga dłoń i delikatnie dotyka jej twarzy. Proszę bardzo, niech go za to spoliczkuje. Niech mu wyrwie rękę w stawie, nie obchodzi go to.

Jednak Risa nie robi żadnej z tych rzeczy.

– Chodź – mówi. – Pomogę ci się położyć, żebyś mógł trochę odpocząć.

Cam wstaje, ale za mocno obciąża bolące kolano i omal nie upada. Risa łapie go i podtrzymuje, tak jak on podtrzymał ją tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy stanęła na nogi. Pomaga mu podejść do łóżka, a kiedy Cam osuwa się na nie, ramię Risy wciąż jeszcze obejmuje jego tułów, tak że ona również zostaje pociągnięta w dół i ląduje na pościeli.

– Przepraszam.

– Przestań przeproszać za wszystko – mówi dziewczyna. – Zachowaj swoje przeprosiny na okazje, kiedy naprawdę schrzanisz coś koncertowo.

Teraz leżą obok siebie na jego łóżku, a jego obolałe plecy przyciśnięte do koca pieką jeszcze bardziej. Risa mogłaby wstać, ale nie wstaje. Zamiast tego przysuwa się trochę bliżej Cama i czubkami palców dotyka otarcia na jego piersi, sprawdzając, czy nie przydałoby się opatrzyć tego miejsca plastrem, po czym dochodzi do wniosku, że nie.

– Jesteś niezłe pokręcony, Camusie Comprix. Nie pojmuję, jakim cudem zdołałam się do tego przyzwyczaić. Ale jakoś się udało.

– Mimo wszystko nadal wolałabyś, żeby nigdy nie został stworzony, prawda?

– Ale zostałeś stworzony, i jesteś tutaj, a ja jestem tu z tobą. – A potem dodaje: – I nienawidzę cię już tylko czasami.

– A kiedy indziej?

Dziewczyna nachyla się nad nim, zastanawia się przez chwilę, po czym całuje go. Jest to coś więcej niż tylko symboliczne cmoknięcie w policzek, ale niewiele więcej.

– A kiedy indziej nie. – Potem przewraca się na plecy i zostaje w tej pozycji. – Nie wyobrażaj sobie za wiele, Cam – mówi mu. – Nie mogę być

tym, czym chcesz.

– Chcę mnóstwa rzeczy – odpowiada Cam. – Kto mówi, że muszę mieć je wszystkie?

– Jesteś rozpieszczonym chłopczykiem Roberty. Zawsze dostajesz to, czego pragnie twoje scalone serduszko.

Cam siada, żeby móc na nią popatrzeć.

– Więc mnie wychowaj. Naucz mnie cierpliwości. Naucz mnie, że są rzeczy, na które warto poczekać.

– A także rzeczy, których nigdy nie dostaniesz?

Cam zastanawia się nad odpowiedzią, po czym odpowiada:

– Jeśli to właśnie tego musisz mnie nauczyć, będę musiał to przyjąć. Ale najbardziej chcę czegoś, co chyba mógłbym dostać.

– To znaczy?

Cam ujmuje jej dłoń.

– Tej chwili, właśnie teraz, na tysiąc różnych sposobów. Jeśli mógłbym to mieć, reszta nie miałaby aż takiego znaczenia.

Risa siada i zabiera rękę, ale jedynie po to, żeby przeczesać dłonią jego włosy. Może tylko ogląda ranę na jego głowie, a może nie.

– Jeśli naprawdę to tego najbardziej chcesz – mówi łagodnie – może mógłbyś to dostać. Może oboje byśmy mogli.

Cam się uśmiecha.

– Bardzo bym tego chciał.

I po raz pierwszy odkąd go scalono, Cam czuje, jak w jego oczach wzbierają łzy, o których wie, że naprawdę są jego własne.

CZĘŚĆ SZÓSTA

UCIEKAJ ALBO WALCZ

Wyniki wyszukiwania w Google® dla frazy: „zdziczała młodzież”. Około 12 000 wyników (0,12 sekund)

Global Faultlines | Polityka światowa, ekonomia polityczna, współczesne... „Nihilistycznie nastawiona i **zdziczała młodzież**”, tak określili ich dziennik Daily Mail: oszaleli młodzi ludzie ze wszystkich warstw społecznych, którzy uganiaли się na oślep po ulicach i...

The Black Flag Cafe© Zobacz temat – zdziczała młodzież zaatakowała... 3 posty – 2 autorów – Ostatni post: 7 lipca 2007 zdziczała młodzież ponownie zaatakowała » piątek, 6 lipca 2007 22:31 WEST PALM BEACH, Fla. – Dwóch nastolatków oskarżono o...

Blog Feral007 – Narzekania na zdziczałą młodzież » młodzież

Narzekania na **zdziczałą młodzież**. Codzienne problemy samotnego rodzica z nastoletnimi dziećmi! Co robić?...

Zdziczała młodzież atakuje obcych w Filadelfii 18 sierpnia 2011 – Słowo „wilding” odnosi się do sytuacji, gdy gangi nastolatków atakują obcych dla rozrywki i...

„Zdziczała” młodzież pobiła mężczyznę na śmierć – Aktualności – Wigan Today. 4 kwietnia 2007 Dwaj „zdziczali” nastoletni chłopcy, którzy miesiącami znęcali się nad nieszkodliwym i bezbronnym mieszkańcem Wigan, a później bestialsko go...

Silver Spring, Singular: Restauracja bliźniego twego 30 czerwca 2010 – W Bethesda o wiele rzadziej pojawia się **zdziczała młodzież** co sprawia, że przebywanie w centrum tej miejscowości jest znacznie przyjemniejsze...



52. LEV

Budzi go chluśnięcie lodowatą wodą w twarz. W pierwszej chwili Lev sądzi, że znów jest na dworze, wśród szalejącej burzy. Zbliżało się tornado – czy przygniotło go zwalone drzewo? Musi wstać. Musi biec dalej. Biec.

Ale burzy nie ma. Lev nie przebywa na dworze. Widzi nieostro, ale rozróżnia wystarczająco dużo szczegółów, żeby poznać, że znajduje się w jakimś pomieszczeniu i patrzy na brudną ścianę. Nie, nie ścianę – na sufit. Sufit z plamami wilgoci. I leży na łóżku. Ręce ma związane nad głową. Przywiązane do ramy łóżka. W ustach czuje smak kwasu akumulatorowego, powietrze śmierdzi stęchlizną, a w jego głowie tętni, tętni, tętni ból. Teraz Lev pamięta! Znajdował się w vanie razem z Miracoliną. Walił grad. A potem zostali uśpieni przez...

– Zbudziłeś się? – pyta Nelson. Lev już przypomniał sobie jego nazwisko. Nelson. Funkcjonariusz Nelson. Lev nigdy nie widział twarzy tego mężczyzny, ale jego nazwisko przewijało się w mediach niemal równie często co nazwisko Leva. Teraz niespecjalnie przypomina gliniarza od małolatów.

– Przykro mi, że zamiast budzika musiałem użyć wiadra. Zastosowałbym budzenie telefoniczne, ale tu nie ma telefonu.

Na drugim łóżku leży Miracolina, wciąż jeszcze nieprzytomna. Podobnie jak Lev, ręce ma przywiązane do ramy łóżka plastikowymi opaskami zaciskowymi.

Chłopiec wykasłuje trochę wody. Nelson siedzi niecałe dwa metry dalej z nogą założoną na nogę, trzymając swój pistolet.

– Wiesz, obserwowałem rezydencję Cavanaughów już od wielu dni. Miałem przecucie. Widzisz, wszystko wskazywało, że w tej okolicy znajduje się duży azyl, ale nikt nie był w stanie wykryć jego lokalizacji. Jednak posiadłość Cavanaughów – jest tam brama ze stróżówką, która wygląda na opuszczoną, ale to pozory i te wszystkie nowoczesne kamery monitoringu rozmieszczone na drzewach wokół posiadłości. Nie wiedziałem, że ruch oporu ma do dyspozycji tyle pieniędzy!

Lev nic nie mówi, ale nie widać, żeby Nelson się tym przejmował. Najwyraźniej do szczęścia wystarczy mu fakt, że ktoś uważnie go słucha.

Tak więc wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy zobaczyłem na poboczu ciebie i twoją przyjaciółkę. Brakowało wam tylko opakowania z kokardką! – Nelson wysuwa magazynek ze swojego pistoletu i kolejno wyjmuje z niego naboje usypiające, po czym na powrót ładuje je do magazynka i z trzaskiem wkłada go na miejsce. Leżąca na drugim łóżku Miracolina wydaje jęk – wreszcie zaczyna się budzić z głębokiego snu.

– Oto, co myślę. – Nelson nachyla się bliżej Leva. – Eskortowałaś tę biedną ZOMZ-eczkę do rezydencji Cavanaughów, żeby ją oddać w ręce twoich łamiących prawo przyjaciół, ale po drodze złapała was burza. Dobrze trafiłem?

– Jak kulą w płot – chrypi Lev.

– No cóż, tak naprawdę szczegóły nie mają znaczenia. Ważne, że tutaj jesteś.

– A gdzie jest tutaj?

– Jak mówiłem – odpowiada Nelson, kołysząc bronią – szczegóły nie mają znaczenia.

Lev ponownie spogląda w stronę Miracoliny. Jej oczy są na wpół otwarte, ale wciąż jeszcze nie odzyskała przytomności.

– Wypuść ją – mówi. – Ona nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

Nelson się uśmiecha.

– Jakie to szlachetne z twojej strony, że myślisz najpierw o dziewczynie, a dopiero w dalszej kolejności o sobie. Kto powiedział, że etos rycerski jest martwy?

– Czego pan chce? – pyta Lev. Głowa zanadto go boli, żeby miał siłę na dyplomatyczne podchody. – Nie mogę sprawić, żeby przyjęto pana

z powrotem do pracy, i to nie moja wina, że Connor pana postrzelił, więc czego pan ode mnie chce?

– Prawdę mówiąc – odpowiada Nelson – to była twoja wina. Gdybyś nie został wykorzystany jako żywa tarcza, żaden z nas nie znalazłby się dziś w tym miejscu.

Lev uświadamia sobie, że to prawda. Gdyby przypadkowo nie trafił go wystrzelony przez Nelsona pocisk, który miał dosięgnąć Connora, obaj zostaliby podzieleni zgodnie z planem.

– To co, zagramy? – pyta Nelson.

Lev przetyka, mając wrażenie, że jego gardło jest pełne trocin.

– W jaką grę?

– W rosyjską ruletkę! W moim magazynku znajduje się pięć naboii usypiających i jeden ołowiany pocisk z niklowym płaszczem oraz eksplodującym wierzchołkiem. Nie pamiętam, w której pozycji włożyłem pana Małego Zabójcę, byłem zbyt zajęty rozmawianiem z tobą, żeby zwrócić na to uwagę. Będę ci zadawał pytania, a jeśli nie spodoba mi się odpowiedź, strzele.

– Ta gra może się ciągnąć całymi dniami, jeśli będę wciąż tracił przytomność.

– Lub też może się skończyć bardzo szybko.

Lev bierze głęboki oddech, próbując okazywać jak najmniej strachu.

– Brzmi ekscytująco. Wchodzę w to.

– No cóż, nie będzie to tak emocjonujące jak klaskanie, ale dołożę starań, żebyś się nie nudził. – Nelson odbezpiecza broń. – Pierwsze pytanie. Czy twój przyjaciel Connor wciąż żyje?

Lev podejrzewał, że zostanie o to zapytany, i stara się sprawiać wrażenie tak uczciwego jak to tylko możliwe, gdy kłamie.

– Ja też słyszałem plotki – mówi – ale nie jestem na bieżąco. Został zabrany z Happy Jack, cały we krwi i nieprzytomny, a mnie aresztowano. Nie mam pojęcia, co się z nim później stało.

Nelson uśmiecha się do niego, po czym oznajmia:

– Zła odpowiedź – i mierzy z pistoletu w Miracolinę.

– Nie!

Nelson strzela bez wahania. Plecy Miracolinę wyginają się w łuk w momencie trafienia, z jej ust wyrzywa się półprzytomne westchnienie, po czym dziewczyna milknie. Lev ma wrażenie, że jego serce zaraz

wybuchnie, ale potem spostrzega, że z bluzy Miracoliny sterczy maleńka, znajoma flaga pocisku usypiającego.

Nelson wstaje i kręci głową.

Lepiej, żeby spodobała mi się twoja następna odpowiedź – mówi Levowi, po czym wychodzi, zamykając za sobą drzwi.



53. NELSON

Nelson postanawia dać Levowi mnóstwo czasu na przemyślenie sprawy. Póki co siada w sąsiednim pokoju chatki, żeby przyjrzeć się informacjom, które już posiada. Nie ma tego wiele. Oznakował prawie tuzin ZOMZ-ów, pozwalając im myśleć, że zdołali przed nim uciec. Niektórzy wciąż jeszcze bląkają się po ulicach niedaleko od miejsca, gdzie ich schwytał. Inni przebywają w ośrodkach donacyjnych, bo odłowili ich hycle. Wygląda na to, że jeden znajduje się w Argentynie, chociaż Nelson podejrzewa, że dzieciak został złapany przez innego pirata części i podzielony na czarnym rynku, co oznacza, że tylko jego oznakowana część ciała znalazła się w Ameryce Południowej. Dwa sygnały dochodzą z Arizony, ze starej, nieużywanej bazy lotnictwa wojskowego. Ten fakt najbardziej intryguje Nelsona. Kiedy jeszcze pracował w policji, docierały do niego słuchy, że na południowym zachodzie Stanów znajduje się wielkie koczowisko ZOMZ-ów, ale praktycznie bez szczegółów, a on nie posiadał wystarczających uprawnień, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Zresztą ta sprawa wówczas go nie obchodziła. W każdym razie Arizona leży zbyt daleko – nie ma sensu teraz podejmować żadnych pochopnych decyzji. Oczywiście, chyba że jego mały klakier powie, że Connor przebywa właśnie tam.

Naboje usypiające, które Nelson załadował do swojego pistoletu, to najslabiej działający wariant – zawierają środek o najkrótszym czasie półtrwania. Kiedy mężczyzna wraca mniej więcej dwie godziny później, przystaje za drzwiami, nasłuchując. Dziewczyna już się ocknęła, ale jest

półprzytomna, a Lev właśnie przeprasza, że wciągnął ją w to wszystko. Nie wspomina ani słowem o Connorze ani o żadnych potencjalnych kryjówkach ZOMZ-ów.

Nelson kopniakiem otwiera drzwi, żeby było efektowniej, po czym spokojnie siada na krześle między nimi, dzierżąc pistolet na wypadek, gdyby któreś miało wątpliwości co do jego intencji.

– Jesteśmy gotowi? – pyta. – Zostało pięć naboii. Dwadzieścia procent szansy, że następny strzał będzie zabójczy.

Lev unika nawiązania kontaktu wzrokowego, usiłując kontrolować oddech. Ponieważ chłopiec już zna reguły gry, Nelson celuje z pistoletu w dziewczynę jeszcze przed zadaniem pytania.

– Myśli pan, że boję się umrzeć, ale nie – mówi Miracolina, jednak drżenie jej głosu sugeruje co innego.

– Proszę – błaga Lev. – Nie musi pan tego robić.

– Wydaje mi się, że muszę – odpowiada wesoło Nelson. Odchrząkuje. – Czas na drugą rundę. Pytanie brzmi... Gdzie ukrywa się ZOMZ z Akron? Masz trzy sekundy na odpowiedź.

– Proszę, nie – błaga ponownie Lev.

– Jeden!

– Niech pan wyceluje we mnie! Ona nie ma z tym nic wspólnego!

– Dwa!

– To ja udzielam złych odpowiedzi! Nie ona!

– Trzy!

– Nie! Proszę zaczekać! Powiem panu!

Nelson kładzie palec na spuście.

– Lepiej się pośpiesz.

Lev bierze głęboki, rozdygotany oddech.

– Jaskinia Indian Echo Caverns. W Pensylwanii. To tam ruch oporu ukrywa ZOMZ-ów ze wschodniego wybrzeża Stanów. Są zabierani daleko w głąb grot i przetrzymywani tam, aż skończą siedemnaście lat. Connor pomaga prowadzić ten obóz.

– Hmm – mówi z namysłem Nelson. – Tereny zamieszkane przez Amiszów. To faktycznie podobne do Amiszów, żeby dawać schronienie zbiegłym Podzielonym.

Kładzie pistolet na kolanach i odchyła się do tyłu na krześle.

– Teraz mam dylemat. Spośród wszystkich ZOMZ-ów, jakich oznakowałem, żaden nie udał się w tamtym kierunku. Komu zatem powinienem wierzyć? Tobie czy moim danym?

– Gdzie ich pan znakował? – pyta szybko Lev. – Ci, którzy przebywają na zachód od Pittsburga, prawdopodobnie zostają wysłani gdzieś indziej, jeśli zgarnie ich ruch oporu; i niech mnie pan nie pyta dokąd, bo nie wiem!

Nelson się uśmiecha.

– Wiesz, młody człowieku, bardzo się cieszę, że nie wysadziłeś się w powietrze rok temu, ponieważ właśnie uratowałeś życie tej dziewczyny. Oczywiście zakładając, że mówisz prawdę.

– Jeżeli kłamię – mówi Lev – może pan tu wrócić i zabić nas oboje.

To sprawia, że Nelson wybucha śmiechem.

– Jeżeli okaże się, że skłamałeś, i tak bym to zrobił, ale dziękuję, że udzieliłeś mi pozwolenia.

Potem Nelson wychodzi, nie kiwnąwszy palcem, żeby uwolnić ich z więzów.



54. LEV

Powiedziałeś mi prawdę? – pyta Miracolina.

– Oczywiście, że tak – odpowiada Lev na wypadek, gdyby Nelson ich podsłuchiwał. Kilka chwil później słyszy, jak van Nelsona rusza i odjeżdża. Prawda jest taka, że to, co Lev powiedział, nie miało znaczenia – ważne, że Nelson mu uwierzył. Lev wygrzebał tę lokalizację z pamięci – odwiedził jaskinię Indian Echo Caverns z rodziną wiele lat wcześniej. Pamiętał, co powiedział przewodnik – że kiedyś była ona kryjówką przestępców. Lev przez całą wycieczkę trzymał się blisko mamy, bojąc się, że ci przestępcy mogą nadal się czaić gdzieś w mrocznych zakamarkach grot. Nie ma zielonego pojęcia, czy naprawdę ukrywają się tam ZOMZ-owie. Ma szczerą nadzieję, że nie, po tym jak nasłał na to miejsce Nelsona.

– Co teraz zrobimy? – pyta Miracolina. – Jeśli on złapie twojego przyjaciela, nie wróci tutaj, a my umrzemy z głodu. Jeśli twojego przyjaciela tam nie ma, wróci tu i zabije nas.

– Myślałem, że nie boisz się śmierci.

– Nie boję się. Po prostu nie chcę umrzeć bez sensu.

– Nie umrzemy. Jeśli tylko będę miał w tej kwestii coś do powiedzenia. – Potem Lev zaczyna się przetaczać tam i z powrotem po łóżku. Jego ręce są mocno przywiązane opaskami zaciskowymi do dwóch metalowych słupków, ale pomagając sobie stopami, jest w stanie się dosyć silnie rozkołysać. Przerzuca całe ciało w lewo, potem w prawo, raz za razem, aż łóżko zaczyna

się ze zgrzytem przesuwając po podłodze. Lev próbuje je przewrócić, ale nie jest w stanie wygenerować dostatecznego impetu. W końcu musi odpocząć.

– To nie działa – mówi Miracolina, stwierdzając aż nadto oczywisty fakt.

– Więc może powinnaś zacząć się modlić. Ja już zacząłem.

Po kilkuminutowym odpoczynku Lev ponawia próbę.

Tym razem udaje mu się swoim kołysaniem przesunąć łóżko trochę bardziej, tak że jedna z nóg zahacza o wystającą deskę podłogową. Teraz za każdym razem, gdy buja meblem, nogi po przeciwnej stronie lekko się unoszą. Lev traci siły, doskwiera mu też ból nadgarstków spowodowany wrzynającymi się więzami. Musi przestać, ale po kilku minutach odpoczynku próbuje znowu, i znowu, za każdym razem bliższy wyliczenia, ile dokładnie siły musi włożyć, żeby zrealizować cel, i pod jakim kątem szarpnąć. W końcu, jęcząc przez zaciśnięte zęby, ciska cały ciężar swojego ciała w stronę przeciwległej ściany, praktycznie wyrывая sobie ręce ze stawów – i łóżko podnosi się. Jego los waży się przez moment, jakby było monetą balansującą na krawędzi a potem mebel przewraca się do góry nogami. Metalowa rama wraz z materacem przygniatają Leva. Jego łokcie boleśnie uderzają o gnijącą drewnianą podłogę, tak że drzazgi wbijają mu się w skórę. Gdy tak leży przywalony łóżkiem, przed oczami na moment staje mu eksplozja w domu Marcusa, kiedy został uwięziony pod rozwaloną sofą. Twarz jego brata, twarz pastora Dana. Lev stara się, żeby to wspomnienie dodało mu sił zamiast sparaliżować go smutkiem.

– Udało ci się! To było super! – słyszy głos Miracoliny, chociaż jej nie widzi. – Co teraz?

– Jeszcze nie wiem.

Ręce Leva nadal są przywiązane do metalowej ramy w głowach łóżka i bolą. Widzi, jak mocno krwawią mu nadgarstki, a co gorsza są ubrudzone rdzą. Lev myśli o tętcu i o tym, że kiedy nastąpisz na zardzewiały gwóźdź czy coś podobnego, zawsze podają ci szczepionkę przeciwzęcową. Myśli o tym, jak w nadmorskiej posiadłości jego rodziców żelazne ogrodzenie zostało w całości zjedzone przez rdzę z powodu ekspozycji na słone powietrze. *Zjedzone przez rdzę...* Chłopiec spogląda tam, gdzie narożne słupki łączą się z ramą łóżka. Słupek, do którego przywiązano lewą rękę Leva, jest praktycznie przerdzewiały na wylot. Znow ignorując ból, chłopiec

szarpie i szarpie więzy, aż w końcu skorodowany metal się łamie, umożliwiając mu uwolnienie dłoni.

– Co ty kombinujesz tam na dole? – pyta Miracolina.

Zamiast odpowiedzieć, Lev sięga w górę i łapie ją za rękę, a dziewczyna gwałtownie wciąga oddech.

Słupek, który unieruchamia jego prawy nadgarstek, wygląda solidniej niż ten drugi, ale też jest zardzewiały i przez to szorstki. Lev wie, że nie da rady go złamać, więc postanawia spróbować innej taktyki. Zaczyna ruszać nadgarstkiem tam i z powrotem, jeżdżąc plastikową opaską zaciskową po nierównej, skorodowanej powierzchni. Powoli ściera w ten sposób tworzywo sztuczne, aż w końcu opaska się rozpada i udaje mu się uwolnić drugą dłoń.

Lev wyciera zakrwawione nadgarstki o materac i wstaje, obolały, ale wolny.

– Jak to zrobiłeś? – pyta dziewczyna.

– Supermoce – odpowiada. Spogląda na więzy Miracoliny, po czym sięga pod jej materac i wymacuje taki sam zardzewiały metal. Odsuwa łóżko od ściany, staje za nim i zaczyna kopać w słupki, aż te, do których przywiązana jest Miracolina, łamią się. Dziewczyna uwalnia ręce, zsuwając z dłoni plastikowe opaski.

– Jesteś cała? – pyta Lev, a ona kiwa głową. – To dobrze. Wynośmy się stąd. – Jednak w chwili, gdy daje krok prawą nogą, krzywi się i zaczyna utykać.

– Co ci jest? – pyta Miracolina.

– Chyba zwichnąłem sobie kostkę, kopiąc w te słupki – odpowiada Lev. Dziewczyna pozwala, żeby wsparł się o nią, i pomaga mu iść.

Gdy otwierają frontowe drzwi, widzą, gdzie byli uwięzieni. To chatka w lesie, na takim odludziu, że mogliby całymi dniami wzywać pomocy i nikt by ich nie usłyszał.

Jest tu ścieżka prowadząca w kierunku, w którym – jak liczy Lev – znajduje się szosa. Chłopiec próbuje oprzeć się na bolącej kostce i ponownie się krzywi, więc Miracolina pozwala, żeby dalej ją obejmował jedną ręką, a on przyjmuje to z wdzięcznością.

Potem, gdy znajdują się już spory kawałek drogi od chatki, mówi:

– Teraz naprawdę będę potrzebował twojej pomocy. Musisz mi pomóc ostrzec mojego przyjaciela.

Dziewczyna cofa się o krok, tak że Lev omal się nie przewraca, ale udaje mu się zachować równowagę.

– Nie ma mowy. Twój przyjaciel to nie mój problem.

– Proszę... Spójrz na mnie... Ledwo jestem w stanie chodzić. Nie dotrę tam o własnych siłach.

– Zabiorę cię do szpitala.

Lev kręci głową.

– Kiedy udałem się do rezydencji Cavanaughów, złamałem warunki mojego zwolnienia warunkowego. Jeśli zostanę złapany, tym razem zamkną mnie na dobre.

– To nie moja wina!

– Właśnie uratowałem ci życie – przypomina jej Lev. – Nie odpłacaj się zniszczeniem mojego.

Miracolina spogląda na niego niemal równie nienawistnie jak w dniu, kiedy po raz pierwszy się spotkali.

– Ten pirat części dotrze do grot przed nami. Jaki sens próbować? – Potem przypatruje się Levowi przez moment, jakby czytając mu w myślach, i pyta: – On nie przebywa w tych grotach, prawda?

– Nie.

Dziewczyna wzdycha.

– No jasne.



55. MIRACOLINA

Miracolina nie należy do osób, które działają pochopnie. Wszystko musi być zaplanowane, a każdy plan wymaga czasu, żeby dojrzeć, zanim zostanie zrealizowany. Nawet jej ucieczka z rezydencji Cavanaughów nie była szaleńczym zrywem, tylko owocem starannych przygotowań. W związku z tym dziewczyna jest zupełnie nieprzygotowana na oblężenie, który ją ogarnia, kiedy stoi tam na ścieżce razem z Levernem.

– Skontaktuję się z moimi rodzicami, zanim pomogę ci gdziekolwiek dotrzeć – mówi mu, po czym uświadamia sobie, że w momencie, gdy to powiedziała, dała się wciągnąć w negocjacje. Autentycznie rozważa wyruszenie w drogę razem z nim. Może to zespół stresu pourazowego.

– Nie możesz zadzwonić do rodziców. Jeśli to zrobisz, dowiedzą się, że mikrobusu, którym cię wieziono do ośrodka, wcale nie zaatakowali piraci części. To zagrozi całej operacji prowadzonej przez Cavanaugha.

– Jeśli tak bardzo cię ona obchodzi – pyta Miracolina – dlaczego uciekłeś? Zamiast odpowiedzieć, chłopiec milczy przez chwilę, przestępując z nogi na nogę i krzywiąc się.

– Uważam, że robią dobrą robotę – mówi w końcu. – Tyle że to nie moje klimaty.

Zupełnie zbija ją to z tropu. Jego motywacja, jego płynna lojalność. Łatwo było uznać Leva za „część problemu”, dopóki go nie znała, ale teraz już nie jest to takie proste. Lev stanowi paradoks. To chłopiec, który omal nie rozsadził się na kawałki, próbując zabić innych, a mimo to zaofiarował

piratowi części siebie, żeby uratować od śmierci Miracolinę. Jak ktoś, kto wykazał całkowity brak poszanowania dla własnej egzystencji, może chcieć dobrowolnie się poświęcić za kogoś, kogo ledwie zna? To stoi w jawnej sprzeczności z prawdami, które definiowały całe dotychczasowe życie Miracoliny. Żli są źli, dobrzy są dobrzy, a znalezienie się pośrodku to tylko iluzja. Nie ma szarości.

– Skontaktuję się z rodzicami i dam im znać, że żyję – mówi stanowczo dziewczyna, nie dając za wygraną. – Będą szczęśliwi, wiedząc chociaż tyle.

– Można ustalić, skąd wykonano połączenie.

– Będziemy się przemieszczać, no nie? Jeśli moi rodzice zgłoszą tę rozmowę Urzędowi do Spraw Małoletnich, dowiedzą się tylko, gdzie byliśmy, nie dokąd zmierzamy. – A potem dziewczyna pyta: – Dokąd w zasadzie zmierzamy?

– No dobrze, możesz się skontaktować ze swoimi rodzicami – mówi Lev, dając za wygraną – ale nie pytaj, dokąd się wybieramy. Im mniej wiesz, tym lepiej.

I chociaż to sprawia, że czerwona flaga wjeżdża w głowie Miracoliny na sam szczyt masztu, dziewczyna odpowiada:

– W porządku. – Potem wspiera ręce na biodrach. – I możesz już przestać udawać, że boli cię kostka, to nas tylko spowolni.

Lev przenosi cały ciężar ciała na rzekomo zwichniętą kostkę i posyła jej chochlikowaty uśmiezek. I w tym momencie Miracolina uświadamia sobie, że przegrała w tych negocjacjach, zanim w ogóle się zaczęły – bo zanim jeszcze Lev ją poprosił, żeby wyruszyła z nim w drogę, jakaś część jej osoby, nieznaną nawet jej samej, postanowiła już, że tak zrobi.



56. LEV

Tym razem podróż na Cmentarzysko jest dla Leva innym doświadczeniem niż poprzednio. Tamta pierwsza wędrówka nie miała żadnego określonego celu oprócz powolnego osuwania się po równi pochyłej, i odbywała się na etapie, kiedy jego zraniona dusza bolała tak bardzo, że był doskonałym kandydatem do zrekrutowania przez klakierów. Czuł się zagubiony i nie znał żadnego sposobu na poradzenie sobie z gniewem.

Najpierw był Cy-Fi, i ten dzieciak w głowie Cy-Fiego, który nawet nie wiedział, że już został podzielony. Potem Lev został sam i musiał sobie jakoś radzić, będąc potencjalnym celem różnych mętów, działających równie podstępnie jak podfruwający chyłkiem komar. Oferowali pomoc, schronienie lub żywność, ale wszyscy mieli krwiożercze zapędy – dosłownie lub w przenośni. Czasy, gdy Lev był zmuszony ukrywać się przed władzami i przeżyć, uczyniły go sprytnym, czujnym i przedsiębiorczym. Został zahartowany przez brutalny chrzest życiowych doświadczeń. W tamtych ponurych dniach pomyślał, żeby wysadzić się w powietrze, zabierając ze sobą tak wielką część świata, jak tylko zdoła, nie wydawał się taki zły.

Jednakże Lev już nie tkwi w tamtej mrocznej otchłani i wie, że bez względu na to, co go spotka, nigdy więcej tam nie wróci.

Aby uczynić zadość prośbie Miracoliny, Lev cichcem wyciąga telefon komórkowy z kieszeni jakiegoś biznesmena, żeby dziewczyna mogła zadzwonić do domu. Rozmowa trwa krótko i zgodnie z obietnicą jego

towarzyszka nie podaje żadnych informacji oprócz tego, że żyje – ucina gwałtowne pytania swojej matki, po prostu rozłączając rozmowę.

– Proszę bardzo, jesteś zadowolony? – szorstko pyta Leva. – Szybko i sprawnie. – Nalega, żeby włożył telefon z powrotem do kieszeni tego samego biznesmena, ale ten już dawno zniknął, więc Lev wsuwa komórkę do kieszeni innego, podobnego mężczyzny.

Ponieważ nie mają przy sobie ani grosza, wszystko, czego potrzebują, muszą kraść. Lev wykorzystuje łagodniejsze wersje survivalowych sztuczek, których się nauczył, kiedy po raz pierwszy wylądował na ulicy. Wybij-szybę-i-łap-towar, ale bez wybijania szyby. Włamanie i wtargnięcie na posesję, ale bez faktycznego włamywania się. O dziwo Miracolina nie widzi problemu w tym, że kradną.

– Robię listę wszystkich rzeczy, które zabieramy i skąd je zabieramy – mówi mu. – Wszystkie szkody zostaną pokryte, zanim zostaną podzielona.

Jednakże sam fakt, że dziewczyna dopuszcza naruszenie jej osobistego kodeksu moralnego, daje Levowi nadzieję, że jej światopogląd w końcu zmieni się wystarczająco, żeby przełamać jej fiksację na punkcie dziesięciny.

Lev wie, że czas ma kluczowe znaczenie. Nelson to pies gończy w ludzkiej skórze, który nie da za wygraną – a stanie się jeszcze bardziej nieustępliwy, gdy się zorientuje, że został okłamany. Muszą ostrzec Connora.

Ani Lev, ani Miracolina nie potrafią kierować samochodem, żadne z nich nie wygląda też wystarczająco dorosłe żeby uszło im to na sucho, nawet gdyby umieli – a dzieciaki w ich wieku korzystające z konwencjonalnych środków transportu rzucają się w oczy z daleka. Dlatego muszą podróżować w mrokach tego świata. W kontenerach tirów, kiedy udaje im się dostać do środka; na pakach półciężarówek, jeśli tylko mogą się schować pod plandeką. Nie raz i nie dwa razy zostają przepędzeni, ale nikt nigdy nie próbuje ich gonić tak na serio. Na szczęście większość ludzi ma ważniejsze sprawy na głowie niż ściganie dwójki dzieciaków.

– Nienawidzę tego, co robimy i jak to robimy! – wykrzykuje Miracolina po tym, jak uciekli przed szczególnie agresywnym kierowcą ciężarówki, który gonił ich z łyżką do opon przez całe dziesięć metrów. – Czuję się brudna! Czuję się jak podczłowiek.

– To dobrze – odpowiada Lev. – Teraz wiesz, jak czuje się prawdziwy ZOMZ.

Lev musi przyznać, że znalezienie się z powrotem na marginesie społeczeństwa upaja go radością. Wtedy za pierwszym razem wszystko kręciło się wokół zdrady, alienacji i tego, żeby po prostu przeżyć. Nienawidził tego i wciąż jeszcze śnią mu się koszmary z tamtego okresu – teraz jednak poddanie się instynktom, impulsom i adrenalinie podoba mu się znacznie bardziej niż tkwienie w rezydencji Cavanaughów jak ptak w klatce. Wygląda na to, że część jego euforii udzieliła się Miracolinie, bo za każdym razem, kiedy coś uchodzi im na sucho, dziewczyna trochę się rozluźnia. Zaczęła się nawet uśmiechać.

Najdłuższy odcinek swojej podróży odbywają w luku bagażowym autokaru linii Greyhound – wleźli tam i schowali się wśród bagaży, kiedy nikt nie patrzył. Stacją początkową jest Tulsa, końcową zaś Albuquerque, skąd będą musieli pokonać już tylko jeden stan, żeby dotrzeć do celu.

– Czy kiedyś mi powiesz, gdzie ta podróż się skończy?

– Zmierzamy do Tucson – mówi jej w końcu Lev, ale nie podaje żadnych dalszych szczegółów.

Autobus odjeżdża o piątej po południu i będzie jechał przez całą noc. Oboje moszczą sobie w miarę wygodne legowisko wśród bagaży. Potem, po jakichś dwóch godzinach podróży, Lev uświadamia sobie, że ma problem. Chociaż w luku bagażowym panują nieprzebite ciemności, Miracolina poznaje, że coś jest nie w porządku, bo pyta:

– Coś nie tak?

– Nic, nic – odpowiada Lev. Potem wyznaje: – Chce mi się siku.

– No cóż – oznajmia Miracolina pełnym wyższości tonem, który musiała ćwiczyć latami. – Ja pomyślałam o tym wcześniej i poszłam do toalety na dworcu.

Dziesięć minut później Lev już wie, że to się nie skończy dobrze.

– I co, zsikasz się w spodnie? – pyta Miracolina.

– Nie! – odpowiada Lev. – Prędeż pęknę.

– Słyszałam, że to się zdarza.

– Bardzo śmieszne.

Jednak kiedy autobus wjeżdża na wyboisty odcinek drogi, prawda staje się boleśnie oczywista: dalsze poleganie na zwieraczach nie wchodzi w rachubę. Lev nie zamierza brudzić w luku... ale potem uświadamia sobie, że od rozwiązania problemu dzieli go tylko zamek błyskawiczny. Chłopiec odsuwa się od Miracoliny i zaczyna rozpinąć jedną z walizek.

- Nasikasz komuś do walizki?
- A masz jakiś inny pomysł?

I nagle Miracolina zaczyna się krztusić, potem chichotać, aż wreszcie parska niekontrolowanym śmiechem.

- On chce nasikać komuś do walizki!
- Cicho! Chcesz, żeby ludzie w autokarze cię usłyszeli?

Jednak Miracolinie już nic nie pomoże. Dostała kompletnej głupawki – takiego ataku śmiechu, po którym boli cię brzuch.

- Ten ktoś otworzy walizkę – udaje jej się wykrztusić pomiędzy napadami szaleńczego chichotu – *i zobaczy, że ma wszystkie ciuchy obsikane!*

Lewowi nie jest do śmiechu. Chłopiec otwiera walizkę, obmacuje zawartość, żeby się upewnić, że są tam same ubrania, żadnego sprzętu elektronicznego, bo wtedy naprawdę narobiłby komuś szkody – a Miracolina nie jest w stanie złapać tchu.

- *A ja myślałam, że to kiepsko, kiedy w moim bagażu rozlał się szampon!*
- Szampon! – woła Lev. – Jesteś genialna!

Na oślep przetrząsa zawartość jednej walizki, potem następnej, aż w końcu znajduje butelkę szamponu o odpowiednich gabarytach. Z rozpaczliwym pośpiechem wywala jej zawartość w kącie luku i, nie mając ani sekundy do stracenia, napełnia ją ponownie, czując słodką ulgę. Załatwiwszy, co miał do załatwienia, mocno zakręca butelkę. Rozważa wetknięcie jej z powrotem do walizki, ale dochodzi do wniosku, że najlepiej będzie ją zostawić, żeby się turlała po najdalszym kącie luku.

Lev wydaje rozdygotane westchnienie, po czym wraca na swoje miejsce obok Miracoliny.

- Umyłeś ręce? – pyta dziewczyna.
- Czy umyłem? – odpowiada Lev. – Są całe w szamponie!

Teraz już oboje się śmieją, a kiedy łapią oddech, czują, że w powietrzu unosi się mdląco słodki zapach kwiatów wiśni, co sprawia, że chichoczą jeszcze głośniej, aż w końcu nie mają już siły się śmiać.

A w ciszy, która zapada po wszystkim, coś się zmienia. Napięcie, które wisiało między nimi od chwili, gdy się spotkali, zniknęło. Wkrótce kołysanie autobusu zaczyna ich przyprawiać o senność. Lev czuje, jak Miracolina opiera głowę o jego ramię. Chłopiec stara się nie poruszać, żeby jej nie

obudzić. Cieszy się jej obecnością, pewien, że nigdy by czegoś takiego nie zrobiła, gdyby nie spała.

A potem dziewczyna mówi najzupełniej przytomnym głosem:

– Wybaczam ci.

Lev czuje, jak głęboko w jego wnętrzu zaczyna wzbierać to samo, co w dniu, kiedy uzmysłowił sobie, że rodzice nigdy nie przyjmą go z powrotem. To fala emocji, której nie da się powstrzymać, i nie ma na świecie tak dużej butelki, żeby ją pomieścić. I chociaż chłopiec ze wszystkich sił próbuje szlochać bezgłośnie, jego pierś zaczyna falować i wie, że nie będzie w stanie przestać, tak jak Miracolina nie umiała przestać się śmiać. I chociaż dziewczyna musi się domyślać, że Lev płacze, nic nie mówi, tylko siedzi z głową opartą o jego ramię i pozwala jego łzom wsiąkać w swoje włosy.

Lev tak strasznie długo nie uświadamiał sobie, czego naprawdę potrzebuje. Nie potrzebował, żeby go adorowano albo litowano się nad nim. Potrzebował, żeby mu wybaczone. Nie Bóg, który wybaczca wszystkim. Nie ludzie tacy jak Marcus i pastor Dan, którzy zawsze będą stali za nim murem. Potrzebował, żeby wybaczył mu nieskłonny do wybaczenia świat. Ktoś, kto kiedyś nim pogardzał. Ktoś taki jak Miracolina.

Dziewczyna czeka, aż jego milczące szlochanie ucichnie, i dopiero wtedy odzywa się do niego.

Jesteś strasznie dziwny – mówi. Lev zastanawia się czy ona ma jakiegokolwiek pojęcie o tym, co ofiarowała mu przed chwilą. Jest prawie pewien, że tak.

Chłopiec wie, że jego świat właśnie się zmienił. Może to skutek wyczerpania albo stresu, ale siedząc w tym trzęsącym się, podskakującym na wybojach, obslizgłym od szamponu luku bagażowym Lev raptem czuje, że jego życie nie mogłoby być lepsze.

On i Miracolina zamykają oczy i zasypiają, nieświadomi, że brązowy van z pogiętym dachem i rozbitą szybą w bocznym oknie podąża za autokarem, którym podróżują, odkąd ten opuścił Tulsę.



57. CONNOR

Gadanina – mówi Hayden do Connora. – Mnóstwo gadaniny. Chodzi tam i z powrotem po ciasnym wnętrzu Connorowej kwatery, więcej niż raz obijając sobie głowę o sufit. Rzadko się zdarza, żeby Connor widział go tak zdenerwowanego. Odkąd pamięta, Haydenowi zawsze udawało się zachowywać podszyty złośliwą ironią dystans do całego świata.

– Tylko na częstotliwościach, których używa policja z Tucson, czy u hycli też?

– Wszędzie – odpowiada Hayden. – Radio, maile, wszelkie komunikaty, jakie jesteśmy w stanie przechwycić. Programy do analizy wyrzucają nam czerwony alert.

– To tylko programy – przypomina mu Connor. – To niekoniecznie musi znaczyć, że...

– Gadanina dotyczy konkretnie nas. Przeważnie są to kody słowne, ale łatwo je złamać.

Connor zaczyna się zastanawiać, czy przypadkiem Hayden nie zaraził się od niego paranoją.

– Po prostu się uspokój i podaj mi konkrety.

– Dobra – odpowiada Hayden, nadal chodząc po pomieszczeniu i próbując uspokoić oddech. – Na przestrzeni ostatnich dwóch tygodni wybuchły trzy pożary. Trzy domy mieszkalne położone w różnych dzielnicach Tucson spłonęły aż do fundamentów i policja uważa, że to nasza sprawa.

Przeszczepiona dłoń Connora zaciska się w pięść. Może czuje w niej tę żelazną różgę, o której mówił Admirał. Czy Trace nie powiedział, że są ludzie, którzy tylko czekają na powód, żeby urządzić szturm na Cmentarzysko? Gdyby brakowało im pretekstu, łatwo byłoby go sfabrykować.

– Gdzie jest Trace? – pyta Connor. – Jeśli coś faktycznie się szykuje, on będzie o tym wiedział.

Hayden tylko spogląda na niego ze zdezorientowaną miną.

– Trace? Czemu Trace miałby wiedzieć?

– Nieważne. Wiedziałyby. Muszę się z nim rozmówić.

Hayden kręci głową.

– Nie ma go.

– Jak to „nie ma”?

– Nikt go nie widział od wczoraj. Myślałem, że go wysłałeś z jakąś misją.

– Niech to szlag! – Connor wali pięścią w ścianę, tak że okładzina z włókna szklanego, którą wyłożono wewnątrz korporacyjnego odrzutowca, pokrywa się siatką pęknięć. A więc Trace ostatecznie zdecydował, po której stronie stoi – a bez niego nie mają planu ucieczki. Trace jest jedyną osobą, która potrafi pilotować dreamlinera.

– To nie wszystko – mówi Hayden po wystarczająco długim wahaniu, żeby Connor wiedział, że zaraz usłyszy jeszcze jedną porcję złych wieści. – We wszystkich trzech domach mieszkali Podzieleni i wszystkie spłonęły dzień przed tym, zanim hycle mieli ich zabrać do ośrodków donacyjnych. Sprawdziłem i te dzieciaki figurowały na naszej liście. I wszystkie były bocianimi podrzutkami.

* * *

– Coś ty sobie myślał, do cholery?!

Connor nie kryje furii, kiedy wpada do GimBo, gdzie Starkey ćwiczy na siłowni jakby nigdy nic.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Nie łzyj mi tu!

Inne dzieciaki zostawiają sprzęt i podchodzą powoli, przybierając groźne pozy. Dopiero teraz Connor uzmysławia sobie, że Starkey otoczył się

wyłącznie członkami Bocianiego Klubu. Nie ma tu ani jednej osoby, która wychowałaby się w swojej biologicznej rodzinie.

– Ilu was tam z nim było? – pyta ostro Connor. – Ilu z was ma tak nierówno pod sufitem jak on?

– Connor, pozwól, że coś ci pokażę. – Starkey bez pośpiechu podchodzi do dzieciaka siedzącego na ławce pod ścianą, który sprawia wrażenie zagniewanego, ale i wystraszonego. – Chcę, żebyś poznał Garretta Parksa, najmłodszego stażem członka Bocianiego Klubu. Wyzwoliliśmy go zeszłej nocy.

Connor omiata chłopca wzrokiem. Ten ma podbite oko i spuchniętą wargę. Został solidnie poturbowany, kiedy go „wyzwalano”.

– Spalili twój dom. Wiesz o tym, prawda? – pyta go Connor.

Dzieciak nie potrafi spojrzeć Connorowi w oczy.

– Tak, wiem.

– Wie też – dodaje Starkey – że jego tak zwani rodzice zamierzali go podzielić. Uratowaliśmy go i pokazaliśmy, na co nas stać.

– Tak, pokazaliście, jasne. Pokazaliście Urzędowi do Spraw Małoletnich, że pora zgarnąć nas wszystkich, co do jednego. Nie uratowaliście go, wydaliście na niego wyrok. Wydaliście wyrok na nas wszystkich! Naprawdę sądziliście, że przymkną oko na podpalanie domów?

Starkey splata ręce na piersi.

– Niech spróbują nas pokonać. Mamy broń. Będziemy z nimi walczyć.

– Jak sądzisz, jak długo wytrzymamy? Godzinę? Dwie? Bez względu na to, ile mamy broni, oni mają więcej. Będą nas po prostu atakować i atakować aż do chwili, gdy wszyscy będziemy albo martwi, albo wyłapani.

Starkey dopiero teraz zaczyna sprawiać wrażenie zbitego z tropu.

– Jesteś po prostu tchórzem! – krzyczy Barn, patrząc na niego równie wrogo, jak tamtego dnia, kiedy Connor wylał ją z posady.

– Tak, tak, tchórzem! – wtórują jej pozostali.

Daje to Starkeyowi poparcie, którego potrzebował, żeby pogrzebać wszelkie wątpliwości pod własną ślepą pewnością siebie.

– Jestem tu już wystarczająco długo, żeby wiedzieć, że ty się nadajesz najwyżej na niańkę. Potrzebujemy czegoś więcej. Potrzebujemy kogoś, kto nie będzie się bał wyjść z tą walką na ulice. Dałem ci szansę, żebyś sam opuścił to miejsce, ale nie chciałeś. Nie pozostawiasz mi wyboru, będziemy cię musieli obalić.

– Nie ma szans.

Connor znalazł się w obliczu oczywistej przewagi liczebnej. Wierni przybocznicy Starkeya ruszają na niego – ale Starkey nie jest tu jedyną osobą ukrywającą w zanadrzu niespodzianki. Nagle Hayden i pół tuzina innych, którzy czekali na zewnątrz, wpadają przez drzwi, strzelając pociskami usypiającymi do każdego bocianiego podrzutka, jaki nawinie im się pod lufę, do chwili gdy połowa popleczników Starkeya leży nieprzytomna na podłodze siłowni, a druga połowa rzuca broń.

Connor spogląda prosto w oczy Starkeya.

– Skujcie go.

– Z przyjemnością – odpowiada Hayden. Wykręca Starkeyowi ręce za plecami i zakłada mu kajdanki.

Connor był na tyle głupi, żeby zaufać Starkeyowi i wierzyć, że jego ambicja jest zdrowa, a nie ślepa.

– Różnica między mną a tobą, Connor – mówi Starkey, wciąż jeszcze buntowniczo nastawiony – polega na tym, że...

– ...że ty jesteś w kajdankach, a ja nie. Wyprowadźcie go stąd.

Pod GimBo zdążył zebrać się tłum – odgłosy strzelaniny przyciągnęły dziesiątki dzieciaków, które patrzą, jak towarzysze Connora wyciągają Starkeya z wnętrza i sprowadzają go po schodkach.

– Zamknijcie jego małą drużynę buntowników w areszcie i postawcie przed drzwiami dwóch uzbrojonych strażników – mówi Connor.

– Starkeya też? – pyta Hayden.

Connor wie, że nie może zamknąć Starkeya razem z jego współnikami, bo znowu coś razem uknują.

– Nie. Starkeya zamknijcie na klucz w mojej kwaterze – rozkazuje. Jeden z nastolatków trzymających Starkeya powala go na ziemię, ale Connor odciąga krewkiego chłopaka do tyłu.

– Nie! Nie jesteśmy hyclami. Uszanujcie jego godność. Czy na to zasłużył, czy nie.

Jego podwładni spełniają polecenie, aczkolwiek nikt nie pomaga jeńcowi wstać. Mając ręce skute za plecami, Starkey musi się zwijać i wiercić na ziemi tak długo, aż w końcu udaje mu się niezgrabnie dźwignąć na nogi.

– To jeszcze nie koniec! – krzyczy.

– Nie jesteś pierwszym, który tak twierdził i się mylił.

Starkey zostaje zabrany, a Connor rozpoczyna ograniczanie szkód. Wytęża słuch, żeby wychwycić, o czym rozmawiają nastolatki na obrzeżach tłumu. Niektóre dzieciaki pytają, co do cholery się stało, ale słyszą też inne głosy. Głosy pełne dezaprobaty. Bociani Klub. Connor zastanawia się, jak dużym poparciem cieszy się Starkey. Ma nadzieję, że jeśli nawet powszechnym, to płytkim.

– Posłuchajcie mnie wszyscy! – woła, wiedząc, że jest ważniejsze niż kiedykolwiek, aby postrzegali go teraz jako swojego przywódcę. – Bez względu na to, czy jesteście bocianimi podrzutkami, podopiecznymi domów dziecka czy wychowaliście się w swojej biologicznej rodzinie, musimy zjednoczyć nasze siły. Od tego, co teraz zrobimy, będzie zależało nasze życie. Hycle szykują się do ruszenia na nas. Musimy współpracować ze sobą, chyba że chcecie skończyć w kawałkach.

Słyszając to przemówienie, dzieciaki potakują i w tłumie można wyczuć atmosferę solidarności do momentu, gdy ktoś stojący z tyłu pyta:

– A co ze Starkeyem?

I wszyscy czekają w napięciu na odpowiedź Connora.

– Starkey jest jednym z nas – mówi im Connor. – A ja nie pozwolę, żeby ktokolwiek z nas został podzielony.

Ponieważ nie ma komu pilotować dreamlinera, nie ma planu ucieczki. Dlatego Connor zwołuje na naradę Haydena, Ashley i pół tuzina innych. Dzieciaki, którym może zaufać, a przynajmniej ma taką nadzieję. Spotykają się w KomBomie, który stał się zaimprovizowanym pomieszczeniem sztabowym nietypowego generała, i Connor wyciąga z rękawa plan B.

– Będziemy się ostrzeliwać na dwóch frontach: tutaj i tutaj. – Wskazuje narysowaną odręcznie mapę cmentarzyska. – Hycle wpadną tu przez północną bramę. Kiedy znajdą się w środku, zwabimy ich na główną aleję, a potem zaatakujemy zniemacka z dwóch stron, w sile jakichś pięćdziesięciu osób.

– Ostra amunicja? – pyta Hayden.

– Ruszymy na nich ze wszystkim co mamy. Ostra amunicja, pociski usypiające, wszystko.

– Będą mieli więcej niż my – mówi Ashley. – Bez względu na to, co zrobimy, oni wytrzymają dłużej.

– Tak, ale chodzi tylko o to, żeby zyskać na czasie – wyjaśnia Connor. – Kiedy zacznie nam brakować amunicji, wycofamy się tutaj, za cysternę z paliwem na wschód od myśliwców.

– Nie otoczą nas? – pyta inny nastolatek.

– Kiedy zaczną zacieśniać krąg, wysadzimy cysternę i uciekniemy na wschód.

– Nie mamy szans! – mówi Ashley.

– Poczekaj. W czasie, gdy nasza pięćdziesiątka zwiąże hycli walką, ponad sześćset pięćdziesiąt osób będzie uciekać na południe, każdy na własną rękę.

– I Connor rysuje na mapie wachlarzowato rozszerzające się strzałki prowadzące w kierunku odległego południowego płotu. Ogrodzenie jest tam pełne dziur.

Hayden kiwa głową, rozumiejąc, o co chodzi, i wskazuje główną aleję.

– Czyli jeśli pięćdziesiątka wykona tutaj swoją robotę, a potem odciągnie hycli na wschód, skupi na sobie ich uwagę wystarczająco długo, żeby tamci nie mieli już szans wyłapać uciekających, kiedy się zorientują, że reszta obozu wzięła nogi za pas.

– Mogą wyłapać część, ale pozostałym uda się zbiec. Ponownie będą zdani tylko na siebie, ale przynajmniej będą żywi. I cali.

Potem pada kluczowe pytanie.

– A co z tamtą pięćdziesiątką?

Connor w końcu musi odpowiedzieć.

– Poświęcimy się, żeby pozostali mogli przeżyć.

Hayden przełyka z takim wysiłkiem, że aż słychać, jak chrząstka mu przeskakuje w krtani.

– To by było na tyle, gdy chodzi o karierę w radiu.

– Jeśli ktokolwiek z was nie chce brać w tym udziału, nie będę mu czy jej miał za złe, jeśli się teraz wycofa. – Ale wszyscy wiedzą, że to jak ksiądz pytający przed udzieleniem ślubu, czy ktoś wyraża sprzeciw.

– Dobra, w porządku – mówi Connor, kiedy nikt nie podnosi ręki. – Niech każde z was skrzyknie drużynę najbardziej zaufanych przyjaciół, którzy chcą stanąć do walki z hyclami, a potem dać pozostałym, że mają rzucić się do ucieczki, kiedy tylko zabrzmie alarm, i uciekać do chwili, gdy zostaną złapani albo skończą siedemnaście lat.

– Po co czekać, aż zabrzmie alarm? – pyta ktoś. – Dlaczego nie opuścimy cmentarzyska już teraz?

– Dlatego – odpowiada Connor – że w tej chwili hycle śledzą każdy nasz ruch. Jeśli zobaczą, że zaczynamy się ewakuować, obstawią to ogrodzenie autami policyjnymi, zanim w ogóle zdążymy do niego dotrzeć, i wyłapią nas jak króliki. Ale w chwili, gdy rzucą całe swoje siły do natarcia od północy, a my zwiążemy ich walką, otworzy się możliwość ucieczki.

Wszyscy zgadzają się, że to logiczne. Connor odnosi wrażenie, że tylko on sam ma świadomość, jak karkołomny jest jego plan.

– Ile mamy czasu? – pyta Ashley.

Connor oddaje głos Haydenowi.

– Przy odrobinie szczęścia kilka dni – odpowiada Hayden. – A jeśli mamy pecha, kilka godzin.



58. TRACE

Podczas gdy Connor naradza się ze swoim sztabem, Trace gna na złamanie karku z powrotem na Cmentarzysko, łamiąc wszelkie ograniczenia prędkości. Został wezwany na dywanik przez swoich „szefów”, żeby potwierdzić, że to ZOMZ-owie z obozu wzniecali pożary domów w Tucson. Dowody wskazywały ponad wszelką wątpliwość, że winowajcy pochodzili z Cmentarzyska; nie było sensu zaprzeczać. Garniturowcy z Proaktywnych Sił Obywatelskich chcieli wiedzieć, dlaczego Trace nie poinformował ich o tym wcześniej. Ostatecznie właśnie po to umieszczono go na Cmentarzysku – żeby dawał im znać o wszystkim z wyprzedzeniem. Nie chcieli uwierzyć, że ta sytuacja była dla niego takim samym zaskoczeniem jak dla nich.

– Czy zdajesz sobie sprawę, w jakim położeniu to nas stawia? – spytali go retorycznie. – Urząd do Spraw Małoletnich chce zrobić porządek z tym miejscem, a po tym, jak doszło do ataków na domy cywili, nie zdołamy ich powstrzymać.

– Sądziłem, że to wy ich kontrolujecie.

Obaj garniturowcy najeżyli się równocześnie.

– Nasze relacje z Urzędem do Spraw Małoletnich są zbyt skomplikowane, żeby twój prostacki umysł był w stanie to pojąć, armiaaku. – Potem poinformowali go, że niniejszym zrywają z nim współpracę.

Jednakże dla Trace’a to już nie była praca. Czas grania na dwa fronty właśnie dobiegł końca.

Tak więc wsiadł do samochodu i, przygotowując się mentalnie do bitwy, popędził z powrotem na Cmentarzysko, tak jakby gnał na desce surfingowej, mając za plecami nadchodzące tsunami.

Teraz, o zmierzchu, hamuje z piskiem opon przed zamkniętą na kłódkę bramą i wytrwale trąbi klaksonem do momentu, gdy dwaj nastoletni wartownicy wychodzą, żeby sprawdzić, co się dzieje. Kiedy widzą, kto przyjechał, otwierają bramę.

– Jezu, Trace, chcesz obudzić całe Tucson?

Drugi wartownik chichocze.

– Nic nie jest w stanie obudzić Tucson.

Biedni durnie – myśli Trace. *Nie mają pojęcia, co się kroi.* Spogląda na karabiny, które tamci noszą tak niedbale, jakby były to modne dodatki do stroju.

– Macie w nich naboje usypiające?

– Zgadza się – odpowiada pierwszy nastolatek.

– Wymieńcie je na te tutaj. – Trace sięga na siedzenie pasażera w swoim dżipie i wręcza im dwa pudła najbardziej śmiertelnej amunicji wojskowej, jaka istnieje. Pocisków, które mogłyby urwać łeb słoniowi.

Wartownicy spoglądają na nie tak, jakby wręczono im noworodka, którego boją się upuścić.

– Załadujcie je prędko! A następnym razem, kiedy zobaczycie, że ktoś jedzie w stronę bramy, zaczynajcie strzelać i nie przerywajcie ognia, póki nie skończy się wam amunicja, rozumiano?

– Ta... tak jest – odpowiada pierwszy nastolatek. Jego kolega tylko potakuje oniemiały. – Ale dlaczego?

– Bo lada moment zjawią się tu hycle.



59. LEV

Zaczyna zmierzchać, kiedy Lev i Miracolina docierają do szosy, która biegnie wzdłuż północnego skraju Cmentarzyska. Idą teraz piechotą. Stary, zardzewiały znak drogowy wskazuje kierunek do bazy lotniczej Davis. Ponad półtora kilometra za ogrodzeniem, na pustyni, mający niewyraźny kształt samolotu.

– Baza lotnicza? Twój przyjaciel ukrywa się w bazie lotniczej?

– jest opuszczona – odpowiada Lev. – Nie używano jej od czasu wojny. Została przerobiona na złomowisko, gdzie pozyskuje się części ze starych samolotów.

Czyli ZOMZ z Akron ukrywa się w jednym z tych samolotów?

– Nie tylko on, i nie w jednym samolocie.

Mają wrażenie, że ogrodzenie ciągnie się w nieskończoność. Co kilka minut mijają ich samochód pędzący w stronę Tucson lub z Tucson. Lev wie, że kierowcy na pewno ich widzą i zastanawiają się, co robi dwoje dzieciaków tak daleko od miasta, ale nie obchodzi go to. Jest już zbyt blisko celu, żeby tracić teraz czas na chowanie się przed światłami aut.

– Wiem, że gdzieś tu w pobliżu znajduje się brama. Jest strzeżona, ale tamci mnie rozpoznają i wpuszczają nas do środka.

– jesteś pewien? Nie wszyscy na świecie wielbią cię tak jak twoi dziesięciordni.

W końcu w polu widzenia pojawia się brama i Lev przyśpiesza kroku.

– Zwolnij! – krzyczy Miracolina.

– Dogoń mnie! – odkrzykuje Lev.

Gdy zbliża się do bramy, widzi, jak jeden z nastoletnich wartowników wybiega, żeby go powitać. Trzyma coś w ręku, ale zrobiło się już zbyt ciemno, żeby zobaczyć, co to takiego – do momentu, gdy jest już za późno, i pojedynczy wystrzał rozlega się echem wśród zapadającej nocy.



60. STARKEY

Od chwili, gdy kajdanki zatrzasnęły się na jego nadgarstkach, Starkey pracuje nad swoją wielką ucieczką. Nie ma żadnego ukrytego klucza, żadnego schowanego w bucie scyzoryka, którym mógłby otworzyć zamek. Jednak prawdziwi mistrzowie potrafią improwizować.

Nie traci głowy, kiedy tamci prowadzą go do Connorowego odrzutowca. Tłumi furię spowodowaną tym, jak został upokorzony zakuciem w kajdanki na oczach całego obozu. Ta arogancja Connora! Rozkazując, żeby „uszanowano godność” pojmanego, osiągnął dokładnie przeciwny efekt. Starkey wolałby szarpać się z prześladowcami wlokącymi go po ziemi. To pozwoliłoby mu zachować godność – ale litość połączona z lekceważeniem? Trudno o większą obrazę.

Dwaj nastoletni chłopcy, którym kazano go pilnować, są od niego więksi i mają broń. Wprowadziwszy więźnia do wnętrza samolotu, przykuwają go do stalowej rozporki, żeby nie mógł ruszyć się z miejsca. Usatysfakcjonowani wychodzą. Jeden złośliwie macha Starkeyowi kluczami przed nosem, po czym wsuwa je do kieszeni. Zamykają drzwi. Starkey niniejszym oficjalnie zyskał status jeńca wojennego.

Spogląda przez okno odrzutowca na dwóch strażników, oceniając, czego można się po nich spodziewać. Rozmawiają – sprawiają wrażenie zakumplowanych. Oczywiście żaden nie jest bocianim podrzutkiem. Connor tego dopilnował. Bocianie podrzutki są teraz jego wrogami. No cóż,

jeśli Starkeyowi uda się zrealizować swój plan, Connor jeszcze się przekona, jak niebezpiecznym adwersarzem mogą być.

Starkey wie, że oto nadszedł kluczowy moment jego życia. Nie ucieczka przed hyclami, nie przybycie na Cmentarzysko, tylko właśnie ta chwila, kiedy siedzi sam jeden w samolocie skuty kajdankami. Wszystko zależy od tego, czy uda mu się uciec. Nie może teraz popełnić żadnego błędu. Jeżeli ma poprowadzić bocianie podrzutki ku wielkiej przyszłości, musi olśnić wszystkich swoją ucieczką.

Starkey kuca, przydeptując łańcuch kajdanek. Wie, że są z hartowanej stali. Nawet nożyce do cięcia drutu na nic by się tu nie zdały. Rozporka stanowi część kadłuba samolotu, więc nie da się jej wyłamać. Najślabszym ogniwnem jest jego własne ciało.

Starkey bierze kilka głębokich oddechów, żeby się przygotować. Dla każdego mistrza ucieczek przychodzi kiedyś dzień, gdy trzeba uciec z miejsca, skąd ucieczka jest niemożliwa, jednak prawdziwy artysta wie, że nie ma rzeczy niemożliwych – pod warunkiem, że nie wzdrgasz się przed niewyobrażalnym.

Zaparłszy się odpowiednio i zacisnąwszy szczęki, żeby nie wrzeszczeć, Starkey z całej siły przydeptuje obcasem swoją lewą rękę. Ból jest koszmarny, ale chłopak przełyka swój krzyk. Ponownie miażdży dłoń obcasem i tym razem czuje, jak kości śródrezcza pękają pod naciskiem. Ból powoduje przyływ słabości. Jego ciało stawia opór, ale jego wola przełamuje ten biologiczny rozkaz, i obcas Starkeya ponownie ląduje na jego ręce.

Szybko, zanim krew napłynie do zmiażdżonych tkanek, powodując opuchliznę, Starkey lekko przesuwając kajdanki i zgniata obcasem staw. Metalowa bransoletka kajdanek miażdży kości nadgarstka. Robi mu się ciemno przed oczami, jakby oberwał pociskiem usypiającym, ale siłą woli odpędza słabość i mdłości, oddychając wolno i głęboko, zmuszając się do zachowania przytomności i przekształcając ból w działanie. Chwilę wcześniej przygryzł język; krew napływa mu do ust, ale Starkey wypluwa ją. Załatwił sprawę. Prawą ręką przekręca bransoletkę kajdanek na lewej. Tym razem nie jest w stanie się powstrzymać i wyje z bólu, gdy przeciąga zmiażdżoną dłoń przez niewielki otwór.



61. NOAH

Pilnowanie gościa, który został skuty kajdankami i zamknięty na klucz w samolocie, nie jest szczególnie trudnym zadaniem, ale hej – skoro Connor uznał, że potrzeba aż dwóch strażników, kimże jest Noah Falkowski, żeby się z nim sprzeczać? To pierwsze polecenie, jakie otrzymał bezpośrednio od Connora, odkąd został uratowany przed podzieleniem prawie cztery miesiące temu, i nie zamierza zawalić zadania. We wnętrzu samolotu Starkey wydaje ochryply wrzask.

– Co jest grane? – pyta drugi chłopak wyznaczony do pilnowania więźnia.

– Ktoś się deczko wkurzył – odpowiada Noah.

Właśnie wtedy w pełnym pędzie podjeżdża do nich dżip, którego reflektory sprawiają, że otaczająca noc wydaje się jeszcze ciemniejsza.

– Co jest grane? – pyta drugi chłopak. To wyraźnie jego ulubiona odzywka.

Dżip hamuje z piskiem opon i wysiada z niego Trace. Kieruje się prosto do samolotu Connora.

– Hej, Trace, poczekaj. Connora tam nie ma – mówi Noah.

– A gdzie jest?

Noah nie ma pewności. Wszystko co wie, to że Connor zwołał pozostałych członków Całego Ciała Decyzyjnego na naradę po incydencie ze Starkeyem.

– Gdzieś poza główną aleją. Może w jednym z magazynów z zaopatrzeniem?

– Zero pożytku z ciebie. – Trace wskakuje z powrotem do dżipa i pędzi w stronę samolotów stojących na obrzeżach cmentarzyska. Dopiero po jego odjeździe Noah słyszy, że z wnętrza Connorowego odrzutowca dobiega głośny stukot – ale nie jest to odgłos, który skojarzyłby im się ze Starkeyem. Położone nad skrzydłem wyjście awaryjne zaczyna się otwierać.

– Co jest grane? Jak on się uwolnił?

– Ćśśś! – Noah odbezpiecza pistolet. Nigdy dotąd z niego nie strzelał, a broń jest załadowana nabojami usypiającymi, ale spełni swoje zadanie. Nigdy nie przepadał za Starkeyem i nie będzie miał nic przeciwko temu, żeby mu udaremnić ucieczkę. Właz awaryjny otwiera się na całą szerokość. Obaj chłopcy trzymają broń w pogotowiu, ale Starkey nie wyłania się z wnętrza. Podchodzą ostrożnie, a kiedy Noah zagląda do środka, widzi pogrążającą się w ciemności pustynię po drugiej stronie samolotu. Podczas gdy oni gapili się na to wyjście awaryjne, Starkey wylazł przez drugie, położone naprzeciwko, i zbiegł.

– O szlag!

Noah mniej się martwi Starkeyem, a bardziej tym, jak powie Connorowi, że zawalił swoje pierwsze poważne zadanie.



62. STARKEY

Załoczył kurtkę z kapturem wyciągniętą z szafy Connora, żeby ukryć twarz. Ma wrażenie, że jego lewa dłoń przemieniła się w dyndający dziesięciokilogramowy odważnik. Z każdym uderzeniem serca pulsuje w niej taki ból, że pod Starkeyem uginają się nogi, ale chłopak jakimś sposobem zmusza się do ruchu. Wie, że Trace wrócił, a to radykalnie zmieniło sytuację. Connor jeszcze się o tym nie dowiedział, co oznacza, że Starkey może wykorzystać powrót Trace'a dla własnych celów.

Na Cmentarzysku wrze. Dzieciaki biegają tam i z powrotem. W sąsiedniej alei pod arsenałem zebrał się tłum. Hayden rozdaje broń – nie jedną czy dwie sztuki, ale wszystko. Nikt nie spostrzega Starkeya.

Jeden z członków Bocianiego Klubu przebiega obok, niosąc naręczce broni, i Starkey łapie go zdrową ręką. Kiedy chłopiec widzi, kto to, omal nie wykrzykuje na głos jego imienia, ale Starkey go powstrzymuje.

– Zamknij się i słuchaj. Powiadom resztę bocianich podrzutków. Na mój sygnał wszyscy pędzicie do dreamlinera i wsiadacie.

– Ale... nie taki był plan.

– To jest MÓJ plan, rozumiesz?

– Tak, jasne, Starkey. Jasne. – Dzieciak spogląda na dłoń Starkeya, jakby chciał spytać, co mu się stało, ale postanawia tego nie robić. – Co będzie sygnałem?

Starkey spogląda na jego naręczce broni i wyciąga raketnicę.

– To – mówi. – Teraz leć!

Dzieciak oddala się pędem, żeby przekazać pozostałym wieść.

Starkey widzi, jak dżip Trace'a gna z powrotem od strony magazynów z zaopatrzeniem po tym, jak idioci stojący na straży podali mu błędne informacje. Nie jest pewien, gdzie znajduje się teraz Connor – może w KomBomie. To przypuszczalnie następne miejsce, które Trace sprawdzi.

Potem Starkey widzi Ashley, która biegnie od strony arsenału, niosąc paskudnie wyglądający pistolet maszynowy. Zastępuje jej drogę. Dziewczyna wytrzeszcza oczy na jego widok.

– Co ty robisz na zewnątrz? Czy Connor wie?

– Dowie się, jeśli nie ściszysz głosu!

Ashley podchodzi bliżej.

– Zapomnij o tym, Starkey. Dlaczego po prostu stąd nie zwiejesz? Connor nie będzie się tobą przejmował, jeśli tylko nie będziesz mu wchodził w drogę, kiedy zjawia się hycle.

– Jesteś bocianim podrzutkiem, Ashley, czy jednak tylko sługuską Connora?

Na tak sformułowane pytanie kluczowa „tajna agentka” Starkeya może udzielić tylko jednej odpowiedzi.

– Powiedz mi, co mam zrobić.



63. TRACE

Nie znalazłszy Connora, Trace pędzi z powrotem na główną aleję. Zmierza w stronę KomBomu, żeby własnoręcznie uruchomić alarm. Widzi dzieciaki, które pobrały broń z arsenału, ale poruszają się o wiele za wolno.

Jest tak rozkojarzony, że omal nie przejeżdża Ashley, która stoi mu na drodze. Hamuje z piskiem opon.

- Trace! – woła dziewczyna. – Tutaj jesteś!
- Gdzie Connor? Hycle jadą tu, żeby przypuścić na nas szturm.
- Wiemy o tym, Hayden podsłuchiwał ich komunikaty – odpowiada Ashley.
- Connor chce, żebyś uruchomił silniki w dreamlinerze.
 - Wie, że wróciłem?
 - Oczywiście. Widział, jak gnasz w panice w stronę magazynów z zaopatrzeniem.
 - To nie była panika – odpowiada Trace, chociaż sam najlepiej zna prawdę. – Przygotuję dreamliner do lotu. Jeśli uwiniemy się dostatecznie szybko, być może nie będziemy musieli z nimi walczyć. Powiedz Connorowi, żeby zaczął ładować towarzystwo na pokład.
 - Już się robi, Trace. – Ale Ashley nie ma zamiaru wypełniać jego polecenia. Patrzy, jak Trace pędzi w stronę dreamlinera i wspina się po schodkach. Potem idzie powiedzieć Starkeyowi, że zrealizowała swoją misję.



64. LEV

Zza bramy pada strzał z karabinu. Huk sprawia, że Levowi zaczyna dzwonić w uszach.

– Padnij! – krzyczy chłopiec. – Strzelają do nas!

Ale Miracolina już padła. Dosłownie. Leży bez życia na poboczu.

– Nie! – Lev pada na kolana obok niej, bojąc się patrzeć, bojąc się jej dotknąć. – Boże, proszę! Nie! – To nie może być prawda. Znowu! Wszyscy, do których Lev się przywiąże, albo giną, albo zostają okaleczeni, i to nie może się znowu wydarzyć! Chłopiec modli się o cud. Modli się, żeby to nie była prawda...

...a potem przewraca Miracolinę na wznak i odkrywa, że w jej klatce piersiowej wcale nie ziele wielka rana. Za to na jej ramieniu widnieje mała plamka krwi. I znajoma miniaturowa flaga pokazująca, gdzie wbił się pocisk usypiający. Chłopiec nie wie, czy poczuć ulgę, czy zgrozę.

– Wygląda na to, że kłopoty czyhają z obu stron, Lev – mówi Nelson gdzieś w mroku za jego plecami. – Co tu robić... Co robić?

Potem od strony bramy słyhać roztrzęsiony okrzyk:

– Trzymajcie się z daleka, kimkolwiek jesteście, bo strzelę drugi raz!

Jednak zanim nastoletni wartownik zdąży choćby wycelować, Nelson ponownie oddaje strzał z ciemności i powala go pociskiem usypiającym zza ogrodzenia.

– No to tego pana mamy z głowy – oznajmia spokojnie. – O czym rozmawialiśmy?

Lev nadal nie widzi Nelsona, ale Nelson ewidentnie widzi go wyraźnie, bo Lev słyszy znajome pfft wystrzelonego naboju usypiającego. Pocisk trafia w nogawkę jego dżinsów, odbija się od metalowego ćwieka i ląduje na żwirze obok chłopca. Lev wie, że nie ma jak się teraz obronić przed Nelsonem, więc po błyskawicznym namyśle łapie strzałkę, wbija ją w tkaninę spodni, pilnując, żeby nie zadrasnąć skóry, i przewraca się na Miracolinę. Zamyka oczy. Słyszy, jak drugi strażnik panikuje obok ogrodzenia. Słyszy też zgrzytające o żwir kroki Nelsona nadchodzącego z przeciwnej strony. Serce Leva wali tak, jakby miało mu wyskoczyć z piersi, ale chłopiec leży nieruchomo, udając martwego, żeby ocalić swoje życie, i modli się o drugi cud w przeciągu tyluż minut. Modli się, żeby Nelson dał się nabrać.



65. NELSON

W ogóle nie wyruszył do jaskini Indian Echo Caverns. Nelson po prostu pojechał vanem do przydrożnej kafejki oddalonej o kilka kilometrów i obserwował swój laptop, czekając, aż nanity telemetryczne wprowadzone do krwi Leva i Miracoliny zaczną się oddalać od domku w lesie. Wtedy ruszył ich śladem. Nieprzypadkowo przywiązał schwytanych do łóżek, których ramy były niemal całkowicie przerdzewiałe. Martwił się trochę, że Lev może się okazać za głupi, żeby wykombinować, jak się uwolnić, ale ostatecznie chłopiec spełnił pokładane w nim nadzieje.

Lev nie wyjawiał tamtego dnia, gdzie przebywa Connor Lassiter, ale Nelson usłyszał wystarczająco dużo, żeby wiedzieć, że chłopiec z dziewczyną ruszyli w drogę, zamierzając ostrzec ZOMZ-a z Akron przed wielkim, groźnym piratem części. Wystarczyło, żeby wziął ich na smycz i ruszył tam, dokąd go poprowadzą.

Teraz, gdy już wie, że Lassiter przebywa w nieużywanej bazie lotnictwa wojskowego, ta dwójka do niczego więcej mu się nie przyda, ale zabicie ich oznaczałoby konieczność poświęcenia czasu na pozbycie się ciał. Poza tym wiedza, że Lev obudzi się i będzie musiał żyć ze świadomością, że to on odpowiada za podzielenie Connora na czarnym rynku, stanowi znacznie słodsza zemstę niż drętwa cisza śmierci.

Nelson niespecjalnie przejmuje się nerwowymi ZOMZ-ami, którzy pilnują bramy. Pierwszy strzelił na oślep, a Nelson jest przekonany, że drugi też niespecjalnie potrafi się obchodzić z karabinem załadowanym ostrą

amunicją. Najprawdopodobniej przeszkolono ich tylko w korzystaniu z naboju usypiających, które nie dają odrzutu przy strzale i mają niższy tor lotu. Nelson, który potrafi korzystać z obu typów amunicji, wyruszył na tę misję uzbrojony po zęby. Prawdę mówiąc, hołubi romantyczne wyobrażenie, że schwyta ściganego niczym rewolwerowiec z dawnych czasów, a żeby zrealizować ten zamiar, uzbroił się po zęby. Ma do dyspozycji trzy pistolety oraz przewieszony przez ramię karabin samopowtarzalny. Oprócz jednego z pistoletów, wszystkie pozostałe sztuki broni zawierają pociski z szybko działającym środkiem usypiającym, znacznie skuteczniejsze niż ostra amunicja. Kula może się otrzeć o ciało, trafić w kończynę czy nawet w tułów, a cel mimo to będzie w stanie odpowiadać ogniem. Natomiast pocisk usypiający momentalnie eliminuje delikwenta z akcji, bez względu na to, gdzie się wbije. Gdy zaś chodzi o pistolet z ostrą amunicją, no cóż, Nelson uważa go za swoją polisę ubezpieczeniową.

Zamierza właśnie obejrzeć leżącego Leva, żeby się upewnić, że strzelił celnie i skutecznie, kiedy sytuacja ulega drastycznej zmianie, której żaden rewolwerowiec nie mógłby przewidzieć.



66. WARTOWNIK

Drugi nastolatek przy bramie nie ma pojęcia, co powaliło jego towarzysza. Ich obowiązki zazwyczaj ograniczają się do wskazywania drogi ludziom, którzy się zgubili, bo nikt nie pojawia się na cmentarzysku nocą z własnej woli. Jednakże Trace przeraził ich obu, a teraz jego kolega leży na ziemi przed bramą, być może martwy.

Chłopak podbiega do niego, spodziewając się, że po drodze może zostać zabity. Chociaż za bramą słyszał jakieś głosy, teraz umilkły. Nikt do niego nie strzela. I wartownik z ulgą odkrywa, że jego kolega nadal oddycha.

Jedynym ostrzeżeniem jest nagły ryk silnika. Potem znikąd wypada policyjny taran z wygaszonymi przednimi światłami i wjeżdża w bramę z taką prędkością, że wyrywa ją z zawiasów. Wartownik w ostatniej chwili uskakuje szczupakiem, a kiedy ogląda się do tyłu, widzi, że jego nieprzytomny przyjaciel został rozjechany przez koła ciężkiego pojazdu. Za taranem nadciąga kolumna samochodów policyjnych i opancerzone ciężarówki oddziałów do tłumienia zamieszek, a za nimi furgonetki do transportu Podzielonych, których widok budzi w chłopaku dreszcz. Jest dokładnie tak, jak mówił Trace. Przyjechali rozprawić się z całym obozem!

Dopiero teraz, po sforsowaniu bramy, kierowcy wszystkich policyjnych aut włączają światła. Blask reflektorów oświetla pustynię i stojące w oddali samoloty. Po tym, jak ostatnia ciężarówka wjechała na Cmentarzysko, za hyclami nadjeżdża w pełnym pędzie brązowy van, a chwilę później jakiś dzieciak przebiega przez zrujnowaną bramę w ślad za nim.

Co będzie następne? – myśli wartownik. *Słoń?*

Kiedy zadyszany dzieciak uzmysławia sobie, że nie ma żadnych szans dogonić najeźdźców na piechotę, spostrzega wartownika i podbiega do niego. Wartownik odruchowo podnosi karabin, ale uświadamia sobie, że jak idiota trzyma go do góry nogami. Szybko ujmuje broń tak jak trzeba, ale dzieciak już jest przy nim i wyrywa mu karabin z rąk.

– Nie wygłupiaj się, nie jestem wrogiem – mówi. W jego twarzy jest coś znajomego. Wartownik ma wrażenie, że już kiedyś go widział, ale z krótszymi włosami. – Macie tu dżipa albo coś?

– Za przyczepą...

– To dobrze. Daj mi kluczyki.

Mówi tak stanowczym tonem, że wartownik spełnia polecenie. Sięga do kieszeni i wręcza mu kluczyki.

– Posłuchaj mnie – ciągnie dzieciak. – Za bramą leży dziewczyna. Uśpiono ją. Chcę, żebyś ją zabrał i uciekł stąd. Zabrał ją w jakieś bezpieczne miejsce. Rozumiesz?

Wartownik kiwa głową.

– Taa, jasne. W jakieś bezpieczne miejsce.

– Obiecuj mi, że to zrobisz.

– Jasne, jasne, obiecuję.

Usatysfakcjonowany dzieciak wsiada do dżipa i odjeżdża w stronę głównej alei, skąd już dolatują wystrzały. Ewidentnie nie potrafi kierować samochodem, ale to nie ma większego znaczenia, skoro nie ma tu drogi, tylko twarda pustynna ziemia.

Po jego odjeździe wartownik przez moment spogląda na szczątki zabitego towarzysza, a potem ucieka. Gdzieś w krzakach tuż za bramą leży uśpiona dziewczyna. Nie obchodzi go to. Podczas nalotu hycli każdy musi się sam martwić o siebie. Dziewczyn też to dotyczy. Dlatego, zamiast choćby jej poszukać, nastolatek rzuca się do ucieczki, biegnąc ile sił w nogach, a dziewczynę pozostawia na łasce hycli – lub kojotów, zależnie od tego, kto zjawi się pierwszy.



67. CONNOR

Uzbroiwszy swój oddział ochotników – łącznie jakieś sześćdziesiąt osób – Connor wysłał połowę z nich, żeby się ukryli za maszyną ochrzczonej „Rip”, największym dormitorium chłopaków. To samolot transportowy C-130, którego skrzydła zostały zdemontowane, a za jego pękatym kadłubem może się ukryć mała armia.

– Jesteście lewym skrzydłem obrony – mówi im. – Postarajcie się ściągnąć na siebie ogień hycli i zatrzymać ich na północnym krańcu głównej alei.

– Może raz w życiu będziemy mieli szczęście – odzywa się jeden z dzieciaków. – Może hycle w ogóle nie przyjadą.

Connor próbuje mu posłać dodający otuchy uśmiech. Nie pamięta imienia tego chłopca. Starał się jak mógł, żeby zapamiętać tyle imion ile się dało, ale jego możliwości były ograniczone. Jeśli ten dzieciak zostanie zabity, lub gorzej – podzielony, kto będzie o nim pamiętał? Kto będzie pamiętał o kimkolwiek z nich? Connor żałuje, że nie był dostatecznie przewidujący, żeby kazać każdemu z obozowiczów wyryć swoje imię i nazwisko w stalowym poszyciu starego Air Force One na pamiątkę faktu, że istnieli. Nawet jeśli nikt nigdy nie przeczytałby tych imion, przynajmniej by tam były. Teraz już za późno.

Connor zabiera resztę swojego oddziału pod odrzutowiec rekreacyjny, dokładnie po przeciwległej stronie alei.

– Ustawimy barykadę pod skrzydłami – mówi im – i będziemy strzelać zza niej.

- A ty gdzie będziesz? – pyta jakaś dziewczyna.
- Tuż obok ciebie, Casey – odpowiada Connor, szczęśliwy, że pamięta jej imię.
- Nie – mówi inny dzieciak. – Król nigdy nie powinien się znaleźć na pierwszej linii. Znaczący, w szachach.
- To nie są szachy – stwierdza Connor. – To nasze życie.
- Taa – odpowiada tamten – ale podobałoby mi się bycie hetmanem.
- No cóż, pasujesz na skoczka, i tak masz końską urodę – mówi Casey i wszyscy wybuchają śmiechem. Fakt, że potrafią się teraz śmiać, mówi więcej o ich odwadze niż cokolwiek innego.

Connor i jego ochotnicy pośpiesznie wznoszą barykadę z kanap, stołów i automatów do gier wideo. Connor właśnie ustawia pionowo stół do bilarda, kiedy w słuchawce, którą ma w uchu, odzywa się głos Haydena.

- Connor, coś jest nie tak. Nie mogę wywołać wartowników przy bramie; nikt nie odpowiada.

- Nie! Nie jesteśmy gotowi!

Wtedy chłopak z końską szczęką mówi:

- Nigdy nie będziemy gotowi. Więc chyba nie jesteśmy mniej gotowi niż kiedy indziej.

Connor wspina się do wjazdu odrzutowca rekreacyjnego i spogląda w kierunku północnym. Na pogrążonej w mroku pustyni widzi ścianę reflektorów nadjeżdżających aut, których kolumna rozszerza się... wachlarzowato.

- Włącz alarm – mówi Haydenowi. – Zaczyna się.



68. MASZYNY

Patrząc na samolot od przodu, można odnieść dziwne wrażenie, że maszyna ma oczy. Samoloty z Cmentarzyska bez wątpienia widziały wiele rzeczy. Niewykluczone, że jako jedyne postrzegają strzelaninę i szaleństwo z odpowiedniej perspektywy w dniu, gdy Urząd do Spraw Małoletnich przypuszcza szturm na obóz.

Z GimBo, odrzutowca stojącego na północnym krańcu głównej alei, roztacza się najlepszy widok na nadjeżdżające siły policyjne. Kadłub samolotu wibruje od monotonnego ryku syreny alarmowej. Na ziemi pod nim dzieciaki usiłujące ratować co się da ze złomowiska rzucają wszystko i zaczynają uciekać na południe, tak jak im kazano. Wokół niezłomnie stojących rzędów wycofanych z użytku samolotów zorganizowany chaos przemienia się w totalną panikę.

Z odrzutowca medycznego wyraźnie widać dreamliner, którego silniki zostały uruchomione, bo pilot szykuje maszynę do lotu. Gdyby Connor widział to, co widzi odrzutowiec medyczny, być może wróciłby do pierwotnego planu i wezwałby wszystkich, żeby wsiadali na pokład, zanim przyjadą hycle, ale Connor nie ma pojęcia, że ucieczka samolotem znowu stała się możliwa.

Z dreamlinera bez problemu można dostrzec Starkeya, który już odpuścił sobie ukrywanie twarzy i wkrótce da sygnał bocianim podrzutkom, aby porzucili plan Connora i ruszyli tutaj. Jednak siedzący w kokpicie Trace jest zbyt zaabsorbowany przygotowaniami do lotu, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

Blżej południowego krańca głównej alei Smoczek, bombowiec typu stealth, patrzy, jak panikujący Cali przebiegający pod jego skrzydłami i brzuchem przystają, gdy słyszą uruchamiające się silniki dreamlinera.

– Co jest? – wołają. – Czy jednak będziemy stąd uciekać samolotem? – I zamiast biec na południe wahają się, niepewni, co robić.

A Dolores, bombowiec z czasów wojny koreańskiej, gapi się niemo na Connora, nie mogąc mu powiedzieć, jak okrutna niespodzianka czeka go już za chwilę. Chociaż chłopak pozostaje w kontakcie przez radio z siedzącym w KomBomie Haydenem, który obserwuje kamery monitoringu rozmieszczone na całym złomowisku, żadna z tych kamer nie widzi tego, o czym samoloty już wiedzą – że to cmentarzisko wypatroszonych, rozmontowanych samolotów wkrótce zaścieleją również zwłoki ludzi.

Gdy auta policyjne zbliżają się do głównej alei, rozdzielają się, skręcając w lewo i w prawo, żeby odsłonić cztery opancerzone ciężarówki oddziałów do tłumienia zamieszek, czarne i kanciaste niczym silniki Diesla. Zatrzymują się przy końcu głównej alei, a ze środka wysypują się dziesiątki uzbrojonych funkcjonariuszy w hełmach i kamizelkach kuloodpornych.

W KomBomie Hayden przełącza się z jednej kamery na drugą w nadziei, że może sytuacja oglądana pod innym kątem będzie wyglądała nieco mniej poważnie.

– Connor, widzisz to? – mówi do zestawu słuchawkowego. – To nie tylko hycle. Ściągnęli tu cholerną drużynę SWAT!

– Właśnie widzę. Auta policyjne oddzielają się od reszty. Dokąd jadą?

– Moment. – Hayden przełącza się na inną kamerę. – Wjeżdżają w alejki na lewo i prawo od was. Próbuje nas otoczyć.

Connor rozkazuje garstce ochotników z lewej i prawej flanki, żeby ostrzelali auta policyjne, zanim te zdążą minąć ich pozycje, ale każe większej części swojego oddziału pozostać w ukryciu, żeby mogli związać walką drużynę SWAT, która nadciąga główną aleją, gdy tylko tamci znajdą się wystarczająco blisko.

– Nie musimy ich pokonać – przypomina wszystkim. – Musimy ich tylko zmusić, żeby walczyli z nami zamiast gonić pozostałych.

Właśnie wtedy spanikowany nastolatek wypada z mroku na główną aleję, próbując uciec za wszelką cenę. Jeden z policjantów unosi broń i trafia go

pociskiem usypiającym, a gdy dzieciak pada w pył, Connor wydaje rozkaz ataku.

Oddział do tłumienia zamieszek obrywa z obu stron wszystkim, czym dysponuje drużyna Connora. Ukrywają się pod osłoną samolotów i odpowiadają ogniem.

W tym samym czasie w bocznych alejkach nastolatki, którym Connor kazał przechwycić auta policyjne, strzelają raz za razem, rozwalając opony i wybijając przednie szyby. Jeden z samochodów zjeżdża w bok, zderza się z przednim podwoziem przestarzałego myśliwca i staje w płomieniach.

– Brawo! – krzyczy Hayden. – Żadne auto policyjne nie dojechało dalej niż do trzeciego samolotu, ani w jednej, ani w drugiej alejce – mówi Connorowi. – Gliny wyskakują ze środka i strzelają na oślep w ciemność. Connor? Connor, jesteś tam?

Connor jest tam, ale jego mózg nie potrafi wyartykułować słów. Obok niego Casey leży przewieszona przez nogę od odwróconego stołu bilardowego, a z jej szyi sterczy pocisk usypiający – ale znacznie gorszy los spotkał chłopaka z końską szczęką, który oberwał kulą prosto w czoło.

– Boże! – krzyczy ktoś z pozostałych. – Nie strzelają tylko usypiaczami, zabijają nas!

I to panika tego dzieciaka – jego własna panika – sprawiła, że Connor zamilkł. Jasne, że Urząd do Spraw Małoletnich chce ich pojmać żywcem, żeby można było ich podzielić – ale kula w mózgu kogoś, kto chwilę wcześniej stał koło ciebie, jest w stanie każdego przerazić i popchnąć do ucieczki. Tak więc Connor zbiera cały swój hart ducha i znajduje dość odwagi, żeby wytrwać na posterunku, a pozostali idą za jego przykładem.

Stojąc u podnóża przednich schodków dreamlinera, Starkey wstrzykuje sobie podskórną dawkę morfiny dostarczoną przez sanitariusza, który całkiem przypadkowo jest też bocianim podrzutkiem. Po kilku sekundach zaczyna czuć zawroty głowy i dezorientację, ale walczy z tym. Wspina się po stopniach i czeka przy otwartych drzwiach odrzutowca. Morfina zaczyna już tłumić ból jego ręki, a chociaż działa tak silnie, że w normalnych warunkach mogłaby go uspić, adrenalina krążąca we krwi Starkeya niweluje senność. W efekcie lek sprawia tylko, że mimo szalejącego wokół chaosu chłopak czuje spokój graniczący z euforycznym uniesieniem. Jest nietykalny. Podnosi raketnicę i strzela, rozświetlając nieboskłon migoczącym różem.

Bocianie podrzutki, które pochowały się wśród samolotów zamiast uciekać na południe, wybiegają i pędzą tłumnie w stronę dreamlinera, wspinając się po przednich i tylnych schodkach.

* * *

Dzieciaki, które dotarły już do ostatnich samolotów na południowym krańcu cmentarzyska, widzą falę Całych biegnącą w stronę odrzutowca, który miał posłużyć do ewakuacji.

– Hej, tam w środku ktoś jest! Ktoś będzie pilotował! Chodźcie! – Zawracają i pędzą w stronę dreamlinera zamiast biec na południe. Gdy coraz więcej uciekających nastolatków zawraca, zaczyna działać psychologia tłumu. Wszyscy gnają w stronę oczekującego samolotu.

Bitwa trwa. Drużyna Connora wciąż jeszcze walczy z oddziałem SWAT, który jest znacznie liczniejszy, lepiej uzbrojony i celniej strzela. Jednak to było jasne od początku. Straty zostały w kalkulowane w plan. Mniej więcej jedna trzecia ochotników na obu flankach już padła. Connor nie chce wiedzieć, kogo uśpiono, a kogo zabito.

– Możecie przejść do fazy drugiej – mówi mu Hayden. Connor szykuje się do wydania rozkazu, żeby ochotnicy z prawego skrzydła opuścili dotychczasowe pozycje i pobiegli w stronę cystern z paliwem, odciągając uwagę gliniarzy od dzieciaków uciekających na południe.

– Nie... nie, zaczekaj – rzuca Hayden. – Coś jest nie tak!

Raptem oddział SWAT kompletnie przestaje się interesować Connorem i jego drużyną. Ruszają pędem główną aleją w przeciwną stronę – i dopiero teraz, kiedy ucichła ogłuszająca kanonada krzyżowego ognia, Connor słyszy wycie silników odrzutowca. Odwraca się i widzi tłum nastolatków biegnących w stronę dreamlinera.

– Nie! Co oni robią?

A potem go spostrzega. Starkey. Stoi na przednich schodkach, u samej góry, zaganiając do środka swoje stadko – ale nie tylko bocianie podrzutki próbują się dostać na pokład. U podnóża schodków tłoczy się już cała masa spanikowanych dzieciaków. Wygląda to tak, jakby cała populacja Cmentarzyska walczyła między sobą, próbując się wspiąć po tych wąskich stopniach.

Zanim jeszcze dotrze do nich oddział SWAT, z obu stron podjeżdżają hycle i zaczynają usypiać jednego dzieciaka za drugim, jak na strzelnicy. Connor może tylko patrzeć, jak jego plan – oraz wszelka nadzieja – rozpada się w pustylny pył.

Tym razem bocianie podrzutki mają pierwszeństwo. Tym razem to bocianie podrzutki wygra. I niech piekło pochłonie wszystkich innych. Ludzie wychowani w rodzinach biologicznych nigdy nic nie zrobili dla Starkeya. Cóż, teraz to się zmieni. Dzieciaki wychowane w rodzinach biologicznych staną się celami dla hycli i ściągną na siebie ich ogień, podczas gdy jego towarzysze będą wsiadać na pokład samolotu.

Wsiadanie nie odbywa się ani tak szybko, ani tak gładko, jak by chciał, ale przynajmniej jakoś idzie. Oddział do tłumienia zamieszek znajduje się jeszcze w pewnej odległości, ale gliniarze od małolatów zajęli pozycje znacznie bliżej i zaczynają strzelać do tłumu dzieciaków, które walczą między sobą o możliwość dostania się na pokład. Jednakże większość bocianich podrzutek jest już w środku.

Potem któryś z hycli strzela pociskiem usypiającym do jednego z dzieciaków znajdujących się na schodkach. Trafiony upada, spowalniając podrzutki znajdujące się za nim. Tamci depczą po nim, tak że chłopak dosłownie znika pod ich butami.

Ashley, tajna agentka Starkeya, wbiega na schodki jako ostatnia z podrzutek. Uśmiecha się do niego.

– Zdażyłam! – mówi, wyciągając rękę, żeby pomógł jej pokonać kilka ostatnich stopni.

Jednak właśnie wtedy jeden ze stojących na ziemi hycli krzyżuje spojrzenia ze Starkeyem i celuje do niego. Chłopak bez namysłu lekko popycha Ashley w bok. Ta wlepia w niego zszokowane spojrzenie, gdy pocisk usypiający wbija się w jej plecy zamiast w jego pierś.

– Sorki, Ashley.

I zanim jeszcze dziewczyna osunie się bezwładnie w jego ramiona, Starkey spycha ją do tyłu, tak że dzieciaki za nią przewracają się niczym kostki domina. Daje mu to akurat dość czasu, żeby zamknąć klapę wjazdu.

Podrzutki znajdujące się w środku są w równym stopniu podekscytowane co przerażone. Widząc, że przedni właz został zatrzaśnięty, prędko zamykają też tylny. Ponieważ we wnętrzu samolotu nie ma siedzeń, nikt nie wie za

bardzo, co robić. Część obecnych siedzi na podłodze, niektórzy stoją lub wyglądają przez okna.

Starkey idzie prosto do kokpitu, gdzie siedzi Trace, spięty i skoncentrowany tylko na jednym.

– Czy wszyscy są na pokładzie? – pyta.

– Tak, tak, wszyscy już wsiedli – odpowiada Starkey. – Startuj!

Trace dopiero teraz spostrzega, z kim rozmawia.

– Ty tutaj? Gdzie Connor?

– Nie dobiegł. A teraz zwijajmy się stąd.

Zamiast tego Trace wstaje, wygląda przez okno i widzi panikę na zewnątrz. Chociaż oba włązy są zamknięte, dzieciaki nadal tłoczą się na schodkach, a szybki rzut okiem do kabiny pozwala w jednej chwili stwierdzić, kto został uratowany, a kto nie.

– Ty sukinsynu!

Nie ma czasu na kłótnie. Starkey wyciąga pistolet, ale trzyma się w takiej odległości, żeby Trace nie mógł go rozbroić żadnym zręcznym wojskowym chwytem.

– Byłeś gotów ratować dzieciaki Connora, ale nie uratujesz bocianich podrzutek, tak? Siadaj za sterami i startuj albo strzelam.

– Jeśli mnie zabijesz, nikt się stąd nie wydostanie.

Jednak Starkey nie opuszcza broni, bo nie blefuje i Trace o tym wie.

Wzrok armiak mógłby roztopić żelazo. Trace siada z powrotem i powoli przesuwa do przodu dźwignię przepustnicy.

– Jak już wylądujemy – mówi – zabiję cię gołymi rękami.

Starkey dobrze wie, że armiak też nie żartuje.

Dreamliner rusza naprzód, przewracając zarówno przednie, jak i tylne schodki. Dzieciaki i gliniarze uciekają przed kołami olbrzymiego samolotu, gdy ten przyśpiesza, jadąc prawie pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Connor ustawił go w miejscu, skąd prowadzi prosta droga na pas startowy, a hycle bezskutecznie starają się ją teraz zablokować.

Dzieciaki, które pozostały na ziemi, próbują wrócić do pierwotnego planu i uciekać na południe, ale już za późno. Hycle i policjanci z oddziałów do tłumienia zamieszek otoczyli gromadę nastolatków i zasypują ich pociskami usypiającymi. Nie muszą nawet celować; wystarczy strzelić w tłum i ktoś upada.

Connor patrzy w zgrozie, jak wszystkie jego nadzieje obracają się wniwecz. Jakiś hycel strzela do niego i chłopak odbija karabinem pocisk usypiający. Gliniarz składa się do ponownego strzału, ale Connor szarżuje na niego i nokautuje go jednym ciosem kolby. Gdy podnosi wzrok, widzi, jak pełen bocianich podrzutków dreamliner zaczyna pędzić wzdłuż pasa startowego – ale prędko spostrzega też, że jest problem.

Daleko, daleko, ledwie widoczny w mroku, na pasie startowym majaczy ciemny prostokątny kształt. Znajduje się ponad półtora kilometra dalej, ale gdy samolot przyśpiesza, zmniejszając dystans, jego reflektory oświetlają opancerzoną ciężarówkę, która gna na czołówkę, grając w „tchórza” z odrzutowcem ważącym sto dwanaście ton.

Siedzący w kokpicie Trace też ją widzi, ale nie ma już możliwości wyhamowania.

Kierowca ciężarówki uświadamia sobie o sekundę za późno, że nie wygra w tej grze.

Gdy przód odrzutowca odrywa się od ziemi, ciężarówka skręca ostro, żeby umknąć w bok, ale kierowca nie jest wystarczająco szybki. Tylne podwozie samolotu zahacza o pojazd, wywracając go niczym zabawkę, a wielki kawał metalowej goleni razem z kołami odpada w chwili, gdy odrzutowiec wznosi się w powietrze. Dreamliner przechyla się niebezpiecznie w bok, jakby miał runąć, ale jakoś wyrównuje lot. Jego uszkodzone podwozie, skręcone i bezużyteczne, powoli chowa się w luku.

Na ziemi setki osaczonych nastolatków są „usypiane i zgarniane” przez hycli, nie znajdując ocalenia ani schronienia w niezdolnych do lotu maszynach, podczas gdy w górze jedyny samolot, jaki kiedykolwiek został wskrzeszony z cmentarzyska, unosi w niebiosa sto sześćdziesiąt dziewięć dusz. Sto sześćdziesiąt dziewięć dusz bez możliwości bezpiecznego wylądowania.



69. LEV

Lev ma tę przewagę, że znajduje się na tyłach bitwy. Widzi, gdzie jest front, widzi taktykę atakujących hycli, a ponieważ nikt jak dotąd nie wszczepia sobie oczu z tyłu głowy, Lev może się przemieszczać za plecami walczących i nie zostać złapany.

Podobnie jak Nelson.

Dreamliner jeszcze nie wjechał na pas startowy, a uwaga wszystkich skupia się na uzbrojonych ZOMZ-ach na północnym krańcu głównej alei. Lev widzi, jak Nelson zostawia swój van przy zachodnich alejkach Cmentarzyska i pieszo podchodzi bliżej miejsca, gdzie trwa strzelanina. Ma teraz na sobie mundur hycła – widocznie zdarł go z prawdziwego gliniarza, którego uśpił. Wtopi się w tłum. Będzie z powodzeniem udawał jednego z ich. Lev może zostać wzięty wyłącznie za ZOMZ-a, a jedyne, co w ten sposób zyska, to że zostanie pozbawiony przytomności. Wie, że musi być ostrożny.

Usiłuje wykombinować, gdzie w strefie działań wojennych może się znajdować Connor, i nagle uświadamia sobie, że nawet nie zna tego Connora. Dawny Connor chciał tylko ratować własną skórę i był w tym dobry. Ale czy nadal zachowywałby się w ten sposób teraz, gdy spoczywa nad nim odpowiedzialność za wszystkich mieszkańców obozu? Connor uratował kiedyś niemowlę. Ocalił też Leva. Nie, nie będzie uciekał ani się ukrywał. Zostanie tutaj aż do chwili, gdy ostatni ZOMZ zostanie zgarnięty przez hycli, i nie jest wykluczone, że to on będzie tym ostatnim ZOMZ-em.

Nelson tego nie wie. Nelson postrzega Connora jednowymiarowo: jako żalostnego ZOMZ-a. Nie będzie go szukał tam, gdzie trwa bitwa, tylko na obrzeżach – i faktycznie, Lev dostrzega pirata części, który kręci się na uboczu, w miejscach, gdzie leżą pojedyncze uspięte dzieciaki. Niczym sęp dobierający się do padliny podnosi ich głowy, zagląda w twarze, po czym pozwala im opaść z powrotem na ziemię i idzie dalej.

Lev krąży w ciemnościach za Nelsonem, trzymając się na dystans, i coraz bardziej zbliża się do strefy zagrożenia, gdzie oddziały do tłumienia zamieszek walczą z uzbrojonymi ZOMZ-ami. To tam przypuszczalnie przebywa Connor – ale jak Lev może go uratować zarówno przed Nelsonem, jak i przed hyclami?

Kiedy przychodzi mu do głowy odpowiedź, chłopiec uśmiecha się szeroko, mimo że wokół niego trwa bitwa. Rozwiązanie jest proste. Przerażające. Niemożliwe. To może zadziałać!

Lev zbliża się do głównej alei akurat w chwili, gdy dreamliner zaczyna się rozpędzać, a oddziały do tłumienia zamieszek ruszają w stronę tłumu dzieciaków, które nie zdołały się dostać na pokład.

Sto metrów dalej, na niedawnej linii frontu, Lev spostrzega chłopaka w dziwnie zabarwionym moro, który bez lęku szarżuje na hycła próbującego do niego strzelać. Nastolatek nie odpowiada ogniem, tylko nokautuje gliniarza kolbą karabinu – a w jego ruchach jest coś znajomego.

Lev pędzi w jego stronę, wymijając uciekające w panice dzieciaki, ignorując odgłosy strzałów, ryk silników odrzutowca oraz huk i zgrzyt miażdżonego metalu, gdy startujący dreamliner wywraca opancerzoną ciężarówkę oddziałów do tłumienia zamieszek.

Dachująca ciężarówka staje w płomieniach, podczas gdy samolot wznosi się w niebo, a blask eksplozji oświetla twarz nastolatka w moro. Lev już wie, że go znalazł.

– Connor!

Ale oczy Connora wpatrują się w umykający odrzutowiec.

– Nie stój tam, uciekaj! – rzuca Connor. – Wszyscy mieliście uciekać!

– Connor, to ja, Lev.

Nawet kiedy Connor spogląda na Leva, z początku go nie rozpoznaje, a Lev wie, że chodzi o coś więcej niż długie włosy. Żaden z nich nie jest już tym samym dzieckiem, co rok wcześniej.

– Lev? Co ty tutaj robisz? Czy świat stanął na głowie, a ja oszalałem?

Nie wątpię, że jedno i drugie, ale naprawdę tu jestem. – Lev nachyla się i zabiera pistolet do usypiania gliniarzowi, którego Connor przed chwilą znokautował. – Przybyłem, żeby cię uratować.

– To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem!

– Nie wątpię, że to też prawda, ale musiałem cię ostrzec; tropi cię pirat części.

– To w tej chwili najmniejszy z moich problemów!

Do Connora podbiega inny nastolatek z karabinkiem automatycznym.

– Skończyła się nam amunicja! Co teraz?

– Kije, kamienie i części od samolotów – odpowiada Connor. – Albo możesz zaryzykować i wiać. Starkey nie pozostawił nam wielu opcji do wyboru.

– Cholerny Starkey! – Tamten ciska bezużyteczną broń na ziemię. – Powodzenia, Connor – rzuca, po czym rusza pędem, próbując się wtopić w mrok.

Kawałek dalej tłum, który usiłował dostać się na pokład dreamlinera, jest teraz oświetlony reflektorem policyjnego helikoptera i otoczony ze wszystkich stron. Może czterysta bezbronnych dzieciaków znalazło się w pułapce, a olbrzymie ciężarówki do transportu więźniów już nadciągają główną aleją, żeby wywieźć wszystkich.

– Nic im teraz nie pomożesz – mówi Lev do Connora.

– Nie zostawię ich.

– Dlatego nie zamierzam ci dawać wyboru. – Potem Lev podnosi pistolet do usypiania, który zabrał nieprzytomnemu hyclowi, i strzela Connorowi w ramię.

Connor zostaje odepchnięty przez impet trafienia i traci równowagę. Środki usypiające zaczynają działać w ciągu paru sekund. Lev łapie przyjaciela, zanim ten upadnie, a Connor patrzy na niego półotwartymi, gasnącymi oczami.

– Nie udało się, Lev... – mówi słabo – ...mój plan nie zadziałał.

– Wiem – odpowiada Lev, gdy Connor traci przytomność – ale może mój zadziałał.



70. NELSON

Nie ma pojęcia, ile dzieciaków tu przebywa, jak rozległe jest cmentarzysko ani gdzie wśród panującego tu chaosu może się znajdować jego cel. Wszystko jedno. Jeśli hycle dobrze wykonają swoją robotę, a wygląda na to, że nieźle im idzie, całe to gniazdo ZOMZ-ów zostanie osaczone, wszystkich się uspi i zgarnie. A Lassiter będzie wśród nich. Nelson musi tylko mieć oczy otwarte i trzymać głowę odpowiednio nisko, bo niektóre z tych dzieciaków mają broń, a sądząc po odgłosach wystrzałów, jest to broń, która może zabić.

Nelson metodycznie ogląda wszystkich uspiionych ZOMZ-ów, a kilku usypia osobiście, żeby wyglądać jak prawdziwy hyclel wykonujący swoją pracę. Trzyma się w bezpiecznej odległości od bitwy, wiedząc, że po ZOMZ-ie z Akron należy się spodziewać tego samego.

Jeden z gliniarzy od małolatów spostrzega, że Nelson ogląda twarze powalonych ZOMZ-ów.

– Nie marnuj czasu – mówi. – Wylecimy z posad, jeśli część tego tałatajstwa nam się wymknie i ucieknie na pustynię.

– Szukam dzieciaka sąsiadów – odpowiada Nelson bez mrugnięcia okiem.
– Obiecałem żonie.

Jednak gliniarz dalej patrzy na niego podejrzliwie.

– Czy ja cię znam? Z którego jesteś komisariatu?

– Z szesnastego, z Phoenix.

– W Phoenix *nie ma* komisariatu numer szesnaście.

Doszedłszy do wniosku, że ta rozmowa zaszła stanowczo za daleko, Nelson usypia go, po czym usypia przebiegającego obok nastolatka, który widział, co się stało. Następnie wraca do poszukiwań ZOMZ-a z Akron.

Dopiero na widok startującego dreamlinera ogarnia go niepokój. Jakie są szanse, że Lassiter znajduje się na pokładzie tego samolotu? Potem Nelson uświadamia sobie, że oddział do tłumienia zamieszek nie ogranicza się do usypiania i zgarniania – postępują wbrew procedurze, wpychając do ciężarówek przytomną młodzież. Jeśli Lassiter zostanie załadowany do ciężarówki, zanim pirat części zdoła do niego dotrzeć, wszystko stracone.

Teraz Nelson jest już zaniepokojony nie na żarty. Podchodzi bliżej otoczonego przez policję tłumu, wyciąga lornetkę i przebiega wzrokiem po twarzach. Całe stado przerażonych nastolatków. Żadnego Lassitera. Niewykluczone, że ZOMZ z Akron znajduje się gdzieś w tej ciżbie, ale jeżeli tak, Nelson nie potrafi go wypatrzeć. Opuszcza lornetkę.

– Szlag!

Wie, że z każdą sekundą maleją jego szanse powodzenia. Naokoło dzieciaki, które albo poruszały się zbyt wolno, żeby dobiec do dreamlinera, albo były na tyle inteligentne, żeby nie pognać za tłumem i nie dać się otoczyć, pędzą we wszystkich kierunkach, starając się umknąć. Ten i ów upada trafiony pociskiem usypiającym, ale im większa odległość dzieli uciekających od policji, tym większe prawdopodobieństwo, że uda im się zbiec.

Kawałek dalej Nelson widzi ciemną sylwetkę mniejszego dzieciaka, który próbuje dzwigać na plecach większego, nieprzytomnego. Przypomina mrówkę usiłującą ratować inną mrówkę. Jednak wygląda na to, że ten dzieciak ma więcej rozumu niż mrówka, bo daje za wygraną, upuszcza kolegę na pylistą ziemię i znika w mroku.

Nelson omal nie mija porzuconego nastolatka, nie sprawdzwszy, kto to. Mało brakowało, a po prostu przeszedłby obok, bo nie chce przeoczyć twarzy żadnego z uciekających. Jednak o Nelsonie można powiedzieć wszystko, ale nie to, że nie jest metodyczny i dokładny. Łapie nieprzytomnego chłopaka za włosy, podnosi z ziemi jego głowę, po czym wydaje okrzyk zaskoczenia i triumfu. To on! To Lassiter! Przyniesiony niczym prezent pod sam jego nos!

Nelson nie marnuje czasu. Zarzuca sobie nieprzytomnego Lassitera na plecy, rozgląda się, żeby ustalić, gdzie jest, po czym zagłębia się między

rzędy samolotów, zmierzając tam, gdzie stoi zaparkowany van. Gdy przechodzi przez jedną z zewnętrznych alejek, spostrzega go inny gliniarz od małałatów.

– Zapomnij o nim – mówi. – Zostaw go tym z oddziałów sanitarno-transportowych. My mamy się zająć uciekinierami. – I żeby podkreślić wagę swoich słów, strzela do dziewczyny wbiegającej między dwa myśliwce, a ta pada uśpiona.

– Dostałem specjalne rozkazy w kwestii tego tutaj – wyjaśnia Nelson, próbując przejść obok, ale drugi gliniarz nie chce go przepuścić.

– Czemu? To ten podpalacz, co grasował w mieście?

– Tak – odpowiada Nelson. – To ten.

Potem za nimi pojawiają się trzy nastolatki próbujące biec w stronę zewnętrznych alejek i odciągają uwagę gliniarza na wystarczająco długo, żeby Nelson zdążył go wyminąć.

Im dalej od głównej alei, tym mniej widzi ZOMZ-ów i glin. Ciężarówki do transportu więźniów już krążą po obrzeżach cmentarzyska, zbierając pojedynczych uśpionych, zanim wjadą tam, gdzie leży ich całe mnóstwo. Pracownicy San-i--tranu traktują uśpione dzieciaki ze znacznie większą atencją niż gliniarze. Umieszczają wszystkich w pikowanych workach do transportu – ciasnych jasnoniebieskich lub różowych śpiworach, które zakrywają wszystko oprócz twarzy, żeby żadna cenna część ciała nie uległa uszkodzeniu w trakcie przewozu.

Nelson dociera do vana, wrzuca Connora na tylne siedzenie, po czym wyjeżdża tą samą drogą, którą tu wjechał, kierując się w stronę północnej bramy, wiedząc, że jeszcze nie jest bezpieczny.

Gdy zbliża się do bramy, widzi koło niej kilka aut policyjnych – tak jakby którykolwiek z ZOMZ-ów mógł być na tyle głupi, żeby próbować tędy uciekać. Gliniarze zatrzymują Nelsona, a on pokazuje im skradzioną odznakę.

– Dostałem rozkaz, żeby odstawić ten van na komendę. Ma zostać zabezpieczony do czasu zebrania materiału dowodowego.

– Co ty, jaja sobie robisz? Całe to miejsce zostaje zabezpieczone do czasu zebrania materiału dowodowego. Nie mogli poczekać na lawetę?

– A czy kiedykolwiek uznają za stosowne poczekać na cokolwiek?

Gliniarz przy bramie kręci głową.

– Niewiarygodne! – I pozwala Nelsonowi przejechać.

Gdy pirat części zostawia komentarzysko samolotów za sobą, włącza radio, tak długo przełącza stacje, aż natrafia na piosenkę, którą zna, i uradowany jak rzadko zaczyna podśpiewywać.

Divan, jego czarnorynkowy kontrahent, zapłaci fortunę – a symbole dolara, które Nelson teraz widzi w wyobraźni, już wkrótce będzie oglądał oczami ZOMZ-a z Akron. To będzie prawdziwa nagroda, znacznie ważniejsza od gotówki. Nelson nie pamięta nawet, jak wyglądały oczy tego chłopaka, ale to bez znaczenia. Bez względu na kolor, bez względu na ostrość widzenia, będą ostatnią parą, jakiej Nelson kiedykolwiek potrzebował. Będą idealne!

Wciąż jeszcze rozmyśla o oczach Connora, gdy nagle słyszy piskliwy wystrzał z pistoletu do usypiania i czuje bolesne ukłucie w nogę, a potem drugie i trzecie.

Jego ręce, raptem ciężkie jak ołów, zsuwają się z kierownicy. Nelson ostatkiem sił zmusza się do odwrócenia głowy, żeby zobaczyć, kto go zaatakował.

Z tylnego siedzenia vana podnosi się Lev. Na jego twarzy maluje się uśmiech równie szeroki jak otaczająca ich pustynia.

– Trafiony z własnego pistoletu – mówi Lev. – Porażka.



71. LEV

Nelson wykorzystał Leva, żeby ten pomógł mu znaleźć Connora – a teraz Lev odplacił mu pięknym za nadobne. Teraz, gdy wokół kłębiło się pełno hycli i oddział do tłumienia zamieszek, wyprowadzenie kogokolwiek z cmentarzyska zakrawałoby na cud. A potem Lev uświadomił sobie, że – przynajmniej chwilowo – pirat części stał się jego największym sprzymierzeńcem. Zarówno Nelson, jak i on sam mieli ten sam cel: zgarnąć Connora, nim dopadną go hycle, i wywieźć go żywego z cmentarzyska. W związku z tym Lev przywłókł nieprzytomnego przyjaciela Nelsonowi pod nos. Ryzykował, że zostanie rozpoznany, ale ponieważ mijało go tyle uciekających dzieciaków, a ciemność rozjaśniały tylko światła aut i reflektory, z łatwością ukrył twarz w mroku, a potem porzucił Connora i uciekł, pozostawiając Nelsonowi wytaszczenie uśpionego chłopaka z rejonu walk.

Podczas gdy pirat części niósł Connora, Lev pognał naprzód i ukrył się w jego wanie. Położył się na podłodze z tyłu, licząc że Nelson będzie wystarczająco rozkojarzony przez rozgrywające się naokoło wydarzenia i rozradowany udanym polowaniem, że nie zauważy pasażera na gapę.

Teraz, prawie kilometr od cmentarzyska, nieprzytomny pirat części osuwa się na kierownicę, a Lev prędko przesiada się do przodu, żeby ją chwycić, zanim van zjedzie z drogi. Potem odpycha Nelsona i nadeptuje na hamulec, a pojazd się zatrzymuje.

Do zrobienia została już tylko jedna rzecz.

Lev wysiada i na piechotę wraca do bramy. Leżąc na podłodze vana nie zdołał zobaczyć, ilu gliniarzy tam stało. Teraz, gdy podchodzi bliżej, widzi, że jest ich zaledwie garstka – cała reszta przebywa w rejonie bitwy. Niskie i rzadkie pustynne zarośla stanowią kiepską kryjówkę, ale Lev musi podkraść się bliżej.

Powiedział nastoletniemu wartownikowi, żeby ten zabrał Miracolinę i odstawił ją w jakieś bezpieczne miejsce. Chłopak zapewnił, że to zrobi, ale Lev musi się upewnić.

Tuż koło miejsca, gdzie leżała Miracolina, stoi auto policyjne, a o jego drzwi opiera się gliniarz rozmawiający przez krótkofalówkę. Gdy tylko odwraca wzrok, Lev wbiega za samochód, trzymając się tuż przy ziemi, i zagląda za uschnięte krzaki.

Nie ma jej tam.

Chłopiec bezgłośnie wzdycha z ulgą, po czym zawraca i biegnie z powrotem do vana. Dotarłszy tam, wywleka ze środka nieprzytomnego Nelsona i zostawia go w rowie. Następnie odjeżdża wąską jednopasmową szosą, co jest znacznie trudniejsze niż kierowanie dżipem w otwartym pustynnym terenie. *Ależ to byłoby głupie – myśli – gdybyśmy po tym wszystkim zginęli z Connorem w wypadku drogowym, bo nie umiem jeździć autem!* Pozostaje mu tylko dziękować Bogu, że droga jest prosta.

Raz w życiu coś mu się spektakularnie udało, a chociaż wie, że może już nigdy nie zobaczyć Miracoliny – i nie jest powiedziane, że ta nie postanowi jednak złożyć się w ofierze jako dziesięcina – wie, że zrobił wszystko, co w jego mocy, żeby ją ocalić. Uwolnić.

Bądź bezpieczna, Miracolino – mówi do siebie z nadzieją, że wypowiadając te słowa sprawi, że się ziszczą. Nie wie, że dzieciak pilnujący bramy myślał tylko o tym, ja uratować własną skórę, i że Miracolina nadal leżała nieprzytomna zaledwie parę metrów od miejsca, gdzie Lev jej szukał... bo nie przyszło mu do głowy zajrzeć na tylne siedzenie policyjnego auta.



72. STARKEY

Dobra, Starkey, co teraz?

– Jeśli jeszcze raz mnie o to spytasz, urwę ci ten cholerny łeb!

Bam odchodzi, gotując się z frustracji.

Przynajmniej uciekliśmy stamtąd! – krzyczy za nią Starkey. – Prawdopodobnie nikomu więcej się to nie udało!

Jakkolwiek nie będzie to miało większego znaczenia, jeśli rozwalą się i spłoną.

Na podłodze pozbawionej siedzeń kabiny pasażerskiej siedzą grupki młodzieży. Niektórzy płaczą po tym, przez co przeszli, wspominając przyjaciół, którzy nie zdołali się dostać na pokład.

– Weźcie się w garść! – wrzeszczy do nich Starkey. – Jesteśmy bocianimi podrzutkami, stać nas na więcej! – Potem podnosi swoją zmiażdżoną dłoń, która jest tak spuchnięta i purpurowa, że prawie nie przypomina dłoni. – Widzicie, żebym płakał? – Uzmysławia sobie, że ta rana wojenna już stała się symbolem jego potęgi oraz talizmanem, który wymusza szacunek.

Popłakiwania cichną, choć nie milkną całkowicie. Prawda jest taka, że mimo morfiny skradzionej z izby chorych, ręka nadal za bardzo go boli, żeby miał cierpliwość do czegokolwiek czy kogokolwiek.

– Dokąd lecimy? – pyta ktoś.

– Do lepszego miejsca – odpowiada Starkey, a potem uświadamia sobie, że to coś, co ludzie mówią przed śmiercią.

Wściekły idzie do kokpitu, a bocianie podrzutki usuwają mu się z drogi. Trace siedzi za sterami bez drugiego pilota, i Starkey rozpoczyna rozmowę od groźby.

– Jeśli choćby dotkniesz tego radia...

Trace spogląda na niego z obrzydzeniem, po czym odwraca się z powrotem do pulpitu sterowniczego.

– To, że ty dowodzisz tym całym towarzystwem, wcale nie znaczy, że chcę, żeby ich podzielono. Nikogo nie powiadomiłem i nie powiadomię.

– To dobrze. Powiedz, jaki miał być plan. Powiedz, coście wykombinowali z Connorem.

Trace mocno ujmuje stery, żeby utrzymać stabilny tor lotu, gdy natrafiają na turbulencje. Z kabiny pasażerskiej słychać więcej popłakiwań. Kiedy turbulencje przycichają, Trace mówi:

– Za kilka minut znajdziemy się w przestrzeni powietrznej Meksyku, co pozwoli nam zyskać trochę czasu, bo nasze własne myśliwce nie mogą nas tam ścigać bez pozwolenia, a meksykańskie nie będą, dopóki nie uznają, że stanowimy zagrożenie. Potem przelecimy w odległości mniejszej niż półtora kilometra od innego odrzutowca zmierzającego na północ, podmienimy jego numer identyfikacyjny na nasz, a kiedy tamten samolot wleci w amerykańską przestrzeń powietrzną, służby pomyślą, że to my.

– Możemy zrobić coś takiego?

Trace nie zaszczycza go odpowiedzią.

– Plan był taki, żeby zawrócić do Stanów i wylądować na opuszczonym lotnisku na pustyni Anza-Borego, na wschód od San Diego. Ale mamy problem z podwoziem.

Starkey już o tym wie. Wszyscy poczuli zderzenie, kiedy samolot rozwalił ciężarówkę. Wszyscy słyszeli, że coś się wtedy urwało. Nie ma wątpliwości, że maszyna jest uszkodzona, ale nikt nie wie, jak poważnie. Jedyne, co mają do dyspozycji, to durne światełko ostrzegawcze na pulpicie sterowniczym informujące o awarii podwozia.

– I co z tym zrobimy?

– Zginiemy. – Trace pozwala, żeby ta myśl na chwilę zawisła w powietrzu, a potem mówi: – Mogę spróbować nas posadzić w jakimś dużym zbiorniku wodnym. Myślę, że jezioro Salton Sea mogłoby się nadać.

– W Utah?

– Nie, tam leży Wielkie Jezioro Słone, baranie. Salton Sea to olbrzymie martwe jezioro na południe od Palm Springs. Na brzegu jest miasteczko, gdzie wrony zawracają, bo to najbardziej śmierdząca dziura świata. Czułbyś się tam jak w domu.

Starkey warczy w odpowiedzi, po czym dochodzi do wniosku, że nie warto.

– Jak długo?

– Muszę najpierw znaleźć odrzutowiec lecący w przeciwnym kierunku i podmienić numery. Pewnie za jakieś półtorej godziny będziemy lądować.

– W porządku, powiem pozostałym. – Starkey obraca się, żeby wyjść, po czym przystaje przy drzwiach kokpitu i spogląda do tyłu, na Trace'a. – A jeśli jeszcze raz nazwiesz mnie baranem, strzelę ci w łeb.

Trace odwraca się do niego z uśmiechem.

– Wtedy *ty* możesz sobie lądować tym samolotem... baranie.



73. RISA

Risa siedzi w garderobie studia należącego do jednej z sieci telewizyjnych, gapiąc się na ekran. W późnowieczornym serwisie informacyjnym, w którym mają wystąpić ona i Cam, pojawiły się właśnie informacje z ostatniej chwili o szturmie policyjnym na olbrzymi nielegalny obóz ZOMZ-ów w Arizonie. Chodzi o cmentarzysko samolotów. Złapane nastolatki są już rozwożone do ośrodków donacyjnych.

„Przypuszcza się, że ci sami Podzieleni ZOMZ-owie odpowiadają za niedawną falę aktów przemocy, do których doszło w mieście Tucson...” – mówi reporter. – „Urząd do Spraw Małoletnich ma nadzieję, że ta akcja policyjna pozwoli obywatelom Tucson znów spać spokojnie...”

Jak mogło do tego dojść? Po wszystkich straszliwych rzeczach, które Risa robiła przez ostatnie dwa miesiące, żeby zapobiec temu nalotowi – żeby zapewnić bezpieczeństwo Connorowi, Haydenowi i pozostałym – hycle mimo wszystko przypuścili szturm na obóz. Może miało do tego dojść tak czy owak, a układ z Robertą od początku opierał się na kłamstwie. Jak Risa mogła być tak głupia, żeby zaufać słowu tej kobiety?

Asystent inspicjenta zagląda do garderoby.

– Trzy minuty, panno Ward.

Risa nigdy nie uważała się za dziewczynę skłoną do przemocy. Oczywiście zawsze potrafiła się więcej niż skutecznie obronić, ale nigdy nie należała do osób, które same inicjują brutalne działania lub czerpią z nich

radość. Jednak w tej chwili wie, że zabiłaby Robertę, gdyby miała taką możliwość.

A potem uświadamia sobie, że nie musi. Za mniej niż trzy minuty czeka ją występ na żywo przed widzami z całego kraju. Nie musi zabijać Roberty. Może ją podzielić...

Jaskrawe, nienaturalne światło. Studio telewizyjne bez publiczności. Dobrze znany prezenter wiadomości w garniturze i pod krawatem. Na żywo wydaje się niższy i starszy niż na ekranie. Trzy kamery – jedna skierowana na niego, jedna na Risę, jedna na Cama. Gdy czekają, aż skończy się przerwa na reklamę, prezenter uprzedza w skrócie, jaki jest plan.

– Będę zadawał wam obojgu pytania. Najpierw o decyzję Risy, żeby wspierać podzielenie, potem o proces podzielenia, który doprowadził do „narodzin” Cama, jeśli można to tak nazwać, i na koniec zapytam o wasz związek oraz o to, jak się poznaliście. Wiem, że już odpowiadaliście na te wszystkie pytania, ale mam nadzieję, że będziecie w stanie mi powiedzieć coś świeżego.

– Na pewno zrobimy wszystko, co w naszej mocy – mówi Risa z uśmiechem, który jest nieco zbyt przyjazny.

Cam nachyla się do niej i szepcze:

– Powinniśmy wziąć się za ręce.

– Nie ma tu kamery pokazującej szerszy plan – odpowiada Risa. – Nikt tego nie zobaczy.

– Powinniśmy tak czy owak.

Jednak tym razem życzenie Cama się nie spełni.

Inspicjent odlicza od pięciu do jednego. Na kamerze numer jeden zapala się czerwone światełko.

– Witamy ponownie – mówi prezenter. – Zważywszy na trwającą właśnie akcję policyjną w Arizonie, nasi dzisiejsi goście zasługują, można powiedzieć, na szczególną uwagę. Wyjęta spod prawa ZOMZ-ka, dziś aktywistka wspierająca podzielenie, i młodzieniec, który istnieje tylko dzięki częściami od Podzielonych. Risa Ward i Camus Comprix.

Chwila uprzejmych powitań, a potem dziennikarz przechodzi do zadawania pytań. Zgodnie z obietnicą zaczyna od Risy, ale rzuca coś, co w zamierzeniu ma ją wytrącić z równowagi.

– Panno Ward, jako niegdysiejsza zbiegła Podzielona, co sądzi pani na temat szturmu na obóz w Arizonie? Czy popiera pani podzielenie tych uciekinierów?

Jego pytanie nie jest w stanie zbić jej z tropu, bo dziewczyna wie już dokładnie, co zamierza powiedzieć. Risa odwraca się, żeby spojrzeć prosto w kamerę numer dwa, która właśnie się włączyła.

– Sądzę, że przede wszystkim powinnam coś sprostować – zaczyna. – Nie jestem zwolenniczką podzielenia i nigdy nią nie byłam...



74. ROBERTA

Gdyby Roberta śledziła bieżące wydarzenia, być może wszystko potoczyłoby się inaczej, to znaczy nie potoczyłoby się w ogóle. Aby oddać kobiecie sprawiedliwość, jej układ z Risą był uczciwy, choć okraszony solidną dawką manipulacji. Odbyła kilka rozmów telefonicznych, wykorzystwała kilka kontaktów i zdołała się upewnić w Urzędzie do Spraw Małoletnich, że w najbliższym czasie nie planują żadnych szturmów na cmentarzysko samolotów – a gdyby coś się zmieniło w tej kwestii, Roberta zostanie ostrzeżona odpowiednio wcześniej, co oznaczałoby, że będzie miała wystarczająco dużo czasu, żeby wykorzystać inne kontakty i zapobiec takiemu szturmowi. Robertcie nigdy nie zależało na oszukiwaniu kogokolwiek. Zależy jej tylko na wynikach.

Jednak w ostatnim czasie była tak pochłonięta kampanią medialną mającą uczynić Cama ulubieńcem mas, że w ogóle nie dotarła do niej informacja o pożarach w Tucson i o beczelnym młodym podpalaczu głoszącym, że jest mścicielem wszystkich bocianich podrzutków kierowanych na podzielenie. Owszem, Urząd do Spraw Małoletnich miał powiadomić Robertę o planowanym szturmie, kontaktując się z jej współpracownikami w Proaktywnych Siłach Obywatelskich. Jednakże, jak w każdej organizacji przypominającej strukturą wielkiego pająka, szcękoczułki Proaktywnych Sił Obywatelskich nie wiedzą, co czyni brodawka przędna na końcu odwłoka. Oczywiście kiedy o akcji policyjnej informowały już wszystkie kanały telewizyjne, telefon w kieszeni Roberty rozdzwonił się jak szalony –

ale nie uznała za stosowne sprawdzić, o co chodzi, bo miała już serdecznie dość tego, że zbyt wielu ludzi usiłuje jej zabrać zbyt wiele czasu.

Tak więc Roberta nic nie wie o szturmie na Cmentarzysko aż do chwili, gdy zaczyna się wywiad z Risą i z Camem. A wtedy jest już za późno.

Roberta siedzi w „green roomie”, przytulnym pokoiku dla gości studia, hojnie zaopatrzonego w podeschnięte ciastka duńskie i słabą kawę, gapiąc się na monitor, na którym wyświetlany jest materiał nagrywany właśnie w studiu na drugim końcu korytarza. Jej przerażona mina mogłaby swoim widokiem ściąć bezlaktozową imitację śmietanki.

– *Nie jestem zwolenniczką podzielenia i nigdy nią nie byłam* – mówi Risa.
– *Niewykluczone, że podzielenie jest najbardziej podłym aktem, jaki ludzkość kiedykolwiek usankcjonowała.*

Dziennikarz, który słynie z tego, że w każdej sytuacji zachowuje zimną krew, przez moment nie znajduje słów.

– *Ale te wszystkie reklamy publiczne, w których pani wystąpiła...*
– *To kłamstwa. Zostałam do tego zmuszona szantażem.*

Roberta wypada z green roomu na korytarz i energicznie rusza w stronę drzwi do studia. Pali się nad nimi czerwone światełko. To ostrzeżenie, żeby nie wchodzić, bo trwa transmisja na żywo, ale Roberta nie zamierza się tym przejmować.

Na korytarzu znajdują się tuziny monitorów wyświetlających diatrybę Risy. Twarz dziewczyny widnieje na wszystkich ekranach, spoglądając na Robertę z sześciu różnych stron.

– *Groziła mi i szantażowała mnie organizacja znana jako Proaktywne Siły Obywatelskie. Och, mają jeszcze mnóstwo innych nazw, na przykład „Konsorcjum Zaniepokojonych Podatników” albo „Narodowe Towarzystwo Całościowego Zdrowia”, ale to wszystko dym i lustra.*

– *Tak, słyszałem o Proaktywnych Siłach Obywatelskich* – mówi prezenter – *ale czy to nie jest stowarzyszenie o charakterze filantropijnym? Organizacja dobroczynna?*

– *Dobroczynna dla kogo?*

Gdy Roberta podchodzi do drzwi studia, zatrzymuje ją ochroniarz.

– *Przepraszam panią, nie może pani tam teraz wejść.*

Przepuść mnie, inaczej obiecuję ci osobiście, że do rana wylecisz z posady.

Ale ochroniarz nie rusza się z miejsca i wzywa wsparcie, więc Roberta zawraca i biegnie do kabiny reżyserskiej.

– *Twierdzą, że kontrolują Urząd do Spraw Małoletnich* – kontynuuje Risa.
– *Twierdzą, że kontrolują mnóstwo dziedzin. Może to prawda, a może nie, ale proszę mi wierzyć, Proaktywne Siły Obywatelskie dbają wyłącznie o swoje własne interesy.*

Kamera przez moment pokazuje Cama, który sprawia wrażenie oniemiałego, czy wręcz ogłupiałego, a potem na ekranie znów pojawia się prezenter.

– *Tak więc twój związek z Camem...*

– *...to wyłącznie zabieg propagandowy* – wchodzi mu w słowo Risa. – *Zabieg propagandowy pieczołowicie wyreżyserowany przez Proaktywne Siły Obywatelskie, aby pomóc Camowi zyskać powszechną akceptację i zachwyty.*

Roberta wpada do kabiny reżyserskiej, gdzie inżynier dźwięku pracuje przy pulpicie, a producent programu siedzi rozparty na krześle, niezmiernie zadowolony z siebie.

– To jest genialne – mówi do inżyniera. – *Księżniczka podzielenia gryzie rękę, która ją karmi! Trudno o lepszy materiał!*

– Proszę przerwać wywiad! – rozkazuje Roberta. – Proszę go w tej chwili przerwać, inaczej wytoczę proces panu i pańskiej sieci za wszystko, co ona powie!

Producent nic sobie nie robi z tej groźby.

– Przepraszam, a kim pani jest?

– Jestem... jej menedżerką, i ona nie została upoważniona do mówienia tego, co mówi.

– No cóż, proszę pani. Jeśli nie podoba się pani to, co ma do powiedzenia pani klientka, to nie nasz problem.

– *Pańscy widzowie muszą sobie zadać następujące pytanie* – ciągnie Risa. – *Kto czerpie największe korzyści z podzielenia? Odpowiedzcie na to pytanie, a wtedy sądzę, że dowiemy się, kto się kryje za organizacją znaną jako Proaktywne Siły Obywatelskie.*

Potem do Roberty podchodzi ochroniarz i siłą zmusza ją, żeby opuściła pomieszczenie.

Roberta zostaje wyprowadzona do green roomu i zatrzymana tam do momentu, gdy wywiad dobiega końca i zaczynają się reklamy.

Ochroniarz, nadal działający w trybie „uwaga, intruz”, nie pozwala jej przejść.

– Dostałem polecenie, żeby nie wpuszczać pani do studia.

– Idę do toalety!

Roberta odpycha go na bok, po czym chyłkiem biegnie do drzwi studia. Zarówno Risa, jak i Cam zniknęli, a asystent przypina mikrofony następnym gościom.

Omijając ochroniarza – który, jak Roberta doskonale wie, nie zawaha się strzelić do niej pociskiem usypiającym – skręca w głąb bocznego korytarza, gdzie mieszczą się garderoby. Garderoba Risy jest pusta, ale Cam znajduje się w swojej. Jego marynarka i krawat leżą na podłodze, tak jakby nie mógł się doczekać, kiedy je z siebie zerwie. Siedzi przed lustrem z głową ukrytą w ramionach.

– Słyszałaś, co o mnie powiedziała? Słyszałaś?

– Gdzie ona jest?

– Głowa w piasek! Żółw w skorupie! Zostaw mnie!

– Skup się, Cam! Była z tobą na scenie. Dokąd poszła?

– Uciekła. Powiedziała, że to koniec, że jest już historią, a potem zbiegła na dół schodami ewakuacyjnymi.

– Stanie się historią, kiedy ją dorwę.

Roberta gna schodami ewakuacyjnymi na dół. Garderoby mieszczą się na pierwszym piętrze, a Risa mogłaby wybiec z budynku wyłącznie na parking, gdzie o tej porze jest prawie pusto. Dziewczyna miała najwyżej piętnaście sekund na ucieczkę, ale nigdzie jej nie widać. Jediną osobą w zasięgu wzroku jest ich kierowca, który zajada kanapkę, opierając się o limuzynę.

– Widziałeś ją? – pyta Roberta.

– Kogo?

I wtedy telefon Roberty zaczyna dzwonić tak, jakby nigdy nie miał przestać.



75. CAM

Roberta powraca z uwieńczonych niepowodzeniem poszukiwań Risy. Cam spotyka ją w green roomie, gdzie czeka teraz dwóch ochroniarzy, którzy chcą jak najszybciej wyprowadzić jego opiekunkę z budynku. Roberta rozmawia przez telefon, już dokładając starań, żeby maksymalnie ograniczyć szkody.

– Antarktyda – mówi Cam. – Powiniennem być coś powiedzieć tam przed kamerami, ale mnie zmroziło.

– Co się stało, to się nie odstanie – odpowiada Roberta, po czym warczy niezadowolona, bo jej rozmowa telefoniczna urwała się nieoczekiwanie z powodu utraty zasięgu. – Zabierajmy się stąd.

– Zaczekaj na mnie przy samochodzie – prosi Cam. – Zostawiłem rzeczy w garderobie.

Ponuro wyglądający ochroniarze eskortują Robertę, gdy ta kieruje się do wyjścia. Cam wraca do garderoby. Zakłada sportową marynarkę i starannie zwija krawat, po czym wsuwa go do kieszeni. Potem, gdy jest już pewien, że Roberta opuściła budynek, mówi:

– W porządku, poszła sobie.

Drzwi szafy otwierają się i wychodzi stamtąd Risa.

– Dziękuję ci, Cam.

Cam wzrusza ramionami.

– Zasłużyła na to. – Odwraca się, żeby popatrzeć na dziewczynę. Ta oddycha szybko, jak po biegu, ale Cam wie, że biegła tylko wewnątrz własnej

głowy. – Czy oni wszyscy zostaną podzieleni? Twoi przyjaciele, ZOMZ-owie?

– Nie od razu – odpowiada Risa. – Ale owszem, zostaną podzieleni.

– Przykro mi z tego powodu.

– To nie twoja wina. – Ale mówiąc to, dziewczyna nie patrzy na niego, tak jakby uważała, że w jakiś sposób to *jest* jego wina. Tak jakby samo jego istnienie było równoznaczne z winą..

– Nie mam wpływu na to, kim jestem – mówi jej Cam.

– Wiem... Ale dzisiaj pokazałeś mi, że masz wpływ na to, co robisz. – A potem Risa nachyla się i całuje go w policzek. Dla Cama ten pocałunek jest niczym uderzenie prądu przebiegające przez wszystkie szwy jego twarzy. Dziewczyna odwraca się, żeby odejść, ale on nie może jej na to pozwolić. Jeszcze nie. Najpierw musi jej powiedzieć...

– Kocham cię, Riso.

Wtedy ona szybko spogląda na niego przez ramię, posyłając mu jedynie przepaszający uśmiech.

– Do widzenia, Cam.

A potem znika.

Dopiero po jej wyjściu wzbiera w nim gniew. Nie jest to zwykła fala, a erupcja, której nie ma jak rozładować. Cam łapie krzesło i wali nim w lustro, rozwalając szkło. Zaczyna z furią ciskać o ściany wszystkim, co tylko można rozbić, i nie przestaje, aż w końcu do garderoby wpadają ochroniarze. Wszyscy trzej muszą się na niego rzucić, żeby go powstrzymać, a on i tak jest silniejszy. Każda grupa jego mięśni, każdy łuk odruchowy pochodzą od najlepszych z najlepszych. Wyrывa się ochroniarzom, zbiega pędem po schodach ewakuacyjnych i dołącza do Roberta, która czeka w limuzynie.

– Co ci zajęło tyle czasu? – pyta kobieta.

– Samotność. Potrzebowałem chwilę pobyć sam.

– Wszystko będzie dobrze, Cam – mówi mu Roberta, gdy odjeżdżają. – Poradzimy sobie z tym.

– Tak, wiem.

Jednak swoje prawdziwe myśli zachowuje dla siebie. Cam nigdy nie zaakceptuje słów pożegnania, które usłyszał od Risy. Nie pozwoli, żeby zniknęła z jego życia. Zrobi wszystko, co konieczne, żeby ją zdobyć, wziąć

w ramiona, zatrzymać. Ma do dyspozycji wszelkie zasoby Roberty, pozwalające mu uzyskiwać to, czego pragnie, i zamierza je wykorzystać.

Roberta uśmiecha się do niego uspokajająco pomiędzy kolejnymi rozmowami przez telefon, a Cam odwzajemnia uśmiech. Póki co będzie grał w jej grę. Będzie grzecznym scalonym chłopcem, zgodnie z oczekiwaniami Roberty, ale od tego momentu zyskał własny cel. Sprawি, żeby marzenie Risy się spełniło – zniszczy te przeklęte Proaktywne Siły Obywatelskie kawałek po kawałku.

A wtedy nie będzie miała innego wyjścia, jak tylko go pokochać.

CZEŚĆ SIÓDMA

ŁĄDOWANIA

Nasz kraj stanął wobec wyzwań zarówno w obrębie swoich granic, jak i poza nimi, ale jest to próba naszej woli, a nie siły...

– Prezydent Johnson o wojnie w Wietnamie oraz antyrządowych demonstracjach uczniów i studentów, 1968

Jestem przekonany, że ten tragiczny konflikt zbrojny o ogólnonarodowym zasięgu doczeka się rozstrzygnięcia, a porozumienie między obiema stronami pozwoli też ostatecznie rozwiązać problem nastoletnich zdziczeńców. Tymczasem jednak, dopóki nie nastanie ten wspaniały dzień, ogłaszam godzinę policyjną od dwudziestej dla wszystkich obywateli poniżej osiemnastego roku życia.

– Prezydent Moss o Wojnie Moralnej, dwa tygodnie przez swoją śmiercią z rąk separatystów z New Jersey



76. DREAMLINER

W Południowej Kalifornii, daleko na południe od hollywoodzkiego splendoru i daleko na wschód od rozpościerających się szeroko przedmieść San Diego, leży słone morze śródlądowe – równie zapomniane i niekochane jak ZOMZ wychowany w domu dziecka albo bociani podrzutek w ośrodku donacyjnym. Setki tysięcy lat temu stanowiło najbardziej wysunięty na północ skrawek morza Corteza, które wtedy jeszcze nie nosiło żadnej nazwy. Teraz jednak jest w zasadzie tylko olbrzymim zasolonym jeziorem wśród pustyni, które stopniowo wysycha. Jego wody są zbyt słone, żeby mogły w nich żyć kręgowce, a zamieszkujące je niegdyś ryby wyzdychały. Ich szkielety zaścielają brzegi niczym żwir.

Dziesięć minut przed północą samolot uważany niegdyś za spełnione marzenie lotnictwa pasażerskiego, zanim zastąpiły go nowe marzenia, podchodzi do lądowania nad jeziorem Salton Sea. Za sterami siedzi młody pilot wojskowy mający znacznie więcej pewności siebie niżli doświadczenia. Przeleciawszy niebezpiecznie nisko nad wierzchołkami okalających jezioro gór, odrzutowiec szykuje się do manewru, który linie lotnicze określają absurdalnym mianem „wodowania”.

Nie skończy się to dobrze.



77. STARKEY

Nie ma pasów bezpieczeństwa, nie ma siedzeń. A za chwilę czeka ich awaryjne lądowanie.

– Złapcie się wszyscy nawzajem pod ręce! Splećcie się nogami! – woła Starkey. – Będziemy nawzajem swoimi pasami bezpieczeństwa.

Bocianie podrzutki wykonują jego polecenie. Kulą się, chwytają wzajemnie za ręce i nogi, przemieniając się w jedną splątaną masę ciał. Ponieważ siedzą na podłodze, nikt nie wygląda przez okna, żeby zobaczyć, czy są już blisko powierzchni jeziora – ale nagle z interkomu rozlega się głos Trace'a.

– Za jakieś dwadzieścia sekund – mówi pilot. Potem kąt schodzenia samolotu ulega zmianie; Trace podnosi dziób odrzutowca.

– Do zobaczenia po drugiej stronie – mówi Starkey, a potem ponownie sobie uświadamia, że powiedział coś, co brzmi jak pożegnanie tuż przed śmiercią.

Starkey odlicza w myślach od dwudziestu do zera, ale nic się nie dzieje. Czyżby liczył za szybko? Czy Trace źle skalkulował odległość? Jeśli to trwa dwadzieścia sekund, są to najdłuższe sekundy w jego życiu. Potem wreszcie następuje uderzenie – krótki wstrząs, a później nic.

– Czy to już? – pyta ktoś. – Już po wszystkim?

Następuje kolejny wstrząs, potem następny i następny w coraz krótszych odstępach od siebie, i Starkey uzmysławia sobie, że samolot odbija się od powierzchni wody jak rzucony płasko kamień. Za piątym razem jedno

ze skrzydeł się zanurza, gwałtownie wyhamowując pęd i sprawiając, że kadłub się unosi – i nagle następuje koniec świata. Dreamliner wywija koźła na bezlitosnej powierzchni jeziora.

W jego wnętrzu wielkie ludzkie kłębownisko zostaje oderwane od podłogi i rozdarte przez siłę odśrodkową na dwa mniejsze kłęby, które lądują na przeciwległych końcach kabiny pasażerskiej. Fakt, że chwycili się nawzajem za ręce, rzeczywiście ratuje życie wielu osobom, bo zostają ochronieni przez ciała swoich sąsiadów – ale ci, którzy znaleźli się na obrzeżach ciskanego bezładnie tłumu i odegrali rolę poduszek amortyzujących wstrząsy, płacą za to najwyższą cenę. Wielu ginie w zderzeniu z twardym kadłubem dreamlinera.

Broń, która została umieszczona w schowkach na bagaż podręczny, wysypuje się stamtąd, kiedy pokrywy schowków otwierają się lub odpadają. Pistolety, karabiny, broń maszynowa i granaty same stają się śmiertcionośnymi pociskami, siejąc zniszczenie bez jednego strzału.

Uwięziony w płątaniu ciał z przodu kabiny Starkey czuje, jak jego głowa uderza w coś twardego i z czoła zaczyna ciec krew, ale to pestka w porównaniu z koszmarnym bólem zmiażdżonej dłoni.

W końcu odrzutowiec nieruchomieje. Krzyki i płacz brzmią teraz jak cisza w porównaniu ze zgiełkiem, jaki panował chwilę wcześniej. Potem gdzieś z tyłu kabiny pasażerskiej następuje eksplozja; wybucha granat, z którego wypadła zawlecзка. Rozrywa kadłub samolotu i do środka zaczyna się wlewać woda. Wtedy następuje awaria instalacji elektrycznej i zapada ciemność.

– Tutaj! – woła Barn. Opuszcza wielką dźwignię, otwierając przednie drzwi kabiny pasażerskiej po lewej stronie. Tratwa ratunkowa automatycznie wypełnia się powietrzem i odzepia się od kadłuba, spadając do wody. – Sayonara! – woła Barn i wyskakuje.

Instynkt Starkeya każe mu natychmiast opuścić wnętrze wraku... ale jeśli ma być postrzegany jak obrońca bocianich podrzutków, musi być ich obrońcą również w czynach, a nie tylko w słowach. Dlatego zwleka, poganiając innych, żeby wyskakiwali szybciej. Chce, żeby było jasne, że nie opuścił wraku jako pierwszy... ale nie zamierza też ewakuować się jako ostatni.

W tylnej części samolotu innym dzieciakom udaje się otworzyć włazy na wysokości skrzydeł oraz w połowie długości kabiny – ale tylko po lewej

stronie. Po prawej rozlane na powierzchni wody paliwo stanęło w ogniu i pali się za oknami.

– Broń! – krzyczy Starkey. – Bierzcie broń! Będziemy jeszcze musieli się bronić! – Tamci posłusznie zaczynają zbierać wszystko, co udaje im się znaleźć. Zrzucają broń do tratw, a potem wyskakują sami.

Płonący na zewnątrz ogień daje wystarczająco dużo światła, żeby Starkey mógł zobaczyć, co się dzieje w najdalszych zakątkach kabiny pasażerskiej. Od razu żałuje, że tam popatrzył. Wszędzie leżą trupy. Wszystkie powierzchnie są usmarowane lepłą, gęstą krwią, jednak jest więcej żywych niż martwych, a spośród ocalałych więcej osób biegnie niż pełza. Starkey natychmiast dochodzi do wniosku, że jest sens ratować tylko tych, którzy mogą się wydostać z samolotu o własnych siłach. Ci, którzy odnieśli ciężkie obrażenia, stanowiliby tylko niepotrzebne obciążenie dla reszty.

Kąt nachylenia podłogi szybko ulega zmianie i odrzutowiec zaczyna tonąć, poczynając od ogona. Tylna część kabiny jest już zalana, a poziom wody szybko się podnosi, zatapiając środkową wręgę. Potem Starkey słyszy stłumiony okrzyk dobiegający od przodu.

– Niech mi ktoś pomoże!

Starkey ostrożnie podchodzi do drzwi kokpitu i otwiera je. Przednia szyba jest rozbita, a w pomieszczeniu panuje jeden wielki chaos – roztrzaskane wskaźniki, zdarte panele, odsłonięte kable. Fotel pilota przewrócił się na pulpit sterowniczy, i Trace jest unieruchomiony...

...co oznacza, że Starkey znalazł się w ciekawym położeniu.

– Starkey! – mówi z ulgą Trace. – Musisz mnie stąd wyciągnąć, sam nie dam rady.

– Tak, to pewien problem – odpowiada Starkey. Pytanie brzmi, czy to jego problem? Potrzebowali Trace a, żeby wylądować, ale teraz pilot już nie jest im niezbędny do szczęścia – a poza tym czy Trace nie groził już, że go zabije? Jeśli przeżyje, od tego momentu będzie stanowił dla Starkeya wyłącznie zagrożenie. I to duże.

– Nigdy nie byłem wystarczająco odważny, żeby spróbować uciec z zatopionej klatki – mówi Starkey. – Houdini zginął próbując, ale myślę, że to żadne wyzwanie dla takiego przypakowanego armiaka jak ty. – Potem wycofuje się z kokpitu i zamyka drzwi.

– Starkey! – krzyczy Trace. – Starkey, ty draniu!

Jednak Starkey już podjął decyzję i wraca do głównego wjazdu. Stłumiony głos Trace'a zostaje zagłuszony przez spanikowane okrzyki bocianich podrzutków. W samolocie zostało jeszcze około tuzina dzieciaków – ci, którzy wolno się ruszają, odnieśli rany albo boją się skakać, bo nie potrafią pływać.

– Co to za smród? – pyta płaczliwie jeden z nich. – Co jest tam na zewnątrz?

Ma rację – to jezioro cuchnie niczym akwarium, w którym zgniła cała zawartość, ale to w tej chwili najmniejszy problem. Woda u ich stóp szybko się podnosi, a podłoga w kabinie pasażerskiej jest nachylona pod kątem trzydziestu stopni.

Starkey odpycha na bok ociągające się dzieciaki.

– Możecie skakać albo utonąć, innej możliwości nie ma, a ja nie zamierzam na was czekać. – Potem wyskakuje przez otwarte drzwi, lądując w cuchnącej słonej toni jeziora Salton Sea.



78. TRACE

Jego wołania o pomoc pozostają bez odpowiedzi. W gniewnej frustracji Trace wali pięściami w pulpit sterowniczy i szarpie się w fotelu, ale bez skutku. Jest tak mocno przygnieciony zmiażdżonymi blachami kokpitu, że nawet mięśnie armiaka na nic się tu nie zdadzą. Zmusza się, żeby zachować spokój i rozważyć dostępne opcje. Słyszy już tylko cichnące jęki i płacz dzieciaków, które są zbyt ciężko ranne, żeby uciec, oraz oczywiście szum napływającej nieubłaganej wody. I teraz dociera do niego, że nie pozostały mu żadne opcje do wyboru. Starkey o to zadbał.

Przez rozbite okno kokpitu zaczyna się wlewać woda, wzbierając tak szybko, że Trace nie ma czasu się przygotować. Wyciąga szyję, próbując utrzymać głowę nad powierzchnią tak długo, jak tylko zdoła. Potem chwytą ostatni długi haust powietrza, wstrzymuje oddech, i sekundę później jest już pod wodą. Nagle wszędzie wokoło panuje cisza, przerywana tylko metalicznym skrzypieniem kadłuba tonącego samolotu.

Jego ciało zużywa resztki tlenu, po czym pogodzony już ze swoim losem Trace wypuszcza ostatni oddech. Powietrze ulatuje z bulgotem w ciemność, a potem przychodzi czas, żeby umrzeć. Śmierć przez utonięcie jest pod każdym względem tak okropna jak sądził, ale Trace wie, że jego męki nie potrważą długo. Pięć sekund. Dziesięć. Potem niesprawiedliwość tego wszystkiego przestaje mieć znaczenie. Tracąc przytomność, Trace do ostatka trzyma się nadziei, że jego wybór, żeby walczyć po stronie ZOMZ-ów, a nie

Urzędu do Spraw Małoletnich, będzie wystarczył, żeby opłacić wstęp do lepszego świata.



79. STARKEY

Woda smakuje kauczukiem i zgnilizną. Nie jest ani ciepła, ani zimna, tylko letnia jak herbata, która zaparzała się o godzinę za długo. Dach samolotu znika pod powierzchnią i widać już tylko, jak bulgoczące bąble powietrza wprawiają w falowanie słoną ciecz oraz płamę benzyny, która zdążyła się niemal całkowicie wypalić. Starkey rozgląda się i widzi dzieciaki w wodzie, dzieciaki na tratwach ratunkowych oraz dzieciaki, które oddryfowały tak daleko, że w ogóle ich nie widać, i wzywają pomocy.

Zaledwie kilkaset metrów dalej majaczy bezludny brzeg. Nieodżałowanej pamięci Trace miał dość rozumu, żeby wylądować w pobliżu niezamieszkanego obrzeża olbrzymiego jeziora. Mimo wszystko okoliczni ludzie na pewno widzieli rozbijający się samolot i przybędą tutaj, żeby sprawdzić, co się stało. Trzeba się jak najszybciej oddalić z miejsca katastrofy – ostatnie, czego potrzebują, to żeby ich wypatrzono.

– Tutaj! – woła Starkey i zaczyna płynąć, posługując się zdrową ręką. Dzieciaki na tratwach wiosłują, dzieciaki w wodzie płyną, i już po kilku minutach wszyscy wyłazą z cuchnącej toni na grząski brzeg pokryty rozsypującymi się szkieletami ryb.

Starkey każe Barn policzyć rozbitków. Dziewczyna po chwili melduje, że ocalało sto dwadzieścia osiem osób. Stracili czterdzieści jeden w katastrofie. Mfokół niego ci, którzy przeżyli, próbują ustalić, kogo brakuje, co budzi w Starkeyu wyłącznie gniew. Siedząc tutaj, osiągną tylko tyle, że zostaną schwytani. Starkey wie, że jest wystarczająco sprytny, aby sobie poradzić,

gdyby był zdany tylko na siebie – jakimś sposobem musi wpoić swój instynkt przetrwania pozostałym.

– Wszyscy wstawać! Nie możemy marnować czasu na lizanie ran i opłakiwanie zmarłych. Musimy się stąd wynosić.

– Jak sądzisz, dokąd powinniśmy pójść? – pyta Barn.

– Przede wszystkim jak najdalej stąd.

Starkey wie, że musi dać im wszystkim kierunek i cel. Teraz, gdy zostali uwolnieni z kojca, jakim było Cmentarzysko, ich priorytety muszą ulec zmianie. Może Connora zadowalało samo utrzymywanie ZOMZ-ów przy życiu, ale Starkey ma na oku większe cele niż tylko przetrwanie. Pod jego przywództwem bocianie podrzutki mogą się stać siłą, z którą świat będzie musiał się liczyć.

Podchodzi do siedzących najbliżej dzieciaków, które odpoczywają wyczerpane. Chwyta jednego za drugim za ubranie i szorstko stawia na nogi.

– Ruszcie się! Odpocznijemy, kiedy będziemy bezpieczni.

– Czy jeszcze kiedykolwiek będziemy bezpieczni? – pyta ktoś. Starkey nie odpowiada, bo wie, że przypuszczalnie nigdy. Ale to nic. Zbyt długo lekceważyli czyhające na nich zagrożenia. Życie na krawędzi uczyni ich czujnymi i skupionymi.

Podczas gdy bocianie podrzutki zbierają siły przed pieszą wędrówką, której celu nie znają, Starkey rozgląda się, aż w końcu udaje mu się wypatrzyć w tłumie Jeevana. Czuje ulgę widząc, że młody haker przeżył.

– Jeeves, będziemy potrzebowali takiego samego stanowiska łączności, jakie miałeś w KomBomie, ale mobilnego. Chcę, żebyś był naszymi oczami i uszami, i zbierał tyle informacji o poczynaniach Urzędu do Spraw Małoletnich, ile się da.

Jeeves tylko kręci głową w niedowierzaniu i panice.

– Tam miałem do dyspozycji wysokiej klasy oprogramowanie wojskowe. Już go nie mamy. Nie mamy nawet komputera!

– Zorganizujemy tyle komputerów, ile będziesz potrzebował – odpowiada Starkey. – A ty się postarasz, żeby wszystko działało jak trzeba.

Jeevan nerwowo kiwa głową.

– Tak jest.

Jeszcze przed opuszczeniem brzegu jeziora w głowie Starkeya zaczynają kiełkować wielkie plany. Zamierza kontynuować kampanię zemsty, którą

rozpoczął w Tucson – tylko tym razem nie będzie mu w tym dopomagać garstka mszczących się podrzutków, ale wszyscy: armia partyzancka licząca sobie stu dwudziestu ośmiu członków, gotowa okrutnie ukarać każdego, kto byłby gotów podzielić dziecko podrzucone przez bociana. Będą rośli w siłę z każdym uratowanym podrzutkiem. Starkey nie ma wątpliwości, że z czasem staną się wystarczająco liczni, żeby móc atakować całe ośrodki donacyjne. A wtedy „ZOMZ z Akron” stanie się tylko żalosnym przypisem pod spuścizną Starkeya.

Czerpiąc siłę ze swojej wspaniałej wizji, Starkey prowadzi ocalałych w głąb gór na wschód od jeziora Salton Sea. Jego pierwszą sztuczką będzie sprawienie, żeby wszyscy zniknęli, ale to zaledwie początek. Wielki magik Starkey dopiero pokaże, na co go naprawdę stać.



80. MIRACOLINA

Kiedy Miracolina otwiera oczy, okropnie kręci się jej w głowie. Dzięki temu wie, że została trafiona pociskiem usypiającym. To już czwarty raz – zdążyła się przyzwyczaić. Powracają do niej wspomnienia z godzin poprzedzających postrzał, ale powoli i w niewłaściwej kolejności. Dziewczyna tłumy mdłości i zaczyna ustalać, gdzie się znalazła, próbując jednocześnie odzyskać jasność myślenia.

Przemieszcza się. Jakimś pojazdem. Podróżowała razem z Levern. Czy znajduje się na pace półciężarówki? Nie. Czy przebywa w luku bagażowym autokaru? Nie.

Jest noc. Miracolina leży na tylnym siedzeniu auta. Czy Lev jest tu z nią? Nie.

Pod koniec nie znajdowali się w pojeździe, prawda? Szli piechotą. Wzdłuż ogrodzenia. W stronę starej bazy lotniczej. Czy wydarzyło się coś jeszcze? Musiało, ale mimo wysiłków Miracolina nie jest w stanie sobie przypomnieć już nic więcej po tym, jak podeszli do bramy.

Chociaż wie, że poczuje się tak, jakby mózg chciał jej wyciec przez uszy, siada. Od przednich siedzeń oddziela ją gruba szyba. Wóz policyjny? Tak – z przodu siedzi dwóch gliniarzy od małolatów. To powinna być dla Miracoliny dobra wiadomość. To znaczy, że została wreszcie wyzwolona z półświatka, przez który przeciągnął ją Lev. Jednak dziewczyna wcale nie czuje się dobrze, i nie tylko z powodu środków usypiających. Fakt, że

znalazła się w wozie policyjnym, nie wróży dobrze Levowi, a ona nie może już zaprzeczyć, że martwi się jego losem, czy tego chce, czy nie.

Gliniarz za kierownicą zerka w lusterko, napotykając wzrok Miracoliny.

– No proszę, ktoś się zbudził – mówi życzliwie.

– Czy może mi pan powiedzieć, co się stało? – Dźwięk jej własnego głosu sprawia, że w głowie dziewczyny zaczyna pulsować ból.

– Akcja policyjna na cmentarzysku samolotów – odpowiada mężczyzna. – Ale to już wiesz, nieprawdaż?

– Nie. Zostałam uśpiona przed bramą. – A potem dodaje: – Byłam na spacerze. – Nie jest to szczególnie mądre, zważywszy, w jak odludnej okolicy znajduje się tamta droga.

– Wiemy, kim jesteś, Miracolino – mówi drugi policjant. Te słowa sprawiają, że dziewczyna musi się położyć z powrotem na lepkiem skórzanym siedzeniu, ale przechyła się w złą stronę i w efekcie zsuwa się pod drzwi.

– On wam powiedział? – pyta. Nie może sobie wyobrazić, że Lev mógłby dobrowolnie podać glinom jej personalia.

– Nikt nam nie powiedział – odpowiada mężczyzna, po czym podnosi małe elektroniczne urządzenie. – Tester DNA. Standardowe wyposażenie glin od małałatów od czasu rewolty w ośrodku Happy Jack.

– Bardzo mnie ciekawi, co to za „on”, o którym ona mówi – dorzuca policjant kierujący autem.

Cóż, skoro nie wiedzą, Miracolina nie zamierza ich informować. Skoro Lev nie został złapany, to znaczy, że go przy niej nie było, kiedy ją zgarnęli. Ale czy to znaczy, że po prostu ją zostawił? Etos Leva jest tak pełen sprzeczności, że dziewczyna nie ma pewności, czego można się po nim spodziewać. Ale nie – to kłamstwo – jedno z tych kłamstw, które sobie kiedyś wmawiała tylko po to, żeby go demonizować. W głębi serca wie, że nie zostawiłby jej dobrowolnie. Skoro to zrobił, to znaczy, że nie miał wyboru. Jednak nie sposób dociec, czy przebywa teraz na wolności, czy też został schwytany.

– Chciałbym się dowiedzieć – mówi policjant siedzący obok kierowcy – jakim cudem znalazłaś się za bramą, a nie w środku tak jak pozostali.

Miracolina postanawia powiedzieć im okrojoną wersję prawdy, bo tak czy owak nie uwierzą.

– Uciekłam od pirata części razem z kolegą – mówi. – Szukaliśmy bezpiecznego schronienia.

Dwaj gliniarze spoglądają na siebie.

– Czyli nie mieliście pojęcia, że to cementarzysko samolotów jest obozem ZOMZ-ów.

– Powiedziano nam tylko, że mamy tam pójść. Że tam będziemy bezpieczni przed piratami części.

– Kto wam tak powiedział?

– Jakiś facet – odpowiada dziewczyna. Brzmi to jak coś, co mógłby powiedzieć każdy dzieciak, i sprawia, że policjanci przestają widzieć sens w dalszym drażeniu tematu.

– Kto cię postrzelił?

Ponieważ Miracolina milczy, kierowca spogląda na towarzysza i mówi:

– Pewnie jakiś żółtodziób się pośpieszył. – Drugi gliniarz tylko wzrusza ramionami.

– No cóż, znalazłaś się tutaj i nic ci już nie grozi. Czy twój kolega też był dziesięcirodny?

Miracolina musi stłumić uśmiech.

– Tak – odpowiada. – Tak, był. – Jest zadowolona, że może ich okłamać z absolutną uczciwością, bo powszechnie wiadomo, że uczciwość popłaca.

– No cóż, żaden dziesięcirodny nie oddał się w nasze ręce – mówi policjant siedzący obok kierowcy. – Może twój kolega został wywieziony razem z całą resztą.

– Z całą resztą?

– Tak jak mówiliśmy, to była akcja policyjna. Zgarnęliśmy olbrzymie gniazdo ZOMZ-ów. Co najmniej kilkaset osób.

I znowu informacja, która kiedyś ucieszyłaby Miracolinę – sprawiedliwość wygrała, przywrócono ład – teraz przyprawia ją tylko o melancholię.

– Czy udało się aresztować jakieś „sławy”? – pyta dziewczyna, wiedząc, że jeśli złapano Leva albo jego przyjaciela, ZOMZ-a z Akron, byłaby to tak ważna wiadomość, że wszyscy policjanci musieliby o tym wiedzieć.

– Nie ma czegoś takiego jak „sławny” ZOMZ, skarbie. Wszyscy są zerami. Inaczej nie znaleźliby się tam, gdzie się znaleźli.

Miracolina ponownie wzdycha z ulgą, a policjanci biorą to za wyczerpanie spowodowane działaniem środków usypiających.

– Połóż się z powrotem, kotuś. Nie masz się czym martwić. Żaden pirat części już cię nie dopadnie.

Jednak dziewczyna nadal siedzi zamiast się położyć, bo nie chce popaść w odrętwienie po tym, jak wybudziła się z uśpienia. Dziwi ją sposób, w jaki ci policjanci odnoszą się do niej. Ostatecznie jest Podzieloną, a jej historia budzi wątpliwości – a nawet jeśli jest dziesięciorodną, po raz pierwszy widzi, żeby gliniarze od małaolatów traktowali z sympatią kogoś, kto czeka podzielenie. Tak jak sami powiedzieli, uważają Podzielonych za zera. Nikt nie mówi do zer „skarbie” i „kotuś”.

Kiedy auto wjeżdża na parking przed lokalną siedzibą Urzędu do Spraw Małoletnich, Miracolina zaczyna się zastanawiać, co ją teraz czeka.

– Miałam trafić do ośrodka donacyjnego Leśna Polana – mówi im. – Czy pojedę tam tak czy owak, czy też wyślą mnie do któregoś z ośrodków w Arizonie?

– Ani jedno, ani drugie – odpowiada kierowca.

– Słucham?

Policjant parkuje samochód, po czym odwraca się do niej.

– Z tego co mi wiadomo, twoi rodzice ostatecznie nie podpisali zlecenia.

To sprawia, że Miracolina nie jest w stanie wykrztusić słowa w odpowiedzi.

Nigdy go nie podpisała. Teraz przypomina sobie, że powiedzieli jej to, kiedy stała przy drzwiach – ale ona odparła, że z własnej nieprzymuszonej woli decyduje się odejść, po czym mimo wszystko wsiadła do vana.

– Nawet gdybyś dojechała do ośrodka Leśna Polana, zostałabyś po prostu odesłana do domu zaraz po sprawdzeniu dokumentacji. Nie można nikogo podzielić bez zlecenia.

Miracolina zaczyna się śmiać wobec takiej ironii losu. Tak długo walczyła o to, żeby zostać złożona w ofierze jako dziesięcina, a teraz ta możliwość nie tylko nie wchodzi w grę, ale nigdy nie wchodziła. Dziewczyna chciałaby się rozgniewać, ale jak mogłaby winić swoich rodziców za to, że za bardzo ją pokochali, żeby pozwolić jej odejść? Zastanawia się teraz, co by było, gdyby wcześniej o tym wiedziała. Czy mimo wszystko wyruszyłaby z Levern w podróż na zachód po tym, jak uciekli piratowi części? Czy zostałaby z Levern wystarczająco długo, żeby mu wybaczyć, udzielając mu rozgrzeszenia, którego tak desperacko potrzebował?

Z zaskoczeniem uświadamia sobie, że nie.

Gdyby wiedziała, że nigdy nie zostanie ofiarowana jako dziesięcina, wówczas telefonując do rodziców nie ograniczyłyby się do poinformowania, że żyje, tylko błagałyby, żeby przyjechali zabrać ją do domu. Zostawiłaby Leva, żeby dokończył podróż na własną rękę – samotny i nierozgrzeszony.

– Wiem, jacy są dziesięcirodni – mówi współczującym tonem drugi z policjantów. – Jeśli naprawdę tego chcesz, możesz pogadać z rodzicami, jak już tu dotrą.

I chociaż Miracolina faktycznie tego chce, zaczyna oswajać się z rozczarowaniem, jakim będzie pozostanie w jednym kawałku.

– Dziękuję – mówi. – Dziękuję bardzo. – Ale to nie im dziękuje.

Wszystko albo dzieje się z jakiejś przyczyny, albo dzieje się bez żadnej przyczyny. Życie każdego człowieka jest albo nicią w cudownym gobelinie, albo beznadziejnie splątanym węzłem. Miracolina zawsze wierzyła w gobelin, a teraz czuje się pobłogosławiona dzięki temu, że miała szczęście obejrzeć z bliska jego małe róg. Teraz już wie, że jej marzenie o zostaniu dziesięciną nie narodziło się po to, żeby doprowadzić ją do stanu podzielenia – jego celem było popchnięcie jej we właściwe miejsce we właściwym czasie po to, żeby przyczyniła się do zbawienia chłopca, który miał się wysadzić w powietrze.

Kto by pomyślał, że unikatowa całość jej przebaczenia okaże się cenniejszym darem niżli sto części jej ciała?

Tak więc Miracolina powróci w ramiona swoich histerycznie rozemocjonowanych rodziców i będzie żyła życiem, które sobie dla niej wymarzyli, do czasu, gdy dochowa się własnych marzeń. Nie miała przyjęcia dziesięcinowego a e teraz postanawia, że pewnego dnia zorganizuje sobie wspaniałą uroczystość. Może słodkie szesnaste urodziny? Odnajdzie wtedy Leva, bez względu na to, gdzie będzie przebywał, zaprosi go na swoje przyjęcie i nie przyjmie do wiadomości odmowy. I wtedy wreszcie z nim zatańczy.



81. HAYDEN

Z tego co Haydenowi wiadomo, ostali się już tylko oni. Razem z nim w KomBomie przebywa jeszcze czternaścioro Podzielonych – wszystko to są dzieciaki obsługujące różne zmiany w centrum łączności, które ufają mu bardziej niż komukolwiek innemu. Szokuje to Haydena. Dotąd nie miał pojęcia, że stanowi dla kogokolwiek autorytet. Rzuca mu się w oczy nieobecność jednej osoby. Zanim odcięto dopływ prądu do kamer, Hayden zdążył zobaczyć, jak Jeevan wsiada do dreamlinera razem z innymi bocianimi podrzutkami, dźwigając naręczę skradzionej broni.

Connor przestał odpowiadać mniej więcej w połowie bitwy, a hycle poniszczyli – jeden po drugim – wszystkie generatory prądu, pogrążając KomBom oraz pozostałe samoloty w ciemnościach.

O północy jest już po wszystkim. Przez okna KomBomu Hayden widzi, jak odjeżdża ciężki sprzęt transportowy, taran, a za nimi ciężarówki oddziałów do tłumienia zamieszek oraz większość aut policyjnych; ich zadanie zostało wypełnione.

Hayden myśli z nadzieją, że może zapomniano o nich – że będą mogli tu przesiedzieć jeszcze kilka godzin, a potem spróbować uciec. Jednak funkcjonariusze Urzędu do Spraw Małoletnich nie są tacy głupi.

– Wiemy, że tam jesteście! – wołają przez megafon. – Wyjdźcie, a obiecujemy, że nikomu nic się nie stanie.

– Co robimy? – pytają otaczające go dzieciaki.

– Nic – odpowiada Hayden. – Nic nie robimy. – Ponieważ KomBom służył jako centrum łączności i mózg Cmentarzyska, klapy wszystkich jego włazów są na miejscu i funkcjonują jak należy. Jest to też jeden z nielicznych samolotów, których drzwi można otworzyć tylko od wewnątrz. Kiedy rozpoczęła się bitwa, Hayden zahermetyzował właz; w efekcie są teraz odcięci od zewnętrznego świata niczym załoga łodzi podwodnej. Ich jedyną obroną są izolacja oraz pistolet maszynowy, bo Connor nalegał, że Hayden musi go mieć. Hayden nie wie nawet, jak się strzela z tego ustrojstwa.

– Znaleźliście się w beznadziejnym położeniu – ryczą hycle przez megafon. – Tylko pogorszycie swoją sytuację.

– Co mogłoby być gorsze niż to, że wszyscy zostaniemy podzieleni? – pyta Lizbeth.

Potem Tad, który od samego początku trzymał się tak blisko Haydena, jakby byli syjamskimi bliźniakami, mówi:

– Ciebie nie podziela, Hayden. Masz siedemnaście lat.

– Szczegóły, szczegóły – odpowiada Hayden. – Nie zaprzataj mi głowy szczegółami.

– Urządzą na nas szturm! – ostrzega Nasim. – Widziałem to w telewizji. Wysadzą drzwi, zagazują nas, a potem wyciągnie nas stąd drużyna SWAT!

Pozostali nerwowo spoglądają na Haydena, żeby sprawdzić, co powie.

– Oddziały do tłumienia zamieszek już odjechały – mówi Hayden. – Nie jesteśmy na tyle ważni, żeby nas szturmować. Stanowimy po prostu resztki do posprzątania. Założę się, że tam na zewnątrz zostali tylko spasieni, głupkowaci hycle, żeby na nas czekać. – Pozostali wybuchają śmiechem, słysząc to. Cieszy go, że wciąż potrafią się śmiać.

Bez względu na ich iloraz inteligencji i współczynnik masy ciała, gliniarze otaczający KomBom donikąd się nie wybierają.

– W porządku – obwieszczają. – Możemy czekać tak długo, jak wy.

I czekają.

O świcie nadal tam są – zaledwie trzy wozy patrolowe i mała szara furgonetka do przewozu więźniów. Dziennikarze, którym policjanci nie pozwalali się zbliżyć, dopóki trwał szturm, rozłożyli się teraz obozem zaledwie pięćdziesiąt metrów dalej. Z daleka widać sterczące anteny – zwykłe i satelitarne.

Hayden i jego grupka upartych Całych spędzili noc na przemian drzemiąc i się budząc. Teraz na widok dziennikarzy część z nich czuje przypływ jakiejś

nierealnej nadziei.

– Jeśli wyjdziemy na zewnątrz – mówi Tad – pokażą nas w wiadomościach. Nasi rodzice nas zobaczą. Może coś zrobią.

– Na przykład co? – pyta Lizbeth. – Podpiszą drugie zlecenie podzielenia? Wystarczy jedno.

O siódmej piętnaście słońce wyłania się zza gór, zwiastując kolejny upalny dzień, i KomBom zaczyna się smażyć w jego promieniach. Grupie Haydena udaje się znaleźć kilka butelek z wodą, ale jest jej za mało dla piętnastu osób, które już zaczynają wypacać z siebie więcej płynów, niż mogą wypić. O ósmej temperatura sięga trzydziestu ośmiu stopni i Hayden wie, że długo tak nie pociągną. Tak więc ponownie zadaje swoje ulubione pytanie, ale tym razem już nie retorycznie.

– Chcę, żebyście mnie uważnie posłuchali i przemyśleli swoją odpowiedź – mówi im. Czeka, aż wszyscy skupią na nim swoją uwagę, po czym ciągnie: – Wolicie umrzeć... czy też zostać podzieleni?

Wszyscy patrzą na siebie nawzajem. Niektórzy kryją głowy w dłoniach. Niektórzy zaczynają szlochać bez łez, bo są już zbyt odwodnieni, żeby płakać. Hayden w myślach liczy do dwudziestu i zadaje pytanie ponownie, po czym czeka na odpowiedzi.

Esme, ich najlepsza hakerka, specjalistka od łamania haseł, jako pierwsza przebija się przez firewall milczenia.

– Umrzeć – mówi. – Bez dwóch zdań.

I Nasim też mówi:

– Umrzeć.

I Lizbeth też mówi:

– Umrzeć.

I odpowiedzi zaczynają padać coraz szybciej.

– Umrzeć.

– Umrzeć.

– Umrzeć.

Wszyscy kolejno odpowiadają, i ani jedna osoba nie wybiera podzielenia.

– Nawet jeśli istnieje coś takiego, jak „życie w podzielonym stanie” – mówi Esme – to jeśli zostaniemy podzieleni, hycle wygrają. Nie możemy pozwolić, żeby wygrali.

Tak więc, podczas gdy temperatura osiąga czterdzieści trzy stopnie Celsjusza i wciąż rośnie, Hayden opiera się plecami o grodz i robi coś po raz

pierwszy od czasu, gdy był zupełnie mały. Zaczyna odmawiać „Ojcze nasz”. Zabawne, że niektórych rzeczy się nie zapomina.

– Ojcze nasz, któryś jest w niebie...

Tad i kilkoro innych od razu się dołącza.

– Święć się imię Twoje...

Nasim zaczyna recytować muzułmańską modlitwę, a Lizbeth zasłania oczy, szepcząc po hebrajsku „Szema Jisrael”[3]. Śmierć nie tylko czyni ludzi równymi niezależnie od pochodzenia, ale też jednoczy wszystkie religie.

– Myślisz, że po prostu pozwolą nam umrzeć? – pyta Tad. – Nie będą próbowali nas uratować?

Hayden nie chce odpowiadać, bo wie, że odpowiedź brzmi „nie”. Z punktu widzenia hyci, jeśli wszyscy zamknięci w KomBomie umrą, będzie to śmierć dzieciaków, których i tak nikt nie chciał. Wszystko, co policja utraci, to części.

– Biorąc pod uwagę te vany stacji telewizyjnych – mówi Lizbeth – może nasza śmierć zyska jakieś znaczenie. Ludzie zapamiętają, że woleliśmy umrzeć niż dać się podzielić.

– Może – odpowiada Hayden. – To dobra myśl, Lizbeth. Tego się trzymaj.

Czterdzieści sześć stopni. Ósma czterdzieści rano. Hayden ma coraz większe trudności z oddychaniem, i dociera do niego, że może to nie gorąco ich zabije, ale brak tlenu. Zastanawia się, która z tych śmierci znajduje się niżej na liście najbardziej nieprzyjemnych przyczyn zgonu.

– Nie czuję się za dobrze – mówi dziewczyna siedząca naprzeciwko niego. Hayden znał jej imię jeszcze pięć minut wcześniej, ale teraz nie jest w stanie skupić się na tyle, żeby je sobie przypomnieć. Wie, że została im mniej niż godzina życia.

Obok niego Tad, którego oczy są półotwarte, zaczyna mamrotać. Coś o wakacjach. Piaszczyste plaże, pływalnie.

– Tata zgubił paszporty, o rany, mama będzie wściekła.

Hayden obejmuje go ramieniem i przytula jak młodszego brata.

– Nie mamy paszportów... – mówi Tad. – Nie mamy paszportów... Nie wrócimy do domu.

– Nawet nie próbuj, Tad – odpowiada Hayden. – Gdziekolwiek jesteś, zostań tam. Z opisu sądząc, brzmi jak raj.

Wkrótce Haydenowi zaczyna się robić ciemno przed oczami, i on też odpływa w różne miejsca. Do domu, gdzie mieszkał jako dziecko, zanim

jego rodzice zaczęli się kłócić. Wjeżdża rowerem na rampę do akrobacji, których nie potrafi wykonywać, spada i łamie sobie rękę. „Co ci przyszło do głowy, synu?” Kłótnia jego rodziców o prawo do opieki nad nim w ogniu sprawy rozwodowej. „Jasne, że go dostaniesz! Dostaniesz go po moim trupie” – a Hayden tylko się śmieje i śmieje, bo śmiech jest jego jedyną obroną przed faktem, że jego rodzina właśnie się rozpada. A potem przypadkowo udaje mu się podsłuchać, jak zapada decyzja, żeby zlecić jego podzielenie zamiast pozwolić, żeby zamieszkał z drugim rodzicem. Nie, nie tyle decyzja, co impas.

„W porządku!”

„W porządku!”

„Skoro właśnie tego chcesz!”

„Skoro TY tego chcesz!”

„Nie zrzucaj tego na mnie!”

Podpisali zlecenie podzielenia tylko po to, żeby zrobić sobie nawzajem na złość, ale śmieje się, Hayden, śmieje się, śmieje, bo jeśli kiedykolwiek przestaniesz się śmiać, może cię to rozedrzeć na strzępy jeszcze szybciej niż krajalnica.

Teraz znalazł się daleko, pływa w chmurach grając w scrabble z Dalai Lamą, ale do licha, wszystkie literki są tybetańskie. Potem jego pole widzenia na chwilę się rozjaśnia i Hayden powraca do teraźniejszości. Jest wystarczająco przytomny, żeby uzmysłwić sobie, że znajduje się w KomBomie, gdzie temperatura wzrosła do niewyobrażalnych wartości. Rozgląda się. Pozostali są przytomni, ale ledwo, ledwo. Pólsiedzą po kątach ze zwieszonymi głowami albo leżą na podłodze.

– Opowiadałeś o czymś – mówi ktoś słabym głosem. – Opowiadaj dalej, Hayden. To było fajne.

Potem Esme wyciąga rękę i dotyka szyi Tada, sprawdzając puls. Oczy chłopca są nadal na wpół otwarte, ale nie mamrocze już o tropikalnych plażach.

– Tad nie żyje, Hayden.

Hayden zamyka oczy. Wie, że skoro jedna osoba zmarła, reszta też nie wytrwa długo. Spogląda na pistolet maszynowy, który leży obok niego. Jest ciężki. Jest naładowany. Hayden nie wie nawet, czy jeszcze da radę go podnieść, ale podnosi, a chociaż nigdy nie strzelał z takiej broni, nie trzeba

być geniuszem, żeby dojść, co do czego służy. Pistolet można łatwo odbezpieczyć. Spust też jest tam, gdzie powinien być.

Hayden spogląda na otaczającą go grupkę cierpiących nastolatków, zastanawiając się, czy „postrzał z broni maszynowej” plasuje się wysoko na liście nieprzyjemnych przyczyn zgonu. Na pewno szybka śmierć jest lepsza od powolnej. Jeszcze przez chwilę rozważa dostępne opcje, po czym mówi:

– Przepraszam, kochani, przepraszam, że was zawiodłem... ale nie potrafię tego zrobić.

Potem mierzy z pistoletu maszynowego w stronę kokpitu i puszcza serię prosto w przednią szybę. KomBom zalewa fala świeżego, chłodnego powietrza.

[3] *Szema Jisrael* („Słuchaj, Izraelu”) – jedna z dwóch najważniejszych modlitw w judaizmie. Należy ją odmawiać zakrywając oczy dłonią w celu większego skupienia. Tradycyjnie odmawiana przed śmiercią (przyp. tłum.).



82. CONNOR

Budzi się w wygodnym łóżku w wygodnym pokoju, wyposażonym w komputer i nowoczesny model telewizora. Ściany są oklejone plakatami sportowymi. Senny i ogłupiały, przez chwilę prawie mógłby uwierzyć, że znalazł się w niebie, ale czuje wystarczająco silne mdłości, żeby wiedzieć, że nie.

– Wiem, że jesteś na mnie wkurzony, Connor, ale musiałem to zrobić.

Connor odwraca się i widzi, że Lev siedzi na krześle w kącie, który – ponieważ całe pomieszczenie urządzone w jednolitym stylu – pomalowany jest w piłki nożne, futbolowe i tenisowe.

– Gdzie jesteśmy?

– W Sunset Ridge Homes, domy pokazowe, model numer trzy: „Bahamy”.

– Przywiozłeś mnie do domu pokazowego?

– Stwierdziłem, że obaj powinniśmy się wyspać w wygodnych łóżkach przynajmniej przez jedną noc. Obczaiłem ten patent, kiedy żyłem na ulicy. Patrole służb wypatrują złodziei, a nie dzikich lokatorów. Przejeżdżają obok domów pokazowych, ale nigdy nie wchodzi do środka, chyba że zobaczą lub usłyszą coś podejrzanego. Tak więc dopóki nie chrapiesz za głośno, nic ci nie grozi. – Potem dodaje: – Oczywiście musimy się stąd zwinąć przed dziesiątą, bo wtedy otwierają.

Raz zasiedziałem się za długo w pokazowcu i agent nieruchomości omal nie dostał przeze mnie zawału.

Connor przesuwają się na skraj łóżka. W telewizji leci serwis informacyjny. Następstwa i analiza policyjnego szturmu na obóz ZOMZ-ów na cmentarzystwie samolotów.

– Gadają o tym w wiadomościach od wczorajszego wieczora – mówi mu Lev. – Nie aż tyle, żeby to zyskało pierwszeństwo przed info reklamami i takimi tam, ale przynajmniej gliniarze nie kryją się z tym, co zrobili.

– A czemu mieliby się z tym kryć? – pyta Connor. – To ich śmierdząca chwila chwały.

W telewizji rzecznik prasowy Urzędu do Spraw Małoletnich oznajmia, że liczba ZOMZ-ów zabitych w trakcie szturmu wyniosła trzydzieści trzy osoby. Żywym udało się pojmać czterysta sześćdziesiąt siedem. „Tak wielka liczba oznacza, że będziemy musieli ich rozdzielić między różne ośrodki donacyjne” – stwierdza mężczyzna, nawet nie zdając sobie sprawy, ile ironii tkwi w fakcie, że użył słowa „rozdzielić”.

Connor zamyka oczy, co sprawia, że zaczynają piec. Trzydzieści trzy trupy, czterysta sześćdziesięcioro siedmioro pojmanych. Jeśli Starkey zwiął, a wraz z nim jakieś sto pięćdziesiąt osób, to znaczy, że może z sześćdziesiąt pięć zdołało uciec pieszo. O wiele za mało.

– Nie powinieneś być mnie stamtąd wywozić, Lev.

– Czemu? Wolałbyś dołączyć do ich kolekcji Podzielonych jako trofeum? Jeśli odkryją, że ZOMZ z Akron wciąż żyje, ukrzyżują cię. Uwierz mi, wiem to na sto procent.

– Kapitan powinien iść na dno razem ze statkiem.

– Chyba że pierwszy oficer go znokautuje i wrzuci do łodzi ratunkowej.

Connor tylko piorunuje go wzrokiem w odpowiedzi.

– W porządku – rzuca Lev. – Chcesz mi dać w pysk?

Słyszając to, Connor śmieje się z cicha i spogląda na swoją prawą rękę.

– Uważaj, o co prosisz, Lev. Mam teraz solidną parę w pięści. – Potem pokazuje Levowi tatuaż.

– Taa, już go zauważyłem. To pewnie jakaś dłuższa historia. Przecież nie cierpiełeś Rolanda, no nie? Czemu sprawiłeś sobie taki sam tatuaż?

Teraz Connor zaczyna się śmiać znacznie głośniej. Trudno sobie wyobrazić, że Lev nawet nie wie – ale z drugiej strony skąd miał się dowiedzieć?

– Tak, to dłuższa historia – odpowiada. – Przypomnij mi kiedyś, żebym ci opowiedział.

W telewizji leci teraz relacja na żywo z Cmentarzyska, gdzie „właśnie rozgrywa się kolejny akt dramatu”. Ostatnia grupka ZOMZ-ów zabarykadowała się przed glinami w starym bombowcu z czasów II wojny światowej.

– To KomBom! Hayden opierał im się przez całą noc! – Dla Connora to prawie jak zwycięstwo.

Właz KomBomu się otwiera i ze środka wychodzi Hayden, niosąc nieruchome ciało chłopca. Za nim wyłania się grupka innych nastolatków. Żadne nie wygląda dobrze. Policjanci zacieśniają krąg, podobnie jak dziennikarze.

– Na naszych oczach ostatni Podzieleni ZOMZ-owie zostają ujęci...

Reporterom nie udaje się podejść dostatecznie blisko, żeby podetknąć swoje mikrofony Haydenowi pod nos, ale nie muszą tego robić. Chociaż gliniarze próbują go jak najszybciej wepchnąć do furgonetki, Hayden krzyczy wystarczająco głośno, żeby wszyscy go usłyszeli:

– Nie jesteśmy tylko ZOMZ-ami! Nie jesteśmy po prostu zbieraniną części! Jesteśmy ludźmi... a obecne czasy zapiszą się w dziejach czarną kartą wstydu!

Policjanci wpychają jego i pozostałe dzieciaki do pojazdu, ale tuż przed zatrzaśnięciem drzwi Hayden woła:

– Za nowe Powstanie Młodzieży!

Potem furgonetka odjeżdża, uwożąc ich w siną dal.

– Brawo, Hayden – mówi Connor. – Brawo!

W serwisie informacyjnym pada jeszcze krótka wzmianka o samolocie, który wymknął się służbom, ale ponieważ ten fakt kompromituje policję, nie mówi się o tym zbyt wiele. Najpierw zmuszono jakiś odrzutowiec do lądowania w Dallas, sądząc, że to dreamliner wiozący ZOMZ-ów, ale okazało się, że to lot pasażerski z Mexico City. Są też niepotwierdzone doniesienia, że inny samolot spadł do jeziora w Kalifornii, ale reporter nie podaje żadnych szczegółów. Connor podejrzewa, że ten samolot, który się rozbił, to dreamliner – i chociaż chętnie ujrzałby Starkeya na dnie jeziora, mimo wszystko ma nadzieję, że bocianie podrzutki przeżyły katastrofę. To byliby kolejni ZOMZ-owie, którym udało się uciec przed policją.

Przekląty Starkey! Ściągnął na nich gliny, a potem zabrał połowę broni, ukradł jedyny środek transportu umożliwiający ucieczkę z obozu i pozostawił resztę ZOMZ-ów na lodzie. Ale bez względu na to, jak bardzo

Connor chciałby zrzucić całą winę na Starkeya, mimo woli czuje ciężar własnego błędu. To on zaufał Starkeyowi, pozwalając, żeby ten zyskał władzę wśród bocianich podrzutków.

Kiedy staje się jasne, że w wiadomościach lecą już inne rzeczy – pogoda i plotki o źle prowadzących się celebrytach – Connor wyłącza telewizor.

– Dziewięćdziesiąt trzy. Prawie pora się zbierać.

– Prawdę mówiąc, zanim stąd wyjdziemy, chcę ci pokazać jeszcze jedną rzecz. – Lev podchodzi do komputera, który jest częścią wyposażenia pokoju, i nie wie, czemu otwiera stronę domową firmy, która sprzedaje podgrzewane baseny.

– Ee... Sorry, Lev, ale nie planuję instalować sobie jacuzzi.

Lev na moment głupieje, do chwili gdy Connor spostrzega błąd.

– „YouTube” ma „e” na końcu.

– No tak! – Lev ponownie wpisuje adres. – Nigdy nie radziłem sobie dobrze z klawiaturą.

Próbuje ponownie i tym razem otwiera się właściwa strona. Lev klika na jeden z filmików, a serce Connora omal nie zamiera. To kolejny wywiad z Risą.

– Nie chcę tego oglądać. – Connor wyciąga rękę, żeby wyłączyć odtwarzanie, ale Lev łapie go za nadgarstek.

– Owszem, chcesz.

I chociaż ostatnią rzeczą, jaką Connor ma ochotę teraz zobaczyć, jest kolejna reklama podzielenia, daje za wygraną i z zaciśniętymi zębami syczy na to, co ujrzy.

Po minie Risy natychmiast poznaje, że dziewczyna jest pełna żelaznej determinacji, której nie wykazywała podczas tamtego pierwszego wywiadu, jaki widział.

Connor patrzy w zdumieniu, jak w ciągu mniej niż dwóch minut Risa tak gruntownie masakruje werbalnie Proaktywne Siły Obywatelskie, hycli i podzielenie, że nie ma absolutnie żadnych wątpliwości co do tego, po której jest stronie. Dziennikarz prowadzący program może już tylko pozbierać odłamki.

– Szantażowali ją! – Connor czuje, jak wilgotnieją mu oczy. Wiedział, że musiało istnieć jakieś wyjaśnienie, ale stał się tak pozbawiony złudzeń w odniesieniu do wszystkich i wszystkiego, że był gotów uwierzyć, że Risa

postanowiła dać się wyleczyć kosztem całej reszty Podzielonych. Teraz wstyd mu, że tak myślał.

– Proaktywne Siły Obywatelskie już wydały oświadczenie, w którym zaprzeczają wszystkiemu – mówi Lev. – Twierdzą, że to ona ich wykorzystała.

– Taa, jasne. Miejmy nadzieję, że nikt nie będzie na tyle głupi, żeby im uwierzyć.

– jedni ludzie są wystarczająco głupi, inni nie.

Connor spogląda na Leva i uśmiecha się, uzmysławiając sobie, że trafienie pociskiem usypiającym trochę przygasiło radość z ich ponownego spotkania.

– Dobrze znów cię widzieć, Lev.

– I nawzajem.

– Co jest z twoją fryzurą?

Lev wzrusza ramionami.

– Taki imidż.

Słyszą, jak na parkingu przed biurem sprzedaży zatrzymuje się samochód. Pora zmykać.

– To co teraz zrobimy? – pyta Lev. – Tak jakby złamałem ZOMZ z Ruchu Przeciwników Podzielenia...

– RPP stał się bezużyteczny, jeśli ich największym osiągnięciem jest posyłanie ZOMZ-ów do wielkiego kojca, gdzie są przetrzymywani dla Urzędu do Spraw Małoletnich, coś tu nie gra. Ktoś musi to wszystko przemyśleć od nowa.

– Czemu nie ty? – proponuje Lev.

– Czemu nie my? – ripostuje Connor.

Lev zastanawia się nad tym.

– No cóż... ty jesteś męczennikiem, a ja świętym patronem. Trudno mi sobie wyobrazić lepszą drużynę! Od czego zaczniemy?

To trudne pytanie. Od czego trzeba zacząć, żeby uratować świat? Connor przypuszcza, że może znać odpowiedź.

– Słyszałeś kiedyś o człowieku, który nazywał się Janson Rheinschild?



83. NELSON

Zanim jeszcze w pełni odzyskał przytomność, już wie, że coś poszło straszliwie, straszliwie nie tak. Otwiera oczy i widzi oślepiającą jasność dnia. Leży w rowie. Boli go całe ciało. Ma wrażenie, że połowa jego twarzy płonie żywym ogniem.

Oberwał pociskami usypiającymi. Nie jednym, a kilkoma, i to z własnej cholernej broni! Wystarczająco dużo środków usypiających, żeby go pozbawić przytomności na jakieś dwanaście godzin. To cud, że pustynni padlinożercy nie zeżarli go żywcem – chociaż sądząc po tym, jak boli go lewa noga, i po zakrwawionych dziurach w jego mundurze, coś ewidentnie próbowało. Nelson zastanawia się, jak długo leżał na słońcu. Wystarczająco długo, żeby pół twarzy mu spuchło i paliło boleśnie z powodu oparzeń słonecznych drugiego stopnia.

Miał go! Miał Connora Lassitera, a teraz nie ma nic oprócz podartych ciuchów na grzbiecie! A wszystko przez dziesięciorodnego! Jak Nelson mógł być tak nieostrożny! Powinien był zabić Leva, kiedy nadarzyła się okazja, ale zlitował się i pozwolił chłopcu żyć.

I oto skutki jego litości.

Do tej pory ci dwaj na pewno zdążyli uciec daleko i właśnie zacierają za sobą ślady. Trop będzie już zbyt zimny, żeby nim podążyć, ale Nelson nie da za wygraną. Odszuka ich. Tropienie zawsze było jego specjalnością, a to utrudnienie? To nic! Uczyni go tylko bardziej zdeterminowanym, bardziej bezlitosnym na drodze do celu.

Nelson wyłazi z rowu i na sztywnych nogach, niczym zombie, zaczyna maszerować w stronę Tucson. Dopadnie ZOMZ-a z Akron, dostarczy go Divanowi i będzie miał możliwość osobiście obserwować podzielenie Lassitera – ale dziesięciorodnego czeka znacznie mniej litościwy koniec. Kiedy Nelson znajdzie Leva, wymierzy mu karę z furją, od której zatrzęsie się ziemia. Czego jak czego, ale tego jest pewien. Samo myślenie o tym stanowi wystarczająco silne źródło radości i poczucia celu, żeby dodawać mu sił w długim marszu do Tucson i ku mrocznej przyszłości, która czeka dalej.



84. CONNOR

Flagstaff nie wygląda jak miasto w południowej Arizonie – mówi Lev. – Bardziej jak Denver czy coś.

Denver nie wygląda jak Denver – odpowiada Connor. – Byłem tam raz. Nie ma tam żadnych obłądnych widoków na góry, chociaż niby można byłoby się ich spodziewać. Widoki tutaj są ładniejsze. – Po tym, jak spędził tyle czasu na pustyni w południowej Arizonie, Connor jest wdzięczny losowi za dramatyczną zmianę scenerii. Ponieważ na północy widzi ośnieżone góry i mnóstwo sosen, wie, że nie mogą się znajdować zbyt daleko od miejscowości Happy Jack i pozostałości ośrodka donacyjnego, ale próbuje o tym nie myśleć. Przeszłość jest przeszłością.

Zatrzymali się obok taniej restauracji przy historycznej trasie Route 66 i, wbrew paranoi, która towarzyszyła im przez cały ostatni rok, jedzą właśnie obiad, widoczni dla każdego, kto mógłby chcieć zwrócić na nich uwagę. Nikt nie uznaje za stosowne się nimi zainteresować.

Ich samochód to neutralnie wyglądająca beżowa honda, którą Connor ukradł w Phoenix po tym, jak porzucili ford ukradziony w Tucson po tym, jak porzucili van Nelsona. Każdy, kto próbowałby ich śledzić, musiałby się mocno postarać, żeby nadążyć za tymi wszystkimi zmianami środków transportu.

Szyld restauracji Rain Valley Diner zachwala „Najlepsze hamburgery na Południowym Zachodzie”. Connor nie jadł czegoś równie pysznego od czasu, gdy jeszcze mieszkał z rodziną, zanim rodzice podpisali zlecenie

podzielenia i jego życie wywróciło się do góry nogami. Jeśli o niego chodzi, hamburgery serwowane w restauracji Rain Valley Diner są najlepsze na świecie.

W jednej ręce trzyma burgera, a drugą zajmuje się zbieraniem informacji na laptopie Nelsona; pirat części był tak uprzejmy, żeby zostawić dla nich w vanie swój sprzęt.

– Znalazłeś coś nowego? – pyta Lev.

– Wygląda na to, że Risa zniknęła po wczorajszym wystąpieniu, a Proaktywne Siły Obywatelskie chcą dostać jej głowę. Nie chcą jej podzielonej, chcą tylko jej głowy. Na palu.

– O fuj.

– A Haydena oskarżają o wszystko, o co mogą go oskarżyć.

– Dobrze, że przynajmniej nie mogą go podzielić.

– Ale mogą podzielić wszystkich innych, których złapali. Myśl o schwytych Całych sprawia, że Connor czuje fale gniewu przemieszane ze smutkiem, który grozi wciągnięciem go głęboko w pozbawione światła zakątki jego duszy.

– Powinienem był móc ich uratować...

– Hej, zrobiłeś wszystko co mogłeś. A poza tym nie zostali jeszcze podzieleni – przypomina mu Lev. – Może nadal możemy coś dla nich zdziałać.

Connor zamyka laptop.

– Może... ale co teraz zrobimy?

Przez długą chwilę siedzą w nieprzyjemnym milczeniu, po prostu jedząc, bo to im przychodzi łatwiej niż udzielenie odpowiedzi. Żadnych planów, żadnego celu, zero pojęcia, w jakim kierunku powinni się stąd udać, oprócz tego, że muszą się wynieść. Pierwszy odruch Connora to znaleźć Risę, ale wie, że podobnie jak on, Risa dołożyła starań, żeby kompletnie zniknąć z radaru. Nie wiedziałby nawet, gdzie rozpocząć poszukiwania.

– Mógłbym cię zabrać do rezydencji Cavanaughow – proponuje Lev. – Tam byłbyś bezpieczny.

– Fajnie byłoby dla odmiany być bezpiecznym, ale to nie wchodzi w rachubę. Poza tym czy nie uciekłeś stamtąd?

– Taa, no cóż, jeśli wrócę prowadząc ZOMZ-a z Akron we własnej osobie, myślę, że mi wybaczą.

– Mówże ciszej! – Connor rozgląda się; wybrali stolik w rogu, w dosyć ustronnym miejscu, ale restauracja nie jest duża, a głosy się niosą.

– Może powinniśmy obczaić tę całą firmę „You-Tub”, kupić jacuzzi i urządzić sobie małe prywatne spa. Zasługujemy na trochę relaksu.

Connor wie, że Lev żartuje, ale coś w słowach przyjaciela wywołuje łańcuch skojarzeń. Najpierw to ledwie przelotna myśl, ale szybko nabiera kształtów. Mentalna iskierka staje się przeczuciem, potem pomysłem, potem olśnieniem, i Connor ponownie otwiera laptop, po czym zaczyna energicznie klikać i stukać w klawiaturę.

– Co się stało? – pyta Lev.

– Janson Rheinschild!

– Ale mówiłeś już, że jego cyfrowe istnienie zostało wymazane, więc jaki sens szukać?

Connor zawzięcie wpisuje hasła w wyszukiwarce, brudząc laptop tłuszczem z frytek.

– Podsunąłeś mi pomysł.

– Ja?

– Ta strona z podgrzewanymi basenami. Literówka.

– Znow będziesz się nabijał z moich umiejętności w dziedzinie pisania na klawiaturze?

– Nie. Trzeba mieć jakieś umiejętności, żeby można było się z nich nabijać – odpowiada Connor. – Mniejsza z tym. Hayden przypuszczał, że w necie krąży robak, zżeracz kodu, który poniszczył wszystkie wzmianki o Jansonie Rheinschildzie, ale szuka tylko tego konkretnego imienia i nazwiska... No więc próbuję teraz wyszukać jego nazwisko pisane z wszelkimi możliwymi błędami.

Lev się uśmiecha.

– Kto jak kto, ale ty zawsze umiesz zmienić cudzą wpadkę w złoto.

Connor zamawia drugiego hamburgera i przez następne dwadzieścia minut wyszukuje w sieci nazwisko Rheinschilda, przekręcając je na różne sposoby. Kiedy dojada ostatni kęs, jest już gotów dać za wygraną... ale właśnie wtedy widzi błysk tego złota, o którym mówił Lev, i okazuje się, że to żyła, której szukał.

– Lev, spójrz na to!

Przyjaciel przechodzi na jego stronę stolika i obaj spoglądają na artykuł sprzed ponad trzydziestu lat, który ukazał się w małej lokalnej gazecie gdzieś

w Montanie, gdzie Rheinschild kiedyś mieszkał. Wygląda na to, że tamtejsza społeczność latami śledziła losy jednego ze swych ukochanych synów, ale w artykule jego nazwisko jest uparcie przekręcane na „Reignchild”.

Connor i Lev czytają tekst, oniemiała ze zdumienia. Rheinschild, naukowiec i wynalazca, był na tyle ważną postacią, że jego nazwisko stało się dosyć znane, zanim wymazano je z kart historii niczym imię obalonego faraona z egipskiego obelisku.

– Boże! – mówi Connor. – Ten gość był pionierem łączenia nerwów i ich regeneracji! Technologii, która umożliwiła podzielenie! Gdyby nie Rheinschild, przeszczepy i transplantologia tkwiłyby nadal w epoce kamienia łupanego!

– Czyli był potworem, który zapoczątkował to wszystko!

– Nie. To było na samym początku wojny. Nikt wtedy jeszcze nie myślał o czymś takim jak podzielenie.

Connor uruchamia filmik i oglądają wywiad z Rheinschildem, mężczyzną w średnim wieku, który nosi okulary i ma łysinę: dwa jasne sygnały, że rozmowa odbyła się w czasach, kiedy podzielenie jeszcze nie istniało.

– *Trudno nam sobie nawet wyobrazić możliwe zastosowania tej technologii* – mówi Rheinschild z entuzjazmem znacznie bardziej młodzieńczym niż jego wygląd. – *Wyobraźcie sobie świat, gdzie wasi bliscy, którzy zmarli młodo, tak naprawdę nie umierają, bo każda część ich ciała może zostać ofiarowana komuś innemu, żeby go uleczyć z cierpienia. Co innego zostać dawcą jednego narządu, a co innego wiedzieć, że każda cząstka ciebie ocali czyjeś istnienie. To jest świat, w którym chciałbym żyć w przyszłości.*

Connor wzdryga się, po raz pierwszy czując, jaki chłód panuje w klimatyzowanym wnętrzu restauracji. Świat opisany przez Rheinschilda to świat, w którym również Connor chciałby żyć... ale rzeczywistość wygląda teraz całkiem inaczej.

– *Oczywiście będą się z tym wszystkim wiązały pytania dotyczące etyki* – ciągnie Rheinschild. – *Właśnie dlatego założyłem organizację mającą na celu zgłębianie problematyki etycznej nieodłącznie związanej z takimi osiągnięciami medycyny. „Proaktywne Siły Obywatelskie”, bo tak je nazwałem, będą pilnować, żeby tej technologii nie wykorzystywano niezgodnie z założeniem. Będą sumieniem dbającym o to, żeby sprawy nie potoczyły się w nieodpowiednim kierunku.*

Connor zatrzymuje filmik, usiłując dojść z tym wszystkim do ładu.

– Jasny gwint! Założył Proaktywne Siły Obywatelskie, żeby chroniły świat przed tym, co stworzył!

– A oni stali się tym potworem, którego się bał.

Connor przypomina sobie coś, o czym uczył się w szkole. Oppenheimer – człowiek, który opracował pierwszą bombę atomową – radykalnie zmienił później swoją postawę i stał się najgorętszym oponentem takiej broni. Co jeśli z Rheinschildem było tak samo? Otwarcie potępiał podzielenie, a potem został uciszony – lub gorzej, został uciszony, zanim jeszcze miał szansę się wypowiedzieć. Nawet Admirał nie pamiętał o tym człowieku, co oznaczało, że Rheinschild albo już nie żył, albo uniemożliwiono mu wypowiedzenie się przeciwko Porozumieniu Podziału.

Lev wyciąga rękę i ponownie uruchamia filmik. Do końca zostało już tylko kilka sekund, w trakcie których Rheinschild radośnie, naiwnie snuje swoją cudowną wizję przyszłości.

– *To jest dopiero początek, jeśli potrafimy regenerować tkankę nerwową, potrafimy zregenerować wszystko. To tylko kwestia czasu.*

Wywiad dobiega końca i odtwarzanie zamiera na kadrze przedstawiającym uśmiechniętą twarz Rheinschilda, a Connor uświadamia sobie, że straszliwie mu tego człowieka żal; nieznanemu światu ojciec podzielenia wybrukował swoimi dobrymi intencjami drogę do miejsca gorszego niż piekło.

– Niezły czad – mówi Lev – ale w jaki sposób ta wiedza może pomóc zlikwidować podzielenie? Czy nie powiedziałeś czegoś takiego? Że znalezienie informacji o tym gościu może zmienić życie, które znamy, czy jakoś tak? Nawet gdyby wszyscy się o nim dowiedzieli, niczego by to nie zmieniło.

Connor kręci głową, pełen frustracji.

– Coś musiało nam umknąć.

Przewija ekran aż do końca artykułu, gdzie widnieje zdjęcie Rheinschilda i jego żony w laboratorium – najwyraźniej pracowali w jednym zespole. Connor czyta podpis pod zdjęciem i nagle jego żołądek wywija koziołka, a oba „najlepsze na Południowym Zachodzie” hamburgery podjeżdżają do gardła.

– Nie może być...

– Co?

Connor przez chwilę nie może wykrztusić słowa. Ponownie spogląda na podpis pod zdjęciem.

– Jego żona. Ma na imię Sonia!

Lev nie rozumie – ale czemu miałyby? Nigdy nie przebywał w tamtym pierwszym azylu razem z Connorem i Risą. Stara kobieta, która go prowadziła, miała na imię Sonia. Na przestrzeni lat musiała uratować setki, może nawet tysiące Podzielonych ZOMZ-ów. Connor powiększa zdjęcie na cały ekran, i im dłużej spogląda na panią Rheinschild, tym bardziej jest pewien.

To ta sama Sonia!

Co ona mu powiedziała? „Wkraczamy i wychodzimy z krainy ciemności i światła przez całe nasze życie. Cieszę się, że w tej chwili jestem po tej jasnej stronie.” Connor nie miał pojęcia, jakie brzemię ciemności musiała nieść przez te wszystkie lata.

– Znam tę kobietę – mówi do Leva. – I teraz już wiem, dokąd powinniśmy się udać. Wracamy do Ohio.

Słyszając to, Lev blednie.

– Ohio? – Myśl o domu budzi całe skorpionie gniazdo emocji, na które żaden z nich nie jest gotów, ale należący do Soni sklep ze starociami znajduje się w Akron. Jeśli ta sprawa kryje w sobie coś więcej, Sonia jest jedyną osobą, która może im to wyjawić.

Dzwoneczki zawieszane nad frontowymi drzwiami restauracji dzwonią i do środka wchodzi z kamienną twarzą zastępca szeryfa, który momentalnie omiata wzrokiem całe pomieszczenie. Podczas gdy Connor i Lev byli pochłonięci czytaniem artykułu, przed budynkiem zaparkowały dwa samochody policyjne, a funkcjonariusze właśnie pobierają odciski palców ze skradzionej hondy.

– Wyglądasz jak sarna w blasku reflektorów – szepcze Connor do Leva. – Przestań.

– Nic na to nie poradzę. – Lev spuszcza głowę, kryjąc twarz za włosami, ale to rzuca się w oczy równie mocno jak jego przerażone spojrzenie chwilę wcześniej.

Jak można było się spodziewać, zastępca szeryfa dostrzega ich momentalnie i rusza prosto w ich stronę – jednak ku zaskoczeniu Connora kelnerka podchodzi do ich stolika pierwsza i rzuca:

– Tommy, tyś po prostu pochłonał te hamburgery! Nie objadaj się tak, bo dzinsy zaczną na tobie pękać w szwach!

Gdy zastępca szeryfa staje obok, Connor ma lekko ogłupiałą minę, ale Lev otrząsa się ze stuporu i mówi:

– Tak, Tommy, straszny z ciebie żarłok. Roztyjesz się zupełnie jak twój tata.

– To się ma w genach – dodaje kelnerka bez mrugnięcia okiem. – Lepiej uważaj!

Zastępca szeryfa odwraca się do niej.

– Znasz tych chłopców, Karlo?

– Tak, to mój siostrzeniec Tommy i jego kolega Evan.

– Ethan – poprawia ją Lev. – Zawsze myli pani moje imię.

– No cóż, przynajmniej pamiętałam, że zaczyna się na E.

Connor uprzejmie kłania się zastępcy szeryfa, po czym spogląda na kelnerkę.

– Twoje hamburgery są po prostu zbyt smaczne, ciociu Karlo. Więc jeśli się roztyję, to wyłącznie z twojej winy.

Usatysfakcjonowany zastępca szeryfa odwraca się do Karli, doszedłszy do wniosku, że Connor i Lev nie są jego problemem.

– Wiesz coś o tamtym aucie przed budynkiem? – pyta ją.

Karla wygląda przez okno i mówi:

– Podjechała tu dwójka dzieciaków, tak z godzinę temu. Chłopak i dziewczyna. Zwróciłam na nich uwagę, bo wyglądało na to, że bardzo się śpieszą.

– Weszli tu?

– Nie, po prostu pobiegli dokądś.

– Nie dziwi mnie to. Ten samochód został skradziony w Phoenix.

– Amatorzy przejazdów cudzymi wozami?

– Może. Albo ZOMZ-owie. Trochę ich uciekło z tej starej bazy lotniczej koło Tucson. – Funkcjonariusz zapisuje w notesie to, co powiedziała. – Gdybyś sobie przypomniała coś jeszcze, daj mi znać.

Po jego wyjściu Karla klęka obok Connora i Leva.

– Tommy i Ethan, słuchajcie, wasz obiad jest dzisiaj na koszt firmy.

– Dziękujemy – odpowiada Connor. – Za wszystko.

Kobieta mruga do niego.

– Czego się nie robi dla ulubionego siostrzeńca. – Potem sięga do kieszeni i ku zaskoczeniu ich obu kładzie przed Connorem kluczyki do auta, do których doczepiony jest brelok z zajęczą łapką. – Słuchaj, może wyświadczyć mi przysługę i odstawicie dzisiaj mój samochód „do domu”? Jest zaparkowany z tyłu.

Lev spogląda na Connora z takim zdumieniem, że znów ma minę trochę jak sarna na szosie. Connor przez chwilę podejrzewa, że kobieta poznała, z kim ma do czynienia, ale nie, nic z tych rzeczy. To tylko odruch serca przypadkowo spotkanej osoby.

– Nie mogę wziąć tych kluczyków – szepcze Connor.

Karla zniża głos, mówi teraz równie cicho jak on.

– Owszem, możesz. A poza tym wyświadczyć mi przysługę, zabierając tego grata. Albo jeszcze lepiej: rozwalcie go, jak już dojedziecie na miejsce, bo przyda mi się forsa z ubezpieczenia.

Connor bierze kluczyki ze stołu. Nie wie nawet, jak podziękować za coś takiego. Bardzo dużo czasu minęło, odkąd ktoś tyle zrobił, żeby im pomóc.

– Musicie wiedzieć, że nie każdy jest waszym wrogiem – ciągnie Karla. – Świat się zmienia. Ludzie się zmieniają. To może nie być takie oczywiste, ale naprawdę się dzieje. Widzę to codziennie. Słuchajcie, nie dalej jak tydzień temu pojawił się tu kierowca ciężarówki, który chwalił się na prawo i lewo, jak to w zeszłym roku zgarnął z postoju tego całego ZOMZ-a z Akron, żeby go podwieźć. Biedak został za to aresztowany, ale chwalił się mimo wszystko, bo wiedział, że postąpił jak należy.

Connor tłumy uśmiech. Doskonale wie, o jakim kierowcy Karla mówi. Josias Aldridge z przeszczepioną ręką, która umiała robić karciane sztuczki. Connor musi zacisnąć szczęki, żeby powstrzymać się od opowiedzenia jej o tym.

– Na świecie jest pełno zwykłych ludzi, którzy robią niezwykłe rzeczy. – Potem Karla znów puszcza do nich oczko. – A teraz daliście mi szansę, żebym ja też została jednym z tych niezwykłych/zwykłych ludzi, więc to ja powinnam dziękować wam.

Connor obraca w palcach zajęczą łapkę, mając nadzieję, że wreszcie zaczął mieć więcej szczęścia niż do tej pory.

– Będzie pani musiała zgłosić kradzież auta, inaczej to wygląda zbyt podejrzanie.

– Zgłoszę – odpowiada Karla. – Po jakimś czasie. – Potem wstaje i zaczyna składać ich puste talerze. – Mówię wam, szykują się zmiany – dorzuca. – Są jak wielka rumiana brzoskwinia, tak dojrzała, że lada chwila opadnie. – Posyła im obu ciepły uśmiech, a następnie odwraca się, żeby obsłużyć klientów, którzy czekają przy innych stolikach. – Uważajcie na siebie.

Connor i Lev jeszcze przez kilka sekund siedzą nieruchomo, żeby ochłonać, po czym wychodzą na dwór i idą za budynek, na tyłach którego stoi auto marki Dodge Charger w klasycznym czerwonym kolorze, z uszkodzonym zderzakiem. Nie jest to wypasiona bryka, ale też nie żaden grat. Wsiadają i Connor odpala silnik, który zaczyna mruczeć niczym budzący się lew. Wnętrze pachnie różanym odświeżaczem powietrza i wszędzie walają się drobiazgi typowe dla kobiety w średnim wieku, ale to nie szkodzi. Connorowi nie przeszkadza, że samochód przypomina mu o zwykłej/niezwykłej Karli.

Gdy wyjeżdżają na szosę, Lev spogląda na Connora.

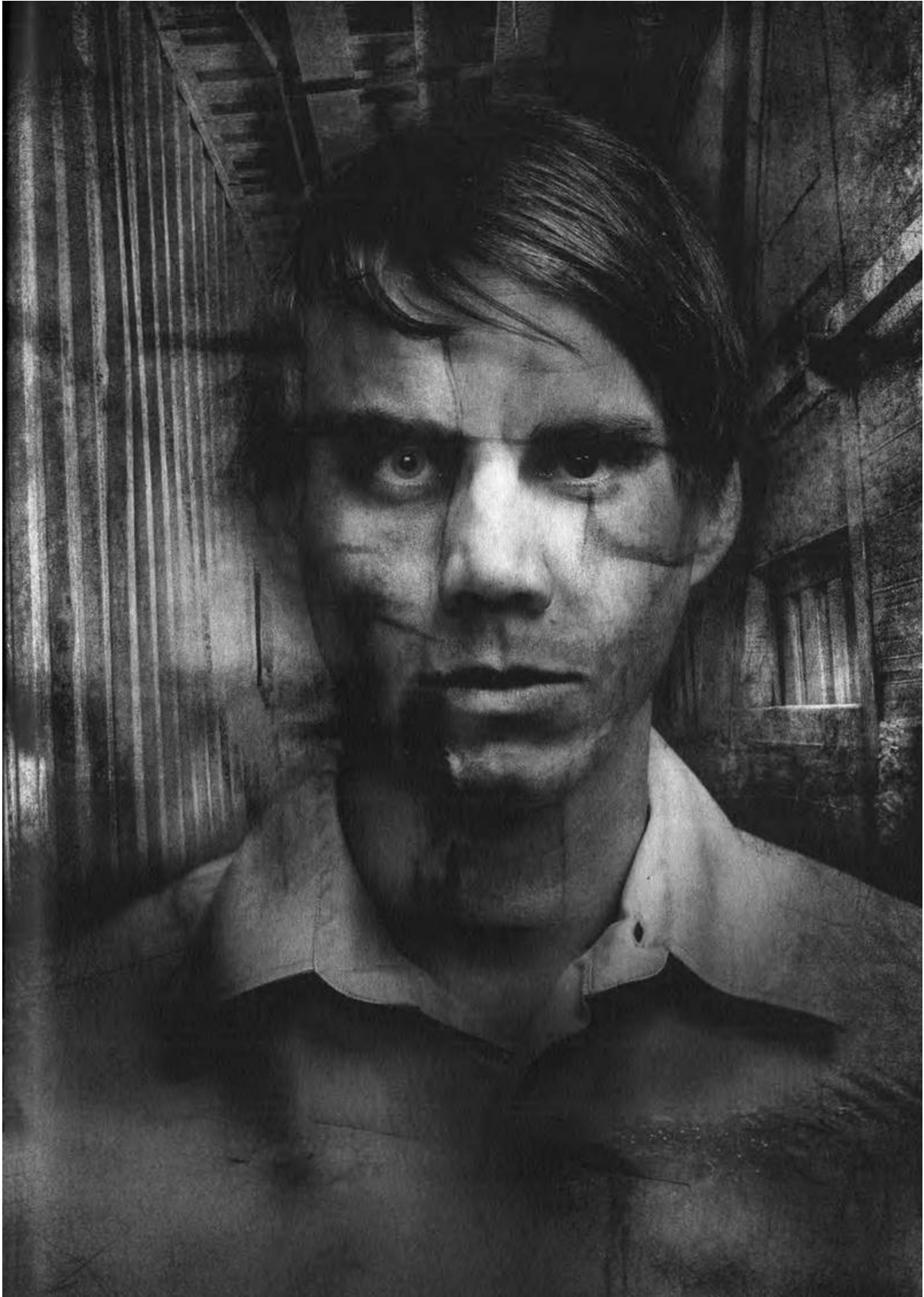
– Ohio? – pyta. – Czy to naprawdę musi być Ohio?

Connor posyła mu szeroki uśmiech.

– Owszem, musi. A gdy już tam dotrzemy, w pierwszej kolejności zawlokę cię do fryzjera.

Potem skręcają na Route 66, kierując się na wschód, w świat, który dojrzał do ocalenia.

KONIEC



A photograph of Neal Shusterman, a man with a beard and dark hair, looking directly at the camera with a slight smile. He is wearing a dark shirt. The background is dark and industrial, with several bright red cables or wires crisscrossing the scene. The lighting is dramatic, highlighting his face against the dark background.

NEAL SHUSTERMAN

Amerykański autor ksiązek dla młodzieży i dorosłych.

Spod jego ręki wyszło wiele bestsellerów, z których najbardziej znaną powieścią są **Podzieleni**.

Początkowo napisana jako samodzielna historia, ze względu na duży sukces i oczekiwania czytelników doczekała się kontynuacji i obecnie seria **Podzieleni** składa się z czterech tomów.

Prawa wydawnicze do **Podzielonych** zostały sprzedane do kilkunastu krajów. Trwają również prace nad ekranizacją książki.

Neal Shusterman jest ojcem czwórki dzieci. Mieszka w Kalifornii.

Seria **Podzieleni** to fascynujący cykl powieści dla młodzieży i dorosłych, polecany szczególnie tym, którzy lubią takie serie jak Igrzyska śmierci czy Więzień labiryntu.

Rozdarcie to trzymająca w napięciu kontynuacja bestsellera Podzieleni, która przynosi szybką akcję i silne emocje oraz stawia pod znakiem zapytania nasze poglądy na temat tego, gdzie zaczyna się i kończy życie – i co to znaczy żyć.

Za sprawą Connora, Leva i Risy – tudzież głośnej rewolty, którą wznieśli w Ośrodku Donacyjnym Happy Jack – ludzie nie mogą już ignorować Podzielonych. Rozwiązanie, które pozwala uwolnić społeczeństwo od sprawiających problemy nastolatków, a równocześnie zapewnia stałe źródło narządów do przeszczepu, może i wydaje się doskonałe, ale w końcu zaczęto kwestionować jego etyczność. Jednak na gruncie podzielenia rozkwitł już wielki biznes, a potężne korporacje i politycy chcą, żeby tę praktykę nie tylko kontynuować, ale objąć nią również więźniów i najbiedniejszych.

Cam w całości składa się z części ciał innych Podzielonych; to nastolatek, który formalnie nie istnieje. Niczym futurystyczny potwór Frankensteina, Cam usiłuje odnaleźć własną tożsamość i sens życia, zastanawiając się, czy ktoś taki jak on może mieć duszę. A kiedy wskutek działań sadystycznego łowcy nagród jego los zostanie nierozdzielnie spleciony z losami Connora, Risy i Leva, Cam będzie musiał znaleźć odpowiedź na pytanie, co to w ogóle znaczy być człowiekiem.

WAPROMIOWANI.PL

WYZNANIA



WYZNANIA
KSIĄŻKOWICZKI

WYZNANIA KSIĄŻKOWICZKI

Fantasy Book

GRODZISK NEWS

LUBIE
CZYTAĆ

opetani
czytaniem

NERD KOBIETA

SITUACJE.PL

granice.pl



Książka i Wiedza
Y-Fi Książki i Wiedza

PAPIER WYKSIĘŻYC

ISBN: 978-83-65568-09-0



9 788365 568090

P 06/6E